

# KSIĘGA ŚWIATA

WŁADYŚLAW



ŚRODKI NAUK PRZYRODZONYCH, HISTORIA, KRAJOWE I LUDOWE

ZYWOITY ZNAKOMITOSTW LUDZI

PODROZE, OJISY, KRAJE, WYKONANIA, WYKONANIA, WYKONANIA

WYKONANIA, WYKONANIA

WAZNISTWA ZAPISU I DOKUMENTACJA

WAZNISTWA ZAPISU I DOKUMENTACJA

WAZNISTWA ZAPISU I DOKUMENTACJA

## KSIĘGA ŚWIATA.

WARSZAWA

WYDAWCA S. H. NERZBACHA WARSZAWA

1860.

KSTIEGA S WATA

# KSIĘGA ŚWIATA.

WIAĐOMOŚCI



Z DZIEDZINY NAUK PRZYRODZONYCH, HISTORII, KRAJÓW I LUDÓW,  
ŻYWOTY ZNAKOMITYCH LUDZI,

PODRÓŻE, OPISY CIEKAWYCH MIEJSCOWOŚCI, WÓD SŁYNNIEJSZYCH,

ODKRYCIA I WYNAŁAZKI,

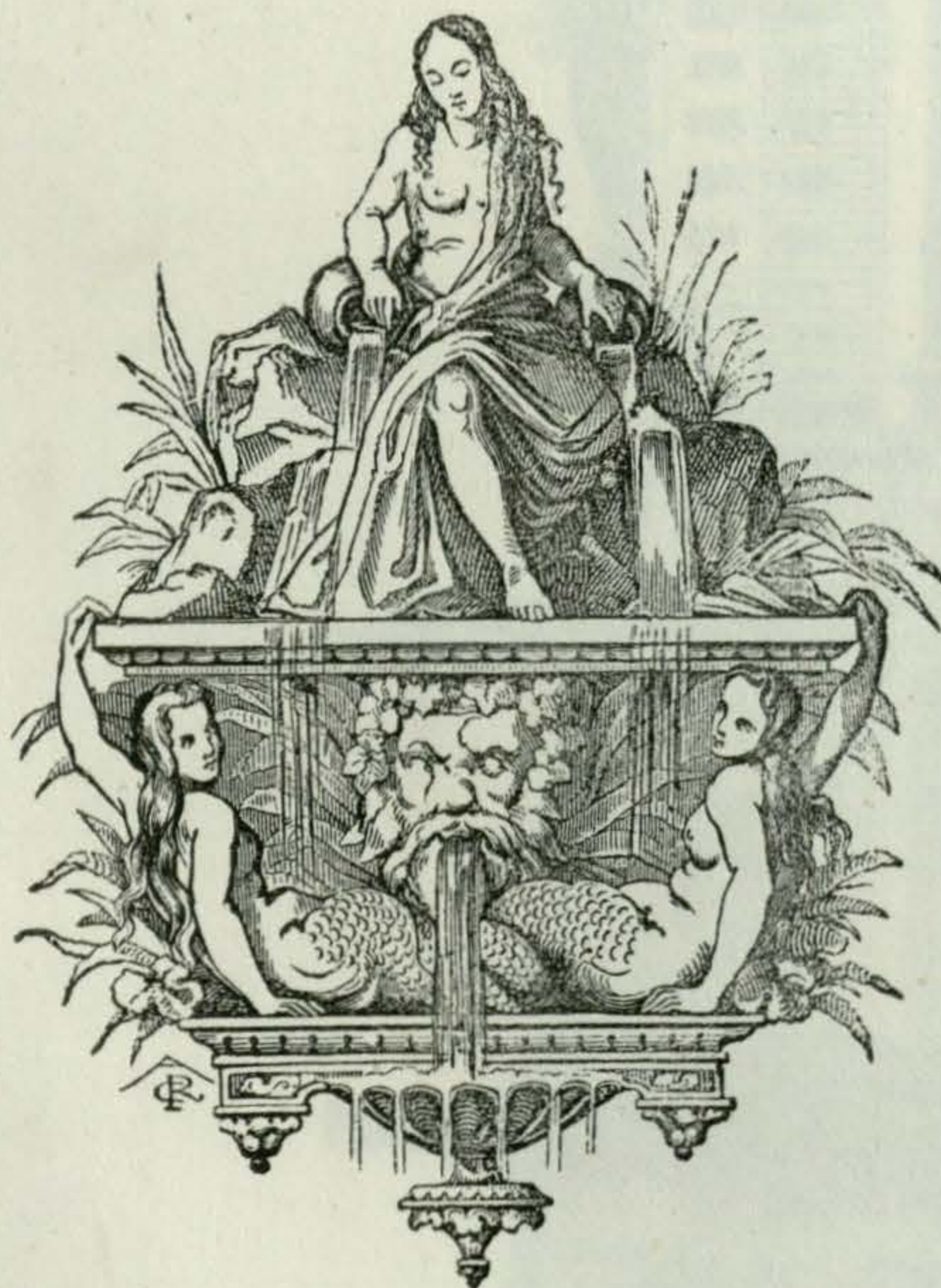
WĄŻNIEJSZE ZAJĘCIA PRZEMYSŁOWE,

Obrazy Towarzyskie, Statystyczne, Ekonomiczne i t. p.

Z RYCINAMI NA STALI, LITOGRAFIAMI CZARNEMI I KOLOROWANEMI, ORAZ DRZEWORYTAMI.



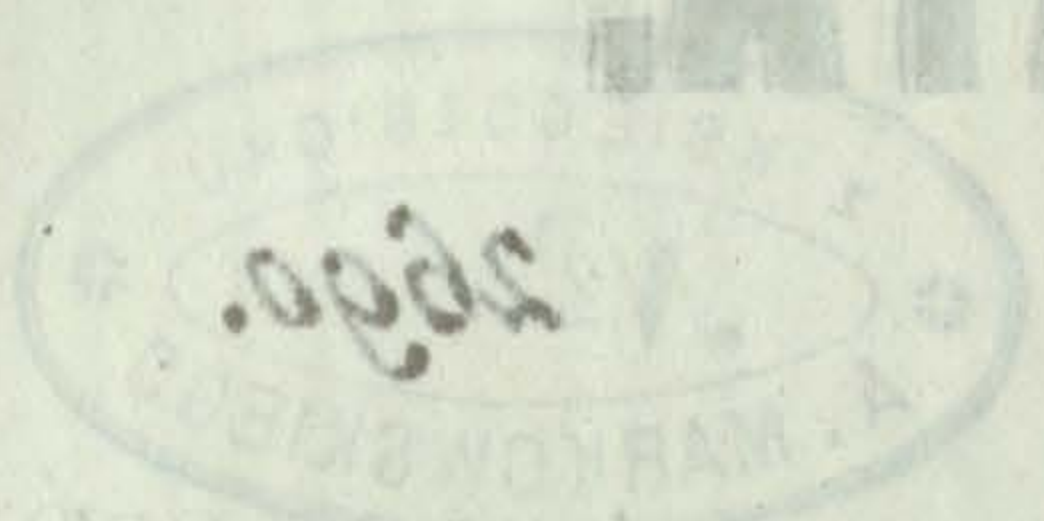
CZEŚĆ DRUGA.



WARSZAWA.

NAKŁADEM S. H. MERZBACHA KSIĘGARZA.

1860.



INSTYTUT ZOOLOGICZNY  
POLSKIEJ AKADEMII NAUK  
BIBLIOTEKA  
P. 2790

WAZNIEJSZE NAJLEPIA PRZEMYSLOWE  
ODKRYCIA I WYNALEZKI  
PODRÓŻE OPISY CIĘŻKICH WYCH AEROSKOPÓW, WÓD SIYNIENIANYCH  
ŻYWOŹY ZNAKOMITYCH LUDZI  
WYBUDOWA I WYKONANIE HISTORII, KRĄGÓW I LUDÓW

Wolno drukować, pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

w Warszawie dnia 17 (29) Grudnia 1860 r.

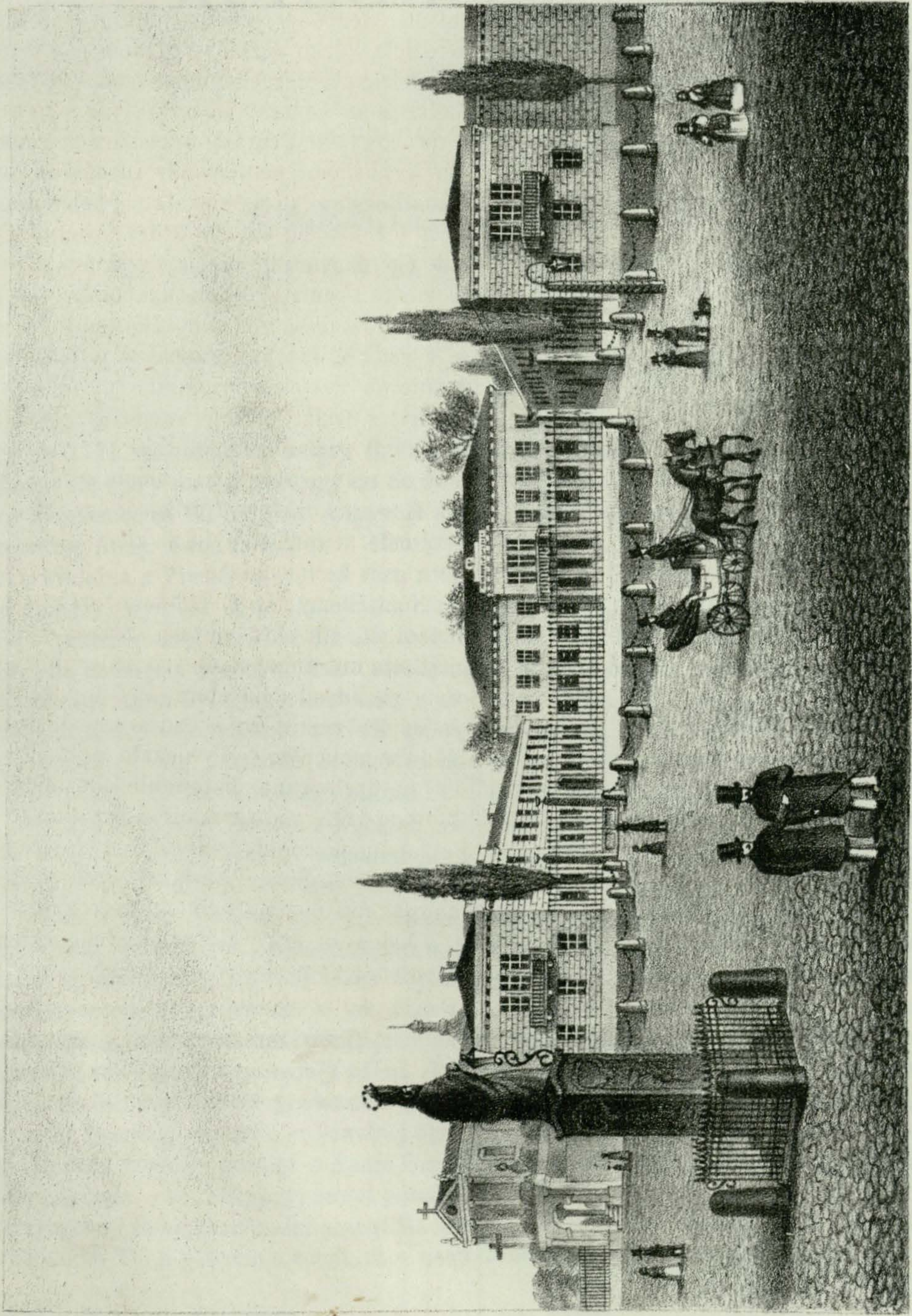
Starszy Cenzor, Assessor Kollegialny, T. HERTZ.

*Handwritten signature*



w Drukarni J. Jaworskiego.

WARSZAWA  
WYDAWCA H. WERBACHOWSKI  
1860



w Lit. J. V. Fleck

Pałac zwany dawniej BŁĘKITNYM w Warszawie



# KSIĘGA ŚWIATA.

## BŁEKITNY PAŁAC

Hr. ORDYNATÓW ZAMOYSKICH W WARSZAWIE.

(Z RYCINĄ.)

Okolo roku 1724, za kościołem księży Reformatorów, znajdował się stary gmach należący do Stefana Potockiego Referendarza W. K. Gdy August II poznał córkę swoją Annę, owoc związków z Henryetą Duval córką winiarza z Piwniej ulicy, i od razu z zapomnienia i niedzy, wyniósł ją do stanowiska córki królewskiej, — przedsięwziął urządzić dla niej osobne mieszkanie, dla usunięcia pozorów, które niechętni rozsiewali, jakoby Anna była jego kochanką a nie córką. Szukając dogodnego miejsca, zwrócił uwagę na ów stary gmach prawie pustkami stojący, a łączący się z ogrodami Morsztynowskiego pałacu <sup>1)</sup>.

Stefan Potocki i żona jego Teressa z Kąckich nie wahali się, z ofiarowaniem królowi wspomnionego gmachu, bo wiadomo że głowa wówczas domu Potockich, Prymas Teodor Potocki sprzyjał domowi Saskiemu i aktem w metr. kor. zeznanym darowali go Augustowi II, który rozszerzywszy place częścią ogrodu morsztynowskiego, rozkazał z jak największym pośpiechem, z powodu spóźnionej jesienniej pory, przerabiać stare mury na okazały pałac. Podanie niesie, że 300 robotników pracowało dzień i noc przez sześć tygodni, aby woli królewskiej stało się zadość. Dziwna rzecz — pamięć o Annie Orzelskiej prawie zaginęła, — bo niektórzy, nawet poważni pisarze utrzymywali że błękitny pałac stanął dla kochanki królewskiej <sup>2)</sup>, a podanie o robotach w nocy

przy światłach pochodni, przechowało się aż do naszych czasów. Taka to siła podań ludowych.

Stanął ów czarodziejski pałac, i król aktem urzędowym z d. 21 listopada 1726 roku darował go córce swjej Annie Orzelskiej <sup>1)</sup>, a że jak wieść głosi pomalowany był na niebiesko, lud nazwał go błękitnym, i nazwa ta do dziś dnia pozostała.

Nie jest naszym zadaniem opowiadać koleje życia Anny Orzelskiej, — ciekawych odsyłamy do wybornie napisanego o niej artykułu przez p. Juliana Bartoszewicza, <sup>2)</sup> tu tylko powiemy, że pani błękitnego pałacu królewską okazałością otaczała swój dwór, gromadząc w około siebie tłumy wielbicieli. Jednakowoż gdy dnia 12 maja 1729 roku, chcąc obchodzić u siebie urodziny ojca, wydała świetny bal, i spodziewała się liczego zjazdu, znakomitych osób, żaden z Polaków, zajmujących wysokie dostojeństwa, nie przybył i ów festyn wcale nie wesoło się odbył <sup>3)</sup>.

Anna Orzelska wydana została za księcia Karola Ludwika Holsztyńskiego (Holstein Beck) i nie wiadomo z jakich powodów pałac błękitny w dniu 7 listopada 1730 roku aktem przed Podkanclerzym Janem Lipskim zeznanym, darowała znów ojcu swemu Augustowi II <sup>4)</sup>. Nielugo i król posiadał ten pałac; — po-

<sup>1)</sup> Później Saski a teraz Skwarcowa.

<sup>2)</sup> Gołębiowski. — Opis Warsz. i inni.

KSIĘGA ŚWIATA, Cz. II. R. IX.

<sup>1)</sup> Oblata dypl. don. Palatii G. Comitessae Orzelska a sacra Regia Majes. Acta inser. ks. 227. metr. Kor.

<sup>2)</sup> Gazeta Warsz. z r. 1850 od Nr 210.

<sup>3)</sup> Tamże.

<sup>4)</sup> Acta inscrip. Mert. Kor. ks. 224 fol. 473.

dobał się mu Wilanów, rezydencya niegdyś Sobiebieskich, który od nich przeszedł do Sieniawskich i był w posiadaniu Maryi Zofii z Sieniawskich 1go ślubu Denhofowej, 2go Czartoryskiej. Chciał jak Jan III resztę dni swoich przepędzić w ślicznym wiejskim ustroniu; zrobił więc taki układ, że pałac błękitny darował książętom Czartoryskim, a wzajem od nich przyjął dożywotnie posiadanie Wilanowa. Układ był dla książąt Czartoryskich bardzo korzystny, bo zyskiwali pałac w Warszawie, a Wilanów przechodził do nich po śmierci króla <sup>1)</sup>.

Pani Denhofowa przenosiła ogromną fortunę Sieniawskich w dom Czartoryskich. Puławy, Sieniawa, i inne niezliczone włości dostawały się księciu wojewodzie Ruskiemu, który oprócz błękitnego pałacu, miał także własny pałac na Krakowskim-przedmieściu. O ile więc księstwo gościło w Warszawie, to nie zajmowali błękitnego pałacu ale swój dawny. W nim to dnia 18 maja 1765 roku z niezwykłą świetnością przyjmowali Stanisława Augusta, posunawszy przepych do tego stopnia, że na podwórzach urządzone były stoły dla publiczności miejskiej, a z dziobów orlich lało się wino, które publiczność w różne naczynia chwytała <sup>2)</sup>.

W roku 1761 książę wojewoda Ruski ożenił syna Adama generała ziem podolskich z piętnastoletnią Izabellą Fleming córką Jerzego Fleminga wojewody pomorskiego i Antoniny Czartoryskiej kancl. W. L. i na rezydencyą przeznaczzył nowożeńcom pałac błękitny. Wróciły więc znowu dla błękitnego pałacu czasy minionej świetności: Książę generał ziem podolskich trzymając się zdala od dworu Stanisława Augusta, nie lubił przebywać w Warszawie, ale młoda jego żona nie dzieliła z nim upodobania do pobytu na wsi, — ztąd więc pałac błękitny, zwykła jej rezydencya, nadzwyczaj był ożywiony. Księżna wydawała świetne bale, trzymała liczną służbę, i starała się z każdej chwili korzystać aby ją sobie uprzyjemnić.

Szereg zabaw i ciągłej pomyślności przerwał okropny wypadek: dnia 13 stycznia 1780 roku spaliła się w błękitnym pałacu najstarsza z córek księstwa śliczna i dobra *Teressa*. Liczyła wtenczas piętnasty rok życia, wybierała się właśnie na pierwsze wystąpienie w wielkim świecie miała być u księżnej Lubomirskiej swjej ciotki na balu, ubierając się, przysunęła się do kominka, lekkie suknie zajęły się na niej

w mgnieniu oka; przy niej natenczas nie było niktogo, nie było ratunku, i w kilka godzin w najcięższych boleściach skończyła życie. P. Julian Bartoszewicz w zajmujący sposób opisał ten wypadek <sup>1)</sup>, w artykule jego pełno ciekawych i rzeczywistych szczegółów, i nie można bez łez czytać opisu jej zgonu i żalu ojca, który wracając z podróży do Warszawy, na Krakowskim-przedmieściu spotkał pogrzeb swjej córki. Odtąd nikt w Puławach i na książęcym dworze nie mógł nosić imienia Teressy <sup>2)</sup>.

Zmarła księżniczka Teressa pochowaną została w grobach kościoła Śgo Krzyża w Warszawie, gdzie na marmurowej tablicy, uwieczniającej pamiątkę jej zgonu, taki położony jest napis:

„*O! ma Therese—reçois l'hommage de la mère, il est fait d'après ton coeur c'est honorer, ton souvenir: — Que de chercher à consoler les infortunés; c'est la le monument que j'élève à ta memoire et les pleurs que la reconnaissance fera couler sont les fleurs dont je veux orner ton tombeau* <sup>3)</sup>.”

„*Teressa księżniczka Czartoryska generalówna ziem podolskich — zesła dnia 13 stycznia 1780 roku, 15-go wieku swego.*”

Żałujemy że pomimo najściślejszych poszukiwań nie mogliśmy powziąć wiadomości, jakim to dobroczynnym uczynkiem, matka upamiętniła zgon ukochanego dziecięcia?

Dodajemy tu jeszcze, że szczątki niedopalonych sukien zebrane w ozdobną skrzynkę, przechowywane były w Puławach, i że portret księżniczki umieszczony został w kościele parafialnym w Włostowicach.

Wypadek ten musiał zapewne zniechęcić księstwo do błękitnego pałacu, bo gdy w cztery lata później dnia 28 października 1784 r. wydawali córkę swą Maryą za Fryderyka Ludwika Aleksandra księcia de Wurtemberg, to ślub nie odbył się w War-

<sup>1)</sup> Gazeta Warsz. z r. 1851 od Nr 105.

<sup>2)</sup> W dniu spalenia się najstarszej córki Teressy, księstwo mieli troje dzieci: Marją urodz. d. 15 marca 1768 roku.—Adama urodz. d. 14 stycznia 1770 r.—Konstantego urodz. d. 28 października 1773 r.—Zofia urodziła się dnia 25 września 1780 r, a zatem w kilka miesięcy po spaleniu się Teressy.

<sup>3)</sup> O moja Teresso! przyjmij hold twojej matki, godny jest on twojego serca,—nie można bowiem lepiej uczcić twjej pamięci jak niosąc pociechę nieszczęśliwym. Oto taki pomnik wnoszę Ci, a lzy jakie wdzięczność wycisnie, będą kwiatami, któremi pragnę ozdobić Twój grobowiec.

<sup>1)</sup> Gazeta Warsz. z r. 1850 Nr 216.

<sup>2)</sup> Kurjer Warsz. z r. 1818 Nr 125.



wie ale w Siedlcach u pani hetmanowej Ogińskiej z domu Czartoryskiej <sup>1)</sup>).

Nadeszły wreszcie dla Warszawy smutne czasy, zaburzenia i klęski wyludniły miasto. Księstwo Czartoryscy osiedli stale w Puławach, gromadząc w koło siebie przyjaciół i uczonych. Pałac błękitny dzielił losy wielu podobnych gmachów, opustoszał i wyludnił się. Księstwo w r. 1798 wydali drugą córkę Zofią za Stanisława hr. Zamoyskiego Ordynata, ale młodzi małżonkowie nie zjechali do Warszawy, bo ona była pod rządem pruskim, a ordynacya należała do krajów połączonych z państwem Austryackim. Po utworzeniu księstwa warszawskiego jeszcze ordynat nie mógł mieszkać w Warszawie, z powodu ciągłych zajęć wymagających jego obecności w Galicyi, i dopiero po przyłączeniu Galicyi do księstwa warszawskiego, ordynat hr. Zamoyski jako prezes rządu centralnego galicyjskiego, zbliżył się do stolicy i dnia 28 sierpnia 1811 nabył od rodziców żony pałac błękitny za 8000 dukatów i w nim zamieszkał <sup>2)</sup>.

Pałac ten w roku 1811 nie był takim jakim go dzisiaj widzimy. Od ulicy Senatorskiej gdzie teraz żelazna krata był mur i mała parterowa oficynka, w głębi korpus o piętrze z okrągłym dachem, dwie oficyny piętrowe, dalej oficyna i stajnie sięgały tylko po pierwszą bramę od ulicy Żabięj. Od strony kościoła O. O. Reformatów, nie było frontowej oficyny ani oficyny w głębi za ogrodem stojącej.

Ciągłe zajęcia w latach 1811 i 1812, a wojny i zmiany w roku 1813, nie pozwoliły nowemu właścicielowi zająć się zaraz przebudowaniem pałacu, mieszkał jednak w nim ciągle i przyjmował w salach tego pałacu Fryderyka Augusta króla Saskiego księcia warszawskiego,—który trzymał do chrztu syna Augusta urodzonego dnia 8 listopada 1811 roku <sup>3)</sup>.

Gdy zajęcia polityczne, zeszyły z widoku, hr. Ordynat zajął się wyrestaurowaniem błękitnego pałacu, — nabył od miasta część saskiego ogrodu i na tym placu wystawił oficynę dziś od pierwszej bramy do krat ogrodowych ciągnącą się; wynajął na czynsz wieczysty kawał placu od księży Reformatów dla rozszerzenia ogrodu i wystawienia oficyny, sam pa-

<sup>1)</sup> Gazeta Warsz. z r. 1784 Nr 87.

<sup>2)</sup> Księga hipoteczna pałacu Nr 472.

<sup>3)</sup> Król Saski trzymał w pierwszą parę z żoną swoją Augustą - Amalią — dalej byli obecnymi minister saski Seuft de Pilsach, książę Józef Poniatowski, Tadeusz Matuszewicz, książę Jabłonowski i książę Konstanty Czartoryski i t. d.

łac zaś z gruntu przerobił podług planów budowniczego Lessel, który głównie robotami kierował, i jemu to należy się zasługa przyozdobienia Warszawy jednym z najgustowniejszych gmachów. Gdy przed kilkoma laty król pruski był w Warszawie, zwrócił uwagę na ten pałac i przyznał że odznacza się kształtną i gustowną budową <sup>1)</sup>.

Urządzeniem ogrodu kierował najprzód ogrodnik Sapiela, a później Stabrowski, obadwaj Polacy.

Restauracyą pałacu ukończono w roku 1815 zaraz po kongressie wiedeńskim, który wówczas najżywiej zajmował wszystkie umysły. Właściciel błękitnego pałacu, był jednym z pierwszych, którzy z radością przywrócenie królestwa powitali, — i na pamiątkę tego kazał na facyacie frontowej umieścić napis:

„ROKU PRZYWRÓCENIA KRÓLESTWA.”

Odtąd państwo Zamoyscy zamieszkali stale pałac błękitny. Pani Zamoyska, będąca wzorem cnot domowych i obywatelskich, zachwycała wszystkich swoją pięknoscia, dobrocią i uprzejmoscia. Aby poznać dokładniej jaki wpływ wywierała pani błękitnego pałacu na ówczesne towarzystwo, dość jest odczytać pamiątki z tej epoki. Zaczyna pani Hoffmanowa (Klementyna Tańska) tak o niej mówi: „Zofia z książąt Czartoryskich ordynatowa Zamoyska, której zgon długo będzie niewynagrodzony, słygnęła w kraju i zagranicą z nadzwyczajnej urody i wdzięku, i dowiodła że u niej rzadkiem zjawiskiem, piękność duszy przechodziła piękność ciała. Dziś odgłos jej cnot niewieścich, jej dobroczynności i zasług obywatelskich, przeszedł daleko odgłos uroczych powabów i zostawił jej obraz we wszystkich sercach, już nie jak bogini, ale jak anioła” <sup>2)</sup>.

Hrabia Ordynat rozumny, uprzejmy, z najlepszym sercem, otaczał się ludźmi którzy położyli w kraju zasługi i do siebie ich przywiązywał <sup>3)</sup>. Był czas że pałac błękitny nazywano małemi Atenami. W oficynie od ulicy Żabięj, mieszkała panna Tańska

<sup>1)</sup> Gazeta Warsz. z r. 1851 Nr 137.

<sup>2)</sup> Karolina—przez Klementynę Hoffmanową.

<sup>3)</sup> Przytaczamy tu ustęp z mowy Staszica mianej na publicznem posiedzeniu Towarzystwa przyjaciół nauk z d. 30 kwietnia 1811 r. „Członkiem honorowym wybrany senator wojewoda Zamoyski, który starał się zaprowadzać użyteczne fabryki i rękodzieła w kraju, zachęcał i wspierał nauki w szkole przez Jana Zamoyskiego założonej, i stawał zawsze pierwszy na usługę krajowi, postępując godnie śladem sławnych przodków.” Gazeta Warsz. z r. 1811 Nr 36.

i w tém mieszkaniu ogłaszała prenumeratę na Rozrywki dla dzieci <sup>1)</sup>. W tejże samej officynie mieszkał znakomity nasz dramaturg i powieściopisarz Józef Korzeniowski przed wyjazdem swoim na Wołyń <sup>2)</sup>; dalej Krzysztof Lach Szyrma, Bernatowicz autor Pojaty, malarz Rubio, — przy bibliotece Ignacy Lojola Rychter, a w officynie nowo wystawionój od ogrodu Saskiego A. E. Odyniec autor Felicyty i Ordyniec. Na dole mieściła się drukarnia Gałęzowskiego jedna z najczynniejszych podówczas.

I osobiste przymioty i wpływ jaki posiadał hr. ordynat Zamoyski za czasów księstwa warszawskiego, — po przywróceniu królestwa, utorowały mu drogę do najpierwszych w kraju godności i zjednały poważanie. Dom państwa Zamoyskich czyli raczej pałac błękitny zasłynął z gościnności, a Cesarz Aleksander I za każdą prawie bytnością w Warszawie, nie przepomniał zaszczycać obecnością swoją zebrań i balów przez państwa Zamoyskich wydawanych, i trzymał im do chrztu córkę Elizę urodzoną dnia 21 czerwca 1818 roku.

Z Cesarzem Aleksandrem bywali J. C. M. Wielcy Książęta Konstanty, Mikołaj i Michał, oraz Król Pruski, ówczesny książę Oranii a dzisiejszy król Hollenderski, książęta Wirtembergscy i inni <sup>3)</sup>. Cały pałac błękitny zajmowali państwo Zamoyscy dla siebie i swego dworu, bo dwór ten za ledwie mógł się pomie-

<sup>1)</sup> Kurjer Warszawski z r. 1824.

<sup>2)</sup> *Wtorek i Piątek* powieść. — Oprócz tego sam autor tej powieści, opisywał nam swoje mieszkanie w błękitnym pałacu, — w którym raz z powodu zatlenia się posadzki o mało nie uległ smutnemu wypadkowi.

<sup>3)</sup> Gazeta Warsz. i Kurjer Warsz. od r. 1815 do 1829.

ścić w obszernych oficynach. Do dziś dnia wiele jeszcze osób pobiera coroczne pensye gracyalne za wysłużone przy tym dworze lata.

Po ukończonej w roku 1815 restauracyi pałacu hr. Ordynat zajął się urządzeniem ogrodu i uporządkowaniem biblioteki, a chcąc zapewnić wieczną trwałość tym swoim pracom, — pałac błękitny z wszelkimi inwentarzem objętymi sprzętami i biblioteką, przyłączył do Ordynacyi, co w księdze hypotecznój tego pałacu zostało objawione.

Zamykając kronikę ważniejszych wypadków odnoszących się do błękitnego pałacu dodamy, że dnia 29 listopada 1830 r. generał Stanisław hr. Potocki ranny niebezpiecznie na placu przed Bankiem, przyniesiony został do tego pałacu i umieszczony czasowo w officynie po prawej ręce na dole z kąd przeprowadzony później został do domu Laoa <sup>1)</sup> do własnego mieszkania i tam umarł.

Hr. Zofia Ordynatowa Zamoyska skończyła życie we Florencyi, dnia 28 lutego 1837 roku, w cztery lata po zgonie swój. matki księżnej jenerałowej ziem podolskich. Mąż jej hr. Ordynat przeżył ją o lat 19 ale mieszkał ciągle za granicą i skończył życie w Wiedniu dnia 2 kwietnia 1856 roku. Na kilkanaście lat przed zgonem w roku 1835 wydzierżawił ordynacyą najstarszemu swemu synowi hr. Konstantemu Zamoyskiemu, który następnie na mocy działu dopełnionego w Wiedniu dnia 13 grudnia 1854 roku objął ordynacyą, a tém samym wszedł zarazem w posiadanie błękitnego pałacu.

<sup>1)</sup> Teraz bankiera Józefa Epsteina: ulica Senatorska N. 470.

A. Wieniariski.

## KANAŁ PRZECINAJĄCY MIĘDZYMORZE SUEZ

### I ŁĄCZĄCY MORZE ŚRÓDZIEMNE Z MORZEM CZERWONEM.

(Dokończenie.)

Głoszono naprzykład, że natura gruntu przerznanego przez kanał wykonanie jego czyni niepodobnym, że powierzchnia ziemi w znacznej części jest pokryta piaskami ruchomemi, a spód stanowią skały granitu, kwarcu i wapienia. Prace geologiczne, z największą starannością dokonane, przekonały o mylności tego twierdzenia. Z rapportu przedstawionego

przez p. Renaud akademii nauk w Paryżu, okazuje się, że na całej przestrzeni, którą kanał ma przerywać, wierzchnią warstwę stanowi piasek mniej lub więcej bezpłodny.

Wychodząc z Suez na przestrzeni sześciu kilometrów napotyka się piasek czysty, widocznie nanieiony przez wody morskie; — posuwając się ku pół-

nocy zaczyna się pokazywać żwir i staje się coraz obfitszym aż do wzgórz oddzielających dolinę jezior Gorzkich od morza Czerwonego;—następnie z gruboziarnistego przemienia się w coraz drobniejszy i znikła zupełnie na wysokości jeziora Ballah.

Część południowa międzymorza aż do połowy jezior Gorzkich jest najzupełniej bezpłodną; część północna wydaje mniej lub więcej obficie, pewien gatunek roślinności właściwej pustyni, która służy za pożywienie wielbłądom.

Piaski przedstawiają wszędzie wielką ścisłość, wyjąwszy kilku punktów na brzegach jeziora Ballah, gdzie się znajdują zasy ruchome.

O ścisłości tej przekonywa zachowane dotąd bez uszkodzenia koryto kanału starożytnego i kształt powierzchni nie noszącej nigdzie na sobie śladu zasp nanoszonych przez wiatry.

Znajduje się także w kilku miejscach na powierzchni ziemi siarczan wapna, albo w kawałkach kryształicznych, albo w pokładach od 15 do 40 centymetrów grubości mających. Na wzgórzach oddzielających Suez od doliny jezior Gorzkich, dają się widzieć tu i owdzie rozrzucone, a na wierzchołkach kilku innych wzgórz małoznaczne pokłady wapienia.

Taka jest powierzchnia gruntu, przez który przechodzić ma kanał, wewnątrz zaś jego rozpoznane zostało zapomocą 19 świdrowań, które na ośm metrów poniżej niskich wód morza Śródziemnego zapuszczone zostały i podały wypadki następujące:

Na wzgórzach pomiędzy jeziorami Gorzkimi a morzem Czerwonym pokład piasku spoczywa na glinie ścisłej, pod którą znajduje się glina piaszczysta, piasek, żwir i znowu glina. Koło jezior Gorzkich napotkano w spodnim pokładzie glinę marglowatą, a dalej glinę zwyczajną. Po za jeziorami świdry napotkały sam piasek mniej lub więcej ścisły, a nad brzegiem morza Śródziemnego pokłady marglu. Prócz tego w stronie północnej doliny Gorzkich jezior znaleziono warstwy soli morskiej 7, m 50 grubości spoczywające na pokładzie mułu, jak się zdaje nanieśionego przez wody Nilu. Dalej ku środkowi doliny pokazuje się jeszcze sól pokryta warstwą skryształizowanego siarczanu wapna.

Z krótkiego tego opisu geologicznego łatwo się przekonać, że roboty przy kopaniu kanału, napotkają tylko zwykłe trudności, w każdym gruncie od prac ziemnych nieodłączne; co więcej w ogóle natura ziemi międzymorza, każe się spodziewać niezwyklej łatwości wykonania; piaski bowiem główną część jej

stanowiące za najdogodniejsze do kopania uważać można.

Kommissya w swym projekcie podaje następujący rozkład robót, zamierzając takowe w przeciągu lat sześciu zupełnie ukończyć.

Najpierwszą robotą musi być sprowadzenie na grunt wody słodkiej, na użytek robotników, co zarazem posłuży do przewozu materyałów i żywności. W pierwszym więc roku wykonanym być musi kanał pomocniczy wychodzący z Nilu pod Kairem, i którego jedno ramię pomiędzy jeziorem Timsah a zatoką Suez służyć ma na później do irrygacji całej doliny; drugie zaś pomiędzy tém jeziorem a Peluzą, tylko dostarczy wody słodkiej w czasie trwania robót około kanału głównego. Kanał ten został już zaczęty przez wice-króla Egiptu, który podjął się wykonanie takowego za ogólną sumę 9,000,000 franków. W tymże samym roku zajmie się kompania uorganizowaniem służby, urządzeniem kopalni materyałów i przysposobieniem potrzebnych machin i narzędzi. Wydatki roku tego w przybliżeniu przez Kommissyę obliczone zostały na 12,000,000, z których jak już wspomnieliśmy 9 kanał pomocniczy kosztować będzie.

Rok drugi ma być poświęcony na połączenie zatoki Suez z jeziorem Timsah a tém samym z Nilem przez zbudowany poprzednio kanał wody słodkiej, co pozwoli statkom z Nilu, przebiegać całą linię robót. Ośm maszyn do dragowania będzie użytych w zatoce Suez do wydrążania kanału podwodnego i przygotowania miejsca na fundamenta tam. Pozostałe maszyny, po wprowadzeniu wody w dolinę jeziora Timsah, dragować w niej będą kanał podwodny.—3000 robotników zajmie się kopaniem kanału w kotlinie jezior Gorzkich i na całej przestrzeni aż do zatoki Peluzkiej, zaczynając od zrobienia przekopu głębokiego na 1, m 50 poniżej poziomu zwykłych wód morza, w który wprowadzona woda posłuży za drogę komunikacyjną dla czółen na całej linii. Prócz tego zaczną się roboty około ustalenia piasków ruchomych, nawodnienia i użytkowania gruntów. Wydatek w przybliżeniu wynosić będzie 25,000,000 franków.

W trzecim roku zaczną się czynnie roboty około zbudowania podwodnego kanału i tam w Suez; kopanie poczynając od jeziora Timsah posuwać się będzie ku morzu Śródziemnemu, a uprawa i zasiewy gruntów użyznych, uzupełnią prace tego lata. Koszt wyniesie około 30,000,000 franków.

Czwarty rok przeznaczono na dalsze wykonywanie tychże samych robót. Prócz tego urządzenie portu w Timsach, bulwaru, szluz, tam i t. d. wymagać będzie jeszcze zajęcia 20,000 robotników i wydatku 33,000,000 franków.

Piąty i szósty rok posłuży do wykończenia robot zaezetych na całej przestrzeni z tą tylko różnicą że mniejsza liczba robotników będzie już dostateczną, znaczna bowiem części tej pracy może być wykonana za pomocą machin do dragowania. Kommissya ustanawia wydatek na każdy z tych dwóch lat po 31,000,000 franków.

Tym sposobem ogólny przewidziany wydatek na wykonanie wszelkich robót kanału morskiego dotyczących, wynosić ma podług kosztorysu 162,000,000 franków; do czego przyłączona summa 38,000,000 franków na nieprzewidziane wydatki stanowi ogólną ilość dwóch set milionów potrzebnych wedle zdania kommissyi dla doprowadzenia do skutku zamierzonego dzieła.

Taki jest projekt pomyślany przez Linant Beja, i z niektórymi małoznaczącymi zmianami po dokładnem zbadaniu miejscowości przyjęty i zatwierdzony przez kommissyę projekt, który obecnie wchodzi już w wykonanie i pozwala cieszyć się nadzieją, że wielkie to dzieło, prawdziwy zaszczyt naszym czasom przynoszące, wkrótce do skutku doprowadzonym zostanie.

Porównując trzy powyżej opisane projekta, zmuszeni jesteśmy przyznać pod każdym względem wyższość ostatniemu — i tak:

1. Długość kanału bezpośrednio projektowanego przez kommissyę wynosić będzie 120 kilometrów, kiedy tymczasem zboczenia p. p. Barrault i Talabot mają długości po 400 kilometrów. Jedynem usprawiedliwieniem takiego przedłużenia, byłoby wykazanie otrzymać się mogącej w ten sposób oszczędności, lub większego pożytku. W tym razie jednak obrotna ta, jak to już widzieliśmy, przeciwnikom kommissyi posłużyć nie może.

2. Kanał w linii prostej jest najłatwiejszym do wykonania. Przy szczegółowym opisie projektu wykazaliśmy, że zasada się on prawie całkowicie, na wykonaniu zwykłych robót ziemnych, które nie napotkają w naturze gruntu, żadnej wielkiej trudności i tylko w jednem, lub dwóch miejscach, dojdą do stosunkowo małoznaczącej głębokości 15 lub 16 metrów, gdy tymczasem oba zboczenia pociągają za sobą liczne i nader kosztowne budowy, których wykonanie i utrzymanie prawdziwem jest niepodobieństwem.

3. Kierunek prosty jest najnaturalniejszym — jak to już poprzednio wspomnieliśmy, postępuje on wzdłuż przecięcia dwóch pochyłych płaszczyzn, które w swém spotkaniu tworzą pewną zakłęśłość i naprowadzają na domysł, że kiedyś oba te morza tąż samą drogą z sobą naturalnie się łączyły.

4. Kierunek prosty jest jak najkorzystniejszy — posłuży ku pożytkowi ogólnemu Europy, Azji i Australii, równie jak i podniesieniu ruchu handlowego Egiptu.

Jedną z głównych myśli które przewodniczyły autorom opisanych przez nas bocznych kierunków, była chwalebna chęć powołania Egiptu do uczestnictwa w pożytkach jakie inne kraje przez otworzenie tej drogi otrzymują i dla tego to chciano przeprowadzić kanał przez wnętrze tego kraju, aby na całej jego przestrzeni życie i ruch obudzić; — kierunek jednak prosty odpowiada obu zadaniom najlepiej — żegludze międzynarodowej przedstawia drogę najwygodniejszą i najkrótszą; z drugiej zaś strony, za pomocą portu środkowego Timsah i kanału bocznego przeryniającego cały dolny Egipt, zapewnia dla handlu wewnętrznego więcej pożytku, aniżeli proste przeprowadzenie kanału morskiego przez wnętrze kraju przynieść-by mogło.

Uznając zatem wszelkie zalety, jakimi się projekt przyjęty przez najznakomitszych inżynierów naszych czasów odznacza, ośmielimy się zrobić kilka uwag, co do szczegółów, które jakkolwiek w niczem nie naruszają ogólnych zasług tej znakomitej pracy, zdają nam się jednak mniej dokładnie przez kommissyę rozpoznane i wymagające bliższego jeszcze rozpatrzenia.

Urządzenie ujścia kanału do morza Czerwonego jest właśnie jednym z punktów, które były przedmiotem długich rozpraw pomiędzy członkami kommissyi, a ostatecznie przyjęte rozwiązanie zdaje nam się niezupełnie odpowiadać potrzebom miejscowości. Kilkakrotnie powtarzane niwellacye przekonały o błędności mniemania, które podawało przeszło dziewięć metrów, jako różnicę poziomą zwykłych wód morza Czerwonego i Śródziemnego; — rzeczywista różnica dwóch tych poziomów wynosi około 0,<sup>m</sup>40. W podobnem położeniu, najprostszem rozwiązaniem trudności było dokończenie kanału od strony morza Czerwonego za pomocą szluz komorowych, co pozwoliłoby utrzymać wodę na całej przestrzeni kanału na wysokości poziomu morza Śródziemnego a przez to uniknąć prądów, jakie podobna różnica wysokości sprowadzić musi.

P. Liensson członek kommissyi, w miejsce powyższego rozwiązania, podał projekt, podług którego ujście kanału do morza Czerwonego ma być wolne, bez żadnej zapory; kotlina zaś jezior Gorzkich, przez którą kanał ma przechodzić posłuży za rezerwoar zubożniający różnicę wysokości poziomów i powstające ztąd prądy. W tym celu po wykonaniu połączenia morza Czerwonego z tą Doliną zapomocą kanału, zostanie ona napełniona wodą morską i kanał na dnie jej zapomocą machin wydragowany bez żadnych burt i brzegów. Rozległa ta kotlina zdolna jest przyjąć 660 millionów metrów sześciennych wody i tym sposobem zniszczyć skutki nierównej wód wysokości. Podług obrachowania p. Liensson prądy powstające w niektórych miejscach mogą osiągnąć szybkości 1.<sup>m</sup> 16 na sekundę. Projekt ten został ostatecznie przez kommissyę zatwierdzony, z tém nadmienieniem, że w miejscach gdzieby tego okazała się potrzeba, burty kanału mają być brukowane dla zabezpieczenia od uszkodzeń, któreby zbytnią szybkość wody spowodować mogła.

Rozstrzygnięcie w ten sposób trudności zyskało wiele pochwał ze strony tych, którzy w zbudowaniu szluz widzieli powiększenie kosztu, a następnie stratę czasu dla statków zmuszonych przez nie przechodzić. Naszem zdaniem zarzuty podobne nie są uzasadnione. Budowa szluz tych nie byłaby w stosunku swój użyteczności zbyt kosztowną, zwłaszcza iż mogłaby być uskutecznią w najprzychylniejszych okolicznościach, bo na zupełnie suchem miejscu; nie trzeba przytém zapominać, że system wolnego wejścia do kanału pociąga za sobą potrzebę brukowania burt na przestrzeni przeszło 20 kilometrów, co niewątpliwie w koszcie wyrówna wydatkowi na budowę szluz potrzebnemu.

Co do straty czasu łatwo takowej zapobiedz przez zbudowanie trzech szluz, jedna obok drugiej, z których pierwsza byłaby przeznaczona dla statków wchodzących, druga dla wychodzących z kanału, trzecia zastępowałaby jedną z poprzednich w razie jakiego uszkodzenia—czas zaś do przepuszczenia jednego okrętu potrzebny przy należytem urządzeniu służby nie powinien być dłuższy nad 15 minut; dwie więc szluzy w przeciągu jednej godziny dozwolić mogą przejścia ośmiu okrętom, a nawet więcej, statki bowiem mniejsze mogłyby być po dwa razem przepuszczane. Nadto dodać tu należy, że wrota szluzy, często mogłyby stać otworem, zarzut więc opóźnienia biegu okrętów przez szluzy, za zupełnie bezzasadny przytaczać można.

Z drugiej strony zamknięcie kanału za pomocą szluz i zbudowanie burt nieprzerwanych w dolinie jezior, niezaprzeczonąby oddało usługę dla żeglugi; — prądy mogące powstać w przeciwnych sobie kierunkach przy takim urządzeniu, nigdyby nie dosięgły nawet mierniej szybkości 0.<sup>m</sup> 15 na sekundę, przez co zupełnie bezpieczeństwo dla statków zostałoby zapewnionem. Przeciwnie, przy wejściu do kanału otwartem, przypuszczono szybkość prądów przeszło metr na sekundę wynoszącą, co przewyższa prędkość biegu wielu rzek znacznych np. naszej Wisły i Warty. Dziwić się należy, że kommissya nie widzi w tém niebezpieczeństwa, na jakie szczególnie większe okręta wystawione będą. Wiadomo jakie trudności napotyka żegluga na kanałach, zawsze stosunkowo dosyć wązkich, w miejscach gdzie dwa przeciwne prądy z sobą się spotykają; nadto statek który postępuje w kierunku biegu prądu, wtedy tylko może dowolnie sterować, kiedy szybkość jego biegu jest większą od szybkości wody; jakkolwiek więc przyjęty zostanie sposób holowania statków na kanale, zawsze co chwila mijać się one muszą wzajemnie, i to albo biegnąc z niezwykłą szybkością albo nie mogąc sterować należycie. Kommissya użyć zamierza do ciągnięcia okrętów, holowników parowych z zatopionym na dnie kanału łańcuchem; rzeczywistość ten jedynie sposób da się zastosować do miejscowości, użycie bowiem innego rodzaju statków holowniczych, uszkadzaćby musiało burty kanału, a ciągnięcie okrętów końmi pod skromnym klimatem Egiptu rzeczywistem jest niepodobieństwem. Holowanie po łańcuchu zatopionym, po licznych doświadczeniach okazało się sposobem nadzwyczaj dogodnym na wodzie stojącej, lub na bieżącej dla statków idących pod wodę; dla statków jednak postępujących z wodą, sposób ten jest nietylko niedogodnym, ale nawet niebezpiecznym. Holownik związany z swym łańcuchem nie może mieć wolnych ruchów, jak każdy inny statek, nadto potrzeba, aby w danym czasie był w stanie zwinąć długość łańcuchu odpowiednią szybkości prądu, powiększonej szybkością statków przez siebie holowanych, co przy prędkości biegu wody 1.<sup>m</sup> 16 na sekundę nadzwyczaj trudnem byłoby do osiągnięcia. Dodać tu należy, że zerwanie łańcucha nic nieznaczące w biegu pod wodę, — przy przeciwnym kierunku, prawdziwem może stać się niebezpieczeństwem, pociągając koniecznie za sobą uderzenie statków ciągnionych o holownik. Okoliczności powyższe zmusiłyby do użycia holowników tylko dla statków idących pod wodę, w przeciwnym

kierunku sama szybkość prądu zastępowałaby siłę ciągnącą, co jednak przy trudności w takim razie sterowanie byłoby bez zawodu źródłem niezliczonych wypadków. I rzeczywiście kanał na powierzchni wody ma mieć 100 metrów szerokości, na dnie zaś 40; przypuśćmy więc, że okręt na 120 metrów długi płynący z wodą, najmniej fałszywy ruch wykona, a niechybnie zostanie w poprzek kanału obróconym i zatamuje drogę dla innych statków dotykając swemi końcami obu wybrzeżów.

Nie chcemy wchodzić tu w dalsze szczegóły tego dotyczące przedmiotu, gdyż to cośmy powyżej powiedzieli, — zdaje się dostatecznym do poparcia zdania naszego, — żałować tylko przychodzi, że kommissya odrzuciła najdogodniejszy systemat z trzema obok siebie szluzami; zastrzeżono wprawdzie, że w razie potrzeby można nawet po wykończeniu kanału zbudować te szluzy, to jednak naprawienie pierwiastkowego błędu miałyby swoje niedogodności: i tak np. budowa szluz w wodzie byłaby mniej łatwa i kosztowniejsza niż na suchości. Koszt brukowania dna i burt kanału na przestrzeni 20 kilometrów okazałby się bezużytecznym. Nadto, i co jest rzeczą najważniejszą, potrzebaby przez całą długość zalaną już kotliny jezior gorzkich, usypać groble po nad kanałem; w takim bowiem razie rozlewanie się wody na tak wielkiej przestrzeni nie tylko bezużytecznym, ale nawet szkodliwym staćby się musiało, gdyż tak rozległa powierzchnia wystawiona na ciągłe parowanie, bezustannie wymagałaby zapelnienia ubytku wody, coby znowu wewnątrz kanału nowe *prądy* tworzyć musiało.

Rozpatrzenie się w raporcie kommissyi nastęrcza inną jeszcze uwagę. Ceny przyjęte za zasadę w kosztorysie zdają nam się w ogóle za niskie.

I tak podług umowy z wice-królem Egiptu, zapłata dzienna robotnikowi przy pracach ziemnych ustanowioną została na frank 1, wychodząc z téj zasady kommissya podaje następujące ocenienie kosztu wykopu jednego metra sześciennego ziemi na suchem miejscu:

Wydobycie $\frac{1}{10}$ dnia po 1 franku	—	0 fr,10
Nasypanie w skrzynki $\frac{1}{10}$ dnia	—	0 fr,10
Przeniesienie na średnią odległość $\frac{3}{7}$ dnia	0 fr,43	
Dostarczenie skrzynek	—	0 fr,64
		Razem 0 fr,07

We Francji cena metra sześciennego wykopu przewiezionego taczkami na 100 metrów odległości wynosi 0<sup>fr</sup>,61, ale użycie skrzynek noszonych na gło-

wie, o tyle musi być niedogodnym, że cena ta w dwójnasób podwyższoną zostanie. Dodać tu jeszcze należy, że jakkolwiek cena dnia roboczego rzeczywiście w umowie z wice-królem na 4 piastry, czyli 1 frank ustanowioną została, kompania jednak obowiązuje się dostarczyć robotnikom żywność należyłą, mieszkanie, i urządzić szpitale dla chorych, na co ma prawo zatrzymać  $\frac{1}{4}$  dziennéj zapłaty. Wprawdzie lud egipski przyzwyczajony jest do nadzwyczaj nędznego utrzymania, w zwykłym jednak stanie mało jedząc mniej jeszcze pracuje, a oddawna znaną jest ta prawda, że chcąc od robotnika wymagać należytej pracy, trzeba go odpowiednio żywić; albo więc kompania zmuszona będzie, żywić swoją roboczą armię na sposób europejski, co znacznie podwyższy wydatek, albo musi przestać na ilości roboty odpowiedniej zapłacie. Nad wykopaniem niewielkiego kanału Machmudisz, przez lat kilka pracowało 20,000 robotników egipskich; jeżeliby praca około kanału morskiego w tym samym stosunku postępowała, to niewątpliwie trwanie jej na dziesiątki lat liczyćby należało. Przypuściwszy nawet, że robotnik egipski dobrze żywiony, będzie w stanie wykopać dziennie 10 metrów sześciennych ziemi, to pozostaną jeszcze szczegóły opuszczone, lub niedokładnie ocenione w obrachowaniu kommissyi, jako to: przewóz robotników, mieszkania, żywność, połowa dziennéj zapłaty należna chorym, których liczba zapewne będzie dość znaczna; lud bowiem egipski nie jest przyzwyczajony do pracy, a roboty ziemne w tych stronach bardzo są dla zdrowia szkodliwe; w urządzenie szpitali i służby lekarskiej, zakupienie i naprawy narzędzi; w końcu dodać tu należy błąd popełniony w obrachowaniu, który polega na tém, że nie wzięto na uwagę przy transportach ziemi, znacznej różnicy wysokości, jaka pomiędzy środkiem ciężkości wykopów i nasypów zachodzi.

Wszystkie powyższe okoliczności naprowadzają nas na wniosek, że ceny robót ziemnych, jeżeli nie przewyższą to przynajmniej wyrównają zwykłym cenom francuzkim to jest od 1fr,50 do 1fr,80 za metr sześcienny.

Podobne błędy dają się napotykać i w innych szczegółach np. dzień kamieniarza liczono po 2fr,50, cieśli 3fr, mularza 1fr,75. Wartość metra sześciennego kamienia w jednej sztuce dostawionego o 147 kilometrów do portu Said 16fr,80; metr sześcienny muru wykonanego w tym porcie z kamienia ciosowego 24fr,66, z kamienia zwykłego 13fr,91 i t. d. Wszy-

stkie te ceny niewątpliwie są za niskie; najważniejszą jednak częścią są roboty ziemne i dlatego życzyć by należało, ażeby inżynierowie, którym te roboty powierzone zostaną, zajęli się naprzód wyszukaniem najoszczędniejszego sposobu wykonania takowych. Zdaje się że pozornie niskie ceny robotnika, żadnej oszczędności rzeczywiście nie przyniosą, przeciwnie użycie maszyn naturze tamecznego gruntu odpowiednich, a zmniejszenie natomiast liczby robotników, prawdziweby zapewniło korzyści. Rapport komisyyi nic nie wspomina o sposobie urządzenia robót na gruncie, o środkach jakich użyć należy w celu uniknięcia natłoku i zamieszania i t. d. są to jednak szczegóły, o których naprzód koniecznie pomyśleć należało, i które na koszt budowy znacznie wpłyną, zwłaszcza, że kopanie kanału szerokości równąjącej się dwunastu nasypom zwykłym kolei żelaznych, jest robotą w warunkach zupełnie wyjątkowych, która nie znajduje wzorów, za wskazówkę służyć mogących. Urządzenie np. kolei żelaznej na dnie kopiącego się kanału, mogłoby posłużyć do odwożenia ziemi wagonami do kotlin wyschłych jezior Gorzkich Meuzaleh i Timsah.

Inny sposób wykonania tych robót może nastęczyłyby maszyny do dragowania stosownie urządzone. Zaczynając kopanie kanału z dwóch końców i wpuszczając natychmiast w części wykopane wodę, maźnaby podobnych maszyn z korzyściami użyć, statki zaś z dnem otwieraniem służyłyby do odwożenia ziemi na pełne morze.

Uwagi powyższe odnosząc się do kilku podrzędnych szczegółów nie zmniejszają w niczem wartości pełnego zalet dzieła komisyyi,—zresztą mamy nadzieję, że przed stanowczem rozpoczęciem robót, dokładniejsze rozpoznanie okoliczności miejscowych spowoduje zmiany w pierwiastkowym projekcie i usprawnięliwi nasze widzenie rzeczy.

Na zakończenie powyższego opisu, wspomnimy tu o dwóch drogach żelaznych, które Anglja, nieprzychylna projektowi kanału morskiego, w zastępstwie takowego zbudować zamierzyła, spodziewając się przez to zmusić przedsiębiorców do zaniechania tego dzieła.

Pierwszą z nich jest kolej żelazna z Aleksandryi do Kairu, dziś już zbudowana i projektowane ję przedłużenie do Suez. Droga ta zapewniłaby rzeczywiście komunikacye pomiędzy Europą i Indjami, ułatwiłaby przewóz towarów i podróży przez międzymorze szybszy nawet niż przez kanał morski; niedogodności jednak połączone z tym systematem

nie pozwalają mu wróżyć wielkiego powodzenia. Przewóz towarów za pośrednictwem kanału łączącego dwa morza, tę najglówniejszą przedstawia dogodność, iż nie wymaga wyładowywania okrętów, które z ładunkiem, wziętym w którymkolwiek europejskim porcie, bez żadnej przerwy aż na miejsce przeznaczenia dochodzić będą mogły, przy pośrednictwie zaś kolei żelaznej inaczejby się rzecz miała.

Przypuśćmy np. że okręt z ładunkiem tysiąc beczek wynoszącym zawija do portu w Aleksandryi. Trzeba zacząć od wyładowania owego miliona kilogramów czyli prawie 2,225,000 naszych funtów, towaru, następnie wpakować je na ogromny pociąg przeszło stuwagonowy: po nadejściu takowego do Suez, zaczyna się na nowo wyładowywanie na okręt, który trzebaby, żeby już gotowy oczekiwał w porcie na przybywające towary. Nie trudno przekonać się, jaką stratę czasu podobne urządzenie pociąga za sobą; nadto jeżeli towary są delikatne, łatwo ulegające zniszczeniu, które trzeba chronić od zamoczenia, poplamienia, lub potłuczenia, kilkakrotnie powtarzane ładowania i wyładowywania, przenoszenia z miejsca na miejsce, muszą im grozić zniszczeniem, lub przynajmniej uszkodzeniem. Zresztą, jeżeli towar jest przewożony przez całą drogę na jednym statku, kapitan jest osobiście odpowiedzialnym za niedostawienie go w należytem stanie; lecz kiedy tenże sam towar przechodzi z rąk do rąk, tak że dopiero od drugiej, lub trzeciej osoby właściciel go odbiera, odpowiedzialność ta znika sama przez się, bo nie ma prawie sposobu udowodnienia, kto stał się winnym zrządzonej szkody.

Drugą drogą mającą współzawodniczyć z kanałem, jest kolej żelazna Syryjska, przy której roboty zostały już rozpoczęte. Kolej ta wychodzi będzie z starożytnej Selencyi na wybrzeżu syryjskiem, omija Liban i kończy się w Byl, na prawym brzegu Eufratu. Długość tej linii wynosić będzie około 250 kilometrów. Następnie mają być wykonane roboty potrzebne do usplawnienia rzek Eufratu i Tygru i połączenia tym sposobem kolei z odnogą perską.

Niedogodności, któreśmy wykazali poprzednio mówiąc o kolei żelaznej z Aleksandryi do Suez, pozostają też same z tą tylko różnicą, że na tej drodze przybywa jedno więcej ładowanie i wyładowywanie; po rzekach tych bowiem nawet po wykonaniu zamierzonych bardzo kosztownych robót, okręta morskie chodzić nie będą mogły, towary więc wpakowane na lekkie statki rzeczne, będą musiały być przekładane przy wejściu do morza na okręta większych rozmia-

rów, które je dopiero na miejsce przeznaczenia dowiozą<sup>1)</sup>.

Kanał więc morski współzawodnictwa dwóch tych dróg w żaden sposób obawiać się nie może—pozosta-

<sup>1)</sup> Trudności i ogromne koszta, jakichby uszlawnienie Eufratu wymagało, zdaje się, iż spowodowało inżynierów angielskich do zmiany projektu, w miejsce więc robót około koryta téj rzeki, zamierzają doprowadzić kolej, aż do odnogi perskiej, lecz w takim razie długość téj linii

nie on zawsze jedynem rozwiązaniem wielkiego zadania i mamy niemyślną nadzieję, że pomimo napotykaných przeszkód, wkrótce ujrzymy znakomite to dzieło szczęśliwie do skutku doprowadzoném.

stałaby się tak znaczną, iż opłata towarów przez nią przechodzących, wyrównać, albo przewyższyłaby musiała koszt całkowity na staréj drodze koło przylądka Dobrej-Nadziei ponoszony.

*Stan. Jarmund.*

## PODRÓŻ DO AFRYKI ŚRODKOWEJ

DOKTORA EDWARDA VOGEL (1853—1856).

Wielka wyprawa naukowa do Afryki środkowej przedsięwzięta w roku 1850 przez Jamesa Richardson, doktora Barth i innych uczonych, poniosła bolesną stratę w skutek śmierci przywódcy wyprawy Jamesa Richardson i doktora Overweg. Pozostały w Afryce doktor Barth, lękając się aby świetne nadzieje jakie szczęśliwy początek wyprawy słusznie rokował, nie spęłzyły na niczem, pisał kilkakrotnie do ministerjum angielskiego spraw zagranicznych, prosząc o przysłanie astronoma, opatrzonego w dobre narzędzia matematyczne. Wybór rządu angielskiego padł na dwudziestodwuletniego młodzieńca, uczonego Edwarda Vogla.

Edward Vogel urodził się 7 marca 1829 r.; ojciec jego doktor Karol Vogel jest dyrektorem obserwatorium lipskiego, znanym w świecie uczonym z ważnych prac astronomicznych. Młody Vogel otrzymał pod okiem ojca staranne wychowanie. W dwudziestym roku życia został doktorem filozofii i był nie tylko dobrym matematykiem i biegłym astronomem, ale nadto celował jako zdolny botanik i geolog doświadczony. W owym czasie był w Londynie adjunktem sławnego astronoma Hind.

Kilkakrotnie już wyraził on życzenie zwiedzenia okolic nieznaných; pomimo zaszczytnego stanowiska jakie zajmował w świecie przez swą naukę i stosunki, zawsze był gotów porzucić wszystko, byle zadość

uczynić pożerającą go żądzy wiedzy i odkryć. To też z najwyższą radością przyjął propozycje rządu angielskiego. Lord John Russel, podówczas minister spraw zagranicznych, polecił mu złączyć się z doktorem Barth przy jeziorze Cad (Tsad), i dodał mu do pomocy kaprała Church i żołnierza Swenney z korpusu królewskiego inżynierów-górników.

W pierwszych dniach marca, Vogel przybył ze swym orszakiem do Tripolis, gdzie zabawił pewien czas, oczekując na przybycie skrzyń z narzędziami i zapasami podróznymi.

Dnia 28 czerwca 1853 roku, Vogel przyłączył się do karawany Hadzi-Achema, synowca sułtana Barnueńskiego, i po czterdziestu dniach podróży przez pustynię, przybył zdrowo do miasta Murzuku. Łątwo się domyślić jak ciężkie znoje przenosił: skwary dochodziły do 50 stopni na słońcu, a do 38 w cieniu. Wodę napotymano rzadko i to szkaradną, co dwa tygodnie natrafiano studnię i musiano poprzestawać na wodzie przechowywanéj w mieszkach skórzanych. „Ten tylko, kto skosztował téj wody, powiada dr. Vogel, może mieć wyobrażenie, jakim się ona staje obrzydliwym płynem.” Wszelako nieznośne trudy i niewygody nie przeszkadzały naszemu podróżnemu czynić spostrzeżenia wszelkiego rodzaju: oznaczył dokładnie położenie jeograficzne miejsc i ich wzniesienie nad poziom morza, zanotował zja-



wiska meteorologiczne i zebrał próbki miejscowej botaniki i mineralogii, które przesłał do ministerium spraw zagranicznych w Londynie.

Zmuszony dłuższy czas zabawić w Murzuku, Vogel miał sposobność zebrać bardzo dokładne wiadomości statystyczne o kraju Fezan. Rejencya ta dzieli się na 15 powiatów, z których najrozleglejszy jest Gatrone, a Bondzem najbardziej ku północy odległy. W powiatach tych jest 68 miejsc zamieszkałych przez 10,864 rodziny fezańskie i 1025 rodzin arabskich, co razem czyni 54,000 ludności. Murzuk, największe miasto rejencji, liczy 2800 mieszkańców i 650 niewolników; ma załogę turecką 240 żołnierzy z czterema działami: 6200 konnicy nieregularnej utrzymuje porządek we wszystkich punktach rejencji. Sokna, najznacniejsze miasto po Murzuku, liczy 2500 mieszkańców.

Z całej rejencji Fezan, sułtan pobiera rocznej daniny 659,500 piastrów tureckich (około 400,000 złp.); prócz tego każde miasto płaci rocznie 7500 piastrów za to że mu służy prawo wybierania Kadego, oraz 11,820 piastrów zamiast wszelkich podatków niestałych.

Handel miasta Murzuk przynosi rocznego dochodu w przecięciu do 500,000 złp.; największe bogactwo kraju stanowi sól, wywarzana z licznych jezior słonych, pokrywających terytorium fezańskie. Dawniej prowadzono tu znaczny handel senesem, obficie rosnącym w Fezanie południowym i w kraju Tibbu, ale dziś bardzo podupadł z przyczyny podwyższonych ceł. Wysełają ztąd do Bornu cynk, służący do wyrobu naramienników i pierścionków któremi tameczne kobiety ozdabiają swe ręce i nogi. Żółta ambra jest także przedmiotem handlu z Sudanem.

Najwięcej niewolników sprowadzają tu z Bornu i Sudanu. Doktor Vogel zauważył między innymi trzy dziewczynki czternastoletnie, na których licach malowała się głęboka melancholia. Prosiły go aby je kupił, a gdy im oświadczył, że jego religia nie pozwala mu zajmować się handlem tak haniebnym, odpowiedziały mu z westchnieniem, że widać religija ta jest lepszą od mahometanizmu.

Dnia 19 października dr. Vogel opuścił Murzuk udając się przez wielką pustynię ku jezioru Cad. Zatrzymawszy się kilka dni w Gatronie spotkał ciągnącą karawanę z czterystu do pięciuset niewolnikami; po większej części były to dziewczęta i chłopcy dwunastoletnie, kupione w Bornu. Przewodnicy ich Tibbu, każą im dźwigać na głowach ciężary kilkadziesiąt funtów ważące, przez co mniej biorą w dro-

gę wielbłądów: w istocie, na całą karawanę było ledwie trzydzieści pięć sztuk tych zwierząt. Smutny obowiązek zastępowania bydła jukowego, sprawia że biedni niewolnicy prawie wszyscy są łysi: niektórzy nawet mieli mocno pokaleczoną skórę z wierzchu czaszki w skutek ciągłego o nią tarcia ciężarów. Niewolnicy ci noszą na szyi obróże od których idący rzemień przywiązany mają do ręki prawej. Gdy karawana zatrzyma się na odpoczynek, niewolnicy zdjąwszy juki z siebie i wielbłądów, zabierają się do tłuczenia w moździerzach ziarna gusuli na mąkę, którą następnie rozczyniają wodą, zaprawiają solą, i ugotowawszy pożywają za cały pokarm.

Ponieważ w Bornu tanio można nabyć niewolników, trudno wyobrazić sobie do jakiego stopnia dochodzi obojętność ich panów na życie ludzkie. Doktor Vogel spotkał na drodze człowieka wyschłego jak skielet i literalnie umierającego z głodu. Trochę bulionu orzeźwiło biedaka; wtedy był w stanie opowiedzieć, raczej na migi niżeli słowy, jako karawana zostawiła go na drodze bez pokarmu, dla tego że z powodu ran w nodze nie mógł za nią zdążyć; wprawdzie przewodnicy chcieli go wyleczyć bijąc kijmi, ale zwątpiwszy o skuteczności tego środka, porzucił go na pastwę dzikiego zwierza. O kilka mil dalej Vogel znalazł trupa niewolnika; na wpół pożartego od szakali: niestety, w pustyni afrykańskiej nie łatwo zbłądzić, gdyż stacje drożne gęsto oznaczone są smutnymi szczątkami ludzkiemi.

Dr. Vogel trzydzieści pięć dni znajdował się w pustyni podróżując do jeziora Cad; często po całych tygodniach nie napotykał studni, a niekiedy przez kilkanaście dni musiał obywać się garstką ryżu, kaszy lub daktyłów.

W dniu 26 listopada przybył do Aszenummy, w kraju Tibbu, gdzie miał sposobność poznać sułtana Tibbów. Jego czarna mość sułtańska raczył przyjąć jego wizytę: Vogel zastał go w glinianej chałupie pokrytej gałęzmi palmowemi; ubrany w bluzę niebieską i brudny zawój na głowie siedział na ławie trzcinowej w towarzystwie dwóch kóz i konia. Dr. Vogel postąpił ku niemu, i ku wielkiemu zdumieniu Tibbów obecnych na tej audyencji, podał sułtanowi rękę na znak, że bynajmniej nie uważa go za wyższego od siebie. Zapytywał go o zdrowie i nawzajem musiał zaspokoić troskliwość sułtana o stan zdrowia królowej angielskiej. Nasz podróżny ofiarował mu burnus, kaftan czerwony, sztukę muślinu, czapkę czerwoną, dwie brzytwy i kilka sztuk szarego perkalku. Sułtan Tibbów niechcąc być dłużnikiem swojego

gościa, niezwłocznie posłał do jego namiotu dwanaście mis gotowanego ryżu i tłustego barana.

Vogel sam siedział w namiocie, gdy kilkanaście kobiet korzystając z nieobecności sług jego, przybiegło, chcąc „przypatrzeć się zbliska człowiekowi białemu.” Z trudnością opędził się ich nieprzyzwoitej ciekawości, dając każdej po kilka igieł do szycia, co je uradowało niezmiernie.

Piękności te są czarne jak węgiel; przez zalotność obficie maszczą się oliwą, co jeszcze ciemniejszą czyni ich cerę; dla podniesienia wdzięków noszą w lewym nozdrzu obrączki koralowe. Włosy splatają w mnóstwo drobnych warkoczy z których tłuszcz ścieka im po twarzy.

Z Aszenummy karawana udała się do Bilmy, głównego punktu handlowego w pustyni. W bliskości tego miasta doktor Vogel zauważył źródło zwyczajnej temperatury, ale pieniące się nieustannie jakby wrzały jego wody.

Z Bilmy do jeziora Cad przebywać należało rozległą pustynię, rzadko gdzie mającą studnie. Przy studni Agadem kończy się rozległa płaszczyna, i droga zaczyna się spuszczać ku łożysku jeziora Cad. Wreszcie dnia 13 stycznia 1854 r. po długiej i uciążliwej podróży przez pustynię, podróżny nasz przybył do Kuka czyli Kukana. Wszyscy jego towarzysze rozchorowali się na gorączkę, on jeden tylko zdrowo i szczęśliwie zniósł wszystkie niedostatki.

Sułtan Kuki dowiedziawszy się o zbliżaniu do swego państwa doktora Volga, wysłał daleko na jego spotkanie 150 jeźdźców, brat zaś jego na dwie mile przed miastem oczekiwał go na czele 3000 żołnierzy.

Jeszcze będąc na stacyi Agadem, Vogel dowiedział się od kurjera że rewolucya wybuchła w Bornu i że Abd-el-Raman odjął władzę swemu bratu szeikowi Omarowi. Nie odrzeczy będzie podać tu kilka szczegółów o tej rewolucyi, aby poznać czytelników z wypadkami politycznymi Afryki środkowej.

Sułtan Bornu Omar, starszy syn El-Kanemi, podobnie jak dawni królowie francuscy w dynastyi merowingów, zdał całą władzę na mera pałacowego, wezyra Hadzi-Beszyra. Ten w krótkim czasie w taką wbił się pychę że począł samowładnie rozkazywać braciom i innym krewnym sułtana. Wszystko ulegało jego woli wyniosłej. Ale Abd-el-Raman, brat sułtana, człowiek odważny i energiczny, niemógł ścierpieć pychy faworyta, opuścił dwór i schronił się do Guzeby, po krwawem zajściu jakie miało miejsce

między jego niewolnikami i sługami Hadzi-Beszyra. Wezyr ścigał go ze znacznem wojskiem i wezwał do poddania się. Abd-el-Raman oświadczył że przystanie na to, jeżeli jego przeciwnik przysięgnie na Koran, że mu żadnej krzywdy nie wyrządzi. Hadzi-Beszyr niechciał przysięgnąć i rozkazał strzedz stawu przed miastem, aby żaden niewolnik Abd-el-Ramana, nie przyszedł czerpać wody. Wieczorem, słudzy Abd-el-Ramana zjawili się u stawu; walka wszczyta się krwawa, Abd-el-Raman przybiega na pomoc swoim a żaden z żołnierzy Hadzi-Beszyra nie śmie podnieść ręki na brata sułtańskiego, dawnego wodza swojego. Hadzi-Beszyr widząc że rozkazy jego nie są wypełniane i że wojsko go opuszcza, powraca nagle do Kuki, naprędce kładzie na wielbłądy co ma najkosztowniejszego i zamyśla uciekać, ale nastąpiła pora deszczów (w listopadzie 1853 r.) i ulewy zmusiły go do powrotu. Tymczasem Abd-el-Raman przybywszy do Kuki skłonił brata do ustąpienia z tronu. Omar, człowiek charakteru słabego i szanowany jedynie dla znakomitej nauki i świętości życia, nie stawiał mu oporu. Wtedy zrabowano dom Hadzi-Beszyra i między innymi bogactwy których zabrać z sobą nie zdążył, znaleziono trzysta tysięcy burnusów i czterdzieści tysięcy dolarów. Nowy sułtan wysłał do zbiega wezyra własnego jego syna z zawiadomieniem, że może bez obawy powrócić do Kuki. Ponieważ kraj cały był zalany i o ucieczce niepodobna było myśleć, Hadzi-Beszyr, choć nierad, powrócił. Na zajutrz sułtan Abd-el-Raman wezwał go do siebie, wyrzucił mu niegodne jego postępowanie i we własnych oczach kazał go udusić. Pozostałe po nim sto trzydzieścioro dzieci (80 synów i 50 córek) gorzko oplakiwały nie tak stratę ojca, jak wielkiego majątku, który szeik skonfiskował<sup>1)</sup>.

Otóż nowy ten sułtan Bornu był bardzo grzeczny dla doktora Vogla, obsypał go podarunkami w bydle, zbożu, miodzie, maśle i t. d.; ale chociaż wycieczkom doktora przeszkód nie stawiał, niemniej pewne okazywał niedowierzanie co do istotnego celu jego poselstwa naukowego.

Miasto Kuka przez kilka miesięcy było główną kwaterą naszego badacza; ztąd zapuszczał się na

<sup>1)</sup> Nie długo trwał tryumf Abd-el-Ramana. Chciał on wygnać swego brata do Dikoa, ale Omar ocknąwszy z le-targicznej bezczynności, zebrał wszystkich malkontentów i na ich czele otoczył go przy Aid-el-Kabir, zabrał do niewoli, i zabić kazał. Tak więc szeik Omar w początkach grudnia 1854 r. znowu objął władzę.

kilkanaście mil odległości w promieniu, mając do pomocy jednego górnika; zwiedził jezioro Cad i rzeki do niego wpadające; czynił mnóstwo spostrzeżeń astronomicznych i meteorologicznych; zebrał wreszcie najzupełniejszy zbiór historii naturalnej tych okolic. Właściwie mówiąc, jezioro Cad jest rozległym bagnem, żywiącem émy much jadowitych, które zawzięcie napastują ludzi i konie. Po brzegach jeziora żerują słonie i konie rzeczne. Vogel często widział ich stada z 20 do 30 sztuk złożone. Lwy są rzadsze w tych okolicach; za to więcej jest lampartów, dzików, bawołów i antylop różnych gatunków.

Kuka leży o dwie mile na zachód od jeziora, wzniesiona 16 zaledwie łokci nad jego poziom. Cały kraj ma nader smutną fizjonomję; jak daleko sięgniesz okiem, wszędy widzisz tylko krzaki *Asclepia gigantea*; pomimo najusilniejszych poszukiwań, doktor Vogel zebrał zaledwie 75 różnych roślin i to prawie zeschłych, gdyż przybył w te strony we trzy miesiące po porze deszczowej, a w miesiącu lutym termometr okazywał więcej niż 38 stopni ciepła. Nie ma tu ani drzewa, ani krzewu bez cierni; lasy rozpoczynają się o sześć mil na północ od Kuki i ciągną się wzdłuż rzeki Komadugu Waube: składają się one głównie z akacyi, tamaryndy i palmy. Największą uwagę naszego podróżnego zwróciło drzewo *Ficus elastica*, dostarczające, jak wiadomo, kauczuku. Napotykasz je wszędzie: przed domami, na podwórzach, na placach publicznych; pień drzewa gruby jest do półtora łokcia w średnicy, u szczytu zakończony koroną liści, mającą 36 łokci średnicy. Z jarzyn rosną tu tylko pomidory i cebule, z owoców dynie i arbuzy. Można tedy powiedzieć, że Bornu ze wszystkich krajów strefy zwrotnikowej jest najuboższy w roślinność. Główny pokarm mieszkańców stanowią mięsowa, które tu są obfite i tanie. Za dwie igły kupisz kuraka, za złotówkę tłustego barana a za talara dostaniesz rosnącego wołu. Ale doktor Vogel i jego towarzysze karmili się głównie drobiem, gdyż inne mięso jednej doby nie uchowa się od zepsucia. Grunt jest bardzo żyzny i zdolny do wszelkiego rodzaju uprawy, ale mieszkańcy są leniwi i czują wstręt do regularnej pracy. Indygo, bawełna i melony rosną dziko, kukurydza i pszenica setny plon wydają, ryż jest wyśmienity ale tak rzadki, że sułtan tylko w znak wielkiej łaski rozdaje go potrosze.

Mieszkańcy Bornu, zamiast zajmować się rolnictwem, uważają za daleko korzystniejszy przemysł, wpadać do krajów sąsiednich i porywać niewolników, zwykle małe dzieci do lat dwunastu, które następnie

sprzedają handlarzom arabskim i tibbu lub wymieniają na towary których niezbędnie potrzebują jako to: perkaliki, burnusy, sól, cukier i t. p. Na targach chłopiec kosztuje do 30 a dziewczyna do 40 złotych.

Kuka składa się z dwóch osobnych miast, otoczonych murem w kształcie kwadratu i rozdzielonych przestrzenią 700 łokci, niby rozległym przedmieściem łączącym dwa miasta. W obydwóch rozrzucone są bezładnie domki gliniane, chaty okrągłe, pokryte słomą, otoczone podwórkami i ogrodami, które opasuje niziutki mur lub palisada ze trzciny. Od wschodu ku zachodowi ciągnie się długa ulica, wysadzona drzewem; przecina obydwie miasta i pośredniczące przedmieście i łączy pałac sułtana z placem targowym. Zowie się ona *Dendal* i jest zwykłym miejscem przechadzki dla mieszkańców Kuki.

Kobiety Kuki dokładają wszelkich starań, aby ich skóra hebanowa podobnie jak piękności Tibbu, połyskiwała od tłustości. Splatają włosy w drobne warkoczki, które z wielką sztuką związują u szczytu głowy; tak utrefione wyglądają jakby nosiły bermyce dragońskie. Zęby przednie malują na czerwono, a boczne na czarno, i gdy otworzą usta, zda ci się widzieć w nich szachownicę.

Dla uzupełnienia swój tualety, malują sobie twarz i ramiona na niebiesko. Trudno sobie wyobrazić jak to piękny przedstawia widok.

Muchy nie tyle wprawdzie dokuczają w domach Kuki ile nad brzegami jeziora Cad, wszelako jest ich i tam pełno, ale szczęściem mają zawzięte nieprzyjaciółki w małych jaszczurkach tysiącami biegających po murach i z wielką zręcznością chwytających te owady.

Mrówek zwyczajnych i białych jest mnóstwo niezmiernie; te ostatnie niszczą wszystkie rzeczy które nie są szczelnie zamknięte: dostały się i do zielnika doktora, i na wielkie jego zmartwienie, nadpsuły owoce jego mozolnych prac w pustyni.

Nie mniejsza obfitość jest węzów jadowitych, niedźwiadków i ropuch olbrzymich. Chrząszczy nie wiele; Vogel widział ich dwie tylko odmiany i kilkanaście gatunków motylów.

Oddawna istnieje zwyczaj w kraju bornueńskim, że sułtani, w pewnych epokach, wyprawiają się na polowanie na niewolników w ościennych krajach ku południowi. Dnia 27 marca Vogel przyłączył się do takiej wyprawy szejka Abd-el-Ramana. Armja składała się z 2000 jeźdźców, 3000 wielbłądów i 4000 wołów, które prowadziło 1500 pieszych członków wyprawy. Z Kuka wojsko skierowało się na południe,

udając się przez Dikoa, Delaj, Wasa, Adzeu do kraju Muzgów, pod 10 stopniem szerokości północnej. Muzgowie przestrzeżeni o grożącym niebezpieczeństwie schronili się na południe, pozostawiwszy w swych wioskach trochę ziarna gafuli i tytoniu. Nie mogąc stawić czoła w otwartym polu napadali z nienacką na maruderów armji bornueńskiej i zabili jęj do sześciuset ludzi. Nad brzegami błotnistej jeziora Tubori, Abd-el-Raman dotarł nakoniec głównego siedliska Muzgów i ich trzód. Muzgowie z drugiej strony jeziora mając głębokie wody między sobą i nieprzyjacielem sądzili się bezpiecznymi; ale wojsko bornueńskie, chociaż z ogromną stratą, przebyło w pław jezioro i bez wielkiego oporu zabrało 1500 niewolnika i 2000 bydła. Po tak szczęśliwym początku, armja ciągnęła wzdłuż rzeki Serbewel czyli Arr, i po dwóch dniach marszu, trafiwszy na bród, przeprowała się na stronę wschodnią. Wtedy wpadłszy z nienacką na ludność bezbronną, Abd-el-Raman w kilku godzinach zabrał 2500 niewolnika i 4000 wołów. Że to było w początkach maja i zbliżała się pora deszczowa, Abd-el-Raman poprzestał na tych łupach i dał rozkaz powrotu. Dr Vogel uprzedził go dziesięciami dniami, niemogąc znieść okropnego widoku, jaki miał nieustannie przed oczyma.

W istocie niepodobna wyobrazić sobie coś straszniejszego i sroższego nad postępowanie bornueńczyków z nieszczęśliwymi niewolnikami. Pewnego dnia przyprowadzono trzydziestu sześciu więźniów do namiotu jednego z naczelników, sąsiadującego z doktorem Vogel: wieczorem nasz podróżny usłyszał dziwną wrzawę; wyszedłszy z namiotu zobaczył, że każdy z więźniów był najokropniej pokaleczony tępym nożem. Podcinano im lewe nogi, i prawe ręce. Nieszczęśliwi ci leżeli na ziemi oczekując, rychło z wpływem krwi śmierć uwolni ich od mąk okropnych. Oprawcy oszczędzili z nich trzech tylko, a to iżby odciąwszy im ręce prawe, wysłać w strony rodzinne z uwiadomieniem o losie jaki spotkał ich braci. Daremne okrucieństwo: dwóch z nich skonało a trzeci nazajutrz leżał na polu rzezi, z twarzą oszpeconą od bólu i okiem zagasłym, grube łzy zwolna spływały mu po twarzy; i on oczekiwał dobroczynnej śmierci. A jednak straszny ten epizod nie jest jednym z najokropniejszych, jakich był świadkiem naocznym nasz podróżny. Co wieczór ulewna burza przemieniała ziemię w błotnistą kałużę a nieszczęśliwi więźniowie, bez odzieży, bez okrycia, leżeli na wpół zalani wodą. Vogel dał jednej kobiecie która zległa w drodze, koszulę własną do okrycia niemowlęcia; ale za-

ledwie się odwrócił, jęj pan zażądał koszuli jako własności swojej. Skutkiem niegodziwego obchodzenia się, i nędzy wszelakiej, krwawa biegunka i ospa do tego stopnia jest zabójczą, że na 4000 więźniów, za ledwie 500 przybyło do Kuki. Po większej części były to dzieci nie mające lat dwunastu: ośmioletniego chłopca można było wtedy nabyć za pięć złotych.

Okolice, które w czasie tej wyprawy zwiedzał Vogel, są płaskie i lesiste. Nie dochodząc kraju Muzgów ciągną się niezmiernie bory, zamieszkałe od słońi. Najwięcej rosną tam drzewa palmowe, liczne gatunki figi i krzewów ciernistych. Tytuń, wprowadzony zapewne przez arabów, gafuli i jedwab' należą do płodów miejscowych.

Mieszkańcy Muzgo są najzupełniej dzicy. Ubiory kobiet prostotą swoją przypominają strój matki Ewy; noszą przepaski dość wązkie za które zatykają gałęzie z liśćmi. Ale przez dziwną sprzeczność, której objaśnić nie myślimy, gałązki te okrywać winny tylko tylną część ciała. Dr. Vogel opowiada w jednym ze swych listów, że przyprowadzono do obozu kobietę, która w zapale walki zgubiła przepaskę; za ledwie przybyła do obozu, wnet usiadła pośpiesznie na ziemi i ani proźby, ani groźby, ani przemoc, nie zdołały jęj skłonić do powstania, tak dalece lękała się niedelikatnych spojrzeń swoich zwycięzców. Dr. Vogel, przychodząc jęj w pomoc, podał jęj gałązkę palmową, którą przyjęła z radością i natychmiast przyczepiła z tyłu siebie; poczem spokojna na sumieniu, iż uczyniła zadość wszystkim wymaganiom wstydu, podniosła się i poszła za swoim panem.

Mężczyźni chodzą zupełnie nadzy. Płeć piękna przekłuwła sobie wargę górną lub dolną, lub też obydwie razem i kładzie w otwór patyczek, który stopniowo coraz grubszym zastępuje. Dziwaczna ta ozdoba szkaradnie szpeci twarze, to też kobiety mało są cenione jako niewolnice; przeznaczają je wyłącznie do noszenia drzewa i wody. Kobietę muzgijską kupić można za dwadzieścia złotych; dzieci stosownie do wieku, kosztują od pięciu do dwunastu złotych. Mężczyźni noszą niekiedy fartuszki skórzane podobne jak górnicy angielscy pracujący w głębokich galerjach. Za broń służą im dzidy z ostrzem żelaznym, ale pospoliciiej szpiczaste kije i pałki. Główny ich pokarm stanowią ryby i gafuli; do najdelikatniejszych przysmaków liczą myszy i żaby; lubią także psa piezzonego. Do opilstwa czują wielką skłonność; często w jednej chacie stoi kilka ogromnych beczek tego piwa, które nazywają *budza*. Prócz zboża uprawiają tytuń; każda kobieta pali fajkę ze słomia-

nego cybuszka. Nie masz chaty w którejby nie leżało kilkadziesiąt funtów tytoniu. Chaty te są okrągłe, otoczone murem na dwa łokcie wysokim; dach w kształcie ostrokągu jest gęsto zbity i nie przepuszcza deszczu. Zwykle cztery do pięciu chat tworzy osobną gromadę, otoczoną stodołą; w której leżą zapasy ziół, zboża, słomy, drzewa, wszystko w wielkim porządku. Każdy mężczyzna ma cztery lub pięć żon i odpowiednią liczbę dzieci, które sprzedaje bez skrupułu, gdy mu zabraknie żywności.

Dnia 4 grudnia 1855 roku doktor Vogel wysłał do lorda Clarendon list ostatni jaki od niego otrzymano w Europie. Między innymi pisze: „Gdy dostatecznie uporządkuję moje spostrzeżenia, niezwłocznie je wam pošlę... Następnie wyprawię się do Fittri a może dostanę się do Wara. Jeżeli za powrotem swoim w maju, niezastaną depeszy z Murzuku, udam się w stronę zachodnią Afryki i z pomocą Bożą, na początku roku 1857 powrócę do Europy, bądź drogą z Salia do Ebo, bądź też ujściem rzeki Kamerones; mam nadzieję zastać tam okręt, który mię przewiezie do Fernando-Po. Gdybym jednakże w ciągu roku przyszłego otrzymał zapas towarów wartości 3000 do 4000 złotych, gotów byłbym puścić się na dalsze wycieczki, gdyż nie pragnę tak prędko opuszczać Afryki środkowej, i uczynię to wtedy dopiero gdy stracę wszelką nadzieję nową zapomogi<sup>1)</sup>.”

Od czasu otrzymania tego listu, rząd angielski nie wie niczego więcej o losie doktora Vogla: tyle tylko jest pewnem, że w pierwszych miesiącach roku 1857 rozeszła się pogłoska w Bornu, jakoby nasz podróżny, w czasie pobytu w Waday dokąd wyprawił się z Kuki, skazany został na śmierć przez tamecznego sułtana, który pomścił się na nim za skonfiskowanie przez ajenta angielskiego w Tripolis, towarów przywiezionych z Waday.

Wkrótce potem smutną tę wiadomość potwierdził w Kairze Sidi Mohamed-el Kingueti, poseł sułtana Darfur, ale ten inny powód śmierci naznaczał. Doktor Vogel pod przybranem nazwiskiem Abdal-Waheda przybył do Waday i był jak najlepiej przyjęty przez wezyra Simaleka, który ułatwił mu podróż do Wara. W mieście tém świetnie podejmowany przez sułtana Mohameda Szeryfa, Vogel posunął swą śmiałość aż do zrobienia wycieczki na górę świętą, za miastem leżącą a do której przystęp

<sup>1)</sup> List doktora Edw. Vogla do lorda Clarendon. Patrz *Proceedings of the Royal Geographical Society* vol. 11 n. 1. styczeń 1858, str. 30.

wzbroniony był samym nawet muzułmanom; za zuchwalsstwo takie został uwięziony, stawiony przed sułtanem i bezzwłocznie śmiercią ukarany.

Pierwsza wiadomość nie zdaje się być wiarogonną, zważywszy na znane łakomstwo i chciwość sułtana Waday. W istocie monarcha ten miał wszystkie powody zachować przy życiu swojego więźnia, aby otrzymać zań znaczny okup.

Co do drugiej wieści, sam jej początek jest podejrzany, jeśli zważymy na stosunki wzajemnej emulacji istniejące między sułtanami Darfur i Waday.

Więcej zasługuje na wiarę sprawozdanie uczonego bawarczyka, barona Neimans który w ostatniej podróży swojej do brzegów Arabii, między czerwcem i listopadem 1857 r., był przebrany za araba z Dżedda w chwili wyruszania karawany do Mekki. Uchodził on za pielgrzyma tunetańskiego i rozpytywał się mieszkańców Waday i krajów okolicznych, utrzymując że chce wrócić do swojej ojczyzny przez Darfur, Waday, Bornu i Murzuk. Jeden z podróżnych, szeik Abdalla Auwad, oznajmił mu że Abdel-Wahed (dr. Vogel), w istocie został uwięziony za to, że chciał wejść na górę świętą; ale chociaż siedzi w zamknięciu, na śmierć skazanym nie został. Dwóch murzynów z Waday potwierdziło to opowiadanie. Powróciwszy do Kairu, baron Neimans otrzymał dokładniejsze objaśnienie od Seida-Mohameda-el Kingueti posła z Darfur. Ową górę świętą nazywa on Dżebel-it-Driat; na jej szczycie stoi wielka kaplica (gubba) murowana z białego kamienia, a dokoła niej stoją trzy mniejsze budynki. Na górę i do kaplicy nie wolno jest nikomu wchodzić: tylko podczas przemiany panującego, nowy sułtan obowiązany jest pozostać tam pewną liczbę godzin do wschodu lub zachodu oznaczonej gwiazdy; następnie otoczony świetnym orszakiem wchodzi do miasta Wara, gdzie uroczyscie przyjmują go, jako prawego monarchę. Nikt prócz księcia panującego nie widział wnętrza kaplicy; klucze od niej są w rękach trzech szeików, najpierwszych dygnitarzy w państwie. Góra i część gruntu ją otaczającego poczytane są za święte.

Przybycie chrześcianina Abdel-Waheda nie podoobało się mieszkańcom Wary, dzikim, gwałtownym fanatycznym; przechadzki biednego doktora obudziły największą nieufność, a pewnego poranku wyspiegowano go jak się wdzierał na górę; rzucono się wtedy na niego w zamiarze zamordowania go. Tu jednak poseł z Darfur jest w sprzeczności z sobą co do miejsca i rodzaju śmierci Vogla, słusznie przeto uczony bawarski wnosi, że wprawdzie podróżny nasz

jest uwięziony, ale że zostaje przy życiu. To samo twierdzi uczyony berliński Henryk Brugsch, który podczas ostatniej podróży swojej do Egiptu, rozpytywał się wielu muzułmanów przybyłych z Waday, wszyscy oni jednozgodnie zapewnili że Vogel nie utracił życia.

Niech więc wolno nam będzie cieszyć się tą nadzieją; doktor Vogel jeszcze żyje. Rząd angielski, który zawsze tak wspaniale wynagradzał i protegował swoich uczonych, badaczy i podróżników, nie

wątpliwie dołoży wszelkich starań aby wyrwać nie- szczęśliwego doktora ze smutnego położenia i zapewnić mu wszelką pomoc i opiekę, do jakiej ma słuszne prawo. <sup>1)</sup>

(Z czasopisma: *Nouvelles Annales des Voyages*).

<sup>1)</sup> Niestety! według ostatnich wiadomości zebranych przez konsulów angielskiego i berlińskiego w Aleksandryi, Dr. Vogel w istocie zamordowany został z rozkazu sułtana Wara.

(przyp. tłum.)

## ZARYSY MEKSYKU.

Znowu ta cudownie piękna kraina była widownią krwawych zaburzeń. Jedna połowa ludności uzbroiła się przeciwko drugiej; kto nie uczestniczył w walce stronnictwa stawał się łupem rozbójników grabiących to w imieniu ołtarza i świętej religii, to w imieniu wolności i swobód publicznych. Prędzej czy później wkroczą tu amerykańanie północni a z nimi dopiero rozpocznie się nowy peryod rozwoju tej krainy.

Indyanie krwi czystej, stanowiący większą połowę ludności Meksyku, są szczerzy, dobroduszeni, prości i towarzyscy, ale inni mieszkańcy np. metysi z ojca białego i matki indyanki, mulaci z krwi czarnej i białej, oraz Zambos z pomieszania murzynów z indyanami—są pospolicie niekczemni, łakomecy, niegościnni i z gruntu zepsuci. Toż samo zjawisko powtarza się we wszystkich krajach: podobnego rodzaju mieszaniny rasy wysoce różnych cywilizacyą, niekczemnią tylko charakter, i są najokropniejszym przekleństwem ciężącym na Ameryce a w szczególności na Meksyku. W okolicach Coatzacoalcos wiele jest wiosek wyłącznie zamieszkałych przez Indyan krwi czystej, mówiących narzeczem acteków; rozumiejący nieco po hiszpańsku zwani są od hiszpanów ludźmi rozumnymi, i używani są przez nich za tłumaczy. Ta część wschodnia Stanu Vera Cruz wraz z pogranicznym stanem Oaksaka i Tabasko, już dziś dostarcza znaczną ilość szacownych płodów. Tutejsze kakao jest wyborniejszego gatunku aniżeli kakao z Guagaquil, Maracaibo lub Caraccas, a jednak Meksyk i znaczniejsze miasto Vera Cruz otrzymują kakao na swe potrzeby—z Hamburga i New-Yorku! Rzeczą ta łatwiej się pojmie, jeśli zważymy, że mieszkańcy kraju są leniwi i nie zajmują się uprawą

wą kakao, a przytem między Meksykiem i Ameryką południową nie masz bezpośredniej komunikacji morskiej. Krzewy kakao uprawiane były już w czasach panowania Azteków: mielono suszone ziarna z kukurydzą i przyprawiano napój, czekoladę. Za czasów zaboru hiszpańskiego, ziarna kakao były w Meksyku i Nikargua środkiem wymiany, a Indyanie z Tehuanpetec i Chiapas do dziś dnia używają ich zamiast pieniędzy; trzydzieści sześć ziarn znaczy pół reala. Kawa także wybornie się udaje w tych okolicach, a uprawa trzciny cukrowej niewiele wymaga starań; sadzą ją co lat ośm, nie używając sztucznego nawodnienia. Wanilla niemniej obficie się tu rodzi, podobnie jak ryż i kukurydza; ostatnia dojrzewa w pięćdziesiąt dni po zejściu i do roku trzy razy bywa zbierana. Tutejsza bawełna, zwłaszcza w Oaksaka daje tkanę delikatną i nadzwyczajnie miękką; tytuń zbierany w Tabasco, kupują Chawańczycy z Vuelta do Abajo. Dodajmy do tego koszenilę, indygo, sassa-parillę, banany, słodkie kartofle, ignamy, bób czarny, pistacyę ziemną, ananasy, melony i pieprz czerwony. Kraj taki, którego klimat pomimo wielkich skwarów jest dość zdrowy, w rękach ludzi pracowitych, mógłby stać się prawdziwym rajem ziemskim.

Dziś gdy Indyanie zaczynają znowu odegrywać rolę polityczną a biali kreolcykowie ustępują z widowni dziejowej—szczegóły o ludziach brunatnych i ich stanowisku względem dawniejszych panów, są nader zajmujące. Od czasu ogłoszenia niezawisłości rze- czypospolitej meksykańskiej, mieszkańcy wszystkich barw skóry posiadają równe prawa, a w wielu okolicach Indyanie dołożyli wszelkich starań aby te prawa utrzymać w całej sile. W rękę swoją mają broń

a ich głosy zawsze przeważają na wyborach. Na półwyspie Yukatau odnieśli także zwycięstwo i dążą do zupełnego ujarznienia białych, którzy bronią się jeszcze w walce rozpacznej. W stanach Vera Cruz, Tabasco i Oaksaka indyane stanowią przeważną większość. Iciares, niedawno głowa i kierownik radykalistów meksykańskich i obecny prezydent rzeczypospolitej Zuloaga, są obydwaj czystej krwi mijesami indyjskimi z Oaksaka.

Stan ten obejmuje starą krainę zapoteków i mijesów, których język nie ma pokrewieństwa z mową asteków. Mijesi zamieszkują krainę górzystą w stronie północno-zachodniej od Tehuantepec; mniej znają oświatę europejską niż zapoteki i pozostali wierni swym starożytnym podaniom religijnym. Stolica ich nazywa się Guichicovi: tu urodził się Juarez. Z Tehuantepec przybywa się tu na Boca del Monte, wóz ciągnący się przez gęste bory, i to tak wązki, że zaledwie jeden muł objuczony przedrzeć się przezeń nie jest w stanie. Mijesi żyją w odosobnieniu, pilnie zajmują się uprawą roli i czują nieprzewyciężony wstręt do białych i do chrześcijaństwa, który mu narzucili hiszpańscy despoci. Takież wstręt okazują zokesi, lud zamieszkały na południu od Chikapatal aż do Rio del Cacte od północy; głównem ich miastem jest Sauta Maria Chimalapa. Zapoteki, więcej nieco ulegli wpływowi cywilizacyi europejskiej, składają większość mieszkańców Tehuantepec w południowej stronie międzymorza.

Indyane północnej strony międzymorza do dzisiaj wspominają ową donnę Marinę, która wiele dopomogła Cortezowi do zawojowania arteków. Nie jest z pewnością wiadomo, czy pochodziła ona z Jaltipan czy z Painala, chociaż miejsce zwane dawniej Paitala, dziś nie nosi tego nazwiska; prawdopodobnie więc brać je należy za jedno z Jaltipan. Ojciec donny Mariny był wassalem cesarza meksykańskiego; umierając pozostawił młodą wdowę i córkę jedynaczkę. Wdowa urodziła drugiemu mężowi syna i zamierzyła mu oddać dziedzictwo córki. Rozpuściwszy wieści o jej śmierci, wyprawiła świetny pogrzeb, a tymczasem dziewczynka sprzedaną została kupcom z Xicalauca. Ci sprzedali ją Cortezowi wraz z innemi dwudziestu niewolnicami. Na chrzcie otrzymała imię Marina, które azteki wymawiają Malincia, Malincha. Otoż pod Jaltipau jest wzgórze kuliste, które indyane zowią pagórką Malnichi; przechowało się też między nimi podanie, że tu pochowano ciało tej kochanki zaborcy hiszpańskiego: umierając przyrzekła z czasem powrócić aby wynagrodzić złe jakie nie-

rostopnie wyrządziła swojemu ludowi; wtedy wszyscy biali despoci Meksyku będą wytepieni. Tę klechdę wyczytaliśmy w dziele J. J. Williams o międzymorzu Tehuantepec (New-York 1852), który z powodu jej czyni następującą uwagę: „Któż może przewidzieć, że ta przepowiednia się nie spełni i to wkrótce? Napozór obojętny, odrętwiały indyanin, żywi w głębi duszy nieprzejednaną nienawiść ku potomkom swych ciemzców. Stara prowincya Coazacoalcos, w której jedna niewolnica tak ważną odegrywała rolę—może jeszcze podnieść się przeciw swym zaborcom.”

Wypadki dzisiejsze już w części sprawdzają te słowa; wszędzie żywiół indyjski się porusza nie tylko w stanach południowych lecz i w całej części północnej kraju, gdzie wszystko staje się łupem dzikich ludów: apaszów i komanszów. Ci ostatni od lat 25 panują tu wszechwładnie,—zabierają bydło, pałą włości i pola, zabijają mężczyzn, uprowadzają w niewolę kobiety i dzieci. Nie jednokrotnie już wtargnęli w głąb stanów Zacatecas i Xalisco i co rok posuwają się naprzód. Ale oddawna naciskani przez amerykańców północnych, muszą im ustępować i z tém większą natarczywością prą na Meksyk, że słaby w nim opór napotyka.

Są to indyane dzicy, koczujący; lecz i spokojni, osiadli na gruntach rolnicy, nieraz już groźnie wystąpili: zaprzysięgli oni zagładę białych i wiele kosztowało rząd trudów, aby uśmierzyć ich powstania, szczęściem noszące dotychczas tylko miejscowy charakter. Ale w Yucatau walka rassa trwa już od lat dziesięciu i ani jednego dnia nie ustała. Niechaj raz utworzy się związek ogólny indyan, a biali Meksykanie, i tak już osłabiający się w walce stronnictw, są na zawsze zgubieni. Mieszkańcy biali miast południowych zamykają oczy na grożące niebezpieczeństwo, chociaż znajdują się w znacznej mniejszości. Indyanin przechodzi ze wsi na rynek, sprzedaje i kupuje i codziennie zostaje z nimi w przyjaznych stosunkach. Ale indyanin jest w sobie zamknięty, nie wygada nigdy tego co mu najciężej leży na sercu; w dzieci swoje wszczepia nienawiść dla cudzoziemców—gdyż za takich mają białych, chociaż są od lat 300 stałymi mieszkańcami kraju. Opowiada młodzieży o despotyzmie hiszpańskim, a w historyach jego klechdy grają najważniejszą rolę. Nienawiść do kast i kolorów ciała żarzy się w głębi jego serca, pokryta zdradzieckim popiołem. Nie raz już ogień wybuchał strasznym płomieniem. W r. 1849 zbuntowali się indyane z Zichu; podczas gdy wojska rzą-

dowe oblegały ich w górach, drugie powstanie wybuchło pod samą stolicą Meksyku. Brunatni mieszkańcy wielu wiosek, a naprzód miasteczek Tlalnepatla i Azeapozalco utworzyli związek, aby wspólnymi siłami mścić się na białych. Zopotoki, mieszkańcy górzystych okolic Oaxaia, przy każdej sposobności wywierają zemstę na białych mieszkańcach, przelewając ich krew z prawdziwą rokoszą. Na szczęście, indyanie meksykańscy nie mają daru kombinowania ani świadomości o potędze swych sił połączonych: rzucają się do buntów lecz nie umieją dokonać właściwej rewolucyi; pragnienie zemsty uzbraja ich dłoń przeciw białym, ale ich umysł nie jest zdolny do tworzenia rozległych planów politycznych. Kto wie jednak co się stanie, jeśli kiedy zjawią się między nimi mąż genialny, przedsiębiorczy, i zdoła ich na pewien czas poruszyć do wspólnego działania? Wszakże niedawno (w kwietniu 1858 r.) jeden mijes indyjski Juarez był prezesem sądu najwyższej instancyi w Meksyku, kandydatem do prezydentury rzeczypospolitej i zajmował ważne stanowisko w stronnictwie antyklerykalnem, chociaż był tylko biednym synem chłopca indyjskiego.

Biali kreolczykowie lekkomyślnie zbywają myśl o niebezpieczeństwie wiszącym nad ich głowami, rozumując sobie w ten sposób: Meksyk ma siedm do ośmiu millionów mieszkańców; z tych przeszło cztery miliony przypada na indyan krwi niemieszanej, resztujące trzy na białych i mieszane. Otóż trzej biali i metysi łatwo poradzą sobie z czterema indyanami; prócz tego ci ostatni nie wszyscy są tak nieprzyjacielscy, a pozostali albo wcale nie mają broni, albo nie umieją obchodzić się z bronią palną.

W istocie jednak rzeczy mają się inaczej. W czterech stanach Oaxaca, Chiapas, Yucatan i Tabasco przylegających do siebie i tworzących niejako jednolitą całość, a prócz tego w niektórych innych stanach, na jednego białego przypada trzydziestu do pięćdziesięciu, a w niektórych okolicach, więcej niż stu indyan; Luncadones w Chiapas nie cierpią ich zgoła pośród siebie a sąsiedzi ich Chamulas mają przeszło 20,000 broni palnej. Pokolenia Maya w Yucatan umieją doskonale się z nią obchodzić; najlepiej tego dowiedli obecnie, gdy w r. zaprzeszłym odebrali białym miasto Bacalar. W stanach Mechoacan i Guerrero żywił indyjski ma także znakomitą przewagę. Alvarez, lew południa, który obalił białego dyktatora Santa Maria, jest indyaninem czystej krwi i gubernatorem stanu Guerrero. Kiedy ze swojemi hor-

dami indyan podstąpił pod stolicę—kongres ofiarował mu godność prezydenta rzeczypospolitej.

Co hiszpanie przenieśli do Meksyku ze zwyczajów europejskich i chrześcijaństwa rzymskiego, z lekka ledwie dotknęło charakteru indyan, a bynajmniej do krwi ich nie przeniknęło; u wielu pokoleń chrześcijaństwo pozostało bez żadnego wpływu. Hiszpanie zatknęli znamię krzyża, ale to, co jest doń przywiązane, najzupełniej jest obojętne dla indyanina, którego bawi jedynie przepych zewnętrzny nabożeństwa i obrzędów; zachowuje przepisane formuły, dla tego że mu to zaleca proboszcz i że przywykł do nich od dzieciństwa. Ale kapłan, najczęściej biały lub mieszaniec a rzadko czysty indyanin—nie poważy się tykać jego pogańskich obrzędów, które przechowały się z pokolenia do pokolenia. Łupina wygląda z chrześcijańska, ale ziarno pozostało staro-pogańskie. Podróżnik Mateusz de Fossey, który niedawno wydał dzieło o Meksyku, czyni w tym przedmiocie następującą uwagę: „Wielu przymusem i katuszą przemieniono w świętoszków i obłudników—ale pod zasłoną nocy indyanie zgromadzają się w jaskiniach i z całą swobodą odprawują swoje ludowe obrzędy. I biada słudze ewangelii, jeśliby w zbytniej gorliwości swojej chciał im przerwać to nabożeństwo. Przed kilku laty zła gwiazda poprowadziła jednego z takich gorliwców do Guichicovi; był tak nierostropny że przyłożył siekierę do *koapinol*, świętego drzewa mijesów. Pierwsze zaraz uderzenie trafiło w samo serce indyan; na widok takiego świętokradztwa tłumy z dzikim gniewem rzuciły się na zuchwalca, co poważył się znieważać ich świętości. Rozerwanoby go niechybnie w kawałki, ale począł błagać o życie, i darowano mu je pod warunkiem, że na zawsze kraj opuści. Poczem przez kilka dni odbywały się rozliczne kadzenia, modlitwy i ćwiczenia pokutne około świętego drzewa. Kapłan ów po pewnym przeciągu czasu prosił o pozwolenie powrotu; udzielono mu takowe gdy święcie przyrzekł, iż nigdy niedopusci się podobnego świętokradztwa. Naczelnik Guichicovi, chrześcianin mijes, miał doń przemowę i rzekł: „Odprawiaj swoją mszę ile tylko razy zechcesz; ale zgoła nie troszcz się o to, czy jesteśmy na niej obecni lub nie. Chrzcij dzieci, dawaj ciałom zmarłych swoje błogosławieństwa, i wykonywaj obrządki swojej religii, ale strzeż się mieszać do starych naszych zwyczajów!” Autor z którego wyjęliśmy powyższy ustęp jest gorliwym katolikiem, wcale nie będącym za wolnością wyznań w Meksyku, owszem radby utrzymać tam swój kościół choćby przemocą. Według



jego zdania, skoroby ustała przemoc, i ci niewielu indyan którzy dziś trzymają się chrześcijaństwa, odrzuciliby go niezawodnie. Ponieważ p. Fossey przez lat dwadzieścia czynił spostrzeżenia nad tym ludem, nie mamy przyczyny powątpiewać o trafności jego zdania.

Tyle przynajmniej jest niewątpliwem że kapłani rzymscy nie mogli postąpić sobie z mijesami w Guichicovi, jak apostoł Bonifacy z Heseami: święte drzewo pod Hofgeismar mogło być ścięte, ale koapinol mijesów—pozostał nietknięty. Przytoczony powyżej autor tak jeszcze mówi: „Nawet ci z indyan, którzy nie tyle jak w Guichicovi przywiązani są do starych zwyczajów—z religii chrześcijańskiej przyjęli tylko jej stronę zewnętrzną. Zасыłają oni do świętych ka-

tolickich zupełnie takie same modły jak ich przodkowie do bożyszcz pogańskich. W passyi Chrystusa widzą stare ofiary ludzkie zabijane dla przebłagania bogów, a w Matce Boskiej z Guadelupy (która jest koloru brunatnego) i w Najświętszej Pannie de los Remedios czczą swoje boginie Ceuteotl i Omecihuatl. Nie można nawet powiedzieć, że z pozoru wyznają naszą wiarę, jeśli zachowują zwyczaje katolickie, gdyż właściwie, prawie wcale nie przemienili dawniej religii swojej, tylko do starych przesądów pogańskich, dołączyli praktyki chrześcijańskie z czasów barbarzyńskich.

Możnaby tu zrobić pytanie: na co się przydały wszystkie okrucieństwa, których w imię krzyża dopuszczali się tu zdobywcy hiszpańscy?

## ANTONI-WA WRZYNIEC LAVOISIER.

Żywot uczonego, cichego badacza natury lub ducha ludzkiego, wydaje nam się obrazem nudnym i bezbarwnym, którego odblask, jaki rzuca na współczesnych i późniejszych, nie wiele wzbudza interesu. Pracowita młodość, iskierka talentu, walka powołania z kapryсами lub zaślepieniem rodziców, brak majątku a ztąd pochodzący niedostatek, trudy urzędowania i gruntowne studja, może także fanatyzm głupoty i przesądów — oto są codzienne żywioły z których składa się obraz życia uczonego. Gdyby tak rzeczywiście było, możnaby wykrzyknąć z filozofami: „Szczęśliwy ten naród, którego historia jest nudną!” Lecz jest inaczej. Małe przemiany bez przeszkody obok życia uczonego przechodzić mogą, wielkie jednak burze świata wnikają w jego ciche ustronie. I uczonego jest człowiekiem i jego serce bije jak każdego innego. I uczonego jest obywatelem kraju i niepozostaje głuchym tam, gdzie go obowiązek wzywa. I uczonego może jak poeta skończyć śmiercią bohatera na placu boju, albo męczennika na szubienicy. Skoro życie uczonego przypadnie w porze burz, które czasami po-nad ludami zahuczą, wtedy się zdaje jak gdyby kto czyni i losy bohatera opisywał. Podobna epoka nie jest odległą, albowiem zaledwie pół wieku temu jak upłynęła. Jest to czas owych wstrząśnień, pod którymi Francja wyrwała

się z więzów zastarzałych pojęć i zabobonów. Było to tam, gdzie w krwawej bitwie między czynem a prawem historycznym i nauka swych bohaterów i ofiary stawiała. Na czele słynnego Zebrania Narodowego widzimy skromnego uczonego, wzór cichych cnót, nieszczęśliwego Bailly. Z mównicy krwawego Komitetu, słyszymy gorące słowa innego uczonego, genialnego Condorceta. W okropnym Komitecie Publicznego Ocalenia obok Robespiera, Saint-Justa i Couthona spotykamy uczonego, słynnego matematyka Carnota—który tworzy armię z niczego i organizuje zwycięstwo przeciwko Europie. Uczni chemicy: Chaptal, Furcroy, Monge i Bertholet tym armijom broń sprawiają, wydzierając saletrę rodzinną ziemi bo jej przywóz z zagranicy wzbroniony i dzwony na działa przelewając. Uczony Mennier porzuca swe laboratorium aby kierować świetną obroną Moguncyi i znaleźć śmierć bohaterską na jej wałach.

Gdzież pozostaje nauka i poważne studium przy takich politycznych porywach? Czy pióro może się pogodzić z mieczem? Tak pytamy się zwykle, siedząc za pełnym ksiązek stołem, przy ciepłym kominku.

Fakta są na to wymowną odpowiedzią. W żadnym czasie nauka we Francyi tyle nie dokonała świetnego rozgłosu, torując nowe drogi w wiadomościach

przyszłości, nigdy nie znalazła gorętszego poparcia i wspomżenia jak w czasach owych zawichrzeń.

Przypomnijmy sobie sławną szkołę Normalną i Politechniczną, Muzeum historii naturalnej i Konserwatorium sztuk i rzemiosł, pomiar stopnia geograficznego i zaprowadzenie nowego systemu miar i wag, a wszystko-to, przyznamy, że było owocem krwawego Komitetu!

Ta sama ręka, która nie jeden krwawy wyrok podpisać musiała w Komitecie Publicznego Ocalenia, napisała słynną Geometrię i Metafizykę rachunku.

Cicha nauka zgadza się z walką i burzą i rozwija życie na krwią zboczonym gruncie. Wprawdzie burza niszczy nie jeden piękny zarodek; niejedna smutna ofiara namiętności politycznych i w dziedzinie nauki pada. Największa jednak ofiara, jaką nauka kiedykolwiek poniosła, jest głowa reformatora dzisiejszej chemii, nieśmiertelnego Lavoisiera, którą na ołtarzu rewolucyi złożyła.

Antoni Wawrzyniec Lavoisier urodził się w Paryżu 1743 roku. Ojciec jego zebrał w interessach handlowych znaczny majątek; jednocześnie był przyjacielem nauk przyrodzonych i miał stosunki z najznakomitszymi badaczami w Paryżu. Tym sposobem wszystko się połączyło aby młody Lavoisier odebrał staranne wychowanie. Najznakomitsi uczeni byli jego nauczycielami i nie go nie wstrzymywało ażeby z swobodą pójść za popędem swego geniuszu. Lacleille uczył go astronomii, Jussien botaniki, Ronelle, pierwszy chemik który zasadę soli dokładnie rozpoznał, studiów chemii. Już w 21 roku życia, Lavoisier miał sposobność okazać swój talent i przez badania naukowe stworzyć sobie zaszczytne nazwisko. Akademia francuzka, na rozkaz rządu ustanowiła premium 2,000 liwrów za najlepszy traktat: „O oświetlaniu ulic Paryża.” Jak największa jasność, najłatwiejsze utrzymanie aparatów, najmniejsza oszczędność kosztów, miały być tutaj równo uwzględnione. Lavoisier podjął się rozwiązania tego zadania i pokazał światu do jakiej energii, do jakiej ofiary dla nauki jest zdolny. Zajęty porównywaniem siły światła różnych płomieni, dostrzegł że jego wzrok nie miał koniecznej dokładności, ażeby tak delikatną różnicę rozpoznać. Aby takową osiągnąć był tylko jeden środek odstrasający dla 21-letniego młodzieńca, którego bogactwo i młodość do tysiąca przyjemności znęcało. Wybrał pierwsze. Kazał swój pokój czarno wybić, zamknął się na sześć tygodni w zupełnej ciemności i tym sposobem osiągnął cel, bo

wzrok jego doznawał takiego wrażenia, iż najdelikatniejszą różnicę światła rozpoznał.

Lavoisier rozwiązał zadanie w taki sposób iż akademia przyznała mu premium, które szlachetnie wśród trzech innych współpracowników rozdzielić kazał, w celu wynagrodzenia kosztów przy robieniu prób przez nich poniesionych.

W zamian za to w 1766 roku, na rozkaz królewski, akademia obdarzyła go medalem złotym, a w dwa lata później, w 25 roku życia, mianowany został członkiem Akademii Nauk.

W tej epoce życia zaczyna się właściwa czynność Lavoisiera we względzie Chemii, która w początkach kierowała się bardziej ku pojedynczym badaniom, mianowicie ku zbijaniu starych i nowych błędów, lecz wkrótce zjednoczyła się w zadaniu, będącym środkowym punktem jego życia a dla nauki stała się hasłem pod którym walczyć i zwyciężyć miała. Było to dzieło reformacyi w dziedzinie chemii.

Ażeby bez przeszkody poświęcić się temu zadaniu, ażeby nieograniczenie mógł rozporządzać środkami do najobszerniejszych badań, starał się w 1771 roku o posadę dzierżawcy generalnego. Urzędy za panowania Ludwika XV i XVI były tylko sinekurami, środkami do dobrego bytu, — dlaczegóż mielibyśmy mieć za złe Lavoisierowi, że szukał środka dla dopięcia naukowych celów?

Zresztą znajdował w urzędowaniu rozliczne okazy spożytkowania swych wiadomości dla dobra kraju i ludu.

We wszystkich publicznych wypadkach, gdzie połączenia naukowych wiadomości z praktycznym poglądem potrzeba było, udawano się do niego po radę.

Gdy w roku 1776 stanął na czele zarządu dostarczania saletry i prochu, zyskał dla prochu francuzkiego pierwszeństwo przed innemi krajami. Jednocześnie uwolnił kraj od przykrego urządzenia tamtoczesnego, według którego wolno było urzędnikom wchodzić siłą do piwnic dla zabierania ziemi, saletrę w sobie mieszcząc. Uczynił te źródła niepotrzebnymi, gdyż ogłosił sztuczne tworzenie się saletry, którego długo jeszcze we Francyi po jego śmierci używano.

W dziedzinie nauki Lavoisier nadzwyczajnie czynił postępy.

Co mogłoby dla nauki dobrego wypaść od bogatego, milionowego Lavoisiera? Tak zapytuje nie jeden zdziwiony, który przesiąkłszy dziwaczny przesąd jakoby czynność umysłowa, badanie i prawda, żądza odczucia się przez odkrycia i umysłowe

utwory, tylko w nędzy i głodzie była możliwą. Jest to niepojętem, jak można dziś jeszcze takiej ciemności hołdować! Synowi Katarzyny de Medicis, Karolowi IX, wolno było mówić gdy wspominał swego ulubionego poetę Ronsarda: „Dobry poeta, jak dobry koń, niepowinien nigdy utyc, dostateczna już gdy go się żywi.” Doświadczenie tę zasadę w niwecz obróciło. Wielki Leibnitz był milionerem, hrabia Buffon, Cavendish, Boyle, należeli do najbogatszych swego czasu. Laplace miał więcej niż 100,000 liwów dochodu. Nienależy uczonego stawiać na równi z wyrobnikiem dziennym przy warsztatach. Geniusz nie pracuje dla chleba. Żądza badawcza dociekania tego, co natura ukryła w swe zjawiska, powstaje z umysłu, równając się namiętności, a może być tylko jeszcze dalej posuniętą przez szlachetny popęd patriotyzmu i ludzkości. Geniusz produkuje, gdyż jego naturą jest produkcyja — uczony bada i myśli gdyż w tém upatruje swoje przeznaczenie. Oburzamy się na bicz dozorczy niewolników, a zalecamy moralny bicz nędzy w wolnej dziedzinie nauki.

Lavoisier milioner stał się twórcą nowej nauki dzisiejszej chemii. Przemysłowe bogactwo naszego czasu, wystawa i wygody naszego mieszczańskiego życia aż do tysiąca drobnostek zawdzięcza owocom pracy tego człowieka. Posiadał on miliony lecz pozostałe po nim dziedzictwo wiele tysięcy razy więcej warte. Można by to uważać za przesadzone. Można by myśleć o tych bajecznych osobach, o owych Herosach i Herkulesach, które cudotwórcza fantazyja ludu greckiego ulepiła z tysiąca zapomnianych bohaterów. Lud w rzeczywistości jest ten sam dzisiaj jak przed 2000-mi lat. Jest dziś jeszcze tak samo niewdzięczny, zapomina równie łatwo imiona tych, którzy dla jego dobra pracują, ażeby z ich prac wymyślić innego bohatera. Mamy dzisiaj naszego Fausta jak Grecy mieli Hermesa, i mamy więcej aniżeli jednego Herkulesa w dziedzinie nauki. Jakieżby było zjawisko astronomiczne w oczach ludu, którego by wytlómaczenie niezawdzięczano Herschelowi! Czyż Euler i Newton, Watt i Volta nie są bohaterami i czyż Humbolta i Liebiga już za życia wielkimi nieuznawano?

Tak to jednak i dalej dźać się będzie — i znowu naród stworzy sobie bohaterów i otoczy ich aureolą zapomnienia! Tylko historia pozostaje zdala od wszelkiej poezyi. Z powagą i prawdą oddaje hołdy wybranym mężom, których natura obdarzyła drogocennym przywilejem związania i zjednoczenia tysiąca faktów i wyprowadzenia z nich potężnych teoryj; —

lecz jak Arago mówi: „Nie zapominajcie że sierp żniwiarza wpierw kłosa położyć musiał, nim o związaniu w snopy myśleć można było.” Wielu takich żniwiarzy poprzedziło Lavoisiera, wiele faktów na których zasadał swą wielką budowę, były przed nim odkryte i nawet zasadnicza myśl jego teoryi została kilkakrotnie przez niego objawioną. Pomimo tego zasługi jego nie mniejsze, i własnemu on a niepożyczanemu światłu, zawdzięcza świetność swego imienia. Lavoisiera zasługa nie zasada się na pojedynczym odkryciu, lecz na połączeniu w jedną całość niezliczonego mnóstwa zasad, bądź dawno znanych lub też przez niego odkrytych w jedną teoryję, — nie w wyrzeczeniu zdania lecz w przeprowadzeniu wielkiej idei przez całą krainę doświadczenia. Myśl jedna, która od roku 1772 wszelkie prace Lavoisiera przechodzi i łączy, jest nasamprzód wyjaśnienie procesu ukwasorodnienia i palenia, później na obszernej stopę znaczenie kwasorodu i jego wpływy na chemiją wykazująca. On był pierwszym, który „wagę” ustalił; najwyższym sędzią w badaniach jako jedyny język który nigdy nie kłamie. Bystrość jego umysłu z prostej myśli zbudowała wielką budowlę, fundamentem zaś jej jest pewność w jego dostrzeżeniach.

Przed Lavoisierem panowała samowładnie w nauce, utworzona przez Stahla teoryja flogistyczna, niemal przez wiek cały. Podług tej teoryi, tajemnicze ciało Phlogiston, miało być powodem wszelkiego spalania; przy paleniu miało uchodzić z ciał i pozostawiać po sobie wapno, ziemię lub kwas. Lżejszy od powietrza Phlogiston przez swe połączenie miał być równym gazowi, zdążającemu do podnoszenia ciał, miał je czynić lżejszemi, uchodząc przy spaleniu i powiększać wagę spalonego. Ta teoryja była tak prostą iż mogła opętać i zdradzić najbardziej jasno myślących. Ale z wzrastającym doświadczeniem, stawała się co raz bardziej tamującą i nieprawdopodobną, ponieważ do ciągle nowych rozumowań i fantazyj wabiła. Lavoisier położył jej koniec jednym czarodziejskim słowem „waga” której język rozwiązał. Próba rozstrzygająca, z której świetna reforma chemii powstała, była następująca: w retortę włożono cynę, poczem hermetycznie ją zamknięto i zważono. Przez rozgrzanie cyna zamieniła się w niedokwas cyny, — waga retorty pozostała ta sama. Poczem otworzono retortę, powietrze wcisnęło się i teraz retorta ważyła więcej aniżeli wprzódy. Pokazało się iż ta przewaga z niedokwasu cyny powstała, że cyna przez ukwasorodnienie tyle kwasorodu wedle wagi w siebie wciągnęła, ile go w retorcie ubyło, a przy

otwarciu, przez nowe powietrze wpłynęło. Sto lat temu podobne doświadczenie robił genialny Boyle, ale jak daleko od spostrzeżeń rzeczywistości aż do ich wyjaśnienia i jak łatwo w nauce coś widzieć można bez odkrycia tegoż, to się z Boyla dostatecznie pokazuje. Boyle widział to samo co i Lavoisier. Boyle zaniedbał uważać zmniejszanie się powietrza i przypisywał zwiększanie się ciężaru ukwasorodzonego metalu, przyczynie więcej ważącej materii ciepłika płomienia; a Lavoisier największą kładł wagę na zmniejszanie się powietrza i uznawał ukwasorodzenie jako połączenie się metalu z kwasorodem powietrza. To objaśnienie otrzymało wkrótce bliższe przeznaczenie a obszerniejsze znaczenie.

W roku 1774 Priestley przybył do Paryża i zawiadomił Lavoisiera o wkrótce przed tém odkrytym przez siebie kwasorodzie.

Nie możemy pominąć słabiej strony charakteru naszego uczonego—Lavoisier nigdy nie wspomniał o odkryciu Priestleya i zawsze takowe uważał za swoje. Nie możemy tego lekceważenia cudzych zasług brać w obronę, chociaż Lavoisierowi wielką zasługę przyznać musimy, za to, że odkrycia współczesnych w swym ręku umiał upożytecznieć. Priestley przez swoje odkrycie w podziw wprowadził świat i uczone i śmieszna nadzieję głów fantastycznych, które w życiodawczem powietrzu środek odmłodnienia i antidot przeciw śmierci odkryć myślały; dopiero Lavoisier podał jego znaczenie w nauce. Już w roku 1775 poznał on w tym nowo-odkrytym gatunku powietrza przyczynę wszelkiego ukwasorodzenia i palenia. Pokazał jako wszystkie niedokwasy metaliczne powstają z połączenia kwasorodu z metalami; że tak zwane stałe powietrze, albo kwas powietrza, niczem inném nie jest jak tylko połączeniem węgla z kwasorodem o czém przekonać się można paląc diament lub zwyczajny węgiel drzewny. Później okazał, że powietrze atmosferyczne jest połączeniem dwóch gazów, że około  $\frac{1}{5}$  części nowo-odkrytego ognia albo życiodawczego powietrza w sobie zawiera, gdy tymczasem  $\frac{4}{5}$  części zajmowane są przez gazy do wdychania i palenia niezdatne lub przez azot. Następnie Lavoisier rozpoznał kwasoród jako zasadniczą podstawę najważniejszych kwasów, mianowicie: kwasu węglowego, siarczanego, fosforowego i saletrzanego—znalazł w nim bowiem wspólne części składowe, którym zawdzięczają ogólną kwaśną własność. To go zniewoliło w roku 1781 dla tego nowego gatunku powietrza nazwę „Oxygène” utworzyć, a niedokwasy odtąd miały nosić nazwę metali ukwasorodzonych.

Nikt już dzisiaj o tém nie wątpi i uznaje to za oznakę prawdziwego geniuszu, że coś niepozornego, niejasnego, nawet fałszywe obcych spostrzeżenia upożytecznieć umie. Nie jeden robi spostrzeżenia, ale tylko geniusz czyni odkrycia. Bergmann użył osadzania metali w roztworach ich przez inne metale, ażeby oznaczyć istotę phlogistonu metali. Próbom Bergmanna dopiero Lavoisier nadał właściwe znaczenie, użył ich bowiem do oznaczenia istoty kwasorodu i położył fundament tablic powinowactwa chemicznego. Lecz jeszcze ciemna zasłona pokrywała najważniejsze processa chemiczne—rozpuszczania się metali w kwasach, tworzenia się soli. W ten czas odkrył Cavendish w 1783 r. tworzenie się wody przy spalaniu gazu wodorodnego. Dla teorii phlogistycznej odkrycie to pozostałoby bez korzyści, dla Lavoisiera zaś stało się kluczem do objaśnienia wszystkich zjawisk przy rozpuszczaniu metali w kwasach powstających. Skład wody z wodorodu i kwasorodu i rozkład wody przez metale, były bezpośrednimi odkryciami które Lavoisier z tego faktu wywiódł.

W roku 1785 podstawa nowej chemicznej teorii była ukończoną. Dotąd Lavoisier walczył sam przeciwko teorii flogistycznej, która przez czas i nazwyczajenie została uświęconą. Teraz stanęli przy nim godni towarzysze Berthollet, Guyton de Morveau i Fourcroy, którzy byli pierwszymi co się do nauki Lavoisiera przyłączyli. Wkrótce stała się ona rzeczą narodową i przeciwko zagranicznej stanęła jako Chemia francuzka (Chimie française). Niemiecka nauka poddała się dopiero po bardzo uporczywém wahaniu nowej prawdzie a Klaproth był pierwszym który akademię Berlińską w 1792 roku zniewolił do gruntownego zbadania teorii Lavoisiera i przez wielkie współczucie, dla niej okazane, dał przykład lepszym chemikom niemieckim. Dziwić nas nie powinno że w Niemczech ta reforma naukowa tak późno i powolny wstęp znalazła. Niemcy były ojczyzną teorii flogistycznej i co jeszcze więcej ojczyzną filozofii natury, o której Liebig mówi: że rozpowszechniała sztukę zdawania sobie sprawy bez gruntownych badań i spostrzeżeń o tych zjawiskach; sztukę, której na apostołach dotąd zbywać nie będzie dopóki robota bez wysień i pracy znajdzie zachętę i uznanie.

Lavoisiera wpływ na chemię jest ogromny. Ścisłość, której się sam przez się poddał „ażeby nigdy więcej nie wnioskować jak tylko tyle co próby dowiodły i nigdy faktów niewyjaśnionych milczeniem nie pomijać,” wstrzymała go szczególnie od błędów

i w żadnym czasie zdania reformatora nieuzyskały tak stałego i tak niezwalzonego panowania. Geniusz jego nie dał mu nic pominąć i wyniósł go do obszerniejszego poglądu nad mało-znaczące wypadki, które rzadko pozwalają wielkie prawa dostrzegać w całej ich czystości. Żaden badacz natury tak szczęśliwie nie frymarczył bogactwami ducha, żaden tak nie uszlachetnił w swój epoce nauki, tak bogato nie uposażył następców, jak Lavoisier.

Wśród budowy wielkiego dzieła, wybuchła rewolucja francuska. Lavoisier poświęcił ojczyźnie, w jej nowej postaci, swe trudy. Gdy potrzebowano jego rady znajdowano go niezmordowanym. Przy wyrabianiu Assygnat, przy podnoszeniu podatków, przy sławnym regulowaniu systemu wag i miar, widzimy go czynnym. Lecz te zasługi dla ojczyzny, niemniej zalety jego naukowej reformacji, nie mogły go uratować przed katowskim mieczem Robespierrea. Musimy tutaj dać pobieżny rzut oka na stan Francji w owych czasach.

W 1793 roku Komitet publicznego ocalenia był jedyną władzą we Francji, która mogła wpływowi nieprzyjacielskiemu ze wszech stron uderzającemu na jej narodowość, stawić skuteczną tamę. Energiją i żelazną ręką powstrzymał on rozwinięte namiętności wewnątrz kraju i odparł nieprzyjaciela zewnątrz. Co było w początku siłą, wnet stało się wściekłością. Wkrótce zapanował postrach, z jednego końca Francji do drugiego roznosząc rozpacz i żałobę po rodzinach, nie przepuszczając ni płciom ni wiekowi; na oślepie walił wszelkie zdania, a gdy w końcu dodał obłudę do okrucieństwa, sparodyował formy prawa.

Chciano okrucieństwa owych dni uniewinnić przez powoływanie się na wolę narodu lub na ich potrzebę. Naród może, porwany chwilową namiętnością, sięgnąć czasami do okropnych czynów; ale nigdy nie znalazł upodobania w codziennych okrucieństwach, nigdy nie żądał śmierci pojedynczego człowieka, który szanował przez swój geniusz ojczyznę a przez cnotę ludzkość. Nie był to lud, lecz jednostki których przekleństwo za te mordy sięga—to był Robespierre i jego przyjaciele.

W owym czasie postrachu człowiek taki, jak Lavoisier posiadał dosyć zalet któreby zwróciły uwagę publicznego oskarżyciela: bogactwo i uczoneść. Był bogatym, więc potrzebowano jego majątku ażeby tanio rządzić można. Lavoisier był nadto dzierżawcą generalnym, należał do owjej znieawidzonej klasy urzędniczej, na którą przyzwyczajono się wszystkie

ciężary rządów ładować. Lecz Lavoisier nawet jako uczony miał osobistego nieprzyjaciela. Był nim Marat, były lekarz z Neufchatelu, literat nieszczęśliwy, którego zdobycie Bastyli przerobiło odrazu z największego przeciwnika demokracji, na najnamiętniejszego fanatyka postrachu. Maratowi akademia przeskadzała w bezwstydnym próbach celem osiągnięcia literackiej sławy, a Bailly i Lavoisier wytykali głównie jego szarlataneryę, kuglarstwo i brak nauki. Rewolucja podała Maratowi środki zemsty do ręki. Bailly stanął pod gilotyną 12 listopada 1793 roku, Lavoisier 8 maja 1794 roku.

W kwietniu 1794 roku Lavoisier został aresztowany. Skarga przeciwko niemu i innym dzierżawcom generalnym obwiniała ich, „iż są sprawcami spisku przeciwko narodowi francuzkiemu, którego skutki miały posłużyć, jako cel dla nieprzyjaciół Francji do uciśnienia narodu francuskiego—oraz że w czasie administrowania Zarządu Tabaki, do tej ostatniej wodę i inne szkodliwe ingrediencye mieszała.” Szóstego maja stanął Lavoisier przed Trybunałem rewolucyjnym. Tylko szyderstwo mogło nadać temu sądowi to miano. Zwykle sędziów przez losowanie obierano; lecz lista tych przysięgłych była przez owych strasznych mężów sporządzona i zawierała tylko ich najwierniejszych współwyznawców. Nie byli to bezstronni, wolni od przesądów mężowie, którzy sądzili obwinionych — lecz tylko ich polityczni nieprzyjaciele, najokrutniejsi i nieubłagani, jakich tylko na świecie znaleźć można. Przed podobnymi sędziami były tylko oskarżenie i wyrok. Każda obrona była bezskuteczną i równała się prawie własnemu potępieniu. Przyjaciele Lavoisiera byli daleko, jak Carnot, lub drżeli, o jednym z nich, to jest o członku Komitetu Fourcroy, chodziła pogłoska jakoby dla nie honorowej sławy życzył śmierci ucześniego współzawodnika. Tylko chemik Loysel ośmielił się podnieść głos za oskarżonym i wyliczyć świetne wypadki naukowe Lavoisiera przed strasznym Trybunałem. Wtedy to zabrzmiały pamiętne słowa publicznego oskarżyciela Fouquier-Tinville: „Nie potrzebujemy już uczonych!”

Ósmego maja 1794 roku, w 51 roku życia wszedł na gilotynę i głowa najucześniejszego człowieka swojego czasu, — Lavoisiera spadła, pod mieczem katowskim.

Sześćdziesiąt siedm lat upłynęło od tej epoki; nowe wybuchy potrzebować mogą nowych ofiar, wskazujących uczonych na wygnanie i nędzę. Polityczna namiętność jest jeszcze dzisiaj taż sama — i słowa Fouquier-Tinville przybrały tylko łagodniejszą formę.

Jak nie zaprzeczamy uczonemu prawa politycznego sposobu myślenia, tak i zapominamy że kto życie i jego potrzeby bada, stać się musi koniecznie tego prawa uczestnikiem.

## GASKONJA,

(Z RYCINĄ KOLOROWANĄ).

Starodawna Basków kraina, zarówno zajmująca dla badacza dziejów jak i dla badacza kultury, odznacza się licznnością i odwiecznością swych miast, bogactwem historycznych wspomnień, przywiązanych do każdego prawie zakątka ziemi, jednym chociaż w wielu względach osobliwym charakterem mieszkańców i oryginalnością ich obyczajów. Największą przestrzeń całej prowincyi zajmują tak nazwane „landes de Gascogne” (stepy); cała bowiem płaszczyna rozciągająca się między Garonną, wybrzeżem morskiem i Pirenejami, na 150 mil geogr. rozległa, wyschła i nieuprawna, objęta jest pod tém nazwiskiem. Patrzącemu od strony morza, przedstawiają się najprzód piaszczyste zasy, kilkaset stóp szerokie, następnie rząd jezior ciągnących się wzdłuż wybrzeża, po za temi dopiero szarawo, fioletowo i niebieskawo ubarwione równiny, gdzieniegdzie przecięte płaskimi pagórkami. Głodna ziemia, oprócz niektórych roślin morskich, paproci i karłowatych jałowców, wydaje tylko lichą warstwę mchu i rdzawe wrzosi. Piaszczyste i bagniste niziny, stosunkowo do rozległości mało zaludnione, pomimo wszelkich usiłowań rządu francuskiego, niezdatne są do uprawy.

Gaskonja, w starożytności Novempopulana, w wiekach średnich Vasconia, otrzymała swoje nazwisko od Basków zamieszkujących niegdyś całą Akwitaniję, a z których 130,000 w Francyi, szczególnież w Gaskonji, 370,000 w Hiszpanii do dziś dnia się utrzymało. Do Gaskonji należą jeszcze: Landy, Charlosse, Marsan, Tursan, jakoteż wiele innych ziem. W departamencie Landes nad którym się w szczególności zastanawiać mamy, jako nad główniejszym siedliskiem pasterzy, znajduje się tylko w okolicach Adouru kilka miast mianowicie: Mont de Marsan, położone wśród ogrodów owocowych, Dax, Aire i St. Sever, miasta po 4—6000 mieszkańców.

Droga z Bajonny do Bordeaux prowadzi naprze-

mian przez nieprzejrzone, wrzosem tylko porosłe, zasy, mokrzadła i trzęsawiska, przez rzadkie lasy iglaste z trudem wyrastające nad ziemię. Botanik rozpoznaje z krzewów *Ulex europeus*, *Genista hispanica*; z wrzosów *Erica tetralix*, *Cinerea*, *scoparia* i *Calluna vulgaris*. Malarz krajobrazów znalazłby tutaj widoki odznaczające się szczególniejszym charakterem. Od ponurego, rdzawo-zarosłego stepu, odbija się nagle jasne zwierciadło jeziora, otoczonego skałami, które pokryte modremi mchami i porostami, dziwnie przemawiają do wyobraźni. Jeziora takie są tém dla Land gaskońskich, czem są oazy dla Sahary: obfitość wilgoci lub też miejscowość zasłonięta skałami od wiatrów, wywołuje bujną roślinność w zaroślach nad ich brzegami. Okoliczne ponure milczenie, przerywa w takich miejscach szum owadów, głosy ptaków wodnych, przebywających w trzcinnie lub zrywających się za zbliżeniem wędrowca.

Nędzna powierzchowność lasów sosnowych nie tak pochodzi z natury ziemi jak ze sposobu dobywania z nich żywicy i terpentyny, polegającym na robieniu w drzewie głębokich nacięć. Jeżeli soki drzewne przestają ciec, rozszerzają nacięcie do ośmiu stóp. Osobni strażnicy doglądają drzew, z których każde jest im dobrze znane.

Drogi prowadzą w prostym kierunku, często bardzo przez groble, z miejsca na miejsce. Belki, deski i drzewo opałowe, oto materiały które najwięcej wywożone bywają do portów lub do środka Francyi. Środkiem przewozowym są tu poprostu taczki na dwóch kołach, budowy bardzo ciężkiej, zaprzęgane tylko wołmi. Zaprzęg jest bardzo prosty: do poprzecznej belki połączonej z dyszlem, przymocowane są obadwa woły za rogi. Poprzeczna owa belka pokryta jest niebiesko ufarbowaną skórą barania, zachodzącą aż po nad oczy wołom, odzianym dla ochrony przed kąsaniem much grubem płótnem, szarem, biało







i niebiesko prążkowaném niby koszulą. Woźnica popędza woły nie biczem, lecz podług hiszpańskiego zwyczaju, tyką na końcu zaostrzoną. Zwykle zamiast wołów i koni używają się tutaj krowy, które też za to gorsze dają mléko aniżeli w Pirenejach; w zamian, obcy napotyka tu zwyczaj nieznanym w żadnej innej stronie świata, mianowicie: kucie krów.

Wpędzają je do przeznaczonych do tego stajni, głowę umocowują w jarzmie, ciało zawieszają na dwóch pasach, a nogi przywiązują do czterech palików. Strach biednego zwierzęcia, pałające oko, zięjące nozdrza, sposób nareszcie jakim cała operacja się dokonywa, wszystko to wywiera wrażenie nienajprzyjemniejsze na nieprzywykłego do takich widowisk.

Więcej daleko aniżeli owe w istocie osobliwsze wozy zadziwią podróżnego pasterze, przebiegający stepy na szczudłach. Baskowie są postawy krępej, włos mają gęsty, czarny i wielkie czarne oczy, pięknie odbijające się od ich białej cery. Często jednakże napotkać można dzikie, ogorzałe postacie, szczególniej pomiędzy hiszpańskimi Baskami, prawdziwie arabskie fizjonomie. Z kobiet wiele bardzo ma rysy twarzy kształtne, zbliżone do greckich. Nie dostrzeżesz już tutaj niebieskiej bluzy francuzkiego robotnika lub rolnika; Baskowie noszą krótki obcisły kaftan z grubego, ciemnego sukna i biskajską czapkę; gdzie indziej napotkać można czerwoną hiszpańską szarfę; zachowano tylko francuzkie, ciężkie, drewniane trzewiki. Kobięty noszą pstrą, jedwabną lub bawełnianą chustę, zawiązaną z tyłu głowy nakształt turbanu.

Baskowie nie wychodzą nigdy z domu bez charakterystycznej swój broni, bez sękatego kija; nie jest on ani zbyt ciężki, ani zbyt długi, w pojedynkach i zwadach jednakże bardzo niebezpieczny. Rękojeść z najlepszego i najmocniejszego drzewa, pięknie okręconą jedwabiem lub drutem; u dołu kij jest podwójnie gruby i mocno miedzią okuty. Posiadacz nie używa go nigdy do podpory, lecz nosi na ramieniu.

Natura ziemi, na której się znajdują, zmusza ich do używania szczudeł; niepodobna by inaczej przebyć mnóstwo kałuż i bagnisk tworzących się tutaj przy łada sposobności, a to z powodu zbytniej płaskości gruntu. Drugą przyczyną w tym względzie jest ta okoliczność, że z wysokości szczudeł pasterze lepiej mogą doglądać swych trzód, rozproszonych pomiędzy zaroślami stepowemi. Szczudła zaopatrzone są podobnemi do strzemion deszczułkami, służącemi nodze za podporę; sięgają one do kolana gdzie są

przymocowane tak, żeby nodze pozostało nieco swobody. Koniec, którym szczudło dotyka się ziemi, jest okuty lub opatrzony okrągłym kawałkiem kości; dzięki takiemu urządzeniu szczudło nie zapada się zbyt głęboko w ziemię i nie zużywa się zbyt znacznie na kamieniach. Niepodobna oprzeć się podziwowi widząc z jaką prędkością pasterze płci obojęd pomykają się po stepach przy pomocy takich narzędzi; bez wielkiego wysilenia prześcigają konia biegnącego klusem a nawet małym galopem. Podczas pobytu Maryi-Ludwiki w Bajonnie, magistrat, aby ją uczyć szczególniejszym sposobem, dodał jej straż honorową złożoną z gaskońskich pasterzy na szczudłach; napróżno rozpędzono konie powozu, bo szczudłowi rycerze ani na krok nie dali się wyprzedzić.

Długiego kija, o którym powyżej już była mowa, używają pasterze nie tak do chodzenia, jak do wypoczynku. Godne to podziwu z jaką łatwością i prędkością zstępują oni na ziemię lub podnoszą z niej cośkolwiek; z jednego szczudła wysuwają nogę i trzymając je w jednem ręku, kij w drugiem, rozstawiają trzy swe podpory tak szeroko, żeby noga wolna dosięgała ziemi. Siedzenie tylko ma dla nich swoje trudności; dla tego też często bardzo siadają na dachach niskich budynków. Często też można ich widzieć idących przez pole bez szczudeł, lecz w mgnieniu oka potrafią wspiąć się. Odzież ich składała się niegdyś wyłącznie z baranich skór, zwolna zastąpiły je inne materje, z wyjątkiem pewnego rodzaju płaszcza bez ramion i obuwia. W zimie noszą oprócz tego długi, biały płaszcz, okrywający całą postać, z dwoma kołnierzami o wycinanych brzegach; jednym długim, drugim krótkim i kapturem à la Robinson; koniec kaptura i wycinania przy kołnierzach ozdobione są kutasami lub końskim włosem. Na głowie noszą zwykle płaską, podobną do beretu, czapkę biskajską.

Żywność ich jest również prosta i niewymyślna jak odzienie i wszystkie, nieliczne ich potrzeby; składa się ona z żytniego chleba i pewnego pieczywa z kukurydzy lub prosa, które na zimno z masłem lub słoniną pożywają. Całą ich posiadłość stanowi strzelba do obrony swych trzód od licznych tutaj wilków i piec do pieczenia ciasta z kukurydzy i topienia słoniny. Kobięty robią pilnie pończochy lub przędą podczas strzeżenia owiec, w czém im półdzikie, złe bardzo psy pomagają. Ganięby tylko należało u Basków namiętne oddawanie się gorącym trunkom, wywierające wpływy bardzo szkodliwe na ich zdrowie, również jak na ich moralność.

Wsie bardzo są rzadkie, nie leżą one nigdy przy gościńcu a domy też nie są połączone pomiędzy sobą żadnymi drogami. Częściej aniżeli wsie napotkać można oddzielnie stojące domostwa, zbudowane na palach gdy okolica jest bagnista. Każde pole, każda łąka, otoczona jest płotem i stanowi warownią, w której można się bronić do upadłego. Domy z szerokiemi, płaskiemi, zwieszonemi dachami i gankami są po większej części bardzo okazałe, niektóre dość podobne do szwajcarskich.

Lud Basków jest nadzwyczaj dumny. Nie znają oni pięknego zwyczaju, tak powszechnego w innych krajach Europy, witania obcego wędrowca podczas drogi. Bask kłania się tylko Baskowi, obcemu dziękuje za ukłon zimno i łaskawie; za to nie zna on żebractwa i natręctwa, nie słyhać tu wcale owego: *un petit sou, s'il vous plait, monsieur*, tak zwyczajnego w innych prowincjach Francji. Widząc Baska nadchodzącego z dumnym spojrzeniem, z sękatym kijem na ramieniu, mimowolnie nasuwa się na myśl że zażąda od nas nie jałmużny małej, ale całego worka. Pierwszém słowem Basków spotykających się jest: co słyhać nowego? a następnie: czy macie tytón? Kto jest szczęśliwym posiadaczem pewnego zapasiku, dzieli się z niemającym; komu zaś zbywa na niezbędnym materjale, domaga się go od pierwszego lepszego i otrzymuje z największą łatwością.

Wielu uczonych jest tego zdania, że Baskowie pochodzą od pierwotnych mieszkańców Hiszpanii, od Kantabrow; w każdym razie są oni w istocie ludem pierwotnym, odrębnym zupełnie od wszelkich innych europejskich, pochodzenia bądź pelazgijskiego, bądź celtyckiego, romańskiego lub germańskiego. Język ich odrębny i pierwotny, uważany teraz jako dialekt. Nie mają wcale wyrazów złożonych, każdy składa się z prostych tylko zgłosek. Grammatyka jest nadzwyczaj prosta i dziwnej prawidłowości; dwa są tylko rodzaje i dwa słowa: być i mieć, odmieniające się; wszystkie inne zastępują temi dwoma z imiesłowami i trybami bezokolicznymi, np. jestem mówiący etc. Liczą, tylko do dwudziestu; dla wyrażenia dalszych liczb dodają do dwudziestu poprzedzające, tak np. trzydzieści nazywają dwadzieścia i dziesięć i t. d. Przybycie Basków do Europy dawniejsze było zapewne aniżeli wszelkie początki kultury; w całej Hiszpanii i Afryce północnej aż do Azji mniejszej w nieprzerwanym ciągu udowodnić można, że wyrazy baskijskie wchodzą w skład tamecznych języków; z czego by z wielkiem prawdopodobieństwem wnioskować można, że kraje zamieszkałe były przez ludy

mówiące językiem basków. Pomimo tego nie można uważać pochodzenia tego ludu za dostatecznie wyświecone.

Powiedzieliśmy już powyżej, że Baskowie uważani są za potomków owych Kantabrow, w których Hannibal dzielnych sprzymierzeńców, Rzymianie niepokonanych przeciwników znaleźli. Gdy Frankowie Karola Wielkiego po zwyciężkiej wyprawie nad hiszpańskimi Maurami, przedzierali się napowrót przez Pireneje, nagle, w dolinie Ronceval, wpadają Baskowie na tylne ich zastępy pod dowództwem bohaterkiego Belanda i w pień je wycinają. Najdzielniejszy z rycerzy Karola Wielkiego, którego sławą brzmiały dotychczas niezliczone podania, pada pod ciosami pasterzy nieznacznego plemienia, najnieznaczniejszego, jakie kiedykolwiek napotkał. Podobne wyprawy baskijskich książąt, przyprawiły nareszcie lud cały o utratę niezależności; po krótkim oporze uległ musieliby zwierzchnictwu frankońskich hrabiów. Dzielnemu temu ludowi zbywało zawsze na duchu spójności i stowarzyszenia, który z ludów tworzy narody. Zbyt ufając osobistym siłom, każdy żyje oddzielnie i nie łączy się z drugimi. Nigdy też nie zdołali odzyskać swojej niezależności; dodać jeszcze należy, że hiszpańscy i francuzcy Baskowie przez długi czas rok-rocznie krwawe pomiędzy sobą staczali walki.

Mała tylko ich liczba rozumie po francuzku a oświata w ogóle nie jest u nich posunięta do zbyt wysokiego stopnia. Venedey znalazł wprawdzie bibliotekę w Maule'on, główném mieście właściwej krajiny Basków, du pays de la Seule, liczącem 1200 mieszkańców, lecz w bibliotece oprócz grammatyki baskijskiej, tłumaczenia psalmów, dziełka o naśladowaniu Chrystusa i książeczki do nabożeństwa, nie znalazł niczego. Nawet nie było kalendarza lub almanacha w języku Basków.

Dni świąteczne podają obcemu najlepszą sposobność poznania zwyczajów i obyczajów tego ludu; zajmującym jest szczególnie święto Wniebowstąpienia Matki Boskiej; najuroczystsze może dla wszystkich narodów i połączone z odpustem. Młodzież zbiera się wieczorem na otwartém miejscu pod drzewami wraz z orkiestrą, złożoną z tamburyna, fletu i skrzypców; rozpoczyna się taniec zwany *saut basque* w którym każdy z obecnych tańczy sam jeden, obracając się w koło. „Przy tańcu to,” mówi Venedey, „każdy Bask posuwa swe siły; podskakuje bez ustanku, klaszcze w ręce do taktu, wykrzykuje, biega w koło z głową podniesioną, z spojrzeniem wy-

zywającym, z zawadjackim wyrazem twarzy. Melodja jest szybka, tony oderwane, ostre. Dziewczyny wstępujące także w koło tańczących łączą z śmiałością ruchów niewypowiedziany wdzięk." Tak tańczą do wieczora, nareszcie przeciągają z muzyką przez ulicę i tańczą przed niektórymi domami le Saut basque, francuzkiego kadryla lub niemieckiego walca.

Do najulubieńszych ich rozrywek należy gra w piłkę, w żadnym też domu zajezdnym nie brakuje miejsca osobno na to przeznaczonego; grają z wielkiem

zajęciem i zręcznością, a każda wieś ma swoich zwolenników. Mieszkańcy sąsiednich wiosek zakładają się nawet dość znacznie; na nieszczęście podobne zakłady kończą się zbyt często krwawą bijatyką. Nabożeństwo u Basków jest proste i budujące, młodzież śpiewa chóry, w których i kobiety przyjmują udział. Baskowie są pobożni; rozlegający się głos dzwonka do mszy kładzie koniec wszelkim zwadom i kłótniom.

## GÓRA PIŁAT (PILATUS).

(Z DWIEMA RYCINAMI W TEKSCIE.)

Rigi, ów dumny samowładzca Alp szwajcarskich, do którego co rok w porze letniej udają się dla poratowania zdrowia reprezentanci wszystkich niemal narodowości, został obecnie zagrożony, utratą dotychczasowego swego jedynowładztwa. Powinowaty, lecz dawniejszej dynastji, stary, odwieczny prawie Piłat, którego ród powszechnie znany, a imię zawsze z czcią wymawiane, ilekroć tylko mowa o szanownej linii wielkiej alpejskiej rodziny, teraz odzywa się ze swemi prawami, i wyzywa ulubieńca nowszych czasów, prawdziwego parweniusza Rigi, w obec całego świata do walki o śmierć lub życie. Kto zna obydwóch współzawodników, potrzęsa tylko głową i spokojnie czeka chwili, w której stare, historyczne prawo orzeknie wyrok nad samozwańcem. Pewną jest rzeczą, że Piłat słynął już w XIV wieku, i że już w roku 1489 w „Mulleus maleficarum” (młot na czarownice), z powodu wiążących się z nim podań i niezliczonych baśni o duchach i poczwarach, znakomitą odgrywał rolę. W roku 1518, Vadianus, a w 1661 Leopold Cysat, w swoim opisie jeziora Vierwaldstätter, już o nim chlubnie wspominają, gdy Rigi zaledwie komukolwiek był znany. Pewnym jest również i to, że Piłat prawie o 1000 stóp wyższym jest od Rigi, a tém samym i widok odsłaniający się przed okiem patrzącego z jego wysokości, daleko jest obszerniejszym, niż krajobraz widziany ze szczytu Rigi.

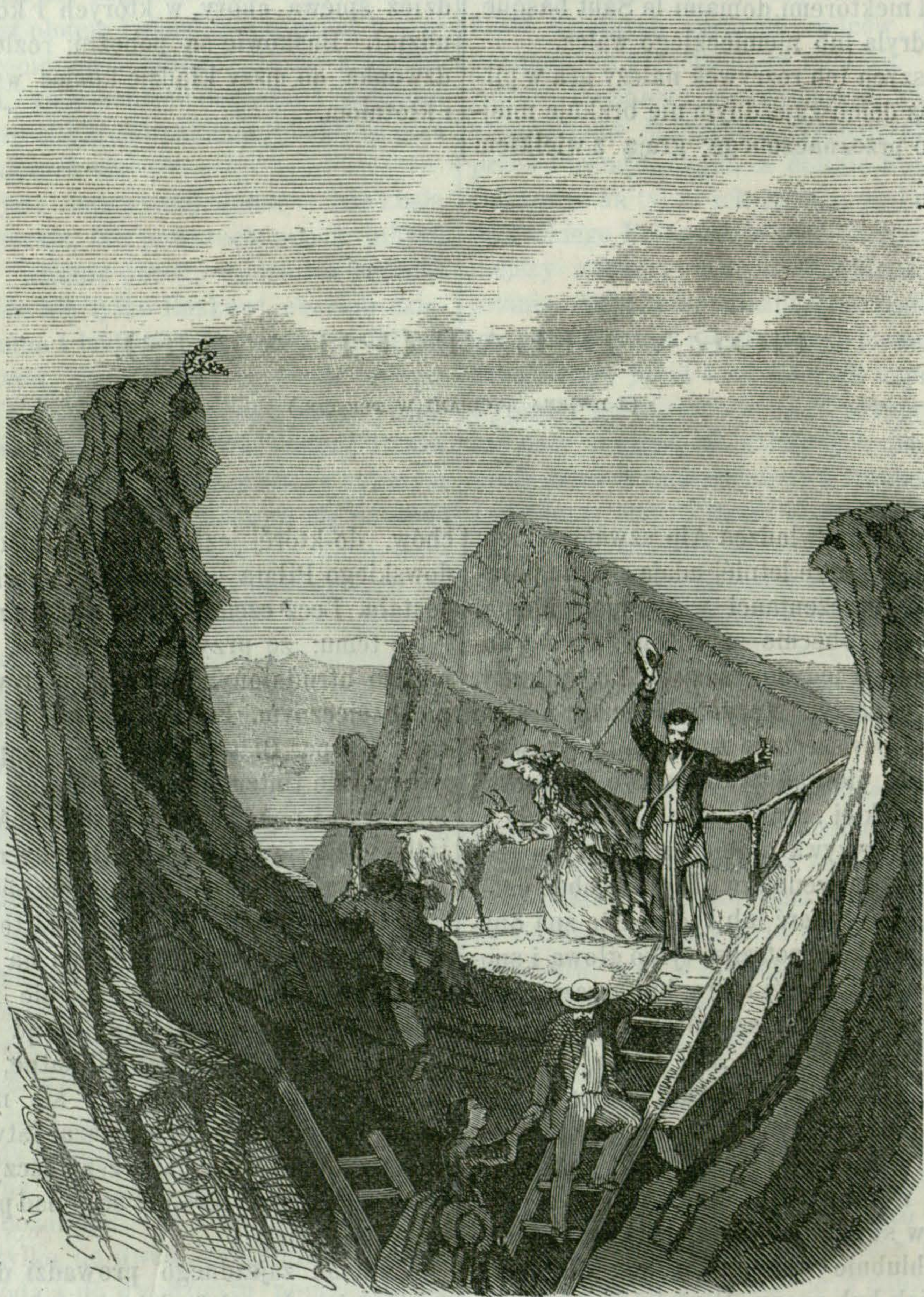
Pomimo tak niezaprzeczonego prawa do pierwszeństwa, mało przecież zwiedzana bywała ta góra du-

chów, do której jeziora, według podania, dusza żydowskiego Piłata za karę na mieszkanie wskazaną została. Lecz czemuż przypisać tę niełaskę? chyba tylko temu: że przystęp do Piłata, dotychczas był bardzo utrudnionym, a nawet pod wielu względami niebezpiecznym. Lecz teraz zmieniła się postać rzeczy. Kasper Blätter, (fabrykant papieru w Rozloch w kantonie Unterwalden,) człowiek ducha przedsiębiorczego i pojmujący całą piękność przyrody, nie tylko zajął się poprowadzeniem szerokiej, wygodnej, a tém samym i zupełnie bezpiecznej drogi od Hergiswyl (nad jeziorem Vierwaldstätter) aż do samego szczytu skały, i wybudowaniem na Klimsenhorneck porządnego domu zajezdnego; ale nadto zdołał te dzikie, prawie nieprzystępne dotąd skały, tak dalece przeistoczyć, że nawet delikatne, bojaźliwe, i nieprzyzwyczajone do wspinania się na góry kobiety, mogą się dostać z największą łatwością i bez najmniejszej obawy na najwyższy szczyt tak nazwanej Oślej góry (Esel) na 6532 stóp nad powierzchnię morza wzniesioną.

Z domu zajezdnego prowadzi droga do Rössli (w Hergiswyl), gdzie dobrze wyjeżdżone i spokojne konie, zawsze w pogotowiu stoją, by przybywających przewieść na żądane miejsce. A ileż to znowu nowych przyjemności, ileż miłych wrażeń! Stąpasz po miękkim kobiercu utkanym z najrozmaitszych ziół i kwiatów, wabiących ku sobie okolicznością barwnych i najpiękniejszych, tworzących bardzo naturalną, a je-

dnak śliczną mozajkę. Na okół w rzędy posadzone drzewa, tu i owdzie rozrzucone domki wieśniacze, a poniżej połyskujące zwierciadło jeziora Vierwaldstätter uzupełniają ten piękny krajobraz.

milowej blisko odległości uroczne miejsce Frankmünt. W stronie północno-wschodniej wychyla się Luzern, głębiej błyszczą swą szklistą powierzchnią jeziora Sempach, Baldeg i Halwyll, w górze zaś ster-



Wejście na Kriesloch, z widokiem góry Osléj.

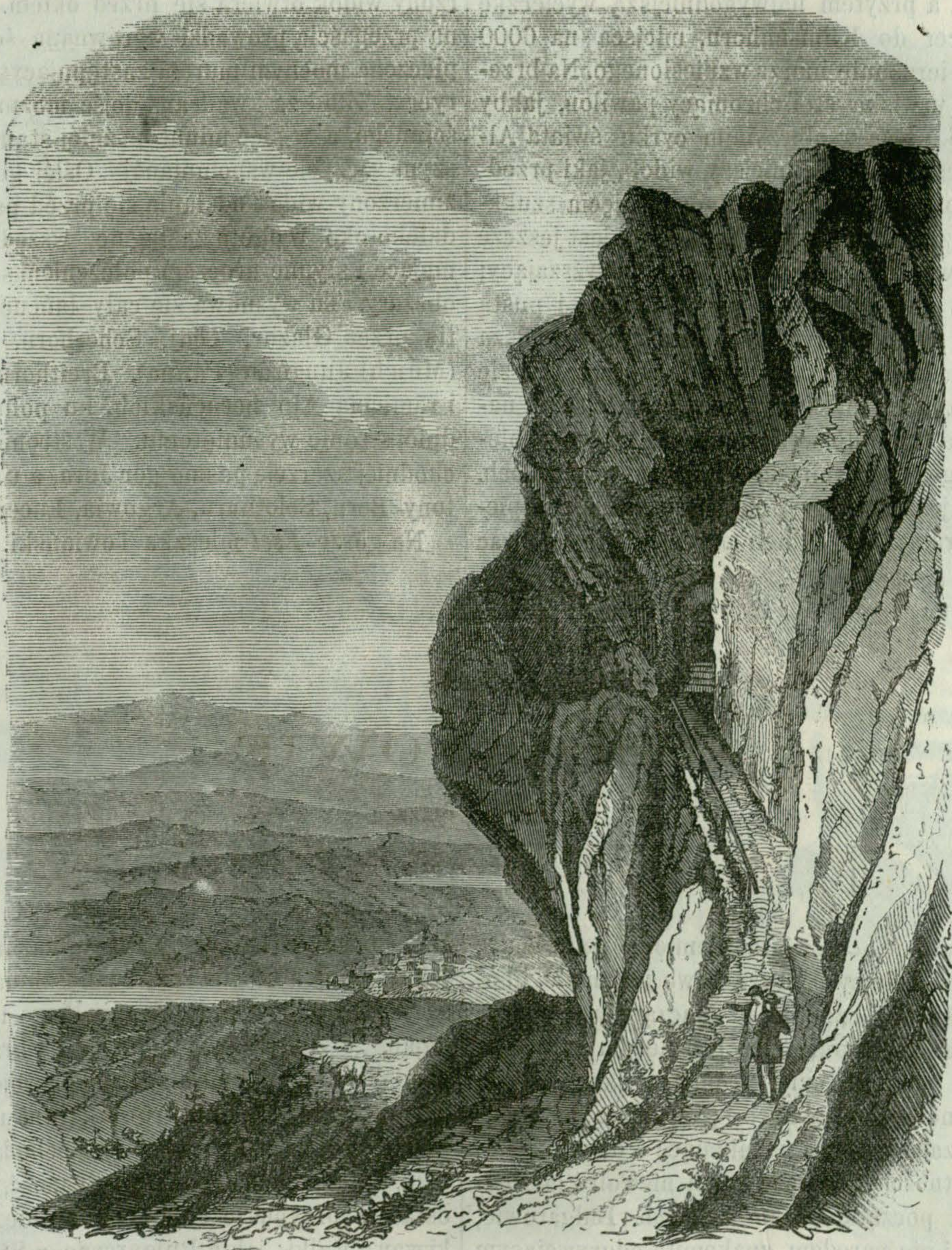
Postąpiwszy cokolwiek wyżej pod górę, podróżny ma sposobność napawać się znowu nowym, odmienne pięknym widokiem. W niewielkiej odległości otwiera się przed nim znana z czarującego swego położenia dolina Stanz, w dali miasto Szwyc, a w dwu-

czy stary Piłat, a chociaż rozpeknięty, w gruzy rozpadły i pełen głębokich otchłani, dumnie wznosił w górę poorane czoło, i zdaje się tykać Nieba. Przez jedną z takich rozpadlin, prowadzi droga dalej. Na całej tej przestrzeni uderza podróżnego dziki a jednak

wzniosły widok majestatycznej przyrody. Olbrzymie skały piętrzą się naokoło, drżysz na ich widok a oczu od nich oderwać nie możesz. Lecz jakżeż mile zdziwionym zostaje podróżny gdy po dwugodzinnem

go świata, ale nadto zostawia oku obszerniejszy zakres, a myśli polot wolniejszy.

Prócz tego ta ciągła różnorodność w przechadzkach, których po części brak Rigi, przemawia nie mało za



Część Góry Piłat zwanój.

blisko wspinaniu się na górę, spostrzega nagle przed sobą, nowy, wygodny domek górski. Położenie jego jest ze wszech miar korzystne, i zapewnia nie tylko to wszystko, co uczyniło Rigi ulubionym pobytom wszystkich turystów i celem pielgrzymek eleganckie-

przyznaniem Piłatowi pierwszeństwa. Ileż to uroku, ile przyjemności w wycieczkach do Alp Bründejskich i Kastelskich, do Alp wyższych i do słynnego, z przywiązanych doń podań, jeziora Piłat. Przed 2ma wiekami urzędowo i pod srogą cielesną karą zabronio-

ném było wrzucanie kamieni do jeziora, ponieważ według ówczesnych wyobrażeń, śmiałość podobna ścigała gniew mieszkających w jego wodach złych duchów, które następnie, zemsty chciwe, zsyłały na kraj gwałtowne, wszystko na okół niszczące burze.

Najbliższą, a przytém najwygodniejszą wycieczkę stanowi spacer do Klimsenhorn, miejsca na 6000 stóp nad powierzchnię morza wzniesionego. Na brzegu stromego urwiska stoi chroniący pawilon, jakby jaka królewska loża w olbrzymim cyrku świata Alpejskiego. Jest to najpiękniejszy widok, jaki przedstawić się może oku, ze szczytu góry, zajęcia szukającemu. A przecież mimo tylu piękności, jest jeszcze inny widok, wspaniałością swoją go przewyższający; prowadzi zaś do niego droga przez głuchą i pustą okolicę. Po półgodzinnym pochodzie, droga dalsza staje się niemożliwą, a to z powodu piętrzących się na okół olbrzymich mass wapiennych. Ale sama natura wyrobiła tunel do wydostania się z tego okolenia skalistego. Jest nim tak nazwany Kriesloch, przed kilku jeszcze laty przejście pełne niebezpieczeństwa, teraz zaś w skutek przedsięwziętych prac

młotem i dłutem wykonywanych, droga tak dalece jest łatwą, bezpieczną i wygodną, że nawet najtrwożliwsze kobiety, wśród żartów, przepaść tę przebywają. Wyszędłszy na górę, znowu nowy, malowniczy, jakby uderzeniem czarodziejskiej różeczki utworzony widok otwiera się przed okiem. Nad bezdenną przepaścią prowadzi wyrównana ścieżka, ubezpieczona mocnym murem zastępującym miejsce baryery. Ztąd za kwadrans dojść można do domu gościnnego, a w pięć minut później stanąć na najwyższym szczycie wspomnianej „Oślej góry.” Tu niezmierny widok odsłania się przed patrzącym. Jak daleko oko w około zasięgnie, wszędzie nowe, zajmujące i słynne uroczem położeniem swoim ogarnia obszary. Tu wysnuwa się cały łańcuch gór od Sentis przez Glazur, Tödi, Scherhorn, Eiger, Mönch (Mnich) Jungfrau (Panna), Breithorn aż do Altels i ramienia Alp berneńskich, ku południowo-zachodniej stronie wysuniętemu. W stronie północno-zachodniej szarzeje pasmo gór Jura, a u stóp jego kantony Bern, Solothurn, Argowia, Lucern i Zurich.

Na górze *Esel* mieszka Towiański.

## BULGAROWIE.

(Z RYCINĄ CZARNĄ.)

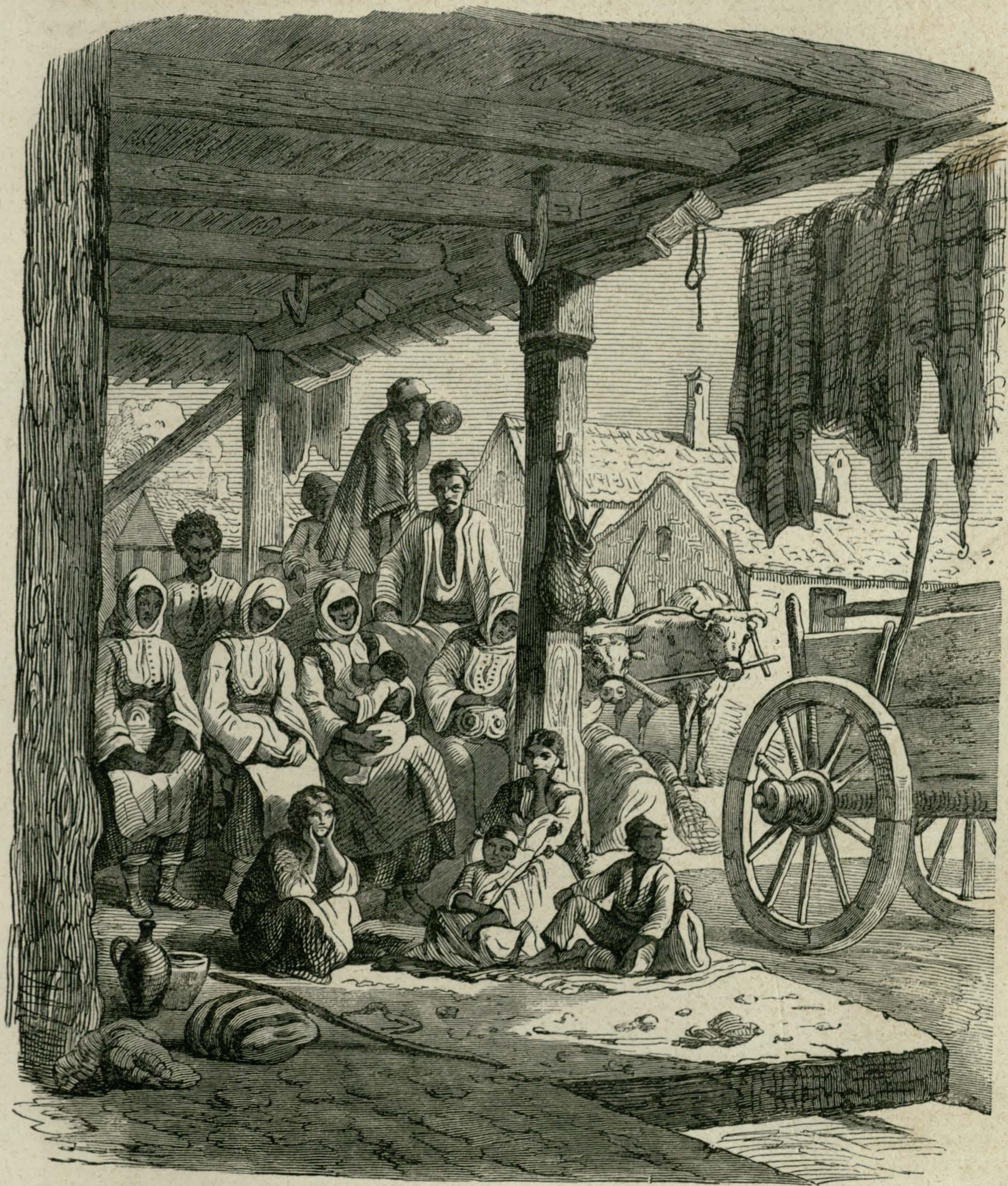
Widzimy w dziejach świata plemiona pojawiające się na widowni dziejowej, początkowo jako małe, ubogie w wypadki, poboczną, mało znaczącą rolę odgrywające narody, następnie jako groźne dla sąsiadów i ościennych państw tłumy, gromiące samą potęgą imienia, to znów jako gasnące i pasożytnie spożywające się nawzajem ludy, zapominające o dawniej potędze i z obojętnością podające karki niewoli i jarzmu.

Nieznani początkowo w dziejach Bulgarowie, wkrótce stali się narodem, znakomitą odgrywającym rolę w kolejach życia cesarstwa Wschodniego. W naszej epoce, mimo upadku swego, stanowisko ich jest jeszcze nader ważnym i zasługującym na uwagę, ze względu na stosunek w jakim do cesarstwa Otomańskiego zostają.

Co się tyczy pochodzenia Bulgarów, nie posiadamy w tej mierze żadnych pewnych wiadomości. Józef

Ren Gorion, w IX żyjący wieku, naznacza im początek wspólny z Chazarami, zamieszkującymi wybrzeża Wołgi aż do morza Kaspijskiego i Turkami, dodając, że rozbili swe namioty na brzegach Wołgi, z kąd prawdopodobnie i nazwisko swoje wyprowadzają, (Wołgarowie, Bułgarowie); inni uczeni w badaniach swoich naznaczają im pochodzenie słowiańskie. Jest jednakże jedna okoliczność, osłabiająca to ostatnie przypuszczenie, mianowicie, owe ciągłe i krwawe walki, jakie Bulgarowie z Słowianami stawali. W wieku XIII mianowicie w roku 1253, Flaman Ruysbrock Rubriquis przejeżdżając krainę Pascatur baszkirską, odrzekł, że: „ex illa regione Pascatur exierunt Hunni, qui postea Hungari, unde et ipsa major Bulgaria; de illa enim Bulgaria venerunt illi Bulgari, qui sunt ultra Danubium.”

To poświadczą, że Baszkiry, Węgry, Bulgarowie,



Bulgarowie w podróży do Serbii.





tegoż samego języka narody, są szczepem plemienia Czuduralskiego.

Znakomity jeden geograf w IX żyjący wieku, mówi, że Wulgarowie czyli Bulgarowie, jakkolwiek nadzwyczaj liczni i ogromne obszary ziemi zajmujący, tylko pięć miast posiadali; reszta zaś ludności w polach, pod gołym przebywała niebem. Najgłówniejszym wówczas z pomiędzy ich miast, było miasto Bulgar. Nadto, dodaje on, Bulgarowie byli panami Morawii (Merchani) liczącą podówczas 30 miast. W tymże samym czasie spotykamy ich osiedlających się nad Dunajem, i zajmujących przestrzeń kraju, zwaną Dobrudżę, między tą rzeką a morzem.

Bulgarowie oddani byli przemysłowi, rolnictwu, handlowi i żegludze. Bakoni wzmiankuje, że Bulgarowie posiadali okręty; inni zaś autorowie opisują nam ogromne ich barki, prujące wody Wołgi i rzek jej pobocznych. W czasach niedostatku, głodu, nieurodzajów, wyprawiali oni często znaczne zapasy zboża do wschodnich prowincyj Rosyi, i zostawali w stosunkach handlowych z Persją przez morze Kaspijskie i z Wielką Bucharyą, (w Turkestanie czyli Tartaryi niepodległej, kraju Azji środkowej), a podobno nawet z Indyanami.

Pierwsze, wyraźniejsze ślady, zapoznające nas z Bulgarami, znajdujemy w V wieku po Chrystusie. Już w roku 500 spotykamy w Mesyi ludy noszące nazwę Bulgarów. W roku 502, ludy te opanowały Sirmium i groziły Konstantynopolowi, co spowodowało cesarza Anastazego do wybudowania długiego muru, zwanego murem Anastazego, a to w celu powstrzymania ich napadów. Zetknięcie to z cesarstwem było powodem, że jedna część Bulgarów przyjęła wówczas religiję chrześcijańską, zostali nawet żarliwymi katolikami, albowiem w roku 508 czy 509 gdy patriarchy Tymoteusz przyjmawszy punkta concilium macedońskiego, odstąpił później od takowych dla przypodobania się cesarzowi, Bulgarowie ujeli oręż w rękę, i pod dowództwem rodaka swego Vitaliusa opanowali Mezę, Trację i nawet część Illyrii, ruszyli na Konstantynopol i narzucili pokój Anastazemu, który, na mocy warunków, obowiązany był oddać patriarchat Macedoniuszowi. W roku 712 rzucili się znów na Trację, dla pomszczenia się na cesarzu Bardanie za prześladowanie chrześcian prawowiernych.

Później widzimy Bulgarów pod rządami królów pogańskich, mianowicie Bogorisa, który dopiero, jak wieść niesie, w czasie ogólnego głodu w kraju uczynił ślub, że przyjmie wiarę chrześcijańską, jeżeli Bóg

Chrześcijan wstrzyma tę okropną plagę, niszczącą cały naród. Prośba jego została wysłuchaną; przyjął chrzest, lecz w skutek ważnych sporów między posłannikami papieża a schyzmatyckim patriarchą konstantynopolitańskim, wybrał obrządek grecki, od-tąd ciągle przez Bulgarów zachowywany.

Królestwo Bogorisa obejmowało nie tylko Bulgaryę ale nadto i Mezę wyższą (Moesia superior). Rozciągało się ono do Theissy w Węgrzech. Podboje Światosława Wielkiego Księcia Kijowskiego, (później przez cesarza greckiego Jana Zemiscesa pobitego, i przy progach Dniepru przez Pieczyngów zabitego) położyły chwilowo kres rozszerzaniu się groźnej potęgi Bulgarów, na wspomnienie której drżało Cesarstwo Wschodnie i państwa sąsiednie.

Lecz począwszy od roku 976, król Bulgarów Samuel posunął zabory swoje aż do morza Adryatyckiego i stał się panem Serbii, Bośni i Czarnogóry. W końcu X wieku (podług Nestora) Włodzimierz przezwany Wielkim (980—1015) wielki książę kijowski wyruszył z znacznem wojskiem przeciwko Bulgarom w celu ujarznienia ich, lecz zabrawszy im kilku jeńców i przekonawszy się że noszą buty, powiedział: „Nie będą chcieli płacić podatków, poszukajmy zatem ludu, któryby nosił obuwie z kory lipowej”—i zawarł z nimi pokój w roku 985. W tym czasie większa część Bulgarów była wyznawcami islamizmu; zbliżywszy się zaś do Włodzimierza, starali się namówić go do przyjęcia nauki Mahometa; nie przyszło jednak do tego, bo Włodzimierz nie mogąc się oświadczyć za żadną wiarą, wyprawił posły do różnych krajów, i na mocy ich sprawozdania uznawszy religiję grecką za najlepszą, tém bardziej biorąc za żonę Annę, siostrę Bazylego II cesarza greckiego, udał się do Korsunia, czyli Chersonu (w dzisiejszym Krymie) i tam przyjął chrzest. Za powrotem zaś do Kijowa, cały naród też samą przyjął religiję.

W roku 996, tenże sam Bazyli II zwany Bulgarotonos, następca Jana Zemiscesa, wtargnął w posiadłości Bulgarów, odniósł nad nimi kilka świetnych zwycięstw, i zmusił ich do uznania zwierzchnictwa cesarzów greckich; 150,000 jeńców wpadło w ręce zwycięzców. Bazyli podzielił ich na gromady po sto ludzi liczące, z każdej gromady kazał 99, jeńcom wyłupić obadwa oczy, setnemu zaś jedno tylko oko, żeby mógł nieszczęśliwych współbraci odprowadzić pod dach ojczysty.

W roku 1025, świetne powodzenie i wzrastająca potęga Węgrów, zadały nowy cios Bulgarom. W ro-

ku 1186, dwóch wołochów Piotr i Osan utworzyli państwo Wołosko-Kumańskie czyli Wołosko-Bulgar-  
skie. Rozdział wewnętrzny Cesarstwa Wschodniego  
dodał pewnego blasku temu nowo utworzonemu pań-  
stwu, a w dniu 15 kwietnia 1205 r. Bulgarowie roz-  
bili armię Latinów, w słynnej bitwie pod Adriano-  
polem, gdzie sam cesarz Balduin dostał się do nie-  
woli, zemsty zaś chciwi zwycięzcy, obciawszy mu rę-  
ce i nogi, rzucili go dzikim zwierzętom na pożarcie.

Mimo to jednak Bulgarowie nie mogąc już odzy-  
skać dawniej niezawisłości swojej, uznali nad sobą  
zwierzchnictwo władców serbskich. Gdy zaś Serbo-  
wie wraz z Wołochami i Węgrami, ustraszeni orę-  
żem Amurata, napadli zbrojno na sułtana przy Kos-  
sowie 1389 w Serbii, i tam pod wodzą cara serbskie-  
go Lazara na głowę pobici zostali; wówczas i Bul-  
garowie wraz z nimi popadli w jarzmo Ottomańskie.

Lecz gdy Amurat, dumny z zwycięstwa, pole bitwy  
zwiedzał, jeden z chrześcijan, który raniony między  
poległymi leżał, widząc podchodzącego cesarza, rzu-  
cił się nań, i za śmierć tysiąca chrześcijan, zemścił  
się, zabijając zwycięzcę.

Od chwili, gdy potęga Bulgarów słabnąć poczęła,  
kraj ich był ciągle wystawiony na napady ludów sło-  
wiańskich, które nieznacznie obok nich osiedlać się  
poczęły. Skutkiem zmieszania się tych dwóch na-  
rodowości było to, że Bulgarowie utracili typ naro-  
dowy i język ojczysty, którego miejsce zajęła mowa  
słowiańska. Tutaj to bezwątpienia upatrywać nale-  
ży powodu uważania Bulgarów za lud szczepu sło-  
wiańskiego.

Bulgarowie tworzą obecnie w Turcyi europejskiej  
naród 4,500,000 dusz liczący, zamieszkujący Bulga-  
ryę właściwą, Mezyę niższą (Moesia inferior), zna-  
czną część Mezyi wyższej (Moesia superior), i sta-  
nowiący treść ludności macedońskiej, wyjąwszy stro-  
ny południowo-zachodniej od Castoria aż do Karasu.  
Góry położone między nizinami Floriny i Castoryi,  
między Kailari i Skliatista, między Ostrowem i We-  
ryą, między Wodena i Niaustą oddzielają (mówi pan  
Ami Boué), terytorium na którym tylko po bulgar-  
sku mówią, od ziemi ku południowi zwróconej, gdzie  
język grecki jest właściwą wieśniakowi mową. Spo-  
tykamy również Bulgarów rozproszonych lub gro-  
madnie zamieszkujących wioski w Tracyi aż po Te-  
kir-Dagh a nawet w stronie południowo-zachodniej  
Serbii. Mieszkańcy właściwej Bulgaryi, są w ogóle  
zniewieściali; zamieszkujący zaś wyższą Mezyę i Ma-  
cedoniję, są ludem energicznym, rześkim, i równie  
wojowniczym jak Serbowie, Albańczycy lub Czarno-

górcy. Wszyscy Bulgarowie mają szczególną sym-  
patyę dla Rosssyan, nie tylko dlatego, że są wyzna-  
wcami obrządku greckiego, ale przede wszystkim  
dla tego, że oczekują od rządu rossyjskiego powró-  
cenia ich narodowości. W roku 1828 znaczna część  
Bulgarów ujęła broń na korzyść Rosssyan, gdy zaś  
ci ostatni cokolwiek za nieprzyjaźnie z nimi obcho-  
dzić się zaczęli, ostygł zapał, i już odtąd nigdzie nie  
zdarzyło nam się czytać, by powstał na korzyść Ros-  
syi. Za granice dzisiejszej Bulgaryi można nazna-  
czyć: z północy Wołoszczyznę i Bessarabią, z wscho-  
du morze Czarne, z południa Rumelią, z zachodu  
Serbię północną; jej granicę zakreślają Dunaj i gó-  
ry Bałkanu.

Obszar kraju wynosi 80,000 kilometrów kwadra-  
towych. Kraj jest w ogóle górzysty, mianowicie ku  
południowi, gdzie graniczy z Bałkanem. Grunt ży-  
zny, bogaty w lasy i pastwiska. Uprawa zboża, wi-  
na, tytoniu i owoców, hodowanie krzewów różanych  
dla otrzymania olejku różanego, chów bydła i je-  
dwabników, stanowią wyłączne prawie zatrudnienie  
Bulgarów.

Znaczniejsze miasta w dzisiejszej Bulgaryi są: So-  
phia 50,000, Warna 30,000, w niej twierdza i port  
nad morzem Czarnem. (Tu poległ Władysław War-  
neńczyk król polski i węgierski 1444 roku.) Szumla  
warownia, w pobliżu przejście przez góry Bałkań-  
skie. Widdyn, Nikopolis, Ruszczuk i Sylistrya, wa-  
rownie nad Dunajem, pamiętne w wojnie z Rosssya-  
nami.

Kwestya wschodnia, dla rozwiązania której Euro-  
pa niedawno zmuszoną była wojnę prowadzić, stała  
się w ostatnich czasach znowu przedmiotem ogól-  
nych rozpraw, i jedynie tylko z powodu groźny cha-  
rakter przybierających wypadków we Włoszech, na  
jakiś, nie długi zapewne czas, cokolwiek zaniedbaną  
została.

Hat-humajum, ów okrzyczany owoc pokoju paryz-  
kiego, miał służyć za podwalinę i rękojmię pokoju  
na Wschodzie; jeżeli jednak zwrócimy uwagę i pod-  
ścisły rozbiór weźmiemy powody, które skłoniły  
Rosssyę do wznowienia tej kwestyi, nie będziemy jej  
mogli odmówić zupełnej słuszności w tej mierze.

Nie możemy bynajmniej powątpiewać o ogólnie  
dobroczyńnych i chętnych zamiarach zmienienia przy-  
krego położenia chrześcijańskich poddanych Porty.  
Tych to zamiarów następstwem, było wspomniane  
wyżej Hat-humajum; jak daleko jest jednak do wcie-  
lenia w czyn tego przez Hat-humajum przyobieca-

nego równouprawnienia chrześcian z wyznawcami nauki Machometa; wnieść możemy z owych dzikich *Bogów* uważających biednych Rajahów za dobro, przez Boga im podarowane. Hat-humajum stało się obecnie źródłem nowych nieszczęść i ciosów dla biednych Rajahów; ponieważ każde odwoływanie się na zapewnione im ustawą prawa, pociąga za sobą tém dotkliwsze uciemżenie ze strony tureckich władzców.

Z tych to powodów liczne rodziny chrześcijańskie

zamieszkujące Bośnię, Bułgarię i Albaniją, postanowiły przenieść się wraz z całym dobytkiem do Austrii, Serbii i Grecyi. Całe karawany bośniackich chrześcian znalazły nową ojczyznę w austriackiem pograniczu wojskowem; 17 rodzin bułgarskich osiedliły się również w ostatnich czasach w Serbii.

Rycina umieszczona tu na oddzielnój karcie, przedstawia odpoczynek w godzinie południowej trzech rodzin bułgarskich dążących do miasta Jagodiny nad rzeką Morawą w Serbii.

## NIKTÓRE ZWYCZAJE I OBRZĄDKI WYZNAWCÓW BUDY.

Jeden z tegoczesnych podróżników opisuje nam zabawny, rzecz można, sposób jakim mieszkańcy Tybetu odprawiają na cześć Budy modlitwy swoje. Ci którym powołanie otwiera drogę do klasztorów, do tak zwanych Lamazeryj, mogą dni i noce osobiście oddawać się modlitwie tak koniecznej u Budystów, lecz inni, którym usposobienie, położenie, życie świeckie nakazało, nie chcąc mimo to ustępować pierwszym w ilości i szybkości modlitw, wymyślili rodzaj młynów wyręczających ich w tém pobożném zatrudnieniu. Nabożne te machinki nazywają się Tszu-kor czyli modlitwy kręczone. Narzędzia takie bywają rozmaitych rozmiarów, robione są z grubej tektury, składającej się z arkuszy papieru, na którym w języku tybetańskim wypisane zostały, najbardziej używane modlitwy. Czasem ten, okrągłego kształtu, do beczki podobny młynek, jest tak mały, iż pobożni idąc trzyma go w ręku i kręci sam nieustannie; niekiedy znów są to na większą skalę, większym kosztem, budowane beczki, z tak dobrze urządzoną maszyneryą, że strumień obracający koło na którym umocowana jest pobożna beczka, nie uszkadza papieru zapisanego modlitwami, Machina unosi się po nad wodą bezpiecznie, i właściciel, którego kosztem jest zbudowana i której czuwa nad nią, z pociechą wychodząc z mieszkania swego, widzi, jak ta niezmordowana wyręczycielka pobożności jego, ciągle jedną po drugiej modlitwę obraca. Wszakże przyznać trzeba, że tylko *czarni*, to jest świeccy ludzie, uciekają się do tak krzywdzącego umysł ludzki sposobu. Tatarzy nazywają świeckich czarnymi, jak się zdaje, z powodu włosów czarnych, które Lamowie golą zupełnie: są to zwykle ludzie nader prości, bez żadnego prawie umy-

słowego wykształcenia; nauki bowiem i wyższe religijne pojęcia tylko pomiędzy Lamami znaleźć można.

Podług twierdzeń Missionarzy nawracających ludy azjatyckie, najtrudniej przyjmuje się nauka chrześcijańsko-katolicka pomiędzy Budystami; powodem do tego zadziwiającym na pozór, a mającym w gruncie istotne zasady, jest właśnie zbytnie podobieństwo w formach, a nawet w niektórych dogmatach wiary, pomiędzy wyznawcami Wielkiego Budy, a wiernymi Kościoła Katolickiego. Budysta uznający wyższość ducha nad materją, wierzący w twórczą siłę jego, dumny z niej, nie chce się poddać, nie chce uznać, a raczej nie może przypuścić wyższego światła; ma on bowiem dla siebie zaspakajające warunki jakich wyższa natura ludzka zawsze i wszędzie w wyznaniach religijnych potrzebuje; ma wiarę w życie przyszłe, w karę i nagrodę, stosunek dusz zmarłych; poprzestaje więc na tém, bo znów jego wyobraźnia wschodnia, rozbijała, gorąca, nie chce się wyrzec mnóstwa zabobonów, a mianowicie bogatej dla siebie niwy, jaką ma nieraz w metempsichosis; z téj niwy zbiera ona najobfitsze dla siebie plony; dostarczające jej na codzienne życie, dość monotonne, najciekawszych, najcudowniejszych fenomenów, z których snują wątki do swoich chorobliwych legend. Czyżby mógł pobożny Lama wyrzec się władzy rozpoznawania nieszczęśliwych braci swoich w różnych stworzeniach, a nawet w najlichszych robaczkach, których ilość, kłusząc ciało jego, stałaby się nieznośną. Życie jego byłoby nadto prozaiczne, nadto ogołoczone z działalności; gdy tymczasem otoczywszy się niewidzialną dla profanów, tajemniczą ludnością, co

chwila jest widzem najrozmaitszych dramatów, odgaduje bowiem przyczyny dla których biedna dusza cierpi w robaczku, stara się ulżyć jój, obchodząc się z nią z największą względnością, chroniąc ją od cierpień. Lamowie bowiem są konsekwentniejsi od innych pogan wierzących w przechodzenie dusz, i uważają za zbrodnię zabójstwo czy to zwierzęcia, czy robaczka, w którym, podług ich przekonania, cierpiąca dusza pokutuje. Czują oni obowiązek ratowania dusz zmarłych nie samą modlitwą; liczą więc sobie nie tylko za zasługę ale za pociechę możność oswobodzenia od cierpień fizycznych duszy pokutującej. W przytomności pewnego Europejczaka za naszych czasów podróżującego w Tybecie, dwóch tatarów wyznawców budaizmu, pokłóciło się między sobą z powodu iż jeden korzystając z nieobecności sąsiada, na pobożny jego młynek, obsadził swoje modlitwy, a zdjął tamtego, któren naturalnie dostrzegłszy że nie jego, tylko sąsiada, kręcą się modły na młynku, jego kosztem na strumieniu obsadzonym, wpadł w wielki gniew.—Naprawdę łakomy pobożniś tłumaczył mu, że strumień równie i koło jego gruntu płynie, że później gotów był mu na powrót tamte osadzić modlitwy: przyszło do tak ostrych przymówek a w końcu do tak głośnych krzyków, że opodal mieszkający Lama uczuł się w obowiązku pogodzić zwaśnionych; pospieszył do nich, przemówił słowami pokoju, i sam ustawił młynek żeby modlitwy mógł obracać. Skończyła się kłótnia i sąd sprawiedliwy rychło nastąpił; lecz gdyby ci ludzie byli mieli przypadkiem, na sumieniu swoim świeżo zamordowanego jakiego nieszczęśliwego w robaczku żyjącego brata, Lama najpierw byłby się nad losem jego rozczulał. I tak tenże sam podróżny był świadkiem jak człowiek pokrzywdzony, gdy przyszedł prosić o wymiar sprawiedliwości Wielkiego Lamę, na nieszczęście złapał był w palce *robaczka domowego*, których z powodu gorąca i nieporządku jest tam nadzwyczaj wiele, i których, świeccy i mniej pobożni Lamowie, nie mają za skrpuł zabijać lub topić. Wielki Lama natychmiast dostrzegł widać, że w dwóch ściśnionych palcach musi być żyjątko naprzykrzające się; prosty swój domysł jak zwykle tam bywa, bierze za natchnienie. Wzruszony, mówi uroczystym i przejętym oburzeniem głosem: „Nie litościwy, okrutny człowieku! nim pomyślisz o sobie, o odzyskaniu krzywdy własnej, puść nieszczęśliwą ofiarę, którą w palcach męczysz; bolesne jój jęki, cierpienia, odzywają się w sercu mojem.” Cóż dziwnego, że raz uwierzywszy, iż życie ludzkie takich doznaje

przemian, pobożny, wierzący w natchnienie swoje Lama, przejmując się prawdziwą litością i miłością dla tych cierpiących istot, odgaduje ich przeszłość, osłania od cierpień terażniejszość, pociesza lepszą przyszłością. Nigdy on nie zapomina o ich przytomności, i o swoich względem nich obowiązkach, dla tego przechadzka jego, czy to piesza, czy na mule, jest pełna uwagi, ostrożności, albowiem obawia się on nogą nadeptać na żyjątko, w którémby biedna dusza pokutowała. Czyściec katolicki w nieznanym sferach zamieszczony, nie zaspakaja, nie wystarcza budystom. Nadto, tam kaźden prawie pobożny Lama może się spodziewać uświęcenia na tym jeszcze świecie; pełno jest żyjących Budów czyli świętych, pełno Lamów zgadujących przyszłość, nie przypuszczających żadnych, niepojętych do rozumu tajemnic, trudno więc im z tak wielkiego stanowiska zejść do pokory chrześcijańskiej, do uznania niepojętego w tajemnicach swoich Boga. A przecież tak nadzwyczaj zbliżone są obrzędy ich, z ceremoniami katolickimi i z dyscypliną kościelną jak np. bezżeństwo księży czyli Lamów i rekolekcyje; a w obrządkach najwięcej uderzają tożsamością swoją następujące: błogosławieństwo udzielane z wyciągnięciem prawej ręki nad głową wiernego—processya—posty—koronka—litanije—exorcyzmy—woda święcona—officium na dwa chóry—nawet trybularze przez pięć łańcuszków utrzymywane, otwierające się i zamykające według upodobania; zgoła tyle jest podobieństw iż wątpić nie można że w czasie najazdów cesarzy mongolskich, obrządki te przyniesione były z Europy do Azji a potem według upodobania rozwinięte lub wykrzywione zostały.

Mówimy tu rozumie się o dzisiejszym budyzmie, który formami i zabobonami tak odbiegł od pierwszych zasad, dających pole do tłumaczeń dowolnych, a mimo to nacechowanych wyższem natchnieniem założyciela budyzmu, pięknego Sakjamuni a właściwie *Siddhartha* pierwszego Budy. Wielki ten człowiek zrodzony w kaście najwyższej Braminów, rzuca bogactwa, żonę, dzieci, przejęty obrzydzeniem do rzeczy znikomych, przekonywa o ich marności, każe duchowi panować nad materją, a co najdziwniejsza wychowaniec Braminów, niszczy kasty, i wszystkich ludzi do braterstwa przypuszcza. Wprawdzie wpada tu w taką przesadę że i w robactwie, i w zwierzęciu widzi brata. Młody Indyanin w niektórych pojęciach przewyższa Braminów, a w niektórych nie dochodzi do wysokości pierwotnych ksiąg ich; nie wdaje się bowiem, nie dotyka wcale początku wszechrzeczy,

nie mówi nawet o Bogu — wspomina krótko że „świat ten powstał z grzechu, więc cierpi wiecznie.” Nie pojmuje zdaje się wcale, nie przypuszcza szczęśliwości wiecznej z wiedzą, z poczuciem bytu. Najwyższe bowiem szczęście jakie spotkać może Ascetę, oderwanego od stosunków ziemskich, a tém samym *wyzwolonego* z prawa odrodzenia się, jest przejście po śmierci w miejsce, a raczej w stan, w którym się nie myśli a razem nie czuje się braku myśli, jednym słowem jest to rodzaj jakby odrętwiałości, w której się nie czuje.

Piękność, a mianowicie jasność i zwięzłość przykazań Sakjamuni, odróżniająca naukę jego od innych sekt indyjskich, tak olśniła niektórych, szczególnie Koepena, niemieckiego autora dzieła pod tytułem: *Die religion des Budhas*, iż ośmielono się kłaść ją na równi z przepisami wiary Chrystusa. Ależ jakkolwiek wielkim jest założyciel budyzmu, jakkolwiek wiele jest w nauce jego myśli, któreby jak poprzedzającym światłem. jak zaraniem chrześcijaństwa nazwać można, to przecież porównania z nim żadnego czynić nie należy. Weźmy np. jedno przykazanie tak jasno przez Sakjamuni podane uczniom: „Nie zabijaj” jakże w pojęciu różnym jest od naszego, jak dowodzi zmieszania, zlania w jedno człowieka ze zwierzęciem. Zarówno bowiem Budha nie każe zabijać człowieka jak robaczka, równy grzech popełnia „ten który zabije, czy to z głodu czy w obronie swój jakiegokolwiek zwierzę, również jest występny jak ten który zabija człowieka, tylko swoją własną krew wolno jest przelać,” gdyż zniszczenie jestestwa swego jest głównym celem, jest jedynym prawie sposobem oswabdzającym człowieka od prawa odradzania się, a tém samym od wiecznego cierpienia. Zarówno czyni dobrze ten, co życie swoje naraża ratując człowieka, jak ten który go dla zwierzęcia poświęca. Sakjamuni chcąc dać tego doskonałą naukę uczniom swoim przytacza im zdarzenie, gdzie święty, to jest Buda, dochodzi do tak wielkiej poniewierki jestestwa swego a razem do tak wielkiej litości nad cierpieniem cudzem, iż widząc tygrysię głodną, nie mającą czem dzieci swych wykarmić, rzuca się jój sam na pastwę.

Pierwszy Buda czyli Sakjamuni dał pięć głównych jasnych przykazań dla wszystkich. 1) Nie będziesz zabijał; 2) nie będziesz kradł; 3) będziesz wiódł życie czyste; 4) nie będziesz kłamał; 5) nie będziesz pił napojów mocnych. Niektórzy przypuszczają iż do rąk Indyanina doszło może kiedy oderwane jakie pismo z ksiąg Mojżeszowych, lecz zdaje się że on to wysnuł z własnego sumienia, któreto nie pierwszy

raz odzywało się w ludzkości dyktowało główne prawa moralności i tylko rozwinięcie, wytłumaczenie, zastosowanie tych praw, cechuje wyższe natchnienie. Gdyby Buda uderzonym został prawdą księgi Mojżesza tak, żeby aż sobie jój naukę przyswoił, to dziwić by się należało, dla czego pełna uczucia, skłonna do uniesień jego natura, tylko środkowe wybrała przykazania, a dla czego by najpierwsze, najgłówniejsze nakazujące miłość dla Boga odrzucił? — Dla czegożby uznanie Wielkiego, niepojętego Stwórcy, którym jest przesiąknięta księga natchnionego prawodawcy Izraela, nie przyjęła się w wyższym umyśle Indyanina? Ta wielka prawda, podana przez Braminów drogą fałszu, na krzywdę ludzkości, na podniesienie jednej kasty, mogła przejść niedostrzeżona; lecz gdyby się był spotkał z nią, w sposób tak czysty i wzniosły jak jest w księgach Biblii przedstawiony, niepodobna żeby mógł odrzucić. Z braku więc pojęcia o Bogu i o przeznaczeniu człowieka, wpadł biedny Indyanin wraz z następcami swymi, jakby w głęboką przepaść, w której światło dzienne wązkimi wpadając szczelinami, nie wystarcza im do rozpoznania otaczających ich przedmiotów, a czarne sklepienie nie dozwala im wznieść oczu do błękitu nieba.

„Po owocach poznacie drzewo” mówi pismo ś. Najzawziętsi wielbiciel Budyzmu nie zaprzeczają jego smutnych dzisiaj owoców. Liczna, po całej Azji rozrzucona ta sekta, wszystkie zasoby bogatej swój ziemi i własnej natury, marnuje na zadosyć-uczynienie śmiesznych wymagań, potwornych poświęceń. Tu pełni życia indyanie, strasznymi samobójstwami dążą do *zniweczenia* jestestwa swego; ówdzie, w bogatych Lamazerjach na setki liczyć można beczynnych Lamów i obojętnych na wszystko co się w koło nich dzieje, z których każdy myśli jakby się ascetycznym życiem wyswobodzić od odrodzenia, lub odżyć raz ostatni w żywym Budzie i cześć odbierać w beczynnej spokojności.

Zdaje się, iż nigdzie tyle jak w Tartaryi i Tybecie w obrządkach swoich budyzm nie zbliża się do katolicyzmu; tłumaczą to częstym stosunkiem jaki istniał między dziećmi Mongoła a katolikami.

Abel Remusat w pamiętnikach swoich które wyszły w r. 1824, mówiąc o stosunkach handlowych i politycznych chrześcijańskich państw i różnych książąt a mianowicie królów francuzkich z Tatarami, wiele ciekawych, rzucających światło przytacza wypadków; z których bardzo jasno okazuje się, że częste w XII i XIII wieku podróże, czy to posłów tatarskich, czy też goniących za handlem prywatnych

ludzi różnych i misyjonarzy, były przyczyną tak wielkiego zbliżenia w obrządkach budystów z katolikami w Mongolii, a ztąd w całej Azji. Autor wyżej wspomnianych pamiętników tym częstym stosunkom przypisuje, jak się wyraża: „Założenie hierarchii Lamaicznej, ustanowionej na wzór Rzymskiej, a zarządzonej przez zlanie się w jedno pozostałych po nestoryjanach przekonań, z wyznaniem Budystów.” Twierdzenie to nie podpada żadnej wątpliwości, albowiem w ósmym i dziewiątym wieku misyjonarze już rozesłani byli, i po Azji wyższej odprawiali swoje, w celu nauczania wiary, pielgrzymki. Tymoteusz Nestoryjański wysłał był w początkach dziewiątego wieku mnichów swoich do pokoleń nad morzem Kaspijskiem mieszkających, którzy doszli aż do środkowej Azji, i do Chin. Za czasów Dżingis-chana, Franciszkanie i Dominikanie, również w celu nauczania Ewangelii udali się do Tartaryi. A wiadomo iż w XIV wieku Klemens V ustanowił był arcybiskupstwo w Pekinie wówczas zwanym Kambależ, głównie dla Franciszkana który przez 42 lat nauczał tatarów, i przełożył na język tatarski Ewangelię i psalmy; te ostatnie dotąd w niektórych Lamazerjach Budystów lubo przeistoczone znacznie, spotkać można.

Albowiem prześladowania religijne później dopiero rozpoczęły się. Tatarzy zanadto byli dzicy żeby się przywiązać do jakiejś idei religijnej byli w stanie. Straszny, okrutny Dżingis-chan dawał wszelką wolność nie tylko wyznawania, ale nawet nauczania religii chrześcijańskiej w państwach swoich;—a nadto następcy jego chcąc wciągać katolickich księży do ligi przeciw turkom, zwykle przez posłów swoich, obiecywali przyjęcie religii chrześcijańskiej. Zgoła dopiero po upadku przewagi tatarskiej, po zwycięstwie odniesionem przez dynastję Mantszu, po wzroście państwa Chińskiego, nastąpiły prześladowania chrześcijan. Chińczycy dumni ze swego Konfucjusza, nie pomnąc że ten wielki mędrzec na 500 lat przed Chrystusem jakby przepowiedział przyjście Jego, mówiąc że jakkolwiek on zna światłość to przyjdzie czas w którym się ludziom objawi prawdziwa mądrość Boża, która przyjdzie od Zachodu; nie chcieli uznać téj wyższej mądrości, i wszelkich nieszczędzili środków aby wytepić, zatrzeć pracę misyjonarzy katolickich, którzy do opasanego murem Pekinu już zupełny wstęp stracili, a z całej Mongolii wypędzani i prześladowani byli.

W ciekawem piśmie pod tytułem: „Nowy Azyatycki Dziennik (Nouveau Journal Asiatique par Jaquet) czytamy zajmujące wyjątki podróżników z wieków

środkich zwiedzających jeszcze za panowania Mongołów Tartaryę i Chiny. Jest tam dokładny opis Braci mniejszych, czyli zwanych zwykle Minorystów, których tam Klemens V wyprawił, również jako o biskupstwie w Kambależ, (w Pekinie) dynastji mongolskiej. Również opis sekty chrześcijańskiej nestoryjańskiej, oderwanej od Rzymu i od VIII wieku gniezdzącej się w całej Mongolii, która to w końcu, jakieśmy wyżej powiedzieli, przerodziła się w budyzm tém łatwiej, że straciwszy wszelkie z Europą stosunki, oderwawszy się zupełnie od Rzymu, przyjęła zwyczaje krajowe, a témsamém uniknęła prześladowań. Najwidoczniejsze piętno tego przejścia zachowali Budyści Mongolscy. Chińczycy, lubo od dawnych swoich władców w małej części przyjęli budyzm, po swojemu go w formach zmienili, a przytém w swój zarozumiałość, mieniając się najstarszym istniejącym od kilkudziesięciu lat narodem, początkowi wyznania Budy także bajeczną naznaczyli dawność.

Wiekowi naszemu należy się bezwątpienia cześć wielka w *odkryciu* można powiedzieć tego nieznanego Wschodu, tak ciekawego, tak pełnego uroku, jaki ziemia za kolebkę rodu ludzkiego uznana obudzić może. Wiek przeszły dalekim był jeszcze od uznania potrzeby przypatrzenia się blisko i z dokładnością azyatyckim ludom, to też mnóstwo odwiecznych pamiętników podróżników i osiadłych tam misyjonarzy już zepsutym, mieszanym, rzec można, językiem, pisanych leżało odłogiem. Wiek przeszły za jedyną skarbnicę wiadomości, za jedyne źródło wszechwiedzy miał starożytnych, którzy ani się domyślali, że ten wschód pogardzany przez nich, wyższe miał od nich pojęcia filozoficzne, że Konfucjusz i księgi indyjskie za wzór ich filozofom służyćby mogli. Ale wróćmy się do założenia, na początku tego artykułu uczynionego, to jest do skreślenia niektórych zwyczajów i obrządków wyznawców Budy.

Do bardzo ciekawych i rzec-by można cudownych ceremonij należy *uznanie i sprowadzenie* do Lamazerji, żywego Budy. Po śmierci Lamy któren w niepokalaném żadném przestępstwie życia, doszedł do starości, i cześć powszechną obudzał, wierni idą, przygotowawszy się postami do téj pielgrzymki, do znanego i słynącego z nauki Wieszczbiarza, i proszą go aby im powiedział czy dusza ich świętobliwego Lamy, nie weszła w jakie dziecko, aby odbierać cześć sobie należną. Wieszczbiarz wtedy zagłębia się w swój nauce proroczej, czyni różne zaklęcia, i w końcu zostaje uwiadomionym za pomocą tęczy która się unosi nad okolicą gdzie mały Buda znajduje się, że

dusza nieboszczyka już objęła mieszkanie w kilkoletnim dziecku, tam a tam się znajdującem. Z największą dokładnością opisuje miejsce, rodzinę, w której żyje dziecko. Uradowani pielgrzymi głoszą tę szczęśliwą wiadomość, zbierają ogromne składki aby z należytą świętemu godnością sprowadzić go do Lamazeryi częstokroć bardzo odległej od miejsca urodzenia małego Budy.

Gdy pielgrzymi, w liczonym towarzystwie chcącego mieć udział w tak wielkiej uroczystości ludu, po wielkich trudach znajdują dziecko, mimo gorącego pragnienia, aby tem dzieckiem był nieboszczyk ukochany, nie poprzestają na słowie wieszczbiarza, tylko dla przekonania się różne próby czynią. Zapytują go o różne zwyczaje i upodobania zmarłego Wielkiego Lamy; nadto stawiają przed nim rozmaite sprzęty, a między niemi te, które z sobą przynieśli, których używał nieboszczyk. Dziecko niewytłumaczonym sposobem, opowiada swoje dawniejsze upodobania, i zgaduje które sprzęty do niego należały „tym kubkiem, mówi, lubiłem nasycać pragnienie, tą filiżanką zwykle pijałem herbatę i t. d.” po tak dowodnym przekonaniu się że istotnie Lama jako święty odżył w dziecku, z wielką radością i wspaniałością prowadzą czyli wiozą otoczonego najwyższą czcią *żywego Bude*. Na spotkanie go wychodzą Lamowie z gmachu czyli Lamazeryj, do których go wiozą. Radość jest ogólna, albowiem wielkie szczęście i błogosławieństwa przywiązane są do okolicy i Lamazeryi, w której zamieszka święty czyli żywy Buda. Ze wszech stron schodzą się pielgrzymi aby go widzieć, znoszą bogate dary na ofiarę, a gdy go wiozą, pobożni rzucają się aby kopyta końskie i koła szczęśliwe, drogi ciężar wiozące, roztratować na śmierć, lub przynajmniej pogruchotać im kości mogły. Jakim sposobem dziecko czasem cztery tylko lata mające może się przejąć charakterem swoim? jakim sposobem zgaduje sprzęty najulubieńsze? niewiadomo. Wiarogodni podróżni twierdzą iż Lamowie, pielgrzymi, w najlepszej wierze tę całą odprawiają komedię; nie jeden z nich upojony szczęściem z widoku dziecka świętego, podwaja cnotliwe uczynki, czy to przez pieczołowitość około bliźnich swoich robaczków i muszek, czy przez posty i umartwienia, ażeby po śmierci zostać takim żywym Budą. Fenomenem stokroć większym nad dziecko, przyjmujące rolę świętego, wzbudzającym podziwienie w europejczykach, którzy żadnym naturalnym sposobem wytłumaczyć go sobie nie mogą „jest tak zwane przez uczonych i świętobliwych Lamów” *Sic-fa* czyli „sposób, *sita przewro-*

*tna*.” Jest to jakaś dziwna, nadprzyrodzona sztuka czyli możność, którą obdarzeni niektórzy Lamowie zadają sobie śmiertelne rany, nie tracąc życia, nie szkodząc nawet zbytecznie zdrowiu swemu. Lamowie wyżej ukształceni pogardzają tem; sami nigdy *Sic-fa* nie używają, uważając za szkodliwy dla ducha ludzkiego, ale obojętność ich na zbawienie bliźnich dozwala im patrzeć na to i nawet w swoich Lamazeryjach odprawiać te szatańskie widowisko, wykrzywające pojęcia ludu.

Gdy się znajdzie Lama, któren chce być *Bokte* to jest cudotwórcą przebitym, oświadcza to Lamazeryi, a ta ogłasza w całej prowincyi że dnia takiego a takiego, w ich Lamazeryi, jeden Lama okaże publicznie *moc* swoją, i przebije się na ołtarzu. Wtedy zbierają się liczne tłumy nieledwie z całego kraju, aby uwielbiać Lamę. Gdy dzień męki nadejdzie, w ogromnym dziedzińcu Lamazeryi, lub przed nią jeśliby tak wypadło dla szerszego miejsca, ustawiają ołtarz w godzinie naznaczonej. *Bokte* otoczony licznymi pielgrzymami, poprzednio do Lamazeryi przybyłymi, idzie uroczystym krokiem, wstępuje na gradusy ołtarza, siada na nim, tak żeby go lud cały widział, wyjmując z zapasa nóż i kładzie go na kolanach. Wtedy Lamowie (do których jakieś wyżej powiedzieli nie należą najstarsi) otaczają nieszczęśliwego szaleńca, śpiewając rozmaite jakieś modlitwy: te śpiewy dochodzą w końcu do dzikich wrzasków. Wtedy jakby pobudzony niemi *Bokte* wpada w jakiś szal, zaczyna wymawiać jakieś zaklęcia, nagle rozpasuje szal ścisnąc biodra: rozstępują się Lamowie aby go nie zasłaniać przed widzami, a on gwałtownie porywa nóż i rozrzyna sobie cały brzuch; krew spływa obficie po ołtarzu, lud się ciśnie, Lama siedzi czas jakiś z obłąkanym wzrokiem, zadają mu rozmaite pytania dotyczące się przyszłych losów, a odpowiedzi jego uważane są za wyrocznie. Po czém *Bokte* bierze w prawą rękę krwi trochę płynącej z ciała jego, niesie ją do ust, chucha z wysileniem trzy razy, smaruje krwią tę rozcięty od góry do dołu żołądek, ścisnąc rozwartą bliznę, opasuje na powrót pasem, i o swojej mocy lubo blady i chwiejący się, idzie do domu. Za to lud liczne mu składa ofiary, któremi on Lamazeryę za użyczoną pomoc obdarza. Taki *Bokte* najwyższą cześć jedna sobie u ludu, lecz koledzy Lamowie płacą mu pogardą to *sic-fa*. W czynie jego nie ma nic udanego, na prawdę rozcina ciało, zamykające wnętrzości, które lud widzieć potrzebuje aby uwierzyć w moc jego. Wiarogodny, zacny, uczony medyk zaręczał nas iż sam widział, to śmiertelne rozcięcie,

i krew toczącą się w obfitości, i jak twierdził, niepodobna mu było pojąć jakim sposobem człowiek tak raniony mógł wstać, zamknąć ranę w oczach jego, i odejść o swojej sile. W podróżyach swoich misyjonarzy, również jak znajomy nam medyk, świadkami tego byli. Są ludzie tak wszystko w budyzmie do ideału podnosić chcący, iż w tych przedstawieniach dzikich, szatańskich, chcą widzieć podobieństwa z chrześcijańskimi męczennikami! Ależ jaki cel ma taki Bokte? oto obudzić u ludu podziwienie, cześć dla siebie i zebrać mnogie ofiary. Wyższym już od niego jest Fakir zadający sobie prawdziwą męczeńską śmierć, chociaż czyni to tylko dla sponiewierania życia, wyswobodzenia się z pod praw przedradzania się, a pobudza go do tego widok *żywego Budy* świętego *Człowieka*; albowiem w budyzmie człowiek jest wszystkim. I dla tego to Mahometanin wołający *Allach Kieryw!* (Bóg jest Wielki) Bramin przejęty czcią dla wielkiego Wisznu, zgoła każdy dziki uznający jakąś niepojętą istność, łatwiej przyjmie religiję Chrystusa niżeli Budysta.

Rozmaitego są rodzaju przedstawienia sie-fa w różnych stronach Azji; niektóre są mniej obrzydliwe, mniej dziko wykonywane przez wędrujących Lamów, a niektóre wśród murów Lamazeryi, tolerowane przez przełożonych tychże. Jakkolwiek widok ich przejmuje podziwieniem Europejczyka, nader smutne czyni wrażenie, również jak wykrzywione i podobne na pozór obrządki, obchody uroczyste, przypominające mu jakby w karykaturze obrządki jego własne. Są wszakże niektóre uroczystości na które z prawdziwą przyjemnością patrzeć można: jedną z tych jest np. w Tybecie obchodzone *święto kwiatów*. Jeden z tegoczesnych misyjonarzy widział je w wielkiej Lamazeryi *Kumbu*, i tak ją opisuje:

Jest to wystawa światowa i religijna, w której wszystkie ludy azjatyckie przedstawiane są z właściwą sobie cechą fizyognomij i ubiorów. Osoby, ubrania, krajobrazy, dekoracye, wszystko jest robione ze świeżego masła. Trzy miesiące poświęcone są na przygotowania do tego szczególnego przedstawienia. Dwudziestu wybranych pomiędzy najzdadniejszymi artysto-lamami zajęci są codziennie wyrabianiem tych arcydzieł z masła, trzymając ciągle ręce w zimnej wodzie, aby ciepło ciała nie psuło roboty. Ponieważ praca ta odbywa się powiększej części w czasie najostrejszych zimowych mrozów, artyści ci ztąd wielkich doświadczenia cierpienia. Zaczynają najprzód od silnego przerabiania masła w wodzie aby mu nadać twardość, poczem każdy zajmuje się utwarza-

niem z niego rozmaitych części dzieła, jakie mu powierzone zostało. Wszyscy ci robotnicy pracują pod dyktando jednego naczelnika, który skreślił plan kwiatów tegorocznych i czuwa nad jego wykonaniem. Po wykończeniu tych robót, inny oddział artystów nakłada je kolorami zawsze pod przewodnictwem naczelnika. Widok wystawionych sztucznych kwiatów wprawia w zadziwienie—nigdy bowiem biorąc miarę z malowideł i rzeźb w świątyniach budystów będących, wnosićby nie można o prawdziwie znakomitym stopniu artyzmu tych wyrobników masła. Tak zwane „kwiaty” są to płaskorzeźby olbrzymich rozmiarów, wystawiające rozmaite ustępy z historyi Buddyzmu.

Wyobrażenia osób mają piętno prawdziwości zadziwiającej; twarze są jak żywe, pozy naturalne a ubrania zręcznie rzucone. Na pierwszy rzut oka rozróżnić można gatunki strojów. Futra szczególnie oddane są ze szczególniejszą umiejętnością. Skóry owcze, tygrysie, lisie, wilcze i inne tak były doskonale przedstawione, że chęć brała dotknąć się ich ręką dla przekonania się czy nie są prawdziwymi. W tych wszystkich płaskorzeźbach łatwo było rozróżnić Bude. Oblicze jego szlachetne i wspaniałe, do typu kaukazkiego należało zgodnie z podaniami Budystów, utrzymujących, iż Buda, pochodzenia zachodniego, miał twarz białą, lekko zarumienioną, oczy pięknie oprawne, nos duży, włosy długie i miękkie. Inne osoby miały wszystkie oddzielne typy jak: mongolski z odcieniami tybetańskiego, chiński, tatarski i si-fan—które to wszystkie, pomijając ubranie, odróżnić łatwo było można. Były tam także gdzieśgdzie głowy indyan i murzynów bardzo dobrze przedstawiane, wielką w publiczności wzbudzające ciekawość. Wszystkie te olbrzymie płaskorzeźby ujęte były jakoby w ramy przedstawiające rozliczne ozdoby ze zwierząt, ptaków i kwiatów złożone; wszystko to, wyrobione z masła, zadziwiało pięknoscią kształtów i kolorów.

Pomniejsze płaskorzeźby między temi umieszczone, przedstawiały w miniaturze bitwy, polowania, sceny z życia koczowniczego, i widoki znakomitszych lamazeryj Tybetu i Tartaryj. W jednym nakoniec miejscu był teatr, którego osoby i dekoracye także były z masła, osoby miały stopę wysokości, przedstawiały one zgromadzenie Lamów udających się na modlitwy do chóru. Teatr najprzód ukazywał się pusty, na odgłos dopiero trąby z konchy morskiej (używanej w ciągu tych uroczystości) wychodzili z dwojga drzwi pobocznych dwoma szeregami



Lamowie, za niemi przełożeni ich w ubiorach święte-  
cznych; nieporuszenie postawszy chwilę na scenie,  
wracali za kulisy z wielką uciechą widzów i przed-  
stawienie było skończone.

Wszystko to oświetlone było pięknie urządzonej  
illuminacją, a pozostawiane pod gołym niebem przed  
rozmaitemi świątyniami budystów, w tej lamazeryj  
znajdujących się. Nieprzeliczona ilość wazonów  
miedzianych w kształcie kielichów, ustawiona była na  
lekkich wzniesieniach wystawiających rozmaite fanta-  
zyjne dessenie. Te wszystkie wazony różnej wiel-  
kości napełnione były masłem, z którego wychodził  
knot silnie bawełną okręcony. Illuminacje te urzą-  
dzone z wielkim smakiem mieścić by się mogły wśród  
naszych najpierwszych miast europejskich.

Nazajutrz ze wschodem słońca, śladu już nie było  
uroczystości kwiatów. Wszystko rozebrane zostało,  
a ogromna ta ilość masła, wrzuconą została w głąb  
sąsiedniego wąwozu na pastwę kruków. Tak ogro-  
mna praca, tyle potrzebująca czasu, i można powie-  
dzić talentów, służy tylko na zabawę jednej nocy.

Corocznie nowe robią kwiaty i z nowego planu—  
corok mnóstwo robotników kaleczy ręce, traci zdro-  
wie, aby ulepić arcydzieło z tak nietrwałego matery-  
jału jakim jest masło, ażeby przez noc jedną zachwy-  
cić pięknym widokiem ludzi, i uczcić *żywych Budów*.  
Marnuje się na to nieprzeliczona ilość masła, które  
jest tak drogim tam produktem. — Zamiast żeby tę  
olbrzymią pracę starać się zachować jak najdłużej,  
oddają ją na zniszczenie! Tak to zawsze i wszę-  
dzie przebija się, w zasadzie piękna ale wykrzywio-  
na myśl, pogardy dla wszystkiego co jest materiją.  
Główna to nauka pierwszego Budy. Ta jedyna do  
chrześcijańskiej podobna zasada, jakże smutne wyda-  
ła owoce, jak sprzeczną jest z innymi dogmatami Bu-  
dy! Z jednej strony pogarda dla materji, a człowiek  
mogący siłą ducha rozkazywać jej, zniszczyć ją, za-  
tracić się zupełnie, lub odżyć świętym, najdoskonal-  
szym, ten człowiek mogący się wyłamać z praw ist-  
nienia, zbratanym jest z płazem! winien widzieć  
w nim równego sobie brata.

Budyzm nie wkraść się do Afryki, nie było tam  
żywiół do przyjęcia go stosownych. Jakkolwiek  
pełno było bałwochwalczej mieszanki w wierze uczo-  
nych magów, przecież na świątyni Sais znaleziono  
taki napis: „Jestem ten, co był, jest, i będzie, żaden je-  
szcze ze śmiertelnych nie uchylił zasłony, która mnie  
pokrywa.” To też wiadomo jak wczesnie Egipt po-  
znał światło Ewangelii, jak Aleksandrja pomimo sprze-  
czek filozoficznych sekty neoplatonistów, była dłu-

go ześrodkowaniem cywilizacji chrześcijańskiej. Lecz  
w krainach wyznawających Budyzm, nie rychło pra-  
wdziwe zajaśniało światło; nigdy on nie stawiał świą-  
tyń dla niepojętego Stwórcy wszechrzeczy. On zbadał  
tyń wszystkie tajniki przyrodzenia, on je rzecz można  
trzymać w mocy swojej; nie wznosi się ponad ziemię;  
jego *Nirwanę* prędzej by można nazwać otchłanią  
niż niebem, bo tam duch bez świadomości, bez czu-  
cia i myśli przebywa; innego szczęścia nie pragnie,  
nie pojmuje Budysta. W pysze wielkiej nie chce przy-  
znać żadnej omyłki w nauce swojej. Olśnieni niekto-  
remi pięknościami znajdującymi się w legendzie in-  
dyjskiej, wielbiciele Budyzmu, kładą to na rachunek  
zbytniego z chrześcijaństwem podobieństwa, zastąpić  
go nieledwie mogącego. Istotnie przesłaniczne spoty-  
kają się tam myśli. Bolesć młodego posłannika przy-  
pomina księgi Joba a uderza silniej, bo się ją znajdu-  
je w bałwochwalczych wychowańca Braminów ustach.

„Dnia jednego — mówi Legenda — gdy spotkał Sa-  
kjamuni wychodząc z domu rodzicielskiego, człowie-  
ka złamanego wiekiem, z przyschłą skórą do kości;  
a dalej innego w gorączce, bez żadnej opieki, mę-  
czącego się cierpieniem i obawą śmierci razem;  
i znów trzeciego trupa niesionego przez rodzinę, wy-  
dającą bolesne krzyki; wtedy na widok tych stra-  
snych nędz ludzkości, tych potrójnych boleści, *sta-  
rości, choroby i śmierci*, uznał, iż nie ma co robić  
z młodością i życiem — i woła z boleścią: „O szkoda  
młodości! którą ma starość zniszczyć; biada zdrowiu  
tyloma chorobami niszczoneму! biada życiu którego  
człowiek tak krótko używa! O! gdyby nie było ani  
starości, ani chorób, ani śmierci! — pomyślę o doko-  
naniu oswobodzenia.” I przychodzi czas w którym  
młody Indyanin uznał się w sile dostatecznej na do-  
pełnienie tego zadania — siłę tę wydobywa z siebie  
samego, za pomocą ostrego życia. Wtedy uznaje się  
Budą i dyktuje prawa, w których istotnie są wielkie  
i piękne prawdy. Najchlubniejszém jest uznanie do  
którego on pierwszy doszedł, uznanie możności i po-  
trzeby panowania nad zmysłową naturą człowieka;  
wyżej tę możność pojmuje prawodawca indyjski, niż  
dzisiejsi organizatorowie praw. Dzisiejsi bowiem tak  
mają na względzie potrzeby zmysłowe, tak uchybia-  
ją wyższej naturze ludzkiej, iż pod prawa sanitarne  
podciągnęli nadużycia sprzeciwiające się najpierw-  
szym chrześcijańskim zasadom, że otwarcie upra-  
wnili nierząd. Gdy tymczasem, pod gorącym niebem  
wśród obyczajów pogańskich, wśród zmysłowych  
uciech, Indyanin uznał możność w naturze ludzkiej  
wyłamania się z nich zupełnego. I dotąd widzimy

wyznawców jego, życie zupełnie czyste prowadzących, a mimo to pełnych czerstwości i zdrowia.

Nieszczęściem tylko, że mistrz ich każe im być cnotliwymi nie dla miłości cnoty, nie przez obowiązek, ale raczej przez własny interes..

Znakomity pisarz Barthelemy St Hilaire w zajmującym dziele swoim wydanym roku 1860 pod tytułem: „*Le Boudha et sa reli'gion,*” rozbierając ze stanowiska filozoficznego naukę Budy, oddając jej wielkie pochwały, przytaczając prawdziwie piękne, pełne melancholii i poezji wyższej miejsca, z przypowieści i nauk młodego Siddhartha z kasty Sakias, (Sakiamuni) przecież uczynił słuszną uwagę: „że ta szczególna religija, która się obywa bez Boga, wydała cnotę bez obowiązku, a miłosierdzie bez miłości.”

Przyznać trzeba, że zaprowadzenie wyznania Bu-

dy wpłynęło znacznie na obyczaje dzikich ludów. Ta litość dla każdego stworzenia (boć miłość nieczynna, litością tylko zwać można) złagodziła znacznie niegdyś tak okrutnych potomków Dżengis-chana, nie mało wpływała także na to, zmiana w sposobie życia, to jest nie używania upajających mocnych napoi, zakazanych przez Bude, i niejedzenie mięsa. Szczęściem dla wyznawców Budy, że Sakjamuni nie znał dokładnie historyi naturalnej, i nie wiedział o zwierzokrzewach; dostrzegłszy życia w roślinach, gotów byłby zabronić ścinania drzew, jak zabronił noszenia jedwabnych tkanin, ażeby nie zabierać własności jedwabnikom. Ciężko bowiem byłoby obejść się bez jarzyn, niżeli bez sukien jedwabnych, a mianowicie bez ścinania drzewa tak potrzebnego, czy to do budowli, czy to do gotowania potraw.

## KAROL NAPIER.

(Z WIZERUNKIEM NA STAŁI.)

Znakomity angielski marynarz, który służył rozmaitym państwom, rozmaite posiadał też nazwiska i tytuły; w Anglii był on admirałem *Sir Charles Napier*; — w królestwie Obojga Sycylii, kawalerem di Ponza; w Portugalii zaś, admirałem Viscondo Cabo de San-Vincente. Od młodości pragnąc zostać żeglarzem, wstąpił do służby morskiej, podczas gdy ojczyzna jego dobijała się panowania na morzu. Wielu naówczas było mężów, których czyny rozgłosem swym świat cały napełniały; młody Napier zdołał jednakże stanąć w jednym z innymi rzędzie. Ściągnął na siebie powszechną uwagę po raz pierwszy jako dowódca jednego z okrętów angielskich wysyłanych podczas panowania króla Joachima na obronę wyspy Sycylii. Na leżącą w niewielkiej odległości od stałego lądu, naprzeciw przystani Terracina, neapolitańską wyspę *Ponza*, mimo mocnej załogi nieprzyjacielskiej opatrzonej wszelkimi środkami do odporu, uderzył Napier i wziął ją bez żadnej prawie straty ze swojej strony. W nagrodę, król Ferdynand IV nadał mu neapolitańskie szlachectwo, mianował kawalerem di Ponza i ozdobił orderem ś. Ferdynanda. Po zawarciu pokoju mianowany został kapita-

nem okrętu liniowego; lecz wkrótce, również jak i największa część jego towarzyszków broni, musiał pozostać bezczynnym, co mu pozwoliło przepędzić długi przeciąg czasu na łonie rodziny. Wojna domowa w Portugalii w r. 1833 nastęrczyła sposobność odznaczenia się. Don Pedro, który się poróżnił z swym admirałem Sartoriusem, nakłoniony przez rząd angielski, poruczył jego posadę dzielnemu kapitanowi Napierowi, który 4 czerwca 1833 r. objął naczelne dowództwo nad konstytucyjną flotą portugalską, złożoną z wielkiej, lecz niegotowej jeszcze do żeglugi, fregaty *Don Pedra*, z dwóch mniejszych *Rainha de Portugal* i *donna Maria*, korwety *el Postuense*, dwóch brygów i pięciu nieuzbrojonych parostatków. Mając pod sobą 3500 żołnierzy puścił się w drogę 21 czerwca z Oporto ku Algarcajo, aby odwrócić uwagę nieprzyjaciela w tamtą stronę i tym sposobem przyjść w pomoc wojsku portugalskiemu zamkniętemu w Oporto. D. 24 czerwca ujrano flotę przy ujściu rzeki Gwadjany i wnet, znajdująca się tam warownia Cocillas poddała się prawie bez oporu. W przeciągu sześciu dni całe wybrzeże Algarcaji było podbite; kiedy zaś książę Terceira na czele wojska



*Druck & A. Schuler in Stuttgart*

F. NAPIER



które Napier przywiózł, zajmował się przywróceniem porządku w odzyskanj prowincyi, wtedy admirał posunął się z flotą ku północy, prawdopodobnie aby zawładnąć jakim warownem miejscem na wybrzeżu Alemtejo. Dnia 2 lipca spotkał się na wysokości przylądka *San-Vincente* z szukającą go a daleko silniejszą flotą don Miguela, złożoną z dwóch okrętów liniowych *Joao* i *Rainha*, dwóch fregat *Princeza Real* i *Martin de Freitas*, trzech korwet, dwóch brygów i szebeka. Liczbą więc i wielkością okrętów przeważała flotta nieprzyjacielska. Napier zaś dowodził w boju doświadczoną osadą i miał dzielnych oficerów. Dwie floty uderzyły na siebie w dniu 5 lipca po południu. Najsilniejsze dwa okręty postawił Napier naprzeciw liniowemu zwanemu *Rainha*; fregata zaś *donna Maria* musiała stawić czoło daleko silniejszej fregacie *Princeza Real*, korwecie *el Portuense* i baig *Willastor* fregacie *Martins de Freitas*. Nie zatrudnił wcale Napier okrętu liniowego *don Joao* jako też wszystkich mniejszych statków nieprzyjacielskich. Bez względu na silny ogień jakim go przyjęto, zahaczył 80-działowy okręt *Raina* i pierwszy z szablą w ręku wdarł się na jego pomost. Rozpaczliwa walka, w której on i jego syn zranieni zostali, w około powstała. Angielscy matkowie, z których się składała osada okrętu, przełamali wszelki opór: w przeciągu pięciu minut *Raina* była wzięta. Jednocześnie tenże los spotkał *Princezę Real* zahaczoną przez *donnę Marię*. Pozostałe okręty *don Miguela* albo po krótkim oporze zabrane zostały, albo same przeszły na stronę don Pedra. Skutki tego zwycięstwa morskiego były stanowcze dla wojny domowej w Portugalii. W kilka tygodni potem książę Terceiry wkroczył do Lisbony a w przeciągu roku don Miguel zmuszony był opuścić Portugaliją, i szukać schronienia na angielskim wojennym okręcie. Don Pedro otrzymawszy wiadomość o wypadku bitwy pod *San-Vincente* podniósł Napiera do godności vice-hrabiego de *San-Vincente*, i obсыpał go orderami. Po skończeniu wojny domowej portugalski admirał powrócił do ojczyzny jako angielski kapitan na połowie żołdu. Ufny w szacunek rodaków, na który czynami wojennymi zasłużył, na próżno ubiegał się po kilka razy o miejsce w izbie niższej, bo dawano ciągle pierwszeństwo ludziom wcale prawie nie zasłużonym dla tego, że jego przeciwnicy, torysowie, zbyt stanowczą mieli tu przewagę.

Przy wstąpieniu na tron królowej Wiktoryi, mianowano Napiera kawalerem orderu łaziennego, w ro-

ku zaś 1839, gdy zawikłania na wschodzie spowodowały powiększenie angielskiej siły morskiej, otrzymał dowództwo nad okrętem liniowym należącym do floty admirała Stopforda.

W następującym roku dowodził jako kommodor oddziałem floty blokującym pobraża Syryjskie; zadaniem jego było zmusić Mechmeda Alego do ustąpienia z Syryi stosownie do układu londyńskiego, zawartego w lipcu. Gdy się to nie udało a sprzymierzone floty angielska, austriacka i turecka przystąpiły do podbicia Syryi, wtedy dopiero nadeszła stosowna dla Kommodora pora, do rozwinięcia całej swj rzutności i sprężystości. Pułkownik Smith, mający dowodzić w tej wyprawie wojskami lądowymi, zachorował i został się w Gibraltarze, a zgrzybiały admirał Stopford nie tylko, że chętnie wyręczał się ognistym podwładnym w kierowaniu flotą, ale mu porucił dowództwo wojsk lądowych, tak że tamten działał jako generał i jako admirał. Dnia 10 września 1840 roku wylądował w pobliżu Bejrutu niepełna z pięcioma tysiącami wojska po największej części tureckiego, otoczył się szansem nad zatoką a odparłszy ze stratą i poraziwszy kilkakrotnie przełamujące liczbę wojska egipskie, zmusił Solimana Paszę do cofnięcia się z Bejrutu, ostrzeliwanego tymczasem od strony morza przez flotę. W dniu 26 września zdobył twierdzę Saida, a gdy 12 października, pułkownik Smith przybył aby objąć dowództwo nad wojskami lądowymi, już główne punkta wybrzeża syryjskiego znajdowały się w mocy sprzymierzonych. W najświetniejszym czynie wojennym tej wyprawy, w zdobyciu twierdzy St. Jean d'Acre, Napier czynny brał udział: poczem wysłano go do Aleksandryi, gdy Mechmed Ali nie poprzestał jeszcze stawiać oporu w nadziei, że Francya choć w części dotrzyma uczynionych obietnic. Dnia 22 grudnia stanął kommodor angielski pod Aleksandryą a 27 zmusił Mechmeda Alego do podpisania układu, na którym oparto urządzenia, tyczące się dzisiejszego stanu Egiptu.

Układu tego jednakże niechciał uznać ani admirał Stopford, ani poseł angielski w Konstantynopolu, pod pozorem, że do zawarcia go Napier nie miał upoważnienia. Polityczne stosunki w Europie przybrały jednakże podówczas tak groźną postać, że Anglia rada była pozbyć się egipskiej sprawy, a lord Palmerston, wbrew zdaniu admirała Stopford i posła w Konstantynopolu, skwapliwie przyjął układ zawarty przez Napiera. I teraz więc szczęście sprzyjało śmiałemu marynarzowi; zamiast pociągnięcia

do odpowiedzialności, sława załatwienia sprawy, którą wielu uważało za niepodobną do załatwienia, jednoznacznie mu przyznana została. Parlament podziękował za to w uroczystej odezwie, a sułtan obsypał orderami i podarunkami, nawet Mechmed-Ali jemu przypisywał swoje ocalenie od zupełnej zguby, jaką mu gotowali admirał Stopford i poseł w Konstantynopolu. Królowa Wiktorya nadała kommodorowi swemu tytuł: Baronet Sir Charles Napier, a za powrotem do Anglii po skończonej wyprawie, lud przyjmował go z najżywszą radością; handlowe miasta Liverpool i Manchester wyprawiły na jego cześć ucztę, Londyn udzielił praw obywatelstwa, a najludniejszy okrąg Marylebone wybrał go na deputowanego do izby niższej.

Romantyczne umysły, któreby w każdym bohaterze rade widzieć Herkulesa lub Adonisa, zawiodłyby się niezmiernie w swych urojeniach, przyjrząwszy się zbliska powierzchowności dzielnego pogromcy floty don Miguela i zdobywcy St. Jean d'Acres. Niski i krępy, z potężną łysiną, Napier miał w twarzy wyraz niczem niezakłóconego humoru. Gardził wykwinnością toalety; ubiór jego po największej

części bywał nader zaniedbany, czyli po prostu mówiąc, brudny. Czasami tylko przywdziewał na głowę wielki sombrero, to jest słomiany kapelusz ze skrzydłami bajecznej szerokości. W izbie niższej należał do liberalnych, nawet więcej do radykalnych aniżeli do whigów. Jak wszyscy, którzy w późniejszym dopiero wieku wstąpili do parlamentu, popełniał Napier bezustanne błędy w formalnościach; zadawszy np. pytanie ministrowi, wrywał się z mową, nie czekając odpowiedzi, za co go wzywano do porządku. W ogóle, jedyną sprężyną całej jego działalności politycznej, było—własne przekonanie. Plany miewał przy tém tak zręcznie obmyślane, iż mu się zawsze udawały. Osobista odwaga, również jak i jego excentryczność, słynęły. Prowadząc raz w Syrii Turków do szturmów, wywijał nad nimi kijem, gdyż inaczej, jak sam mówił, nie byliby zrobili tego, co do nich należało. Po zdobyciu St. Jean d'Acres, i wysadzeniu w powietrze twierdz Mechmeda-Alego, nie wahał się przyjąć jego zaproszenia na kawę i fajkę, pomimo znanego wiarołomstwa wice-króla. Ostatnie czyny Napiera zbyt są znane z gazet, abyśmy się mieli nad nimi rozpisywać. Ur. 1796 † 6 listopada 1860 r.

## PARGAMEN Z PODWÓJNEM PISMEM (PALIMPSESTUS.)

Bez zaprzeczenia żaden kraj nie posiada tyle skarbów z przeszłości sztuki i nauki ile piękna Italija, i żaden nie obfituje w ludzi mających wyłączną do odgrzebywania tych skarbów zdolność. Zdaje się iż Opatrzność, nie chcąc aby na wieki ludzkość pozbawioną została tych wielkich dzieł, stwarza ludzi których zadaniem jest dźwigać z gruzów zabytki sztuki, odczytywać nadzwyczajnym sposobem z odwiecznych pargaminów zatarte a wielkie umysłu ludzkiego dzieła. Widząc tych pełnych żywości ludzi z tak wielką cierpliwością odtwarzających dawne dzieła, musimy przyznać, że oni na ten świat przynieśli z sobą potrzebę poświęcenia się tej mozolnej pracy tak na pozór przeciwniej żywej naturze krajowców. Jednym z tych biegłych odtworzycieli przeszłych dzieł sztuki jest w Wicency Miglioranza, bez odpoczynku pracujący nad ułożeniem w całość budowli znalezionej w ziemi teatru Monga o którym wydał dwie broszury pod tytułem: „Relazione intor-

no gli scavi intrapresi per l'illustrazione dell'antico teatro di Berga. Padova 1838 i 1839 roku.

Nader częste zdarzają się okazyje do rozwinięcia podobnego, jak i budowniczy Jan Miglioranza posiada, daru: w każdym bowiem niemal mieście włoskiem napotkać można na ślad większych lub mniejszych gmachów przez czas ziemią pokrytych, a co więcej na téj ziemi innemi przez potomków przywalonych gmachami; lecz nadzwyczaj już rzadko odkryć można w jakiej bibliotece pargamen z podwójnym pismem, to jest ażeby stare charaktery, przez nieznaną się na wartości potomność zamazane, pokryte zostały nowem pismem.

Zdawało się że minął już czas, w którym się poświęcano nauce odczytywania, odgadywania starych manuskryptów, a raczej zdawało się, że ich już zupełnie zabrakło. Zapomniano już prawie o polowaniu na dawne rękopisma: dopiero Maï przyjaciel sławnego Mezofantego powołany został do odgrzebania

tęj nauki. Znalazł on w bibliotece Medyolańskiej skarby obfite, jeszcze nietykane. Poprzednicy bowiem jego uprawili, uporządkowali tylko powierzchnię pokładu tego pola badawczego—nie odkrywając spodniej warstwy tych nieocenionych skarbów nauki. Pod literą pisma, drzemał duch—już to poezji, wymowy lub historii i filozofii—zaklęty od lat tysiąca, i czekający jakby na czarnoksiężnika któryby go uwolnić umiał. Słowem, zadziwiającym wynalazkiem kardynała Maï, było wyczytanie rękopisów po dwa razy pisanych czyli naukowo nazwanych Palimpsestów. Książka naprzykład zakatalogowana w bibliotece jako komentarz albo kazania z XI i XII wieku, a której kopia znajdować się mogła w innych bibliotekach, pod badawczo-naukowym okiem Don Angela, pokazuje się być skarbem wcale innym, dochodzi się bowiem, że kopijsta z owych wieków, wzięwszy pergamen jaki stary zapisany, wykrobawszy z niego, o ile się dało, dawne charaktery, napisał na nim dzieło jakieś nowego i ulubionego poety. Te to więc zniszczone pismo umiał kardynał Maï wysledzić, rozpoznać, skompletować różnemi w różnych częściach biblioteki wyszukanemi pergaminami i złożyć z nich całość—dając poznać światu dawno zaginione zabytki dzieł starożytnych. W przeciągu lat sześciu od 1813—1819 wydał on tym sposobem kilka mów Cycerona — pisma zaginione Juliusza Frontona, listy Marka Antonina, pobożnego Lucjusza Verrusa i Appiusa; części mów Aure-

liusza Symmaqua, historię Dyonizjusza z Halikarnasu od 12 do 20 księgi—fragmenta (urywki) Philona, dawne komentarze Virgiliusza; 2 księgi kronik Euzebiusza;—Przewodnik Aleksandra W. i Konstantyna Augusta syna Konstantyna—Trzy księgi Juliusza Walera o wyprawach Aleksandra W. 6tą i 14tą księgę Sibillów—nakoniec sławną wersję gotycką Ulphilla, obejmującą Listy 9-go Pawła — i kilka innych części Pisma Świętego.

Praca ta kardynała Maï dała go poznać całej Europie: w r. 1824 znana angielska akademija królewska medal złoty, wielki, przysłała kardynałowi z napisem następującym: Angelo Maïo palimpsestorum inventori et restauratori. Popiersie jego umieszczone zostało w salach kilku innych stowarzyszeń uczonej.

Przeniesiony kardynał Maï na bibliotekarza Watykanu do Rzymu, tam miał sposobność wiele innych uczynić jeszcze odkryć w nauce paleografii—wiele dzieł zaczętych w Medyolanie tu dokończył, oraz wiele nowych wynalazł: ale najważniejsze jakie tu wydał dzieło i wielce dla naukowego świata pożądane, było świetne odkrycie Rzeczypospolitej Cycerona.

Petrarka, Pagio, Bessario nadaremnie starali się ją odkryć, z ubolewaniem sądząc że zaginęła. Kardynał Maï znalazł z tytułem całkiem czytelnym pod kopią komentarzów 9-go Augustyna o Psalmach. W roku 1838 Papież Grzegorz XVI mianował Angelo Maï kardynałem. Umarł ten sławny uczonej w Albano roku 1854.

## BIESIADA SĘPÓW W NUBII POŁUDNIOWEJ.

Przebywszy puszcze Bahiuda ciągnęliśmy wzdłuż Nilu, pustym lecz malowniczym wąwozem Wadi-Rherri. Zbliżała się pora deszczowa a upał był nieznośny; nade wszystko dokuczały nam skwarne nawałnice piaszczyste, zwykle poprzedzające wiosnę. Taka-to nawałnica zmusiła nas pewnego poranku do szukania przytułku w małej wiosce, która, ku wielkiej naszej radości, nadarzyła nam się werótce po zerwaniu się burzy. Zastaliśmy tam już karawanę przybyłą z środkowej Nubii, nadzwyczaj wycieńzoną a która nabierała sił do dalszej podróży do niezbyt odległego Charthum. Właściciel jęj, bogaty turecki kupiec roztasował się w najlepszej chacie; chętnie ją przecież z nami podzielił.

Jak zwykle w podobnych okolicznościach. rozpoczęliśmy rozmowę o wzajemnych przygodach. Nowi nasi znajomi minęli się w pustyni z studnią, a wielbłądy ich ucierpiały nadzwyczaj z tego powodu. „O Pani! rzekł Hussejn, właściciel karawany, smutny to widok gdy sępy straszniemi swojemi dziobami, szarpia wielbłąda padającego z pragnienia i ledwo kości z niego zostawiają.

Już dwóch straciliśmy podobnym sposobem; najbardziej żal mi jednakże biednego mojego chłopca z Dongola, który zapewne dziś jeszcze postrada cały swój majątek, wyborną wielbłądnicę: już od trzech dni zaledwie wlecze się za nami, chociaż nie obładowana. Oby prorok zachował każdego od zjadliwych

wiatrów jakie nas spotkały! Tylko w ręku Boga, jest moc—inaczéj bylibyśmy i my im ulegli. Śmierć bowiem wyciągnęła już po nas swe ramię a piekło rozwarło już przed nami czeluście. Lecz,—el hamdu lillahi (niebu niech będą dzięki) orzeźwiliśmy się znowu wodami Nilu!”

Długo jeszcze byłby on się rozwodził w podobny sposób, gdyby wejście pastucha, o którym była mowa, nie położyło końca jego utyskiwaniom i dziękczynieniom. Na twarzy młodego chłopca wyczytać można było że bolesną dotknięty został stratą; żadna skarga jednakże nie wydobyła się z ust jego.

Jakżeż wielbłądy? zapytał Hussejn. „Nadjedi maht, ja sidi, mojego już niéma, odrzekł: Bóg i Prorok nade wszystko! lecz przywiedziony jestem do żebractwa. Oby mi Bóg dopomógł!” „Amin, jaradjel, oby się tak stało; podnieś twe czoło, wierny wyznawco proroka i porzuć smutek; Bóg ci pomoże gdyż w jego ręku wszelka pomoc!”

Lecz ani pełne namaszczenia słowa Hussejna, ani nasze pieniądze, które w milczeniu przyjął, nie były w stanie pocieszyć biédaka. Od czasu do czasu wzdychał on głęboko, a rzeczywiste łzy spływały po jego ciemnej twarzy. Nareszcie rzekł smutnie:

Dziesięć lat byliśmy z sobą razem—teraz leży ona u podnóża skał sępom na pastwę. Zkądżeż by się tu miały wzięść sępy? zagadnałem go, naokoło w pustyni nawet kruka dostrzedz nie mogę.

Zkąd się biorą, pytasz, o sidi? Wnet zlecą się one bez liczby i niebo zakryją swem mnóstwem; najnieczystsze to z ptastwa od początku świata, a każdy wierny, który szanuje prawa proroka, wystrzega się z nimi spotkania. Jak szatany wloką się za podróżnym i na zmordowanego daleką drogą napadają jak na podłe zwierzę. Wątroba ich ma dziwną siłę lecz użytek z niej zabroniony jest każdemu sprawiedliwemu; tylko ten lub ów przeklęty czarownik dokonywa przy jej pomocy piekielnych spraw swoich.

Pomimo tego wszystkiego nadzieja zobaczenia sępów była nam bardzo pożądaną. Gdy wszyscy krajowcy zapewnili nas o prawdzie powyższych słów, postanowiliśmy tutaj pozostać i doczekać się sępów. Wielbłądzica leżała w miejscu otoczoném skałami, pełnemi doskonałych kryjówek, z których wybornie widzieć można było co się w okół niej działo. Obawialiśmy się tylko aby hieny nie skorzystały z tak wybornéj sposobności; postawiliśmy więc na straży naszego strzelca. Z największym wstrętem udał się on na swoje stanowisko, gdyż, jak mówił, owi przekłęci czarownicy zwykli przybierać postać

hieny lub konia nilowego, a spotkania z nimi żaden wierny nie ma powodu sobie życzyć: jedno ich spojrzenie tamuje krew w żyłach, przytłumia bicie serca, wysusza wnętrzności i pozbawia rozumu,—cóż dopiéro powiedzieć o innych niebezpieczeństwach! Wszystko to okropnie trwożyło naszego strażnika; tylko zapewnienie że za pierwszym jego wystrzałem przybędziemy mu w pomoc, zdołało go nieco uspokoić. Noc przeszła—hieny się nie pokazały, a wierny muzulmanin nieomieszkał gorąco podziękować prorokowi za zachowanie go od groźnego niebezpieczeństwa.

Nazajutrz rano odwołaliśmy go czempredzój; baliśmy się bowiem żeby nie odstraszyć sępów, które, podług naszego zdania, zaraz z rana przybyć musiały; omyliliśmy się w tym względzie. Nie widać było żadnej żyjącej istoty na okół śmiertelnego łoża nie-szczęnej ofiary. Kilka tylko skowronków, mieszkańców najgłębszych puszczy, śpiewało swoją piosnkę poranną. Wkrótce po wschodzie słońca, bystre oko Alego odkryło na naszym widnokregu kruka; po białej piersi poznaliśmy pięknego *Corvus scapulatus*. Zwolna i opieszale zbliżał się; nagle, jakby dopiéro co spostrzegł padlinę; przypadł do niej po kilku uderzeniach skrzydeł, kilka razy okrążył ją kracząc w coraz mniejszej wysokości; następnie w niewielkiej od niej odległości, spuścił się ukośnie na ziemię, złożywszy kształtne, kończaste skrzydła. Teraz obejrzał się za siebie, poważnie przystąpił do wielbłądzicy, i nader zadowolony, jeszcze raz obszedł ją dookoła. Niezadługo przyłączył się do niego drugi z rodzaju *Corvus umbrinus*, a wkrótce przynajmniej tuzin gawiedzi jednego i drugiego kalibru roztasowało się jak w własnym domu. Poczęli się schodzić i znakomitsi goście. Tłumy sępów z rodzaju *Neophron perenopterus* i *pileatus*, zwietrzywszy zgromadzenie kruków, zaczęły się zbiegać ze wszystkich stron. Kanie pasożytne (*milvus parasiticus*) wrzeszcząc, unosiły się przez pewien czas nad martwą wielbłądzicą, następnie jedna po drugiej siadły na ziemi. Nie przeszło godziny a towarzystwo zebrało się wcale liczne i pożądliwie spoglądało na padłe zwierzę; tylko sępy ośmieliły się wydziobać oczy i uskubać nieco z wywieszzonego języka, chociaż, i to nie szczególnie im się udało. Co się tycze mocnej skóry, wielbłądziej, dzioby zgłodniałych a łakomych gości były za słabe żeby ją przedziurawić.

Nagle wielki orzeł (*aquila raptor*) którego zbliżania się wcaleśmy nie spostrzegli, rzucił się na głowę zwierzęcia, kilką uderzeniami dzioba rozwalił jamę



oczną i wydobył jej zawartość. Nie skończył jeszcze swego dzieła gdy ze wszystkich stron obskoczyły go kanie łup, mu wydzierając. Wrzawa i wrzaski nie do uwierzenia powstały naokoło orła, który oburzony natręctwem żebraków, rzucił im dumnie swoje zdobycze; jakby gardził takim współzawodnictwem. Znowu powrócił do biesiady, do której teraz zjawili się właściwi jej uczestnicy. Sokole oko mojego służącego odkryło w znacznej odległości i wysokości pierwszego sępa uszatego, vultur auricularis. Po długim szukaniu dostrzegłem i ja w górze czarny punkcik — daleko mniejszy aniżeli pozorowana wielkość jaskółki w największej wysokości do której się ona wzniesć zdoła. Punkt ten zbliżał się z nadzwyczajną szybkością; nareszcie przemienił się w ptaka z rozpostartymi skrzydłami, który w pewnej jeszcze wysokości, okrążywszy wielbłądnicę kilka razy, zwinął skrzydła. Już nie unosił się on w powietrzu lecz spadał, ulegając powszechnemu prawu ciężkości, z coraz rosnącą chyżością. Widok potężnego ptaka zbliżającego się z bajeczną prędkością, sprawiał szczególniejsze wrażenie. Zdawało się, że uderzenie o ziemię roztrzaska go na kawałki; na trzysta stóp jednakże nad poziomem rozwinął znowu swoje skrzydła nakształt spadochronów; tym sposobem prędkość spadania zmniejszała się coraz bardziej: nareszcie spokojnie przybył aż na dół.

Zjawienie się jego spłoszyło natychmiast całą gawiedź; — jeden tylko orzeł nie ustąpił z miejsca; mocz, szybko wskoczył na wielbłądnicę, spojrział dumnie dokoła i rozpoczął swą biesiadę. Dwa lub trzy uderzenia dziobu dostateczne były do rozdarcia mocnej skóry wielbłądziej; teraz dopiero począł szarpać mięso rozrzucając mniejsze lub większe kawałki, chciwie i nie bez zażartej walki chwytane przez czyhających mniejszych rabusiów.

Towarzystwo powiększyło się tymczasem kilku jeszcze sępami: vultur Rappellii i fulvus, które z niepodobną do opisaną chciwością rzuciły się na łup. Wtém zjawił się nowy przybysz, Marabut, leptoptilus crumenifer; zamiarem jego było rozpocząć spór z sępami; z rozdziawionym dziobem, zbliżał się śmiało na wysokie ch swych nogach. Lecz sęp uszaty nie okazał najmniejszej chęci ustąpić mu z miejsca lub też przyjąć go tylko jako współbieszczadnika. W prawdziwie królewskiej postawie, z pofałdowaną od gniewu szyją i głową, z silnym dziobem rozwartym, oczekiwał on żarłocznego napastnika, uzbrojonego piramidalnym dziobem. Marabut,

czy że nie ufał własnym siłom; czy też spodziewał się lepszej sposobności do walki, odstąpił od swego pierwotnego zamiaru, zachowując groźną, zaczeplnie odporną postawę.

Kryjówka nasza pozwalała nam wprawdzie najwyborniej widzieć całe towarzystwo, lecz była zbyt odległa, aby wystrzały pożądanym mogły być uwieńczone skutkiem. Dlatego też uległem wreszcie namowom mojego służącego, który mnie przekonywał że do biesiadujących sępów można się zbliżyć na dwadzieścia kroków, bez obawy ich spłoszenia. Pod zasłoną skał przesunąłem się więc do nich na trzydzieści może łokci. Później kilkakrotnie przekonałem się, że sępy dążąc na żer, bez żadnej bojaźni mijają strzelców czyhających na nie.

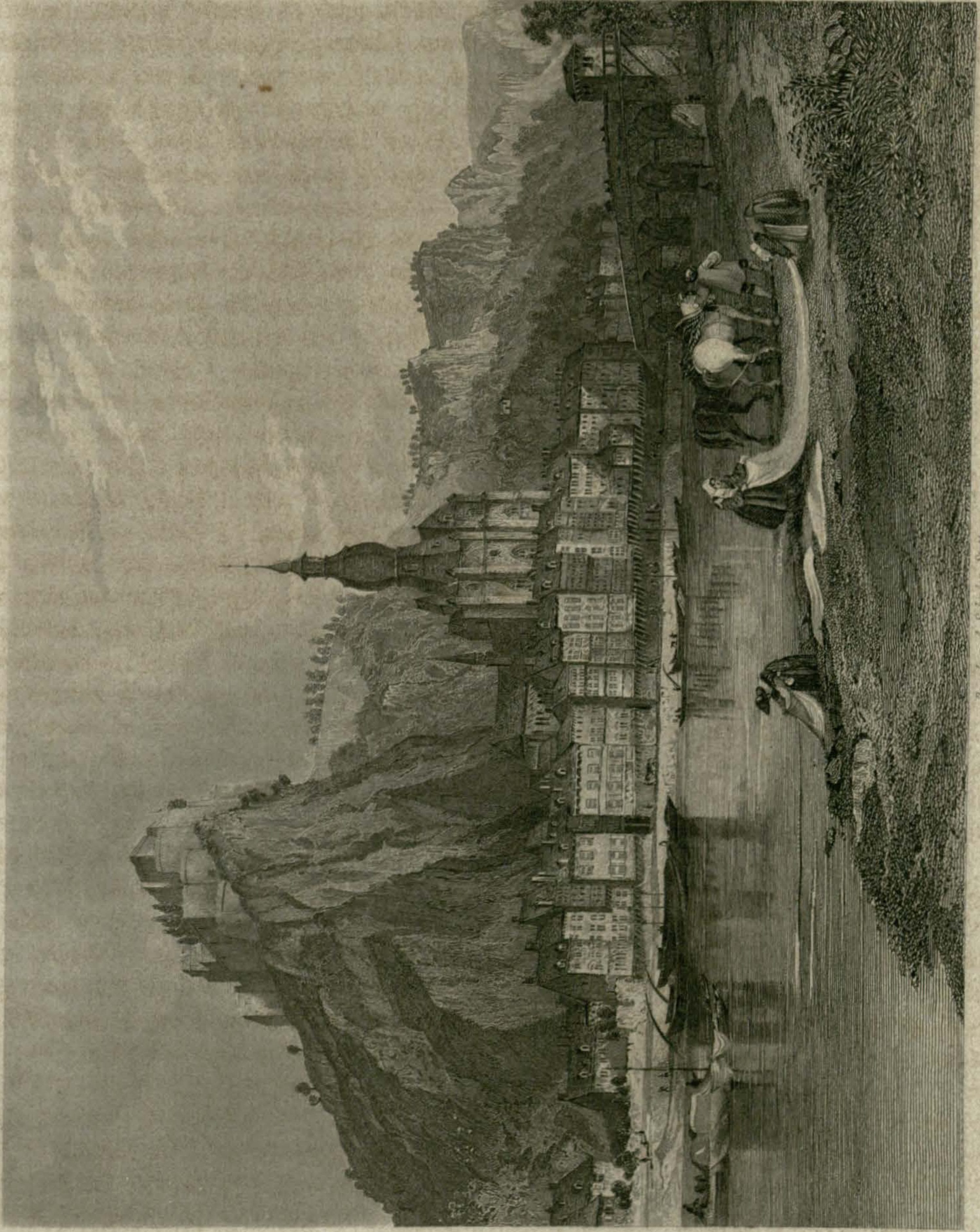
Braknie mi słów aby dostatecznie opisać wrzawę jaka tu panowała. Sępy tak są żarłoczne jakby się za jedną razą na całe miesiące nasycić chciały. Trzeba ich widzieć z wyciągniętą szyją, z podniesionym ogonem, ze zwieszonymi lub rozpostartymi skrzydłami, jak w potężnych susach podbiegają do padliny; trzeba być świadkiem naówczas powstającej wrzawy, krzyku, zwady, bijatyki, uganiania się i wydzierania sobie kawałków mięsa, aby mieć o podobnej scenie wyobrażenie. Uszate sępy stają przy zewnętrznych bardziej pokładach mięsa; długoszyjne otwierają jamę brzuszną i ryją w wnętrzościach. Jeden z nich wyrwał kiskę a chcąc sam jeden nacieszyć się tak smacznym kąskiem, szybko starał się z nią oddalić: w miarę jednakże oddalania się kiszka rosła; a wtém cała zgraja z największą zaciętością wpada na chciwca, wydiera mu łup który ciągle się jeszcze przedłuża i rozpoczyna morderczą walkę. Przybywają nowi; a walka coraz to zażartsza, wrzawa coraz to szaleńsza, zamęt wrzasków i postaci coraz dzikszys. Wszelka broń, wszelki sposób wojowania zarówno używany; dzioby, szpony, skrzydła, wszystko służy do wydzierania pastwy, do odganiania napastników. Ciągłe przybywają nowi a zgłodniiali ryccze i niezwłocznie rzucają się na dawniejszych, którzy wśród nieznośnych wrzasków bronią się do upadłego. Marabuty, a jeżeli pobojuwisko leży w pobliżu wsi, i psy, czémprędzej przybiegają aby korzystając z powszechnego nieładu i zwady, pochwyć jakiś niezgorszy kęsek. Marabuty szczególnież z wielkiego pośpiechu, łykają takie kawały mięsa że gardziele ich grubieją na stopę: psy zgrzytając zębami uwijają się pomiędzy niebezpiecznymi zapasnikami i z największą skwapliwością pochłaniają

co im się tylko nawinie. Sępy jednakże, jak się tego łatwo dorozumieć można, uważają całe te jatki za swój wyłączny przywilej; gdy więc nieostrożny jaki natręt nasunie się im na oczy, zawierają zawieszenie broni pomiędzy sobą a biorą się do niego.

Teraz rozpoczyna się nowy zwrót całego dramatu. Napadnięte wśród tak miłego dla nich zatrudnienia psy i marabuty, bronią swęj skóry zażarcie. Orły i sępy unoszą się nad psami, które warcząc i szczekając, zębami je schwytać usiłują, co im się często udaje. Częściej jednakże ptaki, szybkie w obrotach zręcznie umykając się, zadają swym worgom potężne ciosy dziobem lub szponami. Nie pomaga skowyczenie ani szczekanie; psy zbite, spuściwszy w dół ogony, ze wstydem uciekają z pola bitwy. Marabut rażąc zarówno przyjaciela i nieprzyjaciela, toruje sobie ciężkim swym dziobem drogę; często jednakże i on ulega natarczywości zwyciężkich sępów. Po nad walczącymi bujają mniejsze nieboraki, którym samolubstwo mocniejszych nie zostawało żadnej nadziei. Wetują to sobie rzucając się na opuszczone podczas walki miejsca, dopóki ich ztamtąd przemoc nie spędzi.

Takiemu-to widowisku przyglądaliśmy się już od niejakiemu czasu, w ciągu którego odkryci zostaliśmy przez marabuta który przechadzał się pomimo tego z najzimniejszą krwią; sępy zaś tak były zatrudnione swoją biesiadą że na nas żadnej uwagi nie zwracały. Rozkazałem Alemu żeby trzymał swą broń w pogotowiu i podał ją natychmiast po wypaleniu mojej. Wymierzyłem tam gdzie ciżba była najgęstsza, we łby sześciu lub ósmiu sępów. Pierwsze dwa wystrzały sprawiły skutek nadzwyczajny; dwa lub trzy sępy padły na miejscu, reszta po kilku prostopadłych podskokach wybiła się w powietrze. Natłok był jednakże tak wielki że przeszkadzali sobie wzajemnie w locie, a wszystko razem podobniejsze było do leniwie ruszającej się bryły, aniżeli do gromady ptaków. Wypaliłem, chociaż bez skutku, w sam środek téj bryły; zresztą

widowisko to tak mnie odurzyło, że byłbym zaniechał postrzelić przelatującego tuż po nademną sępa. Jakkolwiek pewny byłem mojego strzału, zdawało się zrazu że i ten pozostanie bez skutku; sęp bowiem, jakby wcale nie był trafiony, szybował najspokojniej dalej. Już uważaliśmy go za straconego gdy nagle zwinął skrzydła i bezwładnie, prostopadle padł na ziemię; zdechł jeszcze w powietrzu. Towarzysze jego zdawali się bardziej zdziwieni, aniżeli przerażeni. Kruki i kanie już oddawna były w górze, zkąd wrzeszcząc w niebogłosy miotały na nas zapewne najokrutniejsze przekleństwa; sępy jeszcze nie pozniakały wszystkie; największa ich część usiadła, gdy nowe strzały nastąpiły, na okolicznych skałach i w młczeniu oczekiwała, co dalej będzie. Napróżno jednakże usiłowaliśmy zbliżyć się do nich; chciały one jedynie poznać sprawców téj katastrofy i jak tylko pokazał się nam z bronią w ręku, natychmiast uciekły. Dwoje tylko biegało tu i ówdzie; zwieszona skrzydła dowodziły że były postrzelone. Za zbliżeniem się do nich, oddały z siebie co miały w gardzieli i dopiero wtedy szukały ocalenia w ucieczce. Dogoniłem jednego i chciałem go schwytać; nie tak to jednakże było łatwo jak mi się zdawało. Z iskrzącym okiem, z głową nieco pochyloną, szyją nieco wciągniętą, odwrócił się do mnie gotów bronić się do upadłego. Napróżno starałem go się łufą przygnieść do ziemi; za każdym razem zręcznie się wyslizgiwał. Poradziłem sobie z nim z łatwością. Ali, który przybiegł mi na pomoc, zarzucił mu na głowę chustę i zawinął ją. Związawszy, popędziliśmy się za drugim, który tymczasem przyszedł nieco do sił i byłby nam uciekł, gdyby nie postrzelone skrzydło; postąpiliśmy sobie z nim jak z pierwszym. Wypadek naszego polowania był nader zadawalniający; zdobyliśmy dwóch uszatyh, trzech długoszyjnych i jednego szarego sępa. Pełni dumy powracaliśmy do wsi, aby się zająć wypchaniem cuchnącego naszego łupu.



*Bruck v. A. Schuler, Neuchâtel*

*Dinant.*



## DINANT,

(Z RYCINĄ).

Pocieszającą to jest rzeczą, że rodzaj piśmienictwa, mający za cel opisanie i podanie do wiadomości różnych szczegółów i wypadków zaszłych w podróżach, tu i owdzie przedsiębranych, coraz lepszego u czytelników doznaje przyjęcia. A ileż to ztąd i dla nich samych pożytku, — ileż to złych książek i nie mających żadnego pożytecznego celu dzieł różnorodnych, przez coraz więcej rozpowszechniającą się literaturę podróżniczą zupełnie usuniętymi zostało, a ustępując miejsca pożyteczniejszym i więcej wpływu dobroczynnego na umysł wywierającym wiadomościom. Oby tylko podobne zamiłowanie nowości i obczyzny, nie obudziło w nas obojętności dla ojczystej ziemi!

Są jeszcze w Niemczech miejsca słynne uroczym położeniem swoim, zajmujące przeszłością i obecnym stanowiskiem, które nie tylko dla nas, ale dla samych Niemców nawet częstokroć najodleglejsze części świata dokładnie znającym, są prawdziwie nieznanymi krajami (*terra ignota*). Nie wyszukując wielu przykładów dla stwierdzenia tych słów naszych, niechaj tu choć jedna okoliczność za dowód stanie, że Ardenny i okolice górnej Mozy, jakkolwiek hojnie od natury pięknoscią uposażone, i w historyczne wspomnienia bogate, zwiedzane bywają jedynie przez podróżujących Anglików.

Moza, ta wielka poboczna rzeka Renu, prawdziwa, naturalna spójnia obydwóch państw niderlandzkich, bierze swój początek w płaszczynie Langres (*plateau de Langres*) po za Lotaryngią, w sąsiedztwie źródeł rzek Marne i Sekwany. Nie potrzebując śledzić biegu rzeki wśród górzystych Ardennów, spotyka podróżny zaraz nad belgijską Mozą nieprzerwany prawie szereg zajmujących, po części prawdziwie wzniosłych widoków, i arcydzieł przyrody. W cudownie pięknych zwrotach toczy się szybkim biegiem rzeka, raz w pośród dzikich skał i łomów marmurowych, to znów przesuwają się wśród drzew wspaniale ugrupowanych. Lasy, pola i łąki wiążą się wieńcem na jej brzegach, w niewielkiej

zaś stosunkowo odległości, spotyka oko wioski, zamki, młyny i zakłady fabryczne. Za Namurem okolica przybiera postać poważniejszą i wznioślejszą. Raz przedstawia nam się rzeka nakształt jeziora skałami i górami otoczonego; to znów zbliżają się skały obydwóch brzegów tak dalece do siebie, że nad zwięzonym w ten sposób korytem, zaledwie tyle pozostaje miejsca, ile potrzeba do poprowadzenia zwyczajnego gościńca. Jeszcze romantyczniejszym i dzikszym jest krajobraz w okolicy miasta Dinant. Tu sterczą skały w dziwacznie potworzonych grupach, w których fantazyja widza, zdaje się spozstrzegać mury odwiecznych wieżyc i spustoszonych zamków.

Jednym z najpiękniej położonych, choć obecnie mało znacznych miast, jest niezaprzeczenie Dinant nad Mozą, przed wypadkami 1466 roku, najbogatsze i najwarowniejsze miasto po tamtej stronie gór; teraz zaś liczące zaledwie 7000 mieszkańców. O pół czwartą mili od Namuru oddalone, leży ono na prawym brzegu rzeki, przez którą doń wspaniały most prowadzi. Z położenia swego Dinant ma wiele podobieństwa do Namuru, — wysokie jednak i groźne skały, nadają pierwszemu więcej okazałą postać.

Dinant ma tylko jedną, krzywą, w różnych kierunkach poprzecinaną ulicę — wszędzie jednostajnie prawie wąską, w jednym tylko miejscu dla utworzenia niewielkiego targowiska cokolwiek się rozszerzającą. Z powodu wznoszącego się z jednej strony pasma skał, z drugiej zaś koryta rzeki, domy w Dinant tak ciasno są pobudowane, że zaledwie pomieścić mogą w sobie maleńkie bardzo podwórko.

Również i odwieczny, dumnie na otaczające domy miejskie, jak władzca spoglądający kościół Panny Maryi, piękny gotycki zabytek budownictwa XV wieku, wzniesiony tuż obok skały, utrudnia z jednej strony przystęp do siebie ciekawemu oku. Na obydwóch niegdyś wspaniałych, dziś znacznie uszkodzonych odrzwiach świątyni, na owym prawdziwym

zabytku sztuki i jawném świadectwie pobożności mieszkańców, spostrzegamy na nieszczęście ślady oręża francuzkiego. Starannie, na pojedyncze pięknie kwieciami obsadzone tarassy podzielona skała, nadaje miastu prawdziwie malowniczą postać. Po za każdym domem, na należącym doń tarassie, znajdziesz owoce drzewa i różnobarwne kwiaty a w pośrodku nich, jakby kryjące się, mozolnie wykuwane, grotty. Kamiennie schody prowadzą z tarassu na tarass. Rzuciwszy z doliny okiem na ową precudnóm kwieciami zaslaną skałę, na tę bujną roślinność, świadczącą o serdeczném zamiłowaniu tego co piękne i niewinne, nie zdołasz powstrzymać w sobie wykrzyku podziwu i uwielbienia, na widok téj prawdziwie rajskiej okolicy.

Panująca wszechwładnie nad miastem twierdza zbudowaną została dopiero w roku 1815, w miejsce zamku stojącego niegdyś na wysokości skały a następnie przez francuzów z ziemią zrównanego.

Malowniczy widok starych zamków spokojnie drżących sobie na sterczących w około skałach, czyni zajmującymi również i okolice Dinant nadając samemu miastu wdzięk niezrównany. Uroczym promenady ciągnąc się wzdłuż Mozy, prowadzą ciekawych do zamków Freir, Walfin i do Opactwa Malusort.

Dawna część miasta, wywodząca swe imię od Diany, jest ludną i ożywioną. Czynni i nadzwyczaj obrotni mieszkańcy trudnią się rozmaitym przemysłem, szczególnie zaś sprzedają płótna i zboża. Tu piętrzą się fabryki wyrobów marmurowych, olearnie, papiernie i wiele innych. Chociaż zaprzestano wyrobu znanych niegdyś pod nazwiskiem „Dinanteries” wyrobów miedzianych, nie mniej jednak głośnie są obecnie, z doskonałości swój powszechnie znane placki dinantskie, rodzaj piernikowych orzechów, które z orkiszowej mąki i miodu wyrabiane, daleko roszyłane bywają.

Znacznym jest również handel przesyłkowy między miastem Dinant a Francją zaprowadzony; dawniej zaś inny jeszcze rodzaj handlu, przemycany, nadzwyczaj

niebezpieczny, lubo nader korzystny, przez tutejszych mieszkańców z zapalem był prowadzony.

Co się tyczy przeszłości mało jest miast któreby tyle smutnych i tragicznych mogły naliczyć wypadków—co Dinant. Sławne i kwitnące niegdyś to miasto, wystąpiło w XV wieku, wraz z miastem Huy i Lüttich przeciw potędze domu Burgundzkiego. Pod panowaniem Ludwika XI, mieszkańcy miasta Dinant spalili w roku 1466 portret hrabiego de Charolais przed bramami miasta Bourignes. „Czyliż widzicie, wołali z zapalem, syna naszego księcia, zdrajcę, hrabiego de Charolais, którego król tak powiesić każe, jak go tutaj wiszącego widzicie.” Aby dowieść, że jeszcze nie wisi, obległ Dinant, które mimo nadzwyczajnych wysiłen długo opierać się nie mogło. Obleżeni odrzucili początkowo ofiarowaną im przez Filipa kapitulację, postanowiwszy użyć wszelkich możebnych środków obrony; powiesili nawet parlamentarza, i dopiero gdy książę szturm przypuścić kazał, przybyła deputacja złożona z przedniejszych obywateli, oddając zwycięzcy klucze od bram miasta. Przez trzy dni nieszczęśliwe miasto wystawione było na rabunek, i oddane na pastwę wyuzdanego żołdactwa, nie oszczędzającego ni starców ni kalek, ni świątyń nawet Pańskich w napadzie szaleństwa. Gubernator miasta powieszony został na szczycie wznoszącej się nad rzeką skały; ośmiuset zaś obywateli, w pary razem powiązanych, śmierć w nurtach Mozy znalazło. Filip „Dobrym” nazwany, a w okrucieństwie i żądzy krwi, żołnierzy swoich przechodzący, nie wprzód opuścił Dinant, póki nie ujrzał nieszczęśliwego miasta zupełnie spustoszonego. W r. 1554 w czasie wojny między Henrykiem III a cesarzem Karolem V, Dinant zdobytem zostało przez księcia Newers walczącego w szeregach Henryka, a w roku 1703, wraz z miastem Bourignes zburzone. Tenże sam los spotkał je w dniu 24 maja 1794 roku na rozkaz Jourdana wodza francuzów. Nie należy się zatem dziwić, że Dinant uległszy tylu okropnym ciosom, nie mogło się podnieść znowu do dawniej swojej świetności.

## O ZWIĄZKU ZWIERZĘCÉJ I DUCHOWÉJ NATURY CZŁOWIEKA.

### W S T Ę P.

#### § 1.

Już wielu filozofów utrzymywało, że ciało jest niejako dla ducha więzieniem, że go zanadto do ziemskości przywiązuje, i że jego tak zwany polot ku do doskonałości wstrzymuje. Niektórzy znowu filozofowie mniej więcej pewnie popierali to zdanie: że nauka i cnota nie tylko są celem, ale razem środkiem szczęśliwości, że cała doskonałość człowieka skupia się w ulepszeniu jego ciała. Sądzę, że jedni i drudzy równie jednostronnie o tém wyrzekli. Ostatni system całkiem prawie wykluczonym został z naszych moralności i filozofii, a jak mi się zdaje, nie rzadko z nadto fanatyczną gorliwością bywał odrzucanym, to pewna że nie masz niebezpieczniejszego dla prawdy, jak kiedy jednostronne mniemania jednostronnych znajdują zbijaczy. Wprawdzie pierwszy z nich w ogóle najwięcej był cierpianym, gdyż najzdolniejszym jest do zagrzenia serca do cnoty i wartość swoją na prawdziwie wielkich duszach już usprawiedliwił. Któż nie podziwia mocy ducha Katona, wysokiej cnoty Brutusa i Aureliusza, stałości Epikteta i Seneki? Pomimo to jednak jest to tylko piękny błąd rozumu, prawdziwa ostateczność, że zbytnim zapałem poniżająca jedną część człowieka a chcąc nas podnieść do rzędu idealnych istot, nie pozbawiając oraz i naszego człowieczeństwa; jestto systemat wręcz przeciwny wszystkiemu, co tylko historycznie wiemy i filozoficznie objaśnić możemy o rozwoju pojedynczego człowieka i całego rodu; systemat nie zgadzający się wcale z organicznością duszy ludzkiej. Ztąd i tu równie jak wszędzie, dla tém pewniejszego trafienia na środkową linię prawdy, najrozsądniej jest utrzymać równowagę między temi dwoma mniemaniami.

Ponieważ zaś zwyczajnym sposobem więcej w tém pobłędzono, kładąc w pismach za wiele na karb samej siły ducha z usunięciem ciała, o ile tamta zupełnie niezależnie może być od tego ostatniego wyobrażoną; niniejsza przeto próba więcej zatrudniać się będzie wyciągnięciem na jaśnią znakomitego przyczynienia się ciała do działań duszy, wielkiego i rzeczywistego wpływu zwierzęcego systematu czułego

na duchowość. Z tém wszystkim nie jest to wcale filozofia Epikura, tak równie jak stoicyzmem nie jest uważanie cnoty za najwyższe dobro.

Nim przystąpimy do zbadania wyższych moralnych celów które dają się osiągnąć przy pomocy natury zwierzęcej, powinniśmy pierwój ustalić fizyczną ich konieczność i zgodzić się na niektóre zasadnicze wyobrażenia. Ztąd ten pierwszy punkt zapatrywania się na zawisłość obudwóch natur.

### ZWIĄZEK FIZYCZNY.

#### Natura zwierzęca utwierdza działalność ducha.

#### § 2.

#### Organizm działań duszy—karmienie—rodzajność.

Wszystkie, jakie tylko w świecie moralnym i cielesnym postrzegamy do udoskonalenia człowieka zakłady, zdają się w końcu w tém zasadniczym z sobą jednoczyć zdaniu: że doskonałość człowieka zależy na ćwiczeniu swoich sił przez zapatrywanie się na plan świata; a że pomiędzy masą siły i celem na który się ona wywiera, powinna być jak najdoskonalsza harmonija, doskonałość zatem zależeć będzie na najwyższej możliwej działalności; lecz działalność ludzkiej duszy, skutkiem pewnej konieczności której jeszcze nie poznaję i w pewny sposób którego nie pojmuję, związana jest z czynnością materji. Zmiany w świecie cielesnym, powinny, przez pewną klasę pośredniczych sił organicznych, to jest przez zmysły, być zmodyfikowanemi i że tak powiem wykształconemi, póki będą w stanie obudzić we mnie jakieś wyobrażenie; i tak muszą znowu inne organiczne siły, maszyny dowolnego ruchu, wystąpić pomiędzy duszą i światem, dla przeniesienia zmian pierwszej na ostatni; muszą nakoniec same operacje milczenia i czucia odpowiadać pewnym ruchom wewnętrznego czułowiszca (Sensorium). Wszystko to stanowi organizm działań duszy.

Lecz materya jest łupem wiecznej zmiany, i działając zużywa się sama przez się, albowiem w czasie ruchu element jest ze swój kolei wypchnięty, wypędzony i stracony. Przeciwnie zaś, ponieważ prosta

istota duszy zawiera w samej sobie trwałość i ostotę, a co do istoty swojej nic ani nabywa ani traci, przeto materya nie może dotrzymać kroku działalności ducha, i wkrótceby zaginął organizm duchowego życia, a z nim razem cała czynność duszy. Dla zapobieżenia temu, musiał do pierwszego być przydatnym nowy systemat sił organicznych, któryby wynagradzał jego zniszczenia i utrzymywał więdnący jego kwiat, łańcuchem ciągle z sobą łączących się nowych tworzeń. Takim jest organizm karmienia.

Co więc. Po krótkim przeciągu działania, po zniesieniu równowagi między utratą i odnową, człowiek schodzi ze sceny życia, a prawo śmiertelności wyludnia ziemię. Nawet ilość czułych istot które odwieczna Miłość i Mądrość chciała powołać do szczęśliwego bytu, nie ma dość przestrzeni do jednoczesnego istnienia w granicach tego świata, a życie jednego pokolenia wyłącza życie innego. Dla tego też należało ażeby nowi ludzie wstąpili na miejsce znikniętych starych i żeby życie w nieprzerwanym następstwie mogło się utrzymać. Lecz nic nowego nie stwarza się, a co teraz jest nowem staje się tylko przez rozwój. Rozwijanie się człowieka musiało nastąpić przez ludzi, jeżeli oni znajdują się w stosunku do konsumpcji, jeżeli człowiek na człowieka miał być wykształconym. Na tej zasadzie do dwóch pierwszych załączony został nowy systemat sił organicznych, mający na celu ożywienie i rozwinięcie ludzkiego zarodka. Jest to organizm rodzajności. Trzy te organizmy połączone najdokładniejszym miejscowym i rzeczywistym związkiem, tworzą ludzkie ciało.

### § 3.

#### C i a ł o.

Siły organiczne ciała ludzkiego same przez się dzielą się na dwie główne klasy: pierwsza zawiera w sobie takie, których nie możemy pojąć za pomocą żadnych znanych praw i zjawisk świata fizycznego: tu należą czułość nerwów i drażliwość mięśnia. Ponieważ niepodobna było dotąd wniknąć w ekonomiję tego co jest niewidzialnem, starano się więc nieznaną mechanikę wytłumaczyć za pomocą znanej, i nerwy uważano za kanał, prowadzący nadzwyczaj subtelny, lotny i działający płyn, mający przewyższać swą szybkością i rzadkością eter i materyę elektryczną, uważano też go za pierwiastek czułości i ruchliwości i ztąd dano mu nazwisko ducha życia. Tak też znowu drażliwość włókna mięsnego przypisywano pewnej skłonności (nisus) kurczenia się z powodu obcego bodźca i zbliżania do

siebie obu dwu swoich końców. Dwa te rodzaje pierwiastków stanowią wyłączną cechę zwierzęcego organizmu.

Druga klasa obejmuje takie siły, które możemy zależnemi uczynić od znanych praw Fizyki. Tu zaliczam Mechanikę ruchu, i Chemiję ludzkiego ciała, według której wzrasta życie wegetacyjne. Wegetacya przeto i zwierzęca Mechanika najściślej z sobą złączone, właściwie tworzą fizyczne życie ludzkiego ciała.

### § 4.

#### Zwierzęce życie.

Jeszcze nie na tém koniec. Ponieważ strata mniej więcej zależy od woli ducha, koniecznie więc i nagroda musiała być w jego mocy. Dalej, ponieważ ciało ulega wszystkim następstwom składu i wystawione zostało na szereg otaczających go nieprzyjaznych działań rzeczy, musiało więc być w mocy duszy bronienie go od szkodliwego wpływu tych ostatnich, i postawienie go w takich stosunkach ze światem fizycznym, któreby były najodpowiedniejszemi jego trwaniu; musiała ona odbierać świadomość o obecnym złym lub dobrym stanie swoich organów; musiała ze złego jego stanu czerpać niezadowolenie a z dobrego zadowolenie, starając się go przedłużyć lub oddalać, szukając go lub unikając. Tu więc organizm jest jakby związany ze zdolnością, czucia, dusza zaś wciągnięta interessem swego ciała. Teraz jest coś więcej niż wegetacya, coś więcej nad martwy model i mechanikę nerwów i mięśni, teraz jest życie zwierzęce <sup>1)</sup>.

Kwiat życia zwierzęcego jest dla kwiatu działań duszy nadzwyczaj ważnym, i nie może być nigdy bez całkowitej zagłady tych ostatnich zniszczonym. Musi on mieć pod sobą mocny grunt, któryby się nie łatwo zachwiało to jest, że dusza nieprzepartą siłą na-

<sup>1)</sup> Lecz także jest coś więcej niż zwierzęce życie zwierzęcia. Zwierzę żyje swoim życiem ażeby czuło przyjemnie. Czuje ono przyjemnie ażeby utrzymywało swe zwierzęce życie. A zatem żyje dziś ażeby jutro żyło. Jest teraz szczęśliwym ażeby jutro takim było. Ale jest to proste, niepewne szczęście, odbywające tylko peryody organizmu, wystawione na przypadek i ślepy traf gdyż tylko polega na czuciu. Człowiek żyje także życiem, czuje swoje zadowolenie i cierpi swe bole. Lecz dla czego? Czuje on i cierpi dla utrzymania swego zwierzęcego życia. Utrzymuje on je ażeby mógł żyć dłużej życiem duchowym. Tu więc środek różni się od celu, tam zaś cel zdaje się ze środkiem jednoczyć. Jest to jeden z graniczących rozdziałów między człowiekiem a zwierzęciem.



leżeć musi do działań życia fizycznego. Czyż mogły uczucia złego lub dobrego zwierzęcego stanu być uczuciami umysłowemi i powstawać za pomocą myślenia? Jakżeby ją często przyćmiwało światło przemagających namiętności, jakby ją często przywalały lenistwo i głupota, jak często zatrudnienie i roz-targnienie pominęłyby ją? Dalej, czyliżby od człowieka-zwierzęcia nie wymagano najdoskonalszej znajomości własnej ekonomii, czyby dziecię nie powinno być mistrzem w tem w czém nasi Harweje, Boerhaavi i Hallery, po pięćdziesięcioletnich badaniach zostali jeszcze początkującymi? Dusza w żaden sposób nie mogłaby mieć ani wyobrażenia o stanie, jaktby miała odmienić. I jakżeby się o nim dowiedziała, jakżeby weszła w działanie?

§ 5.

Zwierzęce uczucia.

Nie znamy jeszcze innych uczuć oprócz takich które wypływają z poprzedniczej operacji rozumu; lecz teraz już mają powstać uczucia z których rozum ma być całkiem wypędzonym. Uczucia-to, mają obecne zdolności moich narzędzi jeżeli nie wyrażać tedy przynajmniej szczegóło wieoznaczać, a raczej im towarzyszyć. Uczucia powinny wolę szybko i żywo ku wstrętowi lub żądzy skłaniać, powinny one nad powierzchnią duszy tylko się unosić nie wkraczając nigdy w krainę rozumu. Co więc w duchowych uczuciach sprawiałoby myślenie, to tu sprawia owa modyfikacya zwierzęcych części albo grożąca im zniszczeniem albo zabezpieczająca ich trwałość, to jest: że ze stanem maszyny umacniającym jej rozkwit, związane jest przyjemne; przeciwnie zaś ze stanem podkopującym jej dobry byt i przyspieszającym jej ruinę, według odwiecznego prawa mądrości związane jest bolesne poruszenie duszy i to tak, że samo uczucie najmniejszego nie ma podobieństwa z własnością wyrażających je organów. Tak powstają uczucia zwierzęce. Według tego zwierzęce uczucia mają podwójną podstawę: 1) w obecnym stanie maszyny, 2) w zdolności czucia.

Łatwo teraz pojąć dla czego uczucia zwierzęce niepokonaną i jakby tyrańską siłą porywają duszę do namiętności i do działań a nieraz nawet biorą górę nad duchowemi. Ona to je za pomocą myślenia wywołała, ona więc może je znowu za pomocą myślenia rozwiązać a nawet zniszczyć. Taka jest przewaga abstrakcyi i w ogóle Filozofii nad namiętnościami, nad mniemaniami, słowem nad wszystkimi położeniami życia; gdy tamte narzucone jej są ślepa

koniecznością i prawem mechanizmu; rozum który ich nie stworzył nie może też ich rozwiązać, chociaż skierowaniem uwagi w przeciwną stronę o wiele już je osłabić i przyćmić może. Najupartszy stoik, ulegający pod cierpieniem kamienia, nie zdoła nigdy poszczycić się, że wcale nie uczuł bólu, lecz zatopiwszy się w rozważaniu jego przyczyn, podzieli swą czułość a przemagające zadowolenie wielkiej doskonałości, przez którą ból staje się podrzędnym ogólnej szczęśliwości, przewycięży boleść. Nie był to brak uczucia lub jego zniszczenie, gdy Mucyusz Scevola paląc rękę w jasnym ogniu, rzymskim wzrokiem dumnego pokoju, zdołał wprawić nieprzyjaciela w zdumienie; lecz panująca w jego duszy myśl, że go podziwiać będzie wielki Rzym, trzymała ją jakby w sobie samej uwięzioną, tak dalece że dotkliwy bodziec zwierzęcego cierpienia, był za małym do wyrwania jej ze swęj równowagi. Ból jednak Rzymianina nie mniejszym był dla tego od najdelikatniejszego rokosznika. Pewnie, że ten kto przywykł żyć ciągle w stanie ciemnych wyobrażeń, mniej zdolnym będzie w krytycznej chwili zmysłowego bólu do uzbrojenia się w męstwo, od żyjącego nieprzerwanie w jasnych i czystych myślach, wszakże ani najwyższa cnota, ani najgłębsza filozofia, sama nawet Boska religija nie zabezpiecza przed prawem konieczności, jakkolwiek wielbicieli swoich na zapadającym stosie uszczęśliwiać może.

Ta właśnie potęga zwierzęcych uczuć nad siłą uczucia duszy, gruntuje się na najmędrszym zamiarze. Duch, zostawszy raz poświęconym do tajemnic wyższej rokoszy, gdyby go zwierzęce czucie do tego nie zmuszało, poglądałby z pogardą na poruszenia swego towarzysza i nie chciałby już tak łatwo składać hołdu ofiary niskim potrzebom fizycznego życia. Matematyka bujającego w nieskończoności a w abstrakcyjnym świecie zapominającego o rzeczywistym, głód wydziera z intelektualnego jego snu. Fizyka rozbierającego mechanikę słonecznego systematu, i śledzącego po niezmierzonej przestrzeni za błądzącym planetą, zakłócić szpilką strąca na macierzystą jego ziemię. Filozofa, rozwijającego naturę bóstwa i rojącego że przełamał zapory śmiertelności, zimny północny wiatr wiejący po jego wątłej chatce, zwraca na siebie samego, ucząc go że jest tylko lichą, pośrednią między bydłem i aniołem istotą.

Najwyższe nateżenie ducha nic nie wydoła naprzeciw przemagającym zwierzęcym uczuciom; rozum, w miarę ich wzrastania, coraz bardziej się przytłumia a dusza mocniej się z organizmem wiąże. Aby

uspokoić głód i pragnienie, dopuści się człowiek czynów nad którymi wzdryga się ludzkość; mimowolnie stanie się on zdrajcą, mordercą, nawet ludożercą.

„Tygrysie! chciałeś zapuścić zęby w łono twój matki.”

Tak gwałtownie zwierzęce czucie działa na ducha. Tak czujnie troszczył się Stwórca o utrzymanie maszyny; filary na których się ona opiera są najmocniejsze, a doświadczenie nauczyło że więcej popsuł nadmiar, niżeli brak zwierzęcego uczucia.

Uczucia więc utwierdzają pomyślny stan zwierzęcej natury, tak jak moralne i intelektualne utwierdzają pomyślny stan duchowej natury czyli doskonałość. Systemat zwierzęcych uczuć i poruszeń wyczerpuje pojęcie zwierzęcej natury. Jest ona gruntem, na którym się opiera własność narzędzi duszy i taż własność określa lekkość i trwanie samej czynności duszy. Tu więc już jest pierwsze ogniwo związku dwóch natur.

### § 6.

**Zarzuty z moralności przeciwko związkowi obudwóch natur.**

Lecz pominąwszy to, powie ktoś dalej: tu też kończy się przeznaczenie ciała. Odtąd jest ono leniwym towarzyszem duszy, zmuszonej wечно z nim walczyć, którego potrzeby wydzierają jej wszystkie czas potrzebny do myślenia, którego nagabania przerywają nic najgłębszych spekulacji i ducha z najjaśniejszych i najczystszych pojęć wtrącają w zmysłowy odmęt; którego żądze oddalają największą część naszych współtworzeń od wzniosłego ich wzoru, zniżając je do klasy zwierząt; który, jednym słowem kępuje ją w niewoli, z jakiej dopiero śmierć musi ją wyzwolić. Nie jest-że to nierozsądnie i niesprawiedliwie, choćby się na to przyszło ciągle uskarżać, że się istoty proste, potrzebne, w samych sobie ujęcie mające, miesza z inną istotą krążącą w wiecznym wirze, wystawioną na wszelki traf i stającą się ofiarą każdej konieczności?—Może przy zimniejszym zastanowieniu się, z tego pozornego zamieszania i braku planu postrzeżemy wykazującą się największą piękność.

### ZWIĄZEK FILOZOFICZNY.

**Popędy zwierzęce budzą i rozwijają popędy duchowe.**

### § 7.

**Metoda.**

Najpewniejszą metodą rzucenia jakiegoś światła na tę materią, może byłaby następna: wyobraża się człowieka z odrzuceniem wszystkiego co tylko na-

zywa się organizacją, to jest, oddziela się ciało od ducha nie pozbawiając go jednak możliwości dochodzenia do wyobrażeń, i wzbudzania działań w świecie cielesnym; potem bada się jakim sposobem przyszedł on do działania, jak rozwija swoje siły, jakimi krokami dążyłby on ku swój doskonałości; wypadek zaś takiego badania powinien być potwierdzony faktami. Przegląda się więc prawdziwe kształcenie się pojedynczego człowieka i daje się rzut oka na rozwój całego rodzaju. Naprzód więc co do abstrakcyjnego przypadku: jest tam siła wyobraźni i woli, jest sfera działania i swobodny przechód od duszy do świata, od świata do duszy. Zachodzi pytanie, jak on będzie działał?

### § 8.

**Dusza nie w połączeniu z ciałem.**

Nie możemy żadnego przypuścić wyobrażenia bez poprzedniej woli zrobienia go sobie; żadnej woli bez doświadczenia że przez tę czynność stan nasz poprawionym zostanie—bez uczucia; żadnego uczucia bez poprzedniego wyobrażenia (gdyż razem z ciałem wyłączyliśmy także i cielesne uczucia) a więc żadnego wyobrażenia bez wyobrażenia. Przypatrzmy się teraz dziecku, a według przypuszczenia duchowi, pojmującemu w sobie zdolność tworzenia wyobrażeń, lecz mającemu tę zdolność po raz pierwszy wprowadzić w użycie. Cóż go skłoni do myślenia, jeżeli nie pochodzące ztąd przyjemne uczucie? co mogło mu podać doświadczenie o tém przyjemnem uczuciu? Widzieliśmy właśnie dopiero że nic to innego sprawić nie mogło tylko myślenie i teraz po raz pierwszy ma ono myśleć. Dalej, coż może go zniewolić do zapatrywania się na świat? Nic innego jak doświadczenie jego doskonałości o ile ta zaspakaja jego popęd ku działaniu i o ile to zaspokojenie sprawuje mu przyjemności. Cóż może go pobudzić do ćwiczenia sił swoich? nic innego jak doświadczenie ich istnienia: lecz te wszystkie doświadczenia ma on odbyć po raz pierwszy. Musiałby on więc od wieków być czynnym, a to przeciwi się przyjętemu przypadkowi; albo też wечно nie przyjdzie on do czynności, nakształt maszyny, ciężko i spokojnie bez zewnętrznego bodźca stojącej.

### § 9.

**Dusza w połączeniu.**

Przydajmy teraz do ducha zwierzę. Powiążmy obie te natury tak ściśle, jak są rzeczywiście powiązane, i dajmy że coś nieznanego, wyradzającego się z eko-

nomii zwierzęcego ciała, dotyka władzę czucia,—przenieśmy duszę w stan fizycznego bólu. Było to pierwsze uderzenie, pierwszy promień światła wśród snu nocnego sił, rozlegający się złoty dźwięk dzwonu natury. Już tam jest *uczucie*, a właśnie jednego tylko uczucia nam przedtém brakowało. Ten rodzaj uczucia zdaje się być utworzonym tylko w zamiarze usunięcia wszystkich owych trudności. Tam nie mogliśmy żadnego z nich wyprowadzić, ponieważ nie śmieliśmy żadnego przypuścić wyobrażenia; tu modyfikacja w cielesnem narzędziu zastąpiła miejsce wyobrażeń; i tym sposobem zwierzęce uczucie, pomaga, jeżeli tak śmiem wyrazić się, do puszczania w ruch zegaru ducha. Przejście z bólu do wstrętu jest zasadniczem prawem duszy. Wola jest czynną, a czynność pojedynczej siły jest dostateczną do wprawienia w działanie wszystkich innych. Następne operacje rozwijają się same z siebie, nie należą też do tego rodzaju.

§ 10.

Z historii jednostki (Individuum).

Teraz śledźmy za wzrostem duszy pojedynczego człowieka ze względu na mające się dowieść zdanie, i uważajmy jak wszystkie jego duchowe władze rozwijają się ze zmysłowych popędów.

a) *Dziecię*. Całkiem jeszcze zwierzę, albo raczej więcej lub mniej niż zwierzę; ludzkie zwierzę. (Gdyż ta istota, która kiedyś ma się nazwać człowiekiem, nie powinna nawet nigdy być zwierzęciem). Nędzniejsze nawet niż zwierzę, gdyż nie posiada nawet instynktu. Matka zwierzęcia łatwiej opuścić może swe piskłę niż *matka* swe dziecko. Ból może go pobudzić do krzyku, lecz nigdy nie zwróci jego uwagi na źródło swego pochodzenia. Mleko może mu sprawiać przyjemność, lecz nigdy przez nie szukaniem nie będzie. Zachowuje się ono zupełnie biernie.

„Myśl jego jeszcze tylko do uczucia się wznosi,  
A całém jego poznaniem—ból, głód i więzy.”

b) *Chłopię*. Tu już jest rozważa, zawsze jednak tylko ze względu na zaspokojenie zwierzęcych popędów. „Uczy się on, jak mówi Garve, <sup>1)</sup> sprawy innych ludzi i swoje względem nich czynności naprzód o tyle tylko cenić, ile mu one (zmysłowego) dostarczają zadowolenia.” Miłość ku pracy, ku rodzicom, ku przyjaciółom, sama nawet miłość względem Bóstwa, przechodzi do jego duszy drogą zmysłowości. Ona, jak w innem miejscu wyraża się Garve, jest jedynem słońcem, „świecącym i grzejącym samo

przez się, gdy wszystkie inne przedmioty są ciemne i zimne, mogą jednak one także być ogrzane i oświecone, jeżeli z nią w takie wejdą połączenie, że jej promienie do nich dostać się zdołają.” Dobra ducha u chłopca tylko przez przenośnię posiadają pewną wartość; są one duchowym środkiem do zwierzęcego celu.

c) *Młodzieniec i mąż*. Częste powtarzanie tych wniosków robi je stopniowo dojrzałemi a *przenośnia zdaje się że w samym środku znalazła piękność*. Chętniej się on nad tém, nie wiedząc dla czego, zastanowi? Nie postrzeżenie wciągniętym zostanie do myślenia nad tem. Teraz mogą już nawet promienie duchowej piękności dotykać otwartej jego duszy; cieśszy go uczucie objaśnienia swój siły, wlewając w niego skłonność ku przedmiotowi dotąd będącemu tylko środkiem; pierwszy cel został zapomnianym. Oświecenie i wzbogacenie wyobrażeń odkrywają przed nim nakoniec całą godność duchowych przyjemności—środek stał się najwyższym celem.

Tego mniej więcej uczy indywidualna historia każdego człowieka, mającego pewne ukształcenie, a wszechmądrość nie mogła do prowadzenia człowieka lepszej nad tę wybrać drogi; czyż i teraz lud prosty nie uczy się tak chodzić jak nasz chłopiec? i czyliż nam prorok z Medyny nie zostawił dobitnie jawnego przykładu, jak należało trzymać na wodzy grubego umyłu Saracenów.

Pod tym względem nic doskonalszego nie można powiedzieć nad to, co Garve w uwagach swoich nad rozdziałem o przyrodzonych popędach w moralnej filozofii Fergussona w następny sposób wyłożył: „Popęd zachowania i powab zmysłowej uciechy, pierwszy człowieka równie jak zwierzę pobudza do czynności, ucząc sprawy innych ludzi i swoje względem nich czynności naprzód dla tego cenić, że mu one sprawiają zadowolenie. W miarę pomnażania się liczby przedmiotów których działania on doświadcza, rozszerzają się też jego żądze; w miarę przedłużenia się drogi po której on do tych działań dochodzi, żądze jego stają się sztuczniejszymi. Tu pierwszy graniczący rozdział między jednym a drugim gatunkiem zwierzęcia. U niewielu zwierząt czynność pożerania wnet następuje za żądzą głodu, poprzedza ją zapał polowania albo praca zbierania. Lecz u żadnego zwierzęcia zaspokojenie żądzy nie następuje tak późno po przygotowaniach na ten cel, jak u człowieka; u żadnego z nich usiłowanie nie przechodzi tak długim łańcuchem środków i zamiarów, póki dojdą do ostatniego jego ogniwa. O ileż oddalonymi są od tego celu prace rzemieślnika lub rolnika, chociaż wszy-

<sup>1)</sup> Przypisy do moralnej filozofii Fergussona.

stkie nie dalej sięgają jak dostarczenie mu chleba lub odzienia? Ale nie koniec na tem. Kiedy środki utrzymania, przez urządzenie społeczności, stały się dla człowieka obfitszemi; jeżeli on znajduje dostatek na nabycie którego nie użył całego swego czasu i wszystkich sił swoich; kiedy nadto udziałem wyobraźni został oświeconym, wtenczas zaczyna znajdować w sobie samym cel swoich czynności, wtenczas postrzega on, że chociażby zupełnie był nasyconym, odzianym i znajdował się pod dobrym dachem, opatrzonym we wszelkie domowe sprzęty, jeszczeby mu coś pozostało do czynienia.

Niech jeszcze krok postąpi, a postrzeże, iż w tych nawet czynnościach za pomocą których dostarcza sobie człowiek żywności i wygod, o ile takowe pochodzą od pewnych sił ducha, o ile one też siły ćwiczą, zawiera się wyższe dobro, aniżeli w zewnętrznych nawet celach, jakie za ich pomocą osiąga. Od téj chwili pracuje on wprawdzie w społeczeństwie z całym ludzkim rodzajem i całym państwem żyjących istot, nad utrzymaniem własnym, i nad dostarczeniem sobie i swoim przyjaciółom środków fizycznego życia—bo cóż innego miałby on czynić? jaką inną, gdyby z téj wyszedł, mógłby obrać sferę działania? Lecz wie on już teraz, że natura nie dla tego tylko obudziła w człowieku tak wiele popędów, ażeby mu tych wygod dostarczyć, ale raczej wystawia mu powab tych uciech i korzyści, dla pobudzenia do ruchu owych popędów; dla podania myślącej istocie wątku do wyobrażeń, czulemu duchowi przedmiotu do uczuć, przychylnemu duchowi środków ku dobroczynności, czynnemu zaś, zręczności do zatrudnień. Wtenczas każda nieżyjąca lub żyjąca rzecz przyjmuje dla niego inną postać.

Pierwój uważał on przedmioty i ich odmiany o tyle, o ile mu one przyjemność lub przykrość sprawiały; teraz zaś o ile takowe są powodem do czynów i objawów jego doskonałości. W pierwszém zapatrywaniu się są one złemi lub dobrymi wypadkami, w ostatniem są w równym stopniu dobrymi. Gdyż nie ma ani jednego, w któremby nie możebnym było wykonanie jakiej cnoty, lub zajęcie szczególnej jakiej zdolności. Pierwój kochał on ludzi, gdyż wierzył że mogą dlań być użytecznymi, teraz więcej ich jeszcze kocha gdyż życzliwość uważa za stan doskonałego ducha."

§ 11.

Z historii rodu ludzkiego.

Rzućmy jeszcze śmielszy wzrok na historią powszechną całego rodzaju ludzkiego— od jego ko-

lebki aż do wieku dojrzałości—a prawda tego co się powiedziało w zupełniejszym jeszcze okaże się świetle.

Głód i nagość zrobiły naprzód człowieka strzelcem, rybakiem, pasterzem, rolnikiem i cieślą. Roskosz dała początek rodzinie, a bezbronność zebrała ludzi w hordy. Tu już są pierwsze korzenie społecznych obowiązków. Wkrótce wzrastającej liczbie ludzi zabraknąć musiało roli; głód rozproszył ich w oddalone klimata i kraje, które szperającej potrzebie odkryły swe produkta, i nauczyły ją wymyślnego wyrabiania i zapobiegania szkodliwemu ich wpływowi. Te pojedyncze doświadczenia za pomocą tradycyi przeszły od dziada do wnuka i rozszerzyły się. Nauczono się używać sił natury przeciwko niej samój; ułożono je w nowe stosunki i robiono wynalazki—tu już są pierwsze korzenie prostych i zawiennych sztuk. Wprawdzie sztuka i wynalazek zawsze były tylko dla dobra *zwierzęcia*, były jednak ćwiczeniem siły, nabyciem wiadomości—i przy tymże samym ogniu przy którym gruby człowiek natury piekł swoje ryby, później Boerhaave śledził mieszaniny ciał; na wzór takiegoż noża którym dziki człowiek ćwiartkował swą zwierzynę, wynalazł później Lionet taki którym odkrawał nerwy owadów; tym samym cyrkle mktórym naprzód mierzono kopyto, mierzył Newton niebo i ziemię. Tym sposobem ciało zmusiło ducha do zwracania uwagi na otaczające go zjawiska; tym sposobem zrobiło ono dla niego świat ważnym i zajmującym, gdyż go uczyniło niezbędnym. Popęd wewnętrznej czynnej natury, połączony z niedostatkiem macierzystej krainy, nauczył naszych przodków śmielój myśleć i wynalazł dla nich dom w którymby pod przewodnictwem gwiazd bezpiecznie ślizgać się mogli po rzekach i oceanach i żeglować ku nieznanym strefom:

Fluctibus ignotis insultavere carinae

(A łodzie urągały się nieznanym wodom.)

Tu znowu nowe produkta, nowe niebezpieczeństwa, potrzeby, nowe wyteżania ducha. Starcie się zwierzęcych popędów pobudza hordy przeciwko hordom, kuje surowe żelazo na miecz, wyradza awanturników, bohaterów, despotów. Miasta stają się twierdzami, zakładają się państwa; z państwami powstają obywatelskie obowiązki i prawa, kunszta, znaki, statuta, chytrzy kapłani—i bogowie.

Nakoniec potrzeby wyradzają się na zbytek—i jakże obszerne pole odkrywa się naszym oczom! Teraz pruje: żyły ziemi, zstępują na dno morza, kwitnąć zaczynają handel i wędrówki.

Latet sub classibus aequor  
(Morze kryje się pod statkami.)

Na Zachodzie dziwią się Wschodowi, a na Wschodzie Zachodowi; obce pokolenia przywykają do sztucznego nieba, a sztuka ogrodnicza sprowadza do jednego ogrodu produkta trzech części świata. Sztukmistrze uczą się od natury własnych dzieł; dźwięki łagodzą dzikich, piękność i harmonija uszlachetniają obyczaje i smak, a sztuka prowadzi do nauki i cnoty. „Człowiek, mówi Schlötzer <sup>1)</sup>, ten potężny zastępca Boga, usuwa z drogi skały, zasypuje jeziora i płuży tam, gdzie niegdyś okrętami pływno. Kanałami oddziela on od siebie części świata i prowincye, ściąga ku sobie rzeki i prowadzi je po piaszczystych pustyniach, które tym sposobem zamienia na uśmiechające się łąki; rabuje on trzy części świata z ich produktów, przenosząc je do czwartej. Nawet klimat, powietrze, i pogoda są posłuszne jego władzy. Trzebiąc lasy, osuszając bagna, jaśniejszem nad sobą czyni niebo; wilgoć i mgła znikają, zimy stają się łagodniejszymi i krótszemi, rzeki przestają marznąć.”

Państwo zatrudnia obywatela dla potrzeb i wygod życia. Pracowitość nadaje państwu bezpieczeństwo jakoteż zewnętrzny i wewnętrzny pokój dostarczający myślicielowi i sztukmistrzowi płodnego czasu, za pomocą którego wiek Augusta stał się złotym. Teraz sztuki bez przeszkody śmieliej się wznoszą; nauki, nabierają jasnego, oczyszczonego światła; historia naturalna i fizyka obalają przesady, dzieje podają zwierciadło przeszłych wieków, a filozofija naśmiewa się z głupstwa ludzkiego. Jak tylko zaś zbytek przerodził się w miękkość i rozpustę, zaczął się srożyć po ludzkich członkach i wylegać jad zarażający powietrze, wówczas strapiony człowiek spieszy z jednego państwa natury do drugiego, wyszukując ulgę przynoszących środków; znajduje tam boską korę chininy, wygrzebuje z wnętrza gór silnie działającą rtęć, a ze wschodniego maku wyciska kosztowny sok. Najskrytsze zakątki natury zostały wysledzone; nauka rozkładu rozbija produkta na ich ostateczne pierwiastki tworząc właściwe sobie światy; złotnicy wzbogacają naturalną historję; mikroskopijny wzrok Swammerdama schwytuje naturę przy najskrytszych jej processach. Człowiek idzie jeszcze dalej. Potrzeba i ciekawość przeskakują zakres przesady, chwyta on śmiało za nóż — i odkrywa największe

arcydzieło natury, człowieka. I tak, to co było najgorsze musiało posłużyć do osiągnięcia tego, co najwznioślejsze; tak choroba i śmierć musiały nas pobudzić do γνοωθ σευτον (poznania siebie samego). Zaraza wykształciła naszych Hippokratesów i Sydenhamów, tak jak wojna wydała jenerałów, a szerzącej się chorobie przymiotu winniśmy całkowitą reformę smaku w medycynie.

Chcieliśmy umiarkowane używanie zmysłowości sprowadzić do doskonałości duszy, i jakże dziwnie przewracaliśmy w rękach tę materją! Znaleźliśmy że i jej nadmiar także i nadużycie w całości przyja rzeczywistościom ludzkości. Zboczenia od pierwszego celu natury, oraz handlarze, — zdobywcy — i zbytek nie wątpliwie, nieskończenie przyspieszyli jej kroki, któreby prostszy sposób życia zrobił daleko porządniejszymi, lecz razem dość powolnemi. Porównajmy dawny świat z nowym! W tamtym żądze były prostemi i łatwem ich zaspokojenie; ale za to jak szkaradnie sądzono o naturze i jej prawach! Teraz tysiące manowców utrudnia ją, ale za to jak pełne światło rozlało się na wszystkie wyobrażenia! Powtórzmy więc raz jeszcze: człowiek musiał być pierwaj zwierzęciem, póki dowiedział się że jest duchem; musiał on czołgać się w prochu, nim ośmielił się bujać lotem Newtona po Wszechświecie (Universum). *Ciało przeto jest pierwszym bodźcem do czynności; zmysłowość pierwszym szczeblem do doskonałości.*

#### ZWIERZĘCE UCZUCIA TOWARZYSZĄ DUCHOWYM.

§ 12.

P r a w o.

Rozum człowieka jest nadzwyczaj ograniczonym, dlatego też takimi być muszą wszystkie uczucia wpływające z jego działalności. Dla nadania im przeto większej podniosłości i dla pociągnięcia woli podwójną siłą ku doskonałości a oderwania od złego, obie te natury, duchowa i zwierzęca, zlały się z sobą tak ściśle że ich modyfikacye wzajemnie się udzielają i wzmacniają. Ztąd wynika zasadnicze prawo pomieszanych natur, które będąc rozebranem na swe początkowe części, brzmi prawie jak następuje: *Czynności ciała odpowiadają czynnościom ducha, to jest każde wyteżenie czynności duchowej ma w następstwie jednocześnie wyteżenie pewnych czynności cielesnych, jak równie też równowaga pierwszych lub harmonijna czynność sił duchowych skojarzone jest znajdoskonalszą zgodnością ostatnich. Dalej: Gnuśność duszy robi poruszenia cielesne gnuśnemi, nieczynność zaś duszy całkiem je nawet znosi. Ponie-*

<sup>1)</sup> Patrz Schötzera pomysły do Historji powszechnej.

waż zaś doskonałość zawsze jest połączona z przyjemnością a niedoskonałość z przykrością, można więc to prawo także następnie wyrazić: *duchowa przyjemność ma zawsze za towarzyszkę zwierzęcą przyjemność, duchowej zaś przykrości towarzyszką zawsze jest zwierzęca przykreść.*

## § 13.

*Duchowe zadowolenie sprzyja dobru maszyny.*

A więc uczucie zajmujące całą istotę duszy, w równym także stopniu wstrząsa całą budową organicznego ciała; serce, żyły i krew, włókna mięśni i nerwy, począwszy od najsilniejszych i najważniejszych nadających popęd żywotnego ruchu sercu, aż do najmniej znaczących i najdrobniejszych, najeżających włoski na skórze, biorą w tem udział. Wszystko wpada w gwałtowniejszy ruch. Jeżeli uczucie było przyjemnem, wszystkie te części będą na wyższym stopniu harmonijnej czynności; uderzenie serca będzie swobodne, mocne, jednostajne, krew, według tego jak uczucie będzie z rodzaju łagodnych lub gwałtownych, przepływać będzie po miękkich kanałach bez przeszkody łagodnie lub ogięcie prędko; wyrobienie, oddzielenie i wydzielenie odbywać się będą bez przeszkody i jak należy; włókna drażliwe będą w tej parowej kąpieli działać z całą swą giętkością; drażliwość tedy i czułość będą nadzwyczaj podniesione. Dla tego to stan najwyższej chwilowej rokoszy duszy, jest oraz stanem najwyższego cielesnego powodzenia.

Wiele będzie takich częściowych działań (a czyliż każde uderzenie tętna, nie jest wypadkiem tysiąca podobnych) tyle też ciemnych sensacji razem naciśnie się do duszy, z których każda oznaczać będzie doskonałość. Z pomieszania ich wszystkich tworzy się teraz całkowite uczucie zwierzęcej rokoszy stające wnet obok pierwiastkowego umysłowego lub moralnego uczucia, a tém przystąpieniem nieskończenie je powiększające. Według tego więc każde przyjemne uczucie jest źródłem niezliczonych cielesnych rokoszy.

Najoczywiście potwierdzają to przykłady chorych których radość uzdrowiła. Przeniesienie tego, którego straszna tęsknota za krajem, wysuszyła jak kościotrup, do jego własnej ojczyzny, a zakwitnie w nim młode zdrowie. Zejdźcie do więzień w których nieszczęśliwi od 10 do 20 lat leżą zagrzebani wśród zgniłych wyziewów własnych wyrzutów mający, zaledwo siłę

wyruszenia się z miejsca i oznajmiecie im nagle o ich wyswobodzeniu. Jeden wyraz wleje w ich członki młodzięcą siłę, zmartwiałe ich oczy zajaśnieją ogniem i życiem. Żeglarzy których w nieznanym morzach, wycieńczonych i nędznych, brak chleba i wody z nóg zwałił, uzdrawia jeden wyraz, *ład!* wypatrzony przez sternika z pokładu, i myliłby się ten bardzo, ktoby tu chciał całe działanie przypisywać świeżym pokarmom. Widok ukochanej osoby za którą długo tęsknił zatrzymuje uchodzącą duszę umierającego; nabiera on sił i chwilowo ma się lepiej. Prawdą więc jest że radość, systemat nerwowy ku żywszej może pobudzić działalności aniżeli wszystkie kordyały, któreby z aptek potrzebować należało, a same nawet zastarzałe zatkania po labiryntowych manowcach wnętrzości, do których nie przenika Marzanna ani nawet Merkuryusz, przez nią się rozchodzą. Któż teraz nie pojmuje że takie nastroszenie duszy, umiejące czerpać zadowolenie z każdej okoliczności i każdą boleść w doskonałości wszechświata roztwarzać, musi być najodpowiedniejszym dla funkcji maszyny? Tém zaś usposobieniem jest — cnota.

## § 14.

*Duchowy ból, podkopuje dobro maszyny.*

W tenże sam sposób odbywa się przeciwność przy nieprzyjemnych uciechach; wyobrażenia powstające z takim nateżeniem u gniewliwego lub przestraszonego, równie słusznie jak Plato nazwał namiętności, gorączką duszy, możnaby uważać za konwulsje organu myślenia. Konwulsje te szybko się rozchodzą po całym zakresie budowy nerwów, wprowadzają siły życia w ową dysharmonię niszczącą jego kwiat i zrywającą równowagę wszystkich czynności maszyny. Serce uderza nierówno i niespokojnie krew naciska się do płuc gdy w kończynach zaledwie jej cokolwiek zostaje do utrzymania znikającego tętna. Wszystkie procesa zwierzęcej chemii krzyżują się z sobą. Wydzielenia przemieniają się, zdrowe soki schodzą z drogi i zgubnie działają na obce okolice, gdy zepsute, które powinny były z wyrzutami ustąpić, wpadają w jądro maszyny. Jednem słowem stan największego bólu duszy jest razem stanem największej cielesnej choroby. Tysiące niejasnych sensacji uwiadomiamą duszę o grożącym upadku jej narzędzi, i zalewają ją całym uczuciem boleści wiążącym się z pierwiastkowym uczuciem duchowym, od którego tem ostrzejszego doświadcza kolca.

*(Dokończenie nastąpi.)*

## ANTONI-FRANCISZEK FOURCROY.

(Z DRZEWORYTEM.)

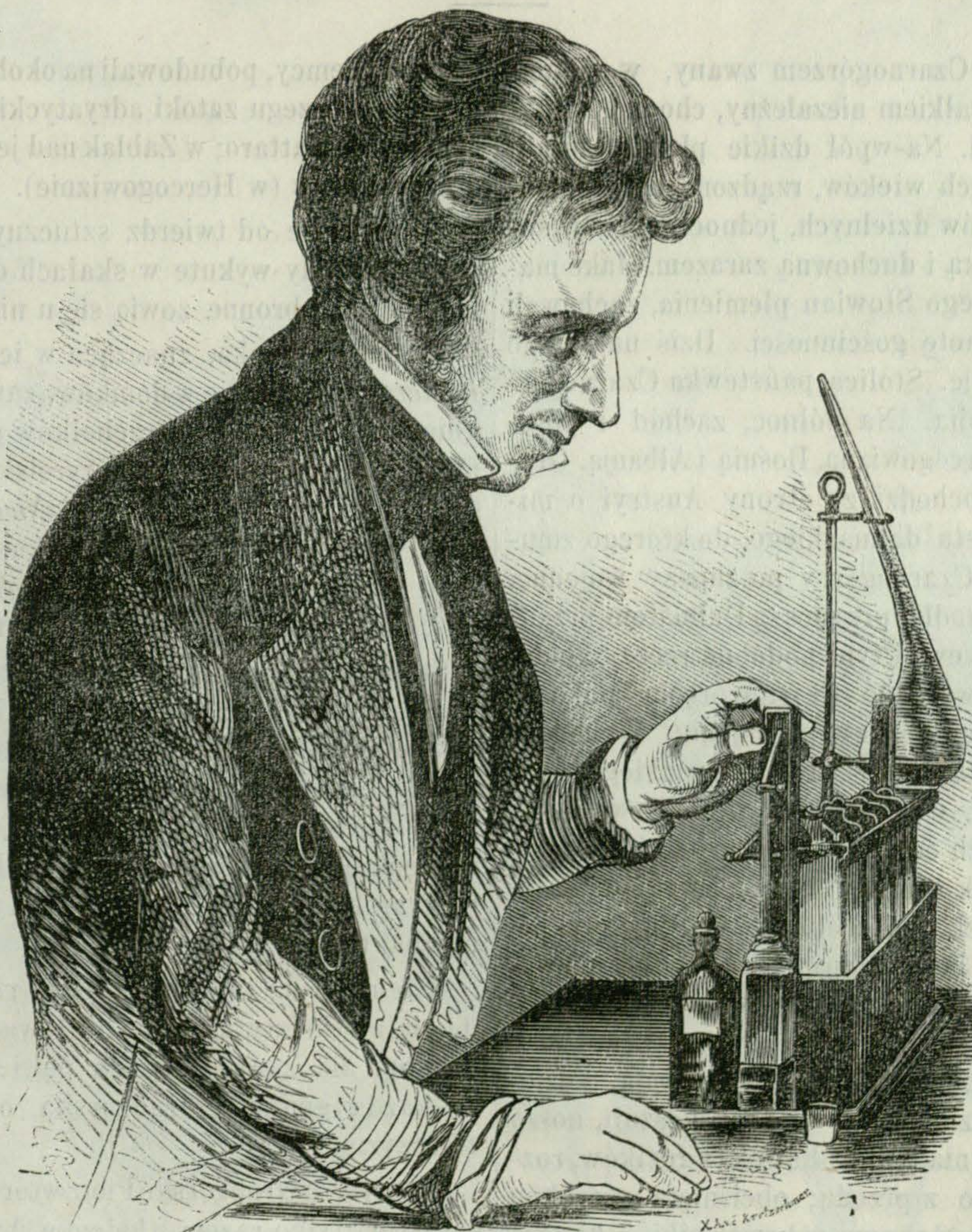
Znamienity swojego czasu chemik francuzki, Antoni-Franciszek Furkroa, urodził się w Paryżu 1755 roku, umarł w r. 1809 z apopleksyi. Zaczął swój wy-

kład chemii w *Jardin des Plantes* 1784 roku, kiedy ta ważna nauka była jeszcze, rzecby można, w pieluszkach. Wezwano go na deputowanego konwencyi w roku 1792, a wkrótce wszedł do rady (*Cinq-Cents*) pięciuset. Uczony chemik coraz wyższe otrzymywał urzędy. W r. 1799 był w radzie Stanu, a we dwa lata potem został dyrektorem głównym oświecenia publicznego, w którego ciąglem rozwijaniu, wielkie położył zasługi. Licea, szkoły lekarskie i prawne w Paryżu, Montpellier i Strasburgu bardzo wiele mu są winne. Zaprowadził także liczbę znaczną różnych

kollegij naukowych w swój ojczyźnie. Musimy tu dodać, że Dyrekcyja instrukcyi publicznej, którą kierował Fourcroy, zaprowadzoną była na wzór polskiej Kommissyi edukacyjnej, stanowiącej najpierwszy wzór ministerium oświecenia publicznego w Europie.

Zapatrywanie się uczonego francuzkiego na kierunek wychowania narodowego, nie zgadzało się z widokami Napoleona I-go i dla tego Fourcroy usu-

nąć się musiał ze służby publicznej w miarę wzrastającej potęgi cesarza swego. W początkach zawodu naukowego, poświęcał się sztucelekarstwu i stopień Doktora Medycyny otrzymał 1780 roku: oraz ułożeniu nowym nomenklatury, oprócz wielu doświadczeń chemicznych, które zostaną na zawsze w historii tej nauki. Napisał wiele dzieł, tyczących się ulubionego sobie przedmiotu. Z ich liczby zasługują tu na wspomnienie: „*Système des connaissances chimiques et de leur application*” składające się z 17tomów, z których pierwsze sześć ksiąg in quarto wyszło 1801 r.



Jego filozofija nauki chemicznej (*Philosophie chimique*) miała kilka wydań (1792 roku, 1806 i t. d.) a chociaż do dzisiejszego stanu, tej olbrzymim krokiem postępującej nauki, zastosowaćby się nie dała, to zawsze w historii umiejętności niepoślednie zaj-

muje miejsce. On także wydoskonalił i uprościł rozbioru wód mineralnych, wiele odkrył ciał złożonych (czyli mówiąc inaczéj *kombinacyj*) i zostawił w rękopiśmie ciekawe *Pamiętniki* własne, których rzecz

dziwna, iż dotąd na świat nie wydała, skora do podobnych przedsięwzięć spekulacya księgarska francuska.

L.

## CZARNOGÓRCY.

(Z RYCINĄ KOLOROWANĄ.)

Maleńki kraik Czarnogórzem zwany, w piętnastém stuleciu był całkiem niezależny, chociaż stanowił odłamek Serbii. Na-wpół dzikie plemię górali, w przeciągu czterech wieków, rządzone było samowładnie przez mężów dzielnych, jednoczących w sobie i władzę świecką i duchowną zarazem. Jako mała gałązka ogromnego Słowian plemienia, zachowali dawne praojców cnotę gościnności. Dziś należą do Turcyi, jako wassale. Stolicą państewka Czarnogórskiego jest Cetynija. Na północ, zachód i południe okoleni są Hercegowizną, Bośnią i Albanją. Granica wschodnia dochodzi ze strony Austryi o milę od Kattaro, miasta dalmackiego, do którego zmuszeni udawać się Czarnogórcy po zapasy wojenne. W zamian, drogą handlu, przynoszą Dalmatom przedmioty żywności, drzewa i tym podobne rzeczy konieczne. Nie wolno wszakże Czarnogórcom pokazać się za granicą swego kraju w uzbrojeniu. Wchodząc do Dalmacyi, z polecenia rządu austryackiego, obowiązani są złożyć u władzy wojskowej swą broń, odzienie godność ich odznaczające i wszelkie ozdoby; dla tego niemal jak żebracy obnażeni wyglądają.

Nogi Czarnogórek, szczególniej w czasie słoty, większej części są bosc. Obuwie zaś rzadko używane, składa się z kawałka płótna grubego i sandałów zrobionych z paska skóry, przymocowanej do nóg rzemykami. Mężatki chustą głowę przykrywają, a dziewczęta czerwoną czapeczką. Oprócz koszuli, noszą kapotę krótką, wełnianą, bez haftek i guzików, rozchodzącą się nieco z przodu; obciśniętą szerokim pasem skórzanym, zdobnym w krwawniki, z klamrą miedzianą.

Natura górzysta kraju, czyni prawie niedostępną dla nieprzyjaciół ojczyznę Czarnogórców, biorących swe miano od położenia swój ziemi (*Monte-negro*). Wysoki bowiem łańcuch gór, nad zatoką Cattaro panujący, zowie się górą Czarną; graniczący z nimi

Turecy i Niemcy, pobudowali na około cytadelle a mianowicie u brzegu zatoki adryatyckiej, na wspomnioném wyżéj Kattaro; w Zablak nad jezioro w Skutari, oraz w Nikicz (w Hercegowiznie).

Mocniejsze od twierdz sztucznych, są warownie ręką przyrody wykute w skałach odwiecznych. Takie miejsca obronne zowią się u nich *Nahijami*.

Nahija Katuńska, znacząca w ich języku *Szalas Pasterzy*, składa się z domków, zawieszonych jakby gniazda jaskółcze u wierzchołków gór skalistych, na podobieństwo starych Senn tyrolskich. Osada Serbska założyła w téj stronie wieś *Niegus*. Tu jest gniazdo Petrowiczów książąt i biskupów Czarnogórza. Ztąd przepyszny otwiera się widok na jezioro Skutari, góry Albańskie i dolinę Cetyńską.

Stolica Czarnogórców, nadzwyczaj jest maleńkiem miasteczkiem, bo zaledwie czterdzieści liczy domów. Jak ongi Abraham u swego namiotu, tak dzisiaj książęta czarnogórcy nieraz wymierzają sprawiedliwość swemu ludowi i głoszą wyroki pod otwartém niebem, przededrzwiami swego pałacyku. Kto chce patryarchalne ujrzyć zwyczaje pod względem sądów, niechaj tu przybędzie.

Niemasz już tutaj wprawdzie rządów podobnych do gminowładztwa dawnych Słowian, jakie opisywał Prokop, ale zawsze jeszcze pewien ślad pozostał, bo każda gmina czarnogórska, obiéra sama swą starszyznę.

Władyka czarnogórski Piotr wtóry, zaprowadził Senat, który tylko razem z ludem wybiéra swego władcę; ale ten od pewnego czasu z jednéj był zawsze rodziny; ztąd poniekąd powstałi książęta panujący.

O éwieré mili od Cetynii, na płaszczyźnie okolnej skałami, na zielonych trawnikach pod otwartém niebem, sejm się zbiera czarnogórski. Władyka zagaja o potrzebach kraju, lud rozprawia, ale tylko do







pewnego czasu, dopóki Metropolita o zdanie stanowcze nie zapyta.

Jedzenie, przygotowują tutaj także na wolnym powietrzu. Ćwiczenia wojskowe, tańce ludowe, bójki silnie zbudowanych atletów; pieśni nucone przez wędrujących gęślarzy, nadają poetyczny urok górskiej okolicy. Zdajesz się być przeniesionym, nie w myśli, lecz na prawdę w czasy niby Homeryczne.

Ale i nowsza cywilizacja już się przedarła tutaj, mimo skał niebotycznych, mimo życia najbardziej do praw natury zbliżonego. Pozakładano już szkoły, urządzono drogi komunikacyjne, powznoszono świątynie ozdobne, ogłoszono prawa w rodzaju kodeksu, ulepszo nieco sztukę wojenną, zabroniono wycieczek, jedynie dla łupiestwa podejmowanych. Literatura ich nawet, posiada nowego utworu pieśni w języku narodowym, napisane przez jednego z Władyków. Zgasły niedawno Daniło, który kiedyś przez Warszawę przejeżdżał, także był poetą <sup>1)</sup>.

Wychowany po Europejsku książę Daniło (Daniel) ożenił się z bogatą ex-kupcówną w Tryeście i dla tego musiał zrzec się władzy duchownej, która bezżenność nakazuje. Przepych cywilizacji europejskiej zaprowadzony w nowym pałacu, śnać nie bardzo był po sercu i myśli jego spółziemian, bo utratą życia Daniło przepłacił reformy.

Kiedy Turcy w 1858 roku napadli ich okrąg Gradowa, w dzień Wniebowstąpienia Pańskiego 13 maja, tak dzielnie odparli nieprzyjaciół mężczyźni górale pod dowództwem Petrowicza, brata księcia Daniły, iż położyli siedm tysięcy trupów, zabrali ośm dział, paręset koni i pięćset namiotów. Ale nie tylko mężczyźni są tu bitni. Czarnogórki także nieraz okazują wiele bohaterstwa. Za to płeć silniejsza nie oddaje im tej czci, jaką u nas odbierają niewiasty w Europie.

Pod tym względem zachowują się tu jeszcze obyczaje wschodnie. Kobięta jest prawie niewolnicą. Nie może rozmawiać z obcym człowiekiem, by nie była posądzoną o zdradę; dźwigać musi ciężary jak muł lub osiek; spotkawszy męża, musi głęboki czynić przed nim ukłon i jako pana swego, w rękę całować. Dźwigając broń Czarnogórcy, wszelkie inne ciężary zwalają na płeć drugą, która dla tych przyczyn nie może zachować owęj delikatności płci europejskiej właściwej. Przyczynia się ku temu i kli-

<sup>1)</sup> Wizerunek jego, wraz z towarzyszem goszczącym u nas, znajduje się w Kalendarzu Warszawskim Popularno-naukowym z r. 1852.

mat, na którego działanie ciągle są wystawione Czarnogórki przebywając niemal zawsze pod gołym niebem. Zdolne są i do noszenia broni.

Mimo takiego upośledzenia, kobiety kochają swych mężów i nigdy prawie im się nie przeniewierzają, bo podobne występki u Czarnogórców śmiercią bywają karane.

Wioski tutejsze leżą w części na niebardzo żyznych dolinach, w części na pochyłościach gór, jak we Włoszech. Przy granicy, budują chaty w miejscach zakrytych skałami, i z nich zwykle odbywają swe czaty. Gdy będący na straży krajowcy, dadzą hasło niebezpieczeństwa, wtedy wszyscy za broń chwytają. Kobięty, starcy, a nawet dzieci do wyjątków należeć nie mogą. Sposób wojaczki mają partyzancki. Naprzód wychodzi mały oddział wciągający udaną ucieczką wrogów do środka kraju, między skały.

Jeśli nieprzyjaciel mniejszy od nich liczbą, wtedy grożąc mu z gór swoich, ze śmiechem wzgardliwym wyzywają do walki: jeśli liczniejszy, napadają nań z taką siłą i mężstwem jak 13 maja 1858 roku. Poległych obdzierają z odzienia, które na siebie wkładają, zamiast laurów Rzymian dawnych.

Ściany skaliste gór tutejszych, wysokie od trzech do ośmiu tysięcy stóp, wielką są także pomocą w wojaczce; niemniej jak i sąsiedztwo chrześcijan z Hercegowizny, Dalmacyi, Bośni, będących nieprzyjaciółmi machometkańskich wyznawców Turcy, której jarzmo długo cierpieli ci pobratymczy Słowianie.

Po wąskich, stromych ścieżkach wdzierać się tylko mogą Czarnogórcy, tak jak kozy dzikie lub orły. Innoziemiec, ległby tu od razu. Nie potrafiłby żadnej ich krętej przebyć rzeczki, szumnie z gór spadającej. Krajowiec, zna każde położenie, każdy zakątek swój ziemi, do której wpadnięty nieprzyjaciel, śmierć tylko znaleźć może—tak samo jak Czarnogórczycy, widzi tu pewne zwycięstwo.

Czarny książę czyli Czernowicz, zwany inaczej Stratymirem, wnuk króla ostatniego Serbii (poległego 1389 r.), w XV wieku, kiedy Turcy zajęli Albanję (1467 r.) zebrałszy szczątki swego wojska walecznego, zaszedł aż do gór Czarnych i odtąd dzieje Czarnogórców, łączą się z historją innych Słowian.

Wtedy mieszkańcy tutejsi trudnili się pasterstwem i spokojny wiedli żywot. Dopiero Stratymir przetworzył ich w naród wojowniczy, ztąd niektórzy pisarze twierdzą, iż w słowiańszczyźnie tém jest Czarnogórze, czém dla starożytnej Grecyi była Sparta, a dla Włoch dzisiejszych Rzym starożytny.

Jan, syn Czernowicza, przewodzca pewnego rodzaju Klanu, połączył się, z powodu zaślubin swych synowie, węzłami przyjaźni z Wołochami i Serbami. Syn jego Maksym ożenił się z córką Doży Weneckiego. To już dowodzi, jak rychło Czarnogórcy z ludu pasterskiego przechodząc do znaczenia narodu bitnego, potrafili zyskać powagę i znaczenie usąsiednich państw, daleko wtedy od nich sławniejszych.

Jerzy syn Jana, ostatni świecki władzca Czarnogórza, ożeniwszy się z córką sławnego rodu włoskiego Mocenigo, przeniósł się na mieszkanie do Wenecyi w 1516 r., złożywszy swe rządy w ręce anarchii. Wtedy-to ów piękny kraj poczęli najeżdzać Turcy. Czterdzieści razy napadali i zawsze byli odparci. Wenecyanie weszli z Janem w bliskie przymerze, bo postrzegli, że po zajęciu Albanii i Serbii przez wyznawców Machometa, Czarnogórcy mogą stanowić przedmurze od Turków.

Po synu Jana i uspokojeniu anarchii, Daniel syn Piotra obranym był władzką i metropolitą zarazem. Odtąd, aż do niedawno zgasłego Danilla, te dwie silne władze, w jednego męża zostawały ręką.

Jeden ze znaczniejszych władcyków Piotr I, zwany od niektórych Ludwikiem XIV Czarnogórców, zakończył

życie 1830 roku. Dziewięćdziesięcioletni starzec, mimo późnego wieku nadzwyczaj ostre i surowe prowadził życie. Umierając, żądał aby na jego pamiątkę przez sześć miesięcy nie wydobywali Czarnogórcy oręża przeciwko Turkom i żyli w zgodzie. Była-to prawdziwa żałoba, której dokonali z całą ścisłością.

Synowiec jego Piotr II w roku 1833, jako dyakon serbski, udał się do Petersburga dla otrzymania święceń na biskupa. Od panowania bowiem Piotra Wielkiego Czarnogórcy posiadają opiekę Rossyi, jako wyznającej też samą religiję.

W roku 1814, przy pomocy floty angielskiej opanowali Montenegrini Cattaro, którego posiadanie do najgorętszych żąd ich zawsze należało, bo Cattaro jest ich jedynym bazarem, jedynem rozleglejszém światłem i przestrzenią jakie widzieć mogą po wydobyciu się ze swój *myszéj jamy*, jak Turcy zowią Czarnogórze. Wiadomo że Kongres Wiedeński w niewcz obrócił ich zwycięstwo. Lat dwadzieścia pięć nie chcieli się zgodzić na to mieszkańcy Gór Czarnych—aż wreszcie roku 1840 dokonali rozgraniczenia i zawarli w tym względzie traktat z Austryją. Podobnie w 1858 r. książę Daniel wyznaczył kommissyę, mającą ich odgraniczyć ze strony Turcyi.

## DORA d'ISTRIA, I JÉJ DZIEŁA.

(Z DRZEWORYTEM WIZERUNKU.)

Do znakomitych kobiet dzisiejszych czasów, niewątpliwie znaną pod nazwiskiem Dory d'Istria, autorkę dzieł „Niemiecka Szwajcarya” „Kobiety na Wschodzie” policzyć trzeba, bo niezawodnie ona jedno z miejsc pierwszych pomiędzy niemi zajmuje. Chociażby inne wyrównały jęj talentem, ona jednakże rzadką charakteru mocą, która się tak w pismach jako i życiu jęj całęm przebija, wszystkie inne, do wyższego rodu liczące się kobiety, przewyższa. Często już dosyć, hrabinę Dorę d'Istria porównywano z panią Stael; lubo tę ostatnią podziwiamy, jednakże nam się zdaje, że hr. Dora d'Istria mocą charakteru i umysłu o wiele się wyżej nad nią wzniosła. Pani Stael chciała przedewszystkiem wynosić się,

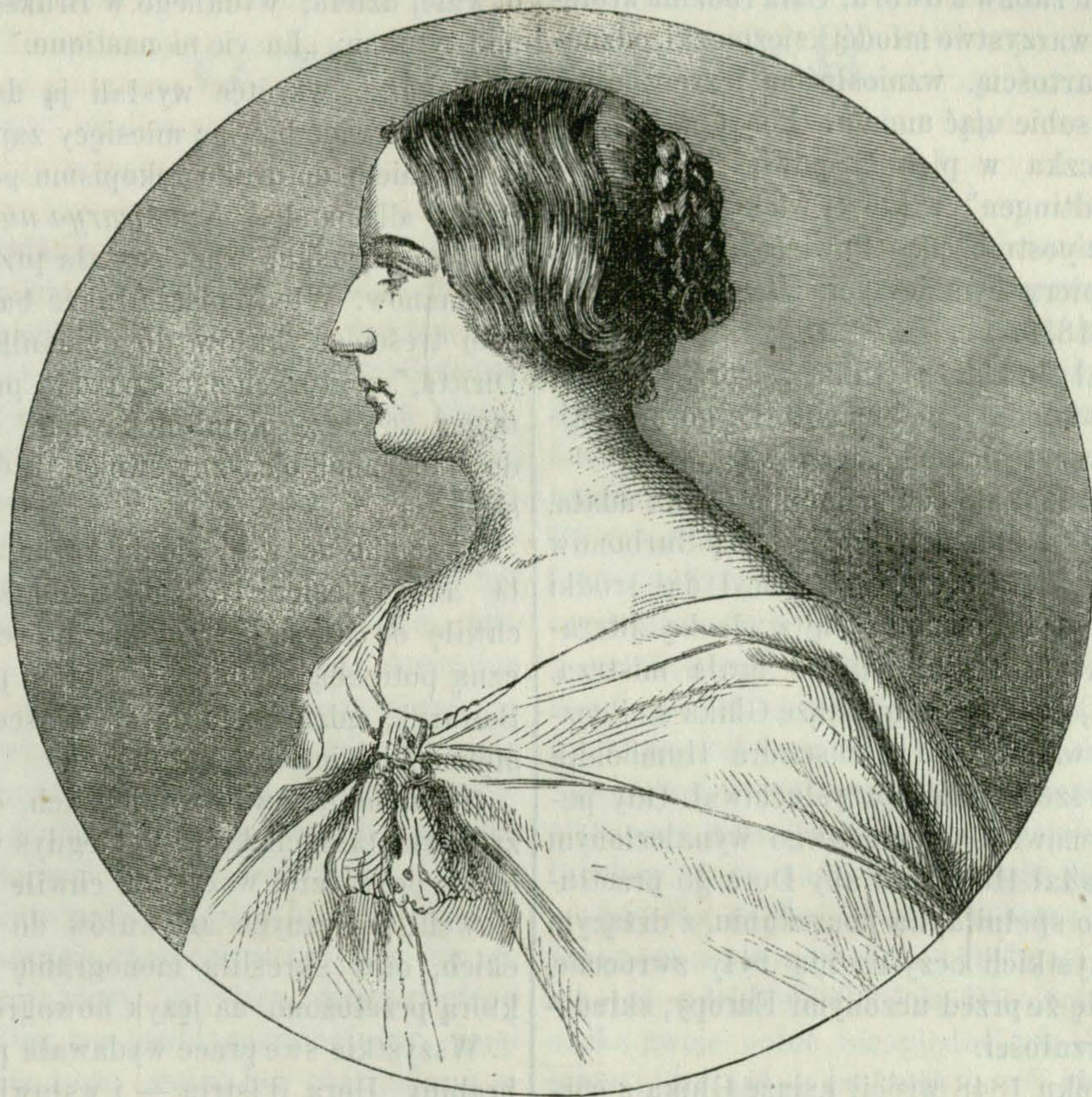
choćby w najmniejszym kółku znakomitych mężów; dla tego-też jęj wieś *Koppet* zwykle była miejscem zebrania osób nie tylko wysoko ukształconych, ale i wysokie mających w świecie znaczenie, po większej części po to w *Koppet* zgromadzonych, aby pani Stael mogła poszczycić się przed niemi z wiadomościami i zdolnościami swými. Że to tylko na celu miała słynna autorka, dostatecznie poznać można z korespondencyj prowadzonych pomiędzy nią a Szyllerem i Goethem. Jakże się różni w tém Dora d'Istria, która nad jeziorem Genewskiem mieszka w odległej i samotnej *willi*, oddana całkiem pracy literackiej i rozwinięciu swych idei! Ta, która z młodości do najwyższych sfer i najwybrańszych towa-

rzystw należała, która przy swoim majątku wszędzie błyszczeć mogła, żyje w największym odosobnieniu, używając tylko pociech moralnych i przyjemności z umysłowego zajęcia pochodzących. Myślałby może czytelnik, iż to kobieta jest stara?—Bynajmniej. Pani d'Istria ledwie lat trzydzieści dwa skończyła. Na dowód zaś, że i mizantropką nie jest, ani odludkiem,

przyczymy tę okoliczność, że się zajmuje ludem wiejskim mieszkającym na około jej ustroń. Aby uzupełnić powyższe wiadomości, podamy krótki życiorys.

Księżna Helena Ghika, urodzona w Bukareszcie 22 stycznia (4 lutego) 1828 r. jest córką księcia Michała Ghiki a synowicą gospodarów Grzegorz IV-go i Aleksandra X, którzy mądrze i sprawiedliwie krajem rządząc, pozyskali i miłość myślących ziomków i wdzięczność ludu; gdzieindziej zaś zyskali tylko nienawiść. Młoda księżniczka odebrała bardzo staranne wychowanie, któremu przewodniczył sławny archeolog Wojciech Papadopolaj, będący dzisiaj jednym z najznakomitszych profesorów akademii w Atenach. Prócz nowożytnych języków (nowogreckiego, francuzkiego, włoskiego, węgierskiego, niemieckiego, i rossyjskiego) Dora posiada języki starożytne gre-

cki i łaciński, w których takie postępy zrobiła, że w piętnastym roku życia Iliadę Homera przekładała na niemieckie hexametry. Obok tego zajmowała się w chwilach wolnych od nauk muzyką i malarstwem. Usiłowania jej uwieńczone zostały nagrodą; w roku bowiem 1854 odebrała na wystawie sztuk pięknych w Akademii Petersburskiej srebrny medal, za obra-



*Dora d'Istria*

zy olejne, do których przedmiot wzięła z poematu Henryka Heine'go: „Sonna i Palma.” Obok nauki i wykształcenia fizycznego nie zaniedbano; w roku 1854 tak doskonale już pływała, iż nauczycielce jednej ze swych sióstr uratowała życie. — Również umie oboch odzierać z bronią i doskonale jeździ, kierując z łatwością choćby najdziksze mi końmi.

Ojciec jej umyślnie opuścił w roku 1841 Wołoszczyznę już to częścią dla dokończenia wykształcenia swjej córki, już dla tego aby ją ze światem i ludźmi obeznać. Najprzód osiadł w Dreźnie, gdzie Dora miała pole otwarte tak do nauk jako też do wydoskonalenia talentu malarskiego. Nauczyciel Papadopolaj towarzyszył — i odtąd wyłącznie jej wychowaniu się oddał, gdyż dwóch braci księżniczki odsłano do zakładu naukowego Dr. Blochmanna. Ojciec

nie chcąc nauk córki niczém przerywać, nie miał zamiaru przedstawić u dworu królewskiego; ale musiał uleść w końcu naleganiom panującej królowy, która o jego córce słyszała i poznać zapragnęła. Za ukazaniem się księżniczki, król z nią rozpoczął bal, i tyle przyjemności znalazł w młodej, pięknej i wzniosłej dziewczynie, że ona w przeciągu lat czterech, które bawiła w Dreźnie, należeć musiała do wszystkich rodzinnych zabaw u dworu. Cała rodzina królewska polubiła towarzystwo młodej księżniczki, odznaczającej się otwartością, wzniosłością i zręcznością jaką wszystkich sobie ująć umiała. Pobyt w Dreźnie opisała księżniczka w pięknej powieści (Nowelli) „Eleonora z Haltingen” w której wiele znajduje się uwagi godnych postrzeżeń. Powieść (nowella) ta znajduje się w pierwszym zeszycie *Revue des deux mondes* z roku 1859.

Z Dreznia udał się książę Ghika z Dorą do Wiednia, gdzie się młodą i piękną autorką gorąco zajmowały liczne wszystkich odcieni towarzystwa.

W Wenecyi, dokąd się potem familija Ghika udała, młoda księżniczka z dawniejszą gałęzią Burbonów weszła w stosunki. Pobyt w Wenecyi dał środki Dorze do lepszego zapoznania się z włoską literaturą, której lekcyę od znakomitego brała mistrza.

Z Wenecyi, pojechał z córką książę Ghika do Poczdamu. Tu widywała często Aleksandra Humboldta który się jęj zawsze z uwagą przysłuchiwał. Gdy pewnego dnia rozmawiano o niedawno wynalezionym rękopiśmie, zażądał Humboldt aby Dora go przetłumaczyła; wnet to spełniła, na poczekaniu, z drżącym głosem, bo wszystkich oczy na nią były zwrócone, gdyż zdawało się że przed uczonymi Europy, składała egzamen dojrzałości.

Przy końcu roku 1848 wrócił książę Ghika z córką na Wołoszczyznę. W lutym 1849 roku Dorę zaręczono z księciem Aleksandrem Kolcow-Massalskim, z którym udać się musiała do Sankt-Petersburga. Tu przewodniczyła Instytutowi wychowania dzieci, oraz należała czynnie do wszystkich towarzystw dobroczynnych, szczególnie do zakładu roboczego, w którym stare, niedostatnie kobiety, zarabiały własnymi rękami na swe utrzymanie.

Urodzona w ciepłym klimacie, nie mogła wytrzymać powietrza północnego. Za radą najpierwszych lekarzy, w których liczbie znajdował się Mianowski, udać się musiała do gór szwajcarskich w kwietniu 1856 roku.

Błogosławione niebo téj błogosławionej krainy bardzo dobrze wpłynęło na jęj delikatną organizację,

osłabianą coraz bardziej pracami umysłowými, silnie działającými na systemat nerwowy. Śmiało rzecz można, iż w Szwajcaryi dopiero Doria odżyła, jakby nanowo. Gdy się jęj zdrowie wkrótce polepszyło, zaczęła robić wycieczki w różne strony tego pięknego kraju, a na szczycie góry Moench najdłużej powiewała chorągiew z barwami jęj ojczyzny.

Tu przyłożyła ostatnią rękę do napisanego jeszcze dawniej dzieła, wydanego w Brukselli po francusku pod tytułem: „La vie monastique.”

Lekarze wkrótce wysłali ją do Lugano, gdzie przez dziewięć bawiąc miesięcy zajmowała się przygotowaniem do druku rękopismu pod tytułem: „La Suisse allemande.” *Szwajcaryja niemiecka*, ogłoszona po francusku, wnet została przełożoną na język Germanów. Wtedy pisała także bardzo wiele poważnej treści artykułów do dziennika włoskiego „Il Diritta,” w których zapoznawała powszechność czytającą ze szczegółami ciekawými, odnoszącými się do ukochanej ojczyzny swojej, którą opuścić musiała.

Z Lugano udawszy się do Aaran, (gdzie przebywała aż do jesieni 1852 r.) nie oderwała się ani na chwilę od zajęć literackich, które stały się konieczną potrzebą jęj ducha. Potem przeniosła się do Bawaryi, gdzie osiadła w wiosce spokojnej, nad pięknym jeziorem położonej.

Oddalona od gwarów miejskich, od natręctwa wizyt etykietalnych, które ją niegdyś w Niemczech męczyły, poświęciła wszystkie chwile wolne na pisanie Nowelli i licznych artykułów do efemeryd literackich, oraz skreśliła monografię *Wysp Jońskich*, którą przełożono na język nowogrecki.

Wszystkie swe prace wydawała pod pseudonymem hrabiny Dora d'Istria — i wślawiła się tém imieniem, które najbardziej lubi i którym ją nieraz nazywają w codzienném nawet używaniu.

Zaczęte w Aaran „Les femmes en Orient” skończyła mieszkając w Bawaryi. Dzieło-to bardzo dobrze napisane wartoby przełożyć na język polski. Wyjątki z niego umieszczaliśmy w Księdze Świata.

Kolcow-Massalska, bogata we wszystkie cnoty niewieście, posiada mężki hart duszy, który się nawet przebija w wyrobionych studijami umysłowými rysach jęj twarzy. Charakter ma nieugięty, — pogląd na przedmioty, które traktuje, czysty, niezamącony wsteczniemi wyobrażeniami. Wszystko-to winna nie tyle wychowaniu, ile raczej własnym pracom nad sobą i studjom, jakim się poświęcała w towarzystwie znakomitych nauką mężów.

Przywiązanie gorące, szczere i prawdziwe do kraju rodzinnego, przebija się we wszystkich jej piśmiach. Aby zapoznać świat ze swą ojczyzną i sprostować wiele błędnych lub niedostatecznych o niej wyobrażeń, pisywała umyślnie artykuły w różnych

językach do rozmaitych dzienników. Gdziekolwiek się znajduje, wszędzie ją należną czią otaczają, wszyscy, jakichkolwiek bądź wyobrażeń i narodowości, ludzie.

## O MORMONACH.

Wiek nasz oskarżają dziś powszechnie o indyferentyzm—i w rzeczy samej, wielkim on jest za dni naszych w rzeczach religii i ducha, przy dążeniu wyłącznie w stronę realizmu i przemysłu zwróconém. Ale czyż istotnie może się wyrzec człowiek złożonych w nim instynktów ducha, które naglą go, mimo nawet wiedzy jego i przyzwolenia często, w nieznanne a przeczuwane zdążać wyżyny, w których zamieszkuje wiara? Wyraz ten odepchnięto wprawdzie lub zamglono dziwném pojęciem jego znaczenia; niemniej jednak leży ona w sercu ludzkim i dopomina się praw swoich. Wiek nasz, wiek krytycyzmu, to jest rozbioru wszystkich zasad, a zatem zbliżenia onych, czyli zniżenia ku sobie aż do stopnia dotykaności, chciał i religiję i wiarę rozebrać niejako chemicznie, aby dojrzeć z jakich składa się pierwiastków, i czy te pierwiastki dadzą się zastosować i zużytecznie przy obrocie machin parowych w ich pędzie razem z kierunkiem umysłów, drogą postępu materyalnego. Wiek ten praktyczno-logiczny, pojał odrazu że wiara nie może istnieć bez obrzędów, a obrzędy nie mogą obejść się bez współdziałania wiernych, których tym sposobem odciągają od zajęć przemysłowych, czyli, jak je zamianowano, od praktycznego życia; osądził zatem stanowczo, że jej zbywa na utylitarności i sile produkcyjnej; dla tego religiję odtrącił jako żaden materyał, a nawet kierunkom jego szkodliwy, zamieszczając ją tylko w spisie nieużytecznych i przestarzałych sprzętów, które zastąpić należy innemi.

Racyonalizm podjął się tego wynalazku; widzieliśmy wszyscy i znamy jego usiłowania; wszakże wiemy i to, że nie zaspokoił swych własnych chęci, boć i dziś nie spoczywa — a już liczy wielu odstępców między zwolennikami swoimi. Ztąd ogólny moralny niepokój, ztąd sekt tyle, które stają znowu w sprze-

czności z zarzucanym dziś światu indyferentyzmem i właśnie udowodniać się zdają tę prawdę, że potrzeba zasad religijnych po wstrząśnieniu i obaleniu onych przez niewiarę; daje się dziś silniej niż kiedykolwiek uczuwać duchowi ludzkiemu, który na żadnej innej, nietylko politycznej, ale nawet moralnej zasadzie, poprzestać i spocząć stanowczo nie może. Bo ten duch ludzki posiada w sobie samym prawo konieczności doprowadzenia swój potęgi do najwyższego naznaczonego mu przez Stwórcę kresu—a czuje, że tej potęgi rozwinąć i w spokojny a ciągle postępowy ruch wprowadzić nie może, tylko wsparty na wieczystej posadzie, jaką jest religija objawiona. Gdy jednak krytycyzm dzisiejszy zachwiał wszystkie zasady, i samém nawet objawieniem; gdy prostota wiary, tego nadprzyrodzonego daru, przeminęła, a potrzeba ducha została taż sama, ciągle łaknąca, pragnąca a nienasycona—oglądamy się w około siebie — i z lekkomyślnością dziecięcia, które kruszy cacka swoje pełne nieogłędnej ufności że je zaraz innemi zastąpi — szukamy nowój idei, aby w nową oblekłszy ją formę, postawić w miejscu wrzekomo już zużytej. Pędzeni pragnieniem uszczęśliwienia się na tej ziemi, użyciem wszelkich Bożych darów i podzielenia się niemi z równie jak my łaknącymi, a często nędzniejszymi od nas braćmi, upoważniamy się tém uczuciem własnych pragnień przybraném w mniemaną czułość na tamtych cierpienia, jakby rzeczywistą miłością bliźniego w duchu Bożym pojętą — do sięgania śmiałą ręką po wszelkie ziemskie dobra, by je własnością ludzkości uczynić ku wspólnemu wszystkich użyciu. W złym zarodzie żądź naszych upatrując prawo do onych zaspokojenia, ubóstwiamy nieznacznie zmysły, uznając ich wymagania za nieprzepartą i nieodzowną konieczność. Niewidzialne, niedotykane, nigdy jednak nie naruszone pragnienia

i instynkta ducha zaparte — zgubnym, czczym, mistycyzmem nazwane — pominięte, pokrzywdzone dziś zostają, z niebacznym zapomnieniem tych słów Chrystusa, gdy zgłodniałego, kusił szatan jak dziś całą ludzkość zgłodniałą kusi: „Nie samym chlebem żyje człowiek!” — z zapomnieniem przestrogi wielkiego nauczyciela narodów: „Ducha nie gaście!” I tak namiętnie pędząc za postępem w ogóle materialnym, a zaledwie tylko umysłowym rozumem ludzkiego dogadzając potrzebom, kujemy sobie naprędce, gorączkowo, najstosowniejsze do zaspokojenia żądz naszych i najdogodniejsze zasady, wznosząc na nich, wprawdzie okazałą i świetną budowę pomysłowości materialnej, a nawet bytu politycznego — nigdy jednak niedochodzącą wzniosłości potęgi duchowej, bo ta, tylko z natchnień Bożych powstać może, prawem swój wyższości opanowując materję i zmysły, niedopuszczając rozwinięcia się szkodliwej ich wybujałości. Żywą wyobrazicielką dążeń wyżej określonych jest, przed trzydziestoma laty powstałe, zadziwiające zjawisko, ze zbiegowiska różnych narodowości i wyznań ludzi za pomysłowością goniących, złożone, znane pod nazwą: Sekty Mormonów. — Utworzyła się ona z członków zgłodniałego proletariatu całej Europy, emigrujących do Ameryki, gościnną, choć macoszją ojczyznę wszystkich odpadłych od piersi matki ojczyzny synów, którzy na tej łonie niemogąc znaleźć wyżywienia, rzucili bogi i progi domowe, a zapierając się wszystkich potrzeb ducha i zabijając je w sobie — z rodzinami całymi puścili się za ocean, wołając: chleba! chleba! — a żywiąc pragnienie, znalezienia tam obfitości, a nawet i bogactw, któremi innych przesyconych widzieli: „Dajcie nam chleba i pieniędzy! wołają, a gdzie te znajdziem, tam będzie ojczyzna nasza, tam postawim sobie nowe ołtarze.” I wkrótce zjawił się wśród tych nowych osad nowy prorok, Józef Smith. Jemu to, według jego własnego twierdzenia, anioł, nawiedziwszy go jeszcze w roku 1826, objawił drogę prawdy. Wskazał mu bowiem, w ziemi zakopane kamienne naczynie, w którym znajdowały się prawa na złotych wypisane kartach — z tych kilka wyjąwszy oddał je aniołowi Smith’owi przekazując mu przytęm kapłaństwo, według porządku Melchizedecha, równie jak siłę objawień, znajomość języków i władzę rozwiązywania lub zatrzymania grzechów. Szybko gromadzili się około niego uczniowie spragnieni nową jakiej wiary; szybko też wzrastała sekta — której prawa i przepisy dziwnie przypadały do awanturniczego usposobienia tego zaimprovizowanego narodu. Wszyscy onego

członkowie, cały zapał, wszelkie siły i energiję rozbudzoną nowym otwierającym się przed nim zawodem, nieśli na posługę myśli, która zdawała im się być nową i spełniającą wszystkie wymagania wyobraźni, marzącej o państwie doskonale urządzone na zasadach zupełnej swobody rozumu i sumienia, woli i wszystkich instynktów człowieczeństwa. Nowy *prawdziwy* kapłan, tak zanominowany od anioła, wraz z bratem swym i kilkoma zwolennikami w roku 1830, jako apostołowie tej nowo odkrytej *prawdziwej* Ewangelii, zaczęli opowiadać ją, chcącym ich słuchać — i nauczali że: oni jedni tworzą kościół prawdziwy, w łonie którego jedynie można być zbawionym, gdyż kapłaństwo *prawdziwe*, razem z Melchizedechem schronione w niebieskich przybytkach przez ośmnaście wieków, objawiło się znowu w Józefie Smith’cie — i on to naznaczony został do utworzenia kościoła Chrystusowego: — „*Świętych dnia ostatecznego.*” Przyznając uświęconą wiekami powagę Biblii, uznają ci *Święci* boski jej pierwiastek — lecz, według nich, potrzebowała ona, nowego tłumacza dla przywrócenia prawdziwego brzmienia jej tekstów — i oni jako „*Ostatni święci kościoła Chrystusowego*” podjęli się dopełnienia tego, w sposób stosowny do pierwotnego przedsięwzięcia swego: wyzwolenia człowieczeństwa z więzów przesądu religijnego, krępującego swobodny rozwój władz ludzkich. W obrzędach swych religijnych mieszają oni muzykę ze śpiewem; małżeństwa ich, tak zwane *duchowe*, są zupełnym wielożeństwem — choć uparczywie zaprzeczają zarzutom ich wyuzdaniu zmysłowemu czynionym. Wierzą też w cudowny wpływ przez wkładanie rąk udzielany. Na takich posadach religijnych i społecznych ukonstytuowane towarzystwo składające się z osób różnego stanu, płci i wieku, krótko przebywając w Kirtland (Ohio) udało się następnie do hrabstwa Jakson, (Missuri) gdzie za odebraniem z góry, przez anioła rozkazem, zaczęto budować świątynię, której jednak ludność miejscowa nie dała im dokończyć, gdy ohydzone za rozprężenie obyczajów, zbrojnie ztamtąd wygnała.

Niezmordowana energia „*Ostatni ich świętych kościoła Chrystusowego*” nie dała się tém przełamać. Owszem jakby wzmocnieni tak zwanym prześladowaniem, przenieśli się do prowincji Illinois, nad brzegi Missisipi, ciągnąc długim pasmem wozów i pieszych, przypominającym pierwotne wędrówki narodów — i tam zbudowali świetne miasto, nazwane Nauvoo. I tu jednak nie zjednali sobie przychylności krajowców, przeciwnie znieawidzeni, jeszcze



i ztąd wypędzeni zostali w roku 1844, a ich założyciel i kapłan. Józef Smith, z bratem swym Hiramem, oskarżeni o nierząd i bezprawia, wzięci do więzienia, zamordowani tam zostali wśród tumultu wywołanego nienawiścią ku nim.

Po tej nowej klęsce, zebrana rada najwyższa Mormonów zebrana w lutym roku 1840, postanowiła dalszą emigrację ku zachodnim pustyniom, gdzie zejść się mieli wszyscy pod Mouron (Jowa) i puścili się w długą swą pielgrzymkę pod dowództwem Brigham'a Jung'a, następcy Smith'a, przetrwawszy z niezłomną odwagą niebezpieczeństwa, trudy i częste napady ludności białej i Indyan. Przybyli nakoniec w lipcu następnego roku nad brzegi jeziora Słonego w stu kilkudziesięciu ludzi, nie licząc kobiet i dzieci, opatrzeni wszelkimi narzędziami, nasionami i zwierzętami potrzebnymi do uprawy roli. Nad brzegami rzeki Ulah, łączącej się z wielkim jeziorem słonem; na zachodniej stronie łańcucha gór Wah-Satch zbudowali sobie miasto, podzielone na równe części, i szerokimi poprzecinane ulicami, a na obronę od wszelkiego napadu, wprost wielkiego rynku, wzniesli silną murowaną fortecę. Ziemia otaczająca miasto szybko uprawioną została—a wkrótce potem trzy do czterech tysięcy Mormonów przybyłych ze Stanów Zjednoczonych połączyło się z pierwszymi. Od tej pory wzmagała się osada nieustannie nowymi przybyszami i do tego wzrosła stopnia że cała niezmierna ta kolonia uczuła potrzebę utworzenia organizacyi cywilnej—a rząd Stanów Zjednoczonych zawyrokował oddzielną uchwałą na dniu 2 lipca 1849 roku: że Stan *Deseret*, uznany za wolny, przyjętym zostanie do unji amerykańskiej z prawem korzystania ze wszystkich przywilejów udzielonych innym Stanom Unji. Trudnym byłoby określenie obszerności ich miasta, które ciągle się powiększa, a prace i środki do upiększenia onego użyte są ogromne plantacje, ogrody, kanały irygacyjne dostarczające wody ogrodom — a nareszcie budowle publiczne, między któremi wzniesiono wielką szopę w niej 3000 osób mieścić się może. Zastępuje ona tymczasowo wielką świątynię, która wszystkie inne dotąd znane ma przewyższyć kiedyś świetnością i przepychem. Mają też i mennicę, w której wybijają piękne złote pieniądze. Pozakładali także i inne miasta, które, wnosząc po przemyśle rozwiniętym do wysokiego stopnia i bogactwie za nim w ślad idącym, połączone zostaną z sobą licznymi rękodzielniemi folwarkami i całą przestrzenią od San-Diego aż do Wielkiego Słonego jeziora. Rząd ich cywilny ściśle

jest połączony z religijnym, doczesna władza z duchowną. Urzędnicy świeccy zajmują stopnie w hierarchji duchownej, odpowiadające ich urzędowi cywilnym — a rząd cywilny wypłynął u nich z konieczności tej tylko, że wielu przybyszów osiadając w koloniach Mormonów, nie łącząc się ze „*Świętymi Kościoła Chrystusowego*” — stanowili dla nich ludność tak od nich zwaną „pogańską” a musieli jednak ulegać wspólnym jakimś przepisom. Te przepisy sekularyzowane — są przecież ściśle przystosowane do pojęć religijnych sekty i od niej nie odłączne. Równowaga dochodów i wydatków państwa nosi także piętno wyobrażeń łączących zarząd duchowny ze świeckim w jedno. Dochody kościoła, hojnie wydatkowane na potrzeby bezpieczeństwa i dobra publicznego, zależą na pewnym rodzaju dziesięcin, według systemu przyjętego u hebrajczyków a wybierają się tym sposobem. Każdy członek państwa w chwili, gdy składa wyznanie wiary, płaci do skarbu dziesiąty grosz posiadanego mienia, a oprócz tego obowiązany jest dziesiątą część czasu swego, pracować przy robotach publicznego użytku, jak np. przy kanałach, mostach, drogach etc. Rozłożonym jest także równy podatek tak na „Świętych” jak i „pogan” który stanowi dochody cywilne razem z opłatą od przedmiotów żywności przy wprowadzaniu onych do miasta. Od trunków zaś płaci się połowa wartości. Te wszystkie środki użyte do zapewnienia bezpieczeństwa, trzeźwości, dobrego bytu i wszelkiego rozwinięcia przemysłowego w rodzaju państwa złożonego z części tak różnorodnych, olśniewać nas nie powinny, ani sądu naszego o tém awanturniczém zbiegowisku wykrzywiać. Człowiek jest istotą rozumną — umie zabezpieczać byt swój pod wszelkimi względami i może wszędzie zaświecić darami Bożemi, nieodłącznymi od człowieczeństwa jego natury. Ależ pomnijmy na to, że zjawiska takie istniały w starożytności, w pogaństwie; i że zawsze doszedłszy do zadziwiającej świetności na drodze materialnego i zmysłowego rozwoju, rozpadały się stoczone zepsuciem i zgnilizną. Temu samemu prawu koniecznej śmierci uleż musi, prędzej czy później, zadziwiająca dziś ogromem ludności i świetnością powodzenia osada Mormonów. Co jednak powinno uwagę naszą uderzyć i do głębszego przywieść zastanowienia to właśnie w tém nowym społeczeństwie, na samych materialnych zasadach i dążeniach opartém, społeczeństwie którego założeniem było wyzwolenie się zupełne z wszelkich uznanych praw religijnych, to ściśle zaszczepienie rządu cywil-

nego na idei przyjętej za religiję, z zupełną przewagą tej ostatniej, w czasie kiedy właśnie w starym świecie oświeconym religiją objawioną i niby wyznawającym onę, toczy się zacięta walka o rozdzie-

lenie na zawsze tych dwóch pierwiastków — jakby duszy z ciałem, a któż nie wie że za tém śmierć następuje?

Z. K.

## BAWARYA GÓRNA.

(Z RYCINĄ KOLOROWANĄ.)

Podróżnego, udającego się od północy ku Alpom niemieckim, uderza już przy Landshul nowy i malowniczy widok potoku Alpejskiego, i nieprzejrzana płaszczyna doliny Izar. W odległości ośmiu godzin drogi wychylają się obadwa szczyty na 333 stóp wysokiego kościoła w Monachium, z równiny szaręj, jakoby powierzchnia morza, po za którą ciągnące się od Graubüden i jeziora Boden, aż do Salzburga, olbrzymie Alp szczyty, jak wielkoludów namioty, otaczają wieńcem widnokrąg południowy. Bardziej jeszcze uroczym jest widok przy samém Monachium, chociaż tu tylko przez luki, przedmurze tworzących Alp wapiennych, dojrzysz iskrzące się lody Alp środkowych. Przy pięknej pogodzie przedstawiają one precudny widok, urozmaicony grą światła i obłoków — wszędzie on uderza oko, nie zmuszając podróżnego, pragnącego się nim nasycić, do wspinania się na wieże, lub tympodobne wyniosłości.

Izar, poczynająca się w stronie południowo-zachodniej, wciska się pomiędzy górzyste Alp wyniosłości. Z pośród czarnych borów najróżnorodniejszych drzew gatunków, sterczą, już to nagie, już znowu najbujniejszą zielonością pokryte ściany, szczytów Alp wapiennych. W odległości dobrej godziny drogi od stolicy dochodzimy do wnętrza cienistych lasów, których proste i długie ulice wiodą nas w uroczę okolice niezliczonych jezior południowej Bawaryi, wpośród których najpiękniejszymi są: jezioro Schlier i Tegern, otoczone wieńcem zamków, świątyń i wieżyc starożytnych. Obraz dzikszej natury przedstawiają nam jeziora Kochel i Wallen zamknięte ścianami lasów jodłowych, gdy jeziora Würm i Ammer w rokosznej dolinie obrały sobie łożysko. Dalej drogi poczynają być górzystymi; pulchna poprzednio

ziemia, zmienia się w grunt twardy, kamienisty — w lasach dęby przodkują inną swą braci, a oko spotyka niebieską powierzchnię zwierciadła rozległego jeziora rozlanego wpośród pasma gór, bujną pokrytych zielenią; tu i owdzie dość licznie na mieszkania zabudowanych. Najmniejszą chateczkę poznajemy po srebrnym połysku dachów gontami pokrytych; wysokie, białe wieże kościelne cechują obszerniejsze miéjsc przestwory. Przed nami piętrzą się szare gór kolosy, których przedni szereg osłania las, jakoby płaszcz czarny; dalsze zaś otwory, jakby bramy wchodowe, pozwalają tu i owdzie pobujać oku w tajniach Alpejskiego świata.

Najpiękniejszą grupę Alp bawarskich, stanowią góry Berchtesgaden. Tysiące strumieni przerzyna łąki i pochyłości, wysokie klony dostarczają im cienia, a po za niemi, zaledwo o godzinę drogi, zaczyna się naga, łysa, bezroślinna, na 6 do 8000 stóp wzniesiona skalista pustynia. Na całej tej przestrzeni nie dojrzysz nigdzie skojarzonej cechy lubéj łagodności z typem dzikości wspaniałej.

Botanicy, geognostycy i malarze znajdą tu dosyć przedmiotów, godnych ich zbiorów i zastanowienia. Tu bawił całe lato Aleksander Humboldt, a malarze nie raz rozstawiali przed stojącemi na okół chatami swoje sztalugi, by zbierać studia i szkice. Pomiedzy niemi, nietrudno również spotkać doskonałych znawców alpejskich okolic — błędzących, że tak powiem, przez całe lato, po wzgórzach bawarskich i tyrolskich chatach, by wzbogacić swoje albuma szkicami zdjętymi z życia alpejskich pasterzy, szkicami miejscowego bydła, lasów, wodospadów i grup lodowatych. W Monachium, na ich zebraniach można nasłuchać się dowoli najrozmaitszych a przytem





bardzo ciekawych opowiadań o polowaniu na dzikie kozy, dziką zwierzynę i t. p. Miasteczko Berchtesgaden, znane ze swych kopalni soli, liczące około 2000 mieszkańców, leży u stóp Watzmanna, który, jakby władca pasma gór Berchtesgaden majestatycznie wznosił do góry głowę. Z pośrodku pól śniegiem pokrytych, rozesłanych ustóp jego, sterczą siwe, nagie, zygzakowate jego szczyty.

Znaczna część wyniosłości górzystych, poniżej których wytknięto kres wzrostowi lasów i gdzie z powodu znacznej wysokości korzeń drzewa rozrość się nie może; przestrzeń ta, jak nam wiadomo, jest jeszcze obrosła wspaniałymi wierzbami. Wegetacja nie dochodzi tu wprawdzie do tego stopnia, jak na bujnych łąkach w płaszczynach i dolinach; natomiast jednak jest daleko silniejszą i gęstsza; żadna zaś karm stajenna, nie jest w stanie wytrzymać współzawodnictwa z paszą z gór zebraną. Bydło przepędza lato na górach, a pilnujący je pasterz stawia sobie w pobliżu, na bezpiecznym miejscu, czasowe mieszkanie.

Całe to olbrzymie pasmo gór tchnie w ciągu całego lata nowym, rokosznym życiem; przybycie pasterzy z wesołą trzódką pobudza je do niego. Rozróżniamy trzy rodzaje paszy alpejskiej, ze względu na jej miejscowość, mianowicie górną, średnią i niższopastewną.

Na okolicę niższopastewną, najbardziej ku spodowi góry posuniętą, wypędzanym bywa bydło zaraz z wiosną, skoro tylko dla niego zaczyna być dostępną. Jak tylko śnieg zniknie, stopiony słońca promieniami, buduje sobie pasterz namiot w okolicy średniopastwnej, który następnie w środku lata w okolicę górno-pastewną przenosi. Na wygonach aromatycznymi ziołami pokrytych, sterczą tu i owdzie, jakoby wrosłe w ziemię odłamy skał i łomy kamieniste, stawiające koszeniu nieprzewyciężone przeszkody; z tego też powodu bydło zmuszonym jest szukać sobie samo pokarmu. Siano zebrane na miejscach w których koszenie nie jest tyle utrudnionem, ma z powodu swój dobroci, wysoką cenę a niejedna krowa zjada codziennie najpiękniejsze rośliny Alpejskie, któreby mogły być ozdobą najpiękniejszego zielnika. Tu kwitnie wanilią tchnący, brunatny płodzień, piękny jaskier, niebieska gentiana, osobliwsze Orchidey, ładniutki, kwiecisty Iberis, i niezliczona ilość innych ślicznych roślin: najtwardsze nawet skały, stroją się w najpiękniejsze kwiaty. Królową jednak roślin alpejskich jest niezaprzeczenie nie ustępująca w niczym nawet cudnym pierwiosnkom, zawilcom, i ja-

skierom, sławna róża Alpejska, zdobiąca skały swemi promiennymi krzaki.

Już w miasteczku Wasserburg nad Inną, uderza cudzoziemca rodzaj budowy, różniący się w całej swój istocie najzupełniej od innych rodzajów budownictwa niemieckiego; mianowicie te wysokie, białe pomalowane domy, z skrytymi dachami, i sklepionymi gankami, mają postać południowych albo raczej wschodnich budynków. Płaski, znacznie po za ściany boczne domu wystający dach, nakrywa budynek, którego przednia część na mieszkanie, tylna zaś na stajnie i szopy jest przeznaczona. Domy drewniane zbudowane są z belek poziomo na sobie pokładzionych i tylko w końcach swych spojonych. Z kilku stron domu pomieszczone są ganki czyli balkony, najdokładniej od deszczu wystającym dachem zabezpieczone, przeznaczone do suszenia bielizny lub ziół na górach zebranych. Okienka domostw są małe, w ich środku krzyżują się dwa pręciki żelazne, kończynami swemi w ramie okna utkwione. Przednia czyli wierzchołkowa strona bardzo często zdobna w rzeźby, na dachu zaś również często dojrzysz wieżyczkę, z dzwonkiem w jej wnętrzu umieszczonym. Dach płaski dranicami kryty, obciążony jest dla mocniejszego ich przytwierdzenia, ogromnymi kamieniami. Rozszerza się on pod kątem dość płaskim z szeroko wystającym przeddaszem po nad głowami mieszkańców, jak skrzydła kokoszy nad gniazdem. Brzeg dachu obity jest tak zwanymi skrzydłami, na których zwykle nakreślone przysłowia, zatrzymują przechodzącego i podziwiać każą myśl zdrową w nich zamkniętą. W górnych okolicach pojedyncze gminy oddzielone są od siebie częstokroć znacznymi przestrzeniami, tak, że spragniony i znużony podróżny częstokroć jest zmuszony iść jeszcze dobrą godzinę, nim napotka jaki dom gościnny, a w nim posiłek i odetchnienie.

Wielką różnorodność dostrzeżesz między chatami wyłącznie na pobyt i gospodarstwo letnie zbudowanymi. Są one po większej części wielkie i obszerne, budynek jednak bywa niski, i częstokroć tylko z pojedynczych, nieociosanych nawet pniów zlepiony. Dzieli się on zwykle na trzy części. Część przednia i średnia przeznaczoną jest na kuchnię — w niej pomieszczone ognisko i grubsze naczynia; tu się gotuje i sér wyrabia. Po jednej stronie jest mleczarnia, do przechowania zrobionego już séra i mleka zlanego w garnki i miski poustawiane na podstawkach; zapasów żywności, skrzyń z odzieżą i t. p.; po drugiej stronie jest izba, zastawiona stołami i ławkami,

czasem nawet i łóżka w niej są pomieszczone, okna jej bywają zwykle mańkami oszklone szybkami. Obory, jeszcze niższe niż reszta domostwa, dachy płaskimi kamieniami obciążone, a poddasze drewnem założone; krowy stoją w dwóch rzędach, po trzy razem poustawiane, a łbami zwrócone ku ścianom, zwyczajnymi drabinami opatrzonym. W górniejszych i uboższych w drzewo okolicach, domy, jedynie tylko przez krótki czas zamieszkiwane, budują się z masy kamieni na sobie poukładanych, dranicami krytych, i wielkimi odłamami skał obłożonych. Wszystko to przedstawia oku nie miły widok, i nie wiele pozwala spodziewać się wygody.

O kominach tu nie ma ani mowy. Wiatr wprawdzie może się wdzierać przez szpary na wewnątrz, dym natomiast nie ma którejdy wydobyć się na zewnątrz; podróżny zaś szukający tu noclegu, znajduje tylko do wypoczynku pryczę, i trochę wilgotnej słomy.

Mieszkańcy Alp bawarskich są zdrowym i silnym ludem, lecz zarazem rzadką mieszaniną powolności, uczucia, naiwności, szorstkości, i prawdziwej, głębokiej religijności. Stary Bawarczyk jest prawym i szczerym, nie przywiązuje się namiętnie do niczego, daje się jednak dobrem słowem nakłonić do wszystkiego, chociaż niejednokrotnie odzywa się ze swoim: „I mog nit” (ja nie mogę). Podanie lub uderzenie ręki jest tu jeszcze tak silnym, jak przysięga, węzłem.

Równie oryginalnym jak charakter, jest i ubiór mieszkańca alpejskiego, tam, gdzie jeszcze nie przekształcony, niezmienny, w starodawnym zachował się kształcie. Głowę nakrywa kończasty, w pióra ubrany kapelusz, noszony również przez mężczyzn jak i kobiety, koszula z szerokimi, bufiastymi rękawami; kaftan brunatnego koloru, na ramiona zarzucony; spodnie ze skóry kozłowej, u dołu szerokie, nie wiązane, sięgające tylko do kolan; grube wełniane pończochy, okrywające łydki, kończące się u kostki; otoż i ubiór mieszkańca alpejskiego. Szeroki pas skórzany, upiękaszony naszyciami przedstawiającymi jelenie, kozy dzikie, drzewa i t. p., szelki koloru zielonego pokrywające część piersi; i lekko około szyi związana chustka, której końce pierścieniem złączone; ogromne trzewiki, z drewnianymi, na cał grubymi, gwoździami nabitymi, podszwami, uzupełniają ubiór, który, obok pełnej serdeczności, rumianej twarzy, niebieskich oczów i kręconych włosów, przedstawia miły nader obraz, wkrótce zapewne, równie jak i starożytny ubiór mający całkowitej ule-

gnąć zmianie, a co gorsza może nawet zupełnemu zarzuceniu. Okragły zielony kapelusz, jasno-zielona suknia z wielkimi kieszeniami bocznymi, wszędzie zielonym jedwabiem wyszyta i nasadzona długimi pasmami srebrnych guzów, z samych stuletnich półguldenow; oto był strój prawdziwy, starodawny, w który dzisiaj niewielka zaledwie liczba starców się ubiera. Z dawnym strojem nikną również i stare obyczaje.

Różnie przedstawiano gospodarstwo Alpejskie. Jak wiadomo, rozpoczyna się ono w maju a kończy w październiku. Wielkie chaty są zwykle przez jedną kobietę, jednego pastucha i jednego chłopca zamieszkałe. Ze świtem bydło wypędza się na góry, rano i wieczór bywa dojone, po dwóch dniach z mleka robią masło, a następnie séry. Z miejsc, do których bydło dostać się nie może, bywa znoszoną pasza, nie raz z narażeniem życia, szczególnie w porze, w której dla brzydkiego czasu bydło w góry dostać się nie może. W tych okolicach dziewczęta po większej części trudnią się paszeniem bydła. Gospodarstwo z ich łaski przybiera cechę więcej poetyczną; odznaczają się one wesołym usposobieniem, ubierają bydło w wieńce z kwiatów, a zamiast monotonnych melodyj, i częstokroć nieznośnego strzelania z biczków, można się dowoli nasłuchać rozgłośnych, dźwięcznych pasterskich śpiewów. Wszelako podróżny, po raz pierwszy przestępujący próg pasterczej chaty, doznaje zaraz na pierwszym kroku przykrego rozczarowania. Nie znajdzie on tu tych białych, czystych domków; zakopcona, ciemna przestrzeń szczególnie przy nieprzyjaznej, wilgotnej, dżdżystej lub wietrznej porze, rodzi w nim nieprzewyciężony wstręt i niesmak. Mimo to jednak, każdy prawdziwy przyjaciel i lubownik przyrody, który choć raz w swém życiu postąpił na alpejskich wzgórzach, tęskni znów za tym jasnym przestworem, ilekroć jaki strumyk u stóp jego zaszeleści, ilekroć ujrzy jaki brunatny domek, lub posłysz w dali okrzyk weselny żwawych mieszkańców.

Podążmy teraz bez opóźnienia ku chacie. Najkrótszą drogę ku niej zna bydło, postępujące zawsze w ślady swych przewodników; jeśli nie będziemy się wzdragali iść za niem w ślady, staniemy wkrótce przed chatą. Gospoia, której chaty próg przestąpiliśmy, krząta się i wyszukuje wszelkich możebnych sposobów, by nas tylko orzeźwić i nasycić; roznieca ogień, w mgnieniu oka stawia wszystko czém chat bogata: mleko i sér przed nami; w chleb samiśmy się zaopatrzyli, a ta skromna, dowcipnemi żartami

gościnną gospodyni uprzyjemniona uczta, po której zwykłą koleją następują dźwięki cytry, spożywa się z największą przyjemnością, szczególnie po unuczeniu się kilkogodzinną przechadzką w górach. Cytra, narodowy instrument tego górskiego ludu, odpowiada najdoskonalej ich twardemu, ostro akcentowanemu dżalektowi. Zwięzłe i treściwe zdania; ostre, urywane, dziwnie brzmiące dźwięki, któremi pasterka wtóruje swą ludową pieśń, niepojętym sposobem zyskują zawsze poklask słuchaczy; uśmiech pełen zadowolenia, co więcej, poruszanie w takt głową, ze strony gościa, przekonywają ją, że mu w myśl trafiła i w istocie z przyjemnością można słuchać stłumionych akordów minorowych, melancholiczną, częstokroć głęboką boleść malującą pieśń.

Życie takiej kobiety jest z drugiej strony pełnym trudów i przykrości; nadto, jest ona odpowiedzialną za trzodę i przychód z takowej. Ona ma oznaczyć, w którą stronę Alp udać się należy; ona ma ogrodzić płotem spadziste wygony, i z miejsc dla trzody niedostępnych znosić trawę do chaty; praca, która niejednej odważnej kobiecie stała się przyczyną śmierci.

Już równo ze świtem wesoła zawsze pasterka wyzywa swym śpiewem rówieśnice swoje z gór sąsiednich do śpiewu, poczem następuje przeciągłe lub ostre recitativo; wyrażające już to pozdrowienie, już wyrzut, lub wreszcie zaproszenie. Skoro umilknie jedna śpiewaczka, rozpoczyna druga i w ten sposób, częstokroć przez całe godziny, głos lecąc po szerokich dolinach dzielących samotne pochyłości alpejskie, przenosi od jednej do drugiej gór mieszkanki wrażenia, wiadomości i nowiny, nie wymagając zupełnie wzajemnego zbliżenia się, ani nie stając się powodem do przerwy w zajęciu. Gdy już wieczorem z trzodami do domu wracać mają, głośne, daleko na okół po górach rozlegające się wołanie, które echo tysiąckrotnie powtarza, przesyła im wyrazy wzajemnego pożegnania.

W wycieczkach w jesieni przedsięwziętych podróżny ma bardzo często sposobność przypatrzenia się pochodowi pasterskiej rodziny, opuszczającej te góry, na których przez przeciąg niemal trzech pór roku przebywała. Pasterki ubierają swe krowy w przesliczne wieńce, uwite nie z kwiatów, lecz raczej z głogu i białych, z korzeni wyrobionych kostek i serduszek. Jeśli jednak w porze pobytu na górach, pasterce jakie przytrafiło się nieszczęście, to utracą prawo wieńczenia, porzuca góry głucho, bez śpiewu,

a nawet pozbawioną zostaje tej jedynej przyjemności, by ją powracającą z muzyką przyjęto.

Po ukończonej szczęśliwie tak zwaną porze alpejskiej, zwykle na cześć pasterek wyprawiają uroczystość, zwaną „Almentanz” przy której tańczą między innymi narodowe Ländler, Steirisch i inne niemieckie walce, odbywają się zrekowiny, a nawet nieraz i zaślubiny.

Oprócz ludzi przynoszących od czasu do czasu z doliny zapasy żywności i sprzęty domowe, i prócz grajka, myśliwi i strzelcy są najczęstszymi gośćmi w chatach pasterskich, które po większej części w jesieni już pustką zostawione, pozamykane i zaryglowane stoją na opuszczonych i wyludnionych wzgórzach, lub w późnej porze roku służą myśliwym za mieszkanie.

Znany podróżnik J. G. Kohl, w jednej ze swych jesiennych wycieczek przybył w towarzystwie swego strzelca na Alpy Hüllkarskie, w tę porę jeszcze zaludnione. Zapukali do chaty cokolwiek w ustroniu zbudowanej, nikt nie otworzył, pomimo tego, że z wnętrza chaty szelest jakiś słyhać było. Wreszcie otwarła się furka, a z niej wyszła młoda, najwięcej dziewiętnastoletnia dziewczynka ze skopcem mleka w ręku. „Już wam się—rzecze—cokolwiek pierwój przez okno przypatrzyłam, nim postanowiłam otworzyć. Chodźcie jednak, zdajecie się być uczciwymi ludźmi.” Opowiedziała nam, że dzisiaj nie wypędzała bydła w pole z powodu burzliwego czasu, i dla tego je w stajni doiła; że prócz niej mieszka teraz jeszcze na górach, między jeziorami Mond i Aber, jedna tylko pasterka. Zadziwiającym to jest w istocie, że dwoje młodych dziewcząt, nie obawiało się mieszkać w okolicy pustej i nie zamieszkałej. Tymczasem zmrok padać zaczął, a młoda gospodyni starała się wszelkimi siłami rozweselić i uprzyjemnić wieczór gościom swoim; jakoż w istocie ubiegł on niepostrzeżenie wpośród żartów i śpiewów, któremi starała się ponurą przerwać ciszę okolicy. Bez namysłu i najmniejszej obawy udzieliła ona w mieszkaniu swém wypoczynku i wygodnego noclegu gościom swoim. Sama zajęła tylną część mieszkania, przeznaczony izbę w przedniej części zabudowania strudzonym drogą podróżnym. Wesoły śpiew dojącej przed domem krowy swoje pasterki, zbudził pograżonych w błogim śnie podróżnych. Zapytana, czyli śpiewa i wtenczas, gdy samą jest tylko, odrzekła: „W istocie—bo też to cała moja rozrywka; śpiewam dzień cały, o ile mi praca pozwoli.”

Człowiek wyspiewujący w samotności w pośród

leśnej ciszy swe bóle i rokosze, w istocie nierównie więcej wrażenia na słuchaczach wywiera, aniżeli nawet słowik, ów śpiewak leśny. Podróźni spożyli pozostałe resztki wczorajszej wieszerzy, wraz z mlekiem świeżem, zastawionem przez pasterkę, i z wdzięcznością przyjęli na drogę jój życzenie „strzeż was Boże.”

Namiętnością wrodzoną każdemu Alp mieszkańcowi od jeziora Boden począwszy aż po Wiedeń— jest polowanie.

W niektórych jednak miejscach zbywa na najważniejszej rzeczy to jest, na zwierzynie: gdy przeciwnie w innych okolicach, jak np. w górnej Bawaryi nie trudno ją napotkać. Jest tu zatem dostatek zwierzyny: kozy dzikie w licznych stadach, i wiele jeleni, mianowicie w okolicy Berchtesgaden. Uciążliwem i pełnem niebezpieczeństw bywa powołanie myśliwca, który ustrojony w rusznicę i kij ostro zakończony, w żelazo okuty, do wdzierania się na skały służący, wspina się na skaliste lub lodowate pustynie—polując lub czatując na płochliwą kozę dziką, i który nieraz pnąc się wśród skwaru słonecznego na samotne, dzikie skał urwiska, pada ugodzony morderczą kulą czyhającego bandyty. Pełen zdziwienia pyta cudzoziemiec, co tak nieprzepracie ciągnie myśliwego w te góry, w których się blakając całe tygodnie, znajduje tylko trudy i niebezpieczeństwa? W każdym innym zawodzie niezaprzeczenie więcejby zarobił.

Nie jest-to samo myśliwstwo, które na niego tak silny wpływ wywiera; a choćby mu nawet dozwolonym było strzelać, ile sam zechce w jakim bądź zwierzyncu, on przecież z rokoszą pospieszyłby w góry, by tam przeciw bezbronnemu zwierzęciu przynajmniej dla zrównoważenia roli, własne postawić na kartę. Również i drwal prosty, tam w górach w szalacie lub chacie swojej mieć musi życie pełne braków i niebezpieczeństw, a mimo to z wiosną z tą samą rokoszą w sercu wyrusza w Alpy, z jaką byłoby pospiesza do utęsknionej, świeżej paszy.

Siła, zręczność, nieustraszonosc, są przymiotami, które podziwiamy we wszystkich niemal Alp mieszkańcach a mianowicie: w myśliwych. Jakby życie blahą tylko rzeczą było, idą oni z najzupełniejszym spokojem i lekceważeniem po brzegu niezgruntowanej przepaści, na której nie dościgł jokiem głębokości i widok, drzeć musi nowicjusz, który częstokroć po takich miejscach przejść prosto nie jest w stanie, po których wprawny i zwinny syn alpejskiej krainy z nieludzką biegnie szybkością.

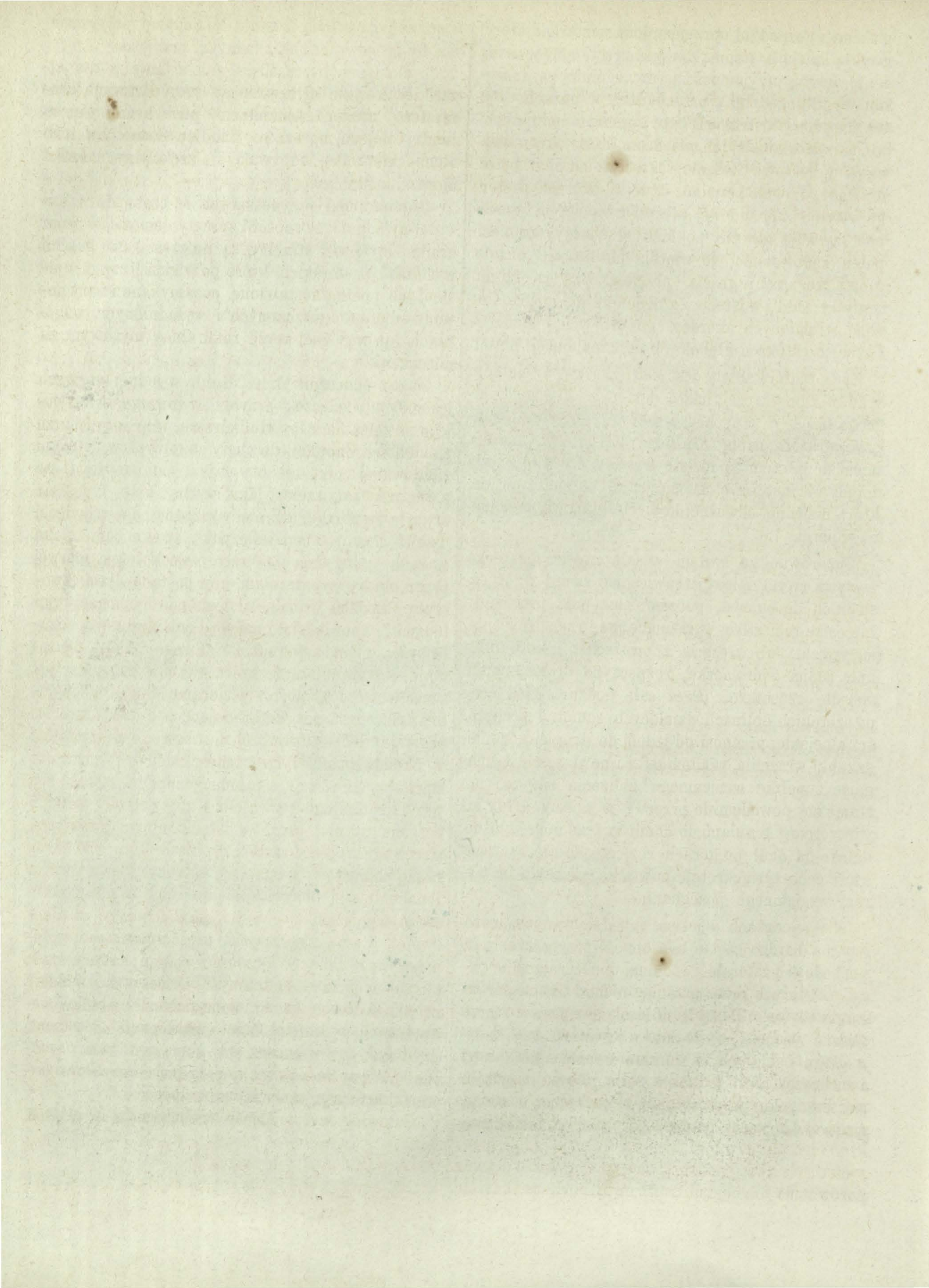
Najniebezpieczniejszemi są przejścia wyrobione przez myśliwych za pomocą motyk wśród naturalnych wyskoków i żył skalistych, by ułatwić w ten sposób przejście wśród ścian niedostępnych, lub dla skrócenia zanadto okolistej drogi. Przejścia te dla niego tylko i dla zręcznego, nie cierpiącego zawrotów głowy mogą służyć podróżnego, który pnąc się po stromiej skał ścianie, nie powinien, ścigać wzrokiem za odkruszonym pod jego stopami głazem, którego tępy, głuchy spadek, po długiej, długiej przerwie, z tej smutnej głębi odezwie się echem.

Polowanie na kozy dzikie i niebezpieczeństwa temuż towarzyszące, wielokrotnie już były opisywane, lecz, jakkolwiek wielkimi są one, zawsze jednak opisy o nich przesadzone były. Najpierwszemi i najniebezpieczniejszemi są bezwątpienia poszukiwania przedsiębrane za postrzeloną kozą. Ugodzone zwierzę uchodzi zwykle najkrótszą a przytem najspadzietszą drogą do swego legowiska; zapalony myśliwy ściga je bez zastanowienia, i najczęściej w końcu znajduje się w tém przykrém położeniu, w jakim był niegdyś cesarz Maxymilian w Schwaz w Tyrolu, że dotarłszy w miejsce jakie nieprzystępne, nie widzi możliwości wydobycia się zeń ani na przód, ani napowrót; co więcej znamy nawet jeden wypadek, gdzie taki nieszczęśliwy znaleziony wprawdzie, pozbawiony jednak wszelkiej nadziei ratunku, zastrzelonym był z ręki rodzzonego brata, który przejęty litością widząc męczarnie nieszczęśliwego, uczynił ten krok tak okropny dla siebie, dla uwolnienia brata od dalszej męki.

Gdy w górach podejrzany strzał da się słyszeć, myśliwy skupia natychmiast całą uwagę w około siebie. Jeśli napotka strzelca, złodzieja cudzej zwierzyny, to wiedzą zarówno dobrze obadwa, o swoim położeniu, i zwykle ten wówczas ginie który pierw kolbę swęj strzelby do twarzy przyłożył. Jeśli przypuściwszy ów strzelec w chwili, gdy go myśliwy dostrzegł, nie miał strzelby w ręku, czy to z powodu że zajęty był patroszeniem lub czemu innemu oddany; naówczas jest on w mocy ostatniego, i ległby za pierwszą oznaką chęci dotknięcia swęj strzelby. Porzuciwszy zatem wszystko, musi postępować w stronę, w którą mu iść każe myśliwy, mający się zawsze na ostrożności przed nagłym napadem swego jeńca. Opowiadają niezliczoną ilość nader romantycznych, po części jednak potwornych, do czasów istnienia prawa mocniejszego dających się policzyć historyj, o dzikich strzelcach, którychby żaden poeta więcej







zajmującymi nie był w stanie uczynić, a które nie rzadko na szczerój oparte są prawdzie.

Nie zbyt chlubnym przymiotem młodych ludzi z górnój Bawaryi i Alp tyrolskich, jest ich skłonność do bójki i zabijatyki. Ci silnie zbudowani ludzie uzbrajają w swych walkach rękę srebrnym lub żelaznym bułatem, niemniej zapewne strasznym od noża gdzieindziej, lub włoskiego sztyletu.

Powodem do tych walk krwawych jest zazdrość i duma. Każde zepsucie lub zelżenie piór kogucich, które u kapeluszków noszą, i które nie raz po kilka guldenów płacą, uchodzi tu za większe przekroczenie, niż zhańbienie oficerskiego Portepée. Najprzód dają się słyszeć złośliwe tylko przymówki do piór, lecz skoro gniew miarę przebierze, jeden drugiemu zrywa je z głowy, i rzuca na ziemię. Więcej nie potrzeba. Mocowanie się i bójka rozpoczynają się natychmiast; krew sączy się z poranionego ciała, a częstokroć nawet jeden z dwóch walczących zostaje na placu.

Opowiadają również wypadek okropny, gdzie dwóch walczących ze sobą młodzianów równocześnie poległ, uderzywszy w siebie bułatami z równą mocą i zaciętością.

Z trudnością przychodzi rozstać się z temi romantycznymi górami, które przy rozmaitym blasku zachodzącego słońca, prawdziwy świat cudów przed okiem naszym rozwijają. Przypatrzmy się raz jeszcze z uwagą téj cudnej okolicy, zanim w doliny się przeniesiemy. Poważnie i majestatycznie piętrzy się za nami świat gór, olbrzymów — obok swych dolin, si-

wych skał, i pól iskrzących się swą śnieżną pokrywą; u stóp naszych rozściela się, po za lasami przedgórz, kraj płaski i równy. Gdziekolwiek rzucimy okiem, wszędzie znajdziemy romantyczne sceny, i liczne historyczne, pamiętne miejsca. Tu na górze stoi samotna kaplica, przed nią klęczy orszak pobożnych Alp mieszkańców, przesyłających do Boga modły o pomyślność; w tych wąwozach alpejskich powtórzą się może w bliskiej przyszłości walki pod Sempach i Termopyłami. Do każdego zamku, do każdej garstki gruzów przywiązane są dziwne podania i tradycje głębokiej myśli. Najgodniejszemi są niezaprzeczenie podania o wznoszącém się przed nami, do jakiegoś olbrzymiego bałwana podobném napiętrzeniu skalistém w okolicy Berchtesgaden i o polach Walserskich rozciągających się między tém ostatniem a Salzburgiem.

W kryształowej grocie rzeczzonego napiętrzenia (Untersberg) siedzi zaczarowany Barbarossa na krześle wyrobionem ze słoniowej kości. Broda śpiącego cesarza tak dalece urosła, że ją dwa razy około marmurowego stołu obwinąć można, a skoro włos jej po raz trzeci okoliczność stół będzie w stanie — a sucha grusza na Walserskich polach zakwitnie, cesarz się obudzi, i z rycerstwem swoim do boju wystąpi. Na tych to polach stoczoną będzie pierwsza świetna walka, i nowa barwa zabłyśnie jutrzeńką. Lecz cesarz z tęsknotą wyglądany nie chce jakoś wystąpić — a sucha grusza nie myśli świeżemi okryć się pączkami. Z tego tylko podania wzrosły Burgrafowie Wiktora Hugo.

## SZCZUDLIKI.

(Z RYCINĄ KOLOROWANĄ.)

Szczudlik (*Hypsibates himantopus*, Naum) przedstawia oczom naszym jedną z najdziwaczniejszych postaci ptaków. We wszystkich jego odnogach, wjąwszy ogona, zdaje się przeważać pierwiastek przesadzonej długości; skrzydła, szyja, dziób, a szczególnie nogi, stosunkowo do wielkości kadłuba są uderzającej długości i smagłości. Porównywano częstokroć tego ptaka z bocianem, a na Węgrzech przeważano go nawet bociano-bekasem. Jakoż w istocie porównanie to znajduje usprawiedliwienie w podziale

kolorów i w nadzwyczajnej długości szyi, dzióbu, i nóg; zastanowienie się jednak bliższe nad zupełnie odmiennym sposobem życia, i dokładniejsze rozpatrzenie się w pojedynczych częściach ciała jego, przekonywa nas najzupełniej, że podobieństwo przez nas upatrywane jest tylko pozorném.

Nie masz ptaka w Europie prócz czerwonego (flamingo), któryby miał, stosunkowo do swego ciała, tak wysokie nogi, jak szczudlik.

Gdy bowiem ciało jego, co do objętości, równa się

niemal ciała małego gołębia, długość nóg jego, licząc od stawów w pierzu ukrytych, aż do końca średniego palca, wynosi od  $10\frac{1}{2}$  do  $12\frac{1}{2}$  reńskich cali. Palce są dość krótkie; między zewnętrznym a średnim palcem, znajduje się króciuchna błona; między wewnętrznym zaś a średnim palcem, takowa tak jest mała, że za ledwie dostrzedz ją można. Kolor nóg u młodych jest czerwono-żółty, u starych zaś pięknej, różowo-czerwonej barwy. Dziób  $2\frac{1}{4}$  do  $2\frac{3}{4}$  cala długi, odznacza się twardością, i czarnym kolorem; w kierunku zaś swym ku końcowi traci co raz bardziej na mocy. Skrzydła są długie i ostro zakończone i o  $1\frac{1}{2}$  cala dłuższe są od ogona. Co się tyczy ubarwienia pierza, odsyłamy w tej mierze czytelnika do tablicy, którą zalecić możemy, jako trafnie wykończoną: figura więcej na przód wysunięta z piórzem grzbietnym ciemno-zielonym, połysku stalowego, z dolną częścią ciała w różowy kolor wpadająca, i czerwoną żrenicą, przedstawia starego samca; figura z tyłu umieszczona, z brunatnym grzbietem, białym wiązadłem skrzydłowym i żrenicą koloru czerwieni ołownej wyobraża nam młodego ptaka. Samiec i samica są do siebie w każdej porze wieku bardzo podobne, w tym jedynie tylko zachodzi różnica, że samice zwykle mniejsze są od samców.

Ojczyzną Szczudlika jest południowo-wschodnia Europa i granicząca z nią część Azji, mianowicie wybrzeża morza Czarnego i Kaspijskiego, jak nie mniej i jeziora Aralskiego; również i w północnej Afryce kilkakrotnie był napotykan. W Węgrzech wysiada on jaja corocznie w dosyć znacznej ilości. Należy on do tych ptaków, które bardzo często ulatują do okolic, od właściwej ich ojczyzny bardzo odległych; znane nam są przypadki, że spotykano szczudlika w Anglii i na wybrzeżach niemieckich morza Północnego; również przylatywał on pojedynczo lub gromadnie na jeziora północnych i południowych Niemiec; tak, np. w roku 1858 na wiosnę zauważył Dr Fr. Sturm pięć indywiduów, które kilka dni zabawiły na stawach w okolicy miasta Nürnberg położonych. W każdym razie uważanym jest szczudlik w Niemczech za wielką nadzwyczajność; przepuścić nawet nie można, aby tam kiedykolwiek ptak

ten przez lato przebywał w celu wysiadywania jaj zniesionych. Najmilszym jego pobytom są rozległe bagniska i błotniste wybrzeża wielkich trzciną zarosniętych jezior, bez względu na to, czy takowe z słonej czy słodkiej utworzyły się wody. Brzegi rzek odwiedza on tylko w czasie podróznego lotu swego i okazuje zawsze pociąg do wód stojących w znacznych przestworach. Ma on lot dość szybki i zręczny; lecąc wyciąga w tył długie swoje nogi. Ztąd, jak również z powodu żywo-barwnego upierzenia swego, łatwo się poznać daje nawet w znacznej odległości. Pomimo jego nadzwyczaj smagłej budowy ciała, która, według ogólnych pojęć, ledwo że z swjej ptasięj postaci w karykaturę nie przechodzi; ruchy jego są przecież miłe i wdzięczne. Brodzi on nieraz z zupełną lekkością, aż po brzuch w wodzie, przy czem częstokroć głowę i szyję przez dłuższy przeciąg czasu pod powierzchnią wody trzyma, szukając różnych owadów wodnych, robaczków, poczwerek i t. p. Chód jego po wybrzeżach odbywa się zwykle krótkim i zręcznym krokiem; w pośpiechu jednak, zwykł on dalej postępować nie podwajając kroku. Głos jego, z którym rzadko kiedy słyszeć się daje, jest-to krótki, urywany, bardzo jednak przyjemny odgłos fletu, który Naumann w zgłosce „Tjoit” uzmysłowił. Równie jak wszystkie ptaki pobrzeżne szczudlik jest dosyć płochliwym, i ucieka zaraz za zbliżeniem się człowieka; przezorny nawet myśliwy, który skryty za sitowiem lub pagórkiem, sądzi, że zdoła go podejść, wypuszcza strzał częstokroć już wtenczas, gdy ostrożny ptak, spostrzegłszy go wcześniej, spłoszył się. W Węgrzech gdzie miejscami w znacznej liczbie się znajduje, bywa strzelany i na targach, z powodu swego delikatnego i smacznego mięsa sprzedawany.

Jaja jego, stanowiące również bardzo smaczną potrawę, są cokolwiek mniejsze od jaj czajki, koloru blado-niebieskawo-zielonego, z popielatemi plamkami i punkcikami na skorupce, a z czerwono-brunatnemi na swjej powierzchni. Jest ich zwykle cztery w gnieździe, rzadko zaś mniej lub więcej. Gniazdo stanowi dołek lub rozpadlinkę w ziemi, wyściełoną sztucznie kilkoma gałązkami chróstu.





## ZDJĘCIE Z KRZYŻA, PRZEZ RAFAELA.

(Z RYCINĄ SZTYCHOWANĄ.)

Któż podziśdzień nie wspomina ze czcią i uwielbieniem nazwiska twórczego geniuszu, który pędzlem swym uwiecznił świat cały najwznioślejszych uczuć! Osobistość Rafaela Sanzio jest w samej rzeczy jedną z tych, w których duszy niebo zjednoczyło skarby całe swych darów, rozdzielanych w przeciągu wieków pomiędzy niezliczone krocie zwykłych śmiertelników. Urodził się on 1483 roku 28 marca w miasteczku włoskiem *Urbino*. Wychowaniem Rafaela zajmował się troskliwie ojciec, Giovanni Santi, człowiek rozumny i malarz powszechnie ceniony. Nauuczony własnem doświadczeniem, z jakimi trudnościami musi walczyć ten, kto wyruszył w drogę życia bez poprzedniego przygotowania, chciał zabezpieczyć w tym względzie jedyne swoje dziecię. On to był pierwszym mistrzem młodego Rafaela, i jeszcze przed swym skonem podziwiał w nim pierwsze połyski geniuszu. Gdy Giovanni umarł, Rafael dochodził za ledwie jedenastego roku; musimy go więc policzyć do rzędu owych zjawisk, które wczesnie jaśnieją i wczesnie gasną.

Jeszcze przed śmiercią, przekonał się Giovanni, że nie jest w stanie kierować dalej swym uczniem, oddał go zatem do Piotra Perugino. Pożegnanie stało się nader bolesnem dla kochającej matki Rafaela; pocieszyła się jednakże gdy Perugino, poznawszy talent i zalety młodzieńca, prawdziwie po ojcowsku się do niego przywiązał i świetną przyszłość przepowiadał. Wpływy doświadczonego mistrza, były nader zbawienne; ze wszystkich spółczesnych malarzy, Perugino najgłębszém może przejęty był uczuciem dla religijnego piękna; jemu-to zawdzięcza Rafael namaszczenie jakim tchną wszystkie jego arcydzieła. Po krótkim przeciągu czasu Rafael tak umiał naśladować sposób malowania Perugina, że dzieł ich nie można było rozróżnić.

Z Peruggia udał się Rafael do Città di Castello a ztamąd do Florencyi, gdzie się poświęcił studjowaniu kartonów Leonarda da Vinci i Michała Anioła. Szczytność i powaga objawiające się w jego następném dziele, *Założeniu do grobu* a których mu dotychczas niedostawało, są owocem tych studjów.

Pozostawiwszy w dwóch tych miastach najpy-

szniejsze swe i pełne uroku dzieła, powrócił do Urbino dla załatwienia różnych spraw, których śmierć rodziców była powodem i dla obdarzenia rodzinnego swego miasta niektórymi utworami. W roku 1507, otrzymał zaproszenie od papieża Juljusza II do Rzymu, dla przyozdobienia w malowidła kilku nowych komnat. Zaproszenie to doręczył mu Bramante, daleki jego krewny, będący w służbie papieżkiej. Rafael, zatrudniony naówczas w Florencyi, pospieszył do Rzymu, nie dokończywszy swych prac; przyjęty od papieża jak najuprzejmiej, rozpoczął sławny swój obraz, szkołę ateńską, przedstawiający wszystkich mędrców świata zajętych rozmową. Pojedyncze pomysły wzięte są prawdopodobnie z Boëthiusa, Dantego i Petrarcki; całość wykonania podług rad podanych przez Ariosta, którego Rafael piśmiennie o to prosił. Arcydzieło to, wykończone w r. 1511 przejęło Juljusza II zachwyceniem i podziwem; wynagrodził on wspaniale młodego mistrza i odtąd wszystkie mu prace ku upiększeniu Watykanu poruczał.

Dzieła Rafaela są tak liczne iż niepodobieństwem byłoby nad każdym szczegółowo się zastanawiać; są one w najściślejszym związku, nie tylko z artystycznym jego rozwojem, lecz i z rozwojem myśli i uczuć, w rozmaitych epokach jego życia. Po pierwszych niepewnych usiłowaniach chłopięcia, następują dzieła, w których się przebijają miłe uczucia i głębokie wrażenia właściwe młodzianowi. W późniejszych, potęgą myśli równoważy z gorącym uczuciem, aż nareszcie poważne i pełne siły zrozumienie ducha ludzkiego tryska z dzieł dojrzałego męża. Po pierwszych lotnych, dziewiczych jego madonnach, następują wzniosłe, szlachetne postacie niewiast w kwiecie wieku. „Malowidła innych są malowidłami; w dziełach Rafaela postacie drgają życiem, widać ich oddech, bicie pulsów, słowem gotowi jesteśmy uważać je za rzeczywiste istoty.” Przytoczyliśmy tutaj zdanie Wazarego.

Zmysł piękna Rafaela prowadził go z jednej strony ku klassycznej piękności starożytnego świata, orzeźwiającej jego ducha, z drugiej strony budował się głębobiem i surowém znaczeniem kościoła, któremu Rafael z całą prostotą i ciepłem swego serca

służyć nie przestawał. Utwory jego stawały się coraz plastyczniejszymi i wyrazistszemi, a zarazem coraz pełniejszymi majestatyczności chrześcijańskiej. Zdaniem Visehera wielkiego teraźniejszego estetyka, potrafił on zawrzeć złote jądro chrześcijańskiego ducha, w srebrnej skorupie starożytności. Rafaelowi właściwa jest taka czarowność i falistość linii, taki owal głów, pochylenie szyi, rysunek całej figury, ręki, nogi; taki wyraz niebieskiej miłości, czystości wyraźnej, jakich nigdzie nie znajdujemy. „Oto talent czerpiący, podobnie jak Grecy, z najczystszych źródeł najświeższą wodę,” (słowa Goetego). „Rafaela w samej rzeczy porównać można do jasnej, spokojnej, głębokiej wody w której się najlepsza natura odbija.” (Heinse). Najznakomitszym dziełem Rafaela a zarazem po wszystkie czasy najszczytniejszym pomysłem sztuki jest sykstyńska Madonna przeznaczona początkowo do kościoła świętego Sykstusa w Piacenza, obecnie znajdująca się w dreźnieńskiej galeryi. Niemniej ceniona i mnóstwem kopji rozpowszechniona jest, Madonna de la Sedia.

Rafael jest nie tylko malarzem czystych, uroczych Madonn, świętych rodzin, pełnych wdzięku aniołków; pędzel jego również genialnie przedstawia nam pełne dramatyczności sceny. Na szczególniejszą uwagę zasługują Prorocy i Sybille w Santa Maria della Pace; freski watykańskie, zgromadzenie chrześcijańskich teologów, pod opieką Chrystusa i świętych i portret papieża Leona X, z powodu siły i żywości kolorytu i mistrzowskiego wykończenia wszystkich części. Puchy aksamitu w ostatnim są dotykalne; adamaszkowa suknia szeleści i mieni się; włosy futer miękkie i naturalne; złoto i jedwabie, niby rzeczywiste. Podanie niesie że papieżki urzędnik, ukląkł przed malowidłem z piórem i atramentem, dając mu do podpisania bulę, w mniemaniu że ma z samym papieżem do czynienia.

Do najznakomitszych obrazów Rafaela, wykonanych od roku 1515—18 należy zdjęcie krzyża, przeznaczone dla kościoła klasztoru Maria della Spasimo w Palermo należącego do zakonników oliwetańskich; ztąd też i obraz ten otrzymał nazwę Spasimo di Sicilia. Przedstawia on pochód na górę Kalwaryę podczas którego Zbawiciel zlany krwią i potem, upadający pod ciężarem krzyża, przemawia do płaczących nad nim niewiast: „nie nademną, nad waszemi dziećmi płaczcie, córki Jerozolimy”. Pochód otwiera chorągwy na koniu; za nim postępują rzymscy i żydowscy sędziowie cisnący się z bram Jerozolimy w różnych gruppach.

Upadłego Chrystusa uderza pachołek, a Szymon z Cyreny silnemi ramionami podtrzymuje krzyż Jego. W obrazie tym, wykonanym przez samego Rafaela, we wszystkich głównych częściach, chwałę szczególnież wzorowe ugrupowanie postaci, z którego wypływa żywe i jasne znaczenie całości. Żadna postać nie jest tutaj zbyteczna, żadnej też nie brakuje; każda przyczynia się, wyrazem twarzy i ruchem w odpowiedni sposób, do akcji.

Dzikość i tępość pachołka którego obnażone mięsiste ramiona i nogi wydają się jakby naturalne, jako też obojętność i oziębłość Rzymian, dziwnie się odbijają od pięknych postaci niewiast, na których twarzy maluje się bolesna litość. Najwspanialsze wrażenie sprawia na nas postać Zbawiciela ulegającego cielesnym tylko mękom; spokój i boski majestat promienieje na twarzy zwróconej do niewiast, którym zwiastuje pełną zgrozy przyszłość zaślepionej Jerozolimy.

Na szczycie Kalwaryi w pewnej odległości widać krzyże dwóch łotrów prowadzonych w głębi na śmierć.

Na kamieniu na przodzie stoi w oryginale:

RAPHAEL URBINAS.

Passavant który oglądał ten obraz Rafaela w Madrycie 1852 roku, wyraża się o jego kolorycie w następujący sposób: harmonja kolorów w najgłębszym odcieniu również jest godna podziwu jak stosowne rozporządzenie się niemi i użycie. Szaty Chrystusa i Maryi są silnego szaro-niebieskiego koloru, odpowiedniego ich boleści; szaty Magdaleny, gorejącej miłością, wysoko czerwonego; kobiety klęczącej przed nią, karminowego; czerwony kolor chorągwi z drugiej strony jest w zupełnej harmonii z kolorem szat. Z poważnym, silnym kolorytem głównych figur, jest w sprzeczności nader rażący koloryt kata, którego postać tym wyraziściej odbija się w głębi.

Sławny ten obraz szczególniejszych doznał losów. Okręt który go miał odwieść na miejsce przeznaczenia, do Palermo, osiadł na skale i zatonął wraz z osadą i ładunkiem, skrzynia tylko z nienaruszonym obrazem wyrzucona została na wybrzeża Genui, ku niezmiernej radości mieszkańców, którzy zdarzenie to przypisywali szczególniejszej łasce nieba. Wiadomość o boskim obrazie zesłanym z nieba genueńczykom, rozeszła się po całych Włoszech i doszła do uszu zakonników oliwetańskich w Palermie; ci, bynajmniej niepodzielali powszechnego mniemania o pochodzeniu obrazu i za pośrednictwem papieża upomnieli się o swoją własność, którą im też zwrócono. Filip IV zabrał obraz, ale wyznaczył za



to klasztorowi 1000 skudów rocznego dochodu; przez długi czas zdołał on pod nazwiskiem la Foya królewską kaplicę; następnie muzeum madrydzkie, aż go Francuzi w roku 1810 wraz z wielą innymi dziełami sztuki zabrali.

W Paryżu przeniesiono obraz na płótno, odświeżono i powerniksowano. Gdy nareszcie poczęto się obawiać, że nie będzie się można dłużej utrzymać przy nieprawnie nabytej własności, chciano go sprzedać w Londynie za 7000 fun. szterlingów; ponieważ go wystawiono na sprzedaż tylko pod nazwiskiem Sebastiana del Piombo, jak świadczy Buchanan, a nie pod nazwiskiem właściwego mistrza, więc sprzedaż się nie udała. W roku 1815, przywieziono go znowu do Madrytu. Oprócz niektórych rys i kilku małych uszkodzeń w lazurach, utrzymany on do tego czasu bardzo dobrze; nawet delikatne ozdoby złote u brzegu szat najzupełniej się zachowały.

Śmierć Juljusza II (15 lutego 1513 roku), który wspierał sztuki i kochał wszystko dobre, nastąpiła wtedy, kiedy Rafael zajęty był wykonywaniem nieśmiertelnych dzieł. Następcą Juljusza Leon X nalegał na ich ukończenie gdyż zamiłowanie sztuki dziedziczne było w rodzinie tego potężnego księcia. Obsypał darami mistrza w którym już może przewidywał anioła opiekuńczego Rzymu.

Rafael zebrał znaczny majątek; wybudował sobie pałac w Borgo nuovo w Rzymie a sława jego imienia coraz bardziej się rozchodziła. Znakomity malarz niemiecki Albert Dürer posłał mu w dowód czci i szacunku swój portret malowany na płótnie tak cienkiem, że z obydwóch stron był widoczny. Rafael podziwiał nadzwyczaj to malowidło i posłał jego wykonawcy wiele własnoręcznych rysunków, które tamten nadzwyczaj cenił.

Charakter Rafaela był nader miły; każdy kto go znał, kochać musiał. — W pobliżu jego nie powstawała nikczemna myśl w niczyjej duszy. Grono znakomych artystów otaczało go bezustannie i towarzyszyło mu wśród oznak głębokiego szacunku, wśród powszechnego uznania gdziekolwiek się znajdował. Takim sposobem żył jak książę, nie jak malarz. Uprzejmość jego i uczynność nie znała granic; porzucał on natychmiast najpilniejszą robotę gdy nieznamy nawet jakiś malarz prosił go o jaki rysunek lub inną przysługę. Utrzymywał on z własnych funduszy wielu ludzi, którzy podług jego rysunków lub pod jego kierunkiem pracowali; doglądał i wykończył własnoręcznie każdą robotę, co nam tłumaczy nadzwyczajną obfitość jego utworów. Posyłał rysowni-

ków w rozmaite miejsca Grecyi i Rzymu by zaopatrzyć się we wszystko, co tylko sztuce mogło przynieść pożytek.

Jakkolwiek z natury czułego serca, umiał cenić kobietę, nigdy jednak nie był żonatym. Ukochanej swój Fornarinie pozostał wiernym do końca; bez jej obecności nie szła mu robota. Gdy Chigi porучzył mu znaczne roboty w swoim pałacu, musiał zaprosić i Fornarinę, bez której mistrz nic nie mógł przedsięwziąć. Rafael był wprawdzie zaręczony z siostrzenicą kardynała Bibiena, małżeństwo jednak nie przyszło do skutku, niewiadomo czy z braku przywiązania, czy z powodu wątłego zdrowia narzeczonej, która wkrótce potem umarła.

W 1520 r. Rafael powrócił do domu z niebezpieczną febrą której się nabawił przy zdejmowaniu ruin rzymskich; od tej chwili gasnął tak szybko że zaledwie pozostało mu czasu do urządzenia się z swymi sprawami. Nie zbywa nigdy na potwarcach którzy usiłują przyćmić, to co jaśnieje a poniżyć to, co jest szczytne. Przypisywano też zupełnie innym przyczynom, co było skutkiem nie zmordowanej czynności jego ducha i płomienistej wyobraźni. — Majątek rozdzielił pomiędzy swych uczni Giulio Romano, Gjowanni Francesco i krewnego swego, księdza w Urbino. Zabezpieczył także los dziewczyny, która w domu jego utrzymywała porządek. Umarł wyspowiadawszy się, w Wielki Piątek w dniu 37ej rocznicy swego urodzenia. Śmierć mistrza przedwcześnie zgasłego nappełniła niewypowiedzianym żalem współczesnych; papież płakał gorzkimi łzami.

Wkrótce przed śmiercią Rafaela skrzydło Watykanu ozdobione jego pędzlem chwiać się poczęło a mieszkańcy spieszenie zmuszeni byli je opuścić. Zwłoki wielkiego artysty umieszczono w tej samej sali, w której jeszcze przed kilkoma dniami pracował; w głowach postawiono apoteozę, którą ukończył dla kardynała de Medici. Podług ostatniej woli Rafaela pogrzebano go w Panteonie.

Według portretu pozostawionego w r. 1506 w Urbino krewniakowi, Rafael miał oczy ciemne, piękny, lekko zgięty nos, młodzieńcze usta i okrągły, cokolwiek przydługi podbródek. Cera cokolwiek blada i oliwkowa, głowa zwrócona na prawo i podniesiona do góry. Czoło wystające ponad oczy lecz wązkie i niezbyt wysokie; nieco kędzierzawe ciemne włosy spadały z pod czarnego beretu na ramiona. Suknię nosił czarną, obcisłą; wązki brzeg koszuli otaczał szyję. Twarz zwrócona ku patrzącemu była pełna głębokiego smutku, a zarazem niewysłowionego jakiegoś uroku.

W roku 1833, otworzono grób wielkiego zmarłego, którego kości spoczywały w nim już od trzech wieków. Pod wiekiem ołtarza pod którym go pochowano, znaleziono małe sklepienie. Trumna rozpadła się wprawdzie w próchno lecz otoczona była mocną warstwą wapna i trawertynu. Czaszka dziwnie pięknych kształtów i zęby nadzwyczajnej białości, zachowały się prawie zupełnie. Szczątki mistrza wraz

z sklepieniem grobowem przerysował Cambuccini, z czaszki tudzież z kości prawej ręki, która tyle wielkich dzieł dokonała, zdjęto odlew gipsowy; poczem, czaszka i ręka w proch się rozsypały. Niepozwolono obcym artystom, znajdującym się przy otwarciu grobu, odrysować téj sceny; ognisty Vernet pomścił się za to, odrysowawszy ją na drugi dzień z pamięci lepiej, aniżeli sam Cambuccini.

## LEGENDA O PIĘKNÉJ PLACYDYI.

Nim skreślimy historye córki wielkiego Teodozyjusza, wypada nam powiedzieć słów kilka o epoce w której żyła, o wypadkach które jéj nieszczęścia poprzedziły. Zepsucie w Rzymie i we wszystkich podległych mu państwach do tak wielkiego doszło stopnia, iż ani dobroć Konstantyna Wielkiego, ani mądrość Teodozyjusza, nie mogły na to poradzić, co większa, nawet wpływ nowego światła wiary chrześcijańskiej nie mógł się przedrzeć, a raczej jak światło z ciemnością nie mógł się zmieszać z siłą materializmu, nużającego się we wszystkich zbytkach potęgi. Zdziczałe, rzec można ludy, potrzebowały srogości i jak sami okrutnemi byli, potrzebowali lekarstwa okrutnego, ciężkiej chłosty, ogólnego chrztu krwi, aby na zgliszczach starego świata następne pokolenia nauczone straszném ojców przejściem, mogły powstać z jaśniejszem czystsześm o obowiązkach i przeznaczeniu człowieka pojęciem. Zgoła, trzeba było również okropnego lekarstwa, jak okropną była choroba, a tem lekarstwem były najścia burzące, rozwalające we wszystkich podstawach swoich wszelkie światła starego prace.

Za panowania synów wielkiego Teodozyjusza, to jest Arkadyjusza na Wschodzie, a małoletniego Honorjusza na Zachodzie, powstała wielka tak zwana wędrówka narodów, o których to narodach, musimy tu wspomnieć. Niewiadomo co te narody pobudziło do takiej pielgrzymki, czy chęć łupiestw, nabycia złota i kosztowności, czy też liczne ich rozrodzenie, brak ziemi na wyżywienie się i licznych trzód swoich. To tylko wiadomo że przechód ich przez wszystkie kraje oznaczony był zniszczeniem, pożogą, zburzeniem arcydzieł budowli i wszystkich zabytków sztuk pięknych i umiejętności, na które wieki się składały. Hordy takie napotkawszy inne dzikie także, łączyły się, i mocniejsza nad słabszą otrzymywała pierwszeństwo. Ztąd taki powstał nawał tych dzikich, którym jak

napadowi szarańczy oprzeć się trudno było,—zład zamieszanie przedstawiające się w nazwach Hunnów, Gotów, Wandalów, Ostrogotów, Wizygotów i t. d.

Podług podania czyli opisu szczęśliwie do naszych czasów przechowanego jednego naocznego świadka, umieścimy opis pewnej hordy, który służyć może i dać wyobrażenie *ogólne* o tych dzikich barbarzyńcach: „Lud ten—mówi—jest nadzwyczaj dziki, silny, mocno zbudowany, krępy, barczysty z grubemi karkami, brzydkich i niezręcznych kształtów tak iż go bardziej za dwunożne zwierzęta niż za ludzi uważać można; dzieci od urodzenia barbarzyńskiem okrucieństwem do wytrwałości i znoszenia męczarni zahartowują. Na pokarm nic nie gotują—jedzą tylko surowe mięso, które kładąc pod siodło, tym sposobem przez spieszny bieg, gorąco i pot od konia kruszeje, niechętnie do chat wchodzi, oddani tylko jeździe konnej — szybko przebiegają najtrudniejsze przejścia i zadziwiającym sposobem przywykają łatwo do zimna, głodu i wszelkich trudów. Cały ich ubiór z letniego kitla, lub futra z dzikich zwierząt w zimie; na głowie mają czapki z wiszącymi nausznikami — strój ten ciężki, niedogodny utrudza im ruch wszelki—to też głównie życie ich na koniach się przepędza; jedzą, piją i śpią na koniach oparłszy głowy na końskich karkach i nachyliwszy się, są na prawdę jakby zrośnięci z tém zwierzęciem.” Opis ten Hunnów przez ówczesnych naocznych świadków, przypomina nam naród tatarski. Sposób ich wojowania równie był dziki: rzucali się z krzykiem, wyciem i szybkością nadzwyczajną. Główną ich bronią były oszczepy, których końce z kości spiczasto i zręcznie wyrobione zadawały ciężkie rany—zbliska używali szabel. Bez praw żyli i bez religii.

Roku 374, przeszedłszy Don pociągnęli za sobą Allanów, pierwszy lud którego spotkali; mordując tych którzy z niemi iść i napadać spokojnych

osad nie chcieli. Następnie naszli na Gotów, lud potężny, dzielący się na wschodni i zachodni. Gotowie usunęli się od tego napadu przeszedłszy Dunaj — część ich jednak złączyła się z Hunnami. W końcu osiedli w Węgrzech, Polsce i południowej Rosyi i tam pięćdziesiąt lat polowali i paśli trzody swoje. Temi ich wędrówkami wszystkie ludy tak się przestraszyły, iż z miejsc na miejsca przenosiły się i zaledwie we dwieście lat uspokoiły się i ustaliły na swoich siedzibach. W skutek tego, rozumie się, że nauki i sztuki w takim stanie rzeczy utrzymać się nie mogły. Wszystko zdziczało rzecz można i zaledwie z tak smutnego upadku powoli podźwignąć się mogło.

Takie to nieszczęśliwe i smutne skutki wypadły z *Wędrówki Narodów* do której pierwszy początek dali Hunnowie, a z niemi Allemani, Kwadowie, Wandale, Gepidowie, Herulowie, Burgundowie i inni. Zgoła massy ludów na pół dzikich i dzikich zmieszane, przeciągnęły przez Ren, a klęsk i zniszczenia, właściwymi kolorami ówczesni dziejopisowie opisać nie zdołali. W Moguncyi chroniących się do pysznych kościołów u stóp ołtarzy mordowano — Worms, Strazburg, Reims, Amiens, Niderlandy, okolice Lugdunu i całej południowej Francyi, wszystko przez dzikie hordy zniszczone, spalone, wyludnione zostało i zmienione w okropną pustynię; czego miecz nie dosięgnął to głód dokonał — W końcu już i Hiszpania powszechnemu uległa zniszczeniu. Dzikie zwierzęta żywiąc się ludzkim ciałem do tak wielkiej doszły śmiałości, iż miasta nachodziły! Do wszystkich okropnych klęsk i okrucieństw sprowadzonych przez barbarzyńców, dodać trzeba okrutne postępowanie Rzymian, którzy nieszczęśliwe, uciekające ludy, chroniące się pod ich rządy okropnie ciemnili. Rzym bowiem nie był w stanie pojąć ducha Chrześcijaństwa, przyjął wprawdzie chrześcijaństwo ale z wierzchu; lecz prawdziwa wielkość tej wiary nieprzystępną jeszcze była dla tak bardzo zepsutego narodu. Jeden ówczesny mieszkaniec Marsylii tak się wyraża: „Grubijaństwo Saxonów, rozboje Allanów, wściekłość opitych Allemanów, okrucieństwo Gepidów, rozpusta Hunnów, zdradziectwo Franków, — wszystkie te okropności niczem są w porównaniu z tém, cośmy wycierpieli od *niby* chrześcijańskich Rzymian; kiedy cesarze nagradzając ulubieńców swoich, dawali im w nagrody prowincje, dochody z wsiów; a oni dopuszczali się niesłychanych nadużyć; byli prawdziwą zarazą, spustoszeniem, powietrzem.” Takim-to uciskiem, zdzierstwem i okru-

cieństwem wywołał Rzym — powiedzieć można — karę sprawiedliwego Boga a tém samym swój upadek.

Za czasów panowania Arkadiusza w Konstantynopolu na Wschodzie, a Honorjusza na Zachodzie; synów Teodozjusza Wielkiego, który na Zborze Konstantynopolitańskim za artykuł wiary ogłosił *tożsamość Chrystusa z Bogiem*, zniósł wyrocznie Sybilli i *zgasił ogień Westy*: nad Wizygotami wtedy w krajach za-dunajskich osiedlonymi, panował Allaryk, któren powziął zamiar uderzyć na Włochy. Przyszedłszy pod Rawennę do której Honorjusz przeniósł mieszkanie — kazał powiedzieć cesarzowi: „Że Goci z żonami i dziećmi przybyli do Włoch i proszą o ziemię dla osiedlenia się na niej. A jeżeli cesarz zechce, to niech wyznaczy miejsce i dzień, w jakimby się spotkać mogli.” — Honorjusz z stałą odmową zachęcił go aby szedł na Gallję i Hiszpanję — lecz tam wtedy naszli już Frankowie i inne ludy, o czém Wizygotowie nie wiedząc, przystali na namowę Honorjusza. Zaś dziejopisarze niektórzy utrzymują, że Rufin, przydany do rządu Arkadiuszowi przez Teodozjusza Wielkiego, zazdroszcząc powodzenia Hylikonowi, podniecił Allaryka króla Wizygotów, do napadnięcia na prowincje do zachodniego państwa należące. Przejście tych hord przez Tessalję, Beocję, Attykę i niektóre części Peloponezu, napiętnowane było zniszczeniem i mordami; Stylikon wystąpiwszy przeciw nim, zmusił ich do odwrotu. Allaryk oczekiwał tylko pory aby się pomścić za te chwilowe pokonanie a nie zniszczenie. Do tego został wyniesionym przez dwór Byzantyński na namiestnika Illiryi. Pałając zemstą napadł na wyższą Italję i spustoszył tę piękną krainę; ależ pod Weroną i Polancją został pobitym i znów cofnąć się musiał, zachowując w sercu zemstę. Ledwie Stylikon odparł tak groźnego nieprzyjaciela, aliści hordy pogańskie, Germany, Wandale, Swewowie, Allanie i Burgundowie napadli pod dowództwem Radageza Włochy, burząc kościoły, wsie i miasta, niszcząc zarazem ludność całą. Tych także dzielny oręż Stylikona zdołał pokonać; wódz pogańców Radagez został zabitym, a tysiące ich padło pod rękoma zwycięzców, koło Florencji. Niedobitki łączywszy się z innymi hordami germańskich pokoleń, rzuciły się na Gallję i zniszczyli kraj ten od Alp aż do Pirenejów i Arden. Wszystkie warownie Rzymskie w tych krajach zostały zburzone i przez to ustało nad niemi panowanie Honorjusza, który nieczynnienie i trwożliwie zamknął się w murach Rawenny.

W okropnym takim położeniu Stylikon był zmuszonym zawrzeć przymierze z Allarykiem obiecując mu płacić daninę. Nieprzyjaciele i zazdroszczący mu sławy, oskarżyli go o zdradę. W Rawennie przeto Honorjusz, nie dawszy mu czasu do usprawiedliwienia się i wyłuszczenia przykrych i naglących go okoliczności, skazał na śmierć.

Uciemienieni i prześladowani stronnicy jego również jak i Arjanie, wezwali pomocy Allaryka także wyznającego arjanizm. Ten chcąc aby mu nie-szczęśliwi mieszkańcy złotem i kosztownościami zadany trybut zapłacili, przeszedł granice państwa i obległ Rzym. Podał nawet Honorjuszowi propozycje pokoju, niezbyt może dla tego ostatniego korzystne, ale zawsze korzystniejsze jak to, co nastąpiło. Gdy Honorjusz ze wzgardą podane punkta odrzucił, natenczas Allaryk rozgniewany, wziął szturmem niegdyś stolicę świata i dozwolił trzydniowego, żołdactwu i niewolnikom którzy do niego przeszli, rabunku.

\* \* \*

Któż byłby w stanie opisać mordy jakie się działy w nieszczęśliwym Rzymie! Było to straszne wetza-wet za inne jakich Rzymianie nie szczydzili przy podbijaniu różnych narodów. Oprócz Gottów noszących miano chrześcijan, były tam tłumy z innych dzikich po drodze branych niewolników złożone, które mszcząc się za swoje własne uciemiężenia, złość swoją na mieszkańcach opanowanej stolicy wywierali. W pałacu cesarzów wówczas nie będącym już główną ich siedzibą, albowiem mieszkali zwykle w Rawennie, znajdowała się naówczas sławna z piękności, rozumu pobożności Placidja (Galla-Placidia) młoda dziewczica, siostra cesarza Honorjusza. Wiedział o tém Allaryk: siostra panującego była dla niego pożądanym łupem, mogącym zapewnić mu na wypadek układów wielkie korzyści. Ale jakże wstrzymać dzikie żołdactwo mordami do stanu zwierzęcego doprowadzone? Pałac cesarzów był na jednej z gór rzymskich; jedno skrzydło na brzegu góry stojące było najbezpieczniejsze: w tém to skrzydle młoda dziewczica otoczona służbą z kilkunastu młodych niewiast, w obszernej i zdobnej w rzeźby i marmury komnacie, klęczała przed krucyfiksem i gorące modły wraz z otaczającymi ją dziewczycami zanosila przed tron Przedwiecznego: „Panie! ratuj lud Twój! wołała w uniesieniu, jeśli

męczeństwo moje mogłoby okupić ojczyznę przyciśnioną, oto gotową jestem, niech umrę męczeńską śmiercią pierwszych chrześcijan, a niech bracia moi wolni będą.” Ostatnie słowa Placydji przygłuszone były coraz to silniej dochodzącą do ustronnej komnaty wrzawą zewnętrzną. Zdawało się, że dzikie krzyki morderców i jęk straży pilnującej młodej księżniczki coraz wybitniej słyszeć się dawały. Placydja, zatopiona w modlitwie, jakby nie słyszała tego co się w koło niej działo—lecz przerażenie nieszczęśliwych otaczających ją dziewic, dochodziło do najwyższego stopnia. Jedna z nich, ulubiona pani swój, Teodozja, zerwała się, i szybko jak strzała pobiegła przez tylne krużganki pałacu, aby choć przez okno spojrzeć na wewnętrzny dziedzieniec i wschody do skrzydła, w którym się znajdowały, wiódące. Lecz jakież okropny widok uderzył młodą Teodozję! Dziedzieniec napełniony dziczą: jedni mordują ostatnią stawiającą im opór straż, drudzy toporami rozwalają stojące posągi i kolumny. Na ostatnich schodach, widzi Teodozja, jak z posiwiąłą głową już ogołoconą z hełmu ojca jój a rządcę pałacu, uderza oszczepem dziki najezdnik. „Ojciec mój! zawołała, ach pomścić go muszę,” i to mówiąc porywa z nadludzką siłą kamienne popiersie jakiegoś z dawnych rycerzy przedstawiające i ciska na morderców. —Uderzony tém w głowę jeden z nich pada krwią zbroczony, lecz nagle zrywa się z wściekłością wołając na towarzyszy, iż tu niebezpieczeństwo im grozi, cisną się w tę stronę wszyscy, a Teodozja nieprzytomna, czując się ozywioną nadludzkim męstwem, ciska marmury jakie tylko ująć się dadzą: rozjątrzeni żołnierze, nawzajem nie szczydzą pocisków strzał nowych; ogromnemi toporami rozwalają arkadę utrzymującą krużganek, podkładają ogień, tak, że dym dochodził do Teodozji schronienia. Wtedy młoda bohaterka przychodzi do zastanowienia się, widzi że lubo odciągnęła żołnierzy od wschodów, opóźniła tylko ostatnie niebezpieczeństwo, tem straszniejsze im większą wściekłością pałają napastnicy. Poczém więc z galerji w której była, spieszy do pani i w kilku słowach uwiadamia co się stało. Opowiadania jój, coraz głośniejsze krzyki, przerażają otaczające księżniczkę niewiasty. „Zginęliśmy wołają z rozpaczą” — „Uspokójcie się siostry, ozwała się Placydja, czyż taka twoga przystoi Rzymiankom? Rzymianki boją się śmierci wtedy kiedy bracia ich giną? kiedy Rzym w rękach nieprzyjaciół?” „Nie śmierci lękamy się pani, ale niewoli i hańby.” „Śmierć od niej zabezpiecza,

ja się jój nie boję.” To mówiąc wyjęła miecz z za przepaski: „to jest broń ojca mego, noszę ją przy sobie od czasu napadu nieprzyjaciół! która z was nie była tak przezorną, która nie ma miecza, niech pamięta że u stóp góry płynie odnoga Tybru; jeden skok przez które z tych okien oswobodzi ją od niebezpieczeństwa.”

Uspobiły się kobiety usłyszawszy te słowa, zbliżywszy się do ogromnych okien, nie jedna wyjrzała aby zmierzyć okiem, aby się przekonać czy przepaść dość bezpiecznym będzie schronieniem, a ujrawszy na dnie góry wijącą się jak żółtą wstążkę między błoniami wodę, czekała chwili ostatecznej. Placydja schowawszy miecz w gęste fałdy szerokiej swój sukni, znów padła na kolana, a w cichych modłach jój, imię Konstancjusza kilkakrotnie z gorącemi westchnieniami wymawianem było.

Tymczasem uciszać się zaczęły dzikie krzyki, ustały straszne wstrząsające mury w posadach swoich uderzenia. Zdumione dziewice nasłuchiwały, oczekiwały żeby zupełna cisza poświadczyła oddalenie się nieprzyjaciół. Lecz zdala po wschodach słyhać stapanie, odgłos zbliżających się kroków dochodzi do uszu modlącej się Placydji. „To on! mówi do siebie? bo i któżby inny uciszyć zdołał te dzikie tłumy? Nie! to chód nie jego, to jakieś ciężkie stapania za każdym uderzeniem odbijają się w sercu mojem, jakby młoty które je rozbić mają! Ale któżby tu szedł bez nieprzyjacielskich krzyków.” Gdy takie ciche monologi wyrwywają się z uciśnionych piersi Placydji, gdy towarzyski jój ugrupowane przy oknach w podziwieniu oczekują rozwiązania zagadki, rozwarły się ostatnie podwoje i wszedł, nie piękny, waleczny, wysmukłej postawy Konstancjusz, lecz jeden z dowódców Gotów, w ciężkim ubraniu, opatrzone w dziury i oszczep, a zanim kilkunastu innych. Był to Atauf szwagier Alaryka, którego tenże po zdobyciu wyprawiał, pewnym będąc, że młody brat jego jedynie zdoła przytłumić mordy, i w całości doprowadzić dostojną brankę. Na widok wchodzących nieprzyjaciół, niektóre z dziewic wskoczyły na framugi okien, dwie inne i Teodozja opatrzone mieczami otoczyły Placydję, która dobywszy broni, czekała spokojnie zbliżającego się wojownika.

Pierwszy raz w życiu widok taki okazał się oczom Ataufa, pierwszy raz widział piękność rozjaśnioną potęgą ducha; nie mógł znieść spojrzenia pełnego odwagi i pokoju Placydji i mimowoli pochylił kornie czoło.

Atauf od duchownych w niewolę wziętych, uczających wiary, a raczej karcących błędy Arjana

którym był i Alaryk uległ, nauczył się mowy rzymskiej. W tym więc języku, przytłumionym głosem wyjąkał następujące wyrazy: „Brat mój wielki Alaryk przysłał mnie do ciebie pani, abym ci oświadczył iż jesteś wojenną branką jego.” „Nigdy” zawołała Placydja — „raczej śmierć niż niewola” i miecz swój do piersi przyłożywszy, dodała: „uderzę jeśli krok jeden postąpisz.” „Na miłość ukrzyżowanego Boga w którego i ja wierzę! zaklinam cię pani! schowaj miecz ten.”

„Wierzysz w Boga miłości, a nachodzisz, łupisz kraj nasz a mordujesz bezbronnych? to nieprawda” odrzekła Placydja trzymając zawsze miecz podniesiony.

„Wiadome ci pani prawa wojny; dziś ty branką jesteś, jutro ja nim być mogę — nie opieraj się prawu temu: posiadając tak dostojną brankę, brat mój będzie mógł zawrzeć pokój: opór twój będzie przyczyną krwi rozlewu; przysięgam ci iż sam o pokój błagać go będę; wkrótce będziesz wolną i z honorami dostojnemu bratu powróconą.” Łagodne, ujmujące i piękne rysy Ataufa, nie groziły żadną zdradą, a głos jego dość dźwięczny tchnął prawdą. Placydja namyśliwszy się chwilę, odrzekła spokojnie: „Jeśli niewola moja może przeszkodzić krwi rozlewowi, pójdę z tobą, pod warunkiem, że miecz mój towarzyszyć mi będzie, że jak w tym pałacu, tak i w całym mieście przestać każesz mordów i rabunków.” „Uprzedziłem żądania twoje pani! idąc po tak dostojną brankę wszędzie karciełem mordy bezbronnych; przysięgam ci pani, że wróciwszy do brata, najpierw wymogę na nim, aby najwyższą władzą swoją kazał wstrzymać krwawe boje, a nim to nastąpi wysłę jednego ze starszych dowódców, aby w mieście tamowali napady bezbronnych.” To mówiąc obrócił się do jednego z obok stojących wojowników i wnet wydał rozkaz w niezrozumiałym dla Placydji języku. Odszedł starszy wojownik w towarzystwie dwóch innych, Atauf zaś skłoniwszy się pokornie prosił Placydji aby z nim udać się raczyła. „Nie opuścimy cię pani” zawołały otoczywszy ją kobiety. „Niepodobna, wy zostaniecie, a oczekiwać mnie będziecie w pałacu. Wszak one bezpieczne tu być mogą, — dodała obracając się do Ataufa:” „Rozstawiona straż bronić będzie od dalszych na pałac napadów” odparł Atauf.

Pożegnawszy głębokiem spojrzeniem piękną komnatę, zatrzymawszy wzrok dłużej na stojącym krzyfiksie, wyszła Placydja w towarzystwie Teodozji, która straciwszy ojca, w niej jedyną opiekę i pociechę widzieć chciała.

Istotnie, ustał rabunek w Rzymie, lecz jakaż była boleść Ataufa kiedy Alaryk, chcąc być pewniejszym zdobywcą swojej, kazał nieszczęśliwą Placydję do więzienia zaprowadzić, i żelaznym okuć łańcuchem; miecz wszakże pozostawiono przy niej. Oszczędziła wyrzutów Ataufowi Placydja: słyszała bowiem, choć nie rozumiała, wyrzuty jakie bratu czynił, i widziała na twarzy jego prawdziwą boleść. Alaryk kazał jej powiedzieć iż w niczem warunkom przez brata uznanym nie uchybił, mordy ustały w Rzymie, ona ma miecz przy sobie, a o kajdanach mowy nie było.

Kronika nie opowiada jakie i gdzie było więzienie pięknej córy cesarskiej; wiemy tylko, iż w kilka dni po zamknięciu, kiedy siedziała mając białe nogi w ciężkie okute żelazo, a obok niej nieodstępna młoda Teodozja, rozrywała ją opowiadaniem, zaskrzyphiały wrota i wszedł Atauf. „Pani, rzekł do niej trzęsącym od wzruszenia głosem, brat mój wyprawia posłów do cesarza z warunkami pokoju, bez twego zezwolenia wszakże ja nie przystanę na te warunki, nie wypełnię ich.” Jakież więc są warunki? zapytała. „Brat mój żąda ręki twój dla mnie.” „Niepodobna nigdy” — zawołała mimowolnie Placydja, i zatrzęsała się tak, że aż brzęk kajdan rozległ się po więzieniu. Nagle, miarkując oburzenie swoje przez wzgląd na młodego wojownika w którym jakby odgadywała szlachetne instynkta, rzekła doń łagodnie: „Jesteś chrześcijaninem, to prawda, ale nie jesteś Rzymianinem, a ja tylko rodakowi rękę moją oddać mogę.” „Ojczyzna twoja byłaby odtąd moja” — odrzekł cichym głosem Atauf. „Czy sądzisz że za cnotę przeczytać bym ci mogła żebyś się wyrzekł braci, kraju swego?” „A gdzież kraj mój?” odparł smutnie Atauf. „Dziki, od dzieciństwa mego tylko cudze napadam ziemię. O! Pani daj mi ojczyznę którąbym ukochać mógł, w którą wcieliłbym biednych, ciemnych, dzikich jeszcze braci moich. Ja nigdy nie lubiłem napadów i mordów, ale od chwili kiedy wzrok twój na mnie się zatrzymał, jakby mnie nowe nieznanne do-tąd objawiło się światło, odtąd dziwne mnie opanowały marzenia, odtąd razi mnie dzikość braci moich, cierpię nad nimi i unikam ich razem, wyrwij mnie pani z tej otchłani, daj niebo w którym Boga i ciebie czcić byłbym godzien.” „Ataufie! rzekła wzruszona litością Placydja, cierpię nad nieszczęściem twojem, ale mu zaradzić nie mogę, kłamane szluby moje nic ci nie pomogą, ty jesteś tylko narzędziem w ręku Alaryka któren rządzi braćmi twemi i innemi dzikimi ludami; bądź szlachetnym i nie pragnij abym dzieliła los twój.” Po tej rozmowie, smutny Atauf opu-

ścił więzienie z postanowieniem, że choćby Honoriusz zezwolił na to małżeństwo, on się do niego nie skłoni. Smutniejszą jeszcze od niego pozostała piękna Placydja, miotana rozmaitemi niepokojami. Nigdy ona nie spodziewała się, aby jej uwięzienie taki wzięść mogło obrót; jakkolwiek stan bndzącej, otwierającej się dla moralnego piękna duszy Ataufa, obudzał w niej współczucie, to nie zezwoliłaby nigdy, jak sądziła na połączenie się z nim. „Ja-bym miała być żoną Gota, najeźdźnika, zaborcy kraju mojego? o nigdy, chociażby tego wymagał Honorjusz” tak mówiła do Teodozji biedna Placydja. „A gdyby odrzekła Teodozja małżeństwo twoje, pani! miało na zawsze Rzym oswobodzić?” Gdyby dziki Alaryk opuścić chciał Italię kładąc za jedyny warunek to małżeństwo? „Nie mów tego, odpowiadała Placydja zakrywając sobie oczy, jakby się bała w przepaść spojrzeć” nie mów tego, Alaryk chciwy zaborów nie zaniecha ich dla miłości brata, a ten brat nic przez siebie dla ojczyzny mojej uczynić nie może. Mówiłam zém gotowa ponieść śmierć męczeńską bylebym mogła oswobodzić kraj mój, czyżbym wysłuchaną została? czyżby to miał być rodzaj męczeństwa, jaki by mi Bóg wybrał? nie, niepodobna.” Tu obok strasznej przyszłości, i przymusowego stosunku z Gótem, stawał w jej myśli Konstancjusz, sławny z waleczności, młody i piękny Nicejczykiem zwany. On nie mówił jeszcze o miłości Placydji, bo wtedy zaledwie był dowódcą oddziału, i nie śmiałby otwarcie oświadczyć uczuć swoich pięknej siostrze monarchy: lecz ona rozumiała spojrzenia jego, a gdy niebezpieczeństwo groziło Rzymowi, przybył Konstancjusz z prośbą aby mu wolno było czuwać nad bezpieczeństwem księżniczki. Placydja rzucając pełne miłości i wdzięczności spojrzenia na okrytego pyłem wojownika, zapytała go: „Z placu boju przybyłeś mojem się bezpieczeństwem za jmować? dzięki ci rycerzu, ale wracaj gdzie cię obowiązek wzywa! zwyciężaj! nie myśląc o losie moim, mnie Bóg nie opuści, a ty Rzym ratuj.” „Niestety! już za późno!” odrzekł z rozpaczą młodzieniec, nieprzyjaciel już w murach miasta. dla tego pospieszyłem aby cię pani ratować lub zginać. Nie będąc pewnym czy w tym jesteś pałaca, chciałem się do wiedzieć, a teraz spieszę po oddział moich męźnych żołnierzy, aby bronić ciebie.” To mówiąc wybiegł młody rycerz, i Placydja nie widziała go więcej. Tak obok udręczeń niewoli, sroższy jeszcze trapił ją niepokój o los młodzieńca. „Może go zamordowano nim się zdołał dostać do pałacu? a jeśli się dostał a mnie nie zastał, jakaż była boleść jego”

te i tym podobne domysły truły pokój biednej niewolnicy, a nie mogła się nic dowiedzieć.

Jak wiadomo Honorjusz nie przystał na małżeństwo siostry z Ataufem, a Alaryk niechcąc tracić korzyści, jakich mając tak dostojną branke mógł się spodziewać, pod ścisły dozór oddał Placydję, a sam obładowany łupami udał się ku Sycylii, zostawiwszy część wojska pod dowództwem Ataufa koło Rzymu. Ale jakby za karę nie cieszył się okrutny Alaryk łupami swemi, bo wkrótce potem nagle zakończył życie. Po śmierci jego jednomyślnie Gotowie obrali Ataufa za monarchę swego. Wtedy Atauf stanął znów przed Placydją, którą wypuścić i otoczyć honorami kazał, a przedstawiając jej korzyści jakie przez połączenie się z nim sprowadzi dla kraju, błagał aby nie odrzucała jego ręki. „Tak nagła, niespodziana śmierć brata mego” — mówił do niej — „jest jakby palcem Bożym; na to mi Bóg dał władzę abym ją u nóg twoich złożył, abys ty pani! objawszy ją w ręce, oswobodziła ludy, i zapewniła pokój ojczyźnie swojej: oddaj mi rękę twoją, a z najezdcy, z nieprzyjaciela stanę się sprzymierzeńcem, poddanym brata twego, zerwę stosunki z dziczą z którą brat mój się związał, oswobodzę od niej nie tylko Italię ale wszystkie przyległe jej państwa. Daj mi ojczyznę, a zobaczysz jak wiernym jej będę.”

„Szlachetny Ataufie!” odpowiedziała Placydja, dla czegoż bezemnie nie możesz wykonać tak pięknych zamiarów?”

„Jakto bez ciebie? pani! Mówisz jakby słońce powiedziało wiosnie: „ożyw całą naturę, bądź wiosną bezemnie; ja ci odmawiam promieni moich! Nie pani ja bez ciebie pozostanę dowódczą Gotów i nic więcej.” Biedna Placydja prosiła aby jej dał czas do namysłu; aby też same jakie jej daje warunki, podał jej bratu. Tym razem nie mógł odmówić Honorjusz tak korzystnych dla państwa układów, a Placydja uznawszy poświęcenie siebie za konieczne, oddała Ataufowi swą rękę. Nie pytała już o los Konstancjusza, w modlitwie tylko chciała pamiętać o nim, postanowiła wypełnić posłannictwo swoje, i spełniła go w całej rozciągłości. Stała się istotnie moralnem słońcem dla kochającego ją Ataufa, któren wypro-wadziwszy najezdników z Włoch, całą duszą przyjął ojczyznę żony — za swoją. Razem z wiernymi sobie Gotami, waleczny, szlachetny Atauf nie wahał się opuścić żonę gdzie szło o oswobodzenie nieszczęśliwego ludu, i tak wkrótce po ślubie udał się do Galij, z kąd dzikich niegdyś Alaryka sprzymierzeńców wypędził. Później, to jest w rok potem (r. 411) wy-

prawiony przez Honorjusza do Hiszpanii, przeszedł Pireneje, i walecznie pogromił Allanów i Wandalów. Lecz widać dzicy sprzymierzeńcy Alaryka pałali zemstą ku łagodnemu, szlachetnemu, karcącemu mordy Ataufowi; bo gdy obległ Barcelonę, znaleźli sposób napadnięcia jego i zamordowania. Padł młody wojownik daleko od ukochanej Placydji, która nieudane mi łzami oblała wieść o śmierci szlachetnego małżonka.

Młoda wdowa udała się na dwór brata i przy nim zamieszkała. Jakież jej było zdziwienie, gdy w ulubieńcu brata, w dowódcy walecznym wojska, poznała Konstancjusza. Lat parę przydało mężkości jego pięknym rysom twarzy. Zbladł rycerz zobaczywszy we wdowim stroju piękniejszą niż dawniej jak mu się zdawało Placydję, otoczoną aureolą jaką daje cnota i poświęcenie. Istotnie Placydja wiele zrobiła dla kraju, raz na zawsze wcielając, rzec można, do państwa Rzymskiego Gotów, którzy także zyskali wiele, gdyż Atauf wprowadził między nich wyższą cywilizację i rozerwał stosunki z innymi dzikszymi ludami, których używał do podbojów poprzednik jego. Po śmierci Ataufa Goci obrali Wallja, któren idąc w ślady Ataufa wiernym był sprzymierzeńcem Rzymu, i dalszą wojnę z Alanami i Swewami prowadził, i przywrócił cesarstwu zawojowane prowincje w Hiszpanii, a dla narodu swego wyjednał jedną prowincję w Galii. I odtąd Gotowie przybrali nazwę królestwa Wizygotów.

W lat parę po owdowieniu, Placydja poślubiła pięknego i walecznego Konstancjusza, któren tyle dał dowodów mężstwa, rozumu i szlachetności, iż go Honorjusz do rządów państwa przypuścił, a otrzymawszy rękę siostry cesarskiej, został sam cesarzem zachodnim. I znów piękna Placydja znalazła się w pałacu Cezarów, znów w tej samej co przed kilku laty marmurowej komnacie klęczała przed krucyfixem dziękując Panu: że straszne przeszłości chwile lubo minęły jak sen, a przecież dobre po sobie zostawiły następstwa. Dziękowała Panu a razem prosiła o zachowanie jej od zbyt ciężkich udręczeń, gdyż wśród szczęścia czuła niepokój, jakby niezbadane przeczucie jakiejś ciężkiej doli. Spełniło się przeczucie, w lat parę po zameżciu, a w kilka miesięcy po przypuszczeniu do wspólnego panowania na Zachodzie, umarł w kwiecie wieku Konstancjusz powszechnie żalowany, albowiem krótkie chwile panowania swego naznaczył mądrością, odwagą i szlachetnością. Któż opíše boleść Placydji? A przecież nie poddała się jej, udała się do Rawenny

aby radami a nawet odwagą wspierać rządy nie-  
doleźnego brata. Piękne jój oblicze nie straciło  
wyrazu słodkiego pokoju: na doczesne szczęście star-  
czyło jój wspomnienie chwil spędzonych z ukocha-  
nym Konstancjuszem i pieszczoty małego syna, a na  
wieczne zapracować chciała, do wiecznego tęschni-  
ła, ale z pokojem i nadzieją. Ubiór jój był zawsze  
skromny, a przecież czasem zdobiła gładkie czoło  
misternej ręboty koroną, którą nie dla stroju, ale  
jakby z posłuszeństwa jakiegoś kładła czasem. Nikt  
nie wiedział zkąd była ta korona, podania ludu twier-  
dziły że ją nadziemski posłaniec na skroniach jój  
umieścił, ażeby pokazać ludziom że Bóg i na tej zie-

mi cnoty chce uczcić. Inaczéj bowiem nie umiano  
sobie wytłumaczyć téj korony, której pochodzenia  
nikt nie wiedział, a nikt pytać nie śmiał, prócz jednéj  
Teodozji, która nieodstępna Placydji poślubiwszy  
krewnego Konstancjusza, dawszy nie jeden dowód  
męztwa prawdziwéj Rzymianki, co raz bardziej przez  
Placydję kochaną i szanowaną była. Lecz i na za-  
pytanie Teodozji, zkądby miała tak piękną koronę?  
milczała Placydja. Na medalach więc, które bito na  
cześć jój, a które dotąd spotkać można w dawnych  
zbiorach, przedstawianą jest Placydja, z imieniem  
Jezus na prawem ramieniu i z koroną spadającą  
z Nieba. Umarła w saméj sile wieku.

## JAN WYHOWSKI, <sup>1)</sup>

(HETMAN KOZAKÓW.)

W końcu pierwszej połowy XVII wieku, służył  
w Kijowie za kancelistę Jan Wyhowski, szlachcic,  
wyznania greckiego, człowiek uczony, w sprawach  
biegły. Służba jednakże mu nie dopisała: dostrzeżo-  
no brak ksiąg, i Wyhowski na karę śmierci skaza-  
nym został. Ale miał stosunki: silni protektorowie,  
magnaci, od wykonania wyroku okropnego uwolnić  
go zdołali; poczem pole sadownicze dla Wyhowskie-  
go zamkniętém zostało: wszedł do wojska polskiego.  
Podług innych źródeł, Wyhowski miał być pisarzem  
przy polskim komissarzu u kozaków. Jakkolwiek-  
bądź, Wyhowski zostawał w wojsku polskiem w tym  
czasie, kiedy się wszczynala na Ukrainie wielka  
wojna, która postać Europy wschodniej zmienić mia-  
ła. Kozactwo, mając za sobą całą czerń (chłopstwo)  
powstało pod sztandarem prześladowań religijnych,  
na polskie państwo i szlachectwo. Szlachectwo ru-  
skie, różniąc się co do religii z polskiem i walcząc  
z niem nie raz na sejmach, wcale kozackiej wojnie  
nie sprzyjało. Kozak i szlachcic — były to ogień i wo-  
da; ani zgody, ani przymierza między nimi być nie  
mogło: szlachta lgnęła zawsze do państwa szlache-  
ckiego, do kraju, który rajem szlachty nazywano.  
Szlachcic Wyhowski walczył w wojskach Rzeczypo-  
spolitój przeciwko kozakom: był on w tym przodo-  
wym oddziale, który biegł z młodym Potockim w ste-  
py na spotkanie Chmielnickiego i doznał klęski na

Żółtych wodach. Wyhowski dostał się w niewolę ta-  
tarską; Chmielnicki, znając go uprzednio jako uczo-  
nego i biegłego jurystę, wymieniał go za konia u ta-  
tarów i swoim uczynił pisarzem. Tu, pióro, jak to  
nie raz bywa, pomimo swéj słabości widocznój i ule-  
głości, zdołało nad szablą wziąć przewagę, i zręczny  
pisarz nabył wkrótce wielkiego w wojsku kozackim  
znaczenia. Miał téż i nad Bohdanem wpływ nie ma-  
ły, miarkując nie raz jego zapalczywość, szczególnie  
po gorzałce. Udając z konieczności kozaka, Wyho-  
wski pozostał w duszy szlachcicem i zachował przy-  
wiązanie do Polski; nie opuszczał zręczności służe-  
nia panom, zawiadamiając ich o niebezpieczeństwie  
od chłopstwa. Ale za Chmielnickiego, w czasie roz-  
paczliwój pomiędzy kozactwem a państwem walki,  
nie pora była o Polsce myśleć. Przewidując, że kosa-  
cy prędzej czy później nie unikną poddaństwa mo-  
skiewskiego, Wyhowski był bardzo uprzejmy z po-  
słami carskimi, témbardziej, że za tę grzeczność je-  
go płacili sobolami. Po zawarciu pokoju zborow-  
skiego, przybył do Chmielnickiego posłaniec carski

<sup>1)</sup> Korzystaliśmy głównie ze studyów dziejowych  
b. profesora historii rosyjskiej przy uniwersytecie mo-  
skiewskim, Sergiusza Sołowjewa, autora obszernéj „Hi-  
stori Rosyi” (dotąd wyszło 10 tomów), i wielu innych  
prac historycznych.



Neronow. Wyhowski, służąc jego carskiej mości, udzielił posłańcowi kopii z traktatu zborowskiego i o innych rzeczach szeroko przed nim opowiadał; Neronów darował mu za to kilka futer sobolowych.

Gorliwość dla Moskwy Wyhowskiego stawała się coraz silniejszą; o połączeniu się z Moskwą, czynił zabiegi, prócz Wyhowskiego, metropolita grecki z Koryntu Joasaf, z dwoma grekami Janem Tofrali i zakonnikiem Pawłem przebywającym u Chmielnickiego. Paweł, doradzając carowi w roku 1651 przyjęcie pod swoją władzę wojska zaporozkiego, pisał do tegoż, ażeby cały interes przez Wyhowskiego prowadził.

Urządzając stosunki swoje z Moskwą na przypadek poddaństwa carowi, co zresztą nie było do prawdy niepodobnym, Wyhowski nie myślał o zerwaniu z Polską, starając się u króla o dygnitarstwo. Do Potockiego pisał:

„Nie tylko teraz, ale w każdym czasie wszelkiego dokładałem starania, abym gorliwie i wiernie jego królewskiej mości służył. O każdej porze, jakaby się zrzeczność ze strony państw zagranicznych nadarzyła, zawiadomić Waszą Mość nie omieszkam. Racz o mnie myśleć jako o wiernym słudze swoim; dozwól, abym przed innemi, w ważnej sprawie, jego królewskiej mości dotyczącej; pierwszeństwo otrzymał. O to tylko proszę, ażeby życie moje bezpiecznym było. Zatém spokojnie oczekiwać będę, w czém się łaskawe okażą względy i dostojęństwo przez Waszą Mość dla mnie przyrzeczone.”

W roku 1652 nowe zapewnienia życzliwości dla Moskwy, przed carskim posłańcem Unkowskim przez Wyhowskiego objawiono. I rzeczywiście, Wyhowski posyłał do Moskwy listy sułtana tureckiego, chana krymskiego, paszy sylistryjskiego, hetmana Potockiego i Radziwiłła, do Chmielnickiego pisane.

Nastąpiło wreszcie Małej Rusi z Wielką, i już za Bohdana wszczęły się niezgody pomiędzy rządem moskiewskim a hetmanem, który się od poddaństwa odzwyczaił i do interesów państwa, któremu się poddał, stosować nie chciał.

Ale za życia Bohdana, domowych niesnasek na Ukrainie nie było; zgon jego, który dnia 15 sierpnia 1657 roku nastąpił, dał hasło do zamieszek, dla których Mała Ruś najobszerniejsze otwierała pole, gdyż części składowe politycznego jęj ciała, odrębnym żyły życiem. Zaporozie, kozacy miejscy, miasta, starszyzna wojskowa, każdy miał własne interesa swoje, a człowiek, który wyższym nad innych po Bohdanie się wydawał, wcale zdolnym nie był do zniwe-

czenia téj odrębności, gdyż sam oddawna nawykł był żyć dla siebie samego, nie mając spólcucia do téj sfery społeczeństwa, w której go los do działania przeznaczył: był to Wyhowski. We wszystkich historyach powtarza się ciągle opowiadanie o tém, jak Chmielnicki, przeczuwając zbliżający się zgon swój, zebrał w miesiącu sierpniu radę, na której polecił obranie po sobie następcy, wskazując na niektórych pułkowników, a szczególnie na Wyhowskiego; ale rada odpowiedziała, że za ojcowskie zasługi nikt inny, prócz syna Jurja (Jerzego) na hetmana obrany nie będzie; że stary hetman długo się na to nie zgadzał, wreszcie zmuszonym był przystać na powszechne życzenie. Wszystko to jest bardzo piękne, szkoda tylko, że nie prawdziwe; gdyż ze źródeł urzędowych wiadomo, że jeszcze dnia 23-go kwietnia Chmielnicki pisał do cara Aleksego zawiadamiając, że za wspólną wszystkich pułkowników zgodą, syn jego hetmanem obrany został, i o względy łaskawe dla niego upraszał. Jednakże, nie wszyscy pułkownicy na obranieszyna Jurja przystali. Zręczny pisarz potrafił silnie na korzyść swoją utworzyć stronnictwo, a jednym z najprzychylniejszych ku niemu był Hryćko (Grzegorz) Leśnicki, pułkownik mirgorodzki. Bohdan dowiedziawszy się, że Hryćko zamyśla o hetmaństwie dla Wyhowskiego, kazał przywołać obu do siebie: Leśnickiemu groził karą śmierci, Wyhowskiego zaś kazał w przytomności swojej okuć w pęta, położywszy twarzą do ziemi i trzymał go w tém położeniu prawie dzień cały, *dopóki Bohdana gniew nie przeminął*, i Wyhowski leżał na ziemi płacząc ciągle, aż w końcu hetman mu przebaczył. Ale jak tylko Bohdan ducha wyzionął, Wyhowski działać zaczął wspólnie z przymierzeńcami swemi; przyciągnął na swoją stronę większą część pułkowników, którzy też niebawem obwołali go hetmanem, nie zawiadomiwszy o tém Zaporozia i nie czekając na przybycie do Czehrynu pułkownika półtawskiego Martyna Puszkara, niechętnego Wyhowskiemu. Cóż robił Jury Chmielnicki? O nim i o jego z Wyhowskim stosunkach różne w mętnych źródłach baje opowiadają; jedną tu tylko zrobimy uwagę: że ani Puszkara, ani zaporozcy, powstając na obranie Wyhowskiego, jako nieprawne, i domagając się zebrania powszechnej, tak zwanéj czarnej rady, nie wspominają nigdzie, że podobna rada już miała miejsce, i że na niej obranym był Chmielnicki, wyszukując przeciwko Wyhowskiemu wszelkiego rodzaju oskarżenia, nie obwiniają go jednakże o usunięcie od hetmaństwa Jurego

Chmielnickiego, gdyż o obraniu takim wcale nie wiedzą. Kijowski wojewoda Buturlin, posłał wiadomość do Moskwy o zgonie Bohdana, ale nie o jego następcy nie pisał.

Na Ukrainie powstało szemranie, które nie z dołu, ale się z góry rozpoczęło. Połączenie z Moskwą było sprawą wielu, sprawą większości. Inny pogląd miała mniejszość, u góry stojąca; dla mniejszości tej, dla starszyny wojskowej, dla szlachty szczególnie, połączenie się z państwem szlacheckim, z Polską, daleko więcej miało powabu. Reprezentantem tej strony arystokratycznej był głównie szlachcic Wyhowski, który obecnie hetmaństwo zagarnął. Dla Bohdana, który w czasie walki z Polską, nawykł był dowolnie się rządzić, ciężkim było poddanie się państwu moskiewskiemu, tyle o prawa swoje dbającemu; nie łatwą już było dla Bohdana rzeczą wykręcać się przed posłami carskimi, którzy odeń koniecznego zobowiązań dopełnienia wymagali. Ale starego hetmana za jego imię i czyny oszczędzano w Moskwie: czy też Wyhowskiego oszczędzać zechcą? Miał przeto słuszną rozstrzygnąć kwestyę tę odmownie: oddawna już Wyhowski zwracał wzrok swój ku Zachodowi, do państwa szlacheckiego, gdzie mu przyrzekano świetny stan niezależny, senatorstwo. Wielu też ze starszyny, podobnymi zachwyconych widokami, stanęło po stronie Wyhowskiego. Ale postawić się otwarcie i niezwłocznie przeciwko Moskwie i z Polską się połączyć, było niepodobna. Polska natenczas była osłabioną, nie zagoiła jeszcze ran przez Szwecyę i Moskwę jej zadanych, nie była w stanie własnymi siłami bronić Wyhowskiego i jego towarzyszy przeciwko Moskwie, a przytém większość w wojsku i pospółstwie przeciwną była poddaniu się Polsce; trzeba było zrazu działać chytrze i na innym jakim, korzystniejszym od polskiego oprzeć się związku. Wyhowski więc zwrócił się do chana krymskiego, z którym przymierze tyle dopomogło Chmielnickiemu na początku walki jego z Polską. Pierwszym zatém czynem hetmana nowego było poselstwo do Krymu: jakoż przymierze z Tatarami zawartém zostało.

Pomimo-to położenie Wyhowskiego nie było dobre w ogromnej większości kozaków, dla których prawym hetmanem mógł być ten tylko, kto wolnymi głosami na radzie powszechnej obrany został: Wyhowski zaś na obraniu takim polegać nie mógł: za młodym Chmielnickim przemawiało imię znakomite, tyle drogie dla kozactwa; pomijając Chmielnickiego, nie mało też było pułkowników, których zasługi wojskowe

nad innych wywyższały, gdy tymczasem Wyhowski był tylko pisarzem; urząd, który szczególnej powagi w tłumie kozackim nie posiadał; prócz tego nie był kozakiem, a co gorsza jeszcze dla kozaka, był szlachcicem. Usiłowania Wyhowskiego i jego stronnictwa obudzić w kozakach niechęć ku Moskwie, nie miały powodzenia. Leśnicki przyjechawszy po zgonie Chmielnickiego z Czehrynu do Mirgorodu, zebrał radę na swoim dworze pułkowym, zgromadził starców i atamanów i mówił do nich: „Posyła car moskiewski do nas wojewodę Trubeckiego, z rozkazem, ażeby wojska zaporozkiego było tylko dziesięć tysięcy, a i ci mieszkać mają w samym Zaporozu. Pisze car krymski do nas bardzo grzecznie, abyśmy się jemu poddali; lepiej jest poddać się carowi krymskiemu: car moskiewski wszystkich was dragonami i wiecznymi niewolnikami uczyni, żony i dzieci waszych wodzić będzie w łąpciach łykowych, a car krymski ubierać będzie w atlasie, aksamacie i bóci-kach tureckich.” Setnicy i atamani odrzekli, że bisurmaninowi poddawać się nie chcą. Wyhowski, zebrawszy pułkowników na radę do Korsunia, przemówił do nich, wzniosłszy buławę, w ten sposób: „Wy pułkownicy, mnie przysięgać powinniście bo ja carowi przysięgi nie składałem; przysięgał Chmielnicki!” Na to odrzekł pułkownik półtawski, Martyn Puszkara: „całe wojsko zaporozkie przysięgało monarsze, a tyś komu przysięgał — szabli czy rusznicy?” Wyhowski, wyjąwszy z kieszeni miedziane pieniądze moskiewskie, rzucił na stół, dodając: „Życzy car moskiewski wypłacać nam pensye miedzianymi pieniędzmi, ale cóż to za pieniądz. i kto go brać będzie?” Tenże Puszkara odpowiedział: „A chociażby wielki hosudar pokrajał kawałki papieru, a gdy na nich będzie imię hosudara, przyjmą je chętnie.” Tu się wybitnie dwa stronnictwa malowały ze wzajemną nieprzyjaźnią: stronnictwo starszyny i stronnictwo gminu (czerni), którego reprezentantem było Zaporozie; walka tych stronnictw nieświadomość połączenia się w ogólnych kraju interesach, już gotowały dla Małej Rusi los Nowogrodu.

Przybył z Moskwy okoliczny Chitrowo do Perejasławia, i znalazł tam zebranych Wyhowskiego, oboźnego, sędziego, setników i wiele pospółstwa. Nasamprzód Chitrowo zganił Wyhowskiemu; to, że wprowadził nowość, pisząc się w hramocie do cara *wolnym poddanym*; tak czynić nie wypadało; odtąd powinien pisać się prosto *carskiej mości poddanym*, jak to Bohdan Chmielnicki zwykł czynić. Oczekiwano czas niejaki na przybycie półtawskiego pułko-

wnika Martyna Puszkara; potem mówić zaczęto, że dłużej czekać nie można: wszyscy się rozjadą, a jeśli Puszkara tak długo nie ma, to nie zprosta; przybędzie z wojskiem i wojnę domową rozpocznie. Wtedy Chitrowo zebrał radę i oznajmił, że całe wojsko obierać sobie zwykło hetmana, kogo życzy, podług swobód swoich. Starszyzna i pospólstwo odpowiedzieli jednozgodnie, że obrany jest przez całe wojsko hetmanem Jan Wyhowski, i że jest od wszystkich lubiany. Wtém Wyhowski położywszy buławę, rzekł: że hetmaństwa sobie nie życzy, gdyż wielu z pospólstwa mówi, że sam on hetmanem zostać pragnął, i że go obrali przyjaciele. Na to, obożny, sędzia, pułkownicy i wszystka czerń upraszać go zaczęli, ażeby buławę zatrzymał przy sobie, gdyż go wszyscy jednozgodnie hetmanem obrali; wtedy hetman przyjął buławę i przysięgę na wierność carowi wykonał. Gdy się to wszystko skończyło, podano Chitrowowi pismo od Puszkara: donosił on, że przybędzie do miasta Łubny, gdzie nowa rada odbyć się powinna, gdyż perejasławska znaczenia nie ma. Okolniczy w odpowiedzi na pismo Puszkara wzywał go do Perejasławia dla widzenia się z nim; ale Puszkara nie usłuchał, a posłaniec Chitrowa doniósł mu, że u pułkownika półtawskiego bawią wysłani od kozowego zaporozkiego Barabasza, Michajło Stryża z towarzyszami i w obecności Puszkara różne rzeczy haniebne na wielką zwadę o Chitrowie prawią,

Z takimi doniesieniami wrócił Chitrowo do Moskwy. Minął rok 1657. Na początku roku następnego, Wyhowski ukarawszy śmiercią kilku naczelników sobie nieprzychylnych, próbował pogodzić się z Puszkarem, ale Puszkara okuwszy w pęta posłańca hetmańskiego, wtrącił go do więzienia, mówiąc: „Wyhowski i zemną tak samo chce się pogodzić jak się z bracią naszą pogodził, do której ani się umywał; ściał ich, ale tak zemną postąpić, jemu się nie uda.” Wyhowski dowiedziawszy się o losie posłańca swego, wysłał przeciwko Puszkarowi serbski pułk swojej gwardyi. Ale Puszkara już zdołał przywołać do siebie zaporozców, którzy wespół z kozakami Puszkara, dnia 27 stycznia rozproszyli pod Dzikanką serbów Wyhowskiego; poczem Puszkara wzmocniwszy siły swoje przez wojsko z różnego stanu ludzi zebrane, wyparł Leśnickiego z Mirgorodu i ogłosił na pułkownika Stefana Dowgala. Odtąd poczynają się jedne po drugich, skargi na Wyhowskiego, przez Puszkara i Dowgala do Moskwy przesyłane. Nie powstrzymały ich zabiegi nowego metropolity kijowskiego, Dyonizego Bałabana, przychylnego

Wyhowskiemu i zwolennika połączenia się z Polską. Bałaban groził Puszkarowi wyklęciem za rozpoczęcie wojny domowej. Wyhowski wyprawił w kwietniu do Moskwy Leśnickiego, człowieka bardzo mu przychylnego. Ten przekładał carowi, pomiędzy innymi, że dla powstrzymania zamieszek kozackich, należało sporządzić dokładny spis ludności, ustanowić 60,000 wojska, wydaliwszy zeń wszelkiego rodzaju hultajów, gdyż przez nich to wszczynają się niesnaski i powstania; następnie spisać wszystkie dochody i kozakom rejestrowym żołd wypłacać.

Nie znajdując w zaskarżeniach przez Puszkara do Moskwy posyłanych, żadnych powodów do obwinienia o zdradę Wyhowskiego, car rozkazał przez wysłanego w kwietniu Opuchtina, ażeby Puszkara posłusznym był Wyhowskiemu, temu zaś zalecił, ażeby się nie ważył z przeciwnikami rozprawiać samotnie, aby zaprzestał tatarów na Ukrainę sprowadzać, ale na wojsko carskie oczekiwał. Opuchtin po oznajmieniu Wyhowskiemu poleceń carskich, miał już się udać do Puszkara z carską hramotą, ażeby rokосу zaniechał; gdy Wyhowski, powstrzymawszy wyjazd Opuchtina do Półtawy, dnia 4 maja, w obec Opuchtina, który mu ciągle o carskim zakazie powtarzał, ruszył z Czehryna ku Półtawie na Puszkara. Nazajutrz Opuchtin udał się do cerkwi katedralnej, przekładając duchowieństwu, ażeby napisało do hetmana, zabraniając mu prowadzenia tatarów na chrześcijan; ale i to na nic się nie zdało. Wyhowski mając z sobą 60,000 kozaków i 10-tysięczny oddział tatarów, stanął pod Półtawą. Puszkara za naleganiem otaczającej go czerń, wyszedł na jego spotkanie, został porażony na głowę i zginął w bitwie (dnia 1 czerwca). W dniu 15 czerwca Wyhowski wrócił do Czehrynu a dowiedziawszy się, że wojsko moskiewskie, pod dowództwem księcia Romodanowskiego już stoi w Przyłukach, wyprawił Opuchtina do Moskwy, zawiadamiając cara, że wszelkie powstania uśmierzył, a zatem że wojsko z księciem Romodanowskim przysłane, wcale potrzebnem nie jest, gdyż i sam już horde rozpuścił. Następnie posłał zażalenie na bojara Szeremietiewa, że tenże przybywszy do Kijowa, bez wiedzy i porady hetmana, wiele nowych rzeczy zaprowadzić usiłuje, żądając nie wiedzieć jakich summ pieniężnych i po miastach rozsyłając wojewodów.

W Moskwie trwoga z powodu Wyhowskiego corazbardziej się wzmagala. W końcu marca, woje-

woda wileński, książę Szachowskiej pisał do cara o wieściach z Warszawy: „Król polski wielką w kozakach i tatarach, oraz w prusiech pokłada nadzieję; jeśli kozacy przy królu nie zostaną, wtedy król poniewoli z tobą się pogodzi; a jeśliby kozactwo z królem się połączyło, w takim razie pokoju z tobą nie będzie.” Dla tego, car nie czekając powrotu Opuchtina, wyprawił do Wyhowskiego Kikina, ażeby się o wszystkim dowiedział jak najdokładniej, głównie o polskim posłańcu Bieniewskim, który będąc u Wyhowskiego, uczynił z nim umowę o zawieszenie broni do Zielonych Świąt; oraz jakie być miały te warunki?

Dotąd w umowach Bieniewskiego z Wyhowskim nie było jeszcze żadnych artykułów dla Moskwy szkodliwych. Wyhowski w stosunkach swoich z Bieniewskim, z królem i magnatami polskimi, dokładał starania głównie o zawarcie pokoju, o tém żeby wojska polskie do Ukrainy nie wchodziły, dając mu czas samemu rozprawić się z Puzkarem, któremu Zaporozże sprzyjało i który wielką znalazłby podporę w Moskwie i w całej czerni, gdyby Wyhowski za Polską się ogłosił. Ale teraz Puzkara już nie było; wrogowie niemocą i strachem porażeni; przymierze z chanem zapewnione, Moskwę już dłużej ludzić nie można, gdyż wyprawa na Barabasa z zuchwałą woli carskiej nieuległością była uczynioną. Pora otwartego działania nadeszła; dnia 7 czerwca Bieniewski zawiadomił króla, że zaufany Wyhowskiego, mieszczanin lwowski, grek Teodozy Tomkiewicz jedzie ze stanowczym oznajmieniem poddaństwa, i że tenże Teodozy udaje się także do króla szwedzkiego z propozycją zawarcia pokoju z Polską, oraz z zagrożeniem, że w razie przeciwnym, wojsko zaporozkie stanie po stronie Polski.

W ostatnich dniach sierpnia zjechali Wyhowski z Bieniewskim do Hadziacza, i tamże dnia 6 września postanowione były następne warunki, pod którymi wojsko zaporozkie znowu się Polsce poddawało: 1) Unija nie ma być na Ukrainie; 2) metropolita kijowski ze czterema biskupami zasiadać mają w senacie po arcybiskupie gnieźnieńskim; 3) wojska zaporozkiego ma być 60,000; 4) hetman wielkiego księstwa ukraińskiego ma być wieczystie pierwszym kijowskim wojewodą i generałem; 5) senatorowie w koronie polskiej obierani nie tylko z polaków, ale też i z rusinów; 6) do rusinów wracają dawniejsze ich cerkwie, monastera i dochody; 7) rusini mieć będą akademiją, metrykę, kan-

cellaryą i drukarnię; 8) wszystko co za Chmielnickiego zaszło, podaje się w niepamięć na zawsze; 9) podatków żadnych Polska pobierać nie będzie; obozy koronne nie będą przyjmowane; obydwie Ukrainy pod hetmańskim tylko zarządem zostają; 10) król, na przedstawienie hetmana, obowiązany jest nobilitować kozaków; 11) wojska koronne, z wyjątkiem potrzeby koniecznej, nie mają być na Ukrainie; w ostatnim zaś razie pod dowództwem hetmana zostają; kozakom wolno jest stać we wszystkich włościach królewskich, duchownych i senatorskich; 12) hetman ma prawo bicia monety i płacenia nią żołdu dla wojska; 13) we wszelkich potrzebach korony polskiej wzywani są na radę kozacy; rząd polski ma się postarać o otwarcie drogi przez Dniepr do morza Czarne; 14) w wojnie króla z Moskwą kozacy pozostać mają neutralnemi; w razie napadu wojsk moskiewskich na Ukrainę, król bronić ją jest obowiązany; 15) tym, którzy się trzymali strony kozaków przeciwko Polsce, powrócone zostają dobra zabrane, i oni są znowu do urzędów przypuszczeni; 16) hetman, obcej opieki, prócz polskiej, szukać nie powinien; może zostawać w przyjaźni z chanem krymskim, ale nie ma uznawać nad sobą władzy cara moskiewskiego; kozacy wszyscy do siedzib swoich wracają; 17) król i Rzeczpospolita pozwalają hetmanowi ruskiemu urządzić sądy swoje i trybunały; 18) powiat czechryński zostaje przy buławie hetmańskiej po dawnemu; 19) w województwie kijowskim wszystkie urzędy i godności senatorskie, wyłącznie szlachcie greckiego wyznania rozdawane będą, zaś w województwach braclawskim i czernichowskim na przemian; 20) hetman może założyć, gdzie mu się spodoba, drugą jeszcze akademiją, do kijowskiej podobną; polskie szkoły przeniesione będą z Kijowa; 21) w województwach ruskich ustanawiają się pieczętarze, marszałkowie i podskarbiowie; urzędy te samym rusinom rozdawane będą; 22) tytuł hetmana ma być: hetman ruski i pierwszy województw kijowskiego, braclawskiego i czernichowskiego senator.

Poddawszy się królowi, Wyhowski nie zrywał jeszcze z carem, oczekując na przybycie do Ukrainy wojsk polskich i chana krymskiego. Ale już w miesiącu wrześniu car porozsyłał hramoty o zdradzie Wyhowskiego, całą sprawę wyjaśniając szczegółowo. Na wschodniej stronie Dniepru ogromna większość skłaniała się ku Moskwie, chociaż przeważna część starszyny za Wyhowskim trzymała; dla tego też wojewodowie carscy, książęta Romodano-

wski i Kurakin polegać mogli na przychylnych ku sobie kozakach. Ostatnich dni listopada, pod Warszawą, sprzyjające Moskwie kozactwo, obrało sobie na czas niejaki na hetmana Iwana Bezpałego, „ażeby sprawy wojskowe zaniedbanemi nie były.” Tym czasem rozpoczęły się z obu stron działania wojenne; miasta i wsie płonęły, nieszczęśliwi mieszkańcy doświadczały srogich wojny okropności nie wiedząc sami, za co. Wyhowski usiłował był Kijów opanować, ale odpartym będąc, zawarł pokój z wojewodą Szeremetiewym. Polacy nie cofali się. Wyhowski więc, dla powstrzymania wysyłki nowych wojewodów moskiewskich wyprawił do cara pułkownika białocerkiewskiego Krawczenkę z *powinném* (z uniewinnieniem); ale na list księcia Romdanowskiego, polecający mu, ażeby wojsko rozpuścił i na carskie miasta nie napadał, Wyhowski (z dnia 14 grudnia, z taboru pod Rzewem) odpowiedział: „Na carskie miasta napadać nie myślę, a tylko swawolników moich poskramię i poskramięć będę, również i *ich sprzymierzeńców*. Przystęgalimy jego carskiej mości nie dla tego, ażeby u chłopstwa swego w niewoli zostawać, i dać się mu za kark prowadzić; ale w nadziei otrzymania większych swobód; a teraz ty, z swawolnikami się połączysz, wielką i liczną zwadę w Małej Rusi uczyniłeś.” Dnia 13 grudnia Bezpały pisał do cara, że nieprzyjaciele ze wszystkich stron nadchodzą, a wojewodowie carscy, nie dają im, wiernym malarusinom, żadnej pomocy. Car odpowiadał, że na skutek *przyjazdu* Krawczenki z *powinném*, nazaczył radę w Perejasławiu na 1 lutego, a tymczasem niechaj Bezpały, połączysz się z ks. Romdanowskim, radzi z nieprzyjacielem. Ale Wyhowski otrzymawszy pomoc od Tatarów, już nie myślał o układach Krawczenki w Moskwie: miał zawsze na pogotowiu jedno usprawiedliwienie, że się bije nie z carskimi wojskami, ale z nieposłusznymi mu, z Bezpałym i jego kolegami. Dnia 16 grudnia, hetman nakażny Wyhowskiego, Skorobohatenko, zbliżył się do miasta Romny, gdzie się Bezpały znajdował, ale odpartym został. Dnia 20 grudnia tatarzy i przychylne Wyhowskiemu pułki kozackie: kaniewski, czehryński i korsuński, pod dowództwem pułkownika Cycury, nakażnego hetmana Skorobohatenki i Polaka Gruszy, wydali bitwę ks. Romdanowskiemu pod Łochwicą, ale podobnegoż doznali niepowodzenia.

W takim stanie były sprawy na początku 1659 roku. Potyczki z nieprzyjacielem nie ustawały pod

Łochwicą, gdzie stali wojewodowie carscy, Romdanowski i Kukarin, i pod Romnami, gdzie stał Bezpały donoszący Moskwie, że „z Nowej Czernuchy przychodzili pod Łochwicę Skorobohatenko i Niemirycz z Lachami i Tatarami, w liczbie 30,000, trzykrotnie miasta dobywali, ale odperci zostali.. Wyhowski zaś stał w Czernochach; następnie udał się do Mirgorodu: miasto, po wydaleniu zeń przez mieszczan wszystkich dragonów carskich do Łochwicy, poddało się Wyhowskiemu, który nie bacząc na to, kozaków i mieszczan przedniejszych oddał Tatarom, a resztę kazał osmagać, pułkownika zaś Dowgala przykuł do armaty.” Na wszystkie prośby Bezpałego o pomoc, z Moskwy daną była jedna odpowiedź, że idzie z wojskiem do Małej Rusi bojar książę Aleksy Trubecki. Trubecki otrzymał rozkaz tajny wejścia w układy z Wyhowskim i zapewnienia go, że car przebaczy mu zdradę, jeśli pod jego władzę wróci, zatwierdzi go na hetmaństwie, jeśli kozacy tego żądać będą; odda mu województwo kijowskie; wynagrodzi jego krewnych i przyjaciół; wraze zaś natarczywego wymagania, Trubecki miał pozwolenie wyprowadzić wojsko moskiewskie z Kijowa, ale pod warunkiem, ażeby Wyhowski się zobowiązał odprawić Tatarów i na przyszłość nigdy ich do siebie nie sprowadzać. Z resztą do układów już nie przyszło. Dnia 26 maja wyszedł Trubecki z Putywła w kierunku do miasteczka Konstantynowa nad Sułą, ściągając do siebie wojewodów moskiewskich z Łochwicy, a Bezpałego z Romnów. Dnia 19 kwietnia podstąpił Trubecki pod Konotop, gdzie się zamknął stronnik Wyhowskiego, nieżyński pułkownik Hulanicki. Blisko dziesięciu tygodni oblegali Konotop bezskutecznie wojska moskiewskie; tymczasem do tegoż miasta zbliżał się Wyhowski wspólnie z chanem krymskim. Pozostawwszy wszystkich Tatarów i połowę kozaków swoich w miejscu ukrytym po za rzeczką Sosnowką. Wyhowski z drugą połową zbliżył się niepostrzeżenie pod Konotop, o świcie uderzył na oblegających, pozabił wiele ludzi, a zabrawszy znaczną ilość koni, odstępować zaczął. Wojewodowie sądząc, że to były wszystkie siły Wyhowskiego, rozkazali księciu Semenowi Pożarskiemu, ścigać ze swą jazdą nieprzyjaciela. Pożarski uderzył na ustępujących i gonił ich zawzięcie, coraz dalej oddalając się od Konotopu; naprzód szpiegowie ostrzegali, że przed nim siła wojsk nieprzyjacielskich, połowa kozaków i cała horda z chanem i kałgą; zapalony wojewoda nie słuchał ich wcale i biegł naprzód: „Dajcież mi tu czém prędzej (wołał) tego chanka! dajcież mi kałgę! wszy-

stkich z całym ich wojskiem, takich a takich... porąbamy i zabierzemy w niewolę!" Ale za ledwie przepędził Wyhowskiego po za rzeczkę bagnistą Sosnówkę, i sam się z całym przeprowiał oddziałem, gdy wypadają liczne tłumy tatarów i kozaków, i znoszą oddział wojsk moskiewskich. Pożarski sam do niewoli wzięty i przed chana stawiony, który mu wymawiał zuchwałość i lekceważenie sił tatarskich; ale Pożarski był jednostajny i na polu bitwy i w niewoli; nawymyślał chanowi zwyczajem moskiewskim, plunął mu w oczy; chan też kazał natychmiast uciąć mu głowę. Poraziwszy oddział Pożarskiego, Wyhowski z chanem ruszyli do Konotopu, ażeby na Trubeckiego uderzyć; ale wojewoda moskiewski już odstąpił od miasta i, dzięki licznej artylleryi, zdołał bez wielkiej straty, przeprowadzić wojsko swoje po za granicę moskiewską, z kąd pisał do Wyhowskiego, ażeby wysłał do Putywła zaufanych ludzi dla układów o powstrzymanie krwi rozlewu. Wyhowski odpowiedział (d. 1 sierpnia) ciągle jeszcze mianując siebie hetmanem jego carskiej mości, że nie myśli wyprawiać posłów do Putywła, ale życzy, ażeby Trubecki swoich do Baturyna przysłał.

Ale żadnych już z Wyhowskim układów być nie mogło, gdyż upadek jego spieszenie się przybliżał. Zwycięstwo konotopskie trafunkowym było wypadkiem, żadnych następstw ważnych niemającym. Chan, który sam dodawał siły Wyhowskiemu, wyruszył do Krymu, pozostawiając tylko 15,000 hordy na Ukrainie; wojsko, które Wyhowskiemu mogli dać Polacy, było mało znaczące, stanowiło nie więcej jak 1,500 ludzi! napróżno czekał wsparcia od króla. Wyhowski wrócił do Czehrynu, nie zdoławszy zdobyć po drodze Hadziacza; z Czehrynu wysłał był kozaków strony zachodniej i Tatarów, pod dowództwem brata swego Daniły, ale ci pobici zostali dnia 22 sierpnia przez wojsko moskiewskie z Kijowa przybyłe. W jakim stanie znajdowała się wtedy Ukraina, najlepiej widzieć się daje z doniesienia do króla przez oboźnego koronnego Andrzeja Potockiego, który dowodził oddziałem wojsk posiłkowych Wyhowskiego: „Niech wasza królewska mość nie raczy nic dobrego dla siebie od kraju tutejszego oczekiwać! Wszyscy mieszkańcy tutejsi (to jest zachodniej strony Dniepru) nie długo moskiewskimi zostaną, gdyż ich przeciągnie na swoją stronę. Zadnieprowce (wschodnia strona), a oni też tego sobie życzą, i tylko sposobności szukają, jakby zręczniejszemu celu osiągnąć! Posłali oni kopiję z przywilejów waszej królewskiej mości, zapytując czy się zgodzi car zawrzeć z nimi

takież same warunki? Jedno miasteczko na drugie powstaje, syn rabuje ojca, ojciec syna. Straszna tu się przedstawia wieża Babel! Rozsądniejsi ze starszyzny kozackiej błagają Boga, ażeby ktokolwiek, czy wasza królewska mość, czy car moskiewski, ujął ich mocną prawicą, a nie dozwolił grubiej czerni podobnych swawoli."

Strona wschodnia przeciągnęła. Tu, jak tylko Wyhowski z Tatarami oddalił się do Czehrynu, pułkownik perejasławski Tymofej Cycura, widząc, że sprawa Wyhowskiego, w skutek powszechnej ku niemu nieżyczliwości, zupełnie jest przegrana, ogłosił się po stronie Moskwy, pobił tych niewielu, co się Wyhowskiego trzymali, i zawiadomił o tém księcia Trubeckiego w Putywlu. Dnia 30 sierpnia wojewoda kijowski Szeremetiew pisał do cara, że pułkownicy perejasławski, nieżyński, czernichowski, kijowski i łubiański przysięgę mu złożyli. Na zachodniej stronie Dniepru, kozacy posłyszawszy o poruszeniach Cycury, zbierać się poczęli i radzić: pozostać-li mają w poddaństwie królewskim, albo bić czołem carowi moskiewskiemu? Wyhowski w bardzo smutnym znajdował się stanie, wielu z bliskich mu ludzi radziło ruszyć w stepy i wezwać chana na pomoc. Andrzej Potocki pojął, jakie nieszczęście groziło Polsce, gdyby się jeszcze Turcy do walki za Ukrainę wmięszali, namówił więc Wyhowskiego, aby się do niego, do obozu na Hrebenkach, w pobliżu Białej Cerkwi, przeniósł się z Czehrynu. Wszyscy kozacy Wyhowskiego opuścili, skupiwszy się około młodego Chmielnickiego i stanęli na Hermanówce; brat Wyhowskiego, Daniła, z rodzoną siostrą Jurego, Heleną Bohdanówną ożeniony, także się ze szwagrem swoim połączył. Szeremetiew pisał do Chmielnickiego, ażeby od zdrajców odstąpił a połączył się z wiernymi kozakami strony wschodniej. Dnia 5 września Chmielnicki odpowiedział, że on i całe wojsko zaporozkie życzą wielkiemu carowi służyć. Dnia 11 września odbyła się u kozaków rada: przybył na nią Wyhowski, pokazał i odczytał umowę hadziacką, na sejmie już zatwierdzoną, namawiając kozaków do pozostania pod władzą królewską; ale wzburzenie tak było silne, że ledwie Wyhowski z życiem, do obozu polskiego umknąć zdołał: kozacy wrzeszczeli, że nie chcą być pod władzą królewską, a wolą w poddaństwie carskiem pozostać. Dnia 13 września Chmielnicki ruszył z wojskiem swoim na Rasawę, dla połączenia się ze stojącymi tam pułkami czehryńskim, umańskim i czerkaskim, za nim udali się Wyhowski i Potocki. Kozacy mówili, że na Rasawie







ma być wielka rada, na której hetmanem obiorą Chmielnickiego a Wyhowskiego zabiją. Około d. 20 t. m. Potocki z Wyhowskim zatrzymali się pod Chwastowem, a Chmielnicki na Wzeńji, w pobliżu Białej Cerkwi; kozacy wyprawili do Potockiego poselstwo z prośbą, ażeby namówił Wyhowskiego do złożenia buławy na radzie. Potocki odprawił posłańców kozackich z połajaniem; ale wkrótce po nich przyjechał do Wyhowskiego, pułkownik kaniowski Lizohub, i mirgorodzki, Hryćko Leśnicki, nalegając by oddano na ich ręce, dla przesłania wojsku, buławy i buńczuki; prosili o to i Potockiego, zapewniając, że wojsko chce pozostać wierném królowi. Po długich na-

radach, Wyhowski oznajmił nareszcie Potockiemu, że dla spokoju, gotów jest oddać buńczuk i buławę, ale pod warunkiem, ażeby wojsko zaporozkie wierném królowi pozostało. Lizohub i Leśnicki dali słowo, że warunek ten będzie dotrzymany, Wyhowski zatem posłał buńczuk i buławę z bratem swoim Daniłą. Lizohub, Leśnicki i Daniło spotkali na drodze wojsko, które już wyruszyło do obozu polskiego, mając zamiar pogrózką zmusić Potockiego, ażeby Wyhowskiego opuścił. Kiedy buńczuk i buława wniesione były na radę, wojsko natychmiast oddało je Chmielnickiemu, życząc mu, z głośnemi okrzykami, szczęśliwego hetmaństwa.

## POLOWANIE MURZYNÓW NA HIPPOPOTAMA.

(Z RYCINĄ KOLOROWANĄ.)

Śmiało twierdzić można, iż na całej kuli ziemskiej instynkt człowieka używa jednakich sposobów do zapanowania nad żywiołami, zwierzętami, do zabezpieczenia się od niebezpieczeństw, do pozyskania potrzebnej dla utrzymania się zdobyczy, a nawet dla uprzyjemnienia sobie życia. Jedyna różnica środków, leży w mniej-więcej rozwiniętem uczuciu piękna, w szerszych lub ciaśniejszych zasobach wiadomości, w słabszem i silniejszym poczuciu siły swojej, słowem w wyższem rozwinięciu władzy ducha rzucającego jedyne światło na życie i obowiązki człowieka.

Bracia nasi w dzieciństwie jeszcze żyjący, zadziwiają nas zawsze pomysłami, które my starsi i najrozumniejsi, jedynie sobie przywłaszczycybyśmy radzi. Ileż to na pozór prostych rękodzielni uderza nas dokładnością rozmiarów, harmoniją, pewnym ładem i użytecznością; z jakim podziwieniem przyglądamy się tym dziełom ludzi dzikich, którzy nie mając żadnych stosunków z Europą, na też same co ona wpadli myśli, tychże samych używają sposobów do ułatwienia i uprzyjemnienia sobie życia.

Zręczny Indyanin w południowej Ameryce równie szybko żegluję po Amazonce w swoim *pierogu* jak Europejczyk w czółnie swoim, z tą różnicą że czółno tego ostatniego, łatwiej się rozbić może bo z kilku złożone kawałków, jak tamtego *piera* z jednej sztuki jednego pnia drzewa lekkiego, ścisłego, wydrą-

żony. Murzyn w Afryce, nie znając sposobu ażeby z cienkich tartych desek zbić tratwę; na którejby się mogło kilkadziesiąt pomieścić ludzi, znalazł na to inny sposób, odpowiadający najzupełniej żądaniu. Z grubiej, nie przepuszczającej wody trzciny splata maty, kładzie jedną na drugiej, gdy zaś ten duży 200 lub 300 ludzi mogący pomieścić pomost jest dostatecznie gruby, na bokach przymocowywa drzewa dla przytwierdzenia, poczem puszcza na wodę, a lekka trzcina, nie przepuszczająca jęj, unosi się na powierzchni.

Również w polowaniach na też same co Europejczycy wpadają sposoby, częstokroć nawet łatwiejsze i praktyczniejsze. Twierdzą że w Afryce murzyni tym samym sposobem polują na hippopotamów co Europejczycy na wieloryby.

Brzydkie, nieledwie potworne to zwierze, po słoniu największe w królestwie zwierząt, dziś już tylko w środkowej Afryce się znajduje. Widać rozmaite były rodzaje hippopotamów; nie wszystkie tak gorącego potrzebowały jak Afryka klimatu, gdyż wykopują czasem we Włoszech a nawet we Francyi kości, czyli szkielety tych zwierząt. Świadczą naturaliści, iż tak dużych jakie się znajdują w Afryce nie było nigdzie: kości tego którego we Francyi wykopany został, są daleko mniejsze.

Zwierz ten żyjący w połowie na lądzie i na wodzie, niejest drapieżnym wcale, owszem boi się nawet ludzi,

którzy go jedynie dla zysku zabijają, z wielkim narażeniem się: gdyż raz rozgniewany, raniony, rzuca się silnie, i jeśli mu się uda zębami pochwycić łódkę na której uciekają murzyni zarzuciwszy mu arkan, wtedy nie ma ratunku. Naturalnie że oni, jako dzieci natury umieją pływać; ależ zwierz ogromny i silny, w gniewie i bólu nie tylko na łódkę przewracając ją, wywiera wściekłość swoją. Brzydkie, niezręczne to zwierzę, lubo bez ładu obejść się nie może, najsilniejsze, najpewniejsze jest na wodzie. Krótkie jego nogi tak dalece iż dosyć obwisły brzuch prawie ziemi dotyka,—nie wielkie mu na lądzie oddać mogą usługi; powoli bardzo łązi niemi, i długiego potrzebuje czusu ażeby głód zaspokoił. Żywi się tylko roślinnymi pokarmami; postać ma podobną trochę do świni a razem trochę do konia; nogi ma cztero-palczaste i cztero-kopytkowe, ogon krótki, głowę wielką, zęby duże nader jasnej białości, daleko bardziej poszukiwane niż słoniowe, gdyż nie żółkną wcale. Nie tylko dla białych kości które drogo sprzedają, murzyni polują na hippopotama, bo tłuszcz z niego służy im za okrasę zamiast masła; mięso jedzą, a ze skóry jego także użytek robią.

Najłatwiej zdaje się byłoby tak pomału i niezręcznie chodzącą świnię, pochwycić w chwili kiedy na paszę wychodzi; tymczasem jest to prawie zupełnie niepodobnem i nigdy jęj wtenczas nie łapią, albowiem jakby przeczuwając niebezpieczeństwo, tylko nocą wychodzi na ląd, a słuch ma tak delikatny, iż w największej odległości, posłyszny nieprzyjaciela, i natychmiast do rzeki powraca. Skoro jest w wodzie z nadzwyczajną płynie szybkością; może także zanurzyć się zupełnie i dość długo pod wodą zostawać. Nie mogąc się żywić w samej wodzie nie znajduje się na wodach wielkie przestrzenie obejmujących jak np. w dużych jeziorach lub odnogach morskich; nie wielkie jeziora, rzeki, są mu najdogodniejsze, i tam murzyni wyprawę nań robią. Hippopotamy zwykle w niewielkich gromadach trzymają się pod wodą w miejscach które sobie upodobają: kwiczenie, które słycać z daleka i bulkotanie wody naprowadza murzynów na miejsce ich schronienia. Wtedy zręczni łowcy chwytają zwierze na arkan, jakto i dzikie konie w stepach łapać zwykli Europejczycy, wielka wszakże zachodzi różnica: konia w polu zręczny jeździec uchwyci zarzucając arkan na szyję, co zupełnie go nie rani: tutaj, ponieważ zwierz jest pod wodą, inny sposób wynaleźli; do arkanu czyli grubej liny przymocowują drąg gruby, silnym i ostrym żelaznym hakiem opatrzonej na końcu. Gdy się znajdują w miej-

scu ochronnym, hippopotam który nie spodziewając, się, nie słyszy nieprzyjaciela unoszonego po powierzchni wody na tratwie z trzciny zrobionej, nie porusza się z miejsca legowiska swego. Wtedy podnosząc drąg do góry, rzucają go czyli zapuszczają z całą siłą w wodę, w miejsce gdzie po kwiczeniu i poruszaniu się mocnem wody można być pewnym natrafienia zdobyczy. Ostry hak zaczepiają za grubą skórę zwierza, które czując się ranionem wpada we wściekłość, ukazując się na powierzchni, wyszczerza zęby, i znów chcąc się pozbyć haka, chowa się pod wodę. Odważni i silni murzyni dobywają wszystkich sił ażeby ciągnąć zwierzę, które coraz staje się słabsze, gdyż inni opatrzeni w dzidy, pospieszają na małym czółnie, aby zadawać rany dla osłabienia nieprzyjaciela. Tak siląc się, ciągną go do brzegu, ażeby mieć za co zaczepić i umocować linę; najlepiej służy im do tego drzewo. Koło pnia gdy okręcą linę, już są pewni swęj zdobyczy, sznur bowiem już im się wymknąć nie może, a zwierz coraz bardziej utratą krwi z ran zadanych dzidami osłabiony, nie czyni oporu, i tylko ciężarem swoim utrudnia ostateczne zwycięstwo.

Często murzyni środkowej Afryki robią wycieczki podobne; raz, że odważni, zręczni zdają się lubić niebezpieczne i trudne łowy, a nadto, że stanowi to wielką korzyść. Minął przecie rzec można na pochwałę ludzkości przesąd, przez niektórych uczonych nawet za prawdę głoszony, jakoby murzyn wydziedziczony był przez naturę od możności przyjęcia wyższej cywilizacji. W niektórych osadach angielskich, gdzie murzyni są udarowani wolnością, tak wysoko rozwinęła się ich inteligencja iż piszą po angielsku poezye, które w Anglii pochwały sobie zjednały. Zgoła nie brakuje między nimi ludzi w każdej gałęzi nauk wykształconych. To odkrycie pocieszające ludzkość, dopiero wiek nasz zdobył. Środkowa Afryka, jakkolwiek dotąd jeszcze nie dostatecznie znana, i tyle tylko wiadomą była dla Europy, o ile okrutni Portugalczycy ubiegając się za złotem napadali na jej brzegi, a gdy nie znaleźli złota, pierwsi powzięli, okropny, niegodny chrześcijan pomysł by z ludzi, z murzynów osądzonych przez nich za upośledzone od natury stworzenia, uczynić *produkt* zamienny zastępujący złoto, i rozpoczęli handel murzynami, bez którego dotąd imponując z swęj wyższości Anglija obejść się nie może. Jakby na zmazanie win poprzedników, dzisiejsi chrześcijanie, na wszystkie narażają się niebezpieczeństwa, na jakie z powodu klimatu i miejscami jeszcze dzikich mieszkańców natrafić

moga, niezmordowane czynią wycieczki, aby te nie-szczęśliwe, w ciemności żyjące ludy do chrześcijańskiego światła przypuścić. Przyznać trzeba że Arabowie, poczęści utorowali im drogę. Oni bowiem pierwsi, w zapale religijnym i podbóycznym wdarli się w środek Afryki, oni pierwsi zdołali pokonać straszne zapory jakie im skwar słońca i wznoszące się duszącego piasku tumany za każdym stawiali krokiem. Gdyby byli zapamiętali islamizmu propagatorowie, zamiast uderzać na Europę, ograniczyli się zdobyczami w Afryce, a raczej starali się tam a nie w Europie i nie w północnych stronach chrześcijańskiego już półwyspu, rozszerzać swoje zabory, byliby wielkie spełnili posłannictwo, bo pierwszy najtrudniejszy krok do cywilizacji, zniszczenie fetyszyzmu i bałwochwalstwa w całym półwyspie dokonany został. Smutno pomyśleć że dziki arab lubo także mieczem barbarzyńskie ludy oswajał z pierwszymi zasadami oświaty, to przecież nie zamieniał ludzi w zwierzęta, nie sprzedawał ich, jak okrutni portugalczyki.

Jakkolwiek nie wszędzie przyjęła się i utrzymała religija Machometa, wszędzie jednak apostołowie jęj ślady przejścia swego pozostawili. Napadnięci przez nich murzyni, po niejakiem czasie kruszyli jarzmo najezdniców, osłabionych rozdwojeniem sił, w czasie wojen z Europą, ale mimo to nie wracali już do pierwotnej dzikości. Rozkosz towarzyszy wygodzie życia, i właściwych każdemu człowiekowi pierwszych

potrzeb nie porzucały ich więcej. Narzucony siłą islamizm nie wszędzie przetrwał wieki: miejscami ślady tylko dawnych pozostały meczetów, a murzyni pozostawszy wiernymi swemu fetysyszemu, czczą rozmaite zwierzęta; mimo to jednak nie jedzą ludzkiego ciała, nawet żadnego surowego mięsa i rozmaite umieją rękodzielnie. Historycy mówią iż arabowie nazwali mieszkańców stron południowych kafami, co znaczy po arabsku *odszczepieńców*.

Twierdzić można iż w ogólności najdzikszy mieszkańcy półwyspu afrykańskiego, do których wcale była cywilizacja arabów nie doszła, nie żyją tak w stanie zwierzęcym jak piękniejsi rysami, kształtem ciała a nawet kolorem skóry, niektóre pokolenia Ameryki południowej. Zdaje się iż sąsiedztwem bliżsi z cywilizacją, że nie odgradzeni od niej nieprzebytymi lasami, rzekami, pochwycili choć pierwsze jęj początki. I tak, missyonarze przedzierający się do nich ze słowami Ewangelii, wszędzie spotykają już pewne społeczne ustawy, rządy. Tu możnawłactwo, owdzie rzeczpospolita z naczelnikami obieralnemi. Znajdują się także między niektórymi plemionami dzikich murzynów rządy ze starców złożone, którzy mają w rękach swoich zupełną władzę, czy to wysyłania poddanych swoich na wojenną wyprawę, czyli też rozsądzania pomiędzy niemi sporów, i karania przestępców. Spotkać także można rząd podobny do monarchii konstytucyjnej. Zgoła rozmaite rodzaje ustaw, rządów i zwyczajów.

## ORGANIZACYA WEWNĘTRZNA

### PCSIADŁOŚCI ANGIELSKICH W INDYACH.

Przedewszystkiem zastanowić się nam wypada, nad działaniami Kompanii, dla rozszerzenia oświaty, moralności i religii chrześcijańskiej w narodzie, zastarzałym od niepamiętnych czasów w grubej ciemności i zabobonach.

Zajęta wyłącznie handlowemi obrotami Kompanija tak zwana *indyjska*, zostawiała nietylko odłogiem dzieło cywilizacji, ale nawet poświęcała nie raz interes moralny podległych jęj ludów widokom

własnych korzyści. W ostatnich dopiero czasach, ulegając opinii publicznej i dzięki staraniom kilku szlachetnie myślących gubernatorów, zaczęła zwracać większą uwagę na kwestyję wychowania publicznego i moralności. Wprawdzie trudności jakie rozpowszechnienie oświaty i religii chrześcijańskiej w Indjach na każdym spotykało kroku, oraz wzgląd na to: że kompanija, złożona pierwsiastkowo z niewielkiej liczby handlowych negocyantów, zawładnąwszy

w krótkim przeciągu czasu obszernym krajem, a nie będąc dość silną do zupełnego utrwalenia nad nim swojej władzy, musiała bardzo ostrożnie postępować, aby przez obudzenie ku sobie niechęci nie utracić swoich zdobyczy,—zdają się niejako ją usprawiedliwiać; niemniej jednak system jej postępowania,—który z początkowej — koniecznością wywołanej tolerancji bałwochwalcstwa, przeszedł następnie w pewien rodzaj wyraźnej nad nim opieki i protekcji,—obudził wielu przeciwników.

Szczególniej powstała przeciwko takiej polityce kompanii, angielska partya tak nazwanych *świętych*, która ożywiona będąc duchem gorliwego prozelityzmu i nietolerancji, nie mogła bez oburzenia patrzeć na to, że kompanija nietylko tamowała działania katolickich misyonarzy i ewangelickich towarzystw biblijnych, ale nawet, dla zjednania sobie krajowców, dawała pieniężne zapomogi bramińskim i muzułmańskim szkołom i okazywała jawne uszanowanie dla bałwochwalskiej ich religii. W czasie bowiem indyjskich uroczystości oddział żołnierzy angielskich towarzyszył zwykle processyi braminów i bił salwy na cześć bóstw pogańskich. Pomimo jednak wielokrotnie wznawianych przez tę partyję wniosków w parlamencie, aby skłonić rząd Ost-Indyi do zakładania szkół i utrzymywania misyonarzy, dla rozpowszechnienia pomiędzy krajowcami oświaty i religii chrześcijańskiej, kompanija długi czas uporczywie trzymała się swojej polityki. Dopiero za przykładem prywatnego kalkuckiego towarzystwa, które w r. 1816 założyło pierwszą szkołę czyli kollegium, dla wykładu krajowcom języka angielskiego i innych europejskich nauk, kompanija, szczególniej za gubernatorstwa lord Bentinka, zaczęła zakładać szkoły, ściśle jednak przestrzegając, aby przy wykładzie nauk nie poruszano kwestyi religijnej.

Obecnie we wszystkich głównych miastach Prezydentur, przy machometkańskich i indyjskich kollegiach, urządzone są na wzór naszych gimnazyjów i liceów, szkoły, w których wykładają krajowcom europejskie nauki. Szkoły te jednak, dostępne będąc małej tylko liczbie ludzi bogatych, żyjących w stolicach, nie mogłyby wielkiego wywierać wpływu na oświatę krajowców, gdyby nie starania ewangelickich, towarzystw, które wspierane prywatnymi ofiarami zakładają oprócz wyższych i wzorowe szkoły elementarne, przez rząd kompanii zupełnie zaniebane. W założonych dotąd przez te towarzystwa 1099

szkołach elementarnych 74,000 uczniów pobiera nauki.

Tak więc można powiedzieć, że Indyje winne są swoją dotychczasową oświatę nie kompanii, ale prywatnym angielskim towarzystwom; bo jakkolwiek w ostatnich czasach, za gubernatorstwa lorda Dalhausi i kompanija zaczęła większą zwracać uwagę na początkowe ukształcenie krajowców, skutkiem czego nawet etat oświecenia publicznego podniosła do 600,000 rs. (w r. 1813 wynosił 50,000 rs), cóż jednak znaczy ów fundusz 600,000 rs. na 180,000,000 mieszkańców i przy ogólnym budżecie 150,000,000 rubli srebrem?

Co się tyczy rozszerzenia światła religii chrześcijańskiej w Indjach, to takowe, pomimo iż tam znajduje się 850 misyonarzy i 22 ewangelickich towarzystw biblijnych, mających do rozporządzenia 187000 f. s. rocznego dochodu, nader wolnym postępuje krokiem, gdyż dotąd liczba nawróconych krajowców nie przenosi 100,000. Przyczyn wszakże tego szukać należy nie w braku gorliwości religijnych misyj, ale w zastarzałej ciemnocie, zakorzenionych przesądach i zabobonach Indyan, które tylko stopniowo wpływem oświaty wypłenić się dadzą, do czego właśnie prócz zakładania szkół, towarzystwa religijne, jak to wyżej mówiliśmy, wielce się przyczyniają.

Wspomnieć tu jeszcze uważamy za stosowne o jednym bardzo ważnym żywiole cywilizacji przywiązanym niejako do angielskiego narodu i który mu wszędzie towarzyszy, to jest o wolności druku zaprowadzonej w Indjach w 1838 roku.

Liczba dzienników i pism peryodycznych, wydawanych w Kalkucie, Bombaj, Madras i innych większych miastach w angielskim i krajowym języku dochodzi obecnie do 80.

Prassa angielska w ogóle wywiera dobroczynny wpływ na stan Ost-Indyj, kontrolując niejako działania rządu Kompanii, wykazując nadużycia i proponując środki dla ich zapobieżenia.

Prassa krajowa indyjska także coraz bardziej się kształci i rozwija na wzór angielskiej i jest nadzieja, iż z czasem stanie się głównym organem europejskiej cywilizacji.

Przechodząc teraz do urządzeń Kompanii dla ustalenia wewnętrznego porządku i bezpieczeństwa w kraju wyznać należy, iż pod tym względem rezultaty jej zabiegów są bez porównania pomyślniejsze niż co do oświaty i religii.

Od niepamiętnych czasów istniał w Indjach barbarzyński zwyczaj zabijania nowonarodzonych dzieci

plei żeńskiej i straszny obrzęd *suttee*, to jest dobrowolnego palenia się wdów na stosie po śmierci mężów. Energiczne środki Kompanii zdołały w kilka lat położyć tamę tym barbarzyńskim obrzędom. Przykłady ich obecnie zdarzają się tylko u plemion, które skutkiem politycznych lub miejscowych warunków niedostępne są dla anglików.

Największą zaś zasługą Kompanii jest w oswo-bdzeniu krajowców od kilku religijnych sekt, jak *thugów*, *dattuercas*, *dakoitów*, i t. p., które zaślepione fanatyzmem, dopuszczały się najokropniejszych zbrodni.

Odsyłając czytelników naszych po szczegółowy opis tych sekt do nowego wydania dzieła Warrena o angielskich Indyach i do artykułu, drukowanego w poszytach naszego pisma dodamy tylko jeszcze kilka słów ekonomicznego stanu Indyj dotyczących, a mianowicie o ich produkcji, robotach publicznych, ruchu handlowym i stanie finansowym.

Natura niezmiernie szczerze obdarzyła Indyje, grunta ich odznaczają się szczególną żyznością; a jednak pod względem produkcji, Indye nie mogą się równać z najbiedniejszym nawet krajem Europy. Siły przyrody są obfite, ale zbywa na pracy i kapitale, któreby je mogły wyexploatować.

Początkowo Kompanija zajęta będąc wyłącznie obrotami handlowymi starała się tylko o jak największy odbyt swoich towarów. Na polepszenie bytu krajowców i powiększenie produkcji ziemi, kupcy jej i negocyjanci byli zupełnie obojętni. W ostatnich dopiero trzydziestu latach, gdy wojny dla rozszerzenia posiadłości przedsiębrane, pociągały za sobą wydatki, których podatki i kontrybucye zaspokoić nie mogły, Kompanija dla powiększenia dochodów, zwróciła uwagę na gospodarstwo wiejskie, a szczególnie na uprawę indigo, trzciny cukrowej, lnu, konopi i bawełny. Produkcja tej ostatniej tak wzrasta, że można się spodziewać, iż niezadługo Indyje będą mogły zaopatrywać tym materiałem wszystkie angielskie fabryki.

Co do robót publicznych, tych Kompanija dokonała i rozpoczęła już bardzo wiele i nader pożytecznych. Głównie zaś zajmowała się kopaniem rozległych kanałów, oraz budową dróg bitych i kolei żelaznych.

Z kanałów szczególnie zasługuje na uwagę kanał rzeki Gangesu, który wraz z licznymi rozpoczętymi już jego odnogami ma mieć 900 mil długości. Wykopanie do 1854 roku 525 mil tego kanału kosztowało 1,470,000 f. s.

Ważniejsze drogi bite są: 1) wielki trakt wojenny i handlowy (*great-trunk-road*) łączący Kalkuttę z Delhi, Lahor i Peschawar; 2) trakt łączący Kalkuttę z Bombaj i 3) trakt łączący Bombaj z Agra.

Drogi te nie są jeszcze zupełnie skończone, ogólna jednak długość już odkrytych wynosi 3159 mil i stanowi wydatek 2,166,000 f. s.

Budowa dróg żelaznych w Indyach oddawana bywa w entrepryzę prywatnym towarzystwom, z bezpłatnym ustąpieniem przez rząd gruntu pod drogę i zapewnieniem 5% procentu.

Dotąd cztery główne linije są rozpoczęte. Pierwsza, mająca łączyć Kalkuttę z Delhi, druga—Bombaj z Mirzapur, trzecia—Bombaj z Madras i czwarta—Madras z Kalkuttą.

Ogólna długość kolei, żelaznych wynosić ma 3194 mil. Średni koszt mili wynosi 10,000 f. s.

Zaprowadzenie żeglugi parowej na Gangesie, Indye i Irrawadi, oraz 4000 mil telegrafu elektrycznego również jest dziełem Kompanii.

Handel Ost-Indyj, od czasu zniesienia monopolu Kompanii wzrasta z każdym rokiem. Ogólna wartość handlowych obrotów w ostatnich 10 latach wynosi do 10,750,000 f. s.

Materiały surowe stanowią główny przedmiot handlu wywozowego, a wyroby fabryk i rękodzielnicze—handlu przywozowego.

„Historyja finansów Kompanii—mówi Valbesen—jest bezwątpienia nie tak świetną jak wojenna; deficyt w budżecie bywa często skutkiem najślawniejszych kampanij jej armii, któż jednak może powiedzieć że rezultaty nie odpowiadały ofiarom? Prawda, iż kilka niepomyślnych i bezkorzystnych wojen jak np. wojna z Birmanami w 1825—26, wyprawa na Afganistan w 1830 roku niepotrzebnie powiększyły długi Kompanii, lecz naprzeciw tej odwrotnej strony medalu, jakże wiele postawić można wojennych wypraw, które znacznie powiększyły dochody!”

Z drugiej znowu strony coroczny niedobór budżetu, da się także w pewnej części usprawiedliwić ogromnymi summami, które Kompanija obraca na roboty publiczne.

Więcej jak połowę ogólnego dochodu który na rok 1855 wynosił 22,147,347 f. s. stanowią podatki gruntowe.

Często zdarza się czytać powstawania na to, że anglo-indyjski rząd obciążając ludność krajową niesłychanymi podatkami i ciężarami gruntowymi, przyprowadza ludność rolniczą do nędzy. Tymcza-

sem bezstronny pogląd na stan terażniejszy i przeszły Ost-Indyj pokazuje całą niesłuszność tego zarzutu.

Podatki i ciężary gruntowe wprowadzie dotąd są dosyć wysokie, bez porównania jednak lżejsze niż te, które pobierali dawniej władcy krajowi. Prócz tego pobór ich odbywa się dziś sposobem administracyjnym, prawnie i proporcjonalnie, gdy tymczasem ptzed rządami Kompanii oddawany był przedsiębiorcom, którzy płacili skarbowi cały podatek z góry, a potem samowolnie go wybierając, dopuszczali się mnóstwa nadużyć, przeciwko którym nawet skarg zanosić nie było wolno.

Innemi źródłami dochodów są: monopol soli, monopol na opium (oba są w ręku rządu), cła, drobne dochody niestałe i haracz czyli danina, którą płacą Kompanii indyjscy władcy zostający pod jęj opieką.

Długi Kompanii wynoszą ogółem 60,000,000 funtów szterlingów. Podzielić je można na dwie główne kategorie: Do pierwszej należy kapitał zakładowy Towarzystwa 6,000,000 f. s. wynoszący, do drugiej, długi publiczne Kompanii, zaciągane na nadzwyczajne wydatki wojenne, czyniące razem 54000000 funtów szterlingów.

W roku 1834 kiedy monopol handlu Kompanii został zniesiony postanowiono, iż dywidenda od kapitału zakładowego 6,000,000 f. s. wypłacaną być ma akcyjonaryjuszom w stałej wysokości 10 1/2 % z ogólnych dochodów Indyj do roku 1871, poczem wszystkie akcje Kompanii będą przez rząd wykupione, licząc po 200 za 100. Na mocy więc tego postanowienia do budżetu Indyj wnoszoną jest stale summa 635,680 f. s. na wypłatę dywidend.

Procent od długów drugiej kategorii wynosi rocznie summe 2,291,897 f. s.

Razem więc długi Kompanii przyczyniają wydatku na 2,924,577 f. s. rocznie.

Wprowadzie długi te przewyższają nieledwie trzy razy ogólny roczny dochód, a procenta od nich sta-

nowią prawie siódmą część o gólnego rozchodu, stan ten jednak finansów Kompanii jest jeszcze dosyć zadawalniającym w porównaniu z wielu europejskimi państwami, a szczególnie z metropoliją. Budżet wydatków Wielkiej Brytanii oznaczony jest na 60,000,000 f. s. długi zaś wynoszą 780,000,000 f. s. to jest trzynaście razy więcej.

Procenta od tego długu stanowią (prawie połowę budżetu dochodów; dochodzą bowiem do 28,000,000 funtów szterlingów<sup>1)</sup>.

Kończąc na tem przegląd wewnętrzznego stanu angielskich Indyj przed powstaniem Sypajów, dla wyjaśnienia, z jakiego stanowiska autor, — z którego głównie czerpaliśmy, — zapatrywał się na opisywany przedmiot, przytaczamy dosłownie jeden ustęp tegoż:

„Nigdy przedtem — powiada Valbesen — Indye nie były pod znaczniejszym, oświeceńszym, sprawiedliwszym i lepszym rządem jak angielski. Dla tego też, będąc wielbicielami wszystkiego co jest wzniósłem, wielkiem i przyjaciółmi liberalnego i rozumnego postępu, zawczasu objawiamy zdanie, że gdyby jakie niebezpieczeństwo zagrażało budowie władzy anglików w Indyjach, gdyby jaki Czerwonoskóry Spartak podniósł przeciwko anglikom chorągiew powstania, to cała nasza sympatya będzie na stronie cywilizacyi przeciwko barbarzyństwu.”

My, świadkowie ostatnich wypadków, wbrew zdaniu Valbesena, od pewnego już czasu mogliśmy się przekonać, że jakkolwiek barbarzyństwo z nadzwyczajną powstało było siłą przeciwko cywilizacyi, ta ostatnia jednak nie tylko nie może się pochlubić ogólną sympatją, ale nawet wielu ma przeciwników, co dzień nowe czyniących zarzuty anglo-indyjskiemu rządowi.

<sup>1)</sup> Wyrachowanie to podaje angielski dziennik „Economist.”

## STAN OBECNY SEKTY KWAKRÓW.

Codziennie prawie jesteśmy świadkami dziwnych wypadków które z niesłychaną szybkością następując jedna po drugiej, nie zostawiają prawie czasu do zastanowienia się nad niemi i naznaczenia im właściwego miejsca w szeregu zdarzeń z jakich składa się historia ludzkości. Między takimi jednak na uwagę zasługują rozmaite sekty religijne, ich zjawienie się, wzrost i upadek: Zauważyć to możemy

w dziejach, że epoki : ~~zawzięcia~~ <sup>zwątpienia</sup>, niewiary w zasady przyjęte i uświęcone., odstąpienie od prostoty wiary, jedném słowem e poki rozkładu społecznego tak w życiu religijném jak polityczném, były najobfitszemi w zjawiska tego rodzaju. Dla rozjaśnienia tedy sądu naszego o tém czego jesteśmy świadkami, rzućmy wsteczne spojrzenie na wieki ubiegłe, dzieje narodu. Po śmierci Henryka VIII, Anglia w krótkim przeciągu lat kilkunastu, była widownią najzupełniejszych przewrotów w dziedzinie umysłów i sumień. Obalenie religii katolickiej, przywrócenie jej z wstąpieniem Maryi na tron i znowu ostateczne stłumienie oniej protestantyzmem, zachwiało wiarę w stałe istnienie jakiegokolwiek wyznania; obok żelaznej woli i interessu politycznej zwierzchności, zasady bytu moralnego wstrząśnione tém samém, podkopały i rozwolniły obyczaje—wszystko dążyło do rozprzężenia. Umysły słabe i podrzędne charaktery usprawiedliwiały się przykładem z góry i zasłaniały się przed sądem własnego sumienia, potrzebą—i zaszczycem naśladownictwa wyższych, przed których uginali się władzą. Ale dusze tęskniące za wydartą im wiarą—a zbyt słabe, aby na jej zachwianych w opinije, lecz stałych przez się oprzeć się i utrzymać zasadach, w ustawném oczekiwaniu lepszych wyglądały natchnień.

Oto właśnie położenie i usposobienie jedyne, do zaentuzjazmowania się myślą które w postaci nowój, czystej wiary, nieomieszkuje nigdy prawie, w takich okolicznościach, objawić się ludziom w postaci wierzącego w natchnienie swoje zapaleńca. Takim był dla Anglii Jerzy Fox założyciel sekty Kwaków oznajmujący posłannictwo swoje w r. 1647. On to nauczał że każdy człowiek bezpośrednio wejść może w stosunek z Bogiem; że ta władza jest udziałem właściwym każdemu i że tym sposobem można zapewnić sobie zbawienie którego środków, żaden z uprzywilejowanych do tej nauki urzędów, wskazać mu nie umiał, sam więc szukać jej postanowił i znalazł w odkryciu tego bezpośredniego stosunku z Bogiem. Nie będziemy powtarzali tutaj aż nadto znanych już światu zasad tej sekty. Nieuznając żadnej różnicy stanów, według swój wiary uważając Boga za wspólnego Ojca wszystkich a zatem równość zupełną ludzi jako braci—odmawiali wszelkich tytułów i oznak uszanowania najwyższym kraju urzędnikom, a nawet panującym, nie odkrywając przed nikim głowy—odmawiali przysięgi, a nieuznając potrzeby żadnej duchownej hierarchii nie chcieli opłacać dziesięcin, co ich na ostre kary i prześladowania naraziło. To

tęż dało początek dość licznemu wychodztwu które nakoniec skoncentrował około siebie Wilhelm Penn, gorliwy Kwaker, gdy sprowadził swych współwyznawców do Ameryki nad brzegi Delawary, do kraju nadanego mu przez rząd angielski jako wypłatę należną ojcu jego admirałowi, za dług u tegoż zaciągnięty. W tym to kraju, nazwanym od niego Pensylwanią, pod błogim wpływem opieki swego dobroczyńcy wzrastała sekta i mnożyła się, dochodząc do 150,000 ludności. Ten ich wzrost po różnych krajach starego świata i w Ameryce do początku VIII wieku, odtąd stopniowo zmniejszać się zaczął—i zmniejsza się coraz widoczniej, stosunkowo do innych ludności. W Anglii niema ich więcej, razem ze Szkocją i X. Wallii jak 20,000, a w Stanach Zjednoczonych Ameryki, liczba *przyjaciół*, tak nazywają się także kwakry, codziennie prawie zmniejsza się. Ten wypadek, zastraszający dla sekty, przejął widać przerażeniem jej członków, gdyż przed parą laty ogłoszonym został *Anonyma* Konkurs—na napisanie rozbioru kwestyj i wyjaśnienie „jakie są przyczyny widocznie objawiających się znaków rozbitcia się stowarzyszenia *Przyjaciół*.” Tym rozbiorem i my zajmiemy się po krótkce, gdyż właśnie fakt ten wielce znaczącym nam się zdaje.

Środkiem uznanym powszechnie za najstosowniejszy i najsilniejszy do rozkzewienia i wzrostu wszelkiej myśli, jest niewątpliwie: Słowo, nauczanie. Tęm to rozszerza się wszelka nauka, prawda, a na nieszczęście i błąd wielki. Takim też sposobem wzrosło stowarzyszenie „*Przyjaciół*” czyli *Kwaków*, nazwy, pochodzącej od wyrazu znaczącego w języku angielskim drzenie, a odpowiedniej im z powodu ruchów ciała i wstrząśnień konwulsyjnych jakim poddawali się przy modlitwie, lub natchnieniach prorockich, sfanatyzmowani ludzie, tej sekty. Przejęci gorliwością o wzrost jej i wiarę w prawdę zasad jakie ogłaszali, przemawiając głosem przekonania do sumień pozostawionych samym sobie, łatwo zgromadzili około siebie rozbitków zachwianej wiary, lgnących łatwo do każdej nowości. Ale wkrótce zwolnił w opowiadaczach tej wiary duch prozelityzmu i liczba ich zmniejszała się nieustannie, ponieważ uznano wyższość *milczenia* nad słowem. W zebraniach swych na modlitwę, zwróceni wewnątrz w milczeniu, oczekiwali natchnienia do zabrania głosu i prorokowania. Gdy każdy oczekiwał na próżno—nie tracili nadziei że na zebraniu następném prorok się objawi—ale najczęściej oczekiwano napróżno. Co jednakże nie osłabiało ducha sektarzy.

Z początku trzymając się zewnątrz wszelkiego administracyjnego lub politycznego udziału w sprawach kraju—jako nie uznający żadnej władzy i nie składający przysięgi—z czasem, niektórzy ich członkowie przyłożyli się skutecznie do przeprowadzenia wielu reform — przez wpływ na opinie wywierany, przez takich członków jak np. Bright. Nareszcie i urzędy zajmować zaczęli — ustępując od pierwotnej zasady—a tó samém zadając cios podstawie sekty. Małżeństwa powinny były być zawierane pomiędzy współwyznawcami i te tylko za prawne uważane były—wykroczenia przeciwko tym przepisom, jak i wszelkie inne, wykluczeniem z sekty karaniemi były, a co jak łatwo przewidzieć, zmniejszało z każdą chwilą prawie liczbę wyznawców i przyspieszało upadek dzisiaj zachwianej już zupełnie w swych zasadach sekcie. Brak kapłaństwa i obrzędów umorzył religijne pojęcia. Zasady Foxa zmieniały się dowolnie z czasem. Prace, pomoc materyalna i opieka Penna, syna vice-admirała Anglii w łaskach u dworu będącego, właściciela całej prowincyi w Ameryce w długu skarbowym od rządu angielskiego nadanej, gdzie tak przez sprowadzanych okrętami kwaków, nauka ich upowszechnioną i prawami zabezpieczoną była, mimo tych wszystkich tak rzadkich do spotkania korzyści jakby na utrwalenie téj nauki zesłanych, nie uniknęła zagłady, ta tak w Europie i nowym świecie rozpostarta sekta mimo wszelkich środków użytych ku temu, owego stowarzyszenia, założonego z nadzieją wiecznej trwałości i wzrostu, a dziś niknącego już z powierzchni świata.

Nim zakończymy tę pobieżnie skreśloną wiadomość o stanie dzisiejszem sekty kwaków, wypadam wspomnieć o szczegółach z życia jój założyciela. Grzegorz Fox ubogi syn fabrykanta, urodził się w księztwie Leicester r. 1624. Lubo szewckiemu poświęcony rzemiosłu, z natury przy siedzącej pracy swojej oddawał się ciągłemu czytaniu biblii, które tak gorąco z natury wyobraźnię jego zapaliło, iż w 17tym roku życia swego uznał się natchnionym. Oblekwszy się w skórzane odzienie puścił się w podróż po kraju chodząc od wioski do wioski, i zachęcając, aby szli za nauką jego powołanego do oczyszczenia wiary Chrystusowej. Obdarzony wielką pamięcią, młody zapaleniec ciągle mówił językiem pisma świętego, przytaczając, przystosowując różne wyjątki z niego na potępienie praw krajowych i duchowieństwa, na które z wielką zapalczywością powstawał. Ówczesne położenie kraju jakieśmy to wyżej wykazali wpłynęło nie szybkie i dość rozległe przy-

jęcie się się nowych zasad fanatycznego sektarza, któren ani prześladowaniem, ani więzieniem nie dał się odsadzić od dzieła, które mu się prawdziwie dziełem Bożem wydawało. Nie tylko tedy w Leicester Nottengham, Derbi, z kąd najbogatszy i najrychlejszy zebrał plon młody nowator, a ci w całej Anglii, wielką liczbę prozelitów znalazł w krótkim czasie. Tak zupełnie oddany swemu przedmiotowi Fox rozwijał coraz bogatszą w tekście pisma pamięć i wymowę pełną zapału i odwagi, a jeśli nie pociągał to zadziwiał wszystkich. Powołany przed sąd w Derbi, nie uląkł się sędziów, przeciwnie straszył ich, a gdy wielkim głosem wołać począł podniosłszy drżące ręce do góry „sędziowie *drżycie* przed Panem, najwyższym sędzią naszym” jeden z nich zawołał: A cóż to za *drżący* (kwakr) człowiek — i odtąd ponieważ i prozelici jego sami zaspali czy to w modlitwie czy w nauczaniu unosili się całym ciałem wstrząsając ustaliło się to nazwisko.

Gdy Fox zamkniętym został w więzieniu Leicester, położenie jego obudziło zajęcie w osobach do rozmaitych warstw społeczeństwa należących. Między innemi pani Fel wdowa po jednym z pierwszych urzędników téj prowincyi, przejęta została czią dla nauki a razem i dla osoby nauczyciela. Fox poślubił ją, co raz wiele wiele pomogło do dalszej kariery do zawierania stosunków z możniejszymi, a ciągle burzącemi się przeciw nowemu kościołowi anglikańskiemu rodakami. Wymknąwszy się z więzienia, udał się z żoną do Ameryki, gdzie poprzedził Penu na lat 20, gdzie także miał powodzenie, co wprowadziło w taką pewność iż wkrótce świat cały do jego nauki przystanie, iż jedynie niewiadomości innych części świata i innych krajów przypisywał trwanie w innéj błędnej podług siebie wierze, a chcąc przyjść w pomoc, nie mogąc osobą swoją przynajmniej pismem chciał ich oświecić o nauce swojej, i po rozpisywał bilety do wszystkich panujących mniej więcej panujących. Wróciwszy do Anglii nie doznał już żadnego prześladowania, sekta bowiem jego już wtedy mocniejszymi nadto rozgałęzioną była. Oddawał się więc swéj pracy bez przeszkody, a mówiąc iż ta usilność przyspieszyła skon jego, umarł bowiem jak na człowieka skromne życie prowadzącego zbyt wczesnie gdyż zaledwie 56 lat liczył. Na kilka lat przed śmiercią napisał pamiętniki swoje, a raczej szczegóły tyczące się jego życia posłannictwa swego, lecz testamentem zabronił, ażeby tak książka kiedykolwiek drukowaną została.

Przyznać należy iż Fox, któremu warunki w ja-





SPIEWAKOWI KALINY RODACY



kich się rozwijał umysł jego, dopomagały wiele; umiał się przejąć duchem swego narodu, umiał połączyć organizację religijną z układem towarzystwa, z zastosowaniem do jego wyznania i potrzeb. Przy wskazanym popędzie do postępu moralnego i pobożności, silnie on podtrzymywał część materialną stowarzyszeniami wzajemnej pomocy i wsparcia biednych, co pociągało nawet niewiernych, równie jak tych co chcieli uniknąć opłat dla duchowieństwa kościoła anglikańskiego, od czego kwakrowie uwolnili się; nadto karnością stowarzyszenia zabezpieczyli się, w czujnej pieczy mając wszelkie, przeciwko tymże uchybienia. Wiele też reform korzystnych lub czysto materialnych korzyści, wpływ ich, do parlamentu wprowadził.

Zdaje się iż dzisiejsze rozpadnięcie się sekty tej w Anglii głównie przypisać można przyczynie, która zrazu zdawała się trwałość jej zapewniać: przyczyną zaś była wziętość i rozpowszechnienie zbyt czyste. Zakon tak rozległy, bez przewodzców, bez stróżów, nie mógł się w pierwotnej utrzymać czystości. *Przyjaciel*, co to więcej pozwolił sobie wprowadzać odmian koniecznościami jak się zdawało wywoływanych, ów Pen, tak silny potentat sekty, przecież podkopał jej zasady wprowadzając ją na dwór, pomiędzy najmożliwszych, gdzie ona stawała się nie raz, dogadzającą widokom osobistym i materialnym, spreżyną. Był on nawet powołany przed sąd Braci i zaskarżony za odstępstwo w przyjęciu panującej religii, z powodu wiernych usług oddawanych po śmierci Karola II, Jakóbowi, którego lubiąc bardzo ojca jego, starego wice-admirała, i na syna przychylności przełał. Pen, nadto położył zasług w towarzystwie *Przyjaciół* aby tłumaczenie jego nie zostało przyjęte,

został więc niewinniony z zarzutów jakie ściągnął na siebie ciąglem na dworze Jakóba przebywaniem; a za panowania Wilhelma odsunął się zupełnie od dworu ażeby uniknąć nowych posądzeń. Jednakże odtąd co raz częściej spotkać można było pomiędzy dygnitarzami kwakrów, którzy pomimo że w kapeluszach do władców swoich przemawiali, nie mniej gorliwie myśleli o podniesieniu przemysłu, o oszczędzeniu funduszy swoich, nie dając z nich na potrzeby czy to katolickiego w Irlandyi, czy anglikańskiego kościoła. W początkowych zasadach Foxa, nie wolno było ani do wojskowych, ani do cywilnych wchodzić urzędów, zgoła niczem odróżniać się od braci, i pod żadnym warunkiem nie przyjmować obowiązków przeciwnych zasadom sekty. Zupełny brak obrządków, brak form, czyli dotykającego rzecz można objawu myśli i uczucia, osłabił zapał religijny. Zgoła ta szybko rosnąca w górę budowla, bez trwałych posad, zaczęła się walić zwolna, i dziś już w Anglii rzadko spotkać oderwane od niej szczątki: w Ameryce tylko jako posiadającej odpowiednie warunki do podsycania wszelkiego rodzaju sekt, w większej ilości, znajdują się stowarzyszenia przyjaciele, lubo także nie podobni do tej silnej, spreżystej korporacji od początkowych założycieli utrzymywanej. Zgoła, patrząc na dzisiejsze skarłowaciałe, rozpadające się coraz bardziej, a niegdyś tak szybko, z taką chwałą i rozgłosem wzrastające towarzystwo, zawołać można: „Sic transit gloria mundi.” Ostrzegający ten przykład, daj Boże ażeby był nauczającym, jaki jest los religij tworzących się zewnątrz kościoła. Czy pomyślą o tém np. Mormony, dziś szeroko rozsiadłe i kwitnące w Ameryce, że kiedyś tenże los i ich czeka? Z. K.

## IGNACY KOMOROWSKI MUZYK.

(Z MIEDZIORYTEM NAGROBKU.)

Ś. P. Adolf Dytrych (Dietrich) jedyny sztycharz Warszawski, który, chociaż nazwisko miał niemieckie nie umiał dobrze po niemiecku, bo urodził się u nas, i nasz kraj za swoje uważał ojczyznę, został przed skonem ostatnią pracą zaczęta, wystawu-

jącą pomnik ś. p. Ignacego Komorowskiego. Nie wiedział chory artysta, że na tę samą niemoc piersiową wkrótce umrze i połączy się duchem, rychlej niż myślał, z cieniami narodowego muzyka naszego. Brat zgasłego sztycharza Maurycy Dietrich, który

objął po nim zakład, wykończył ów miedzioryt. Tę rycinę dajemy czytelnikom Księgi Świata z krótkim życiorysem zawczasie zgasłego muzyka.

Ś. p. Ignacy Komorowski urodzony 13 stycznia 1824 roku w Warszawie, zakończył w niej życie 13 listopada w nocy 1857 roku. Był synem urzędnika przy pałacu Skierniewickim, a bratem znanego artysty dramatycznego Józefa, który w krótkim czasie po nim umarł (22 marca 1858 r.).

Buławowski uczył go grać na skrzypcach, Szanior na fortepianie, a Szabliński na wiolonczelli. Uczęszczając od roku 1838 na chór w kościele ks. Pijarów, przywykał od dzieciństwa w gronie wybranych lubowników pod sterem ś. p. Krogulskiego do muzyki wokalne. Takim sposobem kształcił się wszechstronnie. Ku udoskonaleniu umysłu wielce się przykładła zabrana od pierwszej czującej młodości przyjaźń z poetą Teofilem Lenartowiczem, który do wszystkich wybrańszych towarzystw Warszawskich go wprowadzał.

Zmuszony pracować na kęs chleba powszedniego, przyjął w roku 1848 nauczycielstwo prywatne w Kujawach, a we dwa lata potem posadę wiolonczellisty w orkiestrze Wielkiego Teatru. Choć ciąż to miejsce z powodu choroby w parę lat opuścił, jednakże w 1853 roku znowu przyjąć musiał ten uciążliwy zawód, bo z samych piosenek drukowanych u tutejszych przedsiębiorców muzykalij, utrzymać się nie mógł. Choroba grożąca utratą życia z jednej strony wstrzymywała—potrzeba, ta gwałtowna pani, z drugiej nagliła strony. Poszedł więc za głosem konieczności.

Trzeba tu oddać sprawiedliwość szlachetnym uczuciom naszej powszechności polskiej, która, jak zakupieniem rychłem przedpłaty na jego „Śpiewy polskie” pomogła mu znacznie do wyjazdu do Włoch dla pokrzepienia sił upadających i zaradzenia się lekarzy w Paryżu i wodach emskich; —tak również ochoczo danym groszem wdowim na uczczenie popiołów jego, wzniosła ten piękny pomnik, wystawiony na Cmentarzu powązkowskim, według pomysłu i wykonania rzeźbiarza Święckiego. Grobowiec tu wystawiony, poświęcono 30 lipca 1859 roku.

Chłopie wiejskie trzymające w jednej ręce czapkę i fujarkę, składa drugą wieniec na lirę, stosowne godło ś. p. Ignacego, złożone na polnym kamieniu.

Na pierwotnym odlewie pomnika, którego model znajdował się aż do obecnej chwili na Wystawie krajowej sztuk pięknych w Warszawie miało być

wyryto na kamieniu „Ignacemu Komorowskiemu 1858 r.” Później zmieniono projekt, i położono taki napis:

## SPIEWAKOWI KALINY

### Ziomkowie.

Te wyrazy zastosowane są do najpopularniejszej nuty ś. p. Komorowskiego, wyśpiewanej do słów Teofila Lenartowicza „Kaliny” liczącej kilka wydań. Karasowski, który po nim objął piastowanie wiolonczelli, tak się wyraził o tej pieśni „że gdyby I. K. nic więcej nad *Kalinę* nie utworzył, stanąłby zawsze wysoko w rzędzie prawdziwie wyższém natchnieniem namaszczonej kompozytorów.” Wszystkie pisma polskie bezwarunkowemi w ogóle brzmiały pochwałami na cześć zawczasie zgasłego artysty narodowego. Jeden tylko „Ruch muzyczny” nieco poważniej tę rzecz traktował, i z tytułu licznych składek na pomnik ś. p. Komorowskiego, przypomniał powszechności zasługi i grobowiec dojrzałego już mistrza Kurpińskiego <sup>1)</sup>.

Najwięcej pisał muzyk do poezyj przyjaciela swego Lenartowicza, a mianowicie: 1) Galary.—2) Kalina 1845 i 1848 r.—3) Héj do tańca dziewczuchy! (mazur).—4) Anioł i Pacholę.—5) Hymn na cześć Gutenberga (jeden z najlepszych utworów dotąd nie wydany).—6) Tęsknota dziewczyny 1846 litogr.—7) Dwie polki-kujawianki poświęcone p. Gliszczyńskiej 1850 r.—8) Do Wisły.—9) Dziesięć pieśni polskich, między którymi znawcy uważają za lepsze: „Pieśń z wieży”—„Serce! serce skąd-to bicie?”—„Ukrainiec” i t. d.—10) Kujawiak do słów J. K. Gregorowicza wydany u Friedleina w Warszawie.—11) Polonez do poezyj Wincentego Pola: „Chociaż to życie idzie po grudzie.”—12) Powiśle (wiersz Karola Kucza).

Dary od Boga dane, nie uprawiane pracą, na którą człowiek jest skazany, zostają najczęściej w niemowlęctwie. Komorowski bez zaprzeczenia miał wysoki talent z natury, ale sztuką z początku nisko wspierany. I nic dziwnego! Biedny, musiał się starać o dawanie lekcji muzyki drugim, wtedy właśnie, kiedy jeszcze potrzebował nauki i pracy sam nad sobą. Dla tego widzimy w najpierwszych jego utworach, wprost z serca płynących, brak techniki i nieznaną teorię muzyki. Kontrapunktację i general-bass, nie wszyscy u nas znają kompozytorowie: skąd-że je miał posiadać zaczynający za ledwo smutny swój zawód ś. p. Ignacy?

<sup>1)</sup> Patrz Księgę Świata z roku 1860, T. I.

Wzięty w salonach, w których sam nucił swe piękne śpiewy, tracił nieraz czas napróżno, czas ów drogi, który powinien był raczej obrócić na wyższe doskonalenie się w ukochanym przez się zawodzie. Salony nie wsparły wątłych jego sił i materjalnych i umysłowych, a chwile przygodne do nauki kompozycji, uleciały bezpowrotnie.

Zapóźno wziął się do korzystania z wykładu zasad wyższej harmonii, udzielanego mu przez organistrza Warszawskiego pana An. Frejera. Jednakże od tego czasu napisane kompozycje, noszą już na sobie cechę daleko większej poprawności pod względem techniki. Gdyby mu siły żywotne pozwoliły, niezawodniebyśmy odtąd mieli znakomitego twórcę pieśni narodowych, do których serce jego tak rzewnie przypadało. Wszystkie znakomitszych poetów słowa poszłyby w obieg powszechny, spopularyzowałyby się nutą ukochanego śpiewaka, tak przypadającą do smaku wszystkim rodakom, być może dla tego

właśnie, iż nie była zbyt wyuczona i wymuszonością nacechowana, lecz prosta i naturalna.

Dziś jeszcze, na wielu koncertach publicznych, słyszymy nieraz miłe piosnki Komorowskiego, a nie masz prawie domu polskiego, gdzieby młodzież nie nuciła jego *Kaliny*. Gdyby dłużej pożył, niezawodnieby stać się mógł najpopularniejszym śpiewakiem naszym.

W latach 1856 i 1857 bawiąc w Rzymie, Florencji i Paryżu, niezawodnieby mógł się wydoskonalić w muzyce, ale choroba piersiowa tak rychło się rozwijała, iż lekarze nie pozwolili mu ani śpiewać, ani pisać kompozycji. Nudził się więc i pragnął jak najrychlejszego powrotu do kraju, aby przynajmniej umrzeć na rodzinnej ziemi. Snać przeczuwał, że rodacy go kochają, że uczcić go jaknajstosowniej i najserdeczniej pośpieszą!

Wartoby dziś ogłosić pośmiertne wydanie wszystkich jego utworów, w jedną zgromadzonych wiązkę

## MŁODY POETA HISZPAŃSKI,

### GONZALES DE TEJADA.

Jakkolwiek piśmiennictwo hiszpańskie jest mało znane, mianowicie u nas, wiadomo jednak, jaką sławę zjednał sobie znany powszechnie poeta a razem powieścio-pisarz Michał Cerwantes; zdaje się iż duch jego raz o władnąwszy Parnas hiszpański, i dotąd panuje nad nim. Poeci chcący mieć więźność nastrajają swe lutnie na ton żartobliwy, satyryczny, prototypu swego.

Nie pierwszy to raz dziwi nas sprzeczność jaką się spotyka między naturą, usposobieniem a upodobaniem czy to pojedynczych ludzi czy też narodów. Hiszpanie poważni, biorący życie na serio, jak to mówią, przytem namiętni, powinni by jakby się zdawało, smakować, w literaturze również poważnej, w utworach heroicznych pełnych uczuć; tymczasem jak sędzić wypada nam imożna po dziełach, największą mających więźność, najulubieńszym rodzajem dla nich bywa lekka, dowcipna satyra lub anakreontyzm. To też Cerwantes był najwięcej uwielbianym, lubo, jak zwykle staje się, sława nie zabezpieczyła go od głodu. Przypisać to raczej

należy nieprzyjaciołom możliwym, jakich sobie z powodu satyr narobił, niż nieocenieniu ziomków, którzy rozrywali sobie jego utwory. Wkrótce po nim, równie w kraju uwielbiany, lubo nie tak znany obcym jak autor Don Qiszota, zajaśniał Quevedo de Villegas, również prześladowany jak poprzednik za uszczypliwe satyry swoje. Biedny poeta sławę swoją kupił za wolność;—długo bowiem był uwięziony i dopiero śmierć ministra, głównego sprawcy nieszczęść, oswobodziła go z niewoli. Za to ziomkowie dotąd się nad dziełami jego unoszą, a dzisiejszy poeta najulubieńszy, przezwanym został wnukiem genialnego Franciszka Quevedo.

Młody Don Jose Gonzales de Tejada zaledwie lat dwadzieścia liczący, powszechnie w Madrycie obudza zajęcie, nietylko w salonach, ale i między uczonemi.

„Któżby się domyślił” (mówi o nim jeden z wielbicieli, członek akademii madryckiej), któżby się spodziewał patrząc na młodego poetę, że on jest autorem satyr tak delikatnych, lekkich, odznaczających

się taką oryginalnością i komicznością. Jego pełna powagi postać, twarz łagodnością tchnąca, uśmiech bez najmniejszej goryczy, pokój rozlany w całej osobie, nie zapowiadają satyryka. Syn najlepszy, cały oddany na usługi ojcu, nie myśląc o swoich rozrywkach, prowadzi co dzień na przechadzkę wiekiem pochylonego starca, w miejsca gdzie sądzi, że powietrze najświeższe dla niego: w każdym stosunku miły, szlachetny, skromny. Naprózno by kto szukał w nim zwykłych uchybień młodzieży, nieporządnie życia używających, jako konieczności przez którą każdy człowiek przejść musi. On przeciwnie, odznacza się czystością obyczajów, wzorowem obejściem się w towarzystwie, gdzie nigdy nie podnosi głosu na wyśmianie nikogo, na powtarzanie krzywdzących cudzą sławę opowiadań.

„Istotnie! rzadko spotkać podobnego jemu satyryka, mówi pan Lataur, który go w tych czasach poznał będąc w Madrycie. „Chcąc napadać, wyzywać innych, trzeba być samemu niezwalczonym jak Gonzales de Tejada; a chcąc wypowiedzieć wojnę wszystkim występkom, najroztropniej jest posiadać wszystkie cnoty.” Zgoła czytając wszystko co piszą o młodym poecie, o jego pięknej, pełnej szlachetnych uczuć duszy, o jego towarzyskich cnotach, o cichości, łagodności charakteru i t. p. nie można wyjść z podziwienia, jakim sposobem satyra, owoc dojrzałych, pełnych doświadczeń i znajomości świata, umysłów, znalazła przystęp do tak młodej, nie zamąconej żadnym brudem życia, wyobraźni.

Nie możemy sobie wytłumaczyć tej sprzeczności inaczej jak narodowym smakiem do podobnego rodzaju poezji, jak wczytaniem się w mistrzów tego rodzaju. Ażeby dać poznać, choć za pomocą małej próbki, talent tak uwielbiany przez rodaków jego, przytaczamy tu jedną z jego krótkich poezji, która bezwątpienia cały wdzięk swój w tłumaczeniu trać musi.

### *Miłość Moja.*

„Fotografie! wydaj mi za pomocą swego tak wiernego narzędzia tę, która mi się podoba, taką jaką sobie wyobrażam.

„Twarz jój mniejsza niech będzie według fantazji twojej, włosy ciemne lub blond, wszystko mi to jedno.

„Ale niech błyszczące kamienie, dodają blasku jój splotom, i niech dwa złote światła kołyszą się u jój uszu.

„Szyja jój, niech będzie ciemną lub alabastrową, lecz dla skromności pokryj ją perłami i szafirami.

„Niech najpiękniejsza patrzy z taką zazdrością na biust jój, jak ja patrzę na tę drogą koronkę, która go pokrywa.

„Okryj najdroższą materją jój kształtną, drobną kibić, wszak droga oprawa, powiększa wartość księgi.

„Zdaje mi się słyszeć szelest wspaniałej jej sukni, zwiastuje mi ona serce *bardzo bogate!*

„A jeśli ją sobie wystawię rozsiadłą w szerokim powozie, jakież to zbytek w liberyi, w zaprzęgu który ją ciągnie!

„Szczęśliwy! kto obok niej unoszony na pięknym rumaku, lub siedzący przy niej zawoła, paląc cygaro: „Wszystko co mnie tu otacza, do mnie należy!”

„Ach, odmaluj mi ją czy to na balu, czy na Mszy, czy na przechadzce, ale zawsze ustrojoną, zawsze otoczoną *zbytkowemi* powabami.

„Lecz niestety! największego jój wdzięku odmalować nie zdołasz, a tym są talary ojca; to, czego jedynie pożądam.”

W Hiszpanii rozwinęła się poezja i w ogólności literatura, w czasach gorącego chrześcijaństwa; zdaje się więc iż Muza ich nie dość się naśpiewała o bożkach Olimpu, iż ten rodzaj nie doszedł przesyty i nie był upowszechniony: dla tego dziś jeszcze bez narażenia się na śmieszność, na posądzenie, o zły smak, o zastarzały klasycyzm, używają go z powszechnem zadowoleniem, jak to dowodzi chwalona w Madrycie poezja, gdzie Wenus gra tak wielką rolę wraz ze swym starym Wulkanem. Jest-to poczęści naśladowanie stariej bajki, tak dowcipnej w swoim czasie, która opowiada jak w Lemnos pod okiem Wenerzy, Wulkan zajęty był kuciem strzał dla małego bożka miłości; jak nadszedł na to Mars, a figlarny bożek najpierw na nim sprobował czy strzały są ostre, i przebił jedną z nich serce bożka wojny. Dziśiejszy poeta zupełnie inny daje obrót tej rzeczy, nie można więc nazwać wiernem naśladowaniem bajki, tak żywo na płótnie Albana przedstawionej, nie mniej jednak sprowadza wszystkie osoby już nie do Lemnos, ani na Olimp, ale dla małej odmiany sprowadza ich na Prado.

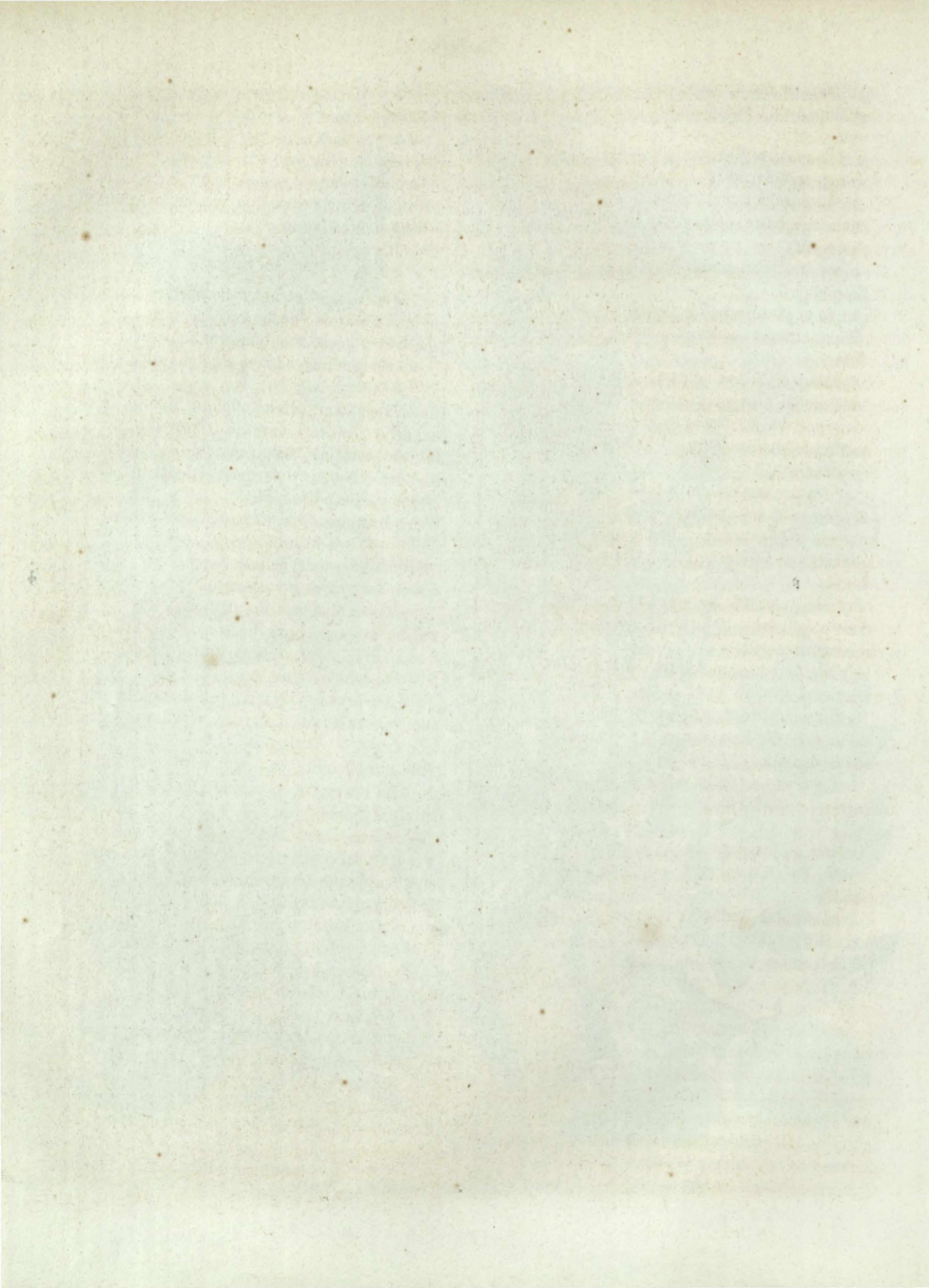
### *Wenus w Prado.*

„Wdzięczna, uśmiechająca się, piękna Wenus, wyszła na Prado aby świeżem odetchnąć powietrzem.

„Ileż gracji w każdym jój ruchu! jak jest piękną przy boku swego kowala, odwracająca głowę, aby nie patrzeć na niego; bo on tak brzydki!

„Gdy parę razy przeszli się wzdłuż ulicy, on lornetując piękne, a ona pięknych;







„Zajęli miejsca na krzesłach zdobiących miejsce przechadzki; na tyle wdzięków było to zbyt skromne siedzenie.

„Zaledwie spostrzegli ich młode zefiry, zbliżyli się w milczeniu trzepiąc skrzydełkami;

„Niekiedy igrają z pierścieniami jój włosów, to znów (śmieszne malce) całują ręce, jój ramiona i w pół skryty gors jój.

„Za niemi, wdzięczne małe amorki, lekkie, wesołe, otaczają piękność.

„Są to po większej części zbiegli ze szkoły studenci, z okularami na nosie, z pomadą w gęstych kędziurach.

„Nadskakując jój, pochlebiają, muskając, pokręcając miejsce na których kiedyś gęsty was porośnie.

„Jeden porywa jój wachlarz i spokojne porusza nim powietrze, otwierając go i zamykając, naśladując Sennoras.

„Drugi, oddechem swoim z lekka dotyka twarzy Wenery, do ucha jój spuszcza a słodkie tajemnice.

„Inny znów rozmawia z boginią, drugi jój bajki gada, trzeci na jój białej ręce składa ulotny pocałunek.

„Inny... lecz dosyć... dosyć—szczęśliwa zgraja łotrów! a szczęśliwszy ten, który dostanie żony swój w chmurze kadzideł.

„Gdy się to dzieje, nadchodzi Mars—Mars, waleczny generał, groźne brwi jego wystraszają dzieci!

„Biedne malce! zoczywszy go, szuka kaźden powodu do oddalenia się i pożegnawszy boginię, odchodzą jeden za drugim.

„Mars porywa krzesło, a stawiając go tak ażeby rozłączyć małżeństwo, zasiada między mężem a żoną.

„Obraca do nieszczęśliwego męża odwrotną stronę piersi swoich, i zaczyna z boginią śmiać się i żartować.

„Ach! zawołał Wulkan z boleścią! Jowiszu! porwij go! choćby już tamci powrócić mieli!”

Umieszczamy tu krótkie wyjątki z utworów Gonzalesa Tejada, raz, aby dać poznać choć w małej próbie rodzaj poezji hiszpańskiej, tak nieznanej u nas, powtóre aby wykazać sprzeczność poety z utworami jego, gdyż istotnie—czytając te urywki, któż domyślił, by się że autorem ich jest pełen naiwności, skromności młodzieniec, którego ciche domowe cnoty, miła powierzchowność, prędzej tkliwego idylistę jak satyryka lub anakreontyka zdradzaćby mogły. Nie pierwszy to raz uderza nas sprzeczność między poetą a człowiekiem. Któżby np. w suchym, pełnym pró-

żności dworaku, jakim był Goethe, poznał autora Manfreda?

Nasz poeta hiszpański, sądząc z wyjątków poezji jego jakie nam wpadły, nie zawsze ma do czynienia z towarzystwem Olimpu, lub ze starym Anakreonem: niektóre utwory jego malują obrazy z tegocześnie-ego świata, pełne prawdy, a razem nacechowane smutnym uczuciem jak np.:

### *Parter w Retiro.*

„Jest w Retiro miejsce nazwane parterem, pokryte dywanem z kwiatów i gazonów.

„Tam pod wolnym ciepłym promieni zachodzącego słońca, tysiące dziś oddają się zabawom wiekowi swemu właściwym.

„Białość ich twarzączek podobna białości śniegu, zmieszanego ze szkarłatem goździków lub róż.

„Jak czystym jest uśmiech ich! Ile niewinności w ich radości! Niestety! czemuż zamiast być ludźmi, nie możemy dziećmi pozostać!

„W ich bratnim kole razem płasają synowie rzemieślników z synami hrabiów.

„Dzisiaj młoda patrycjuszko! dajesz pocałunek temu małemu kupczykowi pomarańcz; a jutro, sądzić się będziesz z inną jak on ulepioną gliny?

„Jutro! wojenna broń będzie zabawką waszą, a wśród zmarszczków waszego ciała, nie jedna boleść kryć się będzie.

„Ta dziewczynka skromna, tak do anioła dziś podobna, jutro nie jednymi łzami chwilowe szczęście okupić każe.

„Dla pozyskania jój względów, ci co dziś dla niej te dwie na krzyż zielone zginają gałązki, jutro dwa miecze krzyżować będą.

„Ten mały, przewodzi wszystkimi, zdaje mu się że wszystkimi rozkazywać powinien; będzie on plagą ojczyzny, sądząc się za jój dobroczyńcę!

„Słońce chowa się na zachodzie pod purpurową zasłonę, a na kwiat spuszcza tkliwe potylez swoich.

„Bo dzień jeden zginął wśród tych czarnych cieni! bo widząc was dzieci! choć o jeden dzień podrosłych na ludzi, słońce zesmutniało!”

Jak widzimy, autor nie zawsze się zamyka w ironicznej lub satyrycznej formie; byłoby zbyt dziwnym, aby młoda, czysta dusza, tylko temu się oddawać miała. To przywilój dojrziałych, przeżytych umysłów; ich to zadaniem zbierać, odkrywać brudy, szpetności społeczeństwa; młodzieńcza zaś wyobraźnia, tylko piękną stronę opiewać powinna,—w jój rękach nie przystoi, bo nie naturalnym zdaje się bicz chłostający

wady, a ku dobremu naganiający. To też w ostatnich poezjach bardzo wziętych i chwalonych, młodego hiszpańskiego poety, którym dał tytuł *anakreontycznych*, prócz świeżości i lekkości dowcipu, nie ma nic satyrycznego.

Jakkolwiek recenzenci francuscy widzą w Don Jose de Tejada prawdziwego następcę Franciszka Qovedo de Villegas, zachodzi wszakże ogromna różnica; tamten jak świadczą bliżsi jego epoki krytycy, uchy-

biał częstokroć przeciw dobremu smakowi brakiem stosownych kolorów lekkim i humorystycznym utworom potrzebnych; w takie błędy mają obfitować jego Faceties — tudzież Parnas hiszpański, Piekło zreformowane i t. p. Nadto satyryk dawny nie oszczędzał niczyjej osobistości, a opisawszy w jednej z satyr rządów ówczesnego ministra hrabiego Olivarez, musiał ciężkiem i długiem więzieniem opłacić tę potrzebę wypowiedzenia ostrój, bez-osłonkowej prawdy.

## MOTYLE EUROPEJSKIE.

(Z RYCINĄ KOLOROWANĄ.)

Upowszechnione nazwisko mierników (Geometra L.) nie zasada się, o ile sądzić można na jakiejś własności, wspólnej wszystkim prawie motylom tej familii; lecz bez wątpienia utworzonem ono zostało dla oznaczenia dziwnych kształtów i sposobu poruszania się gąsienic.

Ponieważ im bowiem brakuje średnich nóg brzusznych, skazane są one do odbywania wszelkich ruchów za pomocą nóg przednich i tylnych, służących do popychania czyli posuwania się ciałem ku przodowi. Aby się bowiem przenieść z jednego miejsca na drugie, wyciągają się one w całej swjej długości przednimi nogami chwytając za liść jaki, na który się dostać pragną, a w końcu przyciągają ku przodowi resztę ciała; przy czem w właściwy przyginają się sposób, przybierając kształt podkowy. Są one w stanie z nadzwyczajną naprzód posuwać się szybkością, a ustawiczne ich przytem wyciąganie naprzód i przyciąganie, konieczne na przypatrującego się tym ruchom wywiera wrażenie.

Największa część jest z resztą nadzwyczaj leniwą, mianowicie w porze dzienniej; zostaje częstokroć po pół dnia nieruchomie w jednym miejscu, przybierając zwykle postać przedłużoną i naprężoną, i czepiając się tylnymi nogami przedmiotów na których szuka wytchnienia. Nadzwyczajnie przemyślna była natura w ukształtowaniu ciała tych gąsienic; jedna i taż sama myśl w tysiączny sposób w ich utworzeniu jest przeprowadzoną z taką rozmaitością, a przecież mimo-to i z tą zgodą i do-

kładnością, jakiej dostatecznie wydziwić się nie możemy. Nie można zaprzeczyć pewnego i to nader wybitnego podobieństwa pomiędzy tym rodzajem gąsienic, które miernikami nazywamy, a pewnemi pojedynczemi częściami roślin, gałęziami, liśćmi, porostami i t. p., na których zwykle żyją i przebywają. Te żywe kopije gałęzi i liści z taką częstokroć, aż do najdrobniejszych części składowych dokładnością, są naśladowane, że dostrzegamy na nich jakoby puszczające się pączki, ciernie, poboczne gałązki, skręty, zwoje, guzowatości i różne tym podobne wyrośle, i to w tak uderzającym i zwodniczym podobieństwie, że częstokroć na pierwszy rzut najwprawniejszego nawet oka, uwieść mu się dajemy. Zdaje się, że celem Opatrzności nadającej tak uderzające gąsienicom podobieństwo, z ciałami, na których takowe przebywają, była chęć użyczenia im pewnej ochrony i zabezpieczenia ich przed zagrażającym im w każdej niemal chwili nieprzyjacielem; w czem również spostrzegamy tę nie cudowną i delikatną, przez którą utrzymuje się tajemniczym sposobem współdziałania, równowaga w naturze.

Wszystkie mierniki przedstawione na załączoniej tu rycinie, należą do rodzaju, przez Ochsenheimera imieniem „Ennomos” oznaczonego. Motyle mają skrzydła zębate, lub tworzące wyraźny narożnik na tylnym brzegu skrzydeł tylnych; nie rozszerzają ich na płask, jak to u największej ilości

mierników napotykamy, — lecz kierują je ku górze, jak u motylów dziennych.

Gąsienice mają postać a nawet i kolor gałązek drzewnych, i zasklepiają się (przeobrażają się) w lekkiej tkaninie między posprzęganemi wspólnie liśćmi.

Jednym z największych nie tylko w tym gatunku ale nawet w pośród europejskich, jest leszczyniak, *Ennomos prunaria* u Hübn: fig. 1 a) samica; fig. 1 b) samiec; fig. 1 c) odmiana inna samicy; fig. 1 d) gąsienica.

Motyl do tego gatunku należący rozmaicie przedstawia nam się ubarwionym: najczęściej napotykamy go ubarwionego tak, jak na fig. 1 fig. a) fig. 1 b) na fig. 1 c). Podstawą, zasadniczą barwą bywa kolor ciemno-brunatny; żółtawo-zielone nakropienie pierza jest żywszem u samca, bo koloru niemal pomarańczowego. Błędnie uważano tę odmianę za osobny gatunek pod nazwą *Ennomos corylaria*. Jeden i tenże sam sposób życia tych istot i ich gąsienic dowodzi niezbitości tożsamości obydwóch ich kształtów. Gąsienica ma 15 linii długości, jest blado-brunatnego, lub popielatego koloru, i ma na ósmym pierścieniu dwie wielkie, mięsiste narośle. We wrześniu i październiku jest w połowie swojego wzrostu; przepędza zimę pod mchem i liśćmi, a w kwietniu lub w początkach maja następnego roku dochodzi do zupełnej, ostatecznej wielkości swojej. Najczęściej można ją napotkać na drzewach śliwkowych i tarnkach; nie mniej jednak na brzościach i leszczynie. Zasklepia się ona w nadzwyczaj delikatnej tkance między liśćmi, z której w czerwcu wymyka się nadzwyczaj upowszechniony, mimo to jednak nigdy nie za liczny motyl.

Dereniak (*Ennomos illustraria*. Hubn) fig. 2 a) ma nadzwyczaj miłe barwy; na każdym skrzydełku jest jasna, półksiężycowa plama. Rysunek obok załączony daje nam poznać z łatwością tego motyla: jest jednakże jeszcze inny, do niego nadzw-

yczaj podobny, rzadziej jednak napotykany kaliniak (*Ennomos lunaria*), który nas z łatwością w błąd wprowadzić może. U kaliniaka jednak tylne skrzydła są daleko silniej wycięte, a owe cztery plamki półksiężycowe są przezroczyste, bez łuskowatego pokrycia. Gąsienica dereniaka fig. 2 b) jest koloru brunatno-szarej kory, z żółtym i białym, słabym, niewydatnym zarysem. Żyje w dwóch generacjach; pierwsza w czerwcu, druga we wrześniu i październiku, na tarkach, osikach i wierzbach. Motyl zjawia się w kwietniu, potem znów w lipcu i nie rzadko napotykanym bywa w większej części okolic Europy środkowej.

Głogownik (*Ennomos crataegaria* Hubn.) fig. 3 a, odznacza się wpośród innych swą cytrynową barwą i białą plamą w pośrodku skrzydeł, tudzież pomarańczowemi plamkami na brzegach przednich swych skrzydeł. Gąsienica (fig. 3 b), która przedstawia się już to zieloną, już to czerwono-szarą, lub szarawo-czarną, ma prócz zwykłych nóg brzusznych jeszcze dwie inne, które podług woli wyciągać lub wciągać może. Na szóstym pierścieniu sterczą dwa ze sobą razem zrosłe guzy. Żyje ona we wrześniu na głogu i tarnce. Motyl pojawia się na wiosnę, oraz w lecie, i prawie wszędzie znajduje się.

Fig. 4. przedstawia nam rdestniaka (*Geom. umataria*) nadzwyczaj świetnego motyla, który szeroko na okół spotykany bywa, nigdzie jednakże w nadto wielkiej liczbie.

Barwa skrzydeł jego jest blado-żółta; przez przednie i tylne biegną w poprzek dwa czerwone paski; obrąbek czyli kraj skrzydeł jest różowy

Pojawiają się zwykle dwie generacje: jedna w maju, druga w lipcu. Gąsienica jest koloru brunatnego, z ciemniejszymi prążkami, i najdokładniej daje się poznać po nadzwyczaj grubym czwartym pierścieniu. Żyje ona w czerwcu, potem znowu w sierpniu i wrześniu, na szczawiach i rdestach.

## RYS O LAPOŃCZYKACH I ICH OBYCZAJACH.

Około godziny 10 przybyliśmy do Wadsee, stanowiącego granicę dla żeglugi parowej. Mieliśmy zamiar wsiąść tutaj na łódkę i dopłynąć do Niborga

na koniec fiordu, ztamtąd dostać się łądem do rzeki Tana a następnie dopłynąwszy po niej w kierunku ujścia do fiordu Tana, spodziewaliśmy się zastać tam

statek parowy. Lecz ponieważ było już dosyć późno, a wiatr bardzo słaby i—jak nas ogólnie zapewnia- no, niepodobieństwem było przywieść nasz zamiar do skutku z powodu braku czasu, wysiedliśmy więc na łąd dla przepędzenia na nim dnia. Wadsee jest mie- ścina mająca 800 mieszkańców, z dosyć płytką lecz bezpieczną przystanią, ożywioną rybackimi łodziami i statkami rossyjskich kupców z morza Białego. Zbudowana jest na pochyłości góry, na której nie tylko nie widać drzew i krzaków, ale nawet ani źdźbła trawy. Jedyna woń która tu w lecie czuć się daje, jest zapach suszonych ryb. W ogródkach przy dwóch albo trzech domach, kilka nędznych odrosli rzodkwi i kartofli ośmieliło się wychylić z ziemi; nie można było jednak spodziewać się, żeby zakwitły. W początkach bowiem jeszcze lipca, śnieg pokrywał ulice na cztery stopy wysoko, a za sześć tygodni nowy już był spodziewany. Po obiedzie wyszedłem na spacer dla przeniesienia na papier tutejszych okolic, lecz zaledwie rzuciłem pierwszy szkic, gdy zerwał się tak zimny i przejmujący wiatr, iż zmu- szony byłem powrócić do do mieszkania, które zaję- liśmy w domu piekarza nazwiskiem Aas. Do naszej stancyi trzeba było przechodzić przez izbę, którą zajmowała jego rodzina, przez kuchnię i piekarnię,

z okien zaś naszych widać było przeciwległą karcz- mę, z której na pół pijani Lapończycy wychodzili śpiesznie jeden za drugim. W miesiącu lipcu naj- częściej, zwykle odbywa się wesele u Lapończyków, podczas naszej więc bytności w Wadsee mogliśmy widzieć wiele młodych par, które przybyły do mia- sta ze swemi rodzinami w świątecznych, najparad- niejszych sukniach i przechadzały po ulicy z wyra- zem jakiegoś dziwnego zadowolenia na twarzach. Letnia odzież Lapończyków, składa się z długiej, su- kienniej, fałdzistej sukni jasno-zielonego koloru, ob- szytej pod szyją i na rękawach purpurowemi i żół- temi wstążkami, oraz z oryginalnej, podobnej trochę do hełmu czapki. Czapka ta bywa z czerwonej ma- teryi, z żółtym albo niebieskim obszyciem.

Lapończycy w ogóle mają twarze świeże, rumia- ne, oczy jasne, niebieskie, włosy ciemne, policzki wydatne i usta nadzwyczaj szerokie. Wzrost ich jest cokolwiek mniejszy od średniego. Jako fakt chara- kteryzujący ich obyczaje, dodać tu jeszcze wypada, iż wszyscy, których widziałem, byli pijani, nałogo- wie bowiem i bez żadnego wstydu oddają się pijań- stwu, o ile tylko im na to fundusze pozwalają, nie więc dziwnego że bardzo krótko żyją.

## ŻYCIE ZWIERZĘCE

### NA PÓŁNOCNYCH KRAŃCACH EUROPY.

Na końcu przylądka oddzielającego Porsanger fiord od Lexe fiordu przedstawiły się oczom naszym coraz bardziej urwiste, jakby sztuką porozłupywa- ne skały. Ogromne massy, które z wierzchołków się oberwały, otaczały dno przepaści, mającej kształt foremnie sklepionej jaskini i służącej za schronienie dla niezliczonego mnóstwa czajek. Naprzeciw przy- ładka wznosiła się skała Swergolt-Klub, podobna do zburzonej twierdzy. Ściany jej stały na trzech ogromnych arkadach, których pionowe fundamenta podierały pochyłe skały w kształcie kontrforsów; wały miejscami zachowały się jeszcze w całości, miejscami zaś obruszyły się, i zdawało się, jakby w rozpadlinach tych kolosalnych kamiennych mass, znać było ślady kul i bomb, które je rozbiły. Tysią- ce śpiących białych czajek siedziało na odłamach skał, lecz postanowiliśmy przerwać im spokój. Z pa- rostatku huknęła armata, wycelowana na najwię-

kszą arkadę skały, cała twierdza zatrzęsała się, z ta- kim ogłuszającym, dziwnym i przerażającym ło- skotem, że odgłos jego dotąd jeszcze brzmi w mo- ich uszach. Krzyk rozległ się na wszystkie strony, a następnie z szumem, podobnym do burzy w lesie, wzniósł się z rozpadlin biały, jakby dymu, obłok i w przeciągu sekundy powietrze napełniło się niezli- czoną ilością ptaków. Drugi wystrzał także same sprowadził skutki. Krzyki wzmożyły się. Liczba krążących nad naszymi głowami ptaków dochodzi- ła niezawodnie do 50,000, a pewno drugie tyle sie- działo ich na powierzchni skały i w głębiach roz- padlin. Nigdy jeszcze — mówi autor — nie zdarzyło mi się być na takim *indignation meeting*, lecz i tu podobnie, jak na wielu, które widziałem, chwila sto- sowna do działania pierwój minęła, nim postano- wiono, co działać wypada?

## O ZWIĄZKU ZWIERZĘCÉJ I DUCHOWÉJ NATURY CZŁOWIEKA.

(DOKOŃCZENIE).

### § 15.

#### Przykłady.

Chroniczne głębokie bole duszy, zwłaszcza gdy im towarzyszy mocne nateżenie myśli pomiędzy które szczególnie zaliczam powolny gniew, nazwany oburzeniem (indignation), również podkopują podstawy ciała i wysuszają żywotne soki. Tacy ludzie wyglądają wychudzeni i bladzi, a smutek ich zdradza ją zapadłe i głęboko leżące ich oczy. „Powiniennem, mówi Cezar, mieć w około siebie ludzi tłustych, ludzi z okrągłemi policzkami i spiących w nocy. Ten Kassiusz ma twarz wycieńczoną i zgłodniałą, za wiele on myśli, tacy ludzie są niebezpiecznymi.” Bojaźń, niepokój, zgryzoty sumienia, rozpacz, nie wiele odmiennie działają jak zapalna gorączka. Ściganemu zgryzotą Ryszardowi zbywa na wesołości, którą posiadał, a którą mniema odzyskać ze szklanką wina. Nie samo jednakże cierpienie duszy odstrasza od niego wesołość, robi to także pochodzące z głębi maszyny uczucie niedomagania, a właśnie takież same uczucie zwiastuje złośliwe gorączki. Ciężko obarczony występkiem Moor, który niegdyś był tak dowcipnym, że przy rozczłonkowywaniu wyobrażeń, wszystkie uczucia ludzkości w nicość rozpraszał, zrywa się teraz wśród snu okropnego, blady, bez tchu, z czołem oblanem zimnym potem. Wszystkie obrazy przyszłych kar, które może w latach dziecińczych wysłał, a będąc mężem w sobie uspił, napadły ze mgłony snem jego umysł, sensacye zanadto są zmieszane żeby powolniejszy bieg rozumu mógł w nie znowu wnikać i rozwikłać potrafił. Walczy on jeszcze z fantazyą a duch ze straszidłami mechanizmu <sup>1)</sup>.

*Moor.* Nie, ja nie drzę. Miałżeby to tylko być sen. Umarli nie wstają. — Kto mówi że ja drzę i że jestem blady? Mnie tak lekko, tak dobrze!

*Bed.* Jesteście bladzi jak trup, głos wasz niepewny i jękający.

*Moor.* Mam gorączkę. Każę sobie rano krew puścić. Powiedz tylko księdzu! jak przyjdzie, że mam gorączkę.

*Bed.* O jesteście prawdziwie chorzy.

*Moor.* Tak! zapewne, zapewne i nic więcej; — a cho roba miesza rozum i płodzi szalone, dziwne sny — sny nic nie znaczą — pfe, pfe, co za niewieścia bojaźliwość! — Sny pochodzą z brzucha, sny też nic nie znaczą — miałem właśnie przyjemny sen.

(Pada w omdleniu.)

Tu stający nagle cały obraz snu, porusza cały systemat posępnych wyobrażeń, i wstrząsa razem całą posadą organu myślenia. Z ogólnej summy powstaje całe nadzwyczaj złożone uczucie bólu, wstrząsające duszę w jej głębiach i paraliżujące zapomocą współczucia (per consensum), całą budowę nerwów.

Strachy przejmujące tego, kto wychodzi na dokonanie zbrodniczego czynu, albo tego, który tylko co go wykonał, niczem innem nie są, tylko tymże samym dreszczem, wstrząsającym chorego na gorączkę albo takiego jaki się doświadcza po przyjęciu wstręt obudzającego lekarstwa. Nocne rzucania się dręczonych zgryzotami sumienia, a którym zawsze towarzyszy gorączkowe uderzenie pulsu, są prawdziwemi gorączkami które wzbudza współczucie (consensus), maszyny z duszą, a lady Makbet chodząca we śnie, marzy także gorączkowie. Już samo udawanie uczucia robi aktora chorym i Garrick po odegraniu roli Leara lub Otella, przepędzał kilka godzin na łóżku w konwulsyjnych poruszeniach. Złudzenia także widzów, współczucie ku sztucznym namiętnościom, bywało przyczyną przestraszenia, paraliżu, omdlenia.

Nie jestże największym nieprzyjacielem swego zdrowia ten, kogo dręczy zły humor, kto ze wszystkich okoliczności życia czerpie truciznę i żółć; albo zbrodniarz żyjący w nieustannym chronicznym gniewie lub nienawiści, lub zazdrośnik którego dręczy wszelka doskonałość jego bliźnich? Nie miałażby zbrodnia być dość odstrasżającą, gdy wraz ze szczęściem niszczy także i zdrowie?

<sup>1)</sup> Life of Moor. Tragedy by Krake. Act V. Sc. I.

§ 16.

Wyjątki.

Lecz i przyjemne uczucia także zabijały, nieprzyjemne zaś cudownie uleczają. Jednego i drugiego uczy doświadczenie; miałożby to zmieniać granice ustanowionego prawa?

Radość zabija gdy dochodzi do stanu zachwycenia (extasis), natura nie znosi tego wzniesienia się, do jakiego w jednej chwili dochodzi cała nerwowa budowa; poruszenie mózgu już nie jest harmonią ale staje się konwulsją, najwyższą momentalną siłą przechodzącą wnet w ruinę maszyny, gdyż przestąpiła graniczną linię zdrowia (albowiem już w samém wyobrażeniu zdrowia mieści się wyobrażenie pewnej temperatury przyrodzonych ruchów): nawet radość znikomych istot ma swoje granice, których również przestąpić nie może, bo inaczej musi zginąć.

Co się tyczy drugiego przypadku, mamy wiele przykładów, że umiarkowany stopień gniewu, będący w sile swobodnie wybuchnąć, zniósł długotrwałe zatkania; że naprzykład przestraszony pożaru usunął nagle zastarzałe bole i niezliczone paralizy. Lecz i dysenterya usuwała także zatkania żyły wrotniej, i krostka uleczala melancholije i wścieklizny—czy dla tego krostka ma mniej być chorobą, albo dysenterya ma być dla tego zdrowiem?

§ 17.

Gnusność duszy, robi poruszenia maszyny gnuśniejszemi.

Jeżeli według świadectwa Hallera, czynność ducha podczas dziennych zatrudnień, zdolną jest do przyspieszenia wieczornego pulsu, dla czegoż jej powolność nie może go osłabić, dla czegożby jego nieczynność nie mogła go zupełnie przytępić? Bo chociaż poruszenia krwi nie zdają się tak bardzo zależeć od duszy, nie bez zasady jednak można wnioskować, że serce biorące zawsze większą część swęj siły z mózgu, musi koniecznie ponosić wielką jej utratę *gdy dusza nie podtrzymuje poruszeń mózgu?* Temperament flegmatyczny pociąga za sobą leniwy i powolny puls, krew staje się wodnistą i ciągnącą się, krążenie krwi w dolnym brzuchu jest utrudnionem.

Głupowaci, których nam opisał Muzell <sup>1)</sup> oddychali powolnie i ciężko, nie mieli żądry ani do jedzenia i picia, ani do naturalnych wydzielen, uderzenie tętna było rzadkie, wszystkie funkcyje były ociężałe i słabe. Odrętwieniu duszy od przestraschu, zdziwienia, i t. d. towarzyszy czasami ogólny upadek wszelkiej

<sup>1)</sup> Muzell,—lekarskie chirurgiczne postrzeżenia.

fizycznej czynności. Czy dusza, czy też ciało było przyczyną tego stanu, który ją wprowadził w odrętwienie? Lecz materya ta wprowadza nas w subtelność i dla tego też nie powinna być tu rozbieraną.

§ 18.

Drugie prawo.

Teraz zaś to co, się powiedziało o przeniesieniu duchowych uczuć na zwierzęce, stosuje się także do odwrotnego przypadku przeniesienia uczuć zwierzęcych na duchowe. Choroby ciała, będące po większej części naturalnemi następstwami niewstrzeżliwości, niosą już karę samym zmysłowym bolem, lecz i tu także dusza musiała być dotkniętą we własnej istocie, ażeby podwójny ból tem mocniej wraził jej ograniczenie żąd. Dlatego też i do zmysłowego zadowolenia względem cielesnego zdrowia musiała przyłączyć się subtelniejsze uczucie duchowej poprawy, ażeby tembardziej podniecić człowieka do zachowania swego zdrowia, w dobrym stanie. I takie też jest drugie prawo połączonych natur: *że ze swobodną czynnością organów, łączy się swobodny wypływ uczuć i wyobrażeń, i że z rozstrojeniem takich wiąże się rozstrojenie myślenia i uczucia.* Czyli krócej: *że ogólne uczucie zwierzęcej harmonii jest źródłem duchowej przyjemności, a zwierzęca przykrość musi być źródłem umysłowej przykrości.*

Słusznie więc pod wszystkimi temi względami można duszę i ciało porównać do dwóch, jednakowo nastrojonych, blisko siebie położonych muzycznych narzędzi. Dotknawszy się naprzykład, pewnej struny na jednym z nich i wydawszy pewny ton, taż sama struna zadźwięczy i wyda takiż sam, tylko cokolwiek słabszy ton na drugim. I tak, mówiąc przez porównanie, wesola struna ludzkiego ciała obudza również wesolą w duszy, tak smutny ton w pierwszym wywołuje podobnie smutny w drugiej. Taka jest dziwna i godna uwagi sympatya zlewająca różnorodne pierwiastki człowieka jakoby w jedną istotę; człowiek nie jest jedynie duszą i ciałem, jest on najściślejszem zmieszaniem obu tych substancyj.

§ 19.

Nastroje ducha idą za zastrojami ciała.

Ztąd-to po przeładowaniu żołądka i po nadużyciach wszelkich zmysłowych uciech, następuje ociężałość, brak myśli, nadąsany humor; ztąd dziwne działanie wina u takich, którzy go z umiarkowaniem używają. „Kiedyś wypił wina” mówi brat Marcin „jesteś we wszystkim podwojonym; dwa razy równie lekko

myślącym, dwa razy równie lekko przedsiębiorczym, dwa razy równie prędko wykonywającym." Ztąd to dobry humor i zadowolenie w czasie jasnej i zdrowej pogody, opierający się wprawdzie z jednej strony na kojarzeniu się wyobrażeń, po większej części jednak zależący od swobodniejszego odbywania się przyrodzonych czynności. Tacy ludzie zwykli powszechnie używać następnego wyrażenia: czuję że mi jest dobrze; i w tymże czasie zdolniejszymi są oni do wszystkich prac umysłowych i otwarte mają serce dla uczuć ludzkości i do wykonania moralnych obowiązków. Toż samo także stosuje się do narodowego charakteru ludów. Mieszkańcy posepnych okolic smućą się z otaczającą ich naturą; człowiek dziczeje w dzikich burzliwych strefach, uśmiecha się pod przyjaznym niebem i czuje sympatyą w czystym powietrzu. Pod greckim tylko niebem znalazł się Homer, Plato i Fidyasz; tam tylko powstały muzy i gracye, gdy mglista Laponija, za ledwo człowieka, nigdy zaś nie wyda jenuiszu. Wtedy, gdy Niemcy były jeszcze krajem lesistym, dzikim i bagnistym, Niemiec był strzelcem tak dzikim jak zwierzę, którego skórę na swe barki zarzucał. Skoro zaś pracowitość zmieniła postać jego ojczyzny, odtąd zaczęła się epoka jego ukształcenia. Nie chcę utrzymywać że klimat jest jedynym źródłem charakteru, lecz niezawodnie dla oświecenia pewnego ludu, za główny wzgląd przyjąć potrzeba złagodzenie jego nieba.

Zniszczenia w ciele mogą także przywieść do nieporządku cały systemat moralnych uczuć, i utorować drogę najgorszym namiętnościom. Zużyty rozpustą człowiek, łatwiej przywiedzionym zostanie do ostateczności, niżeli ten kto zdrowo utrzymuje swe ciało. Jest to właśnie szkaradnym narzędziem tych którzy psują młodzież, a ów werbownik bandytów, musiał doskonale znać człowieka, kiedy powiedział „trzeba zepsuć ciało i duszę." Katyliną był wprzód rozpustnikiem nim został zbójcą i podpalaczem, a Doria ciężko się mylił sądząc że nie należało obawiać się rozwiązłego Fieska. W ogólności postrzega się to, że złośliwość mieszka często w chorych ciałach

Sympatya ta w chorobach bywa jeszcze dobitniejszą. Wszystkie ważniejsze choroby, zwłaszcza te, które nazywają złośliwymi i które pochodzą z ekonomii dolnego brzucha; objawiają się mniej więcej szczególniejszą rewolucją w charakterze. Gdy się one jeszcze w cichości, w skrytym zakątku maszyny czołgają, podkopując żywotną siłę nerwów, wówczas już dusza, w ciemnych przeczuciach zaczyna czuć upadek swego towarzysza. Jest to wielki pierwia-

stek (ingrediens) tego stanu, który nam wielki lekarz pod imieniem dreszczów (horroris) w mistrzowskich skreślił rysach. Ztąd u takich ludzi rodzi się tęsknota której nikt nie umie naznaczyć przyczyny, zmiana ich skłonności, niesmak do wszystkiego co niegdyś było im najprzyjemniejszym. Łagodny staje się kłótlwym; zabawny ponurym, a gubiący się przedtem w gwarze zatrudnionego świata, unika ludzkiego spojrzenia i kryje się w posepnej, melancholicznej ciszy. Pod tym zdradliwym pokojem, gotuje się choroba, do śmiertelnego wybuchu. Ogólne zamieszanie maszyny w czasie jawnego, szalonego wybuchu choroby daje nam najwymowniejszy dowód o dziwnej zależności duszy od ciała. Ogólne uczucie upadku organów, złożone z tysiąca innych bolesnych, sprawia w systemacie jej duchowych uczuć straszne zamieszanie. Najstraszniejsze myśli znowu odżywiają. Zbrodniarz, którego nic nie poruszyło, ulega pod przewagą zwierzęcych strachów. Umierający Winchester ryczy w szalonej rozpacz. Dusza umyślnie zdaje się chwycić tego co ją w głębsze jeszcze wtrąca ciemności, i z szalonym wstrętem cofa się od wszelkich środków pociechy. Głos nieprzyjemnego uczucia staje się panującym, a że ten głęboki ból duszy powstał z zamieszania maszyny, pomaga on nawzajem do uczynienia tych zamieszania mocniejszymi i powszechniejszemi.

## § 20.

### Ograniczenie tego co poprzedziło.

Codzień jednak mamy przykłady chorych, którzy pełni męstwa wnoszą się nad cierpienia ciała, jako też i umierających, którzy wśród udręczeń walczącej maszyny zadają pytanie: O śmierci! gdzie twój kolec? Miałażby, powie ktoś, mądrość nie wystarczać do uzbrojenia się przeciwko ślepych strachom organizmu? Miałażby, co jeszcze więcej znaczy niż mądrość, miałażby religija tak mało ochraniać swoich przyjaciół przeciwko nagabaniom znikomości? Albo też, co właśnie na jedno wychodzi, nie idzie tu o poprzedniczy stan duszy? i o to, jak ona przyjmuje zmiany żywotnych poruszeń?

To właśnie jest niezaprzeczoną prawdą. Filozofija, a jeszcze bardziej śmiały i religiją wsparty umysł, zdolnemi są całkowicie osłabić wpływ zwierzęcych uczuć, oblegających umysł chorego; a duszę jakby od wszelkiego związku z materją oderwać. Myśl o Bóstwie równie jak po wszechświecie tak i nad śmiercią są unosząca, harmonija przeszłego życia i przedsmak wiecznie szczęśliwej przyszłości, rozlewają pełne światło na wszystkie ich pojęcia, gdy

dusza głupca lub niedowiarka od wszystkich tych ciemnych uczuć mechanizmu zasłonioną zostaje. Gdyby nawet mimowolne bole zwaliły się na chrześcijanina lub mędrca (bo czyż nie mniej przeto jest on człowiekiem?) on sam zamieniłby na roskosze, uczucie zrujnowanej swój maszyny.

The soul secur'd in her existence, smiles  
At the drawn dagger, and defies its point,  
The stars shall fade away, the sun himself  
Grow dim with age, and nature sink in years,  
But thou shalt flourish in immortal youth,  
Unhurt amidst the war of Elements,  
The wruck of Matter, and the Crush of Worlds.

(Dusza bezpieczna w swem istnieniu, uśmiecha się i staje śmiało przeciw ostrzu wymierzonego sztyletu; gwiazdy znikną, słońce nawet przyćmi się od starości, a natura pochyli się latami, lecz ty kwitnąć będziesz nieśmiertelnie młodym, nietknięty wśród walki żywiołów i ruiny światów). Podstawą tej niezwykłej wesołości śmiertelnie chorych, bywa nieraz fizyczna przyczyna, a dla praktycznego lekarza jest bardzo ważną. — Spotykamy ją często w towarzystwie śmiertelnych hipokratesowych znaków, nie mogąc jej sobie wytłumaczyć jakimś bądź poprzedniczym przesileniem (crisis); taka wesołość jest zły wróżby. Nerwy przy podniesieniu gorączki, będąc do najwyższego stopnia podniecone, utraciły już swą czułość; części zapalone, jak o tém dobrze wiemy, gdy przechodzą w zgorzelinę przestają boleć, lecz zgubną byłoby myślą, winszować sobie że się już przebyło zapalny peryod. Drażliwość opuszcza zamarłe nerwy, a śmiertelną nieczułość zwodzi względem prędkiego wyzdrowienia. Dusza pozbywszy się długotrwałego bolesnego uczucia, doznaje złudzenia w przyjemnem. Wolną ona jest od bólu nie dlatego że ten jej narzędzi przywróconym został, lecz dla tego że już nie czuje niezgodności. Współczucie ustaje, jak tylko rozrywa się związek.

§ 21.

Dalsze poglądy co do związku.

Gdybym teraz chciał głębiej wnikać — gdybym miał mówić o szaleństwie, o senności, o odurzeniu, o padaczce i katalepsyi i t. p., w których wolny i rozumny duch ulega despotyzmowi dolnego brzucha, gdybym w ogóle chciał zapuścić się na obszerne pole historyi i hypochondryi; gdyby mi wolno było mówić o temperamentach i współczuciach, będących

otchłanią dla lekarzy i filozofów, — słowem, gdybym prawdziwości tego co się dotąd powiedziało, chciał dowodzić przy łóżku chorych, będącym zawsze wielką szkołą dla psychologa, przedmiot mój rozciągnąłby się do nieskończoności. Teraz zdaje mi się dostatecznie dowiedzionem jest, że natura zwierzęca całkiem się miesza z duchową, i że to zmieszanie jest doskonałością.

**Zjawiska cielesne zdradzają poruszenia ducha.**

§ 22.

Fizyognomika uczucia.

Ta właśnie ścisła stosunkowość obojga natur, daje podporę całej nauce fizyognomiki. Przez ten to związek nerwów, który jak słyszymy, służy za podstawę udzielaniu się uczuć, najskrytsze poruszenia duszy objawiają się na powierzchowności ciała, a namiętność przenika nawet zasłonę obłudy. Każde uczucie ma swoje wyłączne oznaki, i że tak powiem właściwy sobie język, po którym się téż poznaje. A nawet jest to godne podziwu prawo mądrości, że każde szlachetne i życzliwe uczucie *upiększa* ciało, każde zaś nikczemne i nienawistne przeradza je na *bydlęce* kształty. Im bardziej duch oddala się od pierwowotwu Bóstwa, tém więcej zewnętrzny utwór zdaje się zbliżać do bydlęcia, i to zawsze najbliżej do mającego z nim jednakową skłonność. I tak łagodna powierzchowność przyjaciela ludzkości, zachęca potrzebującego pomocy, gdy groźne spojrzenie gniewliwego, każdego odstręcza. Jest to niezbędną wskazówką w towarzyskiem życiu. Godną uwagi jest rzeczą jak wiele podobieństwa mają cielesne objawy z uczuciami. Bohaterska odwaga i nieustraszonność, wlewają życie i siłę w żyły i mięśnie; iskry tryskają z oczów, pierś się wznosi, wszystkie członki jakby gotowe są do walki, człowiek ma pozór rumaka. Strach i bojaźń gaszą ogień oczu, członki opadają bezsilnie i ciężko, zdaje się że szpik skrzepnął w kościach, krew staje się dla serca ciężarem, powszechnie osłabienie paraliżuje narzędzia życia. Wielka, śmiała, wzniosła myśl zniewala nas stawać na palcach, wznosić w górę głowę, rozszerzać nos i usta. Uczucie nieskończoności, widok rozległego otwartego horyzontu, morze i tym podobne r. wyciągają nasze ręce; chcielibyśmy się rozpląnąć w nieskończoności. Na górach chcielibyśmy się podnieść do nieba, unieść się z wichrami i na falach; strome przepaści zawrotem głowy strącają nas wgłąb; równie też nienawiść objawia się na ciele odpychającą siłą, gdy przeciwnie nasze nawet ciało w każdym ści-



śnieniu ręki, w każdym objęciu, chciałoby przelać się w ciało przyjaciela jak gdyby dusze harmonijnie z sobą się mieszały; duma w miarę tego jak się dusza wznosi wyprostowuje ciało; małoduszność opuszcza głowę, członki obwisają; niewolnicza bojaźń wyraża się w pełzającym chodzie, myśl o bólu wycieńcza naszą twarz, gdy rokoszne obrazy rozlewają po całym ciele pewny wdzięk; tak też i gniew rozerwał najsilniejsze węzły, a potrzeba zwyciężyła prawie niepodobieństwo. Teraz mógłbym zapytać: za pomocą jakiej dzieje się to mechaniki, że właśnie te poruszenia przypadają na też same uczucia, że właśnie te organa wciągnięte są temiż uczuciami? Nie jestże to samo, jakbym chciał wiedzieć dla czego takie obrażenie błony spójnej (Bandhaut) czyni nieruchomą niższą szczękę?

Jeżeli uczucie obudzające takie sympatyczne poruszenia machiny, często się powtarzać będzie, jeżeli ten rodzaj uczucia stanie się dla duszy zwyczajnym, takimi też staną się te poruszenia i dla ciała. Jeżeli tak wyrobione uczucie stanie się *trwałym charakterem*, to i te współczułe rysy głębiej się wycisną, a jeśli śmiem użyć wyrażenia patologów, zostaną *deuteraeputycznymi* nakoniec staną się organicznymi. Tym wreszcie sposobem kształci się stała, uwieczniająca się fizyognomija człowieka, że łatwiej prawie potem zmienić nawet duszę, aniżeli jej utwór. W tém przeto rozumieniu, nie będąc nawet zwolennikiem Stahla, można powiedzieć że dusza kształci ciało, a pierwsze lata młodości może na całe życie naznaczać rysy twarzy człowieka, tak jak w ogóle są one podstawą jego moralnego charakteru. Nieczynna i słaba dusza, którą nigdy nie ośwładnęły namiętności, nie posiada żadnej fizyognomii, jeżeli właśnie ten jej brak nie jest fizyognomią prostoty. Główne rysy, które takim osobom nadała natura a dokończyło karmienie, trwają nadal nietknięte. Twarz okazuje się gładką, gdyż dusza wcale na niej nie grała. Brwi zachowują doskonały łuk, gdyż go żadne dzikie uczucie nie rozerwało. Cała postać posiada okrągłość, gdyż tłuszcz spokojnie leży w swych komórkach; twarz bywa regularną, może nawet być piękną: co do mnie jednak, żałuję duszy. Fizyognomika organicznych części: np. kształtu i wielkości nosa, oczu, ust, uszu i t. d., koloru włosów, długości szyi i t. p., może nie jest tak dalece niepodobną, nie może jednak tak prędko wystąpić na jaw, chociażby Lavater jeszcze chciał marzyć w drugich 100 tomach in 4to. Ktoby chciał uklassyfikować dziwaczne igrzyska natury, kształty, które ona jako ma-

tka obdarza, podjąłby się większej rzeczy niż Linneusz i powinienby się bardzo mieć na ostrożności, by wśród niezmierniej zabawnej różnaitości oryginałów i sam jednym z nich nie został.

(Jeszcze tu jeden rodzaj sympatyki zasługuje na uwagę, będący wielkiego znaczenia w fizyologii: chcę mówić o współczuciu pewnych uczuć z pewnymi organami, od których wzięły początek. Pewny kurcz żołądka wzbudza w nas uczucie nudności, powtarzanie tego samego uczucia, sprawia na odwrót tenże sam kurcz. Czemże się to dzieje?)

### Także i zníženie natury zwierzęcej jest źródłem doskonałości.

#### § 23.

Zdaje się jej ono przeszkadzać.

Można jeszcze powiedzieć, że jeżeli zwierzęca część człowieka daje tyle wielkich korzyści, o których dotąd mówiliśmy, pod innym jednak względem zawsze jest do odrzucenia. Mianowicie dusza jest tym sposobem z czynnościami swoich narzędzi niewolniczo związaną, a peryodyczne zwolnienie tych ostatnich, wskazuje jej nieczynną przerwę i jakby peryodycznie ją niszczy. Rozumiem tu sen, który, jak temu zaprzeczyć niepodobna pozbawia, nas przynajmniej trzeciej części naszego istnienia. Dalej, nasza siła myślenia jest bardzo zależną od praw machiny, tak, że zwolnienie ostatniej, wstrzymuje nagle bieg naszych myśli, kiedy właśnie znajdujemy się na prostej i otwartej drodze ku prawdzie. Niech rozum zatrzyma się cokolwiek nad jaką myślą, a powolna materyja zaraz go opuszcza, struny organu myślenia słabiejają, gdy zaledwie cokolwiek nateżone zostały; ciało opuszcza nas tam gdzie go najwięcej potrzebowaliśmy. Jak zadziwiającemi krokami, powie kto, postępowałyby człowiek w udoskonaleniu swoich zdolności, gdyby z nieprzerwanym nateżeniem mógł się oddawać myśleniu? Jakżeby każde wyobrażenie potrafił on rozebrać na ostateczne pierwiastki, jakby każde zjawisko śledził do najskrytszych źródeł, gdyby mógł je ciągle trzymać przed obliczem swojej duszy? — Nie tak się jednak dzieje i dla czegoż nie tak?

#### § 24.

Konieczność zwolnienia.

To co następuje, naprowadzi nas na ślad prawdy.

1. Przyjemne uczucie było potrzebnem dla prowadzenia człowieka do doskonałości i dla tego tylko jest on doskonałym, że przyjemnie czuje.

2. Natura znikomój istoty nieprzyjemne uczucie robi nieuniknionem. Złe nie wypędza się z najlepszego świata, a filozofowie chcą w tém nawet znaleźć doskonałość.

3. Natura *zmieszanej* istoty koniecznie przynosi ją z sobą, gdyż po większej części na niej się ona zasadza.

A więc: boleść i rozkosz są potrzebnymi.

4. Każdy ból wzmagą się według swój natury, tak jak każda przyjemność, wzrasta do nieskończoności.

5. Każdy ból i każda przyjemność *zmieszanej* istoty, zmierzają do jój zniszczenia.

### § 25.

#### Objaśnienie.

Mianowicie zaś trzeba to tak rozumieć: wiadome jest prawo kojarzenia wyobrażeń, że każde uczucie jakiegobądź rodzaju, chwyta natychmiast drugie innego rodzaju i tym porostem się powiększa. Im ono większem i rozmaitszem, tem więcej we wszystkich kierunkach organów myślenia obudza podobnych, aż póki stopniami nie stanie się panującym i nie ogarnie całej powierzchni duszy. Według tego każde uczucie wzrasta samo przez się, każdy obecny stan władzy czucia zawiera podstawę do następnego, podobnego, silniejszego. Jasnym to jest samo przez się. Teraz jak wiemy, każde duchowe uczucie stowarzyszone jest z podobnem jemu zwierzęcem uczuciem, to jest innymi słowami: każde uczucie związane jest z mniejszemi lub większemi poruszeniami nerwów, które się według stopnia ich siły i rozszerzenia kierują. A zatem, w miarę wzrastania uczuć duchowych, muszą też pomnażać się poruszenia nerwowego układu. I to także nie mniej jest jasnym. Teraz zaś uczy nas patologija, że żaden nerw nigdy sam jeden nie cierpi, i mówić że tu jest nadmiar siły, znaczy to samo co mówić że tam jest brak siły. A zatem każde poruszenie nerwów wzrasta samo przez się. Nadto, powiedziało się wyżej: że poruszenia systematu nerwowego oddziałują na duszę, i wzmacniają uczucia duchowe, wzmocnione zaś uczucia ducha pomnażają i wzmacniają znowuż poruszenia nerwów. Jest tu więc koło: i uczucie musi ciągle wzrastać, i poruszenia nerwów muszą w każdej chwili być powszechniejszemi i gwałtowniejszemi. Wiemy teraz że poruszenia maszyny sprawiające uczucie bólu, przeciwią się harmonijnemu tonowi, którym się ona utrzymuje, to jest że są chorobą. Lecz choroba nie może wzrastać do nieskończono-

ści, a zatem kończą się one z całkowitem zniszczeniem maszyny. Pod względem przeto bólu, dowiedzionem jest, że zmierza on do śmierci subiektu.

Lecz poruszenia nerwów w czasie stanu przyjemnego uczucia są tak harmonijne, trwaniu maszyny tak sprzyjające; stan największej rozkoszy duszy jest razem stanem największego cielesnego dobra; — niemiałoby nawzajem przyjemne uczucie przedłużyć kwiatu ciała do nieskończoności? — ten wniosek jest zanadto pospieszny. W pewnym stopniu umiarkowania, te poruszenia nerwów są zbawienne i stanowią prawdziwe zdrowie. Wznosząc się zaś po za ten stopień, mogą być wprowadzić najwyższą czynnością, najwyższą chwilową doskonałością, lecz wtenczas są nadmiarem zdrowia, wtenczas nie są już zdrowiem. Zdrowiem nazywamy taką tylko dobrą własność naturalnych działań, w których znajduje się podstawa przyszłych podobnych, to jest utwierdzających, następujących po nich działań; a zatem oznaczenie *trwałości* należy istotnie do wyobrażenia o zdrowiu. I tak naprzykład ciało najbezsilniejszego rozkosznika w chwili rozpusty dosięgło najwyższej swojej harmonii; jest ona jednak tylko chwilową a następne, tem większe osłabienie, dostatecznie uczy że nateżenie nie było zdrowiem. Można więc słusznie utrzymywać że przesadzona siła (*vigor*) fizycznych czynności równie przyspiesza śmierć jak największa dysharmonija lub najgwałtowniejsza choroba. Tak więc i ból i przyjemność ciągną nas ku nieochybnój śmierci, kiedy nic nie ma coby je wprost ograniczało.

### § 26.

#### Doskonałość tego zwolnienia.

To właśnie teraz sprawia owo zwolnienie zwierzęcej natury. To właśnie ograniczenie naszej znikomój maszyny, które zdawało się podawać naszym przeciwnikom tak mocny zarzut przeciwko jój doskonałości, powinno było poprawić wszystkie złe następstwa, które z innej strony mechanizm nieuchronnemi czyni. Właśnie ten upadek, to osłabienie organów, na które tak się uskarżają myśliciele, staje na przeszkodzie, ażebyśmy w krótkim czasie nie zostali zniszczeni własną naszą siłą, i nie pozwala naszym uczuciom, w ciągle wzrastającym stopniu, urosć na naszą zgubę. Wskazuje ono każdemu uczuciu periody jego wzrostu, jego wzniesienia się i jego uspokojenia, jeżeli nie zginie w całkowitem opadnięciu ciała, dającem czas wzburzonym duchom do odzyskania harmonijnego swego tonu, organom zaś do pokrzepienia się nanowo. Dlatego też najwyższe

stopnie zachwycenia, przestraczu i gniewu są też same, mianowicie znużenie, słabość i omdlenie.

„Teraz musiał on chyba w omdleniu upaść.” — Więc jeszcze sprawia sen, który, jak mówi nasz Szekspir: „rozwija kłębek splątany trosków, będący kąpielą zranionej pracy, urodzinami każdodziennego życia, i drugim pochodem wielkiej natury.” W czasie snu żywotne duchy znowu się układają w tę zbalansowaną równowagę, której tak bardzo wymaga trwanie naszej istności; wszystkie te kurczowe wyobrażenia i uczucia, wszystkie owe wyteżone czynności które nas przez cały dzień dręczyły, rozwiązują się teraz w powszechnem osłabieniu czułowiszcza (sensorium), harmonija działań duszy znowu się ustala, a przebudzony człowiek, spokojnie wita nadchodzący poranek.

Pod względem także urządzenia całości, nie możemy dość podziwiać wartości i ważności tego zwolnienia. To właśnie urządzenie pociągnęło za sobą: że niektórzy nie mniej mający być szczęśliwymi, poświęceni zostali ogólnemu porządkowi i los uciśnionych dostał się im w udziale. Równie też wielu, którym może niesłusznie zwykliśmy zazdrościć, musiało, dla utrzymania w pokoju całości, dręczyć w nieustannem nateżeniu swoją duchową i cielesną siłę. Tak też robią chorzy, tak i nierozumne bydlę. Sen jakoby pieczętuje oko trosków, wlewa wżyły chorego żywotną siłę a spokój w rozwartą jego duszę; zdejmuje on z panującego i człowieka stanu brzemie zarządu; nawet wyrobnik nie słyszy już głosu ciemieży a udreżone zwierzę unika przezeń lu-

dzkich tyraństw. Sen zagrzebuje wszystkie troski i ciężary stworzeń, wszystko sprowadza do równowagi, każdego uzbraja w nowo powstałe siły dla znoszenia radości i cierpień następnego dnia.

## § 27.

### Rozerwanie związku.

Nakoniec tedy w tym peryodzie, w którym duch wypełnił w tym zakresie cel swojego istnienia, jakaś niepojęta wewnętrzna mechanika uczyniła także jego ciało niezdolnem do służenia za narzędzie. Wszystkie urządzenia służące do utrzymania kwiatu cielesnego tej tylko zdają się sięgać epoki; według mnie wszechmądrość zakładając fizyczną naszą naturę, taką zachowała oszczędność, że pomimo ciągłego wynagradzania zawsze jednak zużycie (consumptio) utrzymuje przewagę że *swoboda nadużycia mechanizmu, śmierć zaś rozwija się z życia jakby ze swego zarodka*. Materya rospada się znowu na swe ostatnie żywioły, które teraz w odmiennych postaciach i stosunkach i do innych służąc celów, unoszą się po państwach natury! Dusza nie przestaje po innych sferach używać swęj siły myślenia i z innych stron przyglądać się wszechświatu. Można śmiało powiedzieć że tutejszej bynajmniej ona jeszcze nie wyczerpała, że mogła ją była doskonalszą opuścić ale czyż wiadomo że ta sfera dla niej już jest straconą. Odkładamy teraz nie jedną książkę na bok której nie rozumiemy, może ją po kilku latach lepiej zrozumiemy.

## OD TŁUMACZA.

Nie zupełnie bezużytecznem zdało się nam być przedsięwzięcie tej małej wagi pracy, dla oznajomienia czytelników naszych z najwcześniejszą epoką biografii, powszechnie znanego i chociaż nie narodowego, równie jednak u nas, jak we własnym kraju cenionego pisarza, tej umysłowej potęgi i jenuiszu, który zawsze wzniosłe uczucia duszy w ideał poezyi oblekać umiał. W tym pierwszym peryodzie Szyller sposobiąc się do prozaicznego, z jego umysłem usposobieniem nie zgadzającego się zawo-

du, samem napisaniem niniejszej rozprawy, oryginalnej co do treści, w której przy trudnem do rozwiązania zagadnieniu, błyskają niektóre głębokie myśli i piękne obrazy, zdradził swe poetyckie zdolności i rodzaj prac, do których przez nie skierowanym został. Wiadomo z życiorysu Szyllera, że będąc synem lekarza i sam też na koscie księcia Wirtemberskiego uczył się medycyny w lekarskiej akademii w Sztuttgardzie, i że po napisaniu i obrońieniu niniejszej ciekawej rozprawy, w przytomno-

ści samego księcia otrzymał stopień i miejsce lekarza przy pułku Augé. Lecz ten zawód dla poetycznej jego duszy okazał się za ciasnym, a gdy dla zajęcia się wystawieniem na teatrze napisanej przez siebie tragedii „Rozbójnicy” porzuciwszy służbę uciekł ze Sztuttgardu do Manheimu, w czasie samych uroczystości przyjęcia Wielkiego Księcia Rossyjskiego Pawła 1782 roku, oddał się całkiem nowemu swemu powołaniu i na tej już nowej drodze jeniusz dojrzał i najświetniej się rozwinął. Sama rozprawa jeszcze w 1780 roku była drukowaną pod tytułem: „*O związku zwierzęcej natury człowieka z duchową*”, którą w obecności JO. Księcia podczas publicznych akademicznych egzaminów, ma bronić J. Chr. Fr. Szyller, kandydat medycyny książęcej wojskowej akademii,” a przez jego synów w ostatnim zupełnym wydaniu dzieł pomieszczoną. Tak w założeniu, jakoteż w myślach i wyrażeniu, przebija się w niej charakterystyczny idealny duch poety; takim też jak piszą był on le-

karzem w praktyce, śmiałym idealistą, lecz nie zbyt szczęśliwym w leczeniu. A chociaż treść jego pracy, stanowiąca ważne zadanie dla filozofów i lekarzy i wymagająca głębokiej fizycznej i moralnej znajomości człowieka, rozbieraną była przez wielu wyższych zdolności pisarzy, sądzę że nie powinna być obojętną dla tych ostatnich, bodajby tylko przez wzgląd na zaszczyt, jaki przynosi należenie do ich korporacji tak świetnej sławy. Z pomiędzy pisarzy jeden tylko Cabanis głęboko i obszernie, chociaż bez ostatecznego rozwiązania rozwinął ten przedmiot, w znakomitem swoim dziele: *O stosunkach fizycznych i moralnych człowieka*, którego literatura polska dotąd nie posiada, a przy terażniejszym wzbogacaniu się jej poważniejszymi obcymi i własnymi dziełami, może być pożądanem, tak że i nam daje zachętę do probowania sił własnych w przekładzie: *quid valeant humeri quid ferre recuent*.

Dr. K. D.

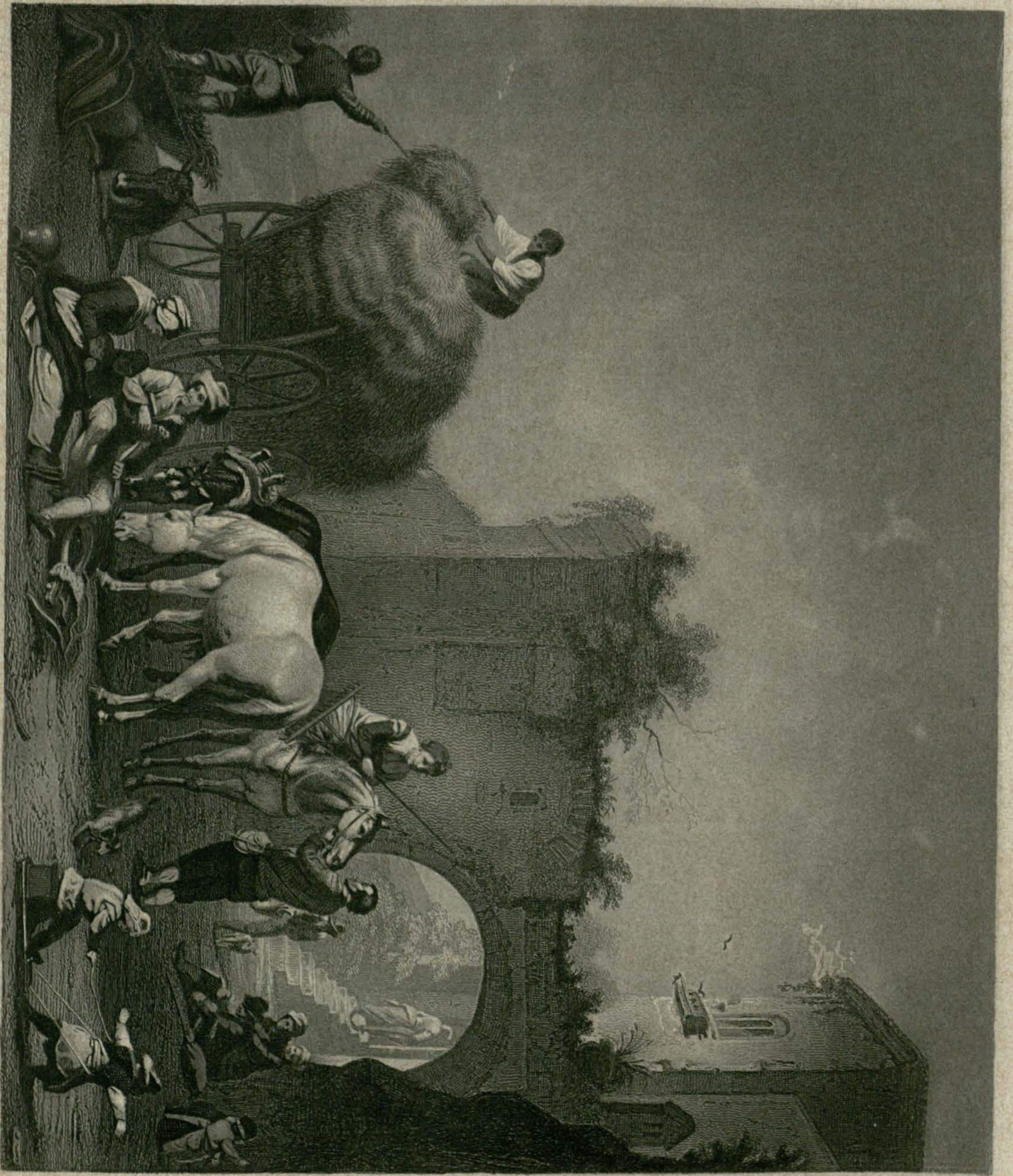
## ROZMAITOŚCI.

*Stownikarstwo polskie* — Wiadomo powszechnie, że Lindego praca, nieodpowiednia wszelkim warunkom lexykografii narodowej. Bogactwa mowy polskiej ś. p. A. Osieńskiego; leżą w bibliotece W. Baworowskiego. Nowe wydanie lwowskie Słownika Lindego, nie wiele, nawet prawie nic nie powiększone, odpowiedzieć nie potrafi potrzebom dzisiejszym. W roku 1843 redaktorowie Przeglądu Naukowego H. Skimborowicz i E. D. wezwali propektem językoznawców naszych, do zbierania prowincjonalizmów w polskich. Zgromadzone z tego względu zasoby Dra Tomickiego, spoczywają dotąd w rękopiśmie, podobno u pozostałego synowca. Teraz świeżo Stanisław Mikucki, pracujący przy Bibliotece głównej O. Nauk. War. ogłosił w Bibliotece Warsz. (zesz. XIII. 1860 r. str. 530—533) i w innych czasopismach odezwę do miłujących mowę oj-

czystą, do znacznych obywateli, kapłanów i wszystkich w ogóle Polaków, aby spisywali wyrazy i wyrażenia w różnych stronach kraju naszego krążące między ludem i zbiory swe nadsyłali do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej. Zaraz w następnym zeszycie Biblioteki, kwoli temu, p. Waga umieścił spis abecadłowy ludowego języka w okolicach Łomży, Wizny i przyległych. Tym sposobem może kiedyś ujrzymy zupełny Słownik polski. Skrócenia bowiem podobne jak Słownik języka polskiego, świeżo kończący się w Wilnie, służyć tylko mogą jako podręczniki, a filologów nie zaspokoją. Z tego też względu wielka szkoda że się tak pośpieszono z przedrukiem Lindego, gdy za te summy, możnaby dobre było wydawać czasopismo, według myśli J. M. Ossolińskiego.

R.





## WUWERMANN

(Z RYCINĄ SZTYCHOWANĄ Z JEGO OBRAZU).

Smutne było życie wielkiego, pierwszego można powiedzieć, mistrza szkoły holenderskiej. Jego pełne wdzięku, z nadzwyczajną pracą wykończone obrazki, nie miały dość powodzenia za życia artysty. Wuwerman bowiem urodził się r. 1620, właśnie wtedy, kiedy Rubens doszedłszy do świtu sławy, nie mógł prawie nastarczyć żądanych przez monarchów panujących i innych amatorów, obrazów. Były to dwie oddzielne, a raczej przeciwne sobie szkoły; Wuwerman zamknął się w jasnym obrębie krajobrazów przedstawiających polowania, targi na konie, lub jakie z dawnego rycerstwa sceny, albo nareście, jak to widzimy na przyłączonym tu sztychu, jakie zbiory sielskie, siana, i t. p. Zaś Rubens malował sceny historyczne, gdzie osoby naturalnej wielkości, pełne prawdy i życia pociągały patrzących, wady w rysunku i grubość pędzla przebaczających dla miłości uroku jaki obudza obraz z figur naturalnej wielkości złożony. To też kiedy dobijano się o obrazy Rubensa, a ten później doszedłszy starości, opływał w bogactwa i we wszystkie zaszczyty jakie daje rozgłos sławy; młody Wuwerman, wtedy z niedostatkiem walczący, mieszkając na czwartym piętrze w ciasnym mieszkaniu, malował swoje pełne uroku, wykończenia, wdzięku, obrazki, i sprzedawał tanio żydowi, spekulantowi, którego wwoził je za granicę: jakkolwiek za podwójną sprzedawał cenę, jednak nie tak wielką do jakiej doszły te arcydzieła cierpliwości i sztuki, po śmierci swego twórcy.

Zrazu Wuwerman malował sceny domowe. Zdawał mu się ten rodzaj właściwszy do jego talentu niż krajobrazy, jakkolwiek te piękne obrazki znalazły wielbicieli, którzy je sprawiedliwie ocenić umieli wszakże następne, przedstawiające polowanie, zbiory rolnicze, dziewczęta cygańskie i t. d. bez porównania wyżej przez znawców cenione były. W nich to mistrz rozwinął swoją pełną wdzięku fantazję. W nich miał obfite pole do urozmaicenia tych scen, wprowadzając różne osoby, strojne w malownicze

wprawdzie, lecz nie dość prawdziwe a raczej fantazyjne kostiumy, które tak biegle umiał wykonać, że każde piórko u kapelusza pięknej damy towarzyszącej myśliwemu, mankiety téjże, również jak ubranie u konia, (bo w żadnym szczególe nie zaniedbał się) obudzały najwyższe podziwienie. Patrzący z uwagą zapytuje w zachwyceniu: co to za lekka, delikatna ręka, mogła tak drobne, z taką poezją odmalować szczegóły? jakie bystre oko zdołało to wykonać? kto wytrwać mógł, wśród tak męczącej pracy? A przecież nie znużony pracą wśród tak ciężkiego żywota artysta, tak wiele zdołał wydać podobnych dzieł. Jakież ich mnóstwo rozeszło się po całej Europie! W Petersburgu jak twierdzą jest ich 50, w Dreźnie 55, w Monachjum 17. Liczą się tu tylko te, które się w większej razem znajdują ilości lecz oprócz galeryj w większych miastach, jak w Wiedniu, Wenecyi i t. p. mają po kilka, tudzież wszystkie znaczniejsze prywatne zbiory; zdaje się więc, że nie na dziesiątki, ale na sta liczyć by można pozostałe dzieła pracowitego artysty.

Znawcy, mianowicie bezwzględni amatorowie szkoły flamandzkiej a szczególnie jej mistrza, Wuwermana, dowodzą, że go naśladować w dzisiejszym wieku nikt już nie byłby w możności; że żaden z dzisiejszych artystów nie zdołałby oddać tych pięknych figur, z których każda wykonana jest z taką stosownością, iż najmniejsze pomarszczenie skóry, włos odstający, wilgoć źrenicy, również jak drobiazgi w ubiorze, z taką samą oddane są akuratnością; że nadto żaden nie potrafi nadać obrazowi tego, cechującego dzieła Wuwermana, kolorytu. Słyszając podobne dowodzenia znakomity nasz artysta Jan... S., jakkolwiek nigdy w podobnym rodzaju nie malował, zaprzagnął spróbować pędzla swego, zarazem dogodzić wesołemu usposobieniu i zrobić jak to mówią *figla*. Mówi tedy jednemu z pierwszych znawców i miłośników sztuki, że zdaje mu się, iż będzie mógł dogodzić jego upodobaniu i dostać za nie wielką cenę Wuw. ze zbiorów dawniej familijnej galeryi J. W. K., z której część o-

brazów jako uszkodzonych gdzieś na składzie na strychu spoczywa, bo między niemi jest bez żadnej wątpliwości prawdziwy oryginał Wuwermana. Uradowany znawca, że swój piękny zbiór powiększy tak cenionem przez siebie dziełem, ciągle przypomina i dopytuje się Pana S. kiedy dotrzyma obietnicy? Ten zapewnia, że już znalazł, że tylko odwernixować go trzeba, ale że tak prędko ani wydobyciem obrazku ani oczyszczeniem zająć się nie mogąc, prosi amatora o cierpliwość. A tymczasem, zasmarowawszy dobrze drzewo tak, że zupełnie cechy starości nabrało, nadto zrobiwszy w niem dziurę, którą starannie zaprawił, maluje nasz artysta obrazek zupełnie w rodzaju Wuwermana. Naturalna, że wykończenie szczegółów wiele mu zabiera czasu, i amatora cierpliwość wystawia na próbę. W końcu staje śliczny, z ciemnym kolorytem obrazek, przedstawiający scenę domową, gdzie dwóch czy trzech przyjaciół częstuje się napojem. Ubiory, twarze szklnięce od dobrego bytu i ciepła w skutek użytego trunku; całe otoczenie, naczynia, sprzęty, zgoła wszystko, tchnie szkołą ulubionego przez amatora mistrza, tak dalece, że w radości, w zachwyceniu, powtarza autorowi obrazku to, co nie raz otrzymał: „Niechże kto z dzisiejszych porwie się na coś podobnego?” Uradowany artysta, że mu się figiel udał, zaledwie mógł ukryć śmiech do jakiego pobudzały go pochwały i radość amatora. W końcu nie chcąc w oczach swoich własnych uchodzić za zwodziciela, nabawiwszy się w gronie przyjaciół, którzy widząc obrazek ostatni podziwiali cierpliwość i sztukę z jaką wywiązał się z zadania, wyznał podstęp swój amatorowi i przeprosiłszy za ten niewinny żart, odebrał obrazek, którego dziś znajduje się w pięknym zbiorze obrazów pani K. Jakkolwiek niezrozumiały znakomity nasz artysta, do dziś dnia utrzymuje, że nie zdołał by naśladować czyli wyrównać mistrzowi holenderskiemu, że amator znawca, gdyby nie gorące pragnienie Wuwermana i wyłączne zamiłowanie w rodzaju jego, byłby po odbytych *na zimno* examinie rozpoznał różnicę; to zawsze chluby-to dowód, że nasz artysta, jako prawdziwie wyższym obdarzony darem, zdołał przejąć się zupełnie innym jak jego rodzajem, i to tak dobrze, że znawca-amator złudzoną został, a obraz znalazł miejsce pomiędzy innymi arcydziełami sztuki. Poważyliśmy się bez upoważnienia opowiedzieć to zdarzenie jedynie w chęci oddania należnej czci krajowemu talentowi do pierwszorzędnych należącemu.

Współcześni Wuwermana nie byli jeszcze wcale wszechstronnymi amatorami sztuki: tak jak by oddając pochwały pięknemu posągowi z marmuru białego, nie można już było ocenić należycie drobnej, lekkiej z kości słoniowej wyrobionej figurki. Oni, jakieśmy to wyżej powiedzieli tylko wielkie obrazy szkoły Rubensa podziwiali, i chociaż monarchowie dobijali się, wraz z możnymi, nie tylko o dzieła artysty, ale i osobę jego, tak, że na kilku dworach przepędzał lata i obfitując we wszystko, co życie uprzyjemnić może, do późnej doszedł starości, to Wuwerman, w niedostatku zaledwie lat 40 przeżył. Tembardziej zadziwiająca jest pracowitość i obfitość niezmordowanej niedostatkiem wytrwałości jego, żeby w tak krótkim życiu, tyle wykończyć arcydzieł.

Dopiero po śmierci artysty potomność zaczęła sprawiedliwiej oceniać utwory jego, a uwielbienie stopniowo się podnosiło. Gdy zrazu po 3,000 złp. je sprzedawano, potem Maxymiljan Bawarski ubiegając się za niemi, tak podniósł ich cenę, że w r. 1794 jeden z obrazów jego został sprzedany za 37,000 franków, zaś księżniczka Bawarska r. 1824 prawie tyleż zapłaciła za jeden z jego pięknych obrazków. Główne cechy, charakteryzujące obrazy Wuwermana, oprócz wypracowania szczegółowo których wyżej wspomnieliśmy, stanowi jeszcze koloryt bronzowato-złotawy, lubo nie dość do natury zbliżony, przecież dodający jakiegoś uroku, co wprowadza patrzącego jakby w inny świat pełen złudzeń romantycznych, w świat balad minstrelowych o rycerzach i pięknych damach. Zdaje się patrzącemu, że istotnie kiedyś ów świat istniał, że go mistrz wiernie pochwycił i uwiecznił na płótnie.

Dzisiejsi niektórzy artyści, oddający się również rodzajowi krajobrazów, zarzucają Wuwermanowi że konie jego, (a każdy prawie jego obraz konia mieć musi), są nie dość kształtne, ciężkie, z grubemi nogami, lecz widać malarz flamandzki wzory do ludzkich postaci brał z wyobraźni swojej, i dla tego żadna piękność, nie podobna do kucharki, nie ma czerwonej grubiej płci, zaś konie malował z natury. Napatrzysz się na ciężkie niemieckie konie, nie pojmował, że i zwierzęta do ideału podnieść można, że w kształtach arabczyka, w jego lekkim biegu, najpierwszy poeta może znaleźć temat do pieśni swój, konia więc nie ociosał z jego grubiej holenderskiej natury, ani go nie wynarodawiał.

S.



## ŻEBRACY W STAMBULE.

Pomiędzy ciekawościami, o jakich podróżni wspominają, wymieniają w Stambule żebraczkę, która nas więcej zajęła z powodu, że się zowie Baba. Wiadomo, że pra-ojcowie nasi, mając tak częste z turkami stosunki, przyjęli nie tylko niektóre rzeczy do ubiorów służące od swoich wschodnich sąsiadów, ale i wyrazy różne jak n. p. dywan: także i Baba nasza oznaczająca starą kobietę, ztamtąd przybyła. — Zda się, że ten wyraz w tureckim języku oznacza nie tylko obowiązek konieczności siedzenia na miejscu, ale także i strój więcej ciężki, owinięty, przywiązany jest do niego; albowiem kupiec czyli sprzedający turek, którego na nogach na krzyż założonych siedzi niezmiernie od rana do wieczora; (gdyż pokazywanie towarów jako podrzędne zatrudnienie zleca Grekom lub Ormjanom, utrzymywanym do tego,) kupiec ten zowie się Ali-Baba, ubrany jest ciężiej jak inni, gdyż ma ogromny turban na głowie i siedzi na miejscu nieporuszenie.

Lecz wróćmy się do naszej Stambulskiej Baby. W części miasta w sklepy, w rozmaite dla chrześcijan błyskotki obfitującej, wspominańskiej przez podróżnych Galata zwaną, pewnie jest znaną stara Baba żebraczka; jej ubiór chędogi, zwykle biały, powierzchowność bardzo przyzwoita, obejście się z każdym poważne i pewną godnością (którą turcy tak umieją przybrać) nacechowane, czynią ją prawdziwie zagadkową istotą, tem bardziej, że chytre, bystre i przebiegłe spojrzenia jakie się jej wymykają z pod owiniętego czoła, z pod spuszczonej na pozór powiek, zdradzają wyższe, obszerniejsze stanowisko niż prostej żebraczki. Różne też o niej chodzą powieści. Jedni tak ją wysoko stawiają, iż twierdzą, że Baba mając sposobność przesuwania się pomiędzy rozmaitemi członkami Ambasady którzy na nią niezwracają uwagi, zbiera rozmaite słówka z których w danym czasie czyni, za sowitą nagrodą, użytek. — Jeknakże to zdanie za najmniej zasadne i podobne do prawdy liczyć można. — Drugie, zdaje się najwłaściwsze, najpowszechniej za takie uważane mówi że Baba ma

stosunek i z handlarzami niewolnic i gdy napotka jakiegoś na którego worek liczyć może, jest pośredniczką w tym szatańskim handlu, lubo jej pozorna godność, cichość, dobroć, nie czyni ją podobną do koczotki frymarczącej duszą i ciałem nieszczęśliwych, to jednak zdaje się nią być. I nic dziwnego! wszak wszędzie, spotykamy złe, pozorem dobra pokryte, i słusznie ktoś powiedział: że terazniejszy szatan tak w Turcyi jak Europie, starannie chować umie nogi i ogon, a zamiast nam pokazywać pazury, wyciąga do nas dłoń, miękką i piękną rękawiczką powleczoneą.

Baba stambulska gdy chce zwrócić uwagę, a rozumie się, że chce zawsze, śpiewa rozmaite pieśni zasiadając na schodkach do bogatych sklepów prowadzących: wybór tych pieśni, zastosowanym jest zawsze do osób jakie nadchodzą; czasem są to hymny pobożne, a czasem zupełnie przeciwne, niekiedy nawet bardzo dwójznaczne piosnki. — Wszyscy, od najbogatszych bankierów, do ubogich kupczyków znają Babę, mając dla niej pewne względy. — Twierdzą, że zabawiając się lat wiele tem rzemiosłem; żebraczka znaczny majątek zebrała, i że nie jeden kupczyk rozpoczynający handel, od niej zapożyczył pieniędzy i naturalnie zawdzięczając, oprócz procentu, płaci jej tajemnicą, pochwałą, obudzeniem współczucia dla niej u obcych. Baba więc coraz większe gromadzi kapitały — Zwyczaj bowiem dawania proszącym jest powszechnym w Stambule, jako należący do przykazań Koranu; lubo żebractwo nie jest liczne, zapewne z powodu, że tak łatwo wyżywić się można w kraju, gdzie kilka fig i suchar pszenny wystarczają na całodzienne pożywienie, gdzie rodzaje rozmaitych sorbetów są nader tanie, gdzie mały datek zalecony jako religijny obowiązek, wystarczy obdarzonemu na nasytienie jego pierwszych potrzeb. To też żebractwo jest bez porównania mniej jak w Europejskich miastach, a ci co się znajdują, podobniejsi są do spekulantów, tym sposobem grube interesa robiących, niż do biednych — (ci widzieć się tylko dają po ulicach zamieszkałych przez cudzoziemców lub uczęszczanych

przez nich i są szczególnie w swoim rodzaju, przechodzący w oszustwie, pokrytem pobożną godnością, wszystkich innych.—Obrazek takiego żebraka spotkaliśmy w opisie podróży po wschodzie jednego z turystów Angielskich, i w skróceniu go przytaczamy.

Autor opisując ulice Stambułu tak dalej mówi:

„Kiedy już miałem opuszczać plac targu koni i zwierząt, przedstawił się oczom moim widok, którego zrazu wziąłem za przywidzenie.— Był to stary małego wzrostu turek, skórę miał żółtą, powieki poczernione, siedział z nogami na krzyż przed podstawką drewnianą, na której leżała ręka martwa—ręka jego samego, jak to wnosić mogłem po wyrazie twarzy jego, pełnym zadowolenia, gdy spostrzegł moje przejście się mimowolne na widok tak straszny. Rysy jego zdradzały rodzaj dumy, gdy patrzył na cudzoziemca którego wpadł w sieć przez niego zastawioną, w której *ponętę* opłacił kosztem własnego ramienia! Jak wprawny w łowieniu na wędkę rybołowiec, dał mi czas jak rybie do pochwylenia silnie haczyka, a potem zawołał: „Oby Bóg mi dał, o co go prosiłem, Jeden jest Bóg i Mahomet, Jego Prorok! Oby ten niewierny, zmarł prędko! cierpiąc piekielne męki!” Takie i tym podobne wyrazy słyszałem z ust jego, gdyż żebracy tureccy mają zwyczaj głośno mruzczyć, a ten nie domyślał się, że ja mogłem rozumieć mowę jego.—Potem widziałem jak czynił przygotowania do stosownego zaczepienia mnie, poprawił trupią rękę, układając w sposób najkorzystniejszy, przybrał wyraz smutny i poważny, jak człowiek którego świeżo bolesną odbył operację, i pogładziwszy brodę, tą jedyną, która mu pozostała, ręką, wyrzekł tonem Baszy, słowa grzeczność wschodnią oznaczające: Salamet Sultanim (żyj w pokoju Sultanie!)

Ci oszuści wschodni mogli by imponować Europej- skim; głęboką jest ich sztuka, godność niczem nie zmieszana i przyznać trzeba, że szarlatan turecki podobniejszym jest do kaznodziei *Metodystów* jak do kogokolwiek innego. Ten, o którym mówimy, z poważną miną, położył rękę na sercu, potem nią dotknął czoła, a wzniosłszy oczy w niebo z udaną wdzięcznością, rzekł do mnie: „Przybyłeś zdrów tutaj, a byś tak samo odjechał! O! ci waleczni Anglicy! O Panie! używaj dni długich!” To wszystko mówił dla otrzymania od niewiernego kilka centymów.

Ja tymczasem rozmyślałem, czy mam się wydać, że umiem po turecku, co by było niekorzystnem, straciłbym możliwość lepszego zbadania charakteru oszusta, gdyż naturalnie pilnował by się.—Szczęśliwy wypadek dopomógł mi w tym razie.— Pokazał

mi się młody żydek Benjamin, znany w hotelu Pera gdzie się kształcił na *Figara*, używany jako tłumacz i przewodnik podróży, których gotów prowadzić nie tylko tam gdzie chcą, ale i gdzie by chodzić nie powinni. Doktor nie mający praktyki zostawszy zawołanym do bogacza chorego, nie biegnie z większym pośpiechem, jak Benjamin biegł do mnie, uważając że go potrzebuje.—Gdy nadszedł, aby ważną rolę tłumacza objąć „wspólne zadowolenia spojrzenie zamienili z turkiem jak dwa psy, które mając już zająca pod nogami, myślą tylko jak by się nim podzielić.—Obydwa nie domyślali się żebym mógł zrozumieć ich następującą rozmowę.

*Benjamin.* — No! mój stary Eski-beski, dalej z twoją historją dla tego niewiernego—ale naprzód powiedz mi ile ja mogę zarobić?

*Turek:* Niech Cię Bóg błogosławi mój synu! jeden piastrow zdaje mi się dla ciebie dostatecznym, trzeba go z worka tego niewiernego wyciągnąć, którego, oby zaraza pochłoneła! powiedz mu żem stracił rękę w służbie znamienitego Baszy i...

*Ja.* wytłumacz mi Benjaminie te słowa jego.

*Benjamin.* On życzy aby Jaśnie Wielmożny Pan żył długie lata, aby miał piękne żony, i liczne syny; mówi, że kiedy ujeżdżał konia dla *Jego Wysokości* w bliskości kolumny przy której Konstantyn Wielki tyle złotych i srebrnych zakopał skarbów, dziryd żołnierza uderzył konia, którego się pod nim kręcił, uniósł go, wiergał nogami w tak straszny sposób, że uderzenia kopyt jego zostawiły ślady na murze meczetu Sultana Achmeda, a w końcu zrzucił jeźdca i ten rękę złamał!—Wprawdzie rana jego mogła być z czasem wygoić się, mógł by nie utracić ręki lecz Derwisz jeden któremu on odmówił jałmużny, przeklął go w imie Allaha, odtąd ręką jego i rana coraz były gorsze tak, że koniecznością było odciąć mu ją, co też uczynili, i oto leży. „Chwalmy za wszystko Boga! rzekł Turek.”

Udałem że to tłumaczenie mi wystarcza, i biorąc rękę, która podobną była do kawała mumii, ozwałem się do Benjamin:—Jak to wiele mówić potrzebowa- łem, żeby wytłumaczyć kilku słów po turecku wyrze- czonych.—Odpowiedział mi na to z powagą słowa, które mi przypomniały sztukę Moljera. „Wszechmo- cny dał temu ludowi język, którego wyraża wiele w kil- ku słowach!—Zapytaj tego człowieka, powiedziałem mu, za ile piastrow chciał by mi sprzedać rękę, której go wszechmocny pozbawił.

„Tutaj rozpoczęła się pomiędzy mymi dwoma oszu- stami półgłosem rozmowa, w której często objęły się

o moje uszy słowa *elli* (50) i *gur* (sto). Poczem Benjamin rzekł do mnie: „w tym roku bogaty Pasza zatrzymawszy się właśnie w miejscu gdzie Jaśnie Wielmożny Pan; ofiarował mu 500 piastrów, i to nie papierami, ale srebrną monetą, lecz ten zacny człowiek nie chciał sprzedać swojej ręki.—Za całą odpowiedź włożyłem w martwą rękę 3 piastry tureckie wartujące 12 soldów, jedno go rzuciłem Benjaminowi i poszedłem dalej.—Dwaj oszuści omyleni w swoich nadziejach zaczęli spluwać na ziemię, co u nich jest wielkiego oburzenia znakiem i głośno wykrzykiwali nazywając „niewiernym wieprzem.”

Do żebraków tego rodzaju możnaby policzyć oszustów zbierających pieniądze za pomocą oszukiwania ludzi, podniecając ich ciekawość, różnemi osobliwościami jakie im pokazywać obiecują, zupełnie na wzór paryzkich ogłoszeń, na które cudzoziemcy się tak łatwo dają łapać. — Zachodzi tylko różnica w mniej lub więcej naturalnych i dobrego smaku przedmiotach, spowodowana na wyższą i niższą cywilizacją tych dwóch narodów.—I tak w Paryżu figlarny francuz zastawia teleskop, zaręczając, że każdy zdziwionym będzie gdy weń spojrzy, że go czeka zupełnie najkompletniejsza niespodzianka — zbliża się ciekawy przechodeń, kilka sous nie zrukuje go; spojrzanie tylko w teleskop, nie zabierze czasu—spieszy więc, płaci naprzód, zagląda, spodziewa się naprzód że zobaczy coś, a tu nic nie widzi! W Stambule nie udałaby się taka wędka; tu trzeba *koniecznie* zadziwić jakąś cudownością, tu więc n. p. przybudynku na przedce ustawionym i przenosić się mogącym, stoi ogromny Grek przystrojony w świecidła lubo często w podartej sukni, i muzyką na dętym jakim instrumencie, uwiadamia przechodniów o ciekawości jaką im pokazać za opłatą gotów.

„Proszę Panów!—woła do zbliżających się na odgłos muzyki —pokażę wam dwa potwory, a raczej jakby dwóch szatanów, pochwyconych żywcem w pustyniach Anatolii. Wiele nas kosztowało piastrów i trudów, za nim zdołaliśmy sprowadzić ich za pozwoleniem Jego Wysokości aż tu do Stambułu.— Jest to rodzaj ludożerców, których mamy nadzieję zwolna przyswoić.” Po takiej zachęcie Grek kłania się zaciekawionemu przychodniowi i wprowadza go za kortynę, gdzie istotnie czeka go widok zadziwiający.—Jest tu w klatce jakby na srogiego lwa zrobionej, straszdyło kosmate, szarego koloru, z nogami Bajwolemi, z nosem sępa, z dużemi, zielonemi, świecącemi oczyma; przechadza się po swojej klatce, jakby się chciało z niej wydobyć—pomimo braku do-

statecznego światła wewnątrz pokrytej ze wszechstron budy, dołożywszy nieco zimnej uwagi, po chwili rozpoznać można, że ten straszny potwór jest zwyczajnym człowiekiem, biednym najpewniej niewolnikiem, zmuszonym w taki sposób zarabiać na właściciela.—Obsyty w wełniane, szarego koloru, włochate kołdry, z przyczepionemi rogami, szklannemi oczami i dziobem sępa; może na pierwszy rzut oka zadziwić, a łatwowierni krajowcy patrzą ze strachem, mówiąc: „Pan Bóg Wielki.”

Wszędzie oszustwo, żebractwo, mniej litości a więcej wstrętu obudza; zdaje się nam jednak, że to ostatnie we Włoszech mniej jest niż gdziekolwiek bądź odrażające.—Uczucie piękna rozlane we wszystkich klassach społeczeństwa, nie dozwala im szpetnemi, przykreml dla oka sposobami wywoływać litości.—Kiedy gdzieindziej pokazują na pół nagie dziecko piszczące, z wykręconą lub poranioną ręką, tam lubo także źle odziany ale chędogi chłopczyk uśmiecha się wdzięcznie, skacze przed przechodzącym, którego dla miłości ładnej jego twarzyczki i zręcznych ruchów przebacza mu tę natrętność;—nawet wiekiem pochylona staruszka, stoi natarczywie i doprasza się o wsparcie; nie ma odrażającej powierzchowności, często ubrana i pończochę robi pilnie jakby na świadectwo, że nie jest próżniaczką.—Kalek, z poranionemi członkami, wykrzywionemi palcami, nie spotyka się tam—Dotknięci takim nieszczęściem znajdują widać pomieszczenie w zakładach dobroczynnych; których tam jest tak wiele: te zabezpieczają ich nie tylko od fizycznej ale i od moralnej nędzy, jaką jest wyłudzenie datku przez wzbudzenie wstrętu do kalectwa, które każdy człowiek nie wynaturzony, prędzej ukrywać starannie aniżeli produkować gotów.

Pomiędzy nielicznymi żebrakami Stambułu spotkać można karłów; jeden z nich najbardziej zajmujący, a tem samem największe zbierający jałmużny, jest nadzwyczajnej małości, *miniaturą* człowieka przez podróżujących nazwany; grek, nazwiskiem Pupizillo, jest tak mały, iżby go można w pudełko od kapelusza zmieścić—potomek upadłej dawniej greckiej rodziny. Pupizillo, ma oczy czyli wejrzenie bardzo roztopne, cienki, piskliwy głos—głowę za dużą do tak małego korpusu; nóg zaś prawie że wcale nie posiada; nie chodzi więc, tylko go noszą w koszyku na miejsce, które sobie do dziennego siedzenia obiera: ukłon jego ma pewien wdzięk i przyzwoitość a w wyrazie twarzy, nie przebija się gorycz, niecierpliwość, tak zwyczajna w upośledzonych od natury istotach; przeciwnie, humor bardzo wesoły, rozmowa

jego dość zajmująca—nie jest żonaty lubo ma już 31 lat przeszło, jednakże nie traci nadziei, że się znajdzie kobieta, która rada będzie przybrać nazwisko *Pani Pupizillo*. Ma on jeszcze ojca—jak mówi, bardzo dobrze i może dla tego zachował wolność, i nie został nabytym przez jakiego z dostojnych Baszów, którzy za-

chowali dawne upodobanie w karłach, tak zawsze wielką grających rolę w dawnych arabskich powieściach.—Do dziś dnia spotkać można często małego karła obok czarnego Eunucha poprzedzających powóz, w którym zamknięte Odaliski udają się na przejażdżkę dla odetchnienia świeżem powietrzem. S.

## STEPÓWKA.

(Pterocles.)

(Z RYCINĄ KOLOROWANĄ.)

Rozważywszy kształt Stepówek, które niemcy *piaskowemi kurkami* zowią, słusznieby można te ptaki poczytywać za szczebel przejściowy między kurą a gołębiem. Stepówka bowiem ma w sobie wiele podobieństwa do obu tych ptaków.— Chód jej taki jak kury, a lot do gołębia zbliżony. Układ i kształt dzioba, głowy i nóg do kury podobien zupełnie, skrzydła zaś i ułożenie piór ma jednakie z gołębiem; wszystko więc razem tworzy powierzchowność dość udatną.— Skład i cechy Stepówki są następujące: dziob ma krótki, okrągławy, trochę przy końcu zakrzywiony; nogi także dosyć krótkie, od góry aż do palców zarosłe pierzem miękkim i nie długim; trzy palce przednie są małe, ale silnie zbudowane; trzeci tylko bywa wysoko obsadzony, bardzo małym, ale za to silnie opatrzonym pazurem; skrzydła długie kończą się spiczasto; składają się zaś z 10 lub 12 stérówek, z których dwie środkowe zwykle wystają. Barwa ich rozmaita bywa, zawsze wpada w brudno-żółtawy odcień, niekiedy i popielatawy; w ogólności bardziej jasny niż to zwykle bywa u ptaków w piaszczystych pustyniach przebywających. Trudnoby rozwiązać ową zagadkę, czy to skutkiem pożywienia? czy też przez wpływ zapatrywania się ciągłego na żółtawą i szarą zawsze powierzchnię ziemi, podobnego nabierają koloru? Na grzbiecie bywa ta barwa ciemniejszą i jakby w łuki zarysowaną.

Stepówki zamieszkują strefy gorące, piaszczyste, puste, lubo wiadomo, że żywią się i zbożem. Afryka, Ameryka, Azja, posiada ich w częściach południowych. Naturalista Naumann w dziele swoim pod tytułem: „Naturgeschichte der Land-und Wasservögel” etc. wspomina, iż w 1801 roku w sierpniu okazała się para tych kurek w księstwie Anhaltskiem

które tak opisuje: „ta para ptaków zerowała na wzgórkach, kwacząc zupełnie jak kury wodzące kurczęta. Były tyle śmiałe, że lubo widziały strzelca tak nie uważały na niego, że mógł się do nich zbliżyć. Wznosząc się, to jest podlatując, tak zupełnie jak gołębie klaskały skrzydłami. Samiec ubity miał wole napełnione ziarnem soczewicy, pszenicy i jęczmienia, między którymi znajdowało się kilka owadów.”

Szkoda prawdziwa, że ten strzelec rozdzielił parę która może z dalekich krajów przybywszy i znalazłszy dla siebie łatwy żer, gotową była pozostać, rozplenić się, i może dziś byłyby nam znane jak inne ptaki przyswojone do klimatu, lubo pierwotnie z innych stref przybyłe. Lecz gdy zabito jedno, drugie zapewne spłoszone, osierocone ptasie, uszedłszy w swoje strony, więcej o oddaleniu się z nich nie pomyślało.— Gatunek tej wędrowniej pary nazywał się podług Naumanna: *Tetrao arenarius*. — Twierdzą iż parę gatunków tychże samych stepówek znajduje się na Ukrainie, dalej ku wschodowi za Dnieprem i Donem.

Para Stepówek opisana przez Naumanna stanowi widać wyjątek co do usposobienia odważnego gdyż te ptaki są uważane za bardzo lękliwe, ostrożne i dla tego tak ciężkie do upolowania. Naprózno siliłby się myśliwy, gdyby je chciał w pustyni dostać, czekać musi i wypatrzeć miejsce, do którego rano lub w wieczór przylatują pić: wtedy w czasie zerwania się do lotu strzela, i tyle tylko skorzysta gdy za jednym strzałem ubije; powtórnie bowiem jużby mu się nie udało, bo daleko odlatują. — A jak twierdzi naturalista Szmid, Anglik, nader szybki lot mają— skoro się do nich kto zbliża, wzlatują i krążą jak gołębie, a potem prostopadle prawie spadają na miejsce jakie sobie obiorą.

Żywią się te mieszkanki piasków i skał bardzo





skromnie, trochę ziarna, którego wyszukanie wiele im trudu i czasu zabiera i trochę owadów, wystarcza im do nasycenia się—pić jak kury potrzebują koniecznie.—Na drzewach nie siadają jak kuropatwy. — Za gniazdko wystarcza im mały dołek w piasku, tam samica znosi 3 lub 4 jajka kształtu owala podłużnego, na obu końcach jednakowego, kolor ich także

żółto-brunatny, ciemnymi plamkami nakrapiany. — Pisklęta zaledwie wyjdą z jaj, biegają po ziemi i są pokryte nie zwykłej miękkości i gatunku puchem.

Stepówki na tej tablicy przedstawione są z rodzaju *Pterocles Setarius*. Rodzajową jej nazwę Francuzi nadali Ganga albo *Gelinotte*; ta ostatnia nie prawdziwa;— Niemcy zaś *Sand-huhn*.

## JEDEN Z POETÓW SŁOWIAŃSKICH.

W zeszłym poszycie „Księgi Świata„ daliśmy wiadomość o życiu poety i wyjątki w przekładzie prozą, z utworów jego poczętych pod gorącym południa niebem. Teraz umieszczamy wyjątki z wierszów pełnych natchnienia Słowianina, mieszkańca północy.

Zapewne damy kiedyś jego życiorys; tymczasem zaś, przytaczamy wyjątki z poematu, nakreślonego we Włoszech pod nazwą:

### ZARYSY RZYMU.

„Tu, w czasach starożytności, zwolennicy Epikura pośród marmurów, przy szumie wód spadających, przy dźwięku lir, na cześć Bachusa i Amora, wyprawiali uczty, pod wspaniałem rozlegające się sklepieniem. Tłumy niewolnic, strojnych w róże, płasły na około uwiecznionych kościotrupów, dopóki w ich czarach błyszczało wino, dopóki miłość we krwi ognistej grała i dopóki kwitły wieńce, które miłość dla nich uplotła. Ciż sami to i teraz, synowie Auzonii! Uczta ich brzmi i teraz pieśnią nadobnych dziewczyc, pośród zwalisk—kościotrupów, bluszczem i mirttem ognistej wiosny uwiecznionych. Podczas, gdy śmierć i zrządzenie się świata zwiastują posepne chóry bractw zakonnych, gdy wre pod ziemią lawa zniszczenia,—tutaj błyszczy wino, śpiewa wesola uczta i króluje bogini rozkoszy.“<sup>1)</sup>

„O, jakże lubię *Frascati* podczas święta w lecie! Tu, na ciemnym nieba lazurze, na białych szczytach gór—tak jaskrawo się malują i laur, i bujny cyprys i krzaki róż, i mirt, i dąb stuletni. Organy brzmią poważnie. Katedra w girlandy przystrojona. Z okien domów czerwieni się szkarłat kobierców. Tu, po ulicach, poprzedzone chorągwiemi, idą processye zakonne; tam się tłoczą gwarnie tłumy ludu, a złoty słońca promień, przedarłszy odwiecznej alei skle-

pienie, nagle blaskiem nieznanym oświeci główkę młodej córki południa. Obraz pełen zachwycenia! Dla przychodnia jest on snem czarownym!

„Lubił go Włodzimierz. Szedł z wolna. Ale wśród tłumy i gwaru, zwykle zajęły go dumania. Często zwracał wzrok swój na góry śniegiem okryte, i chwycił wiatr z ich szczytów wiejący, jakby chłodne westchnienie dolin rodzinnych. Nie raz, pośród uroczej południa przyrody, wspominał szum swojej dąbrowy i szybkie nurty rzek rodzinnych, i mrok tajemny lasów odwiecznych.“

(Po spotkaniu się poety z rodakiem, toczy się rozmowa:)

*Hrabia*. „Jak się masz, przyjacielu! Powiedz-że mi, gdzie się obracasz? Od tygodnia prawie tu jestem i ciągle ciebie szukam. Byłem u ciebie, alem nie zastał ani razu. Czyś wstąpił do zakonu? Zdrówżeś przynajmniej?.. Ale pozwól, niechże ci przedstawię pana X... mojego towarzysza: jechaliśmy razem do Rzymu.

*Włodzimierz*. A... jestem rad bardzo...

— Mam honor — ja — radca stanu, Lew Iwanycz Tarakacki, Z kimże mam honor?

*Włodzimierz*. — \*\*\* —

*Lew Iwanycz*. — Ranga? Służyłeś pan?

*Włodzimierz*. — Służyłem.

*Lew Iwanycz*. — Dymisyonowany?

*Hrabia*. E, dajże pokój, Lwie Iwanyczu; zostaw na później badania. No, jakże ci się powodzi?

*Włodzimierz*. — Sam jestem, jak widzisz; powodzi mi się nieźle.

*Hrabia*. Czy znałeś księżnę Dońską? Ona jest tutaj.

*Włodzimierz*. Nic mię to nie obchodzi.

*Hrabia*. Znalazłem tu krewnych, hrabinę Terentjewą.

*Włodzimierz*. Wiesz przecie, że w świecie oddawna nie bywam.

<sup>1)</sup> Pisał to poeta M. w r. 1844.

*Hrabia.* Ależ nie; wszakże tu wcale inaczej żyjemy. Ja dziś nie tańczę.

*Włodzimierz.* A toż czemu? Zostałeś dyplomata?

*Hrabia.* Wcale nie to. Zgłębiamy tutaj naukę starożytności. Kuzyna, ja, księżna, mr. Ferteau, pewien francuz, wszyscy razem—oglądamy, czytamy, sprzecząmy się. Cóż to za śliczny ten Rzym, w tym zwłaszcza miejscu, gdzie Kolizeum, i Termy Karakali. Istna poezya! To, bracie,—nie fińskie skały. Jaka szkoda, że Bajron umarł! Zabrałibyśmy z nim znajomość, bez wątpienia! Z Bajronem razem życzył bym, podczas nocy, zwiedzić Kolizeum i posłuchać, coby też powiedział on w tém miejscu, tyle wślawioném przez wielkość starożytnych? Byłoby to rzeczą cudowną!

*Włodzimierz.* Tymczasem, dla braku Bajrona, radziłbym posilać się sérem, popijać lakrymą, gapić się w Tardenonie i tańczyć z hrabinami na balu u Torloniego, a dać pokój światu starożytnemu.

*Hrabia.* Ależ, okrutnym jesteś i nie znasz mié wcale. Księżna Dońska—jest to anioł dobroci... Alboż do tyła złośliwym jesteś? Czyż myślisz, na prawdę, że my nie czujemy całej piękności Italii? Natura i sztuka budzą w nas tutaj wcale odmienne uczucia.

*Lew Iwanycz.* Zmiłujże się pan. Doświadczyłem tego na sobie samym. Zapewne, że dla mnie daleko jest lepiej mieszkać w rodzinnym kraju, w domu—ani słowa: znajomości, pokrewieństwo, kurjera, szacunek... ale tu człowiek staje się zupełnie innym, i nieraz przychodzą takie myśli, o jakich aniby się śnić mogło kiedykolwiek. Ganię tu niektóre rzeczy, jak np. brak domatorstwa, życie w *café*; ale wielu przyjemności gdzieindziej znaleźć niepodobna. Nie lubię Torsów, Apollinów; ale za to, jakżeż mi się podobają tutaj obeliski! U nas wiecznie też same kolumny... już obmyśliłem, jakim sposobem kolumny mogą być przez obeliski zastąpione; mam zamiar o tem pisać do Petersburga; przedstawię projekt—najprzód, rozumie się, osobom blizkim... wyznaczą komisję: jak zbudować portyk oparłszy go na obeliskach?.. No, jakże się panu podoba myśl moja.

*Włodzimierz.* Cudowny pomysł! Szkoda, że kościół Jzaaka już jest na ukonńczeniu.

*Hrabia.* Tak, prawda.

*Włodzimierz.* Szkoda, pomysł zginie.

*Lew Iwanycz.* Otóż, widzisz pan, jaki wpływ na umysł wywierają Włochy!

Natychmiast tu się przeistaczamy.

*Włodzimierz.* O, tak! Wpływ fatalny! Student, radca stanu, jenerał, zaledwie oddychać zaczną powie-trzem Buonarottego, gdy—oto już każdy z nich zo-

staje artystą, staje się innym, duszą i ciałem: Ruszaj pan do Wenecyi: tam, gdzie Doża...

*Lew Iwanycz.* Pojadę niezawodnie, ależ powiedz mi pan, pod jakim względem ma być tak ciekawą Wenecya? Cóż tam szczególnie na uwagę zasługuje?

*Włodzimierz.* Różne są usposobienia. Pana tam zaciekawia, być może, gondole, szalase na *Riva di sciavoni*, pajazo, doktorzy, szarlatani, albo wieczorami na placu śpiewający; wszystko to jest rzeczą bardzo przyjemną.

*Lew Iwanycz:* (tajemniczo). Wszystko to są zabytki rzeczypospolitój, rozumiem.

*Hrabia.* A kobiety? jak piękne!

*Lew Iwanycz.* Dla kobiet jużem za stary, już nie te latka... czas do domu, do żony i dzieci.

*Hrabia.* Całkiem się znudził nasz Lew Iwanycz: rwie się ciągle do swoich gąsek, kokoszek.

*Lew Iwanycz.* Jużem się takim urodził, i przero-bić mié trudno. Czasem tak mi się tęskno robi! Na honor oddałbym wszystko, za swoje ognisko rodzinne, domowy samowar, kapuśniak z przyprawą wczorajszą, za łamiącą kości parą ruskiej łaźni! I cóż na to, mój panie? A saneczki nasze, a koniki rączce?... Rad jestem, żem obce zwiedził kraje, ale kraj mój rodzinny, choćby najgorszy nawet, zawsze mi jest najmilszym.

*Włodzimierz.* Wybornie. Podajcie mi rękę waszą Lwie Iwanowiczu!

*Lew Iwanycz.* A co, mój panie, zatęskniłeś?

*Hrabia.* Otóż mi ślicznie!.. Ledwie kraj swój barbarzyński scytowie porzucili, gdy już i płaczą po nim O scytyzm!

*Włodzimierz.* Tak, scytami jesteście... Zaprawdę, nie mało scytyjskich posiadamy przymiotów.

*Hrabia.* Hyperborejczykowie! Z waszem do lasów i stepów przywiązaniem,—na wieki dla was obcą Europa pozostanie. Nie! człowiek istotnie rozumny, jest kosmopolitą. Jego dusza zachwyca się wszędzie rozwojem, postępem; postrzega z radością, jak ciągle wiek nasz *naprzód i naprzód* dąży, i tam ojczyznę znajduje, gdzie jest postęp. Samój tylko stagnacyi nienawidzi. Szkoda, że teraz nie mam czasu; zaczekaj trochę, nous discouterons—rozstrzygniemy, roz-bierzemy to później. Ależ, dziwna rzecz, czyś za granicą nie porzucił jeszcze swoich idei patryotycznych?

*Włodzimierz.* Nie mogłem na żaden sposób: we mnie jeszcze silniej...

*Hrabia.* Wszystko głupstwo! Wierzaj mi, że skończysz w szpitalu obłąkanych... Faut, que je te quitte, zegnam cię, scyto!

*Włodzimierz.* Bywaj zdrów—kosmopolito!



## PIERWSZY PODRÓŻNIK EUROPEJSKI W DEGE-LA MHORA,

### CZEŚCI ŚRODKOWEJ AFRYKI.

Nieszczęścia młodego Maizana porucznika marynarki francuskiej, którego pierwszy z Europejczyków udał się z Zanzibaru przez Dege-Mhora do środkowej Afryki, są jednym z licznych dowodów przekonujących o tej prawdzie: że do wszystkich przedsięwzięć oprócz odwagi, wytrwałości, zapału, potrzebna jest roztropność i ostrożność. Ta ostatnia, ponieważ graniczy z lekliwością, częstokroć nie dość ma uznania dość ją cenić i odróżnić od prostego tchórzostwa umiejm młodzi i tym sposobem niweczą najlepsze zamiary, jak to zobaczymy w następującym zdarzeniu, które jako prawdziwe i mające główny związek z tak zajmującymi dziś odkryciami w środkowej Afryce, ze wszystkimi szczegółami umieszczamy.

Roku 1844, Maizan porucznik marynarki francuskiej, dawny uczeń politechnicznej szkoły, przybył do Zanzibaru, upoważniony od rządu swego do czynności mających na celu odkrycie jezior w środkowej Afryce. Zaledwie lat 26 liczył młodzieniec, a już nieomal posiadał wszystkie wiadomości do podobnego zamiaru potrzebne: nadto opatrzonym był we wszystkie narzędzia jakichby w podobnym razie do spełnienia powierzonego mu zadania mógł zapotrzebować.— Nawet wszystkie sprzęty i rzeczy jakie posiadał miały zbyt bogatą powierzchowność, mogącą ściągnąć uwagę dzikich, z którymi się miał zapoznać, i obudzić w nich łakomstwo naturze ich właściwe. Co istotnie, jak widać, tak było, gdyż później widziano u naczelnika ich, pudełeczko złote, zawierające chronometr, przerobione czyli używane zamiast tabakierki, a guzy złote do podtrzymywania namiotu jako ozdobę szyi jego, którą nosił jak widać na wzór akselbantów europejskich, pomimo że ich nie widział nigdy. Tak to ze smutkiem wyznaczyć nam przyjdzie, iż dzicy częstokroć spotykają się z nami w upodobaniach swoich co do ubiorów, a nawet niekiedy i co do zabaw.

Przestrzegano młodego podróżnika, zachęcano aby jak najskromniejszy miał z sobą rzeczy, gani-

no że wszystkie sprzęty kuchenne były z błyszczącego metalu—nie zwracał na to uwagi, nie sądził aby to mogło jakiegokolwiek ściągnąć nań nieszczęście, które istotnie i innemi okolicznościami spowodowane było. Twierdzono bowiem, że Francya chciała spróbować, czy jej się nie udałoby założyć pewną osiadłość w Pangani, lub jakim innym miejscu wybrzeża. Na to przypuszczenie, wszystkich narodowości kupcy osiedli w Zanzibaru, przestraszeni o handel swój, którego zyski znacznie w takim razie zmniejszyłyby się mogły, zaczęli rozpuszczać rozmaitego rodzaju pogłoski pomiędzy miejscowymi mieszkańcami na niekorzyść wyprawy, a ci, też pogłoski pomiędzy dzikimi opowiadali.

Napróżno pan Brochant konsul francuski w Zanzibaru ostrzegał młodego przewodcę wyprawy, że człowiek którego wziął z tamtąd do pomocy i któremu zamiary swoje powierzał, nie był godnym zaufania jego. Pułkownik Hamerton ostrzegał go ze swjej strony, jako mający więcej doświadczenia, iż wszystkie sprzęty jego, zwracające uwagę, a mianowicie rozmaite złote paczki, które w mniemaniu dzikich, nie do schowania potrzebnych bussol lub chronometrów, lecz na dolary przeznaczone i niemi napełnione być mogły, narażają go na niebezpieczeństwa. Głuchym był na te wszystkie przestrogi młody porucznik, i jakby naumyślnie trzy razy zwiedził brzegi, zanim na nich wysiadł, i tym sposobem, dał czas dzikim patrzącym nań zdala, do uknowania szkodliwego zamiaru.

Młody marynarz, jak zdaje się, gardził wszelką ostrożnością, może ją za zbytnią lekliwość uważając, tak dalece, że oprócz wyżej pomienionych uchybień, które nieroztropnościami nazwać można, popełnił jeszcze większą, a temi były: ufność i rodzaj braterstwa jakim się związał z czarnym Unyamvesi, czem obraził na siebie Arabów, i opuszczenie Zanzibaru. Nie czekał on na obiecaną eskortę przez sułtana, którego powolność zniecierpliwiła go. Nadomiar, na ukoronowanie rzecz można swjej śmiałej, nieogłędnej od-

wagi, Maizan przyjął gościnność naczelnika czarnych z tak zupełną ufnością, iż się w żadną broń nieopatrzył. Nie jeden, jak świadczą podróżni, poniósł przedwczesną śmierć w Indyach z powodu tego fałszywego punktu honoru! Nie jeden dla uniknięcia fałszywych zarzutów pod tym względem, przez płytkie umysły ciskanych, zmarnował odwagę, niedokończył przedsięwzięcia z braku potrzebnych i koniecznych ostrożności.

Tak Maizan po deszczach roku 1845 spadłych, nie poczekawszy na czterdziestu muszkietierów przyobiecanych, i wykomenderowanych dlań do eskorty, opuścił Zanzibar i tylko ze swoim służącym Fryderykiem, rodem z Madagaskaru, z kilkoma Beludżystami i do pilnowania i prowadzenia osłów ze swoim murzynem z Uniamvesi wysiadł w Bagamoyo, i wbrew rady swego nowego przyjaciela czarnego, udał się z nimi w odwiedzinach do posiadłości Degela Mhora, do Phazi-Mazungiera naczelnika klanu Wazaramów. Zaś rzeczy swoje zostawił w miasteczku jakim jest Bagamoyo, pod strażą Beludżystów.

Nim przystąpimy do rozwiązania tego smutnego dramatu, powiedzieć słów kilka musimy o Beludżystach, z powodu że ten rodzaj najemników, przypomina nam znanych Kurdów, Baszy-buzuków i t. p. oddziały zbrojne, w jakich nie koniecznie służą ci, których nazwę noszą; tam są i inni chcący w ich stroju i pod ich prawami pełnić wojskową służbę. Dzisiejszy sułtan Zanzibaru, naśladując poprzednika swego, którego pierwszy powziął myśl zastąpienia swoich Arabów milicją, obcą płatną, trzyma na szczupłym żołdzie oddziały z tak zwanych Beludżystów, lubo oni nie wszyscy pochodzą z Beludżystanu, i są po większej części z innych Azyi prowincyj. To dziwne, romantyczne, nieprzymusowe wojsko, nie lubione przez krajowców, i przez mieszkańców Zanzibaru, bo jako milicja, z położenia swego często stawa w sprzeczności z nimi. Wojsko to jest bardzo mało płatne, ale za to dozwolony mu rabunek kiedy jest w służbie czynnej. Młodzi oddają się ćwiczeniom ciała, na wzór kurdów, starzy z siwymi brodami rycerze, lubią opowiadać cudowne historye zdarzone dawnemi czasy o strasznych górach, śniegach i chwalić dziwną bujność i słodkość płody jakie wydaje Beludżystan. Dowódcami ich są starsi jakby oficerowie, którzy, jak twierdzą, okropnie kradną, i rząd co płaci i żołnierzy którym płacą. Ci zaś którzy nie są użyci do służby czynnej, co nie są zbrojni, zajmują się do rozmaitych posług, mianowicie do prze-

noszenia rzeczy i do prowadzenia osłów. Takich-to właśnie zostawił przy bagażach swoich z karawaną, w miasteczku nasz biedny podróżny, kiedy powziął zamiar zapoznania się z dowódcą niepodległego klanu Wazaramów, w chęci zapuszczenia się w głąb kraju.

Zrazu naczelnik był pełen uprzejmości dla Europejczyka, którego był pierwszym z tak daleka w posiadłości jego gościem: zdaje się że Maizan najzupełniej fałszywej jego gościnności zawierzył—bo gdy w kilka dni potem, kiedy już dziki Mazungiera osądził zamiar swój dojrzałym do wykonania, i gdy wezwał Europejczyka aby przybył do *Chaty* jego, ten bez najmniejszej obawy, sam z Fryderykiem swoim przybył. Mazungiera powitał go ostremi wyrzutami że innym naczelnikom klanu rozmiłte poczynił podarunki, a krzyżąc coraz mocniej na zdziwionego i przełkniętego gościa, wpadł we wściekłość i silnym zawołał głosem: „Umrzesz natychmiast.” Na to hasło, ustawieni na czatach dzicy wpadli do chaty. Fryderyk uczepił się odzienia żony naczelnika, co widać podług krajowych obyczajów chroni od niebezpieczeństwa, i zachęcał swego pana aby toż samo uczynił, ale nieszczęśliwy młodzieniec, nieposłuchał go; straciwszy przytomność umysłu, stał osłupiały. Wtedy dzicy przynieśli dwa kawały grubego drzewa, a złożywszy je na krzyż, przykrępowali biednego podróżnego. Następnie wynieśli go opodal od zabudowań i oparli tak przywiązanego o drzewo. Wtedy okrutny Mazungiera uzbrojony w ogromny nóż, zadawał męczeństwa odcinając wszystkie członki ciała, rozkazawszy poprzednio swoim dzikim bić w bęben i śpiewać pieśń wojenną na znak zwycięstwa. Męczarnie te zadawał mu w chęci dowiedzenia się gdzie ukrył bogactwa swoje; lecz na groźne zapytania nieszczęśliwy młodzieniec nic mu nie odpowiadał, zanosił tylko do Boga modlitwy o przebaczenie grzechów, i wspominał imiona osób które go ostrzegały o niebezpieczeństwie, żałując, że rady ich nie słuchał. Nareszcie okrutnik nie mogąc się nic dowiedzieć, chciał skończyć z ofiarą swoją i przystąpił do odcięcia głowy, lecz postrzegłszy że nóż jego nie był już dość ostry, z flegmą wyostrzył go i oddzielił głowę od karku! Tak zginął młodzian pełen wykształcenia, nauki, obdarzony nader przyjemną powierzchownością! Takim to kosztem zdobywają się odkrycia krain przez dzikich zamieszkałych. Szczęśliwy kto, w przedsiębiorstwie podobnem, rostopności ostrożność połączy z odwagą. Omylony dowódca w nadziejach swoich, chcąc koniecznie aby mu ofiara za-

mordowana bezkorzystną nie była, zamierzył zabrać bagaże podróżnego przed Beludzystów w Bogamoyo strzeżone, lecz mu się to nie udało. Chciał nakoniec stać się postrachem dla karawan, i z nożem którym świeżo dopuścił się okrutnego morderstwa, stanął przed karawanami, wymagając daniny. Ale przytomny, mający doświadczenie Arab, kupiec z Muszkatu, tak mu umiał zaimponować, że okrutnik z temi których czuł w mocy swój, stał się pokornym, gdy uczuł wyższą nad sobą władzę.

Fryderyk powrócił do Zanzibaru wkrótce po zabójstwie na panu dokonaném i został w fortecy uwięzionym, z kąd później uszedł. Sądzą że gdyby ucieczka jego nie nastąpiła, okropny zamach a raczej spisek mógłby być prędzej odkrytym, gdyż wnieść można że mógł był dostarczyć różnych szczegółów, wskazać rozmaite osady, z którychby nie do straszego kłębka wywinąć by się dała. Z téj ucieczki i z ukrywania się Fryderyka pod imieniem arabskiém, poczyniono wnioski że sułtan Zanzibaru był w zмовie z Mazungierem, jako z wassalem swoim, co było zupełnym fałszem gdyż Mazungiera wcale nie był poddanym sułtanowi; był bowiem naczelnikiem niepodległego klana Wazaramów.

W rok potem 1846 r. bryk francuski ze stacyi Burbon zawinął do Zanzibaru domagać się ukarania popełnionego na marynarzu rządu francuskiego morderstwa. Sułtan tłumaczył się że Mazungiera nie jest pod władzą jego, lecz ponieważ widziano wkrótce po morderstwie, tego ostatniego na brzegach tamtejszych, rząd francuski nie wierzył w szcerość tłumaczeń sułtana, którego w końcu nie mogąc się oprzeć naleganiom, wyprawił oddział zbrojny z czterechset muszkieterów złożony, dla schwytnia zabójcy. Oddział ten spotkał Wazaramów, któremi dowodził syn Mazungera, potykał się z niemi przez dni pare, a rosproszywszy ich, zmusił do ucieczki, raniwszy kulą w nogę dowódcę i pochwywszy murzyna, którego bębnił w czasie zadawanych mąk nieszczęśliwemu Maisan. Zrazu murzyna tego, polityka afrykańska udała za Mazungera; uwięziono go więc w Zanzibar, okuto, tak że po dwóch latach niewoli życie zakończył.

Po śmierci porucznika Maizan prosta droga z Zangomaro przez osadę Dege-la Mhora długo opuszczoną była. Czarni krajowcy, którzy widać jak wszystkie, ludy wierzą w nadprzyrodzone zjawiska, duchy albo pokutujące, albo karzące przytomnością swoją tych co zbrodnie na nich popełnili, utrzymują dodziśdnia, że droga ta jest niebezpieczną, z po-

wodu smoka, a raczej ogromnego węża, którego nie jest czem innem, jak duchem zamordowanego białego. Nadto lubo zabójca zdawał się ustrzedz sprawiedliwości ludzkiej, nie ochronił się od sprawiedliwości Bożej, jak twierdzą znający mieszkańców podróżni. Okrutny Mazungiera za zdradzieckie zamordowanie człowieka białego, którego mu zaufał, i przyjął gościnność jego, cierpi ciągle niepokoje; jakby widmo trupa zamęczonego straszło go ciągle; co było tak mu nieznośnym, że aż uciekł z kraju swego. Nadto Klan jego, może w skutek ścigania i rosproszania, upadać zaczął i dotąd upada. Przynać należy iż rząd francuski szlachetnie się znalazł, upominając się tak uporczywie o zadosyćuczynienie za popełnioną zbrodnię na jego wysłańcu; wyższym się stokroć okazał od rządu angielskiego, którego w podobnych wypadkach zachowuje zupełne milczenie. Dowód to nieludzkości, obojętności dumnej Anglii, którą nie obchodzą tak małe wypadki. Np. zabójstwo porucznika Strogan uszło bezkarnie, pomimo, że trochę starań i kilka dolarów byłoby wystarczyły na wymierzenie sprawiedliwości zbrodniarzowi, którego dotąd najspokojniej przechadza się po ulicach Borberah.

Kapitan marynarki angielskiej Burton w 12 lat później zwiedzał tamte okolice, a jeszcze pamięć morderstwa, a razem obawy zemsty za nie, przejmowała mieszkańców tak dalece, że Burton chcąc zwiedzić smutne miejsca teatrem dramatu będące, nie mógł namówić towarzyszących mu Arabów i czarnych, aby na przepędzenie nocy zajechali do Dege-la Mhora. W tak liczną opatrzony eskortę, podróżny nie miał przyczyny jak mu się zdawało mieć żadnej obawy, a nadto, chciał właśnie tak mieszkańcom miejscowym jak swojej karawanie dać dowód odwagi. Lecz nie znając miejscowości, został oszukany przez Arabów i ci zaprowadzili go do innej wioski, opodal od Dege-la Mhora położonej. Dopiero nazajutrz rano, wydało się podejsćie, i gdy na rozkaz kapitana podjechali pod posiadłość Wazaramów, znaleźli ją do koła opalisadowaną. Dowódca klanu, syn poprzedniego okrutnego Mazungiera, dowiedziawszy się przez uciekających sąsiednich mieszkańców o zbliżeniu się cudzoziemców, zebrał ludność swoją do obrony. Widać sądził że to są jeszcze rodacy nieszczęśliwego zamordowanego Europejczyka, chcący pomścić śmierci jego. Wszystkie kobiety i nie-dorostki wgląd za palisadami w chatach pochowano; zaś młodziany, których powierzchowność nawet bardzo była ujmującą, stanęli rzędem ze spokojną

odwagą, zbrojni w piki, łuki i strzały, gotowi na pierwszy wystrzał odpowiadać licznymi pociskami strzał świeżo zatrutych. Dowiedziawszy się Hembe że cudzoziemcy nie mają zamiaru uderzać na nich, wystąpił sam otoczony kilkoma zbrojnemi, i porozumiał się z tłumaczem, którego mu obiecał kilka listów polecających go do naczelników wybrzeża, gdzie Hembe miał zamiar posłać dla zakupu prochu.

Nie raz to pierwszy miał spotkanie z temi walecznymi dzikimi kapitan Burton; w tejże okolicy, gdy się przesuwali ścieżką wśród błotnistych miejsc, oddział Beludżystów, którego ich poprzedzał z oficerem na czele, zatrzymanym został przez pięćdziesięciu Wazaramów, których strzały pod blaskiem słońca migają szklącym, czarnym kolorem, co znaczyło, iż świeżo były płynem zatrutym napuszczone. Postawa spokojna dzikich smutną stanowiła sprzecznosc, z przerażeniem niespokojnem Beludżystów. Oficer — lubo blady z przerażenia, zdołał ich uspokoić datkami z materyi różnych i naszyjników. Otrzymaawszy taką daninę, oddalili się spokojnie.

Podróż kapitana Burton, z której przytoczyliśmy tu te wyjątki, jest bardzo ciekawem dziełem w dwóch tomach pod tytułem: „Jeziora środkowej Afryki,” nader obfitem w zajmujące opisy miejscowości tak jeszcze mało dziś znanych, tudzież rozmaitych odcieni jakie zachodzą w charakterach i zwyczajach ludów tamtejszych. Ciekawe to zaiste są te rozmaite pokolenia środkowej Afryki! Zupełnie dzikimi nazwać ich nie można; mają bowiem pierwotną cywilizację, którą się widzi w rozmaitych rozbudzonych potrzebach, wygodach życia, obcych ludom dzikim. Lecz ta cywilizacja przez Arabów niegdyś im przyniesiona, ma pewną oryginalność odznaczającą ich od innych pół-cywilizowanych Indyan Ameryki lub rozmaitych wysp, którzy od osadników europejskich daleki promyk światła zaczerpnęli.

Każden z dzisiejszych podróżnych, nauczony smutnym końcem zbyt nieostrożnego młodzieńca, dziś już wszelkich używa środków, aby podróż jego, od napadu czarnych krajowców zabezpieczoną była. To też kapitan Burton opuścił Zanzibar, zaopatrzony przez panującego tam dziś sułtana w mocno zbudowaną korwetę o siedmnastu działach, na której oprócz dwudziestu majtków, znajdował się mały oddział Beludżystów, kilku ludzi do usług, a między niemi niektórzy byli rodem z osad portugalskich, a niektórzy czarni krajowcy, ażeby mogli służyć za tłumaczy i przewodników. Towarzyszył tej wypra-

wie znany w zawodzie odkryć i marynarki pułkownik Hamerton, konsul królowej — którego chciał towarzyszyć karawanie aż do wylądowania na brzegi. Wkrótce potem kapitan Burton z boleścią dowodził, że konsul, którego dla słabości nie mógł mu dalej towarzyszyć, zmarł zaraz po powrocie do Zanzibar. Wspomnieliśmy ten wypadek z powodu że przy tej okoliczności dowiadujemy się jak prognostyki, zabobony, wszędzie, we wszystkich częściach świata, przyczepiają się do umysłów ludzkich, silną i świątłą nie ożywionych wiarą. I tak, gdy z tą wiadomością wyprawili gońca do miejsca gdzie się kapitan Burton znajdował, służba nie chciała mu o tem powiedzieć, bo Azyatycy, jakimi byli Beludżystowie, nie chcą nikomu donieść o śmierci, uważając to za złe. Donosiciela złej nowiny może nieszczęście spotkać, nie wiedział więc z pewnością nic o losie kolegi kapitan, dopiero Arab *mięszaniec*, którego mu sułtan dodał na głównego przewodnika, przyszedł zaręczać go że pułkownik nie żyje, miał bowiem o tem najgłębsze przekonanie oparte na nieomylnym znaku. Szczury pogryzły kawał czerwonego sukna! podług niego był to nieomylny prognostyk, jakiego koloru jest sukno napoczęte przez te złowrogie zwierzątka, takiego narodu człowieka śmierć połknęła, a że tym razem sukno było koloru czerwonego, oznaczało więc zgon anglika.

Ciekawy i nie bez pewnej korzyści jest zwyczaj powszechny między Arabami, a mianowicie między temi którzy na wyspach Zanzibaru osiedli, nazywać ludzi stosownie do ich charakteru. Jakkolwiek to *przez wisko* nie wpływa na poprawę indywiduum, które go nosi, nie wstydząc się wcale, to dla drugich jest jakby ostrzeżeniem, bo odkrywa usposobienie człowieka, z którym się ma do czynienia. I tak sekretarz sułtana Zanzibaru nazywał się Wajhayxe czyli *podwójne oblicze*. I miał być istotnie fałszywym. Jakiś *urzędnik* z którym miał do czynienia podróżny kapitan, nosił nazwisko *Wielkiego Człowieka* — przydomek nader względny w znaczeniu czyli w rozumieniu, możnaby go było nazwać po naszemu wielki człowiek do małych rzeczy; gdyż istotnie miejsce jakie zajmował, nie nastęczało sposobności do okazania wielkości charakteru; zawsze był to człowiek którego nie zaszkodził nic podróżnym, owszem odpowiadał ich zaufaniu.

Ze smutkiem wyznać należy, iż wszystkie trudności, prześladowania a nawet zabójstwa, na jakie bywają wystawieni delegowani od rządu francuskiego a nawet angielskiego, do zwiedzania środkowej Afry-

ki, spowodowane są przez kupców angielskich, osiadłych po miastach stałego lądu i wybrzeżach. Ci ludzie jedynie mający na celu interes własny, umiejają za pomocą znajomości między mieszkańcami, rozpuszczać potworne, przestraszające pogłoski pomiędzy krajowców, aby pobudzić ich do powstania przeciwko *białym*, mającym zamiar wydrzeć im ich posiadłości i t. p. Czynią to w podwójnych celach, raz z obawy, z zawiści, aby im nowi przybyli jakimkolwiek sposobem nie zaszkodzili w ich handlu, czy to zakładając nowe osady, czy też rozrzucając rozmaite artykuły, których istotnie wiele muszą mieć z sobą, aby niemi okupywać sobie u krajowców dobre przyjęcie.

Drugim powodem i może najważniejszym, jest obawa tych nieludzkich spekulantów, aby im nie

przeszkodzono handlu niewolnikami, któreń potajemnie prowadzą, a na któreń Anglija, w innych razach tak umiejająca sprężyć się działać, nie może dotąd wynaleść środka zaradczego. Kapitan Burton z oburzeniem opisuje, jak niektóre okolice wyludnione są z powodu tego, o pomstę niebios wołającego, handlu. Porywają biednych mieszkańców wiosek, bandy Arabów upoważnione czyli raczej będące w znowie z kupcami; kapitan Burton miał szczęście odbić raz tych nieszczęśliwych, których w nocy napadli, pokrępowali i zabrali prowadząc na sprzedaż. I jakimiż łzami dziękowali ci nieszczęśliwi za wolność wybawcy swemu! Zdaniem jego, tylko jeden kupiec, agent domu w Marsylii osiedlony w Zanzibar był wolnym od wszystkich nieuczciwych zarzutów. Jako Francuz nie-trudnił się handlem niewolników.

## WODOSPAD WIKTORJI,

### W AFRYCE POŁUDNIOWÉJ.

Z dzieła znakomitego podróżnika angielskiego, doktora Dawida Livingston'a, pod tytułem: „Prace misyonarskie i poszukiwania w Afryce południowej” obejmującego szczegółowy opis pobytu i podróży jego, w téj mało dotąd znajomój części ziemi, dajemy tu wyciąg. Livingstone, jako misyonarz i lekarz, przybył na przylądek Dobrój-Nadziei w r. 1840; do roku 1856 przebiegał wzdłuż i wszerz południową Afrykę; po lat kilka przebywał pośród dzikich plemion tam osiadłych; brał czynny udział w ich zatrudnieniach, polowaniach i wzajemnych zatargach; nawracał i leczył, oświecał i pomagał; lecz co najważniejsza, zbadał miejscowość, do której, jeśli nie on pierwszy z Europejczyków dotarł; to bezwątpienia pierwszy podał czytającej publiczności, dokładniejsze o niej wiadomości. Dzieło też jego, przed wyjściem z druku, liczyło już 13,800 prenumeratorów, a w przeciągu miesiąca po wydrukowaniu, rozeszło się w wielu tysiącach egzemplarzy. Wyznać należy, że ani sposób opowiadania, ani styl Dra Livingston'a, nie wpłynęły na tak ogromną wziętość; owszem, jak sam zapewnia, ręka jego bardziej przywykła do władania toporem lub spisą, niż piórem podróżopisarza; sam tylko przedmiot, jako mało dotąd znajomy, tyle ciekawości i zajęcia obudził. I w rze-

czy samój, wyobrażano sobie przedtem Afrykę południową, jako równą, piaszczystą pustynię, przeciętą kilku zaledwie rzekami ginącemi w piaskach; z niewielkimi, rzadko rozrzuconemi oczami i małą ilością jezior, zasługujących raczej na nazwanie błot; teraz zaś dzięki odkryciom Livingston'a, wiemy: że większa część wnętrza Afryki jest płaszczyzną znacznie nad powierzchnię morza wzniesioną, zwolna ku południowi zniżającą się, wilgotną, błotnistą i mnóstwem rzek poprzęzynaną; że obfituje w lasy, urodzajną ziemię i zaludnione okolice; słowem, dzieło jego przyczyniło się znakomicie do rozjaśnienia stanu miejscowości, zajmującej nie małą próżnię w kartach jeograficznych i opisach naszego planety.

Jednym z najciekawszych odkryć Livingston'a w Afryce południowej, jest wodospad, nazwany przezzeń na cześć królowej angielskiej, wodospadem Wiktorji. Wspaniałe to zjawisko natury, znajduje się na rzece Zambese, i dotąd z wieści nawet nie było znanem uczonemu światu, chociaż pod wielu względami godniejszém jest uwagi niż słynny wodospad Niagary, tylekroć przez różnych podróżników opisywany. Spodziewamy się przeto zrobić przysługę naszym czytelnikom, podając krótki opis Livingston'a.

„Gdyśmy się zbliżyli do miejsca, z kąd mieliśmy

zwrócić kierunek naszej podróży w stronę północno-wschodnią, postanowiłem zwiedzić wodospad, znany u tutejszych mieszkańców pod nazwą Mozioatundza, lub dawniejszą Szongui, o którym, od przybycia naszego w te strony, bardzo wiele słyszałem. Sebituan (jeden z naczelników plemion tutejszych) zapytywał mnie: „czy w waszej ziemi jest dym, wydający huk?” Ponieważ krajowcy nie odważyli się jeszcze zbliżyć się do wodospadu, mówiąc przeto o wznoszących się słupach pary i szumie spadającej wody, wyrażają się: „mozi oa tundza,” to jest: dym sprawia szum. Dawniej nazywano wodospad Szongui; co właściwie oznacza ten wyraz? nie mogłem się dowiedzieć, lecz że nazwa garnka w języku krajowców, brzmi podobnie, być więc może, iż Szongui znaczy kocioł kipiący, lub co podobnego. Będąc przekonany, że jestem pierwszym z Europejczyków, którzy zwiedzą kiedyś brzegi rzeki Zambese w środkowej części jej przebiegu i że tu mianowicie jest granica pomiędzy znanymi i nieznanymi jej okolicami, poważylem się nadać wodospadowi angielską nazwę, czego dotychczas nie pozwalałem sobie przy odkryciu jakiegokolwiek nowej miejscowości.”

„Jak mało wiedziano dotąd w Europie o rzece Zambese, przekonać może następująca okoliczność: w tym samym czasie, gdy przez morze Czerwone powracał do Europy, pewien autor, który wprawdzie nie podróżował nigdy, lecz większą część życia poświęcił na dokładne poznanie geografii Afryki i przeczytał wszystko to, cokolwiek napisano w tym przedmiocie od czasów Ptolomeusza, zapewniał w *Athe-neum*: że ta wspaniała rzeka, to jest Liambe, nie ma żadnego związku z Zambese, lecz płynie poniżej pustyni Kalagari, a następnie ginie w ziemi. Tymczasem zaś słowa „Zambezi i Liambe” są jednoznaczne w języku krajowców, a mianowicie znaczą: „rzeka.”

„Na dwadzieścia minut drogi od Kalai, po raz pierwszy ujrzelśmy słupy pary. Nazwa „dymu szumiącego,” nadana wodospadowi przez krajowców jest bardzo trafną; gdyż z odległości 5—6 mil angielskich, słupy pary podobne są zupełnie do dymów wznoszących się nad zieleniejącymi polami. Słupów tych jest pięć, które chyląc się w kierunku wiatru, to zakrywały, to znów odsłaniały leżący za nimi brzeg, gęstą roślinnością pokryty; od dołu białe, a ku górze coraz ciemniejsze, zdawały się wierzchołkami swemi obłoków dosięgać. Podczas wysokiego stanu wody na rzece, słupy te widzieć się dają

z odległości mil dziesięciu, z kądem również słyszyć można i szum wody. Las, okrywający brzegi i wyspy rozrzucone po rzece, dziwnie pięknie grupował się w drzewa rozlicznych gatunków, gęstym kwiatem osypane; tu, z pomiędzy wszystkich, wznosi się wysoko ogromny i niekształtny baobab, którego każda gałąź, byłaby w Europie uważaną za pień największego drzewa; obok tego olbrzyma lasów, rosną kępami lekkie i kształtne palmy; ich pierzaste liście wydają się jakby narysowane na ciemno-szafirowym tle nieba; tam, srebrzysty mogonono, mający w strefie podzwrotnikowej kształt cedru libańskiego, odrzyna się od ciemnej zieleności podobnych do cyprysu *motsouri*, obciążonych jasno-czerwonym owocem; inne z drzew przypominają podobieństwem nasze dęby, wiązy i kasztany. Cały ten widok, nie da się porównać z niczym, co można widzieć w Anglii; nigdy jeszcze wzrok Europejczyka nie poił się taką pięknnością natury; zdaje się, że aniołowie, w przelocie swym po nad ziemią, powinni zatrzymać się i popatrzeć na tę czarującą okolicę. Brakuje tylko jednej rzeczy, to jest gór na ostatnim planie obrazu; wodospad bowiem otoczony jest z trzech stron rzędami pagórków na 200—400 stóp wysokości, pokrytych lasem, z pomiędzy drzew którego przegłąda gdzieś czerwona ziemia.

„Na pół mili od wodospadu, przesiadłem z łódki na której przybyliśmy, do innej, nierównie lżejszej, kierowanej przez ludzi, dobrze obznajmionych z prądami rzeki; wypłynęliśmy na środek i puściliśmy się za biegiem rzeki, która to kręciła się tworząc wiry, to ściśniona skałami, płynęła cicho i spokojnie. Wysadzono mnie na wyspę, znajdującą się w pośrodku rzeki, na samym kraju przepaści, w którą rzuca się woda. Na drodze którą dopiero przebyliśmy, podróżny narażony jest na niebezpieczeństwo uniesienia w przepaść potokami wód płynących bardzo bystro i z wielką siłą po obu brzegach wyspy. W czasie méj bytności tutaj, woda na rzece była niska, i dla tego dostaliśmy się szczęśliwie; lecz przy wysokim stanie wody, w żaden sposób nie można przebyć drogi przez nas odbytej. Lubo stanęliśmy na wyspie, w miejscu, zaledwie na kilkadziesiąt stóp oddalonym od kraju przepaści, tak, że jedno spojrzenie powinno było rozwiązać zagadkę, nic nam jednakże nie objaśniało jeszcze, co stanie się za chwilę z tą ogromną masą wody; zdawało się: że rzeka ginie nagle w ziemi, gdyż przeciwległy brzeg rozpadliny w którą rzuca się rzeka, zaledwie na 80 stóp był od nas oddalonym; ja przynajmniej, nic nie mogłem pojąć, dopóki

nie przepelzłem drżący na sam kraj przepaści i nie zajrzałem wgląb' szerokiej rozpadliny, ciągnącej się od jednego do drugiego brzegu ogromnej rzeki; widziałem wtenczas, iż rzeka, mająca do 3000 stóp szerokości rzuca się na dół całą masą wód swoich z wysokości 100 stóp, wre, kipi, burzy się i zważa na jakie 50—60 stóp. Cały wodospad, jest rozpadliną w twardej skale bazaltowej, ciągnącą się w poprzek rzeki od prawego jej brzegu ku lewemu i dalej, na 30 lub 40 mil wgląb' kraju. Niechaj czytelnik wyobrazi sobie że Tamiza poniżej tunelu aż do Grewzendu (Gravesend) otoczona jest niewielkimi pagórkami pokrytymi lasem; że dno jej, nie jest pokryte iłem londyńskim, lecz złożone z twardej masy bazaltowej; że w tém dnie znajduje się pęknięcie od jednego do drugiego końca tunelu wzdłuż górnej linii sklepienia i ciągnąca się od strony lewej na trzydzieści mil dalej; że rozpadlina ta głębszą jest niż dno tunelu względem dna Tamizy, a brzegi jej, oddalone są od siebie na stóp 80—100; niechaj czytelnik wyobrazi sobie dalej, że Tamiza rzuca się nagle w tę przepaść, a zmuszona tym sposobem zmienić kierunek swego biegu, zwraca się na lewo i wrac i burząc się, płynie gwałtownie pomiędzy stromemi brzegami. Gdy czytelnik wyobrazi sobie to wszystko, wówczas dopiero będzie miał przybliżone pojęcie o zjawisku, jedném z najwspanialszych jakie widziałem w Afryce.

„Patrzac z góry w rozpadlinę, przedstawia się z prawej strony wyspy biały i gęsty obłok, na którym rysują się dwie świetne tęcze: z obłoku tego, wznosi się do góry słup pary, wysoki na 200 lub 300 stóp, u wierzchu zgęszczony i ciemny jak dym, spadający na dół gwałtownym deszczem, który w jednej chwili przemoczył nas do nitki. Deszcz ten skrapia obficie przeciwległy brzeg rozpadliny, nad którą w odległości zaledwie kilku łokci rośnie gęsty szpaler drzew wiecznie zielonych; z korzeni ich i konarów, sączy się w przepaść tysiące drobnych strumyków; lecz w tej samej chwili, gdy po spadzi- stej ścianie przepaści na dół ściekają, zmywa je słup pary wznoszący się od dołu, pochwytuje i unosi do góry; tym sposobem, strumyki te ciągle ku dołowi spływają, nigdy jednakże nie dosięgają dna przepaści. Z lewej strony wyspy, widać jak w głębi rozpadliny, woda, podobna do białej, wrzącej masy, płynie korytem zaginającym się w pobliżu. Ściany tej olbrzymiej rozpadliny są z jednolitego kamienia i zupełnie prostopadłe; brzeg, przez który

spadają wody rzeki, wyżłobiony jest działaniem wody na dnie do trzech stóp; miejscami, wychylają się z niej wierzchołki ogromnych odłamów kamieni; brzeg przeciwny zaś ciągnie się w linii prostej aż do zagięcia rozpadliny, nad którą sterczy urwisko i część skały bliska oberwania się. W ogólności, rozpadlina ta od chwili utworzenia się swego, nie uległa znacznym odmianom; kamień składający jej ściany, jest koloru ciemnego, od dołu tylko na jakie dziesięć stóp, zmieniony nieco przez wodę, która corocznie, podczas wysokiego stanu rzeki podnosi się do tej, lub większej jeszcze wysokości. Po lewej stronie wyspy, widać dokładnie masę spadającej wody, tworzącą w tém miejscu jeden z pięciu słupów pary; tu woda przerzuca się łukowato przez skalistą ścianę i nie dotykając jej wcale, jak ogromna, bez żadnego fałdu opona, spada na dno przepaści błyszcząca białością śniegów. Ta śnieżna opona w chwili upadku, rozbryzguje się na niezliczoną ilość pereł, z których wytryskują krople błyszczącej piany, tak samo jak pryskają iskry ze stali palącej się w kwasorodzie; mówiąc innemi słowy, cała ta opona zdaje się być złożoną z nieprzeliczonego mnóstwa drobnych komet, pędzących w jednym kierunku i ciągnących za sobą miotły błyszczącej piany. Nie pomnę, ażeby podobne zjawisko było dostrzeżonem w innem gdziekolwiek miejscu.

„Wspomniałem wyżej, że z tej zadziwiającej przepaści wznosi się pięć słupów pary; z nich dwa, będące na prawej, a drugi po lewej stronie wyspy, znacznie są większe od trzech innych. Liambe, podczas naszego na niej pobytu, stała nisko, mimo to jednak miała od 1500 do 1800 stóp szerokości, a do trzech stóp głębokości na brzegu przepaści. Piszę to w nadziei, że późniejsi podróżnicy więcej odemnie wprawni w oznaczaniu odległości od oka, zwiedzą ten wodospad i podadzą wymiary, których ja nie robiłem. Mniemam nawet, że powyżej wodospadu, rzeka dochodzi 3000 stóp szerokości. Makololo mówili mi, że dalej ku wschodowi, rozpadlina staje się głębszą, i że tam są miejsca tak mało strome, że przyzwyczajeni do tego, mogą zsuwać się na dół, ale raz, ścigając uciekających nieprzyjaciół, widzieli, jak zbiegowie niemogąc zatrzymać się w rozpędzie na brzegu przepaści, spadali w nią i ginęli na dnie; zapewniali mię nadto: że rzeka zdawała się w tych miejscach podobną do „białej nitki” i tak głęboko płynącą, że dostawali zawrotu głowy patrząc na nią i musieli odpełznąć śpiesznie od kraju przepaści.

Chociaż bieg rozpadliny, przez który rzuca się woda, wyżłobiony jest nie więcej jak na stóp dwie, do trzech i nie zdaje się, aby woda podmywała podstawę ściany przeciwległej, w każdym razie jednak, podmywanie to jest możebnym i zapewne część przepaści zajęta wodą, szersza jest od tej, jaką zapełnia „biała nitka,” na powierzchni; prócz tego, muszą się znajdować inne jeszcze poboczne pęknięcia, przez które część wód odpływa. Biorąc na uwagę, że brzeg skały podwodnej bardzo mało jest wyżłobionym, wnioskować należy, iż pęknięcie ziemi które dało początek wodospadowi, nie zbyt odległych sięga czasów. Żałuję, że nie miałem środków do wymierzenia szerokości rozpadliny u wodospadu, ażeby z czasem można było rozstrzygnąć pytanie: czy przepaść ta rozszerza się lub nie?— zdawało mi się tylko, że przez nią, można przetrzucić z wyspy drzewko palmowe. Jeżeli pęknięcie rzeczywiście się rozszerza, dowodziłoby to, że okolica osusza się sama przez się i można spodziewać się że z czasem Afryka południowa stanie się zdrową dla ludzi krainą. W każdym razie, jeziora afrykańskie znacznym zmianom uległy w ostatnich czasach.

Przewodnicy moi oddali na tej wyspie ofiary bożyszczu zwanemu Barimo; przyczem śpiewali pieśń

następującą: „Liambe! nikt cię nie pojmuje, nikt nie wie z kąd przybyłeś i dokąd idziesz;” — tam, gdzie tworzy się tęcza, ma być miejsce pobytu tego bożyszcza.

Nasyciwszy się wspaniałym widokiem wodospadu, powróciłem do Kalai i oznajmiłem Sekeletowi (wódz plemienia) że zjawisko to przewyższa wszystkie w świecie wodospady; zaciekawiony mojem opowiadaniem, postanowił następnego zaraz dnia udać się tam wraz ze mną. Naumyślnie wybrałem noc do wyjazdu naszego, ażeby przy pomocy księżycy oznaczyć położenie miejsca. Wodospad ten leży pod 17° 51' 54" szerokości północnej, a 25° 41' długości zachodniej. Przy powtórnej bytności na wyspie, jeden jeszcze przedmiot zwrócił moją uwagę: dostrzegłem, że brzegi wyspy pokryte były nasionami drzew przynoszonymi przez fale z odległych stron północnych, zebrałem wiele z tych ziarn i niedaleko od brzegu przepaści posiałem na stosownym miejscu ze sto pestek brzoskwiniowych i moreli, i tyleż ziarn kawowych; mam nadzieję, że jeśli dzicy zostawią ten mój sad w spokoju, będzie on praojcem wszystkich ogrodów, które kiedyś może będą założone w tych nowych dla nas krainach.”

E. M.

---

## JÓZEF JĘDRZÉJ ZAŁUSKI.

---

... manibus dabo lilia pleni s ...  
His saltem accumullem donis, ut fungar in ali  
Munere. VIRG.

Mamy napisać żywot Załuskiego. Zadanie w dzisiejszym czasie dość trudne i w obec źródeł, których nie możemy użyć z całą sumiennością biografą, niezbyt zupełnie dające się rozwiązać. Wszakże według możliwości obecnej, będziem się starali z założenia naszego jak najzupełniej się wywiązać.

Józef Jędrzej na Załuskach Załuski, herbu Junosza, urodzony 2 sierpnia 1701 roku z Teresy Potkańskiej i Aleksandra wojewody Rawskiego, wysłany był w młodości za granicę dla kształcenia się w naukach. Wróciwszy do ojczyzny, wybrany został jako deputat na trybunał koronny w roku 1725. Zostawszy księdzem, rozliczne przechodził stopnie.

Piastowanych godności, stopni i urzędów szereg można przytoczyć nie mały. Oto tytuły: Opat Hebdowski, archidyakon Pułtuski, proboszcz Warszawski, opat Wąchocki, assystent tronu Papieża, kanonik Krakowski, wielki jałmużnik króla Stanisława Leszczyńskiego, radca parlamentu Diviońskiego i Nansejskiego; Opat Villarieński i Fontanelliński (w Lotaryngii); opat Joutaneński (w Burgundyi); referendarz koronny (około r. 1729); w grudniu 1758 roku dostaje biskupstwo Kijowskie i Czerniechowskie. Mianowany był nawet 1733 jeszcze roku przez króla Leszczyńskiego biskupem Chełmińskim <sup>1)</sup> ale na tym urzędzie, z wiadomych przyczyn, utrzymać się nie mógł.

<sup>1)</sup> Obacz biskupa Łętowskiego *Katalog* T. IV s. 283 i 285.



Któż nie wie, że w owych czasach dwa stronnictwa walczyły, jedno trzymało się dawnego podania władców z krwi polskiej, drugie było za domem niemieckim Sasów. Załuski pozostał na stronie pierwszych. Wierny Leszczyńskiemu, wydal się z ojczyzny razem ze swym królem i o biskupstwie wtedy wcale nie marzył.

Temu mężowi, który całe życie swoje poświęcił naukom i usłudze ojczyzny, kraj polski bardzo wiele winien. On powziął myśl wydania w jednym zbiorze praw polskich, <sup>1)</sup> które świeżo wyszły teraz w powtórnym odbiciu u Józefata Ohryzki w Petersburgu. Dla łatwiejszego wyszukania praw w tych *Voluminach Legum*, przejrzał, poprawił, dopełnił i wydał w Lipsku inwentarz konstytucyi i praw przez Ładowskiego jeszcze w r. 1685 ułożony, <sup>2)</sup> w Lipsku 1733, w formacie arkuszowym.

W skromnym mieszkaniu w Warszawie, w tylnych gmachach klasztoru księży Karmelitów z krakowskiego-przedmieścia przebywając w latach 1731 i 1732, jak najczynniej zajmował się wytłoczeniem Voluminów praw. Obok tego, najczynniejsze prowadził życie. Zbierał książki w najskrytszych zakamarkach, pod strychemi starych domostw i w komnatach możno-władców. Pełno go było i w izbach sądowych i na zebraniach kapituł i na posiedzeniach konsystorskich. Literat, bibliofil, starożytnik, historyk, prawnik, nie opuszcza nigdy służby kościelnej i kazalnicy. Czasem po dwa razy w dniu jednym miewał mowy i nauki w domach Bożych. <sup>3)</sup> Instalacje, pogrzeby, reassumepeye publiczne, a nawet gody i zebrania domowe obywateli, nie obchodziły się bez jego obecności. Czas miał na wszystko. Posiadał bowiem pracowitość pszczoły, a skrzętność mrówki. Obok usług publicznych, i prywaty niezapominał. Dla tego słusznie o nim wyraził się jedyny

<sup>1)</sup> Patrz obszerny artykuł wyłącznie poświęcony temu wydawnictwu w „Przeglądzie Naukowym” w Warszawie 1847 w Nr. 20.

<sup>2)</sup> Bentkowski, a raczej Bandtke w II tomie historii literatury polskiej na str. 172, mówiąc o tej pracy, *tytuł obszerny* opuszcza.

<sup>3)</sup> Oto poczet niektórych przemów księdza Referendarza: Kazanie na passyi 27 marca 1732 w Kollegium u ś. Jana w Warszawie. Kazanie w tymże kościele po konsekracyi ks. Lipskiego na biskupa Łuckiego, miane 25 maja 1732 r. Kazanie na żałobnym nabożeństwie w Krakowie p. ś. biskupie Szaniawskim (założycielu konwiktu biednej młodzieży w Łukowie), miane w lipcu 1732 r.

z młodszych badaczy naszych, iż jego dzieje były milionową wprawdzie częścią dziejów Polski, ale zawsze częścią.

W obec króla, na sądach kurlandzkich 27 marca 1732 r. występuje z mową. Tegoż roku (6 lipca) na jeźdza z bratem swym Marcinem sekretarzem Wiel. K. kapitułę krakowską po skonie biskupa Feliksa Szaniawskiego. Bawiąc przez miesiąc w dawniej stolicy, z polecenia króla swego zwiedza pomniki narodowe i zamek na Wawelu, spisuje szczegółowy wykaz lustracyjny, z anszlgiem kosztów potrzebnych na naprawy. Wróciwszy do Warszawy 5 sierpnia 1732 r. jest obecny i na kampemencie sasko-polskim i na sejmie. Zbiera tu i owdzie stronników dla króla Leszczyńskiego, który niebawem znowu ma powrócić na tron polski. A mimo to wszystko ciekawe kodeksa i rękopisma, własną objaśnia ręką, pisze lub tłumaczy sztuki dramatyczne, drukuje polemiczne rozprawy religijne, zbiera prenumeratę na *Volumina Legum* i całą administracyjną część tego wydania zajmuje się. <sup>1)</sup> Posłuszny Augustowi Mocnemu choć duszą oddany Stanisławowi Leszczyńskiemu, jedzie wraz z innymi <sup>2)</sup> na *jenerał-przedsejmowy* do Malborka w końcu sierpnia 1732, a w początkach września szuka w Gdańsku rzadkości bibliografijnych, bo jenerał-sejmik został zerwany.

Ale trudno tu jest i prawie niepodobna wyliczyć wszystkie drobniejsze zajęcia się i czynności Referendarza Koronnego. Ograniczymy się więc tylko na ważniejszych.

W czasie sejmów roku 1766 i 1767 <sup>3)</sup> jak najsilniej występuje biskup katolicki przeciwko różnowiercom. Łatwo się tego można było spodziewać po autorze: „Dwóch mieczów przeciwko Dyssydentom w Królestwie Polskiem, wydobytych 1731 w Warszawie.” W 1-jej części tej pracy powstaje na prawa

<sup>1)</sup> Tom pierwszy Woluminów praw, wygotował na 20 września 1732 r., jednakże nie mógł ciągle przykładąć ręki do tej pracy i dla tego ją powierzył znanym Pijarom ks. Konarskiemu i Raciborskiemu. Wydanie Kożuchowskiego było odmienne i droższe; lecz że on własny majątek na tak szlachetny cel poświęcił, więc otrzymał nagrodę publiczną, a Załuski... tylko naszą wdzięczność.

<sup>2)</sup> Z Czapskimi, Wojewodami Chełmińskim i Pomorskim.

<sup>3)</sup> Łukaszewicz, a za nim ksiądz T. Kiliński i inni, kładą fałszywie rok 1768, gdyż wtedy Załuskiego nie było już w Polsce. Opuścić bowiem musiał kraj 13 października 1767 roku. Wrócił do Warszawy 12 marca 1773 r.

Dyssydentom nadane i dowodzi ich nicości; w drugiej części wyjaśnia i obszerniej wyklada ich konstytucje, a w trzeciej, jako bibliograf, wylicza szczegółowo wszystkie dzieła o nich, a głównie na przeciw nich wydane <sup>1)</sup>).

Nie uszła mu bezkarnie ta gorliwość o wiarę i zbytńia odwaga cywilna. Wśród chwiejących się podsad krajowych, za swe prawdziwe obywatelstwo i niezłomność charakteru, blisko przez lat sześć nie mógł bawić we własnej ojczyźnie. Ale tego czasu umie pożytecznie użyć dla kraju swego. Zakupił bowiem wtedy trzy tysiące ksiąg dla biblioteki warszawskiej; opisał wierszem <sup>2)</sup> różne swe przypadki, które mu się trafiły od 1767 do 1773 roku; a co najważniejsza, z pamięci nakreślił, jako namiętny bibliograf, nie mogący żyć bez ksiązek, ogromny rękopism, obejmujący prawdziwą *Bibliotekę* historyków, polityków, prawników i innych autorów polskich lub o Polsce piszących. Dziwić się tu wypada i nad erudycją, i nad hartem umysłu, nad pamięcią i nad zamiłowaniem do rzeczy ojczystych, a szczególniej nad bibliofilstwem zacnego biskupa. Rękopism ten bardzo ciekawy, dostał się po skonie Załuskiego, przyjacielowi Józefowi Epifanemu ks. Minasowiczowi, kanonikowi kijowskiemu, który nieomieszkał po bokach opatrzyć przypiskami odnoszącemi się do ścisłości bibljomańskiej, a mianowicie lat, wydań, formatów ksiązek i tym podobnych drobiazgów. Z takiemi dopełnieniami swemi ks. Minasowicz darował ów autograf Bibljotece warszawskiej księży Pijarów, od których wy dobył tę pamiątkę Tadeusz Czacki. Z księgozbiorem poryckim, musiała ta „*Bibljoteka Załuskiego*“ przejść do Puław, a następnie do Sieniawy i Paryża. Wszakże rękopism ten kilkakrotnie przepisywano, bo nie było wtedy jeszcze żadnej historii literatury polskiej; uważano więc tę pracę za

<sup>1)</sup> Obszerniej tenże przedmiot traktował i wydał później Idliński Eljasz od Ś-go Franciszka 1736 r. Zdaje się że Załuski miał pod ręką manuskrypt jego *scrutinium Juris*.

<sup>2)</sup> Wierszem *podróżnym* w Regnowie, jak mówi Minasowicz, opisane 1773 r. w broszurze ósemkowej o str. 52. Załuski nie kręślił tego do druku; ale Minasowicz, opatrzywszy ten rękopism swemi epigrammatami *ad hoc* zastosowaniami, ogłosił drukiem przed samym niemal skonem autora. Oprócz wielu ciekawych szczegółów, rzadka ta dzisiaj ksiązeczka, (z powodu małej ilości odbitych exemplarzy), zawiera obfite zasoby genealogiczne do rodziny Załuskich ściągające się.

najlepszy katalog polski, dopóki nie wystąpił Bentkowski ze sw oim spisem.

Opiszemy tu, z kilku powodów, ten manuskrypt. Bibljoteka główna okręgu naukowego warszawskiego, posiada piękny rękopism, własnoręcznie przez Referendarza Chyliczkowskiego sporządzony, i tego głównie trzymać się będziemy.

Oto jest tytuł całkowity, różny od tych, jakie podają Muczkowski i Bentkowski.

„Polska, w obszernych wiadomościach swoich skrócona, z podziałem na trzy części, z których: I. Opisanie Polski topograficzne i cywilne, II. Historją polską literacką, III. Historją polską duchowną w sobie zawiera. Rzecz cała przez JW. ś. p. Imci księdza Józefa Andrzeja Załuskiego biskupa kijowskiego i czerniechowskiego, Tronu papieżkiego assystenta, Opata Wąchockiego w Polsce, Fontaneckiego w Burgundyi, Willaryjskiego w Lotaryngii i t. d. i t. d., kawalera Orła białego, zebrana i wierszami technicznemi dla lepszej pamięci ułożona R. P. 1768. Z woli zaś jego ostatniej przez Józ. Epifaniego Minasowicza kanonika katedry kijowskiej, pastérskiego testamentu naznaczonego exekutora, przejrzana, poprawiona, w niektórych miejscach dopełniona i drukiem na widok publiczny podana. Opus Posthumum w Warszawie R. P. 1774.“

Rękopism ten, jak wskazuje nadpis Minasowicza do druku przygotowany, *dotąd* w całości na świat nie wyszedł. Znamy tylko wytłoczone dwa wyjątki, a mianowicie:

„Józefa Jędrzeja Załuskiego biskupa kijowskiego i Czerniechowskiego, Bibljoteka historyków, prawników, polityków i innych autorów polskich lub o Polsce piszących, z przypisami Józefa Epifaniego Minasowicza, kanonika kijowskiego. Nowemi przypisami pomnożył i wydał J. Muczkowski. Kraków 1832 str. 188 w ćwiartce.“

To wydanie uczonego ś. p. bibliotekarza uniwersytetu Jagiellońskiego, jest tylko *drugą* częścią powyżej przytoczonego rękopismu, poczynając od str. 89 do 207.

„Życia Arcybiskupów polskich bądź w ogólności, bądź niektórych z osobna opisane“ wyjątek z trzeciej części rękopismu sporządzonego przez Chyliczkowskiego, od stronnicy 239 do 250, umieścił Leon Rogalski w dziełku pod napisem: „Pamiątka czyli zbiór pism i zdań religijnych przykładami wspartych“ (Warszawa 1856, od str. 243 do 254.)

„Pisma autorów polskich o różnych zakonach w Polsce kwitnących—i autorowie o Świątyniach

Pańskich w Polsce, alias miejscach cudami i łaskami wstawionych, — drugie dwa wyjątki tamże drukowane przez L. Rogalskiego od str. 254 do 271.

„Miejsca wstawione cudami obrazów Matki Boskiej; — zakony w Polsce męskie i zakony panieńskie” wydrukowane w tejże *pamiętce* od str. 271 do 291.

Z trzeciej więc części manuskryptu Załuskiego, odpisanego przez Chyliczkowskiego, *dotąd* jeszcze do ogłoszenia drukiem pozostaje:

a) Rozdział I i rozdziału II część pierwsza od str. 209 do 239. Z tego wszakże wytłoczył L. Rogalski urywek w *pamiętce* od str. 214 do 217 rękopismu.

b) „*Skrypta za religją*“ etc. od str. 250 do 253 manuskryptu J. Z.

c) Rejestr ŚŚ. błogosławionych, wielebnych i pobożnych Polaków różnego stanu płci obojędznej” od str. 284 do włącznie str. 334, na której jest *dokończenie* czworowierszem łacińskim.

d) Protestacja przed śmiercią każdoroczna. Wiersz JW. autora pisany 1769 r.” — od str. 335 do 337.

e) „Przypiski edytora (Minasowicza) wyrażające krótko niektóre okoliczności” — od str. 339 wierszem strof dziesięć, po rzymsku liczbowanych.

f) Epilog łaciński znanego bibliotekarza Załuskich, ks. Janockiego do Minasowicza Epifaniego, na odwrotnej stronie karty 337, datowany 5 marca 1773 r.

g) „Historja polska Cywilna,” czyli cała część *pierwsza* rękopismu od str. 1 do 88 włącznie.

h) Wreście znajduje się na czele nieliczbowany wstęp, z nadpisem: *Autor do czytelnika*, oraz *przedmowa Edytora* (J. E. Min.) *do czytelnika* oznaczona III liczbami rzymskimi.

Cały manuskrypt, bardzo starannie i wyraźnie okrągłym charakterem przepisany ręką samego Referendarza Chyliczkowskiego, jest w formacie ćwiartki wielkiej (in 4to majori), ma nieliczbowanych stronnic 3, oznaczonych zaś numerami arabskimi 341 i rzymskimi III.

Napis, objaśnia jakim sposobem ten rękopism dostał się do biblioteki dzisiejszego Okręgu Naukowego: „Do biblioteki Uniwersytetu królewskiego warszawskiego złożył Jan Chyliczkowski, w zamian za Postyllę Reja.” Data przepisania MS. pierwszego przez Minasowicza, 14 kwietnia 1774 roku, (a zatem w 14 tygodni po skonie autora); drugiego zaś przez referendarza J. C. 15 sierpnia 1822 r. <sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> Sprawdzaliśmy i część drugą rękopismu Załuskiego, noszącą tytuł: „Opisanie Polski co się tycze literatu-

Zatrzymaliśmy się nieco dłużej nad tym rękopismem już dla samej jego ważności, już z tego powodu, iż może kto przeczytawszy te szczegóły, postara się o całkowite ogłoszenie drukiem. Byłby tego niezawodnie dopełnił ś. p. Muczkowski, jak nam to powiadał za życia, gdyby miał lepszy odpis pod ręką. Nie jeden zaś z mniej świadomych, zobaczywszy w katalogach lub biblioteczkach jakiej drukowanej książki Załuskiego w Krakowie, wzgardziłby już rękopismem, który wiele mieści w sobie ciekawych rzeczy. Dla tego możeby który z naszych miłośników pamiętek ojczystych (jak np. W. Baworowski, Dzeduszycki Wł.) lub kto z rodziny biskupa Załuskiego, postarał się o nowe, zupełne wydanie tej pracy, tak długo tułającej się po przepisowaczach i przez nich uszka-dzanej z rozlicznych względów.

Większą jednak zasługą ś. p. biskupa kijowskiego od wszelkich pism drukowanych i nie wytłoczonych, było zebranie kolosalnego księgozbioru. Na tém większą cześć naszą ten mąż zarobił, iż ujmował nieraz koniecznym życia potrzebom byle tylko zebrać skarby umysłowe dla narodu. Wysoki dostojnik kościoła, przestawał bardzo często na kęsie suchego chleba i kawałku sera, aby oszczędzić grosza na zakupienie dzieł rzadkich. Chociaż znaczne posiadał dochody, ale i za nie, tak wielkich i tak wielu osobliwości zgromadzićby nie podolał, gdyby mu drogi ku temu nie ułatwiały liczne stosunki, jakie w ca-

ry” z wydrukowanym przez Muczkowskiego exemplarem, i znaleźliśmy, że tak odpis F. Bentkowskiego, jak i krakowskiego bibliotekarza, różne były od kopii Chyliczkowskiego, który na największą zasługuje wiarę, jako pedant w tym względzie i przepisujący z autografu Minasowicza. Niektóre różnice podajemy, nie chcąc drobiazgami bibliografijnemi nudzić tu niewtajemniczonych w podobne szperania czytelników. Chociaż więc znaleźliśmy dosyć odmian, wyliczamy jednak tylko następujące: Na stronie 125 wiersz 10 z góry, u Muczkowskiego: „*Pretensye* etc. winno być *Przestrogi* i t. d. Na str. 164 wydania krakowskiego, *przypisek* nie zrozumiały przez autora-wydawcę, tak oznaczony: 1. 2. Baran 4. 5. 6. 7. 8. 9. 10. 11. *Bellovae* (*lege sis*) *Villariae Betnaci* etc.” Na str. 168 *Muczk.* przydatek o Polkach wierszopiskach przełożony: tu przed „Autorami o akademijach polskich.” Na str. 172 u Muczkowskiego, w 2 wierszu z góry odsyłać do *przypisku bocznego* należy, nie zaś do tego, co u dołu. W rękopiśmie Chyliczkowskiego dodano przy końcu tej księgi: „*Fin. 26 Febr. Ao ut supra.*” Charakteryzuje to skrupulatność przepisowacza.

łym kraju ciągle zawierał, mając zawsze na myśli skarby umysłowe dla narodu. W lat też trzydzieści, zebrał tak bogaty w rzadkości księgoskład, na jaki gdzieindziej wieki się silić musiały. Tak był do tej pamiątki narodowej zacny biskup przywiązany, że utrzymywał, iż chociaż włoski jakiś pytryota wieś sprzedał dla kupienia rękopismu Liwiusza, on, nie oddałby za wiele włości trzech następnych unikatów, przezeń: posiadanych, oryginalnego manuskryptu kroniki Kadłubka, rękopismu Statutu litewskiego i pontyfikału czyli rytuału koronacyi panujących polskich. Ten ostatni, wykonany był na pergaminie, przed wynalazkiem jeszcze druku, od ręki kolorowany i ilustrowany: sześćset w nim figur, szczerem złotem pościągniętych było i wystawiało dawne obrzędy i ceremonije przy koronacyjach królów i królowych naszych. <sup>1)</sup> Nie tu miejsce opisywać wszystkie osobliwości biblioteki Załuskiego: ślad o rękopismach mamy w oddzielnéj a szacownéj pracy Janockiego. <sup>2)</sup>

Najobficiejsz zasilał księgozbiór biskupa kijowsko-czerniechowskiego, brat jego, biskup krakowski; nie tylko wszystkie swe książki, i ów wyżéj wspomniany pontyfikał ofiarował, ale i wiele innych *kruków białych*, jak na przykład dzieła pozostałe po królu Janie Sobieskim i prymasie Olszowskim. Dla tego też wdzięczny brat, nie chciał aby on sam figurował jako zbieracz i dawca biblioteki dla narodu, chociaż w nią największą część życia, a nawet możnaby powiedzieć że i część duszy włożył. Ofiarował swe bogactwa ojczyźnie imieniem Załuskich, i otworzył Bibliotekę publiczną 1745 r. w umyślnie dla niej przygotowanym gmachu <sup>3)</sup> przy ulicy Daniłłowi-

<sup>1)</sup> Ciekawe o tém szczegóły podaje Tomasz Święck w historycznych pamiątkach tom II str. 343.

<sup>2)</sup> Tytuł téj pracy następny: „Specimen catalogi, codicum manuscriptorum Bibliothecae Załuscianae a J. D. A. Janozki Can. Scarbimiriensi... exhibitum” 1752 roku w Dreźnie in 4to drukowany kosztem Załuskiego biskupa krakowskiego, str. 165 z widokiem gmachu bibliotecznego na tytule.

<sup>3)</sup> Gmach ten rozliczne potém przechodził koleje. Śladu dzisiaj nawet, jak był za Daniłłowiczów i Załuskiego, nie ma, gdyż zgorzał w r. 1807. Jedyna pamiątka została na rycinie wydanej w Dreźnie. Po odbudowaniu górnej części, dom ten był własnością Szambelana Nowakowskiego, jego spadkobierców, następnie Jenerała wojsk polskich Lewińskiego Jakóba. Od lat 4-eh mieści się tu zakon nowy Felicyjanek reguły téjże saméj co i Kapucyni. Drukarnie Bentkowskiego (brata autora) i

czowskiéj, i nad nim następny kazał położyć nadpis:

*Civium usui perpetuo*

*Zaluscorum fratrum perillustre dedicavit 1745 a.*

Tak otwarte dla powszechności polskiéj i obcéj bogactwa umysłowe, były pod stérem Janockiego i Wulfersa. Dopiero na sejmie 1764 darował bibliotekę Rzplitej, a lubo ta ofiara nie zbyt wdzięcznie przyjętą była, choć w nią krew i łzy swoje oddawał czcynajgodniejszy biskup, mimo-to słowa swego nie cofnął. <sup>1)</sup>

Biblioteka Załuskich była w Warszawie do roku 1795 i liczyła wtedy 262,640 ksiąg, oraz przeszło 24,500 rycin. <sup>2)</sup> Przewieziono ją potém do Petersburga i wcielono do publicznej Biblioteki. Ze sprawozdań drukowanych, oraz przewodników w kilku językach wydawanych, dowiadujemy się, iż w salach tego księgozbioru, wiszą do dziś dnia portrety dwóch biskupów Załuskich, o których sprawozdawcy wspominają, iż są założycielami publicznej biblioteki petersburgskiéj; największa bowiem część zbiorów tamtejszych, składa się z ksiązek po Załuskich. Nie ginie nigdy, cokolwiek tylko w szlchetnych celach czynione bywa: iluż bowiem i dzisiaj ziomków naszych korzysta z pamiątek nagr omadzonych troskliwością biskupów kijowskiego i krakowskiego!

Nie stosowne tu miejsce ro zbierać wszystkie prace literacko-dziejowe ś. p. biskupa, tém bardziéj, że były w znacznej części po łacinie pisane. Wszakże wzmiankę przynajmniej o nich wypada uczynić w tym życiorysie.

Strąbskiego długi czas były czynne w tym domu, który do dziś dnia w ustach ludu zowie się *biblioteką Załuskich*, lub *pod królami*.

<sup>1)</sup> Opis szczególowy losów biblioteki Załuskich, znajdzie czytelnik ciekawy w szacowném dziele: Bibliograficznych ksiąg dwoje przez J. L. „Wilno i Warszawa 1823. Nie chcemy bowiem dziejami zakładu Załuskich przedłużać niniejszego życiorysu.

<sup>2)</sup> Najbogatszy dzisiaj zbiór rycin polskich M. Pawlikowskiego (syna ś. p. Gwalberta) we Lwowie, liczy zaledwie 30,000 sztuk. Po nim idą gabinety rycin: J. J. Kraśzewskiego, pisarza; Batowskiego we Lwowie; H. Skimborowicza w Warszawie, E. Rastawieckiego w Dołhobyczowie i Warszawie; Jenerałowéj N. Kickiéj; Ambroże-go Grabowskiego w Krakowie: Biblioteki imienia Ossolińskich we Lwowie; Sew. Uruskiego w Warszawie i t. d. Po Adolfe Cichockim najwięcéj nabył Władysław Czartoryski, którego zbiór, co do cenności, do pierwszorzędných za granicą należy.

Niewiadomo nam z pewnością <sup>1)</sup> gdzie się znajduje ogromny dziesięciotomowy jego rękopism, nazwany przez samego autora: „Magna bibliotheca polona universalis.” Był to prawdziwy klejnot bibliografii polskiej, nad którą zawsze zawodne ciąży losy. Treść nam tylko tej pracy została, własnąż Załuskiego skreślona ręką w manuskrypcie wyżej przytoczonym i częściowo już drukowanym. Pierwszy i drugi tomy *wielkiej biblioteki* zawierały abecadłowym ułożone porządkiem wyliczenia rękopismów i dzieł o Polsce traktujących. Od trzeciego do włącznie szóstego tomu umieszczeni byli różni pisarze z Polski, Litwy, Pruss, Infant i Kurlandyi, jako ziem ongi do Polski należących, lub jęj hołdujących. Tom VII zawierał naszych Szlązaków. Osmi tom był wykazem sporządzonym nie według autorów, lecz podług następstwa tytułów książek. Dziewiąty poświęcony samym rękopismom, na trzy dzielił się części: w pierwszej były wykazane te, które posiadał sam Załuski (Janocki ich spisał tylko 499);—w drugiej opisał manuskrypta przez się widziane;—w trzeciej zaś podał to, o czém tylko polskiem znalazł wzmiankę w dziełach bądź już wydanych, bądź jeszcze nieogłoszonych drukiem. Ostatni tom, niegotowy jeszcze wtedy do wydania, być prostym indeksem.

Zamyślał jeszcze Załuski wydać następane dzieła:

1. Słownik historyczno-biografijny wszystkich autorów, w różnych językach o rzeczach polskich kiedykolwiek piszących.

2. Spis manuskryptów polskich, rozproszonych po różnych bibliotekach w kraju.

3. Kodeks dyplomatyczny Polski i podległych jęj prowincji.

4. Dykejonarz dziejowy polski na wzór podobnych prac Morerego i Hoffmana, wówczas za najlepsze uważanych.

5. *Collectio legum ecclesiasticorum Poloniae ineditorum, tum et editorum quidem, sed rarissime obviorum.* Tej ostatniej pracy zapowiedzianej prospectem (*Conspectus novae collectionis etc.*) drukowanym w Warszawie u Pijarów 1744 o str. 79 in 4-to, zdaje się, że już część zaczął być drukować. Znajdujemy bowiem w Chłędowskim <sup>2)</sup> następującą wzmiankę: „Synodus dioecesis Kijoviensis, celebrata Żitomi-

<sup>1)</sup> F. Bentkowski domyślał się, ale to *tylko domyślał się*, że ów rękopism posiadał był T. Czacki (*Hist. lit. pols.* Tom I str. 34).

<sup>2)</sup> Spis Dzieł opuszczonych lub źle oznaczonych w Bentk. hist. liter. Pols. Lwów 1818 str. 66 i 67.

riae A. 1762 in folio str. 614 (bez tytułu). Przypisane to dzieło Papieżowi; w dedykacyi Załuski mówi, iż posyła niniejsze statuta do Rzymu przez Kassyana Korczyńskiego i prosi o nadanie odpustu w Żytomierzu na dzień Śgo Józefa. Data poświęcenia tego w r. 1773, a więc na rok przed śmiercią. Następują potem na XXX stronach *Homiliae Synodales,--Statuta Dioec. Kijoviensis*;—spis papieżów i królów polskich;—wykaz wszystkich synodów polskich;— spis biskupów kijowskich;—*Supplementum Synodi D. kijoviensis* na str. 41 po polsku;—*Series ecclesiarum et cleri Dioec. Kijov. a. 1767. Consecrationes ecclesiarum et episcoporum a J. A. Załuski peractae*;—*series procerum senatorum et officialium Dioec. Kijoviensis.*“

Dzieło to bardzo ważne, musiało być albo w niewielu odbite exemplarzach, albo uleż jakowemuś uszkodzeniu, gdyż dzisiaj do rzadkości należy. Drukowało się aż trzy lata.

O zamysłach Załuskiego co do wydania czterech dzieł, wyżej przywiedzionych, dowiadujemy się z ciekawej jego broszury, przełożonej na język łaciński przez Jerzego Piotra Szulca profesora w Toruniu r. 1743, a wydanej po polsku w Warszawie przez referendarza w roku 1742 o 56 ćwiartkowych stronnicach, z tytułem tylko łacińskim:

„*Programma litterarium ad Bibliophilos, Typothetas et Bibliopegos, tum et quosvis liberalium artium amatores.*“

W dziełku: „*Bibliotheca poetarum polonorum qui patrio sermone scripserunt*” in 4to str. 100 w Warszawie 1756 roku, <sup>1)</sup> podał ks. biskup bardzo sumienny *katalog*, jak powiada Bentkowski, gniewający się aż do śmierci za to, że Mickiewicz nazwał katalogiem jego *Historję literatury*.

Zdaje się, że „Bibliotekę poetów polskich, którzy ojczystym pisali językiem“ układał Załuski razem z księciem Jabłonowskim z Lachowic, także literatem, również jak dziełko: „*Anecdota singularia cels. Jablonoviorum domus*“ 1755 in 4to w Warszawie.

Również ułożył rodowód Pawła ze złotego Potoku Potockiego, senatora polskiego, kasztellana kamieniecko-podolskiego, i niektóre jego pisma tłumaczył na język łaciński i wydał 1747 roku. <sup>2)</sup>

<sup>1)</sup> Rozbiór szczegółowy tej pracy podaliśmy już dawniej w naszym *Przeglądzie naukowym* z r. 1843; T. II od str. 160 do 164.

<sup>2)</sup> Szczegółowy aż nadto, bo całostronicowy, *drobną kursywą* tytuł, znaleźć można w Bentkowskiego *historyi liter. pols.* tom II str. 766 i 767, oraz w tomie I str. 36.

Już to wówczas genealogije cieszyły się nadzwyczajną wziętością. Założyciel towarzystwa lipskiego, drukował wielkim kosztem w Norymberdze sławne swoje „Tabulae Jablonovianae“ a Załuski sam wspomina w rękopisie wytłoczonym w części przez Mucz-kowskiego, iż wiele podobnych tablic rodowodowych dla różnych ułożył domów polskich. Jakkolwiek z jednej strony, czas tylko wypada o to obwiniać i tryb wychowywania szlacheckiego; tak z drugiej strony zaprzeczyć nie można, iż podobne badania wielce się przyczyniły do dziejów pojedynczych osób, których wątku, nieraz napróżnoby szperacze szukali. Za ostro więc i nie po literacku wyraża się w podobnym względzie Jul. Bartoszewicz mówiąc iż: „chętną rękę podawał zupełnie oszołomiony nie po biskupiemu uczony założyciel biblioteki warszawskiej do tytułów i splendorów rodzinnych. <sup>1)</sup>

Rzecz dziwna, iż tenże sam referendarz, który jako biblioman zdaje się wierzyć w kronikę Nakorsu Warmisza za króla Wizimierza napisaną, pierwszy niemal w XVIII wieku, jako pisarz dziejowy, toruje drogę do krytyki dziejowej. W dziele bowiem: „Specimen historiae polonae criticae (1733) zbija fałszywe przez Kołudzkiego głoszone mniemanie o istnieniu rokoshu gliniańskiego. W téjże saméj pracy, sumiennie i rozbiorowo zastanawia się nad panowaniem króla polskiego Ludwika.

Pisał także podręcznik o bezkrólewicach w Polsce (Manuale de interregnis Poloniae), który od r. 1733 do 1764 w rękopiśmie pomiędzy szperaczami i uczonymi krążył. Tłumaczył owe dziełko Duclos na język francuzki w Warszawie 1764 r.

Gdy Augustowi II królowi polskiemu, papież Benedykt przysłał czapkę i miecz poświęcany, wtedy acz młody, ale już goniący za uczonością Załuski, popisał się ze swą erudycją 1721 w broszurce ćwiartkowej pod tytułem: „Analecta historica de sacra, in die natali Domini a Romanis Pontificibus quotannis usitata ceremonia *Insem et Pileum christianis mittendi*.“ Nie tylko swego czasu słynął Załuski jako zbieracz, pisarz i badacz, ale zarazem i jako wydawca. Łożył on nakład na wiele dzieł polskich i tym sposobem do zamięłowania piśmiennictwa polskiego w massach wielce się przykładał. I tak ogłaszał piśma Górnickiego, Jędrzeja Kochanowskiego, Elżbiety Drużbackiej, Józefa Epifaniego Minasowicza, i t. p.

Miał szanowny biskup nawykniecie do pisania

<sup>1)</sup> Obacz przypiski do „Pamiętek historycznych T. Święckiego, tom II str. 554.

wierszy. Był wtedy zwyczaj jeografię i arytmetykę rymować; więc Załuski napisał bibliografię wierszem. W tytułach dzieł, nie można szukać poezji, a więc i za złe wielkie téj chętki rymotwórczej poczytać tu nie wypada. Ale Załuski o ile miał sprytu badawczego w dochodzeniu źródeł i śledzeniu rzeczy ojczystych, o tyle przeciwnie niedostawało mu wcale weny prawdziwie poetycznej.

Co gorsza, i dramaturgii wrota chciał dla się otworzyć. Mamy tego dowody w pięcio-tomowém: „Zebrańniu rytmów przez wierszopisów żyjących“ od 1752 do 1756 r.

Pierwszy tom tego zbioru poświęcony na poezye Drużbackiej, 4 i 5 na wiersze J. Epifaniego Minasowicza. Tom II i III mieści same dzieła Załuskiego a mianowicie:

Kazimierz ś. królewicz polski, trajedyja. Witenes, albo o pomście Boskiej nad zelźycielem Przynajświętszego Sakramentu. Trajedyja.

Józef zaprzędany, trajedyja bez osoby niewieściój.

O sędzie ostatecznym, trajedyja, nad wszystkie co ich było, jest i będzie trajedyj, najokropniejsza, z łacińskiego przełożona (Tucci).

Katylna albo Rzym wybawiony (z Woltera).

Edward III czyli miłość Dobra Pospolitego, trajedyja częścią z francuzkiego, częścią z angielskiego przełożona.

Oddzielnie drukowane jego roboty rymowe są:

*Ludzkość litująca się czyli obraz nędzy ludzkiej* tragikomedya w 5 aktach, wydanie Miclera 1768 r. Nakładem literatów, przedrukowana 1795 w Warszawie.

*Próba pióra nowego poety w trzech starych satyrach* (Boileau) 1753 w Warszawie.

*Satyra z Boala*, 1754 w Warszawie w druk. kol. Jezuitów. Wielu osobom ta ostatnia, a raczej czwarta satyra nie podobała się, gdyż zwrotów szukano do osobistości. Załuski nie tylko, że tego za przyjemną rzecz nie uważał, ale nawet mnóstwo nieprzyjemności z tego powodu doświadczył.

*Krótka relacja historyczna o męczeństwie ŚŚ. obywatelów Prymusa i Felicyana*. W 8-ce b. m. d. i. r.

Manuale juris publici Poloniae etc u Miclera 1764 (t. j. *Podręcznik prawa publicznego Polski*).

Widzimy z tych wyliczeń, jak rozlicznym pracom poświęcał się niezmordowany umysł Załuskiego. Owe jednak zajęcia się, nie przeszkadzały mu trudnić się i robotami więćej materyalnemi. Z polecenia stryja swego, stawia mury szkolne dla Jezuitów. Sam porządkuje i układa dzieła w bibliotece, sam pilnuje

druków, sam rachunki utrzymuje. Zdaje się więc że żadna chwila życia jego, bezużyteczną nie była. Dla dyecezyi swój wiele bardzo zrobił. I cóż dziwnego, że zgon takiego męża powszechny żal obudził? Zasnął w Panu 7 stycznia 1774 roku. <sup>1)</sup>

Biskup Łętowski <sup>2)</sup> podaje świadectwo gorliwości pasterskiej Załuskiego, który odwiedzał swą dyecezyę, parafije regulował, odwiedził i Kijów gdzie z wielką czcią był przyjmowany od Metropolity i gubernatora. Ustanowił archidyakoniat Czerniechowski, zebrał na Suffragana 70,000 złp. i ustalił go; a na Seminarium piętnaście tysięcy złotych. Zwołał wrześnie Synod dyecezalny do Berdyczowa. <sup>3)</sup>

Załuski oprócz innych pięknych czynów i pomysłów, miał też i zamiar wydawania źródeł dziejowych polskich, oraz innych rzadkich pism naszych. Począł od kroniki Baszka p. t.: „Boguphali II... chronicon Poloniae... 1742; p. 169 in 4to. Myśli téj jał się Micler i wiele dzieł ex musaeo J. Z. R. R. ogłosił.

Chciał, aby w Bibliotece, którą oddał na użytek publiczny, odbywały się konkursa o napisanie i bronienie rokrocznie 3ch najlepszych rozpraw, z teologii, historyi polskiej, krasomówstwa, oraz rymopistwa naprzemian, to jest w jednym roku z Wymowy, w drugim z poezyi. Trzy medale, (każdy wartości 25 dukatów), miały być nagrodą.

Na teologijnój medalowój nagrodzie, umyślił ś. p. Biskup takie dać *hasło* (jak sam powiada), czyli napis:

„FIDES SPERANDARUM SUBSTANTIA RERUM.”

Medal za historyę krajową, miał nosić godło z Wirgilego:

„VINCIT AMOR PATRIAE LAUDUMQUE IMMENSA CUPIDO“

Trzeciego *pieniądza hasło*, jak wyraża Załuski we własnoręcznym swym *projekcie*, wzięte było z Owidyusza:

„QUIS DUBITAT NOMINA TANTA SEQUI?”

Rozprawa miała być po polsku, i broniona przez pół godziny. Każdemu wolno było konkurować, czy

<sup>1)</sup> Bartoszewicz Jul. i inni, błędnie podają dzień 9 zgonu.

<sup>2)</sup> Katalog Bisk. T. IV str. 120, 268 i 292. Krak.

<sup>3)</sup> W Janockiego *Catalogi specimen* na str. 114 czytamy. „Codex Singularis. Sermones ab illustr. Com. Załusciis, variorum negotiorum causa publice dictos continet. Dziś ten ciekawy dla biografy *volumen*, znajduje się w Petersburgu. Biskup Załuski pisywał kazania i po francuzku.

Polakowi czy Cudzoziemcowi; temu ostatniemu wyznaczono język łaciński. Najlepsze rozprawy polskie miano tłumaczyć na mowę Rzymian Starożytnych, aby za pośrednictwem powszechnego języka, całemu światu były znane. Sędziowie składać się mieli z literatów warszawskich *per pluralitatem votorum*, na to w Bibliotece zgromadzonych w dzień ś. Józefa, 19 marca. A jeżeliby dzień nie wystarczał, wtedy mogły rozprawy toczyć się i dni cztery lub więcej. Coroczne „dyskursa, będą zbierane i do druku podawane ad perpetuum rei memoriam;” jak napisał ś. p. uczony i świeżo sponiewierany, wraz z innymi, zachości pełnymi mężami w pamphlecie literackim J. Bartoszewicza, ochrzczonym szumną „Historyi literatury polskiej” nazwą. Zamiast zbijania drobnostkowego szczegółów pana J. B. sądziliśmy, że najlepszą odpowiedzią będzie napisanie oddzielnego życiorysu obszerniejszego, bez żółci, gniewu i poniewierania przeszłości.

W dzień nowego roku (1774) odprawiając Biskup Załuski nabożeństwo, zaziębił się, a w sześć dni, życia dokonał. Przytomność jak największą miał do samego skonu. Na godzinę przed śmiercią, kazał sobie podać testament zrobiony jeszcze 1769 roku, i własną ręką dodatki poczynił. Taka trzeźwość umysłu, aż do ostatniej chwili tchnienia, była wpływem prawości życia. Wykonawcami ostatniej woli swojej, uczynił Józefa Szaniawskiego kan. krak., Adama Dunina Wąsowicza, kustosza kijowskiego audytora *Curiae Episc.* Jana And. Janockiego, prefekta biblioteki publicznej i J. E. Minasowicza, kan. katedry kijowskiej, sekretarza Jego Królewskiej Mości. Naznaczył także czterech *protektorów* do pilnowania, aby każdy punkt testamentu był wykonanym a mianowicie: arcybiskupa lwowskiego Wacł. Sierakowskiego; biskupa przemyskiego Józefa Kierskiego; biskupa smoleńskiego Jerzego Hilzena i księcia Siewierskiego, koadjutora biskupa chełmińskiego, Krzysztofa Szembeka. Następcą zostawił koadjutora swego Franciszka z Tęczyna Ossolińskiego.

Gdy skończył życie w stolicy, pochowano go w Kolegiacie, ale żądał przed śmiercią, aby serce jego złożono w Katedrze Żytomierskiej, która mu wiele bardzo winną była. „Gdzie skarb twój, tam i serce Twoje” czcijnajgodniejszy biskupie!

Gazeta ówczesna, taki treściwy podała jego nekrolog: „Gorliwość, cnota i umysłu stałość tak w szczęściu, jak i nieszczęściu, oraz wysoka nauka i mądrość, całej Europie były wiadome. Jego, akademije: berliń-

ska, petersburska, rzymska, bonońska, floreńska (sic), lipska, nansejska, jeneńska, grypswaldeńska i inne za towarzysza swego przyznały. Wiadomość autorów tak dawnych jak i późniejszych którzy w jakich-

kolwiek materyach pisali, wielka była w tym wielkim meżu.”

Cóż do tych słów więcej dodać można?

H Skimborowicz.

## O PIENIĄDZACH DAWNYCH POLSKICH.

Możnaby wiele wypisać rzeczy na potępienie *pieniedzy*, téj pokusy do wszystkiego złego otwierającej wrota, téj zwodniczej mamony, prowadzącej ludzi do zagubienia w sobie wszystkich wyższych władz i atrybucyi człowieczeństwa. Przecież mimo wszystkiego złego co o tym bożyszczu poniewieraném na pozór, a czczonem w gruncie powiedzieć można; przyznać należy, że *moneta* czyli pieniądz w szlachetniejszą tylko przybrany sukienkę, najgłówniejszą gra rolę w cywilizacyi ludzkiej, i bezwątpienia jest wielkim dla badacza historyi polem dostarczającym mu najważniejszych z odległych wieków objaśnień. Dzieje każdego kraju ściśle są związane z historją monet, które są najdawniejszemi pomnikami, świadczącemi o wykształceniu mniejszem lub większem; o rozwijaniu się sztuki w rozmaitych wiekach. To też numizmatyka czyli opisanie monet wraz z tłómaczeniem praw podług których były bite, jest prawdziwie wielką i nader użyteczną nauką, potrzebną koniecznie do głębszej nauki historyi. Kiedy, w jakim kraju zaczęto najpierw używać monet? niewiadomo. Kto był pierwszym w obmyśleniu, ażeby dla ułatwienia zamiany produktów, dla zachowania od strat, zamknąć wartość tychże w rzeczy jakiej, nie potrzebnej do użycia, a mimo to mającej wartość wewnętrzną, trwałą, jaką jest metal srebrny lub złoty? także niewiadomo. Najdawniejsza wzmianka o pieniądzach znajduje się w księdze Mojżeszowej, gdzie król Abimelech daje 1,000 sztuk srebra. W drugim znów miejscu pisma jest: jak Abraham kupuje miejsce w skale i pole pod Hebron na grób dla Sary za 400 syklów srebrnych które *oddał pod wagę* Efronowi—nie można tych syklów uważać za pewien rodzaj ukształtowanej i mającej stałą wartość monety, lecz jak twierdzą, było to nazwisko wagi metalu, gdyż nigdzie w piśmie nie spotykamy określonej bez wagi, wartości sztuki srebrnej. I tak gdy bracia Józefa, odnieśli mu

jako rządcy Egiptu pieniądze, musieli je złożyć *pod taką wagę* pod jaką im były oddane. Tak tedy używanie sztuk srebra mniejszej lub większej wagi do opłacania niemi produktów, zdaje się powstało na tyśiąc osiemset dziewięćdziesiąt kilka lat przed Chrystusem w okolicach zamieszkałych przez pokolenie Protoplasty Izraela.—Albowiem najdawniejsi piewcy a razem i historycy Grecy jak Hezyod i Homer nigdzie wzmianki o tem ułatwieniu zamiany produktów nie czynią, owszem Homer w Iljadzie swojej pisze, że Glaucus zbroję swoją złotą, wartującą sto wołów zamienił z Diomedesem za miedzianą.—Niektórzy przypisując wszystkie wielkie czyny Tezeuszowi twierdzili, że on pierwszy kazał bić rodzaj monety w Grecyi, ze znakiem łba wołu, i że Homer wspominając o wołach, mówi o monecie tak ją przyzwyczaj, z powodu wizerunku tego zwierza.—Choćby to przypuszczenie było prawdziwe, zawsze by Izraelici wyprzedzili o kilkaset lat bohatera Ateńskiego.

Wiadomo, że Rzymianie jeszcze później przyszli do tego wynalazku.—Są podania, iż Rzymianie dopóki nie znali monet srebrnych, inne tworzyli znaki, lecz wielu badaczy historyi starożytnej, zaprzeczyło stanowczo jakoby Rzymianie mieli używać kiedykolwiek pieniędzy ze skór. Zdaje się jednak, iż tego faktu bezwarunkowo zaprzeczyć nie można, bo kiedy dziś jeszcze przy tak rozpowszechnioném użyciu różnych monet, spotkać można w niektórych okolicach Tataryi monety podobnego rodzaju, dla czegożby dla ułatwienia zamiany, w początkach cywilizacyi nie miano także tworzyć sobie z jakąś fikcyjną wartością znaków; które mogły tylko służyć dla pewnej części mieszkańców, pod rządem pierwszych konsulów zostających.—Podług świadectwa Pliniusza, Rzymianie nie mieli jeszcze pieniędzy srebrnych podczas wojny z Pirusem, trudno wszakże przypuścić aby nie



mieli żadnych ułatwień w koniecznej zamianie produktów; mogli więc robić je ze skóry, lub drzewa.

Zagłębienie się w dawność lub początek monet które w rozmaitych krajach przybierając różne zmiany pojawiać się zaczynały, przechodzi zakres niniejszego artykułu: wrócim się przeto do zapowiedzianych na początku monet polskich, wspomniawszy znamienitszych pisarzy, którzy na tem polu pracowali. Pierwszym który opisał historję mennictwa w prusach i polsce był niemiec Braun w dziele, które wyszło w Elblągu roku 1722. Nasz Biskup Krasicki któremu i ta gałęź nie była obcą, pisząc o monetach, twierdzi, że ten przedmiot miał być bardzo pracowicie i dokładnie obrabiony przez Szambelana Łojko, któremu Stan. Poniatowski polecił napisać historję monet w Polsce, ale na nieszczęście przedwczesna śmierć zaskoczyła Autora, kiedy zaledwie był w połowie swęj pracy. Uczeni nasi historycy jak Naruszewicz i Bandke, także ten przedmiot obrabiali, a później Czacki, któren można powiedzieć pierwszym był głębszym i obszerniejszym pracownikiem na tęg niwie. Lecz jak początek dziejów w naszych tak również i początek monet tak grubą pomroką jest pokryty, iż nie podobna jęg datą było rozjaśnić z braku potrzebnych źródeł, na których nam brakuje. W naszym nieszczęśliwym, narażanym na tylokrotne zniszczenie przez tłuszcze pogańskie, kraju; nie mogły się przechować dawne zbiory naukowe, mogące być kluczem do skarbcza odległych dziejowych pamiątek. Tak więc Czacki, lubo z wielką pracą podał nam obszerne i gruntowne wiadomości o stanie mennictwa, objaśniwszy razem i pochodzenie wielu monet, to jednak z początkowych wieków nie dokładnego i stanowczego zebrać nie zdołał. Później następni badacze starali się rozjaśnić tę pierwotną pomrokę, lecz niezwalczone spotykali trudności, mianowicie z powodu jedno-imiennych Monarchów panujących u nas i w Czechach.—I tak gdy znaleziono pieniądz z wizerunkiem i podpisem Bolesława, trudno było twierdzić, że to Bolesław nie Czeski tylko Polski tam figurował i że pieniądz ten był zabytkiem z czasów Bolesława śmiałego.

Lelewel dopiero rozjaśnił wiele zawiłości w historji numizmatyki, nie tylko polskiej, o której obszernie mówi w swojem pracowitem, erudycyjnem dziele pod tytułem: „Numismatique du moyen age, considérée sous le rapport du type.” Paris 1835,— zaś do pieniędzy polskich najwięcej dostarczają objaśnień dzieła jego następujące: pod tytułem *Stare pieniądze wykopane w Trzebuniu*, najpierwsze w tym rodzaju

wydane r. 1826 w Warsz., i ostatnie wyszłe za granicą r. 1841 pod tytułem: *Notice sur la monnaie de Pologne*.

Opierając się na Lelewelu i innych źródłach z których on czerpał, twierdzić można, że nie podpada żadnej wątpliwości, że w Polsce od X wieku istniała moneta, to jest od wprowadzenia chrześcijaństwa, a mylnie twierdzą niektórzy kronikarze, że jęg przed Wacławem, nie było wcale.—Przecie Kadłubek przytacza nadużycia menniczne za czasów panowania Mieczysława starego.—Z rozmaitych wykopywanych pieniędzy w kraju naszym, noszących cechę X i XI wieku, przekonywamy się, że używanie monet rozmaitych było nader rozpowszechnionem. Polska miała stosunki ciągłe z Zachodem od zaprowadzenia chrześcijaństwa. Pierwsi Biskupi sprowadzani byli z Włoch i Niemiec, gdzie nie tylko nauki ale przemysł kwitł już; niepodobna przypuścić, ażeby w kraju o którego zamożności, mianowicie za Bolesława Wielkiego tyle piszą kronikarze, gdzie się już handel swobodnie rozwijał, nie *było oddawna* w kurs wprowadzonej monety własnej. Słusznie twierdzi Czacki, że gdyby bicie monety dopiero wprowadził Mieczysław I z powodu zaślubin Dąbrowki, któraby ten zwyczaj z Czech dopiero wprowadzić mogła, to kronikarze nie byli by pominęli jeszcze i tego dobrodziejstwa spadłego na kraj z powodu zaślubin Monarchy, któremu głównie zwykli przypisywać uorganizowanie Polski w państwo, na wzór innych państw europejskich. Jakkolwiek więc nie ma dowodów, że moneta bitą była u nas jeszcze w czasach przedchrześcijańskich, zdaje się wszakże, że temu nie można zaprzeczyć, ani o tęg wątpić.

W ogólności numizmatykę dziela na 3 perjody, z których kaźden ma swoje odmienne menniczne prawa. Pierwszy perjod jest zwany *denarowym*: początek mu dają od X wieku do pierwszej połowy czternastego. Zawiera on w sobie prawie wszystkie panowania Piastów i wtedy do mennicznych wyrobów tylko czyste srebro lub mieszane używano.—Drugi perjod zwany *groszowym*, liczy się od 14 do 17 wieku.—W tym perjodzie już używano złota obok srebra, a grosz, rozumie się srebrny, używany był za główną podstawę liczenia.—Ostatni perjod poczynający się od 1620, do 1795 r., nazwany jest *złotówkowym*, gdyż wtedy złoty miał swoją nominalną wartość, a grosz wykluczonym będąc ze srebrnych monet razem z szelągim, przemienił się na miedziany. Już w pierwszym perjodzie poczynają się zwolna wyrabiać narodowy typ i stopa czyli miara własna, różniąca się od niemieckiej i czeskiej, a zbliżająca się więcej

do węgierskiej.—Od 1070 r., zwykle na denarach umieszczają z jednej strony wizerunek panującego, a z drugiej S-go Wojciecha.—Znaków monarszych różnych używają:—z początku są berła, potem chorągwie, potem miecze, a czasem i włócznie w rękę kładą. Później około 13 wieku spotykać można monarchów w całej postaci, na koniu, lub pieszo z chorągwią i tarczą w rękę.

Nie ciągle te denary były jednakowej miary, albowiem po podziale Polski przez Krzywoustego, w różnych miejscach zaczęto wybijać monety. Panujący w Krakowie miał swoją Mennicę,—książęta Mazowiecy mieli także swoją, jak o tym przekonać się można ze znajdujących się dotąd moneta w zbiorach. Nadto niektórzy Biskupi bili także monety. Z tych tedy powodów zaczęto zmieniać stare denary, zmniejszając je znacznie, a w końcu poczęto naśladować niemiecki rodzaj małej monety, nazywanej *brakteaty*, które się znacznie różniły od denarów; były bowiem z cienkiej blaszki, i nie miały stempla po obu stronach jak denary, tylko z jednej wypukłe wybicie. W Niemczech w XII i XIII wieku mnóstwo wybijali takich brakteatów z gorszego srebra i nie liczone ich na sztuki tylko na kopy, gdyż były tak małe i liche, iż niepodobna było pojedynczo ich liczyć. Być może, że takie brakteaty były już za Mieczysława i że to właśnie te liche pieniądze przechowały się aż do naszych czasów: ostatnie są bite za panowania Kazimierza Jagiellończyka w Krakowie i innych pruskich miastach. Mimo używania upowszechnionej w kraju monety, czy to denarów, czy brakteatów, używano w handlu futer w zastępstwie monety, która jak zdaje się nie wystarczającą była, i te futra rachowano na sposób pieniędzy jak np. *grzywna kun* to jest ilość kun wynosząca grzywnę; kuny bowiem, popielice i gronostaje były nader w drogiej cenie, a mianowicie miano używać mordków i łebków tych zwierząt w handlu, jako ułatwienie zastępujące pieniądze. Dziś jeszcze przekonać się można o ważności roli jaką miały wiewiórki za czasów panowania Krzywoustego; znajdują się bowiem dowody z panowania tego króla, gdzie Opactwo Tynieckie ma sobie przyznaną daninę ze skórek wiewiórkowych.

Lelewel opisał szczegółowo z właściwą sobie pracowitością różne rodzaje denarów — z wyszczególnieniem z jakich czasów,—to jest z jakiego panowania pochodziły. Nie tu miejsce przytaczać te jego opisy; wspomnimy tylko o jednym, jako o więcej, charakterystycznym: jest to denar bity w mennicy krakowskiej za panowania Bolesława Kędzierzawego,

ma on na stronie głównej pół osoby z mieczem w ręku, zaś na odwrotnej 3 osoby siedzące za stołem, oznaczające zapewne trzech braci Bolesława w innych dzielnicach panujących; to jest Mieczysława, Henryka i Kazimierza. Twierdzą, że *stół* oznaczający radę i zebranie panujących, dał początek nazwie *stolicy*; (*stół*, *stolica*, *stolec*) i odtąd często się na monetach spotyka.

Brakteaty jako blaszki na jednej tylko stronie wybite, nie tak wiele objaśnień, z jakiego panowania i wieku pochodzą? dostarczyć mogą,—przytoczymy tu tylko jako zadziwiający jeden z nich.—Wystawiono na nim zwierzę, na kształt lwa, w około napis hebrajski. *Mesko melech polski*, co znaczy *Mieszko król polski*. Trudno zrozumieć dla czego z hebrajskim napisem są te pieniądze? jedni sądzą, że w braku mincarza innego, Mieczysław III użył żyda, a ten nieumiejąc łaciny i alfabetu łacińskiego, w swoim języku wybijał napisy.—Drudzy twierdzą, że za panowania tego króla, mennica była pod zarządem żydowskim, i dla tego to Kadłubek powstaje na jej nieprawie czynności, na częste przerabianie i t. d. W późniejszych czasach to przetopienie tak weszło w użycie, że aż Innocenty III w liście do Leszka białego użala się, iż denar S-go Piotra opłacany dopiero na końcu roku, dochodzi wtenczas, kiedy przez przetopienie ostatecznemu zmniejszeniu ulegnie.“ Podstawą według której czyniono redukeyę, co do jej wartości jest *grzywna*, zawierająca w sobie 8 uncyi czyli 16 łutów. Z takiej grzywny bito w Polsce zrazu 450 a potem 540 denarów. Kiedy *denar* przyszedł do wielkiego zmniejszenia, nazywano go *obolem*; albo *halerem*, co miało znaczyć, że nazwa wzięta z niemieckiego miasta Halli—i znaczy pół denara. Czwartą część grzywny zwano wiardunek, z niemieckiego także *vürtd*.—Grzywna prawie do ostatnich czasów utrzymywała się. Denary czy to w pierwiastkowej wielkości z rozmaitemi często figurycznymi odbiciami, a później z wyobrażeniem wyraźniejszym panujących, czy też zmniejszone, były jedyną monetą krajową, aż do powstania groszy, które stanowią epokę drugą w historii monetarnej.

Grosze weszły w użycie od r. 1333 do r. 1620.—Zrazu grosze Pruskie zaczęły kursować po kraju; potem powstał własny grosz za Kazimierza Wielkiego, którego nie tylko prawa ale i monetę chciał w kraju ustalić. Grosz miał zrazu wartość, podług dzisiejszej rachuby groszy 40; lecz w r. 1350 zniżyła się wartość jego, gdyż wybijano nie 60 z grzywny ale 70, był więc wart 34½ — a w końcu panowania jego, doszedł do

wartości dzisiejszej złotówki. — Za Władysława Jagiełły jeszcze niżej spadły grosze, gdyż ich bito 90 z grzywny. — To zepsucie monety przyszło z sąsiednich krajów: z jednej strony Krzyżacy chcąc sobie nagrodzić straty wojenne, bili liche pieniądze, z drugiej w Czechach Cesarz Zygmunt złą wybijał monetę. Później w Warszawie i Szląsku wszczęło się fałszerstwo. — Za Kazimierza Jagiellończyka bito na tak małą stopę pieniążki, że aż zmuszano ustawą sejmową do brania ich. Lubo prawami fałszerstwo karane było, trudno było uchronić się jednej Polsce od tej powszechnie w on czas w sąsiednich krajach szerzącej się zarazy, mianowicie w czasie 13-letniej wojny pruskiej, kiedy nie tylko zakon krzyżowy, ale i książęta, Austrijacki, Bawarski, oraz sam cesarz i król Węgierski, chcąc się bogacić złemi środkami, podle pieniądze wypuszczali z mennic. Zła moneta austrijacka brana była pod nazwiskiem *Schinderling*. Tak psując się grosz polski po wojnie pruskiej miał tylko wartości 20 groszy dzisiejszych, bito ich bowiem 120 z grzywny.

Zwykle na groszach wybity był z jednej strony orzeł, a z drugiej korona, napisy i miecz panującego a nie zawsze wartość monety, czasem Podskarbiowie dodawali swoje herby lub początkowe litery swego nazwiska. Pod Zygmontami zmienił się stempel i nastąpiła większa różnaitość monet; okazało się popiersie króla albo cyfra jego. — Pod Aleksandrem zaczęto umieszczać pogoń a na odwrotnej stronie orła na monetach litewskich. Za Zygmunta Augusta sam tylko herb litewski, kolumny, pogoń, albo oba te herby widzieć się dają, a z drugiej strony popiersie albo cyfra królewska. — Za Batorego, po ostatniej unii, zawsze jest pogoń z orłem złączona, a kolumny, herb litewski, już się nie okazują. Miasta posiadające przywilej bicia monety były: Gdańsk, Toruń, Elbląg, Ryga i Lwów; umieszczały swoje herby z jednej, a z drugiej wizerunek panującego i tytuł jego. Były także mennice za Zygmunta III w Poznaniu, Malborgu, Wschowie, w Łobzowie i te umieszczały początkowe litery nazwiska miejsca, oprócz Poznania i Wschowy, które herby swoje kładły. Zaś w Krakowie była mennica koronna, w Wilnie litewska, w Toruniu prus polskich.

Trudno jest oznaczyć w których roku wzięła początek złotówka poczynająca trzeci perjod. Twierdzą badacze historii monet, iż rok 1620 jest stanowczym, z powodu wyraźnie oznaczonego stosunku złotego do dukata. — Wielkie zmiany, zamieszanie w czasie tego perjodu zachodzące w prawach i zwyczajach

mennicznych, utrudniają opisy dziejowe monet z tego perjodu. — Jan Kazimierz w nagłej potrzebie zaczął używać miedzi dopiero w 1666 roku: to ustało, lubo znów r. 1750 wprowadzonym było.

Jak zrazu denar grał wielką rolę, będąc jedyną kursującą monetą, tak potem grosz, z tą różnicą, że ten przewyższył go w znaczeniu, albowiem słusznie twierdzą, że z grosza jak z pnia rozrodziły się, rozgałęziły inne pieniądze; gdyż z połączenia rozmaitej ilości groszy, powstały różne pieniądze, tak srebrne jak złote. Trudno określić czas, w którym powstał *złoty* w rzeczywistości, był on bowiem czas długi tylko nominalnym. Z samego nazwiska widać, iż złote były z najdroższego kruszcu — nazywano ich zrazu florenami od miasta Florencyi z kąd początek wzięły a później dopiero dukatami. W końcu w Niemczech przemienił się na srebrny — i ztąd zapewne powstała u nas nazwa *czzerwony złoty*, dla odróżnienia od złotego, który lubo się tak nazywał, nie był ze złota. Dopiero roku 1620 za panowania Jana Kazimierza zaczęto wybijać złotówki — Zygmunt I zaczął talary bić składające się czyli wartujące 30 groszy — a za Zygmunta Augusta nawet wybijano liczbę XXX oznaczającą wartość jego. — Zygmunt I także najpierw zaczął bić dukaty polskie — Oględny na wszystkie potrzeby kraju Zygmunt zwrócił uwagę swoją na Prusy polskie bijące na wzór Niemców lichą monetę, udał się więc do Gdańska i w tym celu zwołał stany. Wtedy to jako deputowany Biskupstwa Warmińskiego, Mikołaj Kopernik przedstawienie złożył, w którym dowodził, że moneta we wszystkich krajach powinna być jednostajną, a zatem potrzeba jest miastom pojedynczym odjąć wolność bicia monety; a ustanowić jedną powszechną dla całych Prus. — Ustanowił Zygmunt w Toruniu mennicę własną i tam na pieniądzach wybijano z jednej strony wyobrażenie króla, a z drugiej berło ziem pruskich, — z napisem: *Sigis: Rex Pol. Dominus totius Prussie* mimo to jednak większe miasta, jak Elbląg i Gdańsk, nie przestały bić monety z tymże napisem z jednej, z herbem miasta swego z drugiej strony.

O ile możności Polska broniła się ościennemu niegodziwemu zwyczajowi wybijania złych monet, jako publicznej krzywdzie, ale mimo to jak choroba pomimo ostrożności gdy jest zaraźliwa, wkradnie się i do najlepiej strzeżonych domów, tak i ta choroba moralna, tu i owdzie przyjmowała się u nas, mimo potężnych stróży jakimi byli prawdziwi miłośnicy dobra publicznego.

Wydawane na sejmach postanowienia karzące ostro

mennicznych, podskarbiów, zgola wszystkich przekonanych o udział w rozprzestrzenieniu złej monety, nie dość zapobiegały złemu.—Jak to zwykle bywało ostre środki tylko na papierze a nie w wykonaniu zaprowadzone, nie miały dość siły do powstrzymywania nieoględnych, nie zastanawiających się nad dalszemi złemi skutkami, nie wykształconych, nie myślących, czy to szlachty, czy kmieci, i bez żadnych wyrzutów sumienia sprzedawali dobre srebrne *talary* za liche cudzoziemskie pieniądze, na téj zasadzie że kiedy *kurs mają* to na nich straty niema. Wyżej tylko wykształceni, pojmując stratę jaką kraj ponosi na wywożeniu srebra, groźnie powstawali i wywoływali na sejmach powtórzenia tych samych ostrych zakazów które w wykonaniu słabły.

Roku 1645 podany na sejm w małej broszurce opis stanu monety w Polsce tak się wyraża, jak widać z głębokim żalem: „O miła Ojczyzno nasza! Jakowąż dziś miarą zamiany i handle nasze prowadzimy? Kiedy owe stare monety, ozdoby królów, panów twoich? Nie mamy żadnej, wszystkie do postronnych wywożono krajów, a my cudzą piędzią mierzyć się musimy. Tak wielkie i szerokie królestwo swój monety nie ma! Talary których trochę kujemy ledwo za próg mennic wyjdą, przez żydów wykupione albo za morze, albo do wyższych niemiec wywożone bywają. Cudzoziemskich nieznajomych pieniędzy taki bezmiar, że z drobniejszych nie mamy tylko krajcary, greszle, piątaki, helery, *tulacze*, z grubszych tylko lewkowe talary, monety państw, książąt panów rozmaitych *naszyńcom* niesłychanych. Co która waży? nie wiemy—czyjaby była? nieznamy.”—Taki był smutny stan pod względem położenia handlowego za panowania nieszczęśliwego Jana Kazimierza, a stan ten jeszcze pogorszonym został sławną wojną ze Szwedami rozpoczętą 1646 r. Po zawarciu pokoju nie było już ratunku i sposobu polepszenia monety, w tak zupełnem wycieńczeniu skarbu publicznego, i wśród tych strasznych klęsk, poczynających zupełny upadek kraju. Stan menniczny, którego żywotnem ciałem kraju nazwać można, w smutnym był upadku.

Chcąc ratować skarb, uchwała sejmowa wypuszczając mennicę Liwjużowi Boratyniemu roku 1650 chociaż obwarowała sobie pewny dochód, to Boratyni umiał na swoje korzyść zyski ciągnąć; wybijał miliony szelągami miedzianemi, i pozornym zyskiem zbywał skarb, a starych pieniędzy resztki przetapiając na nowo, ostatecznie wycieńczał kraj.—Także dzierżawił mennicę Andrzej Tympf rodem z Torunia. On to w Poznaniu wybijał r. 1663 monetę lichéj wartości

z numerami XXX, co znaczyło, że ma wartości w sobie 30 groszy i to dopiero można nazwać prawdziwą pierwszą złotówką. Napis wyryty na niej był taki: *dat pretium servata salus potiorque metallo est*. Od nazwiska mincarza nazwano je tympfami; miał taki tympf 12 groszy rzeczywistéj wartości. — Wkrótce tympfy wywołały powszechne oburzenie a zwalając wszystko złe na nieszczęśliwego króla napisy na tympfach, to jest wyryte litery pierwsze z nazwiska króla J. C. R. (Joan. Casimi. Rex) wytłumaczono w potępiający króla sposób to jest: Incipit calamitas Regni. — Mimo tak powszechnych krzyków na mincarzy, prowadzili oni jeszcze czas jakiś bezkarnie swoje rzec można niegodziwe handle, aż w końcu oszustwo Tympfa tak się stało widoczne, że go do więzienia wtrącono, zkąd znalazł sposób umknąć. — Boratyni zaś tyle miał wpływów, iż uniknął wszelkich przesładowań i dopiero w r. 1663 gdy już zabrakło środków polepszenia monet, zamknięto mennicę i przez przeciąg lat czterech od 1667 i 1673 wcale prawie nie była czynną. Dzisiaj pozostałe gdzie niegdzie monety, bite za panowania Michała Korybuta, do największych należą rzadkości. Tylko ówczesny podskarbi Morsztyn kazał wybić 5,000 dwózłotówek, na których według zwyczaju od Zygmunta I. powstałego kazał umieścić swój herb.

Król Michał przedstawił Stanom potrzebę bicia pieniędzy, ale miasta pruskie sprzeciwiały się temu, pragnąc aby tylko u nich były bite pieniądze, a polskie mennice żeby na zawsze zamknięte pozostały. Jednakże za Jana Sobieskiego otworzono mennice, a przez nie darowane pobłażliwości i słabości, znów na zarządcę wziętym został Boratyni. Lubo że wychodziły dukaty i talary i inne pieniądze prócz złotego, który przez nienawiść dla Tympfa zaniedbanym został, to jednak nie mogła kwitnąć mennica pod takim chciwym zysku przewodzą, a na domiar złego, gdy zręczny Boratyni przestał bić miedziane monety, to w nagrodę oddano mu zysk z mennicy.—Opatrzył się wcześniej kraj, a nie mogąc czyli raczej nie umiejąc inaczej sobie zaradzić, upominając się napróżno o szkody, po śmierci Boratyniego zamknął nieszczęsną mennicę r. 1685 przez ustawę sejmową, z powodu, iż żadnej nie przynosiła korzyści. Przeniosła się tedy mennica za granicę Polski, gdyż August razem królem polskim i Elektorem saskim będąc, ułożył monetę wspólną dla Polski i Saksonii nadając jéj znaki obu tych państw. W czasie najścia Szwedów i podczas krótkiego panowania Leszczyńskiego ówczesny podskarbi koron-

ny Pociój, kazał bić monetę, to jest szóstaki pod imieniem Augusta II z herbami, jak za tamtego, Saskim i Polskim— dodał do tego według dawnych zwyczajów swoją cyfrę L. P.— Że Pociój był stronnikiem znanym Sasów, że jakby chciał uprawnić rządu nie-nawistnych ludowi Sasów, tę cyfrę więc powszechnie wytłumaczono: *Ludzi płacz*.

Brano szóstaki *pociejuwskimi* zwane, ale mimoto wywołały one straszne oburzenie na Podskarbiego, że bez zezwolenia rzeczypospolitej bić poważył się.

Z powodu niedostatku pieniędzy sejm r. 1717 podniósł wartość dukata do 18 zł.—Ależ to nic nie pomogło—przeciwnie zmieniony stosunek srebra do złota przez podwyższenie go, otworzył pole żydom i obcym spekulantom do wykupywania srebrnych talarów, za monetę zagraniczną, która w braku swojej kursowała po kraju.—Brak pieniędzy coraz się silniej tak uczuć dawał, że aż wojsko zwinąć musiano—bo płacić go czem nie było.—Czyniono odezwę do Augusta III. Stany nagliły, żeby otworzyć mennicę krajową, ale w kraju tak bezładnie niszczone, nie było sprężystości; do wykonania korzystnych dla ludu zamiarów, nie było energii—August III na wzór swego ojca bił w Lipsku talary i inne monety w znacznej ilości i ciągnął dla siebie z tego wielkie korzyści, gdyż gatunek jej był gorszy jak poprzednich. Nadto August III znów miedziane pieniądze bić dozwolił; powstało mnóstwo trzechgroszówek i szelągów—i znów bezskuteczne lubo ogólne oburzenie w kraju na tę monetę powstało.—Dopiero gdy Fryderyk II podczas wojny siedmioletniej wtargnął do Saksonii, przestano tam wybijać monety polskie: ecz co gorsza, żyd nazwiskiem Efraim na korzyść Augusta wybijał monetę w Lipsku i Wrocławiu; z jednej strony było popiersie króla, a z drugiej naśladował herb polski, razem z brandenburgskimi i pruskimi znakami pomieszany.—Umieszczał na niej r. 1753 lubo ją wybijał w lat kilka później, umyślnie żeby ją zmieszać z poprzednio bitymi pieniędzmi podwójną wewnętrzną wartość mającemi, albowiem Efraima były w najpodlejszym gatunku—Te jego złotówki nazywane tympfami dla lichiej ważności, gdyż zaledwie 18 groszy wartości miały, powszechnie bakami mianowano, w Saksonii efraimitami.—Gdy tak coraz gorszą monetę wybijał Efraim a żydzi ją po kraju naszym rozpuszczali, wykupując poprzednio bite, trzeba było redukcję pieniędzy zaprowadzić.—Podskarbi Wessel przystąpił do redukcji—na tę pamiątkę wybijano tympfy w Elblągu mające na sobie napis: *Secundum Reductione*, dla małej

liczby, w wielkiem poszukiwaniu i jako rzadkość tympf taki jest uważany.

Przyznać trzeba Stanisławowi Poniatowskiemu, iż z godnością, nie myśląc o własnym zysku, otworzył od osiemdziesięciu lat zamkniętą mennicę w kraju, czem także zyskał sobie wielką przychylność nawet mal-kontentów.—Stany złożyły prawo bicia monety w ręce króla, który zobowiązał się paktami użyć tego prawa tylko dla dobra kraju. Dopełnił przyrzeczenia swego i podług podanego planu przez Komisyję Skarbu ustanowił roku 1766 nową stopę monety.—Wzięte grzywnę z czystego srebra za miarę, i ustanowiono bić z niej 80 zł.—Poczęto także bić według zagranicznych zasad złote pieniądze, na których był napis: *Moneta aurea Poloniae ad legem imperii*.—Dukaty zrazu były pojedyncze jak holenderskie, później dopiero około 1794 roku bito potrójne i pułtoraczne. Talary były ośmio-złotowe, a półtalary cztero-złotowe gdyż tyle ważyły; także dopiero 1794 i 5 zaczęto bić sześć-złotowe. Wkoło talara był napis *fidei publicae pignus*, zakład *publicznego zaufania*. Napis ten odpowiadał wartości monety, która istotnie była bardzo dobrą i z tego powodu wykupywaną była i poszukiwaną za granicą. Zaczęto bić także monetę z polskim napisem:—na trojakach bowiem był napis *Trojak z miedzi krajowej*, którą istotnie w Górze-miedzianej pod Kielcami kopano.—Przed zamknięciem mennicy polskiej i ostatecznym upadkiem kraju, wybito w 1795, znaczną ilość rozmaitego rodzaju srebrnych i złotych pieniędzy.

Litwa przed połączeniem się z Polską nie miała jeszcze swoich pieniędzy. W potrzebie, gdy szło o większe wypłaty, których zamianowym sposobem załatwić nie można było, używali srebra w kawałkach, miał to być jakby okrągły wałeczek srebra, cięty na kawałki i na końcu mający stempel, a że je rąbano nazwane zostały *rublami* (*rubac*, *rubare*)—każden złotnik i prywatny obywatel miał wolność wyrabiania takich rąbanych rubli, ale kara za fałszerstwo srebra była ostra.—Statutem litewskim był skazany fałszerz na spalenie.—Za Jagiełły rubel wart był 100 groszy pruskich.—Monarcha ten wraz z braćmi swymi począł wybijać monetę, zwaną półgroszki, większe o czwartą część jak były polskie. Wybiano na nich herb to jest *pogoń*; grosz ten miał stosunek do polskiego jak 4 do 5. Gdy raz wprowadzono tę różnicę utrzymywała się ciągle, choć nieraz była przyczyną zatargów między Polakami a litwinami pomimo coraz ściślejszego zbratania się tych narodów.—Zygmunt August ciągnąc zawsze za Litwą, nawet prze-

niósł po śmierci ojca mennicę do Wilna, gdzie poprzednio, jako książe litewski, wybijał różne monety z pogonią i kolumnami.—Zawsze podług miary w Litwie przyjętej, bił większe dla Litwy a mniejsze dla Polski, ztąd litwini liczyli na kopę, swoich groszy 60 a polskich 75.—Podczas układów w czasie pamiętnej Unii, domagali się Polacy i o równość w monecie, z czego powstały zatargi, i zaczęto wybijać w Litwie sześciogroszniaki z napisem wyjętym z psalmu: „*Qui habitat in coelis irridebit eos*” który zdawał się wymierzony do Polaków: oburzyli się więc przeciw

tęj monecie, nawet Zygmunt August, który widział w tem jakby sprzeciwianie się jego tak gorącemu pragnieniu i pracy do zupełnej Unii wiodącej, i kazał przetapiać trojaki.—Na końcu nastąpiła święta unija: nie praktykowane w historii zlanie się dobrowolne w imie miłości Chrystusowej dwóch narodów w jedno; wtedy już i monetarna stopa zrównana została, i odtąd jak wszystkie kłeski, tak i pomyślności, czy to zewnątrz, czy wewnątrz Polski zachodzące, już wspólnie Litwa dzieliła jak jednej matki dziecko.

S.

## ALEKSANDER HRABIA WALEWSKI.

(Z DRZEWORYTEM ODDZIELNYM).

Pisać życie dyplomaty, ministra, i jeszcze ministra Cesarza Francyi, Napoleona III-go przechodzi zadanie, zakres pisma i możność naszą.—Charakterystyka, przymioty lub wady podobnych ludzi, zawsze są rodzajem zagadki, którą dopiero późniejsza potomność rozwiązywać może. Ograniczyć się nam więc wypada tutaj na skreśleniu pokrótce niektórych szczegółów, odleglejszej przeszłości dzisiejszego Ministra Stanu, tyjących się.

Aleksander hr. Walewski urodził r. 1808 w Warszawie.—Przyjście to na świat dziecięcia wielką sprawiło radość dostojnemu ojcu, któren nie mając dotąd szczęścia mieć potomstwa, cieszył się nad wszelki wyraz, gdy piękna polka udarowała go synem.—Młoda matka, która nie mogła zwalczyć miłości jaką w niej obudził otoczony aureolą sławy całoswiatowej i jej kraju bohater, równaż z nim upojona była radością.—Lecz krótko trwały te jej chwile szczęścia: bohatera uniosły zdala od niej ważne sprawy Europy, której wówczas prawa dyktował. Mimo-to jednak nie zapomniał on ani matki, ani pierworodnego syna; wezwał ją do Francyi i znacznie syna uposażył. Tu—nawet przez Józefinę, w rozłączeniu już z mężem żyjącą, mile przyjętą była; pojęła bowiem cesarzowa jakim silnym urokiem dla młodej polki była miłość Wielkiego Napoleona. Zawsze mile ją widziała w Malmaison, pieściła dziecko, nazywając go *małym aniołkiem*, a matkę *biednym dzieckiem*. Mały Alek-

sander coraz rzadziej cieszył się wejrzeniem ojca.—Cesarz zajęty wojną, a po niej nowym ożenieniem, nie myślał o dawnych stosunkach—a przyjście na świat króla Rzymskiego, tém bardziej go obojętnym dla starszego syna uczyniło.

Po skończonych dniach chwały dla wielkiego mocarza, gdy musiał opuszczać ziemię francuzką, pomiędzy garstką wiernych, żegnających go i chcących dzielić los, ujrzał we łzach matkę małego Aleksandra, trzymającą dziecko za rękę. Rozrzewniony, uściskał raz ostatni dziecko, nie przyjął ofiary i pozostać jej kazał, polecając z pewnym rodzajem pocieszenia i pociechy wychowanie syna.

Do śmierci matki, Aleksander był pod jej przewodnictwem, później otrzymywał wychowanie publiczne. Od roku 1828 wydawał już dwudziestoletni młodzieniec gazetę wieczorną *Messenger*.

W roku 1830, Walewski odwiedził rodzinną ziemię. Odtąd ciągle przebywał po zagranicami Francyi, aż do objęcia rządów przez dzisiejszego cesarza.

Wtedy najpierw użyty został jako poseł francuzki do Florencyi. Później coraz większe zajmował posady, a w ostatnich konferencjach po wojnie Wschodniej, wiadomo, że jako Pełnomocnik Francyi występował, prezydując na powszechnie znanym kongresie. Od roku 1851 był ministrem spraw zagranicznych. Wyniki ostatniej wojny włoskiej, w której Francya niepospolitą grała rolę, usunęły go na czas



Aleksander hrabia Walewski.





niejakiś od steru dyplomatycznego. W roku bieżącym, na nowo powołał go cesarz na Ministra Stanu i oddał mu pod zarząd Teatra i Zabawy publiczne. Napisał bowiem niegdyś dla sceny (podobno około r.

1841) komedię pod tytułem: „*L'école du monde.*”

Jako polityk, skreślił jeszcze w roku 1837: „*Un mot sur la question d'Afrique*” (*Paris*), oraz wiele innych broszur i artykułów do pism czasowych.

## NIEKTÓRE OBRZĘDY U KIRGIZÓW.

(Opisane przez naocznego świadka).

Życie Kirgiza jednostajne i bezcelne. Wszystkie jego starania zwrócone są do terażniejszości. Śmierć przecinając jego próżniacze istnienie, niewiele mu zabiera, Kirgiz straci rodzinę i stado; lecz i dla rodziny nieczuł on silnego przywiązania; religja jego obiecuje mu w przyszłym życiu liczniejszą rodzinę w której będą wszystkie żony,—nie takie jak kirgizki,—cuda piękności! a do tego wiecznie młode, wiecznie dziewicze! W ostatnich chwilach życia, w kirgizie cierpi najwięcej uczucie zachowania samego siebie; za to i w pozostających przy życiu nie wzbudza on wielkiego żalu. Wszelako istnieje u kirgizów obrzęd oplakiwania.

Po wydaniu przez kirgiza ostatniego tchnienia, do kibitki zmarłego zbierają się kobiety z całego aułu zaczynają nad nim lamentować i wyrzekać strasznie krzyżąc. Najbliższe krewne zmarłego szczególniejszą okazują gorliwość w wyrażeniu żalu po nim: rozpuszczają włosy, wyrywają je, drapią paznokciami twarz do krwi, zapalczywie biją się pięściami w piersi, i przedstawiają tak szczerze swoją rolę, jak gdyby rzeczywiście były ogarnięte zapamiętałą rozpaczą. Nakrzyczawszy się dosyć, to jest tyle, ile według ich stosunków do zmarłego, koniecznie wypadało, przybierają napowrót zwykłą minę, jak gdyby nic nie zaszło, i odchodzą do przerwanych zajęć.

Zwyczaj obowiązuje mężczyznę, ażeby nieszczęście spotkał z hartem i obojętnością. Nie powinien on płakać jakkolwiek byłaby wielką, ciężką i smutną jego strata.

Kirgiz milczy, ulgę czyniąc chwilowo rozżalonej piersi, ciężkiem westchnieniem powtarzając: oj Ałła.<sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> Wyjątki muszą się koniecznie przytrafiać; tu mówimy o zwyczaju.

W księgach napisano, mówią kirgizi, że „łzami i wyrzekaniem człowiek obraża Tego, kto każdemu wyznaczył kres życia i śmierci.—Co innego baby—płacz ich zajęcie.”

Mułowice także ganią zwyczaj płakania, nawet surowo zabraniają, wmawiając we wszystkich, że to jest wielki grzech. „Łzy, mówią oni, w przyszłym życiu tworzą wielkie morze dla zmarłego i gdy więcej ich tu wylewają—tem ciężej tam nieboszczykowi.”—Czémże, jeżeli nie łzami okażemy żal po zmarłym? powiadają kobiety. Jeżeli nie będziemy płakały, to pomyśli, że nam go nie żał.

Po okazaniu pierwotnego żalu, przygotowują nieboszczyka do pogrzebu: zamykają mu oczy, podwiązują pod brodę, rozbierają, myją, prostują ręce i nogi, przenoszą na prawą stronę kibitki i ubierają. Mężczyźnie kładą trzy białe bawełniane lub płócienne, byleby nie jedwabne, koszule śmiertelne, bez rękawów (raczej worki): pierwsza długa jest od szyi do kolan; druga cokolwiek dłuższa, trzecia zakrywa całe ciało z głową. Otwór zawiązują lub zaszywają. Na zmarłą zaś kobietę kładą pięć takich koszul, jedną dłuższą od drugiej.

Kirgizy zawsze spieszą z pogrzebaniem ciała. Dla czego? oni sami o tém niewiedzą; odpowiadają jednako „takie prawo, tak dawniej robiono.” Latem, ubranego nieboszczyka wynoszą na otwarte powietrze, a w zimie—do oddzielnej kibitki; mułła odmawia nad nim modlitwę i wtedy zaczyna się pogrzeb. Zwłoki kładą na keregi czyli koszmę<sup>1)</sup> a krewni w towa-

<sup>1)</sup> Łukowate drążki, złożone na ukos i połączone z sobą rzemieniami, dla tego żeby je można było rozsuwać i składać. Keregi rozsunięte tworzą równoległobok wklęsły. Kilka takich kereg związanych razem i ustanowio-

rzystwie mułły wiozą lub niosą one na cmentarz. Tam wykopane już bywają dwa groby, jeden zwyczajny, drugi na dnie pierwszego, wielkości trupa. Zwyczaj mieć chce, żeby niosący byli dobrego życia, a również zabrania kobietom iść za pogrzebem. W tym razie wyjątek istnieje tylko dla starych kobiet, które już nie mogą mieć dzieci, i o których kirgizi naiwnie mówią, że to ani baby, ani mężczyźni. Dawniej, za żałobnym konwojem, jak utrzymują, wieziono odzież którą nieboszczyk nosił, a jeśli on był: „batyr”<sup>1)</sup> i broń jego i wszystko to na miejscu przy grobie rozdawano: odzież mułłom i ubogim sierotom, a oręż dasom<sup>2)</sup> nieboszczyka i ludziom znanym z dzielności, którzy mogli by go z honorem używać. Zwyczaj ten za naszych czasów wyszedł z użycia; teraz rzeczy zmarłego rozdają znajomym po pogrzebie, jak o tem niżej będzie mowa.

Na grobie mułła odmawia ostatnią modlitwę; ciało z podściółką kładą na dnie drugiej jamy i zakrywają ją deskami, koszmą lub chrustem<sup>3)</sup> spiesznie zakopują grób i wszyscy, nieoglądając się, uciekają do aułu, gdzie na nich czeka już stypa na pamiątkę zmarłego.

Kirgizy wierzą że po zakopaniu grobu, natychmiast do zmarłego zbiegają się dusze ludzi dawniej zmarłych, że nowy mieszkaniec grobu lęka się nieznanego towarzystwa i ze strachu rozpaczonymi krzykami woła na pomoc pozostałych krewnych i przyjaciół. Mniemanie to uderza swoją szczególnością. Długo rozpytywałem mieszkańców stepu o objaśnienie jego nych w okrąg, tworzą ścianę a raczej dolny zrąb kibitki, która przykrywaną bywa wojłokami i podobna jest do czary odwróconej dnem do góry.

<sup>1)</sup> Batyr, zuch, dzielny najeźdnik; kto umie strzelać, odważny w bójce, zuchwały, ten zostaje w stepie batyrem

<sup>2)</sup> Pojęcie przyjaciela bardzo słabo objaśnia to znaczenie jakie ma wyraz „dos” u kirgizów. Dopsy są to dwaj ludzie, którzy przysięgli sobie do śmierci nie mieć nic oddzielnego: stada, kibitka, żona i rodzina jednego należą do drugiego; wszystko mają wspólne, nawet w razie potrzeby jeden za drugiego winien życie poświęcić. Nie dosyć na tem; związku tego nawet śmierć nie przerywa i w przyszłym życiu za grzechy jednego odpowiada także i drugi.

<sup>3)</sup> W zimie gdy trudno wykopać głęboki grób, lub wieźć zwłoki na cmentarz częstokroć odległy od koczowiska zimowego, kopią płytki dół, ażeby wilec lub psy nie dostali, nierozszarpali trupa przykładając chrustem; gdy ziemia odtaje, przewożą zwłoki na cmentarz i tam grzebią.

znaczenia; lecz ani jeden tutejszy mędrzec nie umiał mi objaśnić. Przypuszczać należy, że powodem takiego mniemania był jakiś nieszczęsny żywcem pogrzebiony kirgiz, którego już w grobie ktoś usłyszał. Przypuszczenie to jest tém podobniejszym do prawdy, że kirgizy zawsze grzebią zmarłych w dzień śmierci.

Rozprawiając pewnego razu z siwobrodym najuczestszym mułłą w całym stepie rzekłem:

— Wy zbyt spiesznie grzebiecie zmarłych; może się wydarzyć, że człowiek pozornie tylko umrze; za dzień lub dwa przebudzi się, lecz już w grobie.

— Jak to pozornie umrze, kiedy ciało zupełnie ostygnie i człowiek nie oddycha? Czyliż dusza opuściwszy raz ciało, może znowu powrócić? W naszych księgach niéma o tém, odrzekł mułła.

— Jednakże, nie trafiło ci się słyszeć między kirgizami żeby zmarli wracali do życia? zapytałem.

— Słyszałem; szejtan wstąpi w ciało i przyjdzie na ziemię, a Bożej duszy lepiej na tamym świecie. Raz umarł jakiś kirgiz z dalekich stron Diurtkara, czyli inny. Obmyli go, ubrali jak należy i poniesli grzebać; cmentarz był daleko, zanocowali więc w drodze. Otóż, około północy, słyszą że w arbie gdzie leżał umarły, coś stuka i jęczy... Kirgizy do niego, a ten się podnosi i kręci w swym worku... Doprawdy było jakieś lichy! wszyscy się przestraszyli, na koń i w nogi. Powrócili do aułu, rozprowadają, że zmarły ożył, wszyscy myśleli że to żart; a i jaki to był żart? na drugi dzień, może trochę później i sam on powrócił do aułu... taki chudy, blady. Oddał swoją duszę szejtanowi, więc też po śmierci nie znał spokoju.

— I żył?

— Powiadają, że długo jeszcze żył, ale i cóż to za życie było! nikt go znać nie chciał, wszyscy od niego uciekali, a co opowiadał o sobie, — to warto było posłuchać.

— Cóż on rozpowiadał?

— Durzył naród, że dusza jego bujała na tamym świecie, widziała grzesznych i sprawiedliwych, widziała Boga...

— A może i w samej rzeczy widziała?

— Nie — poprostu Pan Bóg go opuścił: dusza gdzieś została, a w ciało wstąpił dziń (zły duch). To jeszcze jego szczęście, że wstał dopóki go niepogrzebali.

Zwykle kibitkę w której umarł kirgiz przestawiają na inne miejsce, dalej od aułu; a następnie po upływie jednego lub dwóch dni, cały auł szuka innego koczowiska. Jeżeli kirgiz umrze na ospę, cholerę lub jaką inną zaraźliwą chorobę, wtedy kibitkę

i wszystko co tylko miał około siebie rzucają w stepie, aul zaś nie pozostając ani chwili na swém miejscu, spiesznie zmienia koczowisko.

Pogrzeb kirgizów poległych w walce z nie-muzułmanami, zasługuje na uwagę. Naród nazywa ich *sze-gidami* i cześci jak świętych męczenników za wiarę, chociażby nieboszczyk był wierutny złodziej, zabity w pogoni przez kozaków. Nie szyją dla niego śmiertelnej koszuli, nie obmywają; zdejmują tylko z niego wierzchnią odzież i grzebią w tem samym spodnim odzieniu, w którym został zabity, a to w tym celu, aby na ostatecznym sądzie widać było krew przelaną rękami niewiernych dzegidy, według słów mułły, z którym zwiedzałem ich cmentarz na uroczysku. Sunały, w zachodniej części Zarządu Orenburskiego, są najmilsi prorokowi; w przyszłym życiu stanąwszy przed obliczem Boga, będą wybrani jako najdostojniejsi. Naród zwie ich świętymi (*awlia*).

Po śmierci kirgiza, żony, siostry i bliższe krewne zmarłego czynią ślub opłakiwania go przez upływ 40; 60 i 100 dni, — więcéj zaś nieutulone i przez rok cały. Przez ten przeciąg żałoby, matka i żony nikomu nie ukazują się inaczéj jak z zakrytymi twarzami, a siostry, siostrzenice i inne krewne, z pół zakrytymi.

U niektórych pokoleń więcéj oddalonych od linii granicznej, w czasie żałoby robią lalkę podobną do nieboszczyka i postawiwszy ją w kącie kibitki, codziennie opłakują. Przy zmianie koczowiska sadzano ją na konia najlepszego, którego prowadził jeden z krewnych, trzymając w ręku znak smutku, czarną chustkę na kiju.

Po skonie kirgiza obowiązkiem wszystkich jego znajomych a nawet każdego, ktokolwiekby się wówczas znajdował w aule, odwiedzić całą rodzinę i w obec niej uczynić wspomnienie o duszy jego i pomodlić się za nią. Nie dosyć na tem, — każdy przytém winien z sobą przyprowadzić sztukę bydła, według możności; welbląda, konia, krowę lub barana. Krewni nawzajem odarowują ofiarującego rzeczami i ubraniami pozostałym po nieboszczyku. Biedny może przyjść i z pustymi rękami, byleby tylko dopełnić zwyczaju i powiedzieć sierotom słowo pociechy i współczucia; lecz aby niezgrzeszyć przeciw prawdzie, winienem dodać, że dla kirgiza daleko przyjemniej znajdować współczucie nie z próżnymi rękami... Odwiedzanie takie trwa przez cały rok do ostatnich wspominek.

Wspominki bywają kilka razy: pierwszy raz w trzy dni po śmierci, następnie w tydzień, czterdzieści, sto dni, wreszcie w rok. Ostatnie nacechowane są zbytkiem i wystawnością i ciągną się szczególniej u bogatych przez dwa lub trzy dni. Zaprosiny z tego powodu rozsyłane bywają tylko krewnym i znakomitszym osobom; resztę uskutecznia rozgłos, który rozchodząc się od jednego aulu do drugiego, w kilka dni roznosi wieść o uroczystości pomiędzy całą okoliczną ludnością, każdy ma prawo przybyciem swoim okazać cześć rodzinie zmarłego. Goście, przybywający z własnej woli, bez zaproszenia, naturalnie wiozą z sobą sobą pełną kumysu i tursuk ajranu <sup>1)</sup>. Nabyć podobne zapasy do częstowania ogromnej liczby gości, można tylko przez dobrowolne ofiary; nie ma bowiem zwyczaju kupować onych i obrzęd wzajemnych dobrowolnych ofiar, ściśle bywa wypełniany.

Uroczystość zaczyna się od wyścigów. Z początku puszczają źrebięta, następnie konie, a czasami i wielbłądy. Po wyścigach następują zabawy: kirgizi biorą się do różnych gier: tu mocują się z sobą, tam doświadczają twardości czaszki i ciemienia i gorliwie tłuką się łbami; dalej tańczą; tam skoczki pokazują sztuki łamane. Podchmieleni kumysem, pobudzeni obecnością liczego zgromadzenia, kirgizi odstępują od swéj flegmatycznej natury, ożywiają się, i stają się wynalazczymi w pomysłach; tłum widzów pochwałami lub żartami i wyśmiewaniem pobudza w nich życie. Zajęcie wzrasta: wszyscy hałasują i cieszą się, niezważając zupełnie na okoliczność, będącą powodem ich zebrania.

Czasami dziewczęta biorą udział w zabawach męzczyzn; lecz kobiety prawie zawsze zbierają się w osobnych kibitkach, poważnie zasiadają wokoło i zajmując stepowe łakocie, bawią się rozmową; na tacach lub drewnianych talerzach zastawiają konfitury, pierniki, kawałki wędzonej dyni chiwijskiej, ziarna tykwy, arbuza, słonecznika, orzechy rozmaitego gatunku, wreszcie cebulę i czosnek pokrajane na drobne kawałki. Wszystkie te słodczyce, przeplatane cebulą i czosnkiem, dostatecznie zadawalniają niewybredny smak stepowych piękności. Jednakże kobiety niedługo zostają bez męskiego towarzystwa; do grona ich gwałtem wciska się kilku z młodzieży, lecz tę odwagę drogo oni muszą opłacić. Zaledwie bowiem śmiałek odważy się ukazać w kibitce, spotyka go grad uderzeń i szturchańców; damy stepowe z wesołym śmiechem gonią go zapamiętałe. Lecz

<sup>1)</sup> Dwa napoje używane przez kirgizów — *kumys* — ko-byle mleko kwaszone — zaś *ajran*, także mleko krowie. *Saba*, wielki worek skórzany gdzie się kumys kwasi i zachowuje. *Tursuk* — naczynie ze skóry końskiej, zdjętej z nogi i wyrobionej właściwym sobie sposobem.

nasz zuch nie tracąc odwagi i nieobrażając się za takie nieprzyjazne przyjęcie, przebija się przez tłum i dopiąwszy swego, zawłada miejscem lub nie zwalczwszy przeszkód, powraca ze wstydem, ścigany głośnie przycinkami. Wypełniwszy o ile można było obowiązek mniemaną wstydlivości, kobiety wesoło przyjmują w swoje grono odważnego, który wywalczył sobie miejsce między niemi i w towarzystwie mężczyzn stają się przyjemniejszymi i rozmowniejszemi.

Lecz jednocześnie, gdy całe towarzystwo kibitki bez przymusu wesoło śmieje się i gwarzy, dają się słyszeć jęki i krzyki rozdzierające; to jedna z kirgizek, w kącie kibitki, odwróciwszy się plecami do całego towarzystwa, głośno szlocha... Zapewne, pomyślisz, że to nieszczęśliwa, osierocona matka lub żona, oplakująca syna czy męża i że nie właściwa wesołość otaczających nieprzyjemnie ją razi. Z współczuciem zatrzymują na płaczącej swoje uwagę. Krzyki i łkania ciągle trwają: mija kilka minut, płacząca opuszcza swoje miejsce, poprawia ubranie i siada w kole. Gdzież jej łzy i smutek? zaledwie usiadła a już śmieje się i żartuje tak jak inne. Poprzednie jej miejsce zajmuje inna i znowu zaczyna też samą komedye...

— To krewna zmarłego? pytam kirgiza swego sąsiada.

— Nie, przyjechała w gościnę.

— Czegóż ona tak płacze?

Sąsiad spogląda na mnie zdziwionem okiem, nie przypuszczając, bym nie wiedział o rzeczy tak prostej.

— Dziś wspominki — cały dzień trzeba płakać za zmarłego. Krewnym łez nie starczy, a nawet i czasu nie mają. Gości dosyć, więc obcy pomagają.

Gospodarz wszędzie jest obecny, częstuje kumyssem, herbatą. W bok od aulu znajduje się kilka kibitek w których na *tuj* (uczcie, obiad) w olbrzymich kółkach gotują dziesiątki koni, krów i t. p.

Na roczny *as* (właściwie jedzenie, pokarm) po zmarłym sułtanie władcy wschodniej części ordy, Achmedzie Dzantiurynie zebrało się około siedmiu tysięcy gości. Na pomieszczenie ich wystawiono około trzechset kibitek. <sup>1)</sup> Na uczcie zaś zabito: 90 koni, 30 krów, 260 baranów i użyto 60 pudów ryżu. Do gonitwy na dwudziesto-werstowej przestrzeni, naprzód puszczono trzyletnie ogiery, *kunany*. Nagrody dla zwycięzców były następujące: pierwsza

<sup>1)</sup> W braku własnych kibitek, pożyczają się ich z sąsiedniego aulu.

nagroda — wielbłąd i ośm koni; druga i trzecia — koń i ośm rocznych byczków, czwarta — koń i ośm chałatów; piąta — koń i ośm kawałków maty <sup>1)</sup>; szósta chałat i dwa kawałki maty; siódma — chałat i półtora kawałka maty; ósma — chałat i jeden kawałek maty; wreszcie dziewiąta — chałat i ośm arszynów pluszu. Następnie, na przestrzeń czterdziesto-pięciowerstową wypuszczono 255 koni. Nagrody tym razem były: pierwsza — czterdzieści koni i dziewięć skór wydry; druga i trzecia — wielbłąd, ośm koni i 9 rs.; czwarta i piąta — wielbłąd i ośm koni; szósta i siódma — wielbłąd i ośm byków; ósma i dziewiąta, wielbłąd i ośm rocznych byczków; dziesiąta, jedenasta, dwunasta i trzynasta — koń i ośm takichże byczków; czternasta i piętnasta — koń i ośm chałatów; siedemnasta — 9 rs.; osmnasta i dziewiętnasta — koń. Skóry z bydła zarzniętych na ucztę należały do mułłów, którzy odprawiali modlitwy.

Miałem raz sposobność osobiście znajdować się na podobnej uroczystości: opowiem więc com widział, W lecie 184... roku ja i mój kolega służbowy K. piiliśmy w stepie kumys. Napój ten używany bywa przez obcych jako lekarstwo. Przy kuracyi tej, koniecznym jest warunkiem zastosować swoje życie do życia kirgizów, t. j. nic nie robić, o niczem nie myśleć, jeść, spać i mieć jak najwięcej ruchu. Popróżnować, napiwszy się kumysu do syta, byłoby przyjemnie gdyby w stepie była jaka taka rozrywka, lecz przyjemność „leżenia” nader prędko nam dokuczyła. W pierwszych chwilach zajmowała nas dosyć malownicza miejscowość w koło naszej kibitki; kirgizy; co do nas przychodzili podczas obiadu i herbaty w nadziei uraczenia się resztkami naszych potraw; niezgrabne kirgizki i ich dzieci naprzykrzające się taty (cukru); lecz wkrótce wszystko to utraciło dla nas powabność. Na dobitkę, męczyło nas nieznośne gorąco stepowe, bezustannie pozbawiające nas możliwości użycia przechadzki albo jakiegobądź innego zajęcia. Przewracaliśmy się z boku na bok w kibitce i strasznieśmy się nudzili. Step tak się nam uprzykrzył, że choć uciekać. Rozumie się więc, że każda sposobność jakiegobądź rozrywki, była dla nas nieoceniona...

Raz rozeszła się w aule pogłoska, że w sąsiedztwie ma być obchodzoną rocznica czyjegoś zgonu.

K. uradował się tą wieścią i posłał po Bisembe, który częściej jak inni bywał u nas z odwiedzinami.

Bisembe nie dał na siebie czekać. Bez koszuli

<sup>1)</sup> Licha tkanina bawełniana.

w narzuconym na głowę chałacie, leniwie wtoczył się do aulu i usiadłszy w kuczki koło drzwi zapytał:

— Kto woła?

— Gdzie u was będą wspominki? zapytał go K.

— W aule Dżytybajki, odrzekł.

— A ja zkad mam wiedzieć co to za Dżytybajka? Mów, daleko ztąd?

— A to auł za aułem, będzie oka, a za nią znowu auł, ztamtąd zaś do Dżytybajki niedaleko.

— Kto cię tam zrozumie z twemi okami i aułami! Ile wiorst?

— Kto się tam zna na twoich wiorstach? może dziesięć, może więcej albo mniej. My się na wiorstach nie znamy...

— A na co tobie wspominki?

— Chcę popatrzeć. Czyż tego od razu niezrozumiałeś?

— Jedź, patrz: będzie tam dosyć ludzi, będą i dziewczęta. A przecie ty je lubisz?

— Potem o tém... tylko wprzód dostan mi dobrego konia... rozumiesz?

A gdzie twój tabun boju? (bagarzu) zapytał Bisembe z hytrym uśmiechem.

— Ty wiesz, że ja tabuna dzok (niemam) wybierz więc ze swego. Ja i na twoim koniu pojedę i dam ci za to akcza (pieniędzy).

— Mnie nie trzeba pieniędzy.

— Zobaczmy! — I rzuciwszy mu pół rubla K. mówił dalej: — weź pieniądz <sup>1)</sup> i marsz z kibitki, a jak będzie potrzeba, żeby koń był gotów i osiodłany, by tylko wsiąść i pojechać.

Bisembe z ukrytą radością podjął monetę popatrzył na nią, pokręcił, obrócił w palcach i rzucił na powrót ku K... mu.

— Pluję na twoje pieniądze: dobry człowiek i bez nich odemnie dostanie.

— Widać, że ci zamało, — trzebaż było od razu powiedzieć — masz drugiego i więcej nie marudź.

Bisembe znowu wziął pieniądze do ręki,trzymał jakby się namyślając czy ma wsiąść lub nie i znowu je rzucił ku dającemu.

— Chcesz więcej? nie ma za co. Znajdę ja konia i bez ciebie. Potem będziesz się kłaniał: „bądź łaskaw daj akcza” — nie dam.

Mrugnął na K. i zaczęliśmy mówić o czem innym, a tymczasem niedając poznać zważaliśmy na Bisembe. Tak upłynął jaki kwadrans.

<sup>1)</sup> Kirgizi nie obznajmili się z pieniędzmi i nie oznaczając ich wartości nazywają je ogólnikiem: moneta i pieniądz.

Innym razem kirgiz by już dawno odszedł; ale jakże tu odejść niewziąwszy ofiarowanych pieniędzy? Siedział więc i niecierpliwił się, spoglądał to na mnie, to na K... wreszcie nie wytrzymał.

— Héj, zawołał, ile mógł najniedbaliej spoglądając na K.

Ten obrócił się ku niemu z miną pytającą — Bisembe w milczeniu wyciągnął rękę.

— A przecież zasmakował w pieniądzech, czemuż nie wziął jak ci dawano? Mało było?

— Żartowałem; mnie teraz pieniędzy nie trzeba: dla ciebie dam darmo.

— Dziękuję. Więc niema o czem mówić.

K... znowu zaczął rozmowę ze mną.

— Wyszukam dobrego konia, ciągnął dalej Bisembe: — ty będziesz się zapewne ścigał: to trzeba będzie konia na dwa dni owsem podkarmić.

— Rozumiem, nie masz owsa i trzeba go kupić za moje pieniądze. Weź, weź, rzekł K... podając mu rubla — a na przyszłość nie dróż się, miej sumienie. Kiedyż wy będziecie podobni do ludzi?

W oznaczonym dniu z rana, K. na najętym, ja na własnym koniu, skoczyliśmy na siodła. Słońce tylko co zaszło i powietrze pełne nocnego chłodu, było miłe i świeże. Jechaliśmy wesoło. Step zawsze jednostajny i pusty, niezwyczajnie się ożywił; tłumy kirgizów w rozmaitych jaskrawych szatach, ze wszystkich stron ciągnęły ku celowi naszej podróży. Starsi, zebrani w gromadki, jechali stępo; młodzi zaś postrojeni, na najlepszych koniach, przybranych w sute rzędy, pędzili po stepie, ścigali się, rozbiegali na wszystkie strony, osadzali konie na miejscu i znowu puszczali się dalej. Na wielbłądach siedziało po kilka kobiet, kiwając się jednostajnie pod miarą chodu zwierzęcia; a obok nich pod okiem matek dzielnie jechały wierzchem na koniach dziewczęta i kilinczyk <sup>1)</sup> Tylną straż trzymały wielbłądy dzwigające ładunek, dzieci, kumys i t. p.

Na uroczystość spieszyli wszyscy, starzy, młodzi, dziewczęta i dzieci — ażeby popatrzeć na tuj, a głównie żeby się najeść.

Sąsiednie auły opustoszały.

Przybliżywszy się do aułu, ujrzelśmy na wzgórzu tłum. Cicerone nasz objaśnił nam, że to widzowie czekający powrotu koni wyścigowych.

<sup>1)</sup> Kilinczyk, — młoda kobieta zameżna, lecz która jeszcze nie miała dzieci. Po pierwszym dziecięciu traci ona tę interesującą w stepie nazwę i przybiera nazwisko „katycz” kobieta.

Przestrzeń do wyścigów, u kirgizów wyznacza się nie w okrąg lecz na wzdłuż. Jeźdźców odprowadzają na wyznaczone miejsce, ustawiają w szeregu i pilnują żeby wszyscy wyruszyli razem. Na dzokiejów wy-

bierają dzieci, ażeby o ile można najlżej było ruma-  
kom, dla tego nawet nie dają im siodeł, lecz tylko  
arczak, drzewce od siodła.

(Dokończenie nastąpi).

## KOSZATKA

(Myoxus).

(z RYCINĄ KOLOROWANĄ).

Szczególne te zwierzątka uważać-by można za trzymające środek między wiewiórką a myszą.—Zręczna, z łatwością pnąca się na drzewo kozzatka, z długim ogonem, przypomina wiewiórkę; ma nawet wspólne z nią upodobania, gdyż lubi orzechy, buczynę, owoce leśne.—Kształt zaś pyszczka, pochyłość gźbieietu, kolor popielatawy, czynią ją do dużej myszy podobną i wspólnie z nią lubi chować się w norach; wyjada zboże, zgoła nietylko podobieństwo powierzchowne ale i gusta ma wspólne z temi dwoma zwierzątkami. A przecie zastanowiwszy się, zbadawszy bliżej ich naturę i budowę, przyznać trzeba, iż je za inny, za osobny rodzaj uważać należy, różniący się zupełnie od myszy i wiewiórki.

Kozzatki dzielą się na cztery gatunki: na przyłączoną tu tablicy jest przedstawiona para zwyczajniejszych kozzatek, które znajdują się w środkowej Europie, to jest we Włoszech, we Francyi, w Niemczech. Północne kraje, jak Norwegja, a nawet i Anglia, nie znają ich wcale.—Lubią one przebywać w lasach liściowemi drzewami zarosłych, mianowicie dębowych, bukowych, lub też w gajach blisko ogrodów owocowych i pól zbożem zasianych, gdyż jakieśmy to wyżej powiedzieli i w zbożu, jak myszy, szkody robią. U nas mało gdzie spotkać można kozzatkę, jednakże niedawno złapano w Podlaskiem jedną z nich która otuliwszy się ogonem, którego przeciągnęła pod brzuchem, a końcem jego zakryła sobie pyszczek, zwinięta w kłębuszek, wkopana w mech, spała w wydrążonem drzewie: była koloru czerwonego jak wiewiórka, nie miała więcej jak 4 cale.

Zwierzątka te należą do ssących i odbywających

sen zimowy, a jak wszystkie prawie tego rodzaju pozbawione jest grubiej kiszki—u nóg tylnych mają 5 palców u przednich 4, a zamiast wielkiego palca sęczek bez pazurka, u innych zaś pazury bywają ostre, któremi tem łatwiej czepiają się kory, włączając na drzewo.—Zębów przednich (zwanych siekacze) w obu szczękach mają po 2, a głębiej w szczęce posuniętych mają po 4. Oczy mają duże, uszki okrągławe, mało obrosłe, wystające z futra; ogon dłuższy od całego zwierzątka jest okrągły, pokryty dwu-calowym włosem—pyszczek kończasty. Cały dzień przesypiają a dopiero ze zmrokiem stają się ożywione, zwinne i wybiegają na żer.

Wielkość ich najczęściej wynosi 11 cali, z których 6 na ogon odrachować należy.—W miesiącu październiku chowają się w nory, gdzie odbywają sen zimowy aż do maja.—Skórki ich dla miękkości włosów bywają czasem bardzo poszukiwane w handlu; kolor ich najczęściej bywa niebieskawo-popielaty z wierzchu, a biały pod brzuchem.

Zręczna kozzatka zupełnie innym sposobem jak wszystkie zwierzęta nasycza pragnienie, siada na brzegu strumienia, macza łapki w wodzie i pije z łapki.—Pliniusz i inni pisarze starożytni wspominają iż Grecy i Rzymianie jadal mięso z kozzatek, w którym takie mieli upodobanie, że ich hodowali stawiając im umyślne do tego budynki (jak n. p. Francuzi dla królików,) w których gnieździły się, obfitując we wszystkie wygody.—Dziś lubo znajdują się w Grecyi i we Włoszech kozzatki, nie należą do zwierząt używanych na kuchni; przysmak ten jak wiele innych przez starożytnych poszukiwany, wyszedł widać z mody.









gedr. bei A. Schuler



## ŚWIĘTA RODZINA.

(OBRAZ MURILLA ZE STALORYTEM).

Przed oczy stawiamy naszych czytelników „Świętą rodzinę” Murilla, w nader szczęśliwie trafionym sztychu, którego sławny oryginał w Luwrze się znajduje. Dodajemy przytem kilka rysów o mistrzu, którego Rafaelem swego wieku mienią—jako też o niektórych jego arcydziełach. Bartłomiej-Esteban Murillo urodzony 1618 w Sewilli, otrzymał najpierwsze o sztuce pojęcia od krewnego rodziców swoich (Juan de Castillo); towarzyszył mu do Kadyxu, i w krótkim przeciągu czasu, niezwykłym obdarzony talentem, zadziwiający postęp na téj drodze uczynił. Wówczas już, jako chłopiec mały potrafił z malarstwa korzyść wyciągnąć; bo sztuki, którą miał zaćmić mistrzów swego kraju, używał teraz na malowanie obrazków, które za małą zapłatą nabywali kramarze, sprzedający je na targach jarmarcznych.

Niektóre dzieła Piotra Moyas wpadły młodemu chłopcu pod oczy i uczyniły na nim tak silne wrażenie, że zrodziła się w nim chęć gwałtowna wykształcenia swego talentu przez naśladownictwo sławnych artystów. Brakowało mu środków na udanie się do Madrytu lub Włochów krainy: na pomoc pieniędzy z żadnej nie mógł liczyć strony. Wtedy przyszła mu myśl dobra, która się poszczęściła; kupił płótna, pokrajał, przyrzadził i malował obrazy świętych, które później prowadzącym handel z Sudjanami zbywał.—Wkrótce znikł Murillo z Sewilli nikomu nie wspominając (1643); udał się do Madrytu i kopjował tam przez dwa lata z wielką wytrwałością dzieła Titiana, Rubensa, Van Dycka, a nadewszystko Ribera i Velasqueza. Ten ostatni przejął się nim bardzo i wyrobił mu pozwolenie na kopjowanie obrazów w królewskich zbiorach i w Eskurialu.—Równie niepostrzeżenie powrócił młody malarz w roku 1645 do Sewilli, gdzie się powszechnie dziwiono obrazom, które on w klasztorze S-go Franciszka wykonywał, bo nikt pojąć nie mógł jakim sposobem młody artysta, bez nauczycieli i wzorów, doszedł do tego mistrzowskiego stylu i wkrótce stworzył obraz w rodzaju Velasqueza przedstawiający S-go Dyonizego

otoczonego ubogimi, który mu ogromną sławę i mnóstwo sprowadził zamówień, które były tak przez zakłady publiczne jak i przez prywatnych czynione. Tu się tedy kończy epoka niedostatku i Murillo mógł się dobrym cieszyć bytem, mógł się o rękę ukochanej (Donna Beatrix de Cabrera) oświadczyć, z którą, się w 1648 r. połączył.

W geniuszu Murilla „zchodzą się, (jak Franc. Kugler pięknie się wyraził), wszystkie promienie hiszpańskiej sztuki w jedno potężne blaskiem światło.” Ci, dla których naśladownictwo natury jest najwyższym sztuki celem, przenoszą go nie tylko nad wszystkich hiszpańskich, ale nawet i nad włoskich malarzy, nie robiąc z Rafaela nawet wyjątku. Zawsze jednak wyżej stać będzie ów, co bozkość samoistnie stwarza, jak ten co ją tylko naśladowuje. Dla tego też wdzięki natury, są sferą Murilla; zaś niezrównanego Rafaela sferą jest urok ideału. Postacie hiszpańskiego mistrza nie są to pierwowzory przemienionej ludzkości, ale oddychają najpiękniwszem, cudownem życiem ziemskim i łączą je bezpośrednio z niebieskiem.—Murillo okazuje nam się w dawniejszych swych dziełach, (które prostotą w wykonaniu i jakąś szorstką siłą od późniejszych się różnią,) jako naturalista; ale jego poetyczna pobożność i urok kolorytu ukazują nam noszących wodę, lub prowadzących osiołki bohaterów jego, jako książąt rodzaju ludzkiego; jego naiwne sewilskie uliczniki cieszą się szczęśliwym zadowoleniem z losu, pod andaluzyjskim niebem; a jego boską miłością przepełnieni święci, usposabiają duszę do pobożnego wzniesienia ducha.

To bezpośrednie naśladownictwo natury, zabezpiecza ścisłością swą od pospolitości i czczości. W późniejszych jego dziełach panuje łagodna miękkość i delikatność, która w pojedynczych obrazach staje się słabszą manierą (słabszym stylem). Największą zasługę Murilla upatruje wielu w cudownej zręczności z jaką silne przeciwności światła i cieniu umiał zlać w harmonję i w mistrzowsko oddanych kontrastach światła dziennego z nadziemskim świa-

tłem, które obrazom jego prawie magiczny charakter nadają. — Głębokie znaczenie jego postaci zwolna dopiero się widzowi objawia, co czyni, że zachwyty, w miarę wpatrywania się, wzmagają, jak ów którym Murillo nadaje wyraz najwyższego, niedoścignętego oczarowania, zachwyty. Żaden malarz tej hispankiej czystości jego nie sięgnął. Jednakże jako hiszpan, nie mógł się Murillo nad jakąś cząstkę materializmu podnieść, i dla tego też najcudniejszy kwiat idealnej piękności nigdy mu dostępnym nie był. Historycznych lub światowych przedmiotów nigdy prawie nie malował; przedstawianie nagości nie było wówczas rzeczą przyjętą, owszem nawet surowo bronioną, a mitologicznych przedstawień wcale nie rysował. Więc też podwójnie był zdeterminowany do obrania sobie tych przedmiotów, w których katolicki hiszpan mógł swym gorącym marzeniom dogodzić, dla tego-to najmilszemu mu były obrazy pobożności Franciszka czy Magdaleny. Podobnie jak Rubens rozwinął Murillo ogromną obfitość; żaden malarz tylu do duszy przemawiających dzieł nie zostawił i wiele zachowano prób jego pędzla.

Przytem, trzej najznakomitsi jego uczniowie, potrafiłi z taką wiernością dzieła mistrza naśladować, że najwprawniejszych sędziów oszukiwali.

Do najznakomitszych dzieł mistrza tego, należą:

*Widzenie S-go Antoniego Padewskiego.*

Ośm obrazów przedstawiających uczynki miłosierdzia, które Murillo do kościoła przy szpitalu de la Kazidad odmalował, a z których się tam tylko te trzy z nich znajdują, które przed oblężeniem miasta przez francuzów pod przewodnictwem sławnego sztukmiłośnika marszałka Soult, do Kadyxu odwiezione zostały.

*Mojżesz* laską cudowną wodę ze skały budzący, obraz pełen życia i energii, pod mianem *La sed*, (pragnienie) znany.

*Żywienie pięciu tysięcy przez Chrystusa i Święty Jan* któremu anioł dopomaga do przeniesienia chorego do szpitala.

*Święta Elżbieta*, królowa Portugalii, jako opiekunka żebraków i trędowatych wystawiona, gdzie obrzydłe rany ze straszną oddane prawdą, a wśród tego królowa święta odziana niebiańską pięknnością i słodyczą, z dziecinnem poddaniem się spełnia obowiązek.

*Obraz Świętej Anny* która małej Maryi lekcję czytania daje. Czarowną jest przekonywająca matka powaga, i odbijająca się myśl rozumi i wyższe pojęcia na twarzy dziecka.

*Rozmarzonej we śnie młodej parze ukazująca się Madonna; odwiedziny tejże pary u Papieża*, który

sen tłumaczy, że na założenie kościoła Santa Maggiore w Rzymie dać trzeba.

Straszne wrażenie robi *Święty Bonawentura*, który powstaje z trumny, i z szklannymi oczyma i okropną żółtą, trupią twarzą, siada przy stole i pisze pamiętniki.

*Święty Franciszek* obejmujący, z najświętszej miłości zapalem, do krzyża przybitego Chrystusa.

*Święty Tomasz* (de Villanueva) podający złotą sztukę nędznemu kalece. W takich miłości i litości budzących obrazach jest Murillo najbogatszym i najszczytniejszym. Dla dania pojęcia o ile obrazy te są naturalnymi, powiemy że na nich nawet kurz i skwar letni widocznymi odbijają się rysy.

Cudnymi tonami uderza mistrz w obrazie: „Poczęciem” zwanym.

W zabytkach sztuki przeciw stawić mu się da jedynie Sykstyńska Madonna. Oto na jednym np. Matka-dziewica dotyka nogami półksiężyc przez aniołów niesiony: jest to obraz najświętszego a tyle czarownego przemienienia, jakby z woni czystej lili stworzony. Rozemglone, oczarowane oczy Maryi toną w widomej chwale Pańskiej; czoło i lica światłami otoczone włosy, przedstawiają błądzący natchnienia i namaszczenie świętości; cały kształt, odbicie wyrazu, czynią prawdziwie niebiańskie zjawisko. — Najpiękniejsze te obrazy stały się własnością marszałka Soult, a to nader dziwnym sposobem. Chciał on dwóch zdrajców wojennych, kwestarzy powiesić lub przynajmniej groził tym mnichom, a oddał ich klasztorowi za okupem sławnego obrazu.

Równie silne wrażenie czyni pamiętny obraz *Wniebowzięcia Maryi*. Andaluzyjska dziewczica w skromnym białym ubraniu, nie idealnie piękna, ale z najwyższym wdziękiem świętości, stoi z krzyżowanymi rękami na kuli ziemskiej, a wąż pod stopami się wiję; duchy anielskie powiewnie unoszą się w koło niej; ona z wyrazem boskiej i świętej tęsknoty ku Niebu spogląda, z kąd ją zlocista opromienia światłość.

Pośród Świętych rodzin Murilla, ta która jest w Luwrze, należy, choćby samym wdziękiem kolorytu, do najwyższej cenionych obrazów tego mistrza.

Marya siedzi na darniowej ławeczce, w ciemną przyobleczona sukienkę, a na kolanach stoi przez nią trzymany Chrystus-dziecię, do którego Elżbieta przyklękawszy przyprowadza małego świętego Jana, trzciny mu krzyżyk podającego.

Madonna ta z wielkim wdziękiem i powabem, jest także ziemską pięknnością. Szlachetną i wyrazistą twarzą odznacza się sędziwa Elżbieta. Znaczącymi

są główki dzieci, które Murillo zwykł oddawać z taką pięknoscia i życiem; postacie tego mistrza zdradzają zawsze wzrokiem i twarzy wyrazem myśl głębiej tkwiącą, po za wdziękiem sztuki; widz musi się jeszcze owęj głębokości dopatrzeć, przejęty jakimś niewypowiedzianem uczuciem; dla tego też tak to, jak i każde dzieło sztuki, wzbogaci zdolnych do przyjmowania wrażeń budzącą się samoistnością, którą obdarzeni, dopiero czarodziejstwo sztuki pojąć możemy. O uportretowaniu tych czterech głów nie ma już co i mówić. U góry chwała w swęj całej światłości: Bóg Ojciec z aniołkami i spuszcającym się duchem świętym. U nóg Madonny spoczywa baranek. Największym tryumfem, ba! cudem prawie, jest uważany koloryt i, magiczne światło otaczające ten obraz rzadkiej piękności.

Osobistość Murilla bywa przez współczesnych bardzo sympatycznie przedstawiona; portrety znajdujące się w Luwrze, okazują go nam ideałem szlachetno-zmysłowej, południowo-energicznej natury. Wy-

chwalają ogólnie jego łatwy, miły i przekonywający sposób przyuczania młodzieży do naśladownictwa natury. On jest także założycielem Akademii malarzkiej w Sewilli, która dopiero w 1660 roku otwartą została.

Ostatnie dzieło wielkiego hiszpańskiego mistrza, przedstawiające zaręczyny S-tój Katarzyny, a ofiarowane do ołtarza Kapucynek w Kadyxie, nie zostało ukończonem. Murillo spadł z rusztowania, przechorował to bardzo i już nigdy dobrem zupełnie nie cieszył się zdrowiem. Umarł 1682 w Sewilli. Jeden z synów jego był duchownym, a jedyna córka donna Franciszka żyła jako zakonnica, w klasztorze Matki Bożej w Madrycie.

Murillo pozostawił dość znaczny majątek i między innymi obrazami, swój własny portret. Imię jego stosunkowo tem było wśród malarzy, czem imię Kalderona de la Barka, który w tym samym czasie jako pierwszy dramatyczny hiszpański poeta hołdy odbierał, — między dramaturgami.

## NIEKTÓRE OBRZĘDY U KIRGIZÓW

Opisane przez naoczego świadka.

(DOKOŃCZENIE.)

Na pierwszym miejscu do którego winni byli dobiec ścigający się, stali Sędziowie, których obowiązkiem było uważać kto najprzód dobiegnie mety i wyznaczać nagrody. Tu zwykle zawsze zbiera się wielki tłum ciekawych. Wyścigi, u kirgizów należą do najlepszych zabaw; z gorączkowym natężeniem zwracają na nie całą swoją uwagę. Przestrzeń do wyścigów tym razem wyznaczona była trzydziesto-wiorstowa. Nagród było pięć: pierwsza dwa barany; druga — baran i koźle; trzecia — chałat; czwarta arszyn czerwonego pluszu; piąta — tyleż czarnego pluszu.

Czekaliśmy blisko godzinę. Słońce podniosło się wysoko i piekło tak, jak zwykło piec tylko w stepie, gdzie niema ani cieniu, ani wody, ani wietrzyku.

Wreszcie tłum się poruszył, zabrzączał i posunął się naprzód.

„Jadą, jadą” rozległ się krzyk. Na widokregu ukazał się tuman ledwo dojrzały okiem, nareszcie zaczął się powiększać coraz bardziej aż nakoniec do-

szły uszów krzyki i zachęcania koni. Zmęczone, znużone, ze spuszczoneimi łbami, koniska z trudnością dobiegały do celu. Jeźdźcy nie przestawali ich zachęcać krzykami, pracując gorliwie jednocześnie nahałkami i piętami po wychudłych bokach swych biegunów. Do mety pozostało tylko kilka sążni. Niektórzy kirgizi, zapewne właściciele koni, nie wytrzymali i wyskoczyli z szeregu na przeciw nich, chociaż to bywa zabronione, ażeby im dopomódz. Jeden poskoczył i schwyciwszy konia za uzdiennicę ciągnął go swoim świeżym koniem jak na linie; drugi biegł obok swego i krzykiem oraz razami pobudzał ostatnie siły zmęczonej szkapy. Każdemu sława jego konia była drogą. Na kilka minut powstało zamieszanie w całym tłumie, wszyscy krzyczeli i hałasowali ale nikogo nie można było zrozumieć. Lecz gdy sędziowie zaczęli wyznaczać nagrody, krzyk wzmógł się do tego stopnia, że nie było sposobu wytrzymać. Jeden twierdził że jego koń wprzód dobiegł — drugi

utrzymywał toż samo o swoim: Spór rozstrzygany bywał nową gonitwą, na którą wyznaczono niewielką przestrzeń—wiorstę lub mniej. Nagroda przyznawana bywała koniowi, który tym razem został zwycięzcą.

Dla kirgiza wiele znaczy mieć dobrego bieguna i sława dobrego konia roznosi się daleko po stepie bo przedewszystkiem głaszcze miłość własną jego właściciela i znakomicie podwyższa cenę konia; albowiem w stepie, gdzie dzielny biegun częstokroć wyswabadza zuchwałego batyra z niebezpieczeństwa, ocala mu życie,—dobry koń bardzo jest ceniony.

Nastąpiło rozdawanie nagród. Kirgiz który wygrał dwa barany, odebrał je z obojętnością, powiódł spojrzenie po tłumie, a ujrawszy sułtana z wyrazem „a! diał i z niskim pokłonem przyprowadził baranów ku niemu. Sułtan kiwnął na to głową. Ja i K. staliśmy obok niego; więc sułtan przez grzesność ofiarował nam tę nagrodę. Rozumie się odmówiliśmy, z czego sułtan był bardzo zadowolniony. Barany przy nim zostały.

Zdobywca drugiej nagrody ujrzał w tłumie miejscowego naczelnika <sup>1)</sup> i przyprowadził ku niemu barana i koźlą. Ofiara została przyjęta. Tym sposobem wszyscy co otrzymali nagrody, bezzwłocznie poczynili z nich podarunki znakomitszym kirgizom.

Dla czegoż więc męczyli swoje konie? objaśniono mi, że każdy kirgiz wszystko co tylko znajdzie, lub otrzyma w nagrodę, — słowem co tylko nabędzie przypadkowym sposobem, winien natychmiast dawać sułtanowi, a w jego nieobecności komubądź ze starszych. Zwyczaj nakazuje, ażeby otrzymujący podarunek ofiarował go inną niższą osobie, ta jeszcze niższej, i ażeby tym sposobem podarunek dochodził do najbiedniejszego, który znajduje się w największej potrzebie. Zwyczaj ten miałby prześlizgane zastosowanie, lecz magnaci stepowi wykonywają go o tyle, o ile im to korzyści przyniesie. Przyjmują chętnie, ale dalszego zwyczaju i znać nie chcą. Za to prostemu kirgizowi nigdyby nie przebaczyli gdyby odstąpił od starożytnego zwyczaju.

Po rozdaniu nagród kirgizi rozbiegli się po stepie i rozpoczęli rozmaite igrzyska. Tymczasem w rozłożonych dla gości kibitkach, wielkie drewniane misy zapełniają *plowem* (pilaw) i mięsem. Nadeszła chwila obiadu i wszyscy zasiadłszy w kibitkach, zaczęli ze stepowym apetytem zmiatać co popadło pod rękę.

<sup>1)</sup> Naczelnik kilkudziesięciu aułów, 40 do 100 koczujących w jednej okolicy.

Dla znakomitszych przygotowany był samowar; koło niego leżało kilka kawałków cukru. Kirgizi piją herbatę, *patrzac* jeno na nią. Herbatę bardzo lubią; lecz ponieważ jest ona zbytkiem od którego można się wstrzymać, więc nie wielkie na nią ponoszą wydatki. Wreszcie nie są oni od tego ażeby nie wyprosić u kogo z rossyan cukru i herbaty.

W ogólności kirgiz z natury swój jest skąpy. Niekiedy, ustępując konieczności, staje się hojnym lecz tu i w samym zbytku przebija sknerstwo. Na uczcie, gdzie wychodzi tysiące sztuk niekupionego bydła, brakuje przyprawy której można dostać za rubla. Na sukni z nader drogiej materyi, dają się widzieć łąty z prostej bawełnianki. U kirgizów istnieje tylko pretensya odznaczenia się, zadziwić przyjaciela; do okazania gustu nie dążą. Rozumie się samo przez się, że to nie da się zastosować do wszystkich mieszkańców stepu: znajdują się sułtanowie, u których, wraze potrzeby wszystko podaje się na srebrze i u których wszystko będzie przyzwoitem aż do wyszukania, jeśli okoliczność tego wymaga.

Gospodarz usilnie nas prosił do obiadu, lecz przełożyliśmy rolę badaczów i odmówiliśmy udziału w obiedzie.

— Aj, aj, mirzo! mirza nie jest skąpym dla gości, toż tu ze sto baranów zarznięto? rzekł K. do gospodarza.

— Bijąc bydło nie rachujemy, odrzekł tenże z wewnętrznym zadowoleniem.

— Tylko trzeba, żeby wszyscy byli ugoszczeni... prawda beju? mówił dalej K. przybierając ton gospodarza.

— Prawdę mówią, biję tyle, żeby wscyscy byli nasyceni, żeby nikt niepowiedział, że bydle droższe dla mnie od brata. <sup>1)</sup>

— A wiele zarznąłeś? Przyznaj się. Jak pojedę do Orenburga, to powiem kommissyi <sup>2)</sup>, że ty taki bej, że u—u!

Nie ma o czem mówić, odrzekł on, półgłosem nachyliwszy się do ucha K...

Dowiedzieliśmy się e na obiad zabito 8. koni 3.

<sup>1)</sup> Właśnie wtedy obchodzoną była pamiątka śmierci brata gospodarza.

<sup>2)</sup> Wielu jeszcze z kirgizów uważają kommissyę nie za władzę lecz za osobę. Pewnego znakomitego mieszkańca stepu przyprowadzono do kommissyi i „*pokazano wszystko*,” Kirgiz wydawał okrzyki podziwu lecz ciągle jeszcze na coś czekał. Mówią mu, że już wszystko widział. „A kommissyi czemużeście mi nie pokazali?”

krowy i do 30. baranów. Gospodarz nie był bardzo bogaty.

Wypiwszy po filiżance herbaty wyszliśmy z kibitki. Dla gości wystawiono 20 kibitek; w każdą z nich napchało się tyle osób, że gdyby weszła jeszcze jedna, wiązanie kibitki w żaden sposób nie mogłoby wytrzymać. Ci co się nie mogli pomieścić, obiadowali pod gołym niebem. Obraz patryarchalnej liczby ludzi, niepołączonych żadnymi umówionymi warunkami przyzwoitości, był w całej piękności; wszyscy jedli i pili, nierobiąc sobie żadnego przymusu. Pełne misy mięsa i kumysu, wnoszone przez służbę w jednej chwili bywały wypróżniane; nawet kości ogładzano tak sztucznie, że na nich nie zostało nawet wspomnienia o mięsie. O godzinie drugiej po południu bal ubończył się i nasyceni kirgizi zaczęli się tłumnie rozjeżdżać. Dżigity, (młodzież), rozsypali się po całym stepie: ścigali jeden drugiego, to mocowali się z sobą na koniach; kładli się w pędzie na grzbiecie końskim, w jednej chwili wstawali i stojąc zeskakiwali na ziemię, potem szybko przesuwali się pod brzuchem końskim i kilka chwil znowu siedzieli na koniu twarzą do ogona, niektórzy chwyтали konia za ogon i chcieli go zatrzymać. Kirgiz na koniu tak jest spokojny jak na ziemi. W ich wszystkich bystrych poruszeniach było tyle śmiałości i zręczności! nie można było się nasycić widokiem tego swobodnego tłumu, igrającego tak nieprzymuszenie, i z takim zajęciem.

Cały widnokrąg zasiany był kirgizami, już jadącymi konno, lub na wielbłądach, już idącymi pieszo.

Ja i K. wracaliśmy do siebie. Uwagę naszą wkrótce zwrócili dwaj kirgizi, którzy jechali razem i, — o ile można było domyśleć się z ruchów, spierali się o coś. Zaczęli się ku nim zbliżać i inni: wkrótce uzbierał się znaczny tłum ludu. Krzyki wzmagaly się i spór widocznie robił się gorętszym

Nagle w powietrzu zakręciła się nahajka, za nią druga i zaczęła się bitwa. W jednej chwili wszystko rzuciło się do walki, a z pobliskiego aułu — jeden z tych, co wszczęli kłótnię, był jego mieszkańcem — wybiegły baby, dziewczęta i dzieci uzbrojone czem kto mógł, dragami, kijami, toporami i t. p. i wszystko to wmięszało się do bitwy.

Ujrzawszy to, my bez namysłu i niezastanowiwszy się nad tem co robimy, spięliśmy konie i przedarliśmy się w sam środek tłumu.

Starszyzna przerażona i zdziwiona naszym postępkami i bojąc się o nas, przybiegła za nami i zaczęła rozdzielać walczących. Jakkolwiek podchmie-

leni i rozgrzani kumysem kirgizi powściągnęli się i jeden po drugim zaczęli się usuwać z tłumu; niektórzy, gorętsi, pozostali na miejscu i dalej się łajali, pomagając sobie od czasu do czasu nahajką. Szczególniej baby były zapamiętałe. Bitwa zupełnie już była przerwana, kirgizi rozjechali się, a one nie uciszyły się i porywały się jedna na drugą z grózbami. Na polu bitwy leżał kirgiz i ciężko jęczał: jedna strona jego twarzy była strasznie spuchnięta i pokrwawiona. Zaniesiono go do kibitki. Rozpytawszy się o powód sprzeczki, dowiedziałem się, że sprawcami jej byli dwaj mułowie, którzy odprawiali modlitwy za nieboszczyka i niemogli się podzielić baraniami skórkami.

Na zakończenie, powiem kilka słów o cmentarzach kirgizkich.

Pojedyncza mogiła nazywa się „oba“, pewna ilość mogił razem — „mazarkami“ (cmentarz). Mogiła bogacza i ubogiego jednakowe i odznaczają się od siebie tylko pomnikami. Zwykle te bywają kamienne, wysokości około dwóch łokci. Wyrzynają na nim wiersz z koranu, imię, nazwisko i pochodzenie zmarłego, ile miał lat i czem się trudził.

Naprzykład na jednym z pomników widziałem następujący napis. „Umarł bo tak się podobało Najwyższemu; z pokolenia Tabyskiego, z oddziału Dżiembeta, Kuskumbaj Dżytybajew, żył lat 35 i był batyrem.

Bogatsi zamiast takiego kamienia budują nagrobki w kształcie domów lub meczetów, drewniane lub z cegły ziemnej, wyrabianej przez kirgizów. Na grobie kładą znaki wskazujące rzemiosła lub wiek zmarłego; np. na grobie batyry — drewnianą włócznię; na grobie myśliwca, łuk i strzały, wyobrażenie psa; na grobie muły — kij i turban; na grobie dziecka — kolebkę i t. p.

Biedni, niemając możności kupienia nagrobka, kładą na grobie kamień i kreślą na nim odpowiedni znak. —

W ogólności kirgizi mają mogiły w poszanowaniu. Nie mijają ich nigdy, bez odmówienia modlitwy. Wzruszający jest widok gdy oni podjechawszy ku cmentarzowi, zeskakują z koni i uwiązawszy je, klękają, odmawiając modlitwy za dusze zmarłe.

Niektóre cmentarze są nader obszerne i z odległości, w skwarny dzień, wyglądają jak ogromne miasta. Szczególniej odznaczają się obszernością te, na których pochowani są ludzie uważani przez kirgizów za świętych (awlia). Kirgiz uważa za szczęście być pochowanym na jednym miejscu ze świętym. Wielu z nich za życia przykazują to swym spadko-

biercom, chociażby dla wykonania tego życzenia trzeba przewozić ciało 200, 300 lub więcej werst. Przekonani są że modlitwy świętego zbawia ich dusze. Jeżeli na mogile świętego wyrośnie drzewo, to znakiem jest niewątpliwéj wielkiéj łaski proroka dla zmarłego. Drzewa te nader starannie pielęgnują i czczą jako płód kości świętych. Każdy kirgiz, przejeżdżając obok, pomodliwszy się na grobie, odrywa kawałek swego odzienia i zawiesza na drzewie, w tém przekonaniu, że święty, na sądzie ostatecznym wspomni o swoim ofiarodawcy i będzie jego orędownikiem. Na drzewach tych, oprócz niezliczonéj ilości kawałków tkanin, chustek, włosów kobiecych, końskich, wielbłądzich i t. p. znajduje się jeszcze kilka głów końskich; wdzięczny pan po śmierci szlachetnego zwierzęcia, które może nieraz dzieliło z nim niebezpieczeństwa i trudy, zawiesza jego głowę na drzewie, ażeby i ją przez to uczynić uczestniczką świętości.

Każdy mający o co prosić Boga, przychodzi modlić się o to na mogile (awlii) i używać jego pośrednictwa; tu przychodzą chorzy z modłami o zdrowie; — bezdzietni — o dzieci; — ci co utracili mienie — o poprawę bytu i t. p.

Przepędzają po kilka dni na modlitwie i poście, na mogiłach tych świętych.

Raz byłem z sułtanem M. na grobie Kazybeka, uważanego w stepie za świętego.

„Powiedz sułtanie! jakimi zasługami wasi święci pociągają naród do tego głębokiego poszanowania, że po śmierci wyżej ich czczą, jak zwykłych ludzi?”

— Otoż jesteśmy na grobie Kazybeka, odrzekł sułtan. Przez całe życie kirgiz ten nigdy nie skłamał, nie popełnił żadnego fałszu. Dożył on do głębokiej starości, szanowany i kochany przez wszystkich; umarł zaś z wewnętrznego niepokoju, z powo-

du że wykonał przysięgę w sprawie, o której słu- szności nie był przekonany.

Oto jest treść téj sprawy. Jeden z kirgizów bajulińskiego plemienia, do którego należał i Kazybek, zaczął się starać o żonę z pokolenia kityńskiego. Dziewczyna miała kochanka ze swego pokolenia i za obcego szła niechętnie. Interes doszedł już do tego stopnia, że narzeczoney, nacieszywszy się przyjemnościami nocnych schadzek, przyjechał na wesele, ażeby potem zabrać młodą żonę do swego aulu. Na nieszczęście, w czasie gdy gościł u swego teścia, na aul napadli nieprzyjaciele, ograbili i wielu zabili. Między zabitymi znajdował się pan młody. Krewni jego zaczęli dowodzić że to kochanek korzystając z zamieszania, zdradziecko zamordował współzawodnika i wymagali za krew okupu. Sam Karataj sądził tę sprawę. Gdy oskarżyciele nie mieli dowodów na poparcie swéj skargi, stan zadecydował, ażeby na poparcie onéj ktoś wykonał przysięgę. Wiadomo że w takich razach do wykonania przysięgi wybierają najzaciejszego i najbogobojniejszego człowieka i że wybór jego zależy od strony przeciwnéj. Los padł na Kazybeka, który był posłusznym i przysiągł. Lecz wątpliwość czy sprawiedliwą była jego przysięga i czy się nie stał krzywo-przysięgą? nie dała mu pokoju. Modlił się, dręczył niepokojem sumienia i wkrótce umarł.

Naród uważa go teraz za świętego.

O ile opowiadanie to jest prostodusznem, o tyle i pocieszającym. W narodzie, wpośród którego byli ludzie, o tyle ceniący cnotę i umierający z saméj myśli, że może być popełnili czyn nie sprawiedliwy, wiele jest zarodków przyszłości — bo naród który umie ocenić tak wysoką cnotę, skłania do przypuszczeń, że wśród niego wiele znajduje się moralności, czystości i dobrego.

## O NARKOTYKACH.

We wszystkich ludach w ogólności widzimy wielkie zamiłowanie do roślin odurzających, upajających; czy to one są przerobione na napój, czy też w inny sposób do użytku przyrządzone. Im dzikszy jest stan człowieka, tém silniej poddaje się temu wpływowi zabójczemu. Smutno patrzeć, że człowiek im bliższy

jest stanu zwierzęcego, tém mu łatwiej prześcignąć zwierze w jego namiętnościach. Zwierze idąc niewolniczo za prawami przez Stwórcę wskazanemi, nie może z nich zboczyć; jego instynkt zachowawczy chroni go od wszelkich nadużyć prowadzących jego do zniszczenia lub do skarłowacenia. Człowiek zaś nie-



kępowany niczém, jako Pan stworzenia wolną wola uposażony; nie potrzebuje instynktu ślepego, bo ma rozum, który mu wszelkie następstwa nadużyć jego lepiej niż zwierzęcy instynkt wykazuje: lecz nie chce go słuchać, nie chce nawet przyznać, że wtedy niższym jest od zwierzęcia którem poniewiera, że dobrowolnie tej wielkiej, łączącej go ze Stwórcą atrybucyi, jaką jest wolna wola, na złe używa. Nie powinny oburzać nas ludy dzikie wpadające w zwierzęcość, tém bardziej, że same bez skazówki do dobrego lub złego, bardzo rzadko przechodzą granicę, jaką im natura wytknęła. Ale jakież słowa określić mogą oburzenie, na ich starszych w cywilizacyi braci, którzy dla zysku, dla zapewnienia sobie zbytowych potrzeb, stają się prawdziwymi kusicielami względem tych biednych dzieci natury, którym niby oświatę niosąc, rozbudzają w nich zamiłowanie w napojach.

Dzicy lubią narkotyki, ale te nie prowadzą ich do zguby, rzadko bo wiem dopuszczają się nadużyć; wpadają w nie tylko ci, którym europejczyki dali poznać upajające trunki. Wiadomo, że narkotyki czy to palone, (jak tytoń który także do ich liczby należy), czy to w ustach żute jak *betel*, *coca* i t. p. nigdy tak nie podkopują sił żywotnych, i nie psują organizmu, jak kiedy w napój przemienione. Dosyć jest znać naszych nieszczęśliwych wódeczanych pijaków, kończących nie podobne do ludzkiego życia, z powodu nałogu swego, aby uznać tę prawdę. To też różnica siły i czerstwości jaką posiadali słowianie przed zaprowadzeniem gorzałki, nie da się porównać z niedołęstwem dotkniętego skrofulami, a nawet i idjotyzmem dzisiejszego ludu naszego.

Oprócz ogólnie znanych i używanych roślin narkotycznych, które użyte w miarę, stały się niejako potrzebnymi ludziom, jak *np.*: kawa, herbata, tytoń; każdy naród ma sobie właściwą roślinę, w której więcej niż w innych smakuje, a upodobanie w jej odurzającej, podniecającej własności, jest tak wielkie i powszechne dzisiaj, że żaden handel, czy to zbożowy, czy bawełniany nie jest tak ważnym, rozległym, jak handel narkotyków w rozmaitych częściach świata na różnorodne produkta i pieniądze zamieniany. Z tych liczą pięć rodzajów za powszechnie znane i główną gałąź przemysłu stanowiące na globie ziemskim, a temi są: Tytoń, konopie, opjum, koka i betel. Tytoniu użycie wiadomem nam jest, nie wspomniemy więc o nim.—Opjum, nie za sam środek lekarski jest uważane, ale nadto jako wolna trucizna przez chrześcijańskie potężne Państwo, poddawane na zgubę biednych w ciemnocie jeszcze żyjących bli-

źnich! Według wyrachowania, mniej więcej czterysta milionów ludzi spożywa na zgubę swoją, a na korzyść handlujących tę truciznę, niszczącą ich władze umysłowe i fizyczne! Wyciąg z konopi zwany Haszysz, mało jest u nas znany, o tym więc poniżej wspomniemy obszerniej. Coca, (krasnosok Peruwiański, zwana Erythroxyllum peruvianum) również jak Erythroxyllum coca, rośnie w wilgotnych dolinach Andów. Z tych dwóch roślin razem, to jest z popiołu pierwszej, a z liści drugiej, domieszanem trochę niegaszonego wapna, sporządzają krajowcy rodzaj cygar, których nie kurzą lecz żują w ustach; mocna woń wydzielająca się z tych roślin, w sposób taki używanych, ma mieć szczególne i nader ważne własności; mianowicie dodaje mu sił muskularnych tak dalece, że mimo braku pożywienia, nie tracą one swój działalności.—Betel jest znana w cieplarniach naszych pięknie kwitnąca Stramonja; (*Xantium Stramonium*) nad której kwiatem unoszą się miłośnicy. Roślina ta z Indyi Wschodnich, równie jak poprzednia jest używaną, lubo nie ma tak ważnych przymiotów. Indjanie skręcają jej liście zmieszawszy z wapnem, i ciągle je prawie żują.

Oprócz tych pięciu głównych, bo przez największą ilość ludzi używanych, jest wiele innych roślin narkotycznych w rozmaitych krajach i prowincjach znanych, rozmaite własności mających, i stosownie do swych przymiotów, mniej lub więcej używanych.

W Ameryce Północnej i Europie znane jest bagno (*Ledum*), Woskownica (*Gale*), Szalój (*Hiościam*:) i t.p. U nas mianowicie na wsi, wiejskie kobiety jako rodzaj lekarstwa używają rodzaju grzybów szczególnej powierzchowności. Nazywają go mieszkańcy nad Bugiem *denna huba*, rośnie w mokrych miejscach między lasami, łodygę czyli pień ma na ćwierć łokcia wysoki, siatkowaty, purchowaty i tak mocny wydający zapach, iż ten zupełnie odurza: ususzony w piecu i na proch starty, lubo traci wiele swój woni, zawsze jednak silnie działa. Babki wiejskie dają pić kobietom, mocne bólesci cierpiącym, a te twierdzą, że nie tylko czują ulgę w cierpieniach, ale nadto sprowadza im to sen i marzenia nader miłe. Zdarza się, że niektóre doznawszy błogich skutków, tak są potem zapachem nęczone, że radeby jak najczęściej używać tego odurzającego nektaru; szczęściem *denna huba* nie łatwo się daje znaleźć i nie rośnie w obfitości. Gatunek Datury (*Bieluń*) znaniej pod nazwiskiem *Pomme epineuse* rosnącej na górach Himalaja i w nowój Grenadzie, ma mieć podobną własność jak *denna huba*, a raczej stokroć wyższą; bo nie tylko że sprowadza marzenia, ale użyty w więk-

szęj ilości, tak podnosi do ekstazy władze duchowe człowieka, tak je wyzwala ze wszystkich warunków życia materialnego, iż Indjanin upojony Dziędzierzawą czuje się być przeniesionym do innego świata, obywa się bez pokarmów, rozmawia z duchami przodków swoich, krewnych, przyjaciół. Patrząc na podobne fenomena, uczeni podróżni zawodowi lekarskiemu oddani, a tém samém najmniej skłonni do imaginyjnych wrażeń czyli urojeń, musieli wszakże przyjść do rezultatu, któren najlepiej słowami poety określić można: „iż jest wiele rzeczy w niebie i na ziemi o których się filozofom ani śniło.”

W ogólności działanie narkotyków jest względne nie tylko do indywidualnych usposobień, ale głównie do klimatu. Inaczej one działają na Wschodzie, na Południu, a inaczej na Północy. Wpływ narkotyku na Anglika jest tak mały, jak twierdzi doktor Krystjan w dziele swém o truciznach, iż jeżeli Anglik po użyciu go nie zachoruje mocno, to tyle tylko, że jego zwyczajna ponurość i apatja dozna pewnego wstrząśnienia i będzie trochę ruchawszy i rozmowniejszy.

W ogólności północne a nawet Wschodnie narody nie używają narkotyków w chęci podniesienia w sobie władz pewnych, wprowadzenia się w stan zachwyty lub marzenia, albowiem tytuń, herbata, kawa, niepostrzeżenie działając na zdrowych, tylko podniebienie ich łechcą; zaś w organizmach wątłych nerwowych szkodzą zdrowiu, tak dalece, że w zbytnej ilości użyte zupełnie niszczą siły. I widzieć można lubowników kawy z trzęsącą głową i rękoma, lecz oni używali tego napoju, jedynie w chęci dogodzenia smakowi swemu, a nie dla wprowadzenia się w stan nadnaturalny, w jaki wpadają Indjanie po użyciu *Datury*, Chińczycy po Opjum, Arabowie po haszyszu.

Znane są u nas pospolicie skutki Szaleju, ależ dobrowolnie nikt go nie używa; jest jakaś obawa, jakieś może wyższe rozumu ludzkiego uszanowanie, które nie dozwala wprowadzać się w stan w jakim pozbywa się go człowiek, za pomocą rośliny, nie mającej przywileju jak *uprawniona, uświęcona wódka*, którą po większej części piją w fałszywej myśli posilenia się, wzmocnienia sił zwątlonych, a nie w prostym zamiarze postradania zmysłów. To też lud nasz znając własności Szaleju nie używa go dla przyjemności, dla wprowadzenia się w stan jakiegoś szału, lecz tylko *zadają* go drugim, czy to żeby się pomścić za jakąś przykrość, czy też żeby się zabawić kosztem cudzym. — W pierwszym wypadku dają go w większej ilości, tak że niekiedy zapalenie mózgu i śmierć

sprorowadzić może. W drugim zaś, w mniejszej, tyle że człowiek po zjedzeniu jakiej stawy zmieszanej z Szalejem, wpada w prawdziwy szal na czas jakiś — krzyczy, skacze, aż znużony w końcu zasypia, po czém następuje bladość i bezwładność na czas jakiś. Ze smutkiem wyznać trzeba, że w skutek braku oświaty religijnej, lud nasz mianowicie w prowincjach ruskich, używa tak zwanych *trutek*, jako środka bardzo prostego, nienagannego do pomszczenia swęj krzywdy, do zadosyć-uczynienia jakiej innęj namiętności, lub do nakazania milczenia w sprawie jakiej, za którąby do odpowiedzialności pociągnionym być można. Skrzywienie pojęć religijnych do takiego dochodzi stopnia u tych ludzi, iż człowiek którenby nie zabił nikogo, bo wie, że zabijać nie powinien, *bo to się nie godzi*, ma za rzecz zupełnie *godziwą* zadać truciznę po której po długich dolegliwościach śmierć następuje — i w ślepotcie swojej nie ma się za mordercę, nie wierzy że gorszym jest od niego, bo nie od razu, ale zwolna, w męczarniach odbiera życie! I nie ma prawa któreby zapobiedz temu złemu mogło, bo nie ma sposobów na odkrycie i dowiedzenie zbrodni: jedynie tylko rozszerzenie oświaty, a tém samém i wpływ religijny może zapobiedz złemu.

Z pomiędzy wszystkich narkotycznych roślin najważniejszymi, największe mającemi własności są: Opjum, konopie czyli tak słynny na Wschodzie haszysz. — Pierwsza, jest to wyciąg z rodzaju makówek, Opjum znane u nas oddawna nie tylko z medycyny, ale z opisu podróżujących po Wschodzie znany narkotyk jako używany tamże, do podniecenia zapachu w dzieciach Mahometa. — Mówią, iż przed wystąpieniem do walki, Turcy zwykli byli używać tej sztucznej pomocy do obudzenia w sobie odwagi. Na szczęście; silniejszy organizm i przepisy Koranu, zachowały ich od nadużyć, w jakie wpadły Chiny.

Działanie Opjum jest po części podobne do tego jakie sprawia haszysz, i jak to ostatnie, rozmaity, stosownie do klimatu zwyczajów i natury ludzkiej wpływ wywiera. — Haszysz stokroć silniejszy, w podobny jednakże stan szału wprowadza Indjan, Arabów i jak Opjum Japończyków. Ażeby mieć wyobrażenie, do jakiego stopnia zapamiętałości oni dochodzą, przytoczymy tu wzmiankę jaką robi Lord Makartnej w podróży swęj do Japonii.

„Użycie ofjum dodaje im (Japończykom) sztuczną odwagę do takiego stopnia, że kiedy są pod wpływem boleści lub przeciwności, napadają nie tylko na tych którzy są celem ich nienawiści, lecz na każdego kogo tylko spotkać im się zdarzy w chęci zamordowa-

nia go koniecznie, aż wkońcu sami ulegną śmierci z ręki zmuszonej bronić życia swego. Kiedy są w tym szale, wypadają, rozpoczynając rozbój krzykiem wojennym: Amuk! Amuk! to jest zabij! zabij! —

Pochodzą te wyrazy od Runnig Amuk (leci jak szalony). Istotnie jakby do stanu szaleństwa doprowadzony człowiek morduje zapamiętałe, kogo spotka. W podobnym stanie będący Japończyk w Batawii, zabiwszy już kilka po drodze idących osób, spotkał żołnierza, którego w obronie swojej nastawił pikę tak, że ta w ciało szalonego weszła; rozdrażniony jeszcze bardziej tym oporem, nie czuje bólu, a raczej zapamiętała chęć zabicia przeciwnika, przewyższa ból, tak dalece, że dobywszy sił ostatnich, posuwa się tak, że pika przechodzi na wylot ciała, a on tym kosztem zbliża się do żołnierza, zadaje mu cios śmiertelny puginałem, po czym obie ofiary padają bez życia! — Takie to okropne skutki na wschodzie i pod równikiem z używania opjum i haszyszu!

Upajający pierwiastek zawarty w konopiach, bardzo słabo się rozwija i w małej znajduje się części w tej roślinie w Europie rosnącej i w takiej obfitości uprawianej, — nie można zaprzeczyć żeby go ona wcale nie miała, gdyż woń jaką wydają kwitnące konopie, jest, lubo w słabym przypomnieniu, toż samo; sprawia odurzenie, jeśli kto długo wśród niej pozostaje.

— Dowód więc że rodzaj konopi naszych jest tenże sam, co sławnych z wielkości swjej himalajskich — tylko naturalnie, gatunek gruntu i klimatu w jakim rosną skarłowaciał, zmienił ich naturę a raczej nie mógł je rozwinać. Z soku krążącego w całej roślinie, mającego, w sobie rodzaj balsamu żywicznego, robią narkotyczny wyciąg, używany do napojów lub do kurzenia razem z tytuniem, — dziś coraz bardziej na wschodzie rozpowszechniony, a zwany haszysz. Konopie najbardziej obfitujące w ten balsam rosną w Indjach, Persyi, Afryce a mianowicie w Egipcie — W niektórych miejscach jak np: w Indjach środkowych jest tak w nich wielka obfitość balsamicznego soku, że tenże wydobywa się na zwierzchnie części rośliny; wtedy Indjanie, opatrzeni w skórzane fartuszki, zreźnie wstrząsają gałęzie, zbierając w fartuchy drobne kropelki żywicznego soku.

Konopie używane widać były jako narkotyk od bardzo dawnego czasu. Herodot bowiem opisując obrzędy pogrzebowe u Scytów, mówi: że po dopełnionym obrzędzie, obmywszy sobie starannie ciało i głowę i wysuszywszy, biorą trzy drągi i wbijają je w ziemię pochyłą tak żeby u góry końce ich się schodziły; te

obsłaniają hermetycznie wełnianemi płatami — zrobiwszy w taki sposób rodzaj namiotu, kładą w środku jego rozpalone kamienie, na które w obfitości rzucają ziarna z pewnego gatunku konopi. — Para jaką wydają te ziarna jest nadzwyczaj mocnego zapachu: upojeni nią Scytowie wydają ciągle krzyki uniesienia. — Gallen także wspomina że konopie, jako środek lekarski, zaspakajają boleści, zapewne użyte w sposób jaki i u nas jest znany: — Plinusz w spomina je jako narkotyk, mający własność usypiania sił żywotnych. — W cudownych powieściach Tysiąc nocy i jedna, także ma być wzmianka o haszyszu pod imieniem *bark*.

Najciekawsze wspomnienie o tym narkotyku, znajduje się w historyi naczelnika sławnej w średnich wiekach sekty Izmaelczyków. Okrutny dowódzca tej sekty, strasznej dla Muzułmanów i dla krzyżowców, znany pod nazwiskiem *Starca z Gór*, a właściwie Alladyna noszący imię, wielkich dokonywał dzieł, nie posiadając licznych zastępów. Za pomocą haszyszu zdołał tak silny wpływ wywierać nad podwładnemi Scidami, iż istotnie słusznie twierdzą że żaden śmiertelnik przed nim podobnej nie posiadał mocy nad człowiekiem. Gdy Henryk hrabia Szampanii odwiedził tego straszego Naczelnika, *Starzec z Gór* zaprowadził go na wierzchołek dość wysokiej wieży, gdzie na platformie znaleźli zgromadzonych biało poubieranych, należących do Sekty jego, ludzi — „Nie zdaje mi się — rzekł Alladyn do hrabiego — ażebyś mógł mieć równie posłusznych żołnierzy,” to powiedziawszy, skinął ręką na dwóch stojących na straży, którzy natychmiast z zupełną spokojnością wyskoczyli z wieży i roztrzaskani zostali w upadku swoim. —

Razu jednego dowódzca potężny nieprzyjaciół *Starca z Gór*, z którym prowadził wojnę, przysłał do niego pełnomocnika aby się poddał. Alladyn zawołał jednego z żołnierzy i w przytomności wysłańca, kazał mu zabić się — co żołnierz natychmiast ze skwapliwością wykonał. „Powiedz swemu Panu — rzekł dumnie Szeik do posłannika — że ja mam 60,000 ludzi, z których kaźden to samo gotów jest uczynić.”

Podobny wpływ nad ludźmi, którzy nie w chwili upojenia narkotykiem, nie w chwili pobudzającego ich szału, idą na śmierć z gotowością ochotną nie dla obrony wodza swego, ale dla dogodzenia jego kaprysom; zdawałby się istotnie bajecznym: wziąć by go można za jakieś czarodziejskie *fascynacje* gdyby nie wyjaśnienie, jakiego w tej okoliczności do-

starczył, znany, jeden z pierwszych w wiekach średnich podróżników wschodnich, Marko Polo. Opowiadali mu muzułmanie o Starcu z Gór, jako o niedawnym bohaterze okolicy, następujące szczegóły.

Wielki Szeik był naczelnikiem Izmaelczyków, którzy dumni ze swego pochodzenia, (gdyż wywodzili ród swój wprost od Izmaela, chcieli ować wszystkich machometanów i krwawymi drogami szli do celu swego), wybrali za dowódcę męża zwanego *Starcem z Gór* a noszącego imię Alladyna, odpowiednich zdolności człowieka. — Oprócz odwagi, okrutnego i zimnego charakteru, łączył Alladyn wielką przebiegłość. — Pomiedzy dwiema górami w ukrytym miejscu obrał śliczną dolinę, w której zasadził piękny, woniejącymi kwiatami i krzewami napełniony ogród: tam powystawiał rozmaite ozdobne kioski i pałacyki, w których ściany różnemi malowaniami przyozdobił. Tam nad czystym strumieniem przechadzały się najpiękniejsze z jego Haremu dziewczęta, a drzewa owocowe, słodkie daktyle, figi, ananasy, rosły wśród kwiatów, wśród sztucznych wodospadów i fontan, między którymi były i takie, z których miód i wino wytryskało. — Nikt prócz Szeika nie miał wstępu do tej oazy. Idąc za nauką machometa, którego obiecuje w nagrodę wiernym Raj, gdzie piękne huryski przechadzają się wśród źródeł mlekiem i winem płynących — Alladyn starał się przekonać swoich adeptów, że w mocy jego jest posłać ich do tego obiecanego przez Machometa Raju. A gdy młodzi ludzie, których miał na dworze swoim, byli już dosyć z wiarą w szczęście Raju Proroka obeznani, wtedy dawał im napój zmieszany z haszyszem a zapewne i z opjum, po którym gdy zasnęli snem twardym, niewolnicy przenosili ich do wrót czarownej oazy. Tam zbudzeni młodzieńcy, olśnieni złotem zbyt obfitem w pięknych pałacykach, upojeni wonią i rozkoszą, sądzili się istotnie być w Raju. Lecz wkrótce w smacznych napojach zadany narkotyk usypiał ich. Wtedy znów ich porywano i niesiono na miejsca gdzie poprzednio zasnęli. — Łatwo sobie wyobrazić można żal młodzieńców, że nie zostali w Raju, że się znów do życia i świata zwyczajnego powrócili! — Wtedy szli do Starca z Gór korząc się przed prorokiem, a pełni wiary, w jego możność posłania ich do Raju, którego im na chwilę pokazał, pragnęli zasłużyć na łaskę, na szczęście dostania się tam najprędzej. On, jak sądzili, pozwolił im na chwilę zajrzeć do Raju, bo jako żyjący nie mogli w nim pozostać, nie zasłużyli jeszcze na to przez śmierć i boleść — a więc tylko trzeba śmierci, a śmier-

ci z jego rozkazu aby tam zostać na wieki! Wieczność wśród woni kwiatów, wina i pięknych hurys ek! cóż mogło być ponętniejszego dla zmysłowych dzieci wschodu, nie pojmujących przesytu jaki ogarnia człowieka cielesności oddanego. — Pragnąc, goniąc za taką wiecznością, biedni wyglądali tylko chwili szczęścia, w której ukochany Prorok zechce ich odesłać do niej. — Naturalnie, że Alladyn był wyższym od Machometa — ten tylko opisywał Raj i wierzyć kazał węg; a ten zaś kosztować go dozwolił. — Biegł więc na śmierć z radością każdy na którego zawołał potężny dowódzca, a im trudniej było tę śmierć zdobyć, im większe towarzyszyły jej męczarnie; tem większa pewność, że po krótkiej męce, wieczna nastąpi rozkosz. Zapytanie, — jakim sposobem pozbywszy się ciała, czuć będą mogli cielesne uciechy? nie przyszło im do myśli. Z takich to ludzi składało się wojsko groźnego naczelnika Izmaelitów, których słusznie nazywali francuzi *Les Assassins*, a których właściwe miano miało być haszyszen. Nie było nic trudnego do wykonania; każde nakazane morderstwo, czy to przez chęć zemsty, czy dla postrachu nieprzyjaciela, wykonywali natychmiast.

Historycy arabscy, podobnie jak Marko Polo, o straszonym starcu gór, podają szczegóły.

Wiadomo, że użycie narkotyku wydobytego z konopi znane było u starożytnych, lecz nie wiemy jakim sposobem przyszli do odkrycia tej własności jego. — Dziś mahometanie, jak opiewają poeci arabscy, jak opisują kronikarze, zawdzięczają zapoznanie się z tym *marzenio*-dajnym środkiem Szeikowi Haider. Miał to być nader wielkiej pobożności machometanin, żyjący w odosobnieniu, w ciągłych modlitwach. Ten raz jednego z wielkiem zadziwieniem swoich towarzyszy klasztornych, stał się rozmowny, wesołe mający spojrzenia, a gdy go zapytali, jakaby mogła być przyczyna tak wielkiej w nim zmiany? odpowiedział: Że gdy poszedł na przechadzkę i przyglądał się różnym roślinom, uważał, że każda z nich była jakby na pół żywa, zdrewniała z powodu ogromnego gorąca, z braku najłżejszego ruchu w powietrzu; jedna tylko w pośród nich kołysała się rozkosznie na giętkiej łodydze swojej, jakby była upojona winem. Ruchy jej swobodne tak mu się podobały, że przystąpił do niej i począł jeść liście jej, i wkrótce potem ogarnęła go jakaś wesołość.

Znakomity francuzki Orientalista Sylwester de Sacy tłumacząc wiernie z arabskiego, te szczegóły w piśmie swoich zamieścił, również jak i tłumaczenie Ody poety Arabskiego mahomeda Dimashki, w któ-

rój wspomina Haidera jako wynalazcę tego narkotyku. Przytoczymy tu krótki ustęp z téj Ody.

„Porzuć wino! zastąp go czarą Haidera, która woń ambry wydaje: nigdy wino nie sprawi takiej rozkoszy jaką daje ta cudowna czara!—Zatkaj uszy przed szaleńcem coby ci chciał ganić ten napój” i t. d.

Inny poeta arabski Halebi, również Haiderowi przypisuje wynalazek haszyszu— a własności jego w taki sposób wychwala:

„Tą młodą piękność, lekką, wysmukłą, którą zawsze widywałem gotową do ucieczki, której twarz miała zawsze dla mnie wyraz okrutnej wyniosłości; dnia jednego spotkałem z twarzą uśmiechniętą, w słodkim i łatwym humorze, z całym wdziękiem łagodnego, poufałego obejścia się.

„Oświadczyłem jój wdzięczność, że w końcu po tylu niełaskach, nastąpiło uprzejme przyjęcie.

„Nie zawdzięczaj—odpowiedziała mi— charakterowi któren odebrałem od natury—dziękuj raczej temu kto ci względy moje wyjednał—tym jest wino nędznych, haszyszu, ziele radości.

„Czy chcesz na łowach zostać panem lekliwej i młodej gazelli? staraj się ażeby pierwiej w konopiach paść się mogła.”

Jak wszędzie, tak nawet i u pełnych wyobraźni Arabów, medycyna sprzeczna ma z poezją zdanie. Jeden z ich lekarzy w taki sposób wyraża się o tym narkotyku:

„Nie błąkaj się po ścieszkach wytkniętych przez ludzkie błędy. Prawda nam dowodzi że nie ma nic szkodliwszego dla natury ludzkiej jak to ziele.” Alladyn syn Nepisa mówi: „Za pomocą mego długiego doświadczenia, przekonałem się, że użycie tego lekarstwa, rodzi złe skłonności i poniża duszę. Wszystkie władze ludzi, którzy go używają, nikkzemnieją i w końcu tracą zupełnie wszystkie atrybucye człowieczeństwa.”

Są dowody, iż był czas, w którym używanie haszyszu było uważane za upadlający czyn i nawet karano go tak ostro, iż winowajcy, to jest przekonanemu o jedzenie go, wrywano wszystkie zęby; lubo później jak świadczy jeden z pisarzy arabskich, „używanie tego narkotyku tak się upowszechniło, iż najdostojniejsze osoby nie wstydziły się wzajemnie go sobie udzielać. Ztąd wynikło powszechne spodlenie uczuć, wstyd i skromność zniknęły zupełnie, ludzie z cynizmem przechwalali się ze swoich występków i rzecz można, że im, z człowieczeństwa, tylko zewnętrzny kształt pozostał.”

Kilku podróżujących lekarzy rozbierało własności haszyszu, próbując go własnem doświadczeniem, i wszyscy zgadzają się, że stan w jakim się człowiek znajduje, wzięwszy go w dozie jaka sprowadza rodzaj maligny, zwanój *fantazją*, zupełnie jest podobny do początkowego obłąkania, w którémto człowiek nie traci jeszcze świadomości o chorobie i sam się spostrzega na pomyłkach w jakie wpada umysł jego. To też przez sztuczne wprowadzenie w to sztuczne obłąkanie, miłośnicy haszyszu, kończą niem; i w szpitalach obłąkanych na Wschodzie, czwarta część chorych jest z tego powodu.

Między innemi P. Berthault miał najjaśniej opisać wszystkie działania na ducha i materję tego narkotyku.—Pośród różnych fenomenów, opisuje własne zdarzenie które przytaczamy: Razu jednego wzięwszy większą dozę haszyszu, właśnie w ten czas kiedy tenże działanie swoje rozpoczął; pod oknami przechodził pułk dragonów i grać poczęto. Dotąd jak twierdzi autor, nie znał muzyki, nie rozumiał jej, Władze jego zmysłowego pojmowania, w téj chwili, do tak wielkiej siły doszły, iż rozróżniał najwyraźniej ton każdego osobno instrumentu, tak, że żaden dyrygujący orkiestrą muzyk nie był w stanie słyszeć tego. Nadto doznawał szczególnego fenomenu uzmysłowienia myśli, zmaterializowania idei, któren zdaje się być właśnie głównym skutkiem haszyszu w większej ilości używanego. I tak, dźwięki harmonii którą słyszał, przybierały kształty mieniących się różnobarwnych wstążek, które się roztaczały, mieszały i znów zwijały w najfantastyczniejszy sposób. W odwrotnym sposobie artysta jeden, będący także pod wpływem haszyszu, doznał podobnej metamorfozy. u niego znów kolory, przybierały rozmaite tony, które słyszał silnie drgające w powietrzu. Wkrótce w przywidzeniach P. Bertaulta zaszła zmiana jeszcze bardziej dotykalna; albowiem wstążki, urocze tony, zamieniły się w kwiaty: ile było dźwięków, tyle kwiatów które się układały w girlandy, w grupy, a harmonja kwiatów przedstawiała harmonję muzyki: kwiaty ustąpiły drogim kamieniom które jak wodotryski, wznosząc się w górę, opadały, rozpryskując się na około. W tém muzyka rozpoczęła inną sztukę; zagrała walca, natychmiast ze zmianą muzyki, zmieniło się widzenie i P. Bertault znalazł się w sali najpyszniej oświetlonój, z olbrzymią różnobarwną kryształową kopułą, wspartą na tysięcznych kolumnach. Wkrótce to sklepienie ustąpiło innemu, jeszcze większemu i wspaniałemu—poczem niezliczona liczba par walcujących nagle się przedstawiła w tym wspania-

ym, pędząc w szalonym zapędzie i tworząc jakby postać olbrzymiego węża..

Po licznych doświadczeniach na sobie i na drugich, Bertault przyszedł do przekonania, że skutek zwyczajny haszyszu, jest podniesienie do przesady pojęć zmysłowych, również jak uczuć duchownych jakiegokolwiek one są; i dla tego jak twierdzi, użycie jego nie tłumi żalu, ale go zwiększa. To zdanie potwierdzi zwyczaj a również jaki mają mieszkańcy, Wschodu, używać go w chwilach zadowolenia, w chwili uciech, do czego im życie zmysłowe dostarcza sposobów.

Pod wpływem tego piekielnego narkotyku, gdy się użyje w chwili niezadowolenia, lekki gniew zamienia w złość gwałtowną, w chęć zemsty którą nasycić musi, i ztąd tyle scen krwawych i o jakich wyżej wspomnieliśmy. — Zgoła każde uczucie przybiera rozmiary szalonej namiętności — nawet kobiety przy zbieraniu konopi wpadają często w stan okropny, hańbiący, którego opisywać nie podobna.

Użycie haszyszu w małej ilości, zupełnie prawie w przeciwny działa sposób, jak to zwykle bywa ze wszystkimi narkotykami, ale też miłośników jego nie zadowalnia, jak nałogowym pijakom nie wystarcza użycie trunku, dopóki jeszcze czuje się przy zdrowych zmysłach. — W małej dozie użyty haszysz zamiast podniecić władze nerwowe, zdaje się usypiać je; stan błogi, potrzebujący nieczynności, zmienia, skoro człowiek przymusi się do jakiejś czynności umysłowej, choćby najlżejszej, choć do napisania listu. Jeden z podróżujących opisał dwa doświadczenia przez jakie sam przeszedł. — Raz pierwszy w małej dozie użyty narkotyk podczas podróży jego po Nilu, spowodował stan nadzwyczaj błogi fizycznie, a wesoły moralnie. Zachęcony tą pierwszą próbą podróżujący amerykańnik, przybywszy do Damaszku umyślił wziąć znaczną dozę, co też i uczynił namówiwszy dwóch towarzyszy podróży, Anglika, i współrodaka swego, aby razem z nim zażyli narkotyku, lecz nieświadomy przesadził dozę, jakiej się używa do w prowadzenia w fantazję — i wpadł w rodzaj prawdziwej halucynacji, w której jednakże ani na chwilę nie stracił świadomości stanu swego, owszem czuł jakby dwójakie istnienie, dwójakie działanie rozumu. — Kiedy bowiem posłuszny sile narkotyku, oddawał się z całą świadomością wszystkim szaleństwom wyobraźni druga władza rozumu, jakby przechowana w zdrowej części mózgu, uważała, rozbierała krytycznie grę fantazyi, śmiejąc się z jej fantastycznych wybryków, a przecież nie opierając im się wcale.

Zażywszy dobrą dozę haszyszu, amerykańnik wraz z dwoma swymi przyjaciółmi, siedział w gabinecie mieszkańca swego, gdy nagle napiwszy się filiżankę ciepłej herbaty uczuł skutki narkotyku, przez gwałtowną gorącość w dołku żołądkowym, przez gwałtowne uderzenie pulsów, bicie serca — zdawało mu się zrazu, że cała jego śmiertelna obsłona pękła i że się w eter rozplynął. — Za długo byłoby opisywać wszystkie przywidzenia, wszystkie symptomata coraz zwiększającego się obłądu biednego amerykańnika; przytoczymy jednak, niektóre własnymi jego opisanymi słowami, od chwili, w której jak sam mówi; uczuł się w posiadaniu szatana haszyszu:

„Byłem na łasce jego zmuszony iść wszędzie gdzie mnie prowadził. Pływałem w Oceanie światłości, w którym igrały harmonijne kolory tęczy. — Chciałem wyjąkać moje uczucie dwom przytomnym towarzyszom którzy jeszcze nie byli pod wpływem napoju, a patrzyli na mnie w osłupieniu. Nagle ujrzałem się u stóp wielkiej piramidy. Kamienie żółtawe z których się składa, wydały mi się złote przy blasku słońca, a szczyt jej tonął w niebiosach; zapragnąłem wejść na jej wierzchołek, a zaledwie pomyślałem o tém, już się tam znalazłem. Przypatrując się budowie gmachu ujrzałem z zadziwieniem, że nie była z wapiennego kamienia, lecz że się składała jej całość z samych suchych liści i łodyg tytoniu! Wtedy śmiech mnie porwał.”

Daléj opisuje jak wśród piaszczystych pustyń, pływał w łodzi z perłowej macicy drogiemi kamieniami wysadzanej, wśród złotego piasku, najcudniejszej woni i najpiękniejszej muzyki; tak, że wszystkie zmysły jego używały zadowolenia. — Lecz gdy narkotyk coraz silniej działać począł, zmieniły się rozkoszne uczucia na przykre. „Wizje co raz stawały się brzydsze, karykaturyczne — doznawałem przykrego uczucia w całym systemacie nerwowym. Zostałem zamieniony w masę lodowatą, przezroczystą bryłę lodu, którą pasztetnik usiłował napróżno wpakować w wyrobioną formę. — Rzuciłem się z krzesła na ziemię i począłem się najokrutniej wykrzywiać, aby moje przezroczyste ciało wliść mogło w formę, ale zaledwie z wielką pracą dokonałem dzieła, zaledwie cały oprócz jednej nogi ujrzałem się schwytny; przyniesiono inną formę daleko sztuczniej wyrobioną i znów się zaczęła ciężka moja praca. — Śmiesznym był zapewne widok dla przytomnych, kiedym wśród dziwacznych kontorsyi, dopełniał mego lodowatego przeznaczenia; ale dla mnie było z nadzwyczaj przykrem połączone uczuciem. Zdrowa część istoty mo-

jój śmiała się aż do łez z téj śmiesznej pracy a każda ła zamieniała się w bułkę chleba i spadała na stół sklepowy do jednego piekarza w Damaszku. Śmiechu mego nie mogłem wstrzymać a razem i łez, z których tak ogromna massa chleba zebrała się w sklepiku piekarza, że go już z po za niej widzieć nie można było. „Ten człowiek może być przyduszony! wołałem—ale choćby miał umrzeć z tego, ja śmiechu mego wstrzymać nie mogę.”—Nareszcie pojęcia moje coraz się stawały słabsze—czułem, że się stał pastwą jakiejś olbrzymiej siły, a resztką mego rozumu poznałem grożące mi niebezpieczeństwo i zatrwożyłem się bardzo; cały byłem rozpalony, a ogień ten miał główne siedlisko w żołądku; garło i usta zdawały się suche, jak z brązu, a język miałem jakby szynę żelazną.”

Czas jakiś zostawał w tym okropnym stanie nasz amerykańnik, mimo to jednak mógł trochę rozróżnić co się w koło niego działo i mógł słyszeć krzyk przeraźliwy temi słowy: „Wielki Boże! jestem lokomotywą!”—poczem śmiech nastąpił. Krzyk ten wydał ziomek jego, którego pod wpływem haszyszu wpadł w rodzaj halucynacyi której musiał się poddać pomimo, że sam się śmiał z siebie—wyprawiał śmieszne skoki, wykręcając ręce i nogi jakby chcąc naśladować koła.—Stan taki trwał przez dwie lub trzy godziny; przez ten czas biedny opętaniec haszyszu, ze wszystkich sił swoich dobywał tchu na sapanie, na rzucanie się po pokoju i wykręcanie członków. Usta miał spiekłe, całe ciało rozpalone. Chcąc szukać ulgi, ochłody w cierpieniu, zbliżył się do karawki z wodą, ale w chwili kiedy ją do ust miał ponieść, stawia na powrót wołając i śmiejąc się chorobliwie: „Jakże można wprowadzić wodę do mojego kotła nie wypuściwszy pary pierwej?”—Podczas kiedy przyjaciel jego męczył się najokropniej w swojej metamorfozie w lokomotywę—nasz amerykańnik, przeszedłszy, jak powiada Raj haszyszu, czuł się najzupełniej w piekle jego—„Krew moja w żyłach płynęła gwałtownie, tak że słyszałem jakby ryk potoku w jej biegu, rzuciła mi się do oczu i nie widziałem—potem uderzyła w uszy i szum okropny ogłuszył mnie; uderzyła do serca i zdawało mi się, że ciało spada ze mnie. Pociągnąłem rękę po czole, ale jakiegoż strasznego doznałem wrażenia, gdy pod ręką moją czułem tylko kości trupiiej głowy, ciało zupełnie opadło!—uczucie że jestem szkieletem, przejęło mnie tak straszną zgrozą,—iż jednym skokiem znalazłem się na ganku, wychodzącym na podwórze—spojrzałem do koła. Księżyc świecił w całym blasku—Pierwsza myśl moja była

żeby się rzucić na dół—lecz pomimo okropnego stanu w jaki mnie to obłąkanie wprowadziło i który sroższym był od śmierci; przecież nie przez obawę tejże wstrzymałem się. Jakaś moc wewnętrzna zatrzymała mnie—jakby niewidzialną ręką odepchnięty od ganku, powróciłem do salonu, w ucisku nie do opisania.”

Myśl o śmierci nie tak była straszna dla tego biednego człowieka, jak obawa, nie ledwie pewność obłąkania, w które zdawało mu się że wpada; coraz bardziej bowiem czuł ubytek własnej woli, rzucił się na łóżko i wtedy był w najokropniejszym rozstroju, w walce konania siły umysłowej i fizycznej, gdyż czuł drętwienie we wszystkich członkach.—„Widziałem że odbywająca się walka w kruchej obsłonie mojej, zbliża mnie do wieczności, a myśl że właśnie w chwili tak uroczystej, opuszcza mnie rozum wraz z wolą, wprawiła mnie w rozpacz, której opisać niepodobna.”

Wtedy właśnie przyjaciel i rodak jego coraz mocniej piekielne skutki narkotyku czujący, cierpiał okropnie, ale w tej chwili zupełnego rozstroju, wszelkie wyższe uczucia tępieją. Na głos boleści przyjaciela, nasz amerykańnik niecierpliwił się, jak to sanu wyznaje:

„Czego on mi przeszkadza?—mówiłem sam do siebie.—Woła że umiera, to i cóż wielkiego? Czemże jest śmierć w porównaniu z obłąkaniem?—Niech umiera—tysiąc śmierci nie wyrównają torturom jakich doznaję.”—Nagniewawszy się na konanie przyjaciela, wpadł w końcu w zupełne odrętwienie. Było właśnie około 5u godzin jak haszysz działanie swoje rozpoczął.—Jedną z ważnych własności jego jest także, że przedłuża czas, tak iż nim upojeni, kilka minut przepędzonych w *fantazyi* biorą za dni. Cóż musiało się dziać naszemu biedakowi, kiedy kilka godzin znajdował się w tym szczególnym stanie!—Gdy nastąpiła odrętwiałość, zostawał w niej przez cały dzień następny i przez całą noc.—Mówił mu służący jego, że w przeciągu trzydziestogodzinnego snu swego, próbował wstawać, wypił dużą filiżankę czarnej kawy i znów padł, aby snem letargicznym zasnąć, lecz o tem wszystkiem żadnej nie miał świadomości.

Przyjaciel jego, którego widać mniejszej użył dozy, lub też był silniejszym, prędzej przyszedł do sił i przytomności; zawiózł go więc do kąpieli.

„Starałem się (mówi nasz upojony)—wszelkimi siłami zachować choć na zewnątrz jakąś świadomość ale wpadałem mimo woli w marzenie i przechadzałem się po nieznanym mi odległościach; nareszcie gdy w kilka minut, ujrzałem się z wielkim zdziwie-

niem w rękach Syryjczyków. którzy mi rozcierali pulsa, dali mi się napić szklanę sorbetu zaprawionego kwasem, poczem uczułem się dość dobrze. Mimo to *oczarowanie* zupełnie jeszcze nie minęło — przez trzy dni potem miewałem chwile, w których odchodziłem od przytomności i nie wiedziałem co się w koło mnie działo. — Często przechodząc się po ulicach Damaszku, zdawało mi się, że jestem gdzie indziej. Przed tém wydarzeniem mieliśmy zamiar zwiedzić Palmirę — lecz już obojętny byłem na urok tego imienia i romantyczną przejażdżkę; nie miałem już ani odwagi, ani energii i musiałem opuścić Damaszek

„Jednakże mimo niebezpieczeństwa przez jakie przeszedłem, nie żałuję uczynionego doświadczenia, które wtajemniczyło mnie w rozkosze a razem w udęczenia, w cierpienia o jakich nie byłbym miał nigdy pojęcia. Nadto nauczyłem się szanować *majestat* rozumu i woli ludzkiej w najslabszym człowieku i zgłębiać ogromną stratę, na jaką narazić się można, przez podobne nadużycia, a raczej doświadczenia.“

Rodak i przyjaciel naszego amerykanina nie tak długo i mocno cierpiał. — Co do Anglika, któren razem z nimi zażył haszyszu, ten zaraz udał się do swego pokoju i nigdy nie zdał sprawy o wrażeniach jakich doznał. — Być może, że podług zdania doktora a na początku tego artykułu umieszczonego, taki był skutek, iż ponury syn Brytanii żwawiej o konforcie rozprawiał, lub też doza była tak wielką, że jój żołądek nie zniósł i symptomata nastąpiły jak po innej truciznie.

Wszyscy zgadzają się, że użycia haszyszu przez cudzoziemców w chęci czynienia doświadczeń, muszą być w większej dozie, niż go biorą krajowcy. Indjanie zwyczajnie biorą go w małej ilości, która podnieca jak mocna herbata lub kawa: mieszkańcy Wschodu głównie używają go w celu osiągnięcia fantazyi, którą łatwiej im, niż innym otrzymać, choć go

w małej użyją dozie. W ogólności rzadko Europejczycy wpadają w ten stan pożądany przez arabów. Doktorzy po licznych doświadczeniach twierdzą: że na 10ciu Europejczyków biorących haszysz, jeden dozna fantazyi a inni wpadną w odrętwienie, spazmy, katalapsję i t. p. nerwowe cierpienia; poczem następuje zupełne osłabienie które równie jest udziałem i dla tych którzy *fantazyi* doświadczają.

Użycie haszyszu zaczyna coraz bardziej rozpowszechniać się, jako środek lekarski, w chorobach nerwowych, używany pod nazwą łacińską: *Cannabis indica*. Być może, że z czasem i u nas używany będzie, czego wszakże nie mamy sobie co życzyć, bo mimo wszelkich tłumaczeń i usprawiedliwień lekarskich, co do użycia w małej ilości tego narkotyku, nie można życzyć sobie, aby do tylu trucizn mających uzdrawiać coraz węższą naturę ludzką; wszedł jeszcze i ten potężny działacz na wyobraźnię, na mózg; na nerwy, któremi to władzami nie może wstrząsać bez zostawienia na nich smutnych śladów. Lekarze angielscy twierdzą, że użycie opjum w Chinach nie jest gorszem złem jak użycie trunków u nas (w Anglii, bo to pisze doktor Makferson i inni) Jeden z nich Catwell tak kończy swoje dowodzenia: „kończę mówiąc, że brakuje dowodów twierdzących, iż opjum szkodliwszem jest od trunków; dodać przytem mogę, że skutki z użycia opjum mniej są szkodliwe, czy to dla ofiary, czy też dla społeczeństwa, jak skutki z użycia spirytusów.“ Gdybyśmy obok tych zdań lekarzy angielskich, przytoczyli opisy podróżujących po państwie niebieskiem, przedstawiających nam okropne skutki z użycia opjum, prowadzące do zupełnego ogłupienia całych pokoleń, inny wniosek z tego wyprowadzić by można: że pijaństwo w Anglii musi być okropne, kiedy jeszcze gorsze i szkodliwsze następstwa na społeczność wywiera, niż opjum w Chinach. S.

## HETMAN MAZEPA.

Żaden z hetmanów ukraińskich nie cieszył się takim ze strony Moskwy zaufaniem, jakiego używał rozumny i ukształcony starzec, Jan Mazepa <sup>1)</sup>. Piotr W.

<sup>1)</sup> Przypominamy tu, dla wiadomości czytelników, kilka szczegółów z życia Mazepy. O pochodzeniu i miejscu urodzenia Mazepy, sprzeczne po kronikarzach krążą po-

całkiem mu zaufał, nie dawał wiary rozmaitym na niego doniesieniom, i rzeczywiście, podług świadectwa ludzi, najbardziej do hetmana zbliżonych, Mazepa: jedni mieniają go polskim szlachcicem, rodem z Podola, drudzy ukraińcem; inni znów naznaczają za miejsce urodzenia, wieś *Mazepińce*, pod Białą Cerkwią. Pier-



zepa był wiernym cesarzowi. W r. 1705 stał Mazepa obozem pod Zamościem; tu przybywa doń potajemnie z Warszawy Franciszek Wolski, z korzystnymi dla niego przełoženiami od króla polskiego, Stanisława

wszą o młodości Mazepy, wiarogodną znajdujemy wzmiankę w *Pamiętnikach Jana Chryzostoma Paska*, pod rokiem 1662: „Był to kozak nobilitowany, pokojowy królewski. Jednego czasu przyszedłem przed pokój, przed ten ostatni, gdzie król był: zastałem tam Mazepę; nie było tylko kilku dworskich; przyszedłem wtedy dobrze podpiły, i mówię do niego: „*Czołem Panie Assawuło!*” On też zaraz, jako to była sztuka napuszysta, odpowie: „*Czołem Panie Kapral!*” (z téj racyi, że mię to Niemcy wartowali w Grodnie), a ja nie wiele myśląc, wyciąłem go pięścią w gębę, a potem odskoczyłem zaraz, on się porwał za rękojeść, ja też także; dworscy skoczyli i wołają: „*Stój, stój, bo król za drzwiami!*“ Król jednakże nie bardzo ujął się za dworzana swego, owszem nie mniej łaskawie Paska przyjął, a później zawoławszy Mazepę, kazał im się ucałować i przeprosić. — Mógł mieć wtedy Mazepa lat 18; gdy zaś podług świadectwa *Adlerfelda*, dziejopisa wojen Karola XII, Mazepa miał w r. 1709 (w którym umarł) lat 64; prawdopodobnie zatem, mógł się urodzić około r. 1644. Ojciec Mazepy miał imię *Stefan*, gdyż jego samego *Iwanem Stepanowiczem* nazywano; matka *Maryja Magdalena*, była później przełożoną klasztoru żeńskiego w Kijowie; siostra *Aleksandra* była naprzód za *Obidowskim*, następnie za *Janem Wojnarowskim*, sędzią kijowskim.— Po raz pierwszy Mazepa ukazuje się na scenie politycznej w r. 1674: sprawował wtedy poselstwo od hetmana polskiej Ukrainy Doroszenki, do hetmana małoruskiego, Samojłowicza w celu poddania się Moskwie, co jednak do skutku nie przyszło. Tegoż roku dostał się w niewolę moskiewską, ale na prośbę hetmana Samojłowicza, dozwolił mu car Aleksy zamieszkać z żoną i dziećmi w Małej Rusi. (Tam zapewne musiał żonę i dzieci utracić, gdyż żadnej w czasie późniejszym nie ma o nich wzmianki).— W roku 1683 był już Mazepa generalnym Assawułą; hetman Samojłowicz posyłał go roku 1686 do carów Iwana i Piotra do Moskwy, dla narad względem przymierza z Janem III. królem polskim i Leopoldem cesarzem.— Gdy w r. 1687 wojna z Tatarami, pod dowództwem księcia Wasila Golicyna prowadzona, poszła niepomyślnie, całą winę na Samojłowicza złożono: zesłano go na Syberję, a dobra na rzecz wojska kozackiego odstąpiono; Mazepa, za którego poradą miał być Samojłowicz obwiniony, otrzymał buławę hetmańską. Miał wtedy lat około 43. Rządził następnie Ukrainą, skarbiąc sobie coraz bardziej łaskę Piotra. Bawił w Polsce z wojskiem przez dwa lata, jako posiłku-

Leszczyńskiego. Mazepa słucha spokojnie Wolskiego, ale po wysłuchaniu, oddaje go natychmiast pod straż urzędnikowi carskiemu Annenkowowi, każe wziąć na tortury, następnie w kajdanach odsyła do

jący z rozkazu Piotra, Augustowi II. Tu przez jezuitę Załęskiego, a bardziej jeszcze przez Annę z Chodorowskich, księżnę Dolską, wdowę, matkę książąt Janusza i Michała Wiszniewieckich, miały się rozpocząć pierwsze stosunki hetmana z królem Leszczyńskim i Szwedami. W listach do Stanisława (z r. 1708) przyrzekał przyłączenie Małej Rusi i Smoleńska do Polski, sam zaś miał zostać udzielnym księciem na Witepsku i Połocku, na prawach książąt kurlandzkich.— Po bitwie pod Póltawą, Mazepa nie opuścił rannego Karola XII. i z garstką kozaków ułatwił mu na Dnieprze przeprawę. W Benderze upadł na siłach i we dwa miesiące po bitwie póltawskiej życia dokonał. Pochowany w Warnicy pod Benderem.— Imię Mazepy podali potomności: *Adlerfeld* (*Histoire militaire de Charles XII.*), *Voltaire* (*Histoire de Charles XII.*), *Bantysz—Kamieński* i *Markiewicz* (*Historja Małej Rusi* w języku rosyjskim. B. Kamieński korzystał głównie z Archiwum Kollegijum Spraw Zagranicznych w Moskwie; Markiewicza dzieło późniejsze, wyszło w pięciu tomach r. 1842.). *A. Przedziecki* skreślił wyborném piórem życiorys Mazepy, który wraz z jego portretem, fac-simile podpisu i kilku listami oryginalnemi, zamieszczony został w *Athenaeum* Kraszewskiego z r. 1842 (Tom I. str. 25—41.). Wierszem opiewali przygody Mazepy: *Bajron* (polski przekład poematu Bajrona „Mazepa” drukowała Biblioteka Warszawska), *Bohdan Zaleski* (*Dumka o Mazepie*) i *A. Puszkina* (poemat „Póltawa”)— W r. 1834 wyszedł w Warszawie przekład polski przez Korwella romansu historycznego „Mazepa” przez Tadeusza Bułharyna po rosyjsku napisanego. Najświeższe studjum dziejowe o Mazepie napisał Sergiusz Sołowjew, b. professor uniwersytetu moskiewskiego (*Goniec* (Wiestnik) *rossyjski*, 1860 roku N. 15.), z którego też obecnie korzystaliśmy. Towarzystwo historyi i starożytności w Moskwie, w piśmie swoim „*Odczyty*” (*Cztenija*) z r. 1859 zamieściło „źródła do historyi Małej Rusi od r. 1691—1722, przez D. Bantysz-Kamieńskiego zebrane.” Oprócz mnóstwa listów, aktów rządowych, doniesień i t. d. zastanawia szczególnie „*Duma*,” przez samego, jak Koczubej utrzymuje, Mazepę ułożona. W „źródłach do historyi Małej Rusi” następny ma tytuł: „*Duma pana hetmana Mazepy, w której znacznoje proti dierżawy wielikaho hosudara okazujet protivlenije.*” Dajemy tu ową dumę, jako dokument dziejowy:

Kijowa, do wojewody tamtejszego, księcia Dymitra Golicyna, a listy wyprawia do cara. — Ale wierność hetmana narażono na pokusę: w Dubnie, gdzie stał on na leżach zimowych, odbiera długi list od hetmana nakaźnego, pułkownika przyłuckiego, Dymitra Gorlenki, stojącego z pułkiem swoim i kijowskim, pod Grodnem. Hetman woła pisarza Orlika i każe mu list odczytać. Orlik czyta same gorzkie skargi: Gorlenko opisuje po szczególe wszystkie krzywdy, pohańbienia, poniżenia, przykrości, zabranie koni i razy śmiertelne zadane kozakom, od wielkoruskich naczelnych i podwładnych ludzi. „Mnie, hetmana nakaźnego, — (pisze Gorlenko) — z konia zrzucano, z podemnie i z pod innych ze starszyny, konie na podwody pozabierano!“ Tenże sam goniec, co list od Gorlenki przywiózł, podał drugi, od pułkownika Jana Czernysza, także w Grodnie bawiącego; Orlik rozpieczętował i znalazł kopiję z ukazu carskiego, którym

„Wsi pokoju szczyre prahnut',  
A nie w jeden huż tiahnut',  
Toj na prawo, toj na léwo,  
A vse bratia, to to diwo!  
Nie masz lubwi, nie masz zhody  
Ot Żowtoi wziawszy wody;  
Prez niezrodu wsi propali,  
Samy siebie zwojowali.  
Ej bratiszcza! pora znati,  
Szczo nie wsim nam panowati.  
Ne wsim dano wseje znati,  
I reczami kierowati!  
Na korabel pohladymo,  
Mnoho luděj polęczymo:  
Odnak stérnik sam kierujet,  
Weś korabel uprawujet;  
Peczólka biédna matku majet,  
I onoje posłuchajet.  
Żalsia Boże! Ukrainy,  
Szczo nie w kupie majet' syny!  
Jeden żywiet iz pogany,  
Kliczet: „siudy atamany!  
Idem matki ratowati,  
Nie dajmo jej pohibati!“  
Druhij lachom za hrosz służył'  
Po Wkrainie i toj tużył':  
„Maty moja stareńkaja!  
Czom ty welmi słabeńkaja?  
Rozno tebe rozszarpali,  
Gdy aż po Dniepr Turkam dali,  
Wse to fortel szczo słabiéla,  
I aż w koniec sił nie miéla!“  
Tretij Moskwie już hołdujjet,  
I jej wiernie usługujet;  
Toj na matku narekajet,  
I nie dołho proklinajet:

niby kazano było, ażeby pułki kijowski i przyłuck szły do Pruss dla nauki i przeformowania na regularne pułki dragońskie. Wysłuchawszy listy, Mazepa się odezwał: „Czegóż więc dobrego spodziewać się na przyszłość mamy, za nasze wierne służby, i któryby miał być takim jak ja, głupim, ażeby się dotąd ku przeciwniej stronie nie skłonił, na takie warunki, jakie do mnie Stanisław Leszczyński nadesłał?“ — Nie długo potém, przybył do Dubna, do Mazepy, sam Gorlenko, oznajmiając, że udał chorego ze strachu, ażeby go z pułkami do Pruss nie posłano i na dragonów nie przerobiono: „Oburzyłbym przez to na siebie całe wojsko, — prawił Gorenko — wszyscyby mówić poczęli, że odemnie dopiero dragoństwo u nas początek wzięło; otóż ja udałem chorego i wyrobiłem dla siebie u generała Rennna, urlop niby do domu, darowawszy mu za to dobre konie, a w dodatku 300 *efimków*.“

„Lépsze buło nie roditi,  
Neżli w takich biédach żyti!  
Ot wsich storon worohujut',  
Ogniem, mieczem ruinujut',  
Ot wsich nie masz zyczliwosti,  
Ani słusznoj ucziwosti:  
Mużykami nazywajut',  
A poddaństwow doriékajut'.  
Czom ty bratow nie uczyła,  
Czom ot siebie ich pustila?  
Lépsze buło próbówati,  
W kupie lichu otbuwati!  
Ja sam biédnyj nie zdolaju,  
Chyba tylko zawołaju:  
Ej, panowie jenerali,  
Czomuż jeste tak ospali?  
I wy, państwo półkowniki,  
Bez żadnoi polityki,  
Ozmiétesia wsi za ruki,  
Nie dopustiét' horkoi muki  
Matcé swojej bolsz terpiéti!  
Nute wrahow, nute byti!  
Samopały nabuwajte,  
Ostrych szabel dobuwajte,  
A za wiéru choc umréte,  
I wolnostéj boroniéte!  
Niechaj wieczna budet sława,  
Że prez szabli majem prawa!“

„Duma” ta, zdaniem naszym, powiada J. Sz. (w Bibliotece do czytania, z 1860 r.) posłużyć może za najlepsze objaśnienie postępowania hetmana małoruskiego, oraz powodów, jakie tém postępowaniem kierowały.

W zbiorach po ś. p. Swidzińskim, mnóstwo źródeł tyjących się Mazepy, ma się znajdować. Kiedyś więc ta postać jeszcze wyraźniej w historyi da się odmalować.

W tym czasie, gdy hetman niepokojony był opowiadaniem i skargami Gorlenki, krakowski wojewoda, książę Wiszniewiecki zapraszał go do Białej Krynicy, na ojca chrzestnego swojej córki; matką chrzestną miała być matka księcia, księżna Dolska. Mazepa ucztował przez dni kilka na chrzcinach, a za powrotem do Dubna, kazał Orlikowi napisać list dziękujący do księżnej Dolskiej, a zarazem i klucz cyfrowy do przyszłej korespondencji. Odpowiedź nadeszła bez zwłoki; w dni kilka przynoszą od księżnej pismo w cyfrach: „jużem posłała gdzie wypadło, z zawiadomieniem o szczerzej przyjaźni waszej“ — pisała księżna. W r. 1706 będąc w Mińsku, Mazepa odebrał od Dolskiej drugie pismo w cyfrach, z zawiadomieniem, że pewny król pisze do niego. Kiedy Orlik list przeczytał, Mazepa się zasmucił i powiedział: „Co za głupia baba! chce przezemnie carską mość uwieść, ażeby opuściwszy króla Augusta, przyjął pod swoją protekcję Stanisława i dopomógł mu do ustalenia się na polskim tronie, a za to przyrzeka król posiłkować carowi w wojnie szwedzkiej; jużem o tém jęj bzdurstwie mówił carowi, i jego carska mość naśmiał się dosyć.“ Ale udawać długo przed Orlikiem było nie podobna; do Kijowa przyszedł trzeci list od Dolskiej: księżna pisała wprost, ażeby Mazepa zaczynał ułożoną sprawę i miał nadzieję na pomoc od całego wojska szwedzkiego; niechby także był zapewniony, że wszystkie życzenia jego spełnione będą, do czego poręczenia od królów szwedzkiego i polskiego przysłane mu zostaną. Kiedy Orlik przeczytał list, Mazepa powstał z łóżka z wielkim gniewem i wrzeszczeć począł: Przekłęta baba, zwaryowała! przed tém prosiła mię, ażeby carska mość przyjął Stanisława pod swoją opiekę, a teraz co innego pisze, bies ją chyba opętał; chce mnie szczwanego lisa (w oryginale: *wprawnego ptaka*) wywieść w pole; zgubiłaby mnie całkiem baba, gdybym jęj miał usłuchać; czyż to podobna do prawdy, ażeby porzuciwszy żyjące, szukać tego, co już umarło, a odpłynawszy od jednego brzegu, nie przybić do drugiego. Stanisław i sam nie ma nadziei w Polsce królować; rzeczpospolita podzieloną jest na dwoje, jakież tedy nierozsądnych uwodzeń téj kobiety ma być zasada? Zestarzałem się, służąc wiernie carskiej mości, i ojcu jego i bratu; nie uwiedli mię ani król polski Jan, ani chan krymski, ani kozacy dońscy, a teraz, na schyłku wieku mego, kobieta chce mię oszukać! Mazepa spalił list Dolskiej i kazał Orlikowi taką napisać odpowiedź: „Proszę waszą książęcą mość zostawić tę korespondencyę, która zgubić mnie może

na życiu, honorze i substancyi; nie miej nadziei, ani myśl o tém, żebym ja na starość, wierność moją ku carskiej mości szwankował.“ Dolska rzeczywiście zaprzestała pisanie na cały rok.

Ale w r. 1706 zdarzyło się kilka wypadków, które dawną, pomiędzy kumem a kumą, wznowiły korespondencyę. Car Piotr przybył do Kijowa. Hetman, na cześć jego, sutą wyprawił ucztę; faworyt carski, Menszyków, któremu wino, język rozplątało, wzięwszy, po ukończeniu biesiady, za rękę hetmana, posadził na ławie obok siebie, a nachylając się ku niemu, powiedział mu do ucha, ale tak głośno, że obok stojąca starszyzna wszystko słyszeć mogła: „Hetmanie Stepanowiczu! pora już teraz brać się do tych wrogów!“ Starszyzna i pułkownicy postrzegłszy, że ulubieniec carski chce prowadzić z hetmanem tajemną rozmowę, zabierali się już byli do odejścia, kiedy Mazepa dał im znak ręką, ażeby pozostali, i odrzekł Menszykowowi, także do ucha, ale głośno ażeby wszyscy słyszeli: „Nie pora!“ — Menszyków na to: „Lepszej pory nie trzeba, kiedy tu sam jego carska mość z główną armiją swoją.“ — Niebezpieczna rzecz, nie ukończywszy jednej wojny z nieprzyjacielem, rozpoczynać drugą domową. — „Czyż wrogów tych lękać się mamy i oszczędzać, — ciągnął dalej hałaśliwy Menszyków: jakież z nich jego carska mość ma korzyść? Tyś wierny stale monarsze, aleś powinien wierności téj dowody okazać jawnie i pamięć chlubną po sobie, na wieczne czasy zostawić, ażeby i następni monarchowie wiedzieli, i imię twoje błogosławili, że oto był taki wierny hetman Iwan Stepanowicz Mazepa, który taką rzecz dobrą państwu uczynił.“ W tym czasie powstał Piotr z miejsca swego i przerwał rozmowę. Odprowadziwszy cara, Mazepa zaprowadził starszyznę i pułkowników do dalszego pokoju i zapytał: „Czyście słyszeli wszystko? Otóż zawsze taką mi śpiewają piosnkę, i na Moskwie, i na każdym miejscu; nie dopuść im tylko, Panie! spełnić to, co zamyślają.“ Między pułkownikami silne powstało szemranie.

Dotąd hetman osobiście zagabnięty nie był; ale oto znów się pojawia też sama kusicielka, księżna Dolska; nadchodzi list ze Lwowa, cyframi pisany; księżna opisuje, jak była u kogoś tam chrzestną matką razem z feldmarszałkiem Borysem Szeremietiewym; siedziała u stołu pomiędzy nim a generałem Rennem, a rozmawiając z tym ostatnim, wspomniała przypadkowo imię Mazepy z pochwałą. Renn na te jęj wyrazy, również przychylnie o Mazepie się odezwał, dodając: „Zlituj się Boże! nad tym dobrym i

rozumnym panem! On biedny nie wie, że książę Aleksander Daniłowicz Menszyków, dołki pod nim kopie, i chce, uwolniwszy go, sam zostać hetmanem na Ukrainie.” Szeremetiew miał niby potwierdzić słowa Renna; Dolska zapytała: „Czemuż to nikt z dobrych przyjaciół, nie uprzedzi hetmana?” — To nie podobna, odrzekł Szeremetiew; — wiele rzeczy i sami znosić musimy cierpliwie, ale cóż robić? trzeba milczeć.— Kiedy Orlik odczytał pismo cyfrowe, Mazepa rzekł: „Wiem ja i bez tego bardzo dobrze, co o was i o mnie oni myślą: chcą mnie ukontentować tytułem księcia Rzymskiego, a hetmaństwo odebrać, starszyznę wszystkę powybierać, miasta pod swoją władzę zagarniać, i wojewodów albo gubernatorów w nich poosadzać, a jakby się temu sprzeciwiano, to za Wołgę przepędzić, a swemi ludźmi Ukrainę osiedlić. Samiście słyszeli, jak Menszyków do ucha mnie mówił: pora teraz wiaść się do tych wrogów! Słyszeliście to, jak tenże Aleksander Daniłowicz upraszał dla siebie o księstwo czernihowskie, a przez nie ściele sobie drogę do hetmaństwa.“ Połączywszy tym sposobem sprawę własną z dobrem ogółu, przerzuciwszy bojaźń swą na całą starszyznę, Mazepa rozgadał się o własnych krzywdach. „Oto, mówił: car posłał Menszykowa z konnicą na Wołyn, a mnie wślad za nim iść kazał i spełniać jego książęcej mości polecenia. Nie tyle miałbym jeszcze krzywdy, gdyby mię pod dowództwo Szeremetiewa, albo innego znamienitego i od przodków zasłużonego człowieka oddano, ale pod komendę Menszykowa! Tenże Aleksander Daniłowicz umówił się ze mną o wydanie siostry swojej za siostrzeńca mego, Wojnarowskiego: czekałem na to lat kilka, nie swatałem panny dla siostrzeńca, a kiedym wreszcie przypomniał Menszykowowi o umowie, odrzekł mi, że teraz już niepodobna, dla tego że jego carska mość sam z jego siostrą ożenić się ma zamiar.“ O ile to wszystko prawdą było? o ile car sam brał udział w planach swego, chciwego władzy i honorów ulubieńca, i o ile życzeniom jego uleż był zdolnym? Pytań tych nie zadał sobie ani Mazepa, ani Orlik; żaden też z nich nie zapytał: „I cóż, alboż Menszyków otrzymał był księstwo czernihowskie? alboż się car ożenił z jego siostrą?” — „Uchowaj mnie, Boże! od ich panowania!“ tak skargi swoje zakończył Mazepa, polecivszy Orlikowi napisanie odpowiedzi do księżnej Dolskiej, z podziękowaniem za życzliwość i ostrzeżenie.

A tym czasem dla Ukrainy ciężkie nadeszły czasy: straszliwy nieprzyjaciel był blisko; wszczął się

silny ruch: szły oddziały rekrutów, snuli się ludzie naczelnicy, ciągnęły rzędem długim furgony, w Kijowie śpieszono się z ufortyfikowaniem. Pułkownicy wpadali nieustannie do hetmana ze skargami, że komisarze przy budowie fortyfikacyj, kozaków kijami wałą po głowie, uszy szpadami obcinają; że kozacy porzuciwszy domy swoje, sianożęcie i żniwo, znoszą na służbie carskiej skwar i wszelkie niedostatki, a tym czasem ludzie wielkorusczy, łupią ich domy, rozbierają i palą: żony i córki znieważają, konie, bydło i wszelki dobytek zabierają, starszyznę śmiertelnymi okładają razami. Mocniej od innych rozlegały się głosy pułkowników mirgrodzkiego Apostoła i przyłuckiego Gorlenki: „Oczy wszystkich ku tobie się zwracają,— odezwał się do Mazepy pułkownik mirgrodzki,— nie dopuść, Panie Boże! na ciebie śmierci: wtedy w takiej zostaniemy niewoli, że nas kury nawet zagrzebią.“ Silniej jeszcze przyłucki przemawiał: „My i dzieci nasze przeklinać na wieczne czasy duszę twoją i kości będziemy, jeśli nas po zgonie swoim, w takiej zostawisz niewoli.“

W roku 1707 car zebrał radę wojenną w Żółkwi; hetman wojska zaporozkiego obecnym był na radzie i wrócił posepniejszym od chmury: do cara na obiad nie pojechał, w domu dzień cały nic nie jadł; co takiego tam było na radzie, nikt o tém nie wiedział; Mazepa nikomu nic nie mówił; powiedział tylko: „Gdybym Panu Bogu tak wiernie i gorliwie służył, największąbym otrzymał nagrodę, a tu choćbym się w anioła przemienił, nie mógłbym, za służbę i wierność moją żadnej odebrać wdzięczności.“ Drugiego czy też trzeciego dnia, przyniesiono Mazepie pismo: był to rozkaz od Menszykowa do pułkownika kompaniejskiego, ażeby z pułkiem swoim szedł do niego. Mazepa zerwał się z miejsca jak szalony i zawołał: „Czyż może być większe pohańbienie, szyderstwo i poniżenie dla mnie! Codzień książę Menszyków widuje się ze mną, każdego czasu ze mną rozmawia, a teraz nie powiedziawszy mnie o tém uprzednio ani słowa, bez wiedzy mojej i zezwolenia, wydaje rozkazy ludziom, mnie podwładnym! I któżby tam Tańskiemu, bez mego rozkazu, wydać mógł pensyę miesięczną i prowijant? I czyżby mógł on, bez woli mojej, iść gdziekolwiek z pułkiem, któremu ja żołd płacę? A gdyby poszedł, kazałbym go jak psa rozstrzelać. Mój Boże! Ty widzisz krzywdę moją i poniżenie!“ W tym czasie, jakby na umyślnie, zjawia się ksiądz jezuita Załęski z propozycją przejścia na stronę niezwalzonego króla szwedzkiego; Mazepa rozpoczyna z nim tajemne narady; wybiegły, szczwa-

ny lis, hetman nie jest z Moskwy zadowolony, ale się Piotra lęka; boi się też jednocześnie i Karola, nie spodziewa się, ażeby Piotr jemu podolał, i chce się przemknąć, nieopalony, pomiędzy dwóch ogni.

A tym czasem coraz bardziej szemranie pułkowników się wzmagalo. Wróciwszy do Kijowa, Mazepa otrzymał ukaz carski o urządzeniu kozaków w *piątki*, na wzór pułków slobodzkich; było to już jakby stopniem do przerobienia kozaków na dragonów i żołnierzy; powstał silny szmer, niezadowoleni zgromadzali się u oboźnego łomikowskiego, głównie zaś u pułkownika mirgrodzkiego, naradzając się, jakby nieszczęściu zapobiedz, a swobody swoje obronić. Mazepa nie brał w tych naradach żadnego udziału. Dnia 16 września, późno wieczorem przyniesiono mu list od księżny Dolskiej, oraz list od króla polskiego Stanisława Leszczyńskiego. Po przeczytaniu listu, Mazepa ze strachu, upuścił go z rąk i zawołał: „Przeklęta baba! zgubi mnie!” Długo siedział potem milczący, w głębokim rozmyślaniu, następnie do Orlika przemówił: „Łamię głowę nad tém, czy mam ten list do cara posyłać, czy nie? o tém się jutro naradzimy, a teraz idź do swego mieszkania i módl się do Pana Boga, ażeby tę sprawę, podług woli swojej urządził: być może, iż twoja modlitwa przyjemniejszą Bogu będzie, niż moja, bo żyjesz po chrześcijańsku. Bóg widzi, że nie dla siebie to robię, ale dla was wszystkich, dla żon i dzieci waszych!” Mazepa i Orlik mieszkali w monasterze Pieczerskim. Orlik wróciwszy do swego mieszkania, wyjął dwa ruble i wyszedł dla rozdania pieniędzy starcom, żebrakom i kalekom, którzy w szałasach leżeli na ulicy, i w szpitalach pieczerskich mieszkali: pisarz miał nadzieję, że przez ten dobry uczynek przebłaga Boga, ażeby uratował go od okropnego nieszczęścia, i serce Mazepy od przedsięwzięcia djabelskiego odwrócił. Drugiego dnia rankiem, Orlik przyszedł do Mazepy: zastał go siedzącego przy końcu stołu, a przed nim stał krucyfiks z częstką krzyża świętego; postrzegłszy Orlika, hetman tak zaczął: „Gdy sprawa moja wczoraj przez list od Leszczyńskiego, przed tobą się wykryła, tedy w obliczu Wszechmogącego Boga wyznaję i przysięgam, że ja nie dla prywaty mojej, nie dla honorów wyższych, nie dla większego zubożenia się, ani też dla innych jakich bądź zachceń; ale dla was wszystkich, dla żon i dzieci waszych, dla dobra powszechnego matki mojej ojczyzny, biednej Ukrainy, całego wojska zaporozkiego i ludu małoruskiego, dla podwyższenia i rozszerzenia praw i swobód wojskowych, chcę przy pomocy Boskiej,

tak zrobić, ażebyście ani od moskiewskiej, ani od szwedzkiej strony nie zginęli. A gdybym ja dla jakich bądź prywatnych zachceń moich, zrobić to się odważył, skarz mnie Panie Boże, przez niewinne Chrystusa męki, na duszy i na ciele!” To powiedziawszy, Mazepa ucałował krucyfiks, a następnie znów się do Orlika zwrócił: „Ufam mocno, że ani sumienie twoje, ani cnota, ani wrodzona krew szlachecka nie dopuszczą cię zdradzić mnie, pana twojego i dobrodzieja, jednakże dla lepszej konfidencyi, przysięgnij.” Orlik wykonał przysięgę, ale wstrzymać się nie mógł, ażeby nie powiedzieć: „Jeżeli *victoria* przy Szwedach pozostanie, wtedy wielmożność wasza i my wszyscy szczęśliwi będziemy, ale jeśli przy carze, to i sami zginemy i naród zgubiemy.” — „Jaja nie są mędrsze od kury,” odrzekł Mazepa: „albożem głupi, ażeby przed czasem, bez potrzeby koniecznej, miał się odłączyć? Wtenczas do Szweda przystaniemy, kiedy zobacze, że carskie wojsko nie tylko Ukrainy, ale i swego państwa od szwedzkiej potencji bronić nie będzie w stanie. Mówiłem w Żółkwi carowi: jeżeli król szwedzki i Stanisław z wojskami swemi się rozdziela, i pierwszy z nich do państwa moskiewskiego pójdzie, a drugi na Ukrainę, wtedy nie będziem w stanie bronienia się z naszym słabym wojskiem, tylą wyprawami zmęczonym; prosiłem cara, ażeby nam chociażby z 10 tysięcy swego regularnego wojska zostawił; i cóż mi na to odpowiedział? „Nie tylko 10ciu tysięcy, ale i 10ciu ludzi dać nie mogę; brońcie się sami jak możecie!” To mię więc zmusiło wyprawić księdza trynitarza, kapelana księżnej Dolskiej, do Saksonii, ażeby tam widząc niejaką moją ku sobie *inclinacyę* (przychylność), nie obchodzili się z nami po nieprzyjacielsku. Jednakże wierność moję ku carskiej mości przedłużać będę aż do czasu, nim zobacze, z jaką *potencyą* (siłą) Stanisław do granic ukraińskich przyjdzie, i jakie będą *progressy* (powodzenia) wojsk szwedzkich w państwie moskiewskim, a jeżeli bronić Ukrainy i samych siebie nie będziem w stanie, pocóż wtedy sami do zguby lecieć mamy, ażeby zgubić ojczyznę.”

Zgodnie z tym planem działań, Mazepa dał odpowiedź królowi Stanisławowi dnia 18 września, że spełnić rozkazu jego, ani też żadnych spraw rozpocząć, dla następnych powodów nie może: 1) Kijów i inne fortece na Ukrainie obsadzone są mocnymi załogami, pod którymi kozacy, jak przepiórki pod jastrzębiami, głów swych podnieść nie mogą. 2) Wszystkie siły już są w Polsce, niedaleko Ukrainy skoncentrowane. 3) Na Ukrainie, naczelnicy i podwła-

dni ludzie, duchowni i świeccy, podobnie jak koła rozmaite, zgody nie mają jednomyślniej: jednym dobrze jest pod opieką moskiewską, inni skłonni są do protekcji tureckiej, trzecim się podoba, podług wrodzonej do Polaków antypatii, pobratymstwo tatarskie. 4) Samuś<sup>2)</sup> z resztą pułkowników, lękając się z powodu świeżych buntów, zemsty od wojsk polskich, wątpię, ażeby się do Rzeczypospolitej skłonił, dla tego więc trzeba naprzód dokładać starania, ażeby wojsko i lud wszystek po obu stronach Dniepru do jednej myśli przyprowadzić. 5) On t. j. Mazepa, ma przy sobie stale kilka tysięcy wojska regularnego wielkoruskiego, które na wszystkie jego sprawy bystrzym patrzy okiem. 6) Rzeczpospolita polska jest rozdwojoną. — Mazepa przyrzekł tylko, nie szkodzić w niczem interesom króla Stanisława i wojska szwedzkiego.

Myśl, że stosunki jego z nieprzyjacielem, skutkiem nieostrożności Stanisława, stały się wiadome chociaż jednemu człowiekowi na Ukrainie, niepokoila Mazepę; na przysiędze jego nie polegał zupełnie, i dla tego próbował jeszcze działać nań pogrózkami: „Pamiętaj Orliku, mówił do pisarza generalnego, „dotrzymaj mnie wierności; wiesz, w jakich ja u cara łaskach zostaję, nie pomieniają mię tam na ciebie; jam bogaty, a tyś biedak: Moskwa grosze lubi; mnie nie się nie stanie, a ty zginiesz!” Pogróżka podziałała na Orlika; z drugiej strony związany on był przysięgą, daną Mazepie: ciągle mu też stał na myśli nieboszczyk Mokryjewicz, który będąc podobnie jak Orlik, pisarzem generalnym, obwiniał hetmana Demjana Mnohogrzesznego o zdradę, a jakie za to

<sup>2)</sup> *Samuś* z ramienia Jana III naznaczony był na hetmana kozackiego po Mikule; w r. 1689 mieszkał w Winnicy, i z bandą zaporozców, napadał na kraj tatarski, oswabdzając więźniów chrześcijańskich, a tatarskich w darze królowi polskiemu i carowi moskiewskiemu posyłał, wielkie nagrody od nich biorąc. Później obrócił oręż na Polskę, dobrawszy sobie towarzysza Paleja w roku 1703 zajął Bogusław, Korsuń, Niemirów i Berdyczów, wyrzynając wszędzie szlachtę i żydów. Napróżno skarżył się nań August II. carowi Piotrowi I, sprzymierzeńcowi swemu. Samuś i Palej niesłuchali nikogo. Ale w tymże 1703 roku, Mazepa oskarżył Paleja przed carem, schwytał go podstępem w Berdyczowie i odesłał na Syberję, a Samuś poddał się i został pułkownikiem bogusławskim. — Pod dowództwem Mazepy, wszedł Samuś do Polski, na pomoc Augustowi II. i hajdamackim zwyczajem kraj cały rabował. (A. Przezdziecki w *Athenaeum*, 1842 I, 27.).

otrzymał honory? Hetman Samojłowicz pozbawił go posady pisarza, wygnano go z Ukrainy, i wszędzie, przez cały przeciąg życia czynili mu wyrzuty i zawstydzienia tak świeccy jak też i duchowni ludzie, a najwięcej z nich arcybiskup czernihowski, Łazarz Baranowicz, który wszędzie, gdzie tylko Mokryjewicza napotkał, czy to w cerkwi, czy w gościnie, prosto mu w oczy, a na głos dla wszystkich, nazywał Judaszem, zdrajcą pana swego, rodzajem jaszczurczym, a gdy mu dawał po nabożeństwie antidor, zwykle mawiał: „i Chrystus Judaszowi chleb dał, a po ehlebie wszedł weń szatan.” Wreszcie Orlikowi i to do głowy przychodziło, że podług kodeksu wielkoruskiego, dla donosiciela — pierwszy knut. W tym czasie, gdy się tak wahał, roztrzygniętą została sprawa Koczubeja, i Mazepa otrzymał w carskim liście do niego pisanym, a następnie w publicznych hramotach, łaskawe zapewnienie, iż żadnym na wierność hetmana potwarzom, nie będzie wiary dano, a każdy potwarca, należne otrzyma ukaranie. Zapewnienie to carskie, odwróciło Orlika stanowczo od myśli o doniesieniu.

Mazepa zbawienie swe w chytrłości, tajemnicy i oczekiwaniu pokładał; ale starszyzna spokoju mu nie dawała, pobudzając nieustannie do działań bardziej stanowczych. W Białej Cerkwi przyszli do niego oboźny łomikowski, pułkownicy mirgrodzki, przyłucki i łubieński, nalegając, ażeby radził o swoim i powszechnym bezpieczeństwie, i przyrzekali stać za niego aż do krwi przelania, za prawa swoje i swobody, na co też i przysięgę wykonali; Mazepa przysięgł im tak samo i w tych słowach, jak Orlikowi w monasterze Pieczerskim. Otóż dla czego, kiedy car domagał się kilkakrotnie, ażeby hetman, podejrzanemu pułkownikowi mirgrodzkiego aresztował, Mazepa, broniąc go wszelkimi siłami, rozkazu nie spełniał. Ciągle miał nadzieję, że burza przejdzie, że Ukraina wolną od działań wojennych zostanie, a hetman nie będzie miał potrzeby odważać się na krok straszliwy pierwój, nim się powodzenie na tej lub owej okazy stronie; ale oto wiadomość przychodzi, że Karol XII od Smoleńska zwrócił się na Ukrainę: „Djabęł go chyba tu niesie!” rzekł na to Mazepa, — „wszystkie interesa moje przewróci, wojsko moskiewskie wprowadzi w ślad za sobą wewnątrz Ukrainy, na ostatnią jej ruinę i na zgubę naszą.” Oczekiwania się spełniły: nadchodzi ukaz carski, ażeby hetman szedł z wojskiem dla połączenia się z generałem Inflan-tem, wysłanym dla spalania miast nieobronnych, wsi, stodół i młynów w pułku Starodubowskim. Ale

Mazepa, podejrzliwy zawsze, a dziś do strasznej poczuwając się sprawy, zrozumiał ukaz inaczej: pomyślał, że chcą go zwabić do Inflanta, ażeby do rąk wziąć tém łaćniej. Kazał więc pułkownikom mirgrodzkiemu, przyłuckiemu i łubieńskiemu zebrać się u oboźnego łomikowskiego, i posłał do nich Orlika z zapytaniem: jak myślą oni, czy ma iść hetman dla połączenia się z Infantem? Wszyscy odpowiedzieli, że iść nie powinien, a niech posyła natychmiast do króla szwedzkiego z prośbą o protekcyą i niech połączyć się z nim na granicy usiłuje, ażeby wojsk wieloruskich do Ukrainy nie wpuścić; przytém upraszali hetmana o zawiadomienie, czego od szwedzkiej protekcyi spodziewać się mają, i na jakich fundamentach całą tę machinę założył? Mazepa rozgniewał się na te ich żądania, i za pierwszym się z nimi widzeniem, powiedział do nich: „Po co wam o tém wiedzieć przed czasem? Zaufajcie sumieniu memu i podłemu rozumowi; nie lękajcie się: nie sprowadzi on was z dobrej drogi; jeden ja, z łaski Bożej, więcej mam rozumu, jak wy wszyscy; u ciebie łomikowski, już się rozum zestarzał, a u ciebie Orliku, zbyt młody jeszcze; a do króla szwedzkiego wiem ja dobrze i bez was, kiedy mam posyłać.” Następnie wyjął z szkatułki uniwersał króla Stanisława, przez Załęskiego przyniesiony, i kazał go odczytać Orlikowi; wszyscy zadowoleni z obietnic królewskich zostali.

Położenie hetmana, skutkiem jego oczekiwań, coraz się bardziej trudniejszym stawało. Z Głuchowa, gdzie się dwór znajdował, nadchodziły do niego, jeden po drugim, listy, ażeby zdał komendę nad wojskiem jakiemu zaufanemu człowiekowi, a sam najspieszniej do Głuchowa przybywał; ale Mazepa, wezwania te za samołówkę uważał, tém bardziej, że z Polski wiadomość nadeszła, iż tam wszystkim już o stosunkach jego z królem Stanisławem wiadomo. Mazepa więc, ażeby do Głuchowa nie jechać, udał chorego.

Pewnego razu nad wieczorem, w jesieni 1708 roku, posłał Orlika do łomikowskiego, u którego się pułkownicy zbrali, z zapytaniem: czy ma do króla szwedzkiego posyłać, czy nie? Łomikowski, w imieniu wszystkich odpowiedział skargami na powolność i niedbalstwo hetmana: „Nie bacząc na ciągłe przekładania nasze i prośby,— mówił oboźny,— nie udał się do króla na granicy i przez tę opieszałość swoją, wszystkie siły wielkoruskie wprowadził do Ukrainy, dla spustoszenia i rozlania krwi całego ludu; a teraz, kiedy Szwedzi tuż są na karku,— zwleka, nie

wiedzieć dla czego.” Samolubny Mazepa, który siebie za rozumniejszego od wszystkich uważał, mocno się na to rozgniewał: „Wiem ja,— rzekł do wracającego Orlika,— że to wszystko ten łysy czart łomikowski rozgaduje; zawołaj ich tu do mnie!” Starszyzna nadeszła. „A y nie radzicie nic,— spotkał ich temi słowy Mazepa,— a tylko o mnie przegadujecie; niechby was czart porwał! Ja, zabrawszy z sobą Orlika, pojedę do jego carskiej mości, a wy gińcie tutaj!” Starszyzna milczała, Mazepa uspokoił się nieco, potem zapytał: Czy mam do króla posyłać, czy nie? — A jakżeż nie posyłać! — odezwali się wszyscy: zwlekać nie ma po co! — Mazepa natychmiast zawołał; kazał Bystrzyckiego; gdy ten się zjawił, wezwał go do wykonania przysięgi na zachowanie tajemnicy; Orlikowi kazał napisać dlań instrukcyę do hrabiego Pipera po łacinie; aptekarz hetmański przetłumaczył ją na język niemiecki, i z tym przekładem, bez podpisu, bez pieczęci, Bystrzycki udał się nazajutrz do obozu szwedzkiego.

W instrukcyi téj Mazepa oświadczał wielką radość z przybycia jego królewskiej mości na Ukrainę, błagał o protekcyę dla siebie, o uwolnienie wojska zaporożkiego i całego narodu od ciężkiego jarzma moskiewskiego, objaśniał położenie swoje, prosząc o niezwłoczne przysłanie wojska na pomoc, dla którego przeprawy, przygotować promy na Deśnie, w przystani Makoszyńskiej, przyrzekał. Bystrzycki wrócił z ustną odpowiedzią, że król sam obiecał podążyć do téj przystani w przyszły piątek, t. j. dnia 22 października. Mazepa w niespokojnym oczekiwaniu, stał w Borznie, z kąd kancellistę wojskowego Bołbota posłał do Głuchowa, niby z listami, a w rzeczy samej dla dowiedzenia się, jak też tam o nim trzymają? Kiedy Bołbot wrócił, Mazepa oznajmił wszystkiój starszyźnie, że jeden z ministrów carskich, a drugi z kancelaryi, życzliwi jego przyjaciele, ostrzegali go, ażeby do dworu nie jeździł, a pomyślałby o bezpieczeństwie własném i całego narodu ukraińskiego, gdyż car, widząc wahanie się na Ukrainie, zamierzył o hetmanie i o całym narodzie coś niedobrego. Ale był to fałsz: w późniejszym bowiem czasie, w Bukareszcie, Bołbot, przed wstąpieniem do zakonu, oświadczył Orlikowi, że nic podobnego, w Głuchowie będąc, nie słyszał; owszem, księżę Dołhoruki powiadzieć kazał Mazepie, ażeby się niczego nie lękał przybywał najspieszniej do Głuchowa, dając i duszę i sumienie swoje w zakład, że car najmniejszego o wierności jego nie ma zwątpienia, i żadnych na niego doniesień nie słucho.

Minał dzień 22 października: o królu szwedzkim żadnej wieści nie było. Dnia 23 przybywa do Borzny Wojnarowski, oznajmiając, że potajemnie opuścił Menszykowa, który nazajutrz stanie w Borznie na obiad, i że niejaki oficer niemiecki mówił do innego, w mieszkaniu Wojnarowskiego: „Zlituj się Boże! nad temi ludźmi: jutro będą w kajdanach!” Mazepa „zerwał się jak wicher;” tegoż dnia późnym wieczorem był już w Baturynie; drugiego dnia rano przeprawił się przez Sejm, nad wieczorem przybył do Koropu, gdzie przenocowawszy, nazajutrz, dnia 24 października bardzo rano przeprawił się przez Desnę, a w nocy, po za Orłówką, dopadł pierwszego pułku szwedzkiego, stojącego na leżach we wsi. Ztąd wyprawił do króla Łomikowskiego i Orlika, a w ślad za nimi sam się udał.

Widzieliśmy, jak niechętnie Mazepa odważył się

stanać po stronie Szwedów, pierwój, nimby stanowcza przewaga ich oręża nastąpiła. Kiedy się dowiedział o zdobyciu i spaleniu przez Menszykowa Baturyna, zawołał: „Złe i nieszczęśliwe początki nasze! Wiem, że Bóg zamiaru mego nie błogosławi; teraz wszystkie sprawy pójdą inaczej, i Ukraina z powodu Baturyna przestraszona, będzie się bała stanąć z nami w jednymże celu.“

Ziściły się przewidywania „bywalca, szczwanego lisa,” jak siebie nazywał Mazepa: Ukraina, już nie z przyczyny Baturyna, ale może myślą o związku z Polakami i Szwedami przestraszona, nie stanęła z Mazepą razem, i pod Póltawą Karol XII przegrał, a Szwecya utraciła pierwszorzędnę na północy znaczenie. Mazepa również hetmaństwa kozackiego pozbawiony został.

J. S.

## KAMIEŃ PROBIERCZY

(z widokiem *Rozbicia Okrętu na stali*).

Patrząc na piękną twarz młodej szesnastoletniej Julii, na białość i różowe na wyższych policzkach jakby pędzlem zarysowane rumieńce, na usta korallowe, wprawdzie zbyt czasem ciemno szkarłatne; niktby nie powiedział, że dla tego poczynającego życie kwiątka, ostatnia minęła wiosna, że drugiej spodziewać się trudno. Jak mniej więcej wszyscy suchotami zagrożeni, tak Julja nie przewidywała blizkiego dla siebie końca; a co gorzej że matka jej pełna była nadziei pomimo widocznych gorszych oznak.

Od dwóch lat jak porzuciła kraj, żeby odmiana klimatu skutecznie wpłynęła na rozwijające się w 14tej wiosnie suchoty. — Doktorzy, coraz to inne miejsca, jako zbawienne, wskazywali młodej chorój. — Najpierw wyjechały do Wenecyi, ale tam krótko zabawiwszy, udały się do południowych Włoch. — Tam klimat służył jak się zdawało; nie służyli lekarze, jak się pewnie także *zdawało*. Udały się więc z wiarą do Paryża, gdzie najslawniejsi, najwięcej używani lekarze, kazali zimę w południowej przepędzić Francyi, zkąd, podług umowy, nadal listownie miała się odbywać kuracja. — Gdy po spędzonej

zimie w Marsylii i po wodach w lecie, zdano dokładny raport Eskulapom Paryzkim, ci zdecydowali, że klimat za ostrym jeszcze był, nie stósownym i kazali następną zimę w Algierze przepędzić. Taki wyrok zatrwożył biedną matkę; pierwszy raz zaczęła wątpić o sztuce lekarskiej, a nadto podróż do Algieru zdawała się jej awanturniczą, nazbyt trudną do wykonania. Jednakże napisała do męża, bogatego właściciela żyznych Podola okolic, ażeby jak najspieszniej przybył do nich. — „Bez ciebie niepodobna nam myśleć o takiej podróży, zawsze miałeś jechać tąd, my do Paryża, żeby Stasia odwiedzić: najlepiej jak przyspieszysz podróż, zabierzesz Stasia, któremu na gruczoły skrofuliczne także radzą ciepły klimat. Nie żałuj dla niego straconego czasu, jak będzie zdrow to go nagrodzi: ja także już ztęchniłam się bez niego. — Przyjeżdżaj, zaklinam Cię! jeżeli ci życie nasze miłe.“

Pan Medard odebrawszy list taki, musiał być posłusznym lubo nie zawsze nim bywał; ale to co innego w domu, w rzeczach które były światu nie wiadome, a co innego w wypadku tak ważnym, jak zadosyć-uczynienie rozkazom lekarzy Paryzkich. Jak-



kolwiek nie miał wielkich nadziei i zimniejszym męzkim rozsądkiem obrachował, że wszystkie zabiegi i koszta nie wstrzymają tak silnie rozwijających się suchot, nie chciał sprzeciwić się żonie, nie chciał okazać się skąpym i w rodzinie żony stracić opinię *najlepszego męża*. Dbał zaś o rodzinę, bo nie mając wielkich antenatów, tylko miliony, poślubił hrabiankę z wysokiego rodu. Uczynił jak chciała. — Trzynastoletniego Stasia odebrał z pensyi Paryzkiej — miał on bowiem przekonanie, że choćby nawet jak matka sądziła, nienagrodził czasu straconego, przez trzy miesięczny pobyt w Algierze, to mu wystarczy to, co będzie umiał do zostania bogatym i poszukiwanym konkurentem, przez jeszcze dawniejszą jak jego żona rodzinę, tém bardziej że Staś na ładnego zanosił się chłopca.

Wielka była, rozumie się, radość z przybycia ojca rodziny, kochanego męża, ojca i stryja, gdyż razem z panią Medardową była panna Oktawija, dziewiętnastoletnia dziedziczka licznych włości, jedyna córka po rodzonym bracie pana Medarda, która straciwszy rodziców w dzieciństwie, u stryjostwa się chowała. Zasmucił się ojciec, znalazłszy mimo kwitnącego kolorytu twarzy Julii, znaczną w niej zmianę. — „Wolałem ją — myślał — bladą a z pełniejszą twarzą, niż z temi rumieńcami! to zły znak!” Ale pocieszył się patrząc na syna, któren był bardzo czerstwy lubo istotnie skrofuliczny, i żeby był bliżej matki, odebrany był z pensyi Warszawskiej, razem z nią pojechał za granicę i w Paryżu umieszczonym został.

Wkrótce po przybyciu pana Medarda, umyślono puścić się w dalszą podróż: był to już początek listopada, trzeba było jak najspieszniej wędnąć kwiatki na gorętsze promienie słońca wystawić. — Julja nadzwyczaj cieszyła się podróżą; a ile matkę jakieś okropne przejmowały trwogi, które za złowrogie brały przecucia, o tyle Julja cieszyła się, obiecując sobie nie tylko polepszenie zdrowia, ale tysiąc innych przyjemności z podróży, nie zpowszedniałej już i po znanj Europie odbytej. — Matka bała się choroby morskiej, ale Julja uspokoiła ją przypominając że w czasie, kiedy płynęły z Trjestu do Ankony, morze było bardzo wzburzone, a przecież ona wcale nie chorowała, a matka bardzo mało.

Oktawija także posmutniała po przyjeździe stryja, zdawało się jakby kogoś jeszcze oprócz niego i małego Stasia spodziewała się. Dziwną a przecież bardzo zajmującą istotą była młoda Oktawija; rozumem, dowcipem, więcej, bo nawet grą nie pięknej ale wy-

razistej twarzy, podobną była do kobiet wyższych, pojmujących powołanie swoje, pojmujących zadanie życia, ceniących tylko co wzniosłe, co szlachetne. To też Oktawija lubo nie uderzała pięknnością; w myślącym, czującym sercem mężczyźnie, łatwe zajęcie a nawet więcej niż zajęcie obudzić zdołała. Skoro on raz był pod urokiem, już go nie stać było na sąd właściwy, już sprzeczności dojrzeć nie mógł — a gdy w końcu doznał zawodu, gdy jakiś postępek Oktawii był wprost przeczeniem jej zasad, nie umiał sobie tego wytłumaczyć, zrzucił z niej odpowiedzialność, obwiniając jej przybraną matkę, która w istocie nie była winną. — Była to bowiem dobra, cicha kobieta, kochająca Stefanję, uznająca jej wyższość, a tém samém, bez żadnego na nią wpływu.

„No! i jakże to było? — zapytać kto gotów — Oto tak było, że Oktawija miała rozum i pojmowała rozumem wszystko co piękne i wzniosłe, a to co rozum pojmował, odbijało się w wyrazistej twarzy. Wyższą sprawą ducha swego nie tylko pojmowała ale nawet czuła piękno moralne. Lecz mimoto, skłonności miała wprost przeciwne — a Oktawija nie walczyła nigdy, bo chciała mieć życie łatwe. Jednym słowem była podobną do poety, który po za poematem swoim, pełnym wzniosłych i głębokich myśli, jest czasem zupełnie zwyczajnym i małym człowiekiem. — Lubo dopiero 19 lat liczyła, bogata, zajmująca Oktawija, miała wielu starających się o jej rękę, których pozbyła się rozmaitemi sposobami, czasem nawet mimowolnie. — Jeden, widząc w niej sprzeczność, widząc zimniejsze na balu jak w domu obejście się, powiedział sobie: „Naprawdę! Ona mimo rozumu nie ma samodzielności; widocznie stryjenka chce ją wydać za swego kuzyna, więc nie myślmy o tém.” — Drugi widząc z jakim zajęciem drogocenne z przybraną matką wybierała stroje, pomyślał sobie: „stryjenka ją do takich zbytków przyzwyczaiła, ona tak jej ulega, że ja nie mając majątku, nie mogę myśleć o niej, a nawet nie oddałaby mi jej.” Na myśl mu nie przyszło że Oktawija samaby się *nie wydała*. Trzeci tę *dwoistość* panny Oktawii opłacił, bo opłacił zwątpieniem o wszystkiém co piękne i szlachetne, gorzką boleścią, która go mało o śmierć nie przypawiła. O! bo on ją kochał pierwszą, czystą, gorącą miłością — A ona? — Ona widać lubiła z nim rozmawiać; jego młodzieńczy pogląd na świat, na ludzi zajmował ją; umiała go oceniać — były nawet chwile, że szczerze, dobroduszone dla niej uczucie, jakie się coraz silniej w nim budziło, znajdowało odpowiedź w jej sercu. — Wtedy biedny Marcelli, nie-

myśląc jaki przedział majątek między niemi uczynił, jaśniej się tłumaczyć począł — nie został odepchniętym — tak jak pierwój, przyjaźnie przy pożegnaniu podano mu rękę, nawet zdawało mu się jakąś rzewność w oczach jój dostrzedz.

Odjechał Marcelli do domu pełen nadziei, a dowiedziawszy się że z powodu pogorszenia zdrowia Julii, wyjechały te panie do Wenecyi, zkąd wkrótce znalazły się w Rzymie; biedny młodzieniec nie tylko przez uczucie, ale nawet przez obowiązek śpieszy za niemi, żeby im być pomocą, radą, gdyż pan Medard jechać z niemi nie mógł. — Ale jakież zadziwienie, gdy za przybyciem Oktawija nie wychodzi do niego — przyjmuje go ze zwykłą grzecznością stryjenka, nie mówi prawie o siostrzenicy, tylko o chorobie córki. Lubo ze ściśnioném sercem — idzie nazajutrz, i — nie zastaje — „to fatalność!” — mówi jeszcze. Za trzecim razem rzekł lokaj: „Pani bardzo przeprasza, ale nie przyjmuje nikogo, bo panna Julja gorzej po lekarstwie, więc się pakują i wyjeżdżają do Paryża.” „To już nie fatalizm” — pomyślał Marcelli. Domyślił się że to odmówna odpowiedź na jego przy pożegnaniu oświadczyny — Znając dobrze stryjenkę, czuł że ona w tém nic nie zawiniła, a przecież tak mu trudno było wytłumaczyć postępowanie Oktawii, tak nie rad był obwiniać jój, odrzucić ją z całego uroku wyższości, że zrazu na panią Medardową powstawał. Lecz krótko mógł się utrzymać w tym błędzie. Przypomniawszy sobie wszystkie większe i małe w dziejach miłości swojej wypadki — i uczuł że gdyby istotnie stryjenka była mu przeciwną, byłby to oddawna postrzegł. Łamiąc sobie głowę na odgadnienie żyjącej zagadki jaką była Oktawija, Marcelli rozchorował się śmiertelnie. — Oktawija nie posądzała go o to, bo i nie myślała o nim — był on się jój istotnie podobał bardzo, ale nie tyle, żeby mu cokolwiek poświęcić, choćby małostkę światową, choćby nawykniecie — może nawet zdobyłby się nie chciała, i nie mogła na żadne; — uznała więc potrzebę zerwania zupełnego z *młodzieńcem roman-sowym*.

W Paryżu, ponieważ stryjenka zajęta słabą córką, nigdzie bywać nie mogła; prosiła swojej krewnej aby Oktawiję w świat wprowadziła. Bywała więc wszędzie, a z pomiędzy młodzieży której nie zabraknie przy bogatej a do tego przystojnej panie, zwrócił jój uwagę młody pan Alfons, dla czego? — niewiadomo — a przynajmniej Oktawija nie chciała brać pod ścisły różbiór powodów dla czego jego lepiej od innych widziała. Pan Alfons miał tytuł hrabiego, lubo

to hrabstwo *nie było dawniej daty*; był bogaty, przystojny i nie zbywało mu na lekkim, salonowym dowcipie. — Czyby to było dosyć dla kobiety wyższej, a przynajmniej umiejącej cenić wyższość jak Oktawija? Niewiadome są tajniki tém bardziej *kaprysy* serca i natury ludzkiej, których zrozumieć ani też całkiem wytłumaczyć nie można. Dość nam wiedzieć że Oktawija przyjęła oświadczyny pana Alfonsa; ale słowa nie dała, mówiąc jak to zwykle w takich razach, że potrzebuje bliższego poznania. Pan Alfons tedy jako przyznany *konkurent*, wkrótce pośpieszył za niemi do Marsyli, gdzie bawił parę miesięcy, starając się wszelkimi sposobami uprzyjemnić, rozweselić pobyt tych pań wśród nieznanego miasta i towarzystw. — Pan Alfons był bogatym i lubił żeby go za takiego miano; nie żałował więc wydatków, tém bardziej że nie był z natury skąpy. O ile więc pozwalało zdrowie Julii, zawsze namówił na jakąś ciekawą przejażdżkę, gdzie czekała niespodzianka czy to z muzyki, czy z zastawionych przysmaków, a cudne kwiaty, cukry, zwyczajną, codzienną były grzecznością. Czy użycie podobne pieniędzy było zgodne z uznaniem Oktawii, która ale pojmowała obowiązki obywatela kraju? nie wiemy; to tylko pewna, że nigdy nie zganiła narzeczonego za wyrzucanie pieniędzy, że brała to jakby za jakąś *przyjemną konieczność*.

Po spędzonych tak dwóch miesiącach, pan Alfons zastanowiwszy się, uznał potrzebę wrócić do domu, wydawszy przeszło sto tysięcy, obrachował że z intraty dłużej za granicą się nie utrzyma, — a jak przyjdzie *ekwipowanie* się i *montowanie* domu, tak znów dług nowy i znaczny zaciągnąć wypadnie. Domagał się więc słowa i postanowił wrócić do domu, choć się nie nudził obok Oktawii, bo mu się podobała na prawdę; lubił jój towarzystwo, kiedy nie wpadała w głębokie rezonowanie.

Widząc że nie można inaczej, Oktawija przyrzekła mu swą rękę, nie bez żalu, którego sobie przyznać nie chciała, bo jakżesz kobieta rozumna, pojmująca świętość małżeństwa, mogłaby przyznać, że wybrała człowieka, którego wolałaby być narzeczoną, niż żoną? — Pan Alfons jedyny do układania przejażdżek, do urządzania niespodzianek, do bawienia siebie i drugich dowcipami, nie był jednakże człowiekiem któremby kobieta oddając rękę, powiedzieć mogła: „Idźmy myśl z myślą, ręka z ręką, wzajemnie się wspierając przez drogę żywota; a czy róże czy ciernie spotykać nam wypadnie, dążyć będziemy zawsze ku dobru i pięknu dla podniesienia dusz naszych.”

Oktawja pojmowała takiego rodzaju związek, uznawała go, ale mimo to dała dobrowolnie słowo panu Alfonsowi, będącemu o 1000 mil od podobnych marzeń.

Młodziutka Julja, jój siostra i jedyna towarzyska, była jak anioł dobra, łagodna, a lubo zdolności miała bardzo nie wielkie, ale wiele rzeczy sercem pojmowała i rozumiała nawet. Kochała Oktawję, czasem widziała w niej sprzeczności, choć zdawałoby się że w jój wieku i wykształceniu domyślać by się ich nie powinna. Ona przecież przecuciem dobro odgadując, a do złego czując wstręt, najczęściej nie chciała go dopatrzeć; kochała Oktawję w pojęciach jój — a dopóki sprzeczności zbyt ją nie raziły, tłumaczyła je sobie. — Lecz gdy poznała pana Alfonsa, uczuła cały oddział moralny, jaki był między siostrą a nim. Dziwiła się że mimo-to Oktawja przyjmuje go tak dobrze. — Pytała matki, dla czego kiedy ona pewno za niego iść nie zechce, tak z nim jest, jakby przyjmowała jego zamiary? — „Oktawja lubo nie dała mi jeszcze słowa, ale zdaje się że to uczyni, widać podobał się jój, bo też miły, grzeczny, dobrze wychowany” — odpowiedziała matka.

„Ależ moja mamó, czyż Oktawja go może kochać? — Oktawja taka rozumna?” „Zabawna jesteś moja Julciu, zapewne że Oktawja ma więcej od niego i głębokiego rozumu i sądu o wszystkim, więc też to dobrze; on ją tak ceni i kocha to będzie się stósował do jój woli — Zresztą, tyś jeszcze dziecko, więc o takich rzeczach nie możesz sądzić.“

Na taką odpowiedź matki nie odrzekła nic Julja — ale po raz pierwszy uczuła, że się jój droga matka myli, że ona mając lat szesnaście nie jest dzieckiem nie mogącym sądzić o *tych rzeczach*, i postanowiła mówić z siostrą; ale tymczasem ona, w tymże dniu przyrzekła nalegającemu panu Alfonsowi.

Dowiedziawszy się o tém Julja, mocniej kaszlała i mniej w nocy spała, a nazajutrz skoro się znalazła z Oktawją, rzekła do niój:

„Smutno mi się zrobiło gdym się o twojém przyrzeczeniu dowiedziała, ale widzę że i tobie kochana Oktawciu nie wesoło. — No! cóż więc? chcesz iść za niego?” Na co, z pół-uśmiechem, zmieszana Oktawja odpowiada: „Jakaś ty dziecinna moja Juleczko! czyż ty-byś inny zrobiła wybór? powiedz mi jaki? kogoż-byś wybrała moja słusna panno?” — Oktawja mówiła szybko, żeby pokryć wrażenia, pomimo że zwykła uważać znacznie młodszą Julkę za dziecko i mało sobie jój słowa ceniła.

„Zapewne żem już słuszną panną” — odpowie pół

żartem Julka, już trochę zniecierpliwiona stanem dzieciństwa z którego osądziła że czas wyjść już było; poczem mówiąc jak zwykle, wolno i spokojnie, rzekła do Oktawii: „Czy ja bym wybrała dla ciebie pana Alfonsa? tego jeszcze nie wiem, lubo mi się nie zdaje; ale to wiem pewno, że gdybym tobą była nie poszłabym za niego, wołałabym kogo innego.“

„Kogóż? ciekawam, powiedz Julko.”

„Zdziwisz się może jak ci powiem, możesz już o nim zapomnieć — oto wołałabym pana Marcelego, tyle tylko że nie bogaty, ale taki rozumny jak ty — a on cię tak kochał.”

„Zabawna — przerwała śmiejąc się najnaturalniejszym śmiechem Oktawja — „prawda że się dziwię, bo zkąd ci się to wzięło? zkąd wiesz o jego dla mnie uczuciach? przecież ty wtenczas w najlepsze uczyłaś się grammatyki z panną Lisan, kiedy on u nas bywał.”

„Właśnie żem się uczyła grammatyki, toście nie uważali na mnie, a ja dobrze wszystko uważałam, rozumiałam, i wtedy chciałam się ciebie spytać, czy pójdiesz za niego? ale wygadałam się z tém przed panną Lisan, a ona mi zakazała o tém mówić.”

„Nie tylko mówić, ale wiedzieć nie powinnaś, czy kto się o kogo stara” rzekła do mnie — ja też cicho byłam. — A ona sama bardzo go lubiła, bo i któżby go nie lubił? Taki miły, dobry, jakby przylepka, więc jakżeby wam dobrze razem było! Choć bywaliscie czasem godzinami, tyś inaczéj wyglądała, inaczéj patrzyła gdy on przyjechał do nas; a on, kiedy co mówiłaś, to tych pocziwych swoich oczu oderwać od ciebie nie mógł. O żebym ja była w Rzymie nie tak bardzo chorą, tobym była prosiła mamy żeby go przyjmowała, ale ja się dopiero potem dowiedziałam. Ja nie rozumiem, jak tyś się mogła tak zmienić dla niego?”

„Moja Julko! doprawdy już zanadto słuszną pannę udajesz, ani wiem zkąd ci się wzięło? widać zdrowszą jesteś, to chwała Bogu! — ale rozmawiaj o czém inném, nie zaś o uczuciach; wszystko inaczéj widzisz i pojmujesz. — Słyszac Cię ktoby myślał żem ja zła mała jakieś przyrzeczenie, żem zdradziła nieszczęśliwego młodzieńca; mama nie daje czytać romansów — a to widać nie pomaga i twoja główka nabiera jakiejś *fantazyi* romansowój: daj sobie pokój moje dziecko drogie, jeżeli chcesz żebym się nie gniewała.”

Julka raz się rozgadawszy, raz postanowiwszy wywalczyć sobie przejście z dziecka na dorosłą pannę, nie zostawiła bez odpowiedzi słów siostry, szybko z pomieszczeniem wymówionych.

„Nie możesz się gniewać Oktawjo, bo ja mówię dla tego że cię kocham i chciałabym żebyś mogła i szwagierka mego kochać; tymczasem tak nie będzie. — Wierz mi że i ty choć lubisz się z nim bawić, nie kochasz go bardzo, zesmutniałaś.....” Wejście Matki z listem od męża i krewnych, przerwało rozmowę z wielką radością Oktawii, unikającej później sposobności prowadzenia jej dalej.

Istotnie zesmutniała ona, lubo ani przed sobą ani przed nikim przyznać się do tego nie chciała; wkrótce nawet przestało to być widocznym — tak się bowiem zajęła wyprawą, tak jeździła za sprawunkami ze stryjenką, dla której nic dość pięknego, dość stosownego dla ukochanej *Starszej Córki* jak ją zwała nie było; że patrząc na nie, każdy by widział uradowaną matkę i również szczęśliwą z wyboru córkę. — Czy Oktawja na prawdę była szczęśliwą? nie wiadomo. Kiedy podróż do Algieru na trzy zimowe miesiące już postanowioną była, zdawało się, że pan Alfons razem z panem Medardem przyjechać był powinien. Oktawja obiecywała sobie różne niespodzianki a może i podróż razem z nimi. Zdziwiła się więc gdy pan Medard żadnej nie przywiózł o nim wiadomości, a to zdziwienie, niezadowolenie, trochę do smutku i tęsknoty było podobne; tak że prócz Julii wszyscy ją o to posądzali i żalowali w cichości.

Nie było czasu do tracenia i zaraz po przybyciu pana Medarda pakować się poczęto, czekano tylko na odbicie statków. — Dwa okręta udawały się do Algieru, jeden duży kupiecki żaglowy, drugi lekki parostatek francuzki — na ten ostatni trzeba było dni kilka czekać — tamten zaś zaraz odpływał. Pan Medard więc na nim zakupił miejsca, raz, że wcześniej odchodził, a powtóre że pan Medard zawsze lubił oszczędzać kiedy był pewnym że tej oszczędności nikt się nie domyśli.

„Szkoda kochanie — mówiła pani Medardowa — że nie parostatek; ciężki kupiecki okręt wolniej idzie.”

„Prawda duszo, ale najpierw ten lekki francuzki parostatek, na którego musielibyśmy czekać może i parę tygodni, wydał mi się mniej bezpiecznym. — Wiesz jaka jest marynarka Angielska w ogóle, kapitan okrętu Irlandczyk, pełen doświadczenia, nadzwyczaj mi się podobał. — Przypominasz sobie jak nam mówił pan K. że w dalszą podróż morską puszczając się, zawsze wybierał okręt żaglowy; bo powiadał: „wolę mieć z jednym żywiołem do czynienia niż z dwoma; bo jak machina pęknie, to już ratunku nie ma, okręt spalić się musi; — tu zaś tylko burza

grozić może” — a te, bardzo rzadko zdarzają się w tej okolicy morza; a nadto, jest to miejsce tak częstych komunikacyj, tyle po nim krąży w różne strony okrętów, że nawet w razie bróń Boże niebezpieczeństwa, dawszy tylko znak z dział, w które jest opatrzone, można być pewnym pomocy.”

„O! niechże nas Bóg broni, żebyśmy jej potrzebować mieli” zawołała wzniósłszy do Nieba oczy, żona.

„Ależ bądź spokojna, nawet niepotrzebnie ci to mówię, jedynie, żeby cię zapewnić, iż nawet w najgorszym razie ratunek nam zostaje, gdy tymczasem taki parostatek w razie pęknięcia maszyny, nie ma ratunku, musi pójść na dno; bo nigdy dość prędko w takim razie pomoc przyjść nie może.”

„Dobrześ zrobił mój drogi Medziu, choćby dla tego że jeszcze byśmy czekać musieli, a tu co dzień zdaje mi się chłodniej, wczoraj nawet Julii już do ogrodu nie śmiałam puścić.”

Nazajutrz potem, kiedy już wszystkie rzeczy zapakowane były, gdyż o południu odbijał wspaniały wielkością swoją *Milord*, — z wielkiem zdziwieniem i radością wszystkich, ujrano wchodzącego pana Alfonsa; którego naturalnie zarzucono pytaniami. — Przyczyną spóźnienia jego był list na poczcie za- legły.

„Dobrze się stało — rzekła pani Medardowa — bo przybywając na pożegnanie przed naszym wyjazdem, pan nas już nie opuścisz.”

„Naturalnie, — będzie nas dwóch mężczyzn ku obronie waszej” — dodał śmiejąc się pan Medard i ściskając Alfonsa.

Tym uściskiem zasłonił go przed Oktawją i nie myśląc o tém, wielką mu wyrządził przysługę, gdyż nie widziała zachwiania i mimowolnego skrzywienia jakie się na jego twarzy odbiło; powściągnął go szybko, mówiąc ze smutkiem:

„Na prawdę wolałbym zimę spędzić z paniami w kraju, byłby to znak zupełnego polepszenia zdrowia panny Julii, i szczerze się zmartwiłem że aż w Algierze każą jej go szukać.” Powiedziawszy to, zarzucił pytaniami panią Medardową, która ścisnąwszy go z rozrzewnienia za rękę — zaspokoila troskliwość jego. Pan Alfons po swojemu kochał Oktawję, ale mimo swego dla niej *uczucia* wolał by był spędzić zimę w Warszawie, gdzie nawet wiele poczynił obstalunków, których rad byłby sam *dopilnować*, żeby nie były spóźnione na ślub, mający się odbyć w Maju. Widząc jednak niepodobieństwo cofnięcia się przed podróżą, która i dla niego nie była bez wdzięku, zgodził się z nią, pocieszając

się myślą, że zabawiwszy się trochę z Olimpją, obejrząwszy razem z nią wszystko co tam warte widzenia będzie; skorzysta z pierwszego parostatku dążącego do Francji, i pośpieszy do kraju, żeby czekać *niecierpliwie* przybycia narzeczonej.

Wszyscy tedy przy jasnych i dość jeszcze ciepłych promieniach południowego słońca, w wesołym usposobieniu, zajęli miejsca w *Milordzie*, którym się bardzo cieszyły Oktawia z Julią; pierwszy raz bowiem znajdowały się na dużym żaglowym okręcie, w tak wielkiej liczbie różnego kraju i wieku podróżnych. Polacy mniej są skłonni do choroby morskiej, całe więc towarzystwo nasze, prócz pani Medardowej uniknęło choroby, a nawet poprzedzających ją mdłości; wszyscy na pokład wyszli dla orzeźwienia się powietrzem i nacieszenia się majestatycznym widokiem morza, promieniami słońca ozłoconego.

Zaledwie pare godzin tam byli, gdy nagle pan Medard któren począł przechadzać się i rozpatrywać po pokładzie, zawołał po polsku: „Co ja widzę! góra z górą się nie zejdzie jak człowiek z człowiekiem!” — Zwróciły wzrok na ten wykrzyknik kobiety, i zdziwione ujrzały jak pan Medard ścisnął serdecznie młodego blondyna, kłaniając się wysmukłemu brunetowi, którego jakby mu pierwszy przedstawiał, — ciszej po pierwszym wykrzykniku rozmawiał z nimi, tylko z gestów domyśleć się można było, że ich namawiał żeby się do reszty jego towarzystwa zbliżyli, a oni jakby ubiorem podróżnym wymawiać się zdawali. Nareszcie jakby zniewoleni, zbliżają się wszyscy trzej razem, a zmieszana Oktawja poznaje pana Marcelego; któren skłoniwszy się jej, przysunął się do Julii z matką przy niej siedzącą — wypytując się o zdrowie. — W krótkiej rozmowie dowiedziały się, że pan Marcelli spotkawszy we Francji swego dawnego kolegę Uniwersytetu, Pana Gustawa którego ojciec pułkownik G. będąc w wojsku francuzkiem obecnie znajduje się w Algierze, dał się namówić na odbycie razem z nim tej podróży. — Zdziwione panie, zawołały razem zwracając się do młodego bruneta: „Więc ojciec pana jest w Algierze?”

„Tak jest — odpowiedział — nic to dziwnego spotkać naszych rodaków w różnych częściach świata. Mój ojciec jest teraz w Tunis, od czasu jego tam pobytu, już raz drugi odwiedzam ten piękny, bogaty kraj i namówiłem mego przyjaciela, któremu sędzę że bardzo na zdrowie posłuży, taka podróż.” „Czy to Pan chory? — zapytała pani Medardowa — widać, bo pan bardzo zmizerniał i dla tego nawet nie poznałam go od razu.”

„Byłem chory, ale dziś jestem *zupełnie zdrow* — odrzekł nadając pewien przycisk ostatnim słowom, i gdyby nie zamiłowanie podróży, nie ciekawość spojrzenia na inną część świata, tobym dla zdrowia nie potrzebował jej odbyć.” Pomimo coraz mocniejszych mdłości pani Medardowej, rozmowa była ożywioną gdyż mnóstwo następczało się pytań, o miasto do którego dążyli, a które już było znane młodemu podróżnikowi. Wszystko, co im mówił, cieszyło ich bardzo, a mianowicie że tam nie sami będą, że między innymi znajdą pana K. pana N. którzy tam zimę przepędzają od lat kilku.

Państwo Medardowie nie mieli przenikliwości swęj młodej córki, nie domyślali się więc jak dalekie zaszyły znajomości między Oktawją a młodym Wołyniakiem, że się to aż śmiertelną jego chorobą skończyło — bardzo się więc ucieszyli z tego spotkania i chcieli być ciągle razem. — Ale ci panowie poszeptawszy z sobą coś po cichu — pożegnali towarzystwo, mówiąc że zajmują małą kabinę w kajucie z kilką podróżnymi, którzy właśnie prawie wszyscy są chorzy, więc jako zdrowi muszą się nimi opiekować. Pan Medard prosił żeby koniecznie przyszli koło 10tej pić kijowską herbatę, do której tak był przyzwyczajony, że wszędzie zapasy jej woził z sobą. — Nie zupełnie przyrzekając, pożegnali się. — Mało badawcze nawet oko widząc odchodzącego pana Marcelego, wyczytałoby w całej jego postaci te słowa:

„Ach! przecie wyrwałem się z tej gorącej łaźni!”

Zapraszając na herbatę, nie wiedział biedny pan Medard co go jeszcze przed herbatą spotkać miało — w godzinę gdy okręt co raz silniejszym ulegał rzutom, wszyscy prawie, prócz bardzo oswojonych podróżników morskich, zeszli do kajut z pokładu, gdyż im radzono, że w takich razach leżenie na-wznak, najwięcej zabezpiecza od choroby. — Biedna pani Medardowa cierpieć mocniej zaczęła, a rzuty okrętu tak poczęły być silne, że nie wprawni do chodzenia na statkach, nie mogli się utrzymać na nogach. — Zatrwożony pan Medard chciałby się był dowiedzieć, ale nie podobna mu było wyjść po wschodkach. — Wtedy wszedł jeden z podróżnych, francuz, i oznajmił że niebezpieczeństwa żadnego nie ma, że wiatr nie *wierzchny* ale *spodni* (jak marynarze zowią) rzuca silnie okrętem; tyle tylko że jeżeli nie ustanie, przedłuży to podróż. — Wkrótce po francuzie, jeszcze gwałtowniej piętzące się bałwany miotały okrętem, a przytém świst wiatru, szum bałwanów i jakby stękanie masztów, jakąś piekielną muzykę tworzyło. Pan Alfons zbladł i usiłował wyjść, żeby się przeko-

nać i zaspokoić panie — a wtém przybyły kapitan okrętu, już nie młody, z twarzą pełną szlachetnego wyrazu i odwagi, miał sobie za obowiązek zaspokoić podróżnych, którzy jak się domyślał musieli być zatrwożeni. Obejrzawszy czy lampy dobrze przymocowane, czy wszystko w porządku, zaspokoiwszy wszystkich że tylko rodzaj wiatru jest przyczyną tak mownych ruchów okrętu, że to nawet nazwać nie można burzą morską, w porównaniu jakie mu się w lecie spotykać zdarzały; zostawił uspokojonych nieco podróżnych i pośpieszył zwiedzić inne części okrętu. Oktawja chęć miała wyjść na pokład, lecz nie mogła opuścić cierpiącej stryjenki. — Pan Alfons zabawiał z początku panie dowcipkując kosztem licznych towarzyszy podróży; lecz potém umilkł, spędzając na ból głowy milczenie; zgoła nie wesoło było w kółku naszych znajomych, gdyż i pan Medard bardzo zpo-sepniał.

W pół godziny po odejściu kapitana, wśród rzu-cania się okrętu, dał się słyszeć łoskot pod kajutą, w tak zwaną piwnicę okrętową — Wkrótce potém mimo szumu wody, świstu, łoskotów; jeszcze jakiś nowy hałas, krzyki, gwar, obił się o uszy strwożo-nych — potém w powietrzu duszność jakaś dziwna czuć się dała — Wszyscy przerażeni cisnąć się do wschodków wiodących na pokład poczęli, pytając: Co się stało?! „Pożar w okręcie! — mówi ktoś — i było tak istotnie. Beczki ze spirytusem spadły z li-garów, jedna z nich rozbiła się. Człowiek przyświe-cający dwom innym przytwierdzającym beczki, przez silny rzut okrętu obalonym został — padając rozbił latarkę, ogień doszedł do spirytusu, nie było już środka ratunku! beczki jedna po drugiej pękały, a płyn ognisty rozszedłszy się po piwnicy, podniecany gwałtowném kołysaniem okrętu, wymykał się otwo-rami i chwycił co tylko niszczący płomień jego mógł dosięgnąć. — Widząc to kapitan zbladł, ale jeszcze nie tracił nadziei ratunku — „Hej dzieci! — zawołał na majtków — Modlitwa do ust, a pompy, liny, wio-sła do rąk! ratować najpierw kobiety i dzieci!” Za-warczały pompy, zaskrzypiały odkręcane liny aby po-nich spuszczać podróżnych; a razem rozległ się w po-wietrzu Hymn trwogi, — pieśń majtków:

O! Stwórcu lądów i mórz!  
Ty władco gromów i burz!  
Przed nami przepaść, ton!  
Ty nas od zguby broń!

„Niech ci ludzie w milczeniu czynią powinność swo-ję — zawołał do kapitana kupiec Angielski, główny członek kompanii kupieckiej, do której należał *Mi-*

*lord* — każ im pan zamilczeć, bo te śpiewy dodają trwogi.” „Komu w życiu świeciły gwiazdy na niebie a nie blask złota; kto życie spędził z niemi jak z ludźmi, ten modlitwie nie nakaże milczenia” odrzekł szybko, trzęsącym z oburzenia głosem kapitan. — Ruszył kupiec ramionami, mrużąc przez zęby: „Nie byłby Irlandczykiem!” — a zmierzwszy kapitana peł-nym pogardy wzrokiem, patrzył spokojnie na dym zaczynający się przez pułap kajut dobywać — po-czém ścisnąwszy skórzaną torbę przez plecy zawie-szoną, jakby chciał mówić „choć tamte stracę, to ta mi wystarczy.” — Krzyknął na posługaczy o linę a ująwszy ją w silne ramiona, spuścił się pierwszy do szalupy.

„Kapitanie! — zawołał głos jakiegoś marynarza — mamy tylko jedno czółno i jedną szalupę — inne wiatr oderwał.”

„Dać ognia z dział na znak niebezpieczeństwa — odparł kapitan — przed wypadkiem widziałem *Glorję* parostatek Genueski — musi on być nie daleko — może Bóg dozwoli że nas usłyszy.”

Jakież to pióro opisać zdoła okropność palącego się statku w czasie wichru przeszkadzającego ratun-kowi! Tu poeta nie potrzebowałby dodawać z wyo-braźni jaśniejszych lub ciemniejszych niż w naturze kolorów, do odmalowania tych żywych dramatów, ja-kie się w téj strasznej chwili między podróżnemi od-grywają. Tu mąż wyciąga ręce, zaklinając aby mu kto zemdloną podał żonę do której dojść nie może; tam znów inny odpycha żonę, aby się sam mógł za-czepić; ówdzie matka nie porusza się z niebezpie-cznego miejsca póki dzieci nie odda: a zewsząd jęk, krzyk poparzonych, płacz, wśród rozmaitych drogich imion rozpaczliwym wywoływanych głosem, wśród przekleństw lub modlitwy!

Cóż się stało z podróżnemi, nam znajomemi? za-pytać kto może.

Gdy dym duszący napełnił ich kajutę, starali wy-dobyć się z niej, co nie było łatwem wśród cisnących się razem — Najpierw, w chęci — (*jak powiedział*) — *dowiedzenia się*, co się stało, wydobył się pan Al-fons — pan Medard ciągnie zemdloną żonę, oddając ją posługaczowi kajuty wraz ze sztuką złota — po-daje potém ręce Julii i Oktawii; w końcu puszcza je, bo go dym i tłok dusi. — Gdy się cudownym prawie sposobem wydobyli z tego straszego pieca, gdzie duszący spirytusowy gaz wraz z dymem, pozbawił słabszych przytomności — płomień jakby czekał na ich wyjście, ogarnął tę część okrętu, tak że się już na wierzch czarne kłęby dymu z iskrami dobywać

poczęły. — Kto się chciał ratować, cisnął się na drugą stronę pokładu w tyle okrętu będącą — ale jakież ciężkie tam przejście! — Oktawja niestraciła przytomności, a raczej odzyskała ją po obwianiu powietrzem; znalazła obok chłopczyka pięcioletniego, leżącego bez życia u nóg jej i obok Julii, na której nogi padła opalona deska, tak że się ruszyć nie mogła. — Oktawja zdołała zepchnąć w morze deskę i gdy się odwraca aby pociągnąć Julję, widzi jak trup bladą kobietę, cisnącą się z krzykiem w płomieniu i wołającą: „Karol! mój Karol!” Oktawja poznaje matkę dziecięcia francuzkę, z którą płynęły; porywa chłopczyka i z siłą, którą tylko w takich wypadkach znaleźć można, ciska przez głowy innych dziecko w ręce matki — porywa kobieta zdobycz drogą, lecz byłaby razem z nią padła na trzaskającą pod nogami jej deskę, gdyby nie silne męskie ramie, które uniósłszy matkę z dzieckiem, oddaje majtkom spuszczanym po linach kobiety, a sam wraca aby Oktawii i innym nieść pomoc. — Przy świetle płomieni poznaje okopconego dymem, z poszarpanemi sukniemi Marceliego; pokazuje mu nie mogącą się utrzymać na zranionych nogach Julję. — Marceli porywa ją na barki; a Gustaw w tej chwili docisnąwszy się do przyjaciela, ciągnie jedną ręką Oktawję a na drugą bierze chwiejącego się o siwych włosach starca. — Ah! Mama gdzie! — zawoła Julja — „Już jest w szalupie” odparł Marceli. W chwili kiedy nasi dwaj młodzieńcy oddawali zdobycze swoje majtkom, przywiązującym je do lin dla spuszczenia w szalupę — z okropnym trzaskiem runęły dwa opalone maszty i przód okrętu stał się pastwą płomieni! Kapitan stojąc na części niezajętego jeszcze pokładu, wydawał rozkazy i nie pozwalał już *podróżnym* brać się do ratunku innych. „Zostawcie to moim marynarzom szlachetni ludzie! to ich powinność” wołał — byleby z ognia wyszli, to z wodą dadzą sobie radę — a dla was i ona straszna.” Tak więc nasi przyjaciele, równie jak inni im podobni, o swoim ratunku myśleć zaczęli i w krótkce do szalupy się dostali, razem z wiejską dziewczyną z południowej Francyi, która uratowała matkę żony żołnierza do którego obie płynęły; jak twierdzili nasi przyjaciele, kilka osób odurzonych dymem wódki i poranionych spadającemi deskami, wyciągnęła z pożaru. A gdy się znalazła w szalupie, jeszcze silném ramieniem podawszy wiosło tonącemu, razem z towarzyszką wciągnęła go na statek.

Tak się jakoś stało że pan Medard znalazł się już w szalupie, gdy mu pan Marceli zemdloną żonę spu-

szczał — lecz ona nic nie uważała, pamiętała tylko że na jego rękach straciła przytomność w kajucie i że otworzywszy oczy, najpierw ujrzała twarz męża splakaną. Staś, zręczny gimnastyk, sam się na szalupę dostał. „Gdzie pan Alfons?” — nieśmiało zapytała Oktawja. — Milczał Pan Marceli; lecz Gustaw rzekł śmiało: „Niech pani będzie spokojna, widziałem go jak jeden z pierwszych spuścił się, i oto tam, niech pani spojrzy, teraz kiedy luna oświetliła czółno, to widzieć go można stojącego po środku; odznacza go mały kapelusz wśród tych dużych turystowskich Angielskich. A widzi pani tego, któremu na próżno podają wiosła? co się uchwyci to się obsunie?” — „Ach nieszczęśliwy!” — zawołała Oktawja. — „Tak, ale i on wielu narobił w życiu nieszczęśliwych. To kupiec Angielski, główny członek kompanii do której należał pałacy się okręt, czy w skutek własnego ciężaru, czy złota, którego ma dużo przy sobie, urwał się i z kawałkiem liny wpadł do morza, z kąd się nie dobędzie. Szkoda złota które z nim tonie” rzekł jeszcze Gustaw. — „Gorzéj byś żałował nieszczęśliwych, którychby tém złotem zakupił, bo on i niewolnikami handlował” — odpowiedział pan Marceli.

„Ach! widzę jeszcze trzy osoby, walczące z falami!” zawołała Julja.

„Tym nic nie będzie, one się trzymają lin, jeszcze jest dla nich nadzieja.

Gdy tak rozmawiają nasi podróżni, krzyk araba, raczej do wesołego śpiewu niż do wyrazu trwogi podobny, zwrócił ich uwagę — Arab wyciąga z fal ręce — podali mu wiosło, pochwyił je i wyratowanym został; a patrząc na niego, rzekł by kto że on z jakiegoś rajy a nie z otchłani morskich wraca — bo Arab połknął dobrą dozę haszyszu, chcąc pobyt na okręcie fantazją sobie umilić. — Coraz to więcej odratowanych przybywało do szalupy. A nasi znajomi tak się przejęli losem okrętu, iż radzi byli jak najpóźniej oddalić się od niego. Dzielny kapitan i majtkowie najwyższe w nich obudzali zajęcie. Gdy już szalupa dostatecznie obładowaną była, ujrzeli z wielką radością, iż widać w skutek danego znaku rozpaczy z dział, parostatek *Glorja* wyprawił kilka szalup swoich, przy ustającym wietrze połyskujących białemi żaglami i pędzących ku nim.

„Bóg nam zsyła pomoc — Bóg nas nie opuścił” Ozwały się krzyki pozostałych na pałącym się okręcie marynarzy, którzy, jak wiadomo, klną w pośród małych sprzeczności, a w wielkich niebezpieczeństwach Boskiej wzywają pomocy. — Ta, nadeszła im

w samą porę. — Szalupy zbliżyły się, a zręczni majtkowie jak ptaki wieszając się po linach i resztki rannych podróżnych zabierając, ocalili prawie wszystkich. Na końcu spuścił się sam kapitan, jedynie przez uczucie religijne ratując życie, gdyż jako tyloletni dowódzca okrętowy, wolałby był nie przeżyć swego *Milorda*. — Parostatek zabrał większą część rozbitków. Nasi podróżni nie sądzili się jeszcze bezpiecznemi, lubo szalupą kierował sternik *Milorda*, którego po spaleniu się steru, z rozkazu kapitana tam się spuścił. — Jednakże pomimo że koło północy wiatr ustał, a sternik uznał się być blisko brzegów, to jednak nie mógł wiedzieć gdzie mu dobić wypadnie. Mogłyby jeszcze tysiączne najsmutniejsze przygody spotkać naszych podróżnych, gdyby nie Opatrzność, która im powtórny w dniu tym zesłała ratunek. — Okręt płynący z Sycylii do Neapolu znalazł się na ich drodze; po danych znakach z biednej szalupy, po łunie, którą był zdaleka widział, domyślał się kapitan że to rozbitki potrzebujące gościnności; zwolnił biegu, przybliżyła się szalupa i część większa podróżnych znalazła przyjęcie na statku — Reszta nie pragnąca zmienić miejsca, wytrwała na morską podróż, została na szalupie do okrętu przyczepionej. Julję przenieść musiano, nogi jej bowiem tak były spuchnięte i pęcherzami okryte, że stąpić nie mogła — Znalazł się na gościnnym okręcie Doktor, chłodzące, uspakajające dał lekarstwo i do kajuty przenieść chorą polecił. — Wkrótce biedaczka zasnęła. Gdy nasi znajomi znaleźli się już raz w spokojnym i bezpiecznym miejscu, gdy po wichrze, jak to często bywa, największa nastąpiła cisza, duży parostatek tak płynął równo że nawet pani Medardowa cierpieć przestała; zaczęły się różne pytania a nawet powitania, z osobami z którymi, niebezpieczeństwa dzieliły. „Nie wiem jak się to stało, że ja zupełnie nie pamiętam gdzie pana Alfonsa zostawiliśmy?” — zapytała pani Medardowa.

„Teraz mogę pani obszerniej jego napowietrzną podróż opowiedzieć — rzekł pełen żywości Gustaw — Zaledwie dym się okazywać począł, ten wysoki lord, którego może panie uważały z ogromnym pudłem na pokładzie, opłacił majtkę i kazał dobrze pudła swego przymocować, a nad nim siebie; pan Alfons także przysuwa się i chce do téj saméj liny uczepić się, anglik nie dozwalał — Lecz gdy linę spuszczały, pan Alfons zręcznie wskakuje na grzbiet ogromnego pudła i tak jedzie — Patrzyłem, bo bałem się żeby go anglik w złości nie zrzucił, ale czy mu o pudła chodziło, czy go ten oryginalny koncept zabawił —

ale widać przebaczył mu, — bo lubo nie miałem potem czasu patrzeć na dół, już później przy świetle ognia, pokazywałem paniom, w towarzystwie innych, płynącego Alfonsa czólnem.” Oktawja zbladła, słuchając tego opowiadania, nie z boleści ale ze wstydu że mogła była zostać żoną takiego człowieka. Jednakże, lubo pan Gustaw mówił prawdę, nie dodał tego czego nie widział, a co sprawiedliwość powiedzieć nam nakazuje. — Pan Alfons znalazłszy się już w czólnie, opatrzonym w silnych wioślarzy, załamał ręce spojrzawszy na kłęby dymu, dobywające się z kajuty. — „Zginęła nieszczęśliwa! — rzekł do siebie — ja zaraz zmiarkowałem że zostając przy nich, i jej nie wyratuję i sam zginę” poczem spojrzął raz jeszcze i zakrył sobie oczy obiema rękami. Już później nie obracał się w tamtą stronę — a gdy się dostał na *Glorja* chorował, w Genui leżał czas jakiś na febrę. Poczem przypiąwszy czarną krepę do kapelusza, wrócił przez Paryż do Warszawy, gdzie opowiadał okropne wypadki i stratę swoją.

Między Gustawem a panem Marcelim siedzącym na przeciwko Oktawii — umieścił się młody, szczerbiotliwy francuz: znajomość zabrana z nim w kajucie *Milorda*, ściślejszą się stała, gdy się spotkali równie działającymi w niebezpieczeństwie, więc przedstawili go paniom. Gustaw równie żywy i wesoły, wyciągał francuza na różne uwagi i opowiadania.

„Uważają Państwo te smutne dwie postacie w kajucie siedzące? to brat z siostrą, moi rodacy; wystawcie sobie jak ich obojga zarówno los dotknął — On stracił żonę wśród pożaru, a ona męża.”

„Czy podobna? — zawołała Oktawja — pan żartuje, ja pamiętam że ta młoda kobieta z mężem siedziała w naszej kajucie i widzę tegoż samego pana obok niej, wprawdzie bledszego.”

„To nic nie dowodzi, istotnie on żyje, ale nie dla niej; tak jak jej brata żona, ta, w kajucie, zakwefiona, siedząca dama, także żyje, ale nie dla niego; gorzej niż gdyby owdowieli!”

„Nie rozumiem” w roztargnieniu odrzekła Oktawja.

„Opowiem więc jak to było. — Dla Pani J. mąż był (co wprawdzie rzadko się zdarza) ideałem, nie tylko piękności, (istotnie jak widzicie panie przystojny), ale ideałem wszystkich przymiotów, a mianowicie miłości małżeńskiej: — w lat trzy tego szczęśliwego pożycia, dostaje on jakąś znaczną posadę przy rządzie naszym w Algierze, gdyż stracił swój majątek. Żona, któraby w piekło za nim poszła, płynie z nim razem, trochę tylko żałując zimy Paryzkiej. Tymczasem pożar się wszczyna, wybiegają z kajuty —



ale mąż blady wcale się na nią nie ogląda, ona więc o niego niż o siebie dbająca, nie uważa na to.— Wpada majtek mający rozkaz ratować kobiety; chce ją razem z inną już pochwyconą porwać, ale ona do męża tylko wyciąga ręce wołając: że bez niego nie wyjdzie.— Mąż *nie mogąc się utrzymać na nogach*, czepia się silnie majtka, nie mogącego trojga zabrać, który śpiesznie wyprowadza — a ona zostaje! — i byłaby się stała pastwą płomieni, gdyby ję ktoś inny do szalupy nie spuścił. — Teraz co mówię o siostrze, niech pani słowo w słowo do brata ję zastósuje — to jest, ideał męża na żonę zamieni — Koniec tylko inny; ona wyrwała się z rąk unoszącego ją męża, aby podać ręce młodemu kuzynowi, pod którym załamała się deska, właśnie w chwili kiedy się do niej przedzierał — raz uchwyciwszy rękę młodzieńca, nie obejrzała się więc na męża, którego o tłok z nią rozdzielił, i dopiero w szalupie wszystko troje się znaleźli.— A cóż czy nie powiedziałem prawdy? czy on nie stracił żony a ta męża? Oh! chwila tak uroczysta, niebezpieczeństwo nie przewidzianie spadające, to prawdziwy *Kamień probierczy* wszystkich uczuć, bolesna próba! — Nurty morskie nie jednego pozbawiły skarbów droższych od złota, bo im strat poniesionych nic już nie wróci.”

Przez cały ciąg opowiadania francuza, a raczej od chwili kiedy się znaleźli w spokojnej kajucie, głębszy badacz fizjognomij miałby obszernie pole, patrząc na wyrazistą grę twarzy Oktawii, wyczytać myśli i uczucia, jakie się wewnątrz ję odbywały. Widocznie coś nadzwyczajnego działo się w ję duszy: czy to rachunek sumienia? czy wyrzuty? czy żal za grzechy, a razem chęć postanowienia odrodzenia się? nie wiadomo! Gdy skończył francuz:

„A ja niegodna tyle zyskałam! — rzekła do siebie niedosłyszonym głosem Oktawia — Słowa *tyle zyskałam*, doszły uszu pana Marcelego. Podniósł oczy i przy blasku lampy wiszącej w kajucie, spotkał spojrzenie Oktawii, tak mówiące, tak wyraziste, że nagle dwa lata jakby się wymazały z życia jego; okręt zamienił mu się w Kijów, kajuta w salon pani Medardowej, a twarz jego opromieniona nadzieją, straciła poprzednią bladość i wyraz tęsknej zadumy. Pan Marcelli sądził że już jest zupełnie wyleczonym ze swęj dla Oktawii miłości, może nawet nie zupełnie się mylił: ale jego miękka, kochająca natura, uległa na nowo i z większą jeszcze siłą, pierwszemu uczuciu. Zapomniał o słusznym żalu, jaki miał do Oktawii, zdawało się jakby się odrodziła w sercu jego taką, jaką ją poznał. Nie będziemy opisywali

pełnej życia rozmowy między Oktawją a panem Marcelim, ani też wesołej gadatliwości francuza z Gustawem, której ani sen Julii, ani chrapanie pana Medarda i Stasia, ani drzymanie jego żony, zwolnić i powstrzymać nie zdołały. Powiemy tylko że wszyscy razem nie postrzegli się jak ruch spokojny okrętu wywołał ich z kajuty na pokład. i jak oczy ich jakby w nagrodę za strudzenie, patrzyły na czarne kłęby dymu mieszające się z brudno zielonawymi bałwanami morza, tworząc cudowną sprzeczność z blaskiem wschodzącego słońca, na majestatyczną piękność miasta, rozłożonego w pół kole po nad morzem.

„Ah! co za cudowny widok! zawołali wszyscy — Zachwycenie Oktawii i pana Marcelego nie miało granic — przerwał go francuz mówiąc: „Słuszne jest Neapolitanów mniemanie, że gdy się Stwórca znudzi w Niebie, otwiera okienko na Neapol, aby na tém arcydziele natury i sztuki, spoczęły zrzenice Jego.”

Biedna Julja nie mogła długo cieszyć się pięknym widokiem; nieopatrzone rany tyle ję zadawały boleści, że mimo ciepłych promieni słońca, febra ją trzęsła widocznie.

Udano się więc do miasta, bo niepodobna już było myśleć o podróży do Algieru; najęto mieszkanie na zimę. — Zapewne wszyscy znajomi nasi tę zimę w Neapolu przepędzoną, za najmiłsze życia chwile dotąd poczytują. Dziwnym bowiem fenomenem, tak wielkie zranienie nóg na które Julja przez kilka tygodni cierpiała, wyleczyło ją zupełnie z choroby piersiowej, tak dalece, że przez dalsze pare miesięcy rozkwitła się jak w pełni roża i na śliczną zamieniła się pannę.

Pojąć łatwo rodziców radość patrzących na tę codzienną zmianę. — A lubo na przyszłą zimę popłynęła do Algieru, to jedynie dla odwiedzenia ojca męża generała G. — Skłonność jaką wesoły; żywy Gustaw powziął do powolnej, zimnego powierzchownie usposobienia Julii w Neapolu; w głębokie się uczucie zamieniła, a w kilka miesięcy potem, uwieńczoną została. Rodzice wprawdzie truchleli że Julja zaledwie wyszła z dzieciństwa, — ale sprzeciwić się dziecku, które niedawno za stracone mieli a dziś odzyskali, odpłacić niewdzięcznością wybawicielowi, nie było podobieństwem; zezwolili — a szlub się odbył w rocznicę poznania się na *Milordzie*.

Cóż Oktawia? ktoś zapyta — może jeszcze zdradziła nadzieje kochającego ją Marcellego? — Już nie. — Widok nieuniknionej, jak się zdawało, śmierci, nauczył ją inaczej na życie i ludzi zapatrywać się —

rozegrał jój oziębione światowemi małocściami serce; oddała je z pełną miłością szlachetnemu młodzianowi, i dotąd z dziękczynnym ku Niebu spojrzeniem, okropną na okręcie przygodę opowiada.

Tak to widać, na wiekie choroby moralne, grożące kalectwem i nieszczęściem całemu żywotowi człowieka, potrzeba ran nie wielkich i energicznych lekarstw. Niestety! dziś już i o te coraz trudniej, i gdyby taka panna Oktawja, jakąbyśmy łatwo znaleźć mogli, *chciała* dziś do Algieru płynąć; to pocztowe

parostatki które od roku codzień z Marsylii tam chodzą, tak są dobrze urządzone, że żaden z nich nie *chciał* by się palić.— A cóż pan Alfons? spyta kto— Straciliśmy go z oczu; wiemy tylko że gdy po roku od przybyłego marszałka z Podola, usłyszał o małżeństwie panny Oktawii; zaręczał, że to musi być jakaś krewna lub siostra jego narzeczonej, gdyż tamtę — dodał z westchnieniem — sam widziałem w płomieniach!

Podobny wypadek zdarzył się i na okręcie *Kent*.

## WSPOMNIENIE Z RACIBORZA.

Wzniesienie się, oraz większa część pobożnych fundacyj Raciborza datują się od czasu dojścia miasta do politycznego znaczenia. *Władysław* <sup>1)</sup> bowiem książę Górnego Szląska, przeniosłszy tutaj z Cieszyna (Teschen) rezydencję swą, założył nietylko kilka kościołów i klasztorów, lecz prócz tego odbudował miasto spalone przez olomunieckiego Biskupa, darował mieszkańcom, aż po dzisiejsze czasy, drzewo budowlane i opałowe, a uwalniając ich z lennictwa polskiego, nadał im przywileje mieszczan niemieckich.

W późniejszym czasie za Przemysława syna jego, właśnie w tym roku, w którym książę ów ślubował założyć klasztor żeński; obywatele miejscy za przy

zwoleniem jego, obrali prócz dawniejszych radnych nową z pięciu burmistrzów i siedmiu ławników złożoną radę.

Obaj ci książęta *Władysław* i *Przemysław* szczerze byli do ludu swego przywiązani, godni służyć za przykład następcom.

Gdy po śmierci *Władysława* w roku 1286 Górny Szląsk na trzy księstwa to jest Cieszyńskie (Teschen) Opolskie (Oppeln), i Raciborskie rozdzielonym został, *Przemysław* odziedziczył to ostatnie; założywszy więc rezydencję w Raciborzu, mieszkał w starym już wtedy zamku na przeciw miasta położonym, przedzielonym od niego rzeką Odrą oblewającą mury jego.

<sup>1)</sup> *Władysław* był potomkiem *Bolesława Krzywoustego* po *Mieczysławie*; — *Mieczysław* był, o ile się zdaje, najmłodszym z braci; najstarszym *Bolesław wysoki*, po którym linja książąt Dolnego i Średniego Szląska, następnie w czwartym pokoleniu na Wrocławskich, Lignickich, Głogowskich i Świdnickich rozrodzona, pochodziła; średnim bratem zaś był *Konrad laskonogi* zmarły bezpotomnie; a księstwa jego średniego Szląska, prawem dziedzictwa otrzymał *Bolesław wysoki*. *Konrada laskonogiego* mieścić nie trzeba z *Władysławem laskonogim*, około lat trzech na tronie Polskim panującym, a synem *Mieczysława III* starym zwanego: wnuku jego, a synu *Władysława II*-go księcia krakowskiego, narodzonego 1104 roku, wygnanego z Polski 1148, a w r. 1159 zmarłego; z *Agnieszki*, *Krystyny* siostrzenicy *Konrada II* Cesarza, małżonki tegoż *Władysława II* zrodzonym. Z niego bowiem linja Piastów, książąt Górnego Szląska, następnie na Opolskich, Cieszyńskich, Oświęcimskich podzielona. ród swój wywodzi

Wiadomości o tym księciu do naszych czasów doszłe, pochodzą po większej części z jego własnych rękopismów, lub z tychże wiarogodnych kopii; w każdym czynie jego podziwiać potrzeba gorliwość, staranność i wspierania silne nowo rozkwitającego się tutaj życia.—Działał zaś jako zupełnie niezawisły władca, nie potrzebując, jak większa część ówczesnych książąt, z uszczerkiem własnej powagi, pomocy którego z królów lub cesarza.—Choć wojowniczą była młodość jego, choć w drugich waleczność szanował i nagradzał; to doszedłszy do władzy, nad dziką wrzawę wojny, przeciw ówczesnemu zwyczajowi pokój przełożył.—Dla pogodzenia zwaśnionych *Raciborskiego* i *Opawskiego* domów, oddał *Annę*, najmłodszą córkę swą z *Zofii* księżniczki *Mazowieckiej* małżonki swój zrodzoną, w małżeństwo *Mikołajowi* księciu *Opawy* (*Troppach*). Nie długo po swoim na tron wstąpieniu udzielił miastu własną jurysdykcję,

darował prócz tego w r. 1290 książęcy obok leżący las, wraz z innemi jeszcze gruntami, zapewnił zgromadzeniu kupieckiemu wolność handlu i zawarował miastu następnego roku podatek drogowy, oraz zatwierdził w r. 1305 wszystkie przez ojca swego nadane mu przywileje wraz, z dołączeniem nowych swobód.

Równą gorliwość i pieczołowitość jak o dobra ziemskie pokazał on i w utrzymaniu chwały Boskiej.

Zaledwie dorządów doszedłszy obdarował wspaniale Raciborski kościół zamkowy, założył przy nim kolegiatę <sup>1)</sup> i ufundował między 1292 a 1295 rokiem, zakon Krzyżacki na przedmieściu Odrzańskim (oder-Vorstadt) położony; nakoniec założywszy klasztor żeński pod wezwaniem Ducha S. wkrótce potem pobożny żywot swój zakończył.

Powodem téj ostatniej fundacyi była Zofija-Domicella najstarsza córka księcia.— Najczystsza pobożność wszystkich cnót od najmłodszych lat zdołała serce księżniczki, a żadne uciechy i powaby tego świata, oderwać nie mogły jej duszy od stałego postanowienia poświęcenia Bogu świętobliwego żywota. Gdy księżniczka doszła zaledwie dwunastego roku życia swego, syn księcia Brunszwickiego, czy też Margrabiego Brandeburskiego, zażądał jej ręki, lecz odpowiedziała mu z niezłomną stałością że: „Już wyższego, piękniejszego i mocniejszego wybrała sobie Oblubieńca.”

W czasie owym pokusy, jak twierdzi podanie, szukała księżniczka umocnienia w swém postanowieniu w żarliwych do Boskiego Oblubieńca zasyłanych modłach, na których nieraz bezsenne trawiąc noc na krużganku zamkowym <sup>2)</sup> od strony Odry położonym, z obszerném i wspaniałém na miasto i jego świątynie widokiem; następne razu jednego miała widzenie: Zdało się jej, jakoby cały Majestat Boski przed jej cielesnemi ukazał się oczyma, z pośród chmur ujrzała jasne trzy promienie nad kościołem S-go Ducha, a między niemi, białego jak śnieg gołąbka, na niego z góry się puszczającego. — Od téj pory w duszy, świętem widzeniem przejętej księżniczki, powstała pobożna myśl założenia pod wezwaniem S-go Ducha, klasztoru żeńskiego, niedługo potem, gdy do klasztoru księży Dominikanów pod wezwaniem S. Jakóba jeszcze przez Władysława w Ra-

<sup>1)</sup> Ta później w r. 1416 do miejskiego farnego kościoła przeniesioną została.

<sup>2)</sup> Krużganek ten, na pamiątkę pobożnej księżniczki, następni zamku posiadacze starannie utrzymywali; niedawnemi czasy dopiero wraz z całą jego częścią zawalił się w Odrę.

ciborzu w r. 1258 fundowanego, zjechał z Polski na kapitułę Prowincjał tychże zakonów Zdzisław z Krakowa, do skutku doprowadzoną została.

W uroczystym dniu 1 listopada 1299 roku, książę wraz z całą rodziną obiadał w klasztorze; gdy więc przy stole powtórzyła księżniczka błagalną i serdeczną do ojca prośbę o założenie klasztoru żeńskiego przy kościele S-go Ducha, pobożni zakonnicy z całej siły żądanie jej poparli.—Usłuchał książę i tego dnia jeszcze wyznaczył obszerny plac na gmach przyszłego zakonu i należne do niego budowle; a zdejmując (jak powiada własnoręczny rękopis jego) książęcy swój biret z głowy, położył go przed prowincjałem, na znak że mu prawo do tegoż placu odstępuje i mający się budować na nim klasztor w opiekę oddaje. Prócz placu, jak dokumenta fundacyjne z dnia 9 kwietnia 1306 r. okazują, darował jeszcze Przemysław klasztorowi folwark Ottily, wraz z dwoma młynami na Nowem mieście (Najsztadt), oraz dwa rybołówstwa; uwolnił go od wszelkich lenności i podatków, nadając mu, przez wzgląd, czy na słabszą płęć, czy też córkę, której to posagiem było, daleko więcej niż innym, w jego księstwie znajdującym się klasztorom, przywilejów.

Z przyczyny jednak tego małego zrazu uposażenia nie wielką była z początku liczba w nim znajdujących się zakonnic, które sprowadzone z Polski od księżniczki, w regule S. Augustyna, podług ustaw S. Dominika ćwicząc ją i nauczając, do przyszłego stanu sposobiły. W r. 1306 przybierając imię Eufemii, nie tylko przez cześć dla znanej na Wschodzie świętej, lecz i na pamiątkę babki swój po ojcu, fundatorce Opactwa Benedyktynów w Orłowie, (Orland) i Dominikańskiego kościoła w Cieszynie (Teschen), przywdziała księżniczka suknię zakonną i jednocześnie przez siostrę swą na przełożoną została obraną.

Piękny obraz przedstawiający przyjęcie przez nią sukni zakonnej znajduje się do téj pory w Raciborzu <sup>1)</sup>. Po lewej ręce spozstrzegać się na nim dają trzej księży reguły S. Dominika, w pontyfikalnych ubiorach, na stopniach Ołtarza tegoż S-go stojący. Kleczącej przed nimi w białej szacie czarnym przewiązanej pasem S-jej Eufemii, jeden z nich zawiesza szkaplerz na ramiona; obok na podłodze leżą tylko co przez nią zrzucone ziemskiej wspaniałości godła, jako to: kosztowna szata, bogate klejnoty, korona, pierścień i niebieskie jabłko. Oboje rodzice znaczni po książęcym

<sup>1)</sup> W kościele farnym, w niemieckiej kaplicy, po prawej stronie tegoż kościoła będący, w narożnym Ołtarzu.

stroju i rozczulonem ku uko chanem u dziecku zwróconem obliczu; stanowią środkową grupę malowidła; po prawej ręce dwóch świadków, zapewne najbliższych krewnych, oraz służba, dopełniają całości obrazu, na którym wiara, nadzieja i miłość: z całą ich niebiańską rokoszą, daną nam w zamian za znikomości i próżność ziemską, z uczuciem są oddane. Owe w górze na obrazie wśród obłoków wyobrażone grające anioły, zdają się rozrzewnionemu i złudzonemu oku, raczej rzeczywistości niż sztuki być dziełem. <sup>1)</sup>

Wkrótce po ukończeniu klasztoru, Przemysław pobożny żywot swój zakończył, oznaczyć jednak z pewnością którego roku, nie można; przez kilkakrotnie bowiem powtarzające się pożary, miasto Raciborz straciło Ratuszowe Archiwa, akta zaś od najdawniejszych czasów znajdujące się w zamku, gdy księstwo to przeszło w posiadanie PP. Wilczków, przez niegodne lekceważenie do palenia w piecach używano. Dokumenta jedynie dotyczące się klasztoru Dominikanek zdołano ocalić, oraz złożono je w Archiwum Narodowem w Wrocławiu. Wiadomem jest tylko, że o miej-

<sup>1)</sup> Istnieją także podania o przejściu podziemnem pod rzekę Odre, łączącym niegdyś klasztor Dominikanek z zamkiem; zbudowaniem zaś dla ułatwienia widywania się klasztorną kratą od świata przedzielonej już S-tą Eufemii z ojcem swoim, z którego sypialnej komnaty, do podziemia owego miało być wejście. Tajemnica o niem powierzona przez S-tą Eufemję jednej zaufanej siostrze zakonnej, która zwykle w owych wycieczkach jej towarzyszyła i pochodnią przyświecała, dopiero po śmierci jej, na łożu śmiertelnem także przy spowiedzi przez też siostrę zakonną, pobożnemu kapłanowi wyznana była, którego zapewne uznając tego potrzebę, następnie o niej uwiadomił przełożoną. Komnaty należące do księcia Przemysława, zatemi ta w której było komunikacyjne wejście, znajdowały się w części zawalonej zamku. — Wogrodzie zamkowym dziś widzieć się daje jeszcze otwór, jakoby od owego przejścia podziemnego pochodzący i na nim stoi kapliczka S-go Jana Nepomucena.

Wejście zaś od strony klasztoru niegdyś, gmachu Gymnazjalnego dzisiaj, znajduje się w niższym dziedzińcu (Unterhof) tegoż gmachu; dojsć niemi nawet można do połowy ogrodu gymnazjalnego, lecz duszne powietrze, jakoteż zawalone w niektórych miejscach sklepienie podziemia, czynią nie tylko niebezpiecznym lecz i niepodobnym przekonanie się o rzeczywistości owego tunelu, którego na owe wieki, barbarzyńskimi przez nas zwany, byłby dziełem sztuki stokroć więcej od dzisiejszego na uwagę zasługującym.

scu pochowania zwłok tegoż księcia, powstały spory między Kazimierzem i Mieczysławem braćmi jego, zakończone śmiertelną szczątków jego złożeniem w klasztorze owych przez niego fundowanych zakonnic.

Był nawet, w później budowanym kościele klasztornym nagrobek jego, lecz również przed niedawnym czasem, to jest około 1822 r. nim jeszcze kościół ten gminie ewangelickiej przez króla podarowanym został, świętokradzką ręką zniszczono.

Syn i następca Przemysława, Leszek, zrównań jak ojciec był dla klasztoru pobożnych dziewic przychylnością. W r. 1307 darował im trzy włóki gruntu obok S-go Jana na założenie folwarku, ogrodu, jatek i dwóch piekarni; 1313 r. dał znów wieś Proszowice, a w 1317 pozwolił wybudować kościół klasztorny. — Kiedy ze śmiercią jego w r. 1340 linja mężka Piastów w Raciborzu panująca wygasła, odziedziczyła Górny Szląsk najmłodsza siostra Leszka, Anna, małżonka Mikołaja księcia Opawy (Troppan) w osobie którego uzyskał klasztor również łaskawego i przychylnego, jak poprzednicy Piasci, protektora i dobrodzieja. Córki swe Agnieszkę i Elżbietę (Elka) z Anny zrodzone, oddał książę Stój Eufemii na wychowanie; i te, po jakimś czasie, wraz z zostającą przy nich nauczycielką Kunegundą, przywdziały suknie zakonne; również jak jedna z córek Ziemowita księcia Mazowieckiego <sup>1)</sup>, jakoteż wiele bo-

<sup>1)</sup> Linja książąt Mazowieckich pochodziła od Kazimierza Sprawiedliwego księcia Sandomierskiego, piątego syna Bolesława Krzywoustego r. 1138 z małżonki jego Salomei córki hrabiego Berga, zrodzonego, a który też księstwa po bracie swym Henryku, w wojnie z Prusakami za czasów Bolesława Kędzierzawego około r. 1167 poległym, odziedziczył i następnie podług ojca przepowiedni Królestwo Polskie w całość złączył i tron jego posiadał. Z syna tegoż Kazimierza i Heleny księżniczki Bełzkiej i Ruskiej urodzonego, a po dwakroć na tronie Polskim panującego Leszka Białego, młodszego brata Konrada, książęta Mazowieccy ród swój wiedli. — Konrad ów pierwszy, zabezpieczając się od napaści Prusaków, wezwał na pomoc Krzyżaków około 1228 r. i nadając im na lat 20 nadgraniczny powiat Chełmiński, tyłu zgubnych i morderczych stał się dla Polski przyczyną wojen. W wojnie także z Henrykiem Brodatym księciem wrocławskim o prawo opieki nad synowcem swoim Bolesławem Wstydlwym prowadzonej, używał Konrad pomocy dzikich hord Prusaków, Jadźwingów i Litwinów, otwierając im przez to, do późniejszych napadów na kraj Polski, drogę.

Miał on dwóch synów, ci byli:

gatyh i biednych szlacheckiego rodu panien, które w klasztorze S-tėj Eufemii młodość spędziwszy, poświęcało w nim i nadal pobożny żywot swój Bogu.

Długi czas przyjmowano tylko do klasztoru tego same szlacheckiego pochodzenia i znakomitego rodu dziewice; dopiero Papież Grzegorz XIII osobnym swym listem pozwolił wstępować do niego pannom z gminnego i mieszczańskiego stanu; pomimo tego jednak trafiało się to bardzo rzadko i późniój.

S-ta Eufemja przez swą pobożność i cnoty, podniosła klasztor w krótkim czasie do wysokiego znaczenia. Książęta i bogaci panowie, jako-też najbiedniejsze kmiotki, przez cześć i uwielbienie dla przełożonej, na wyścigi składali swe dary: dobrze zaś rozumiana jēj oszczędność, staranność i pieczołowitość długi byt mu zapewniała.

W roku 1316 darował Hymianus dwom córkom swym w klasztorze zostającym połowę wsi Bogunie, która po ich śmierci na tenże klasztor spaść miała. W r. 1331 ze swych oszczędności kupiła S-ta Eufemja część Berdziakowa (Bieskau), w tymże samym roku szewc Theodoricus darował ogród na gruncie Starėj wsi (Alten Dorf). W r. 1333 mieszcanka

Pierwszy Ziemowit, po którym rozrodziła się linja książąt Mazowieckich na Płocku, Sochaczewie, Warszawie i Czersku, ostatecznie po mieczu za Zygmunta starego na Janaszu i Stanisławie braciach, a synach Konrada wygasła, po których Mazowsze do korony Polskiej przyłączone zostało, pomimo roszczonego do niego prawa sukcesyi przez Odrowąża Wojewodę Ruskiego, Anny księżniczki Mazowieckiej zmarłych książąt siostry, małżonki.

Książęta ci: Janusz i Stanisław „przyjemnością, łagodnością i wielkomyślnością tak sobie ujęli serca ludu, że po ich śmierci żal jego do rozpaczyprowadzony poświęcił okropnej zemście kilka niewinnych ofiar, posadzanych o zadanie książętom trucizny.” Pochowani w Warszawie, gdzie w katedralnym kościele S-go Jana, dwóch uzbrojonych leżących rycerzy wyobrażający nagrobek, dotąd istnieje.

Drugim synem Konrada był Kazimierz; synami zaś jego po zmarłym bezpotomnie wraz z żoną swą S-tą Kunegundą Beli VI króla Węgierskiego córką po Bolesławie Wstydlwym na tronie Polskim panujący między 1279 i 1289 rokiem Leszek czarny, także bezpotomnie zeszy, i ów w dziejach Polski pamiętny, po trzykroć z króla wygnaniec i tułacz Władysław Łokietek, ojciec Kazimierza W. na którym w r. 1376 skończyło się linia męzkiej Piastów na tronie Polskim około półpiąta wieku już trwające panowanie.

imieniem Gertruda zapisała także ogród wraz z piekarnią. W tymże samym roku Papież Benedykt XI uwolnił klasztor od wszelkich podatków i dziesięcin duchownych. W r. 1337 kupiła S-ta Eufemia za 400 grzywien Zauchwitz od księcia Mikołaja; 1339 r. nabyła Autizkau i połowę Wurmuntowa; 1340 r. po skonię księcia Leszka, kupiła za 650 grzywien miasto Bauerwitz z wsiami: Zilichowicze, Eiglan i Czirmgawą (Tschirmgau).— Bauerwiczanie jednak stali się dla klasztoru ciągłego kłopotu przyczyną; akta wzmiankują często o zaszyłych szczególnie in puncto robotarum, processach i rokoszach. W r. 1343 kupiono znów wieś Benkowice, w następnym zaś roku, Papież Klemens potwierdził klasztorowi wszystkich tych dóbr posiadanie. W r. 1352 dokupiła S-ta Eufemja resztę Berdziakowa (Bieskau), 1354 r. darował książe Mikołaj przez klasztor płacone mu dotąd rocznie 15 grzywien. W r. 1358 czując S-ta Eufemja, że wkrótce z doczesnego siostr swych zgromadzenia wieczności będzie powołana progi, z uczuciem wdzięczności obejrzawszy skarby i dobrodziejstwa któremi Bóg ją obsypać raczył, zajęła się myślą przekazania i zapewnienia posiadania ich najdroższemu swemu klasztorowi, które to rozporządzenie zrobiwszy, zasnęła w Panu dnia 17 stycznia następnego roku.

Krótkość tego opisu za ledwie kilka rysów z ostatniej jēj woli tutaj zamieścić dozwala.— Głównie zapisy były dla dwóch w klasztorze zostających księżniczek Agnieszki i Elżbiety. Przeznaczyła im cztery wioski z prawej strony Odry położone, to jest: Lüssek, Pogrzebin, Lubom i Markowice; rocznie zaś zapisała im z każdej z dziesięciu jatek w mieście Soprau po półpięta kamienia czystego łożu, po jednej polskiej grzywnie 8 skudów wynoszącej z każdego sklepu, po sześć skudów czynszu z każdego morga gruntu przy mieście Raciborzu położonego, oraz od komorników szerokiej ulicy, wału i świnię targu po kopie groszy.— Prócz tego dała im jeszcze wieś Bojanów wraz z przyległościami, miasteczko Bauerwitz wraz z górami i od dawnych czasów należącemi do niego wsiami: Dzielegowem, Czerwonką i Sołkowem. Współudział w tem miała mieć Anna księżniczka Mazowiecka w tymże czasie w klasztorze będąca. Wieś Berdziaków (Bieskau) otrzymały tylko same Elżbieta i Agnieszka, połowę zaś Zauchwitz z wsią Uczykowem, folwarkami Warmuntowice i Mazurowem dla samej Elżbiety przeznaczone zostały.— Prócz czterech wiosek po prawej stronie Odry położonych, odziedziczyć to miała Anna na przypadek

gdyby Elżbietę i Agnieszkę przeżyła, a z nią wspólnie posiadać miała te dobra córka księcia Jana, gdyby miał jaką z małżeństwa zrodzoną; a jeśliby ta klasztorne śluby wykonała, to po niej dopiero ostatecznie to wszystko na niego spaść miało. — Tym sposobem umierając S-ta Eufemja okazała do fundowanego i przez 52 lat bogobojnie przez siebie zarządzanego klasztoru, stałe swoje przywiązanie. W ostatnich chwilach jeszcze, prócz modłów o jego pomyślność do Boga zasyłanych, troszczyła się o stałe zapewnienie mu tego, coby na przyszłość zabezpieczyć go mogło od igrzyska losu i rachuby ludzkiej.

Nie można wiedzieć z pewnością gdzie jej kości pierwszy znalazły spoczynek, ani też o czasie założenia kaplicy S-go Dominika, na boku klasztornej kościoła położonej, ani o wieku później tam zrobionego grobu. — Z tego tylko, że kości jej zamknięte były w naczyniu ołowianém zaledwie półłokcia długiem wnosić można, że później w niem zamknięte były. Kilkakrotne przebudowania, oraz powtarzające się pożary, zatarły ślady pierwszego kościoła i klasztoru; z resztek tylko pozostałej architektury o ich wieku i czasie sądzić można.

Z wdzięcznością, czciły pobożne dziewice wspomnienie swój dobrodziejki. — Ona zdawała się dla tego tylko za znikłą ich oczom, żeby jako jasna i niebiańska opiekunka czuwać nad niemi z troskliwością, a ducha ich podnosząc do Boga, do naśladowania znakomitych swoich cnót zachęcać mogła. Grób i obraz licznemi długi czas słynące cudami, były największą klasztoru świętością, najdroższym jego skarbem.

Niezbadane jednak są wyroki Boskie! choć za dłu-

giem byłoby opowiadać tu dalsze tegoż klasztoru koleje, ze smutkiem wspomnieć muszę, jak wszystko na świecie po długiej i trwałej pomyślności, przez nieprzewidziane nieszczęścia, nieumiejętne rządy i wojny do upadku chylić się musi, tak i klasztor zaczął; a postanowieniem z r. 1810, ostatecznie w bardzo smutnym stanie już będący, skasowanym został. — W następnych wojennych latach, obszerne gmachy jego służyły na lazaret; w końcu gdy król założył Gymnazjum Ewangelickie w Raciborzu, mury jego z odpowiedniemi przerobieniem, na pomieszczenie tegoż zakładu naukowego przeznaczone zostały, kościół zaś oddano gminie ewangelickiej.

Wprzódym nim zawaleniem grożąca kaplica S-go Dominika rozebrana została, znalezione w grobie tejże kaplicy, pośród licznie tam spoczywających siostr zakonnych zwłoki S-tój Eufemii, do kościoła parafialnego katolickiego w dniu 11 maja 1821 r. przeniesione zostały, ze wspianą processją przy odgłosie dzwonów, asystencyi świeckiego duchowieństwa jako też i konwentów męzkich i żeńskich w Raciborzu jeszcze będących, oraz urzędu Muncypalnego i licznych mieszkańców zgromadzenia.

Następnie mury klasztoru zwalono i na fundamentach dwóch głównych skrzydeł, Gymnazjum wzniesiono.

Teraźniejszy nadgrobek S-tój Eufemii, wyobrażający leżącą zakonnicę w otwartej trumnie na marmurowym sarkofagu postawionej, znajduje się w Polskiej kaplicy, w kościele parafialnym w mieście Raciborzu.

*Julja Barwińska.*

## BABIRUS (SUS BABIRUSA.)

(Z RYCINĄ KOLOROWANĄ.)

Francuzi to szczególne zwierzę nazywają swiniojeleniem (Cochoncerf), gdyż istotnie, wielkość, szybkość w biegu, nogi szczupłe i wysokie, oraz ich kształt tudzież kolor żółtawo-szarawy, wszystko-to przypomina jelenia. Głowa zaś z przedłużonym ryjem, uszy w tył położone, szerokość szyi i szczęki, niemal zupełnie ze swinią daje Babirusowi podobieństwo. — Z powo-

du przedłużonego ryja, mającego giętkość i ruchomość, większą niż u świń, z powodu sterczących do góry włosów na karku i fałdującej się skóry, można by także niejaki podobieństwo w nim do morskiego konia i do słonia upatrzeć. Wszelako mimo tych pozornych podobieństw jest to zwierzę tak od innych różniące się, że słuszne podziwienie szczególność







jego tak w starożytnych naturalistach jak i w dzisiejszych obudza mianowicie z powodu składu zębów czyli kłów. Niewątpliwie jest to karykatura każdego zwierzęcia, do którego podobnym jest cokolwiek biedny Babirus; a mianowicie, wspaniałej postaci jelenia nader uchybiają ci, co go porównują z owym ciężkim tułowem, na jego cieńkich i zwinnych nogach umieszczonych z niekształtną głową, której ozdobą zamiast pięknych jego rogów, są kły zwierchnie w kształcie baranich rogów między oczami i do góry pozakręcane u samicy są bardzo małe i nie zakręcone. Ten rodzaj zębów, jakich w żadnych zwierzętach nie można spotkać, zwrócił uwagę Greków i Rzymian; ci wiele opisów tego zwierzęcia zostawili, wszakże dopiero dzisiejszym podróżnikom francuzkim zawdzięczamy dokładną znajomość Babirusów, z których parę do Europy przywieziono.

Główną siedzibą a raczej ojczyzną tych zwierząt są wyspy na Archipelagu, lubią one bowiem w mokrych miejscach, w zaroślach z trzciny i innych wodnych

krzewów przebywać.—Do innych szczególności natury swojej łączą i to, że lubią wodę i zanurzają się w niej, pływając wybornie. Babirus jest łagodnym, lęklwym zwierzęciem i nader łatwo się oswaja, gdy się uda pochwycić go w młodym wieku. Nie może być łatwo mnożącym się i ztąd tak cena jego jest wysoka. Twierdzą podróżni, że krajowcy, gdy im się uda sprzedać to poszukiwane dla swój osobliwości zwierze, biorą za sztukę po 3,000 franków.—Według naturalistów główne cechy Babirusa są następujące: kształt ciała dość wysmukły—obrosły nie szczecina, ale siercią,—ogon długi, w końcu kiciasto-zakręcony, wcale nie tak nikły jak u świni. Nogi wysokie, szczupłe, cztero-kopytkowe. Głowa szczupła, długa, z przedłużonym ryjem; konchy uchove kończyste, małe, w górę podniesione. Zębów ma po 6 w obiedwóch szczękach. Kły spodnie przedłużone, zwierchnie ciensze, okrągłe, jak rogi baranie w ślimak zakręcone—trzonowych zębów mają po pięć.—Mięso ma być nader smaczne.

## JERZY OSSOLIŃSKI.

Urodził się w pamiętnym Unią roku 1595, 15go Grudnia, o kilka tylko miesięcy po królewiczu Władysławie (urodzonym w Czerwcu): synem był Zbigniewa na Ossolinie, Kasztelana Żarnowskiego, później starosty Drohickiego, a w miarę zasług wojewody Podlaskiego i Sandomierskiego, męża sławnego z wymowy, przywiązania do Zygmunta IIIgo, oraz obywatelskich zasług.

Matka jego Anna z Firlejów, poślubiona w 1594 roku, była drugą Zbigniewa żoną. Oprócz Jerzego miała ona jeszcze trzech młodszych synów Piotra, Mikołaja i Jacka; ten w 1601 r. urodzony, kilka zaledwie żył godzin; a w tydzień po nim—w Sandomierzu, i Anna oddawna chora, cierpiąca na skira w piersiach,—przeniosła się do wieczności.

Troskliwość jej macierzyńska i oględność dobrej gospodyni, przeżyły ją w jej testamencie, który za prawdę jest zabytkiem nader ciekawym dla naszych czasów. Bogata Firlejów dziedziczka przed śmiercią zakłęła pod niebłogosławieństwem bożem poufną swą Jadwigę Młodnicką aby wraz z mężem Hieronimem czuwała nad jej sierotami, a szczególnie nad Jerzym

póki do szkół niepójdzie: Znać przewidywała iż mały Jerzy, obdarzony zarodem wielkich zdolności, na złe ich użyć może pod niebacznym lub pobłażliwym dozorem. A może też obawiała się zbytniego przywiązania Zbigniewa do tak wiele obiecującego dziecięcia? — cóżkolwiek bądź to pewna iż poleciewszy mężowi obojga Młodnickich w testamencie — szatnię swą rozpisala między służebne w upominku. Szarafań czarny kunami podbity, letnik czarny aksamitny i takąż czapkę z bobrem przeznaczyła dla Młodnickiej, droższe szaty aksamitne pannie respektowej, krewniej jegomości (męża)—lichsze, jako to: letniki, tabiny z scygrynu lub muchajeru, kazała rozdać służebnym niższego stopnia; poczem wymieniwszy ile każdemu ze służebnych i pachółków jeszcze się należy i dawszy jakiś każdemu naddatek, o starszym synku to zamieściła polecenie:

„Proszę Jegomości, aby gdy Jerzy podrośnie, przy sobie go niechował, i powierzchu mu chęci nie bardzo pokazywał.”

Dziwne ze strony matki polecenie! a przecież zważając na to, że mały Jerzy miał siostrę i braci przy-

rodnych—oraz że jeszcze mógł się spodziewać macochy, rozsądne, i przenikliwości umierającej dowodzące.

Z pierwszej żony Zbigniewa na Ossolinie, Siemińskiej Jadwigi wojewodzianki Podlaskiej, zostało dwóch synów Krzysztof i Maxymilijan, oraz córka Helena. Ci dwaj synowie doszli już lat młodzieńczych gdy dziesięcioletni Jerzy wysłany został do Pułtuską w 1605 r. do Kollegium XX. Jezuitów. — Tam mały synek odznaczył się pilnością w naukach podczas dwuletniego pobytu, lecz gdy w 1607 zaraza morowa nawiedziła Polskę i doszła do Pułtuską, ojciec odebrał go ze szkół — i wraz z najstarszym synem Krzysztofem, udającym się na dwór Arcy-xcia Ferdynanda odesłał do Gratzu, do Konwiktu XX. Jezuitów — Już wtedy Piotr i Mikołaj bracia rodzeni Jerzego — nieżyli.

Surowe podówczas było wychowanie młodzieży; przyszłych mężów senatu przyzwyczajano z lat młodych do ewangelicznej pokory, do wyzucia się ze swego *ja*, pokonywania *swój woli*, téj woli nierozumnej a wyuzdanéj, która często niewiedząc czego chce, zdrożności się dopuszcza. I młodzież stosowała się do tego trybu, cześć starszych poczytywała sobie za święty obowiązek ludzkiemi i bożemi prawy zalecony — a korząc się pod surową rodziców wolą, w milczeniu znosiła wymagania i kary nauczycieli. Nadmienia o tem Jerzy w swym dyaryuszu, w wyrazach następujących:

„Żyłem tam (w Gratzu) szczupłym kosztem w wielkiej skromności, mając przy sobie tylko Antoniego Papokorta Westfalczyka z Padérbornu, człowieka dość uczonego ale grubego i zjadłego; od którego częstokroć ciężkie a niewinne razy cierpliwie znosił.”

Widać, że cierpliwość i pokora, tak dziś mało od wszystkich a najmniej przez młodzież wykonywane, niewyzuły Jerzego z uczucia osobistej godności, ani téż zdolności do nauk w nim niestłumiły. Chlubnie skończył trzy wyższe klasy; tak zwaną poetykę, retorykę i filozofiją. — W téj ostatniej napisał *theses* i stryjowi swemu Henrykowi Firlejowi dzieło to przypisał. W czasie od nauk wolnych bywał u Arcy-Książąt bawiących podówczas w Gratzu, — zapoznał się téż z wieloma paniętami niemieckimi; a w 17 roku życia ukończywszy nauki, w 1612 do Polski z bratem Krzysztofem powrócił.

Wtedy właśnie gorsza od morowej zarazy wojna domowa srożyła się w kraju. Niebacząc na postronne wrogi dręczące Rzeczpospolitą, Zebrzydowski pod-

niósł rokosz i w 1613 pola Janowca o mało krwią się bratnią niezlały. Ale Zygmunt IIIci miał nie wyczerpaną cierpliwość i nadludzką zapomnienia urazę, przeto dał się ubłagać trzem przyjaciółom zgody i pokoju: byli to Zbigniew Oleśnicki, podlaski wojewoda, Alexander Chodkiewicz, trocki i Adam, Czarnkowski, łęczycki — ich to prośby powstrzymały acz niedługo bratobójczą wojnę. Ułagodziwszy umysły rokoszan, — Zbigniew pojechał do Kliunmtowa po Jerzego, przywiózł go na sejm Warszawski — a gdy się sejm ukończył, na dalsze do Lowanijum wyprawił nauki, przydawszy mu za *starszego* (nauczyciela) Michała Possodarego, bardzo biegłego w obcych językach, oraz już nam znanego Papokorta.

Ciekawe są rady na piśmie Jerzemu od ojca dawane. Zaleca on synowi bogobożność, pilność w naukach, skromność — życie w mierności (lubo wielkich dostatków był dziedzicem po matce) — złych towarzystw zakazuje, pilnego ćwiczenia w krasomóstwie doradza; poprzysięgając przez miłosierdzie boże aby powrócił światłym i cnotliwym, a niezawiódł nadziei ojca i społeczności. Nic téż dziwnego że przywiązany i pobożny syn, przez rok pobytu w Lowanijum więcej skorzystał, niż inni po kilkoletnim nauk słuchaniu. W 1614 roku udał się do Anglii, Hollandyi i Paryża; — tańca i matematyki wyuczył się w stolicy Francyi, w następnym zaś roku na rozkaz ojca pojechał do Włoch, zwiedził Padwę, Rzym, Wenecyę i Neapol, zkąd po 3-ch-letniej niebytności — na wezwanie ojca stawił się w Krakowie w 1616 roku.

Królewicz Władysław, doświadczając młodych sił swoich, zabierał się wówczas do wojny; hetmanem i głową téj wyprawy był Jan Karol Chodkiewicz, a mnóstwo serc młodych i gorących, oraz dużo rąk pochopnych do oręża, kupiło się koło królewica, aby uczestniczyć w jego niebezpieczeństwach i sławie.

Jerzy zapragnął także skosztować żołnierskiego chleba; przeto choć Zygmunt III, dla jego wczesnej roztropności oraz, zasług ojca, chciał go mieć przy swoim boku, — młodzieniec wypraszał się od téj łaski, i tyle przez wpływy krewnych dokazał, że go w orszaku królewica policzono. Wezwany 14go Marca 1616 r. na pokoje królowej, zastał Konstancyą w towarzystwie króla oraz jéj ulubienicy Urszuli Mejerin, — królowa Konstancya uczyniwszy do Władysława rzecz po niemiecku, oddała mu Jerzego za pokojowca, poczem oboje krolestwo upominali Jerzego, aby wiernie i cnotliwie swemu służył panu.

Słońce dworskie niezbyt pogodnie świeciło Jerze-

mu; roztropny, śmiały, uczony i uprzejmy, niepodobał się ulubieńcowi królowica, młodemu Stanisławowi Kazanowskiemu. Bał się zapewne Kazanowski współzawodnictwa Jerzego, i zazdroszcząc mu łaski królowica, coraz nowe z Jerzym miał niesnaski. Napróżno Plichta, kasztelan Sochaczewski, mający zarząd nad całym dworem Władysława oraz i nad wojskiem aż do przybycia którego z hetmanów, — utrzymywał stronę Jerzego, sprzeczki ustawały na chwilę, by z większą wybuchnąć zajadłością. Duma i przewaga całego Kazanowskich rodu wszystkim prawie w obozie będącym stawały się nieznośne, — lecz Władysław mając sobie danego za mistrza w sztuce wojennej Zygmunta Kazanowskiego, Kokenhawskiego starostę, ojca Stanisława, kochał ten ród cały; miłując swego mistrza który rzeczywiście znamienitym był mężem, w dziełach rycerskich biegłym, i całą duszą do królowica przywiązany.

Byłby więc Jerzy zgubiony przez tak potężnych przeciwników i tyle wpływu na umysł jego pana mających; broniła go wszakże powaga hetmańska. Chodkiewicz, stryj Jerzego, łagodził póki mógł te spory, lecz gdy Kazanowscy i jemu bruzdzić zaczęli, kłótnie w przedpokojach królowica wszczęte oparły się aż o Warszawę — i Zygmunt IIIci powagą ojca i pana wdać się w to wszystko musiał.

Zdarzyło się raz, że gdy hetman sprawiał pułki do boju — a Marcin brat Zygmunta Kazanowskiego wydał niektórym chorągwiom rozkaz przeciwny zupełnie poprzednim rozkazom hetmańskim, obrażony Chodkiewicz i karność wojskowej święcie strzegący, rzucił w gniewnym zapędzie buzdygan za Kazanowskim tak, że czapkę z głowy zerwał. Na ten widok chorągwie nieposłuszne pędem błyskawicy przebiegły na stanowisko przez hetmana wyznaczone, Marcin Kazanowski przestraszony, umknął przed gniewem hetmańskim, — sam królewicz się przeląkł, ale na tych domowych rozterkach czas upływał: Chodkiewicz każdą sprzeczkę, każdy opór jego hetmańskiej władzy stawiony, odchorować musiał, — wyprawa szła niedość pomyślnie — a sam tylko sahadaczny Konašewicz walczył ze swymi Zaporozcami, i zwyciężał.

Po zdobyciu jednego miasta i kilku dość szczęśliwych utarczkach, w których Jerzy odznaczył się walecznością — zaczęto wchodzić w umowę z nieprzyjacielem i w 1618 r. stanął pokój między stronami wojującymi; to skróciło żołnierską i dworską służbę Jerzego.

Jeszcze w 1617 roku gdy hufce Władysława ciągnęły przez województwo Bełskie, niektóre chorągwie

stały u Uchańskiej wojewodziny Bełskiej, wdowy po sławnym z poselstwa do Stambułu — Pawle Uchańskim.

Przy wojewodzinie bawiła wtedy ukochana jej wnuczka, cnotliwa i znamienicie piękna Izabella Daniłowiczówna, córka Mikołaja podskarbiego koron. Tę gdy zobaczył Jerzy, uczuł że nie ma tarczy przeciw miłości pocisków, a gdy rozkochany, babce Izabelli chęci swe oświadczył i wojewodzina mile te oświadczenia przyjęła, zwierzył się swych zamysłów przyjacielowi swemu Jakóbowi Sobieskiemu synowi lubelskiego wojewody, idącemu podówczas na wojenną z Królewicem wyprawę; oraz Krzysztofowi bratu swemu. List jego pisany do brata, wpadł w ręce Zbigniewa Ossolińskiego — który bojąc się aby te amory niepowściągnęły młodzieńca od służby i żołnierki, listownie zgromił jego uczucia. Przecie niezrażony tém Jerzy, gdy po dwuletniej wyprawie wrócił wierny swój ulubionej — ojciec dał się jakoś przebłagać i oprócz pieniężnej pomocy, niczego mu, coby do swatów pomogło nieodmówił.

Jednak mnóstwo innych trudności miał Jerzy do pokonania. O rękę ukochanej, szedł na przebój przez bogaty wojewodów, senatorów, nawet i książąt — orszak. Najstraszniejsi jego współzawodnicy byli: Jan Żółkiewski Hrubieszowski starosta, syn hetmański — Jan Wyszkowski, starosta Nowomiejski — a później Janusz xiąże Ostrogski — który byłby niezawodnie uzyskał rękę Izabelli, gdyby go śmierć niebyła zaskoczyła w Lublinie, jadącego już w oświadczyzny do Uchań. — Nieśmiały Jerzy póty się rodzicom panny oświadczyć, póki byniemiął jakiego własnego kącika; ustąpił mu wreszcie Stanisławowskiego starostwa ojciec, — a młody starosta pewniejszy już swego szczęścia, bo mu i panna statecznie sprzyjała, oświadczył się Daniłowiczom i przyjęty został. Czy przewidywał podówczas iż te związki tak blisko tronu go postawią — że zaślubia ciotkę bohatera i króla? Siostrą Izabelli stryjeczną była owa sławna mężkim duchem Teofila, żona Jakóba Sobieskiego; ich synem, Jan III.

Gody weselne Jerzego zaszczycone były obecnością Zygmunta IIIgo oraz jego małżonki, a po ukończeniu onych, wziął go król do swego boku i swym podkoniuszym uczynił.

Podeszły już w latach Zbigniew Ossoliński, widząc że syn jego najmłodszy myśli o swém postanowieniu, zamierzył uczynić dział majątkowy, ale pragnąc utrzymać zgodę i miłość braterską między dziećmi swemi, chciał im wszystkim po równej części wydzielić. Czterokrotnie żonaty z dwóch tylko pierw-

szych żon miał potomstwo; lecz matka Jerzego pięć-kroć więcej wniosła mężowi od wojewodzianki Podolskiej. — Nieśmiały ojciec nakłaniać najmłodszego syna do swoich zamiarów, wszakże dowiedział się Jerzy od krewnych, o chęciach ojca — na równy podział zezwolił — i tylko prosił aby odwieczne gniazdo przodków — Klimuntów, gdzie były groby rodziny Ossolińskich, dostały mu się w podziale. Przyzwolił nawet na to, aby dożywocie ojca na jego było majątnościach, wierząc po chrześcijańsku że tę synowską powolność Bóg mu wynagrodzi; tak o tém w dyaryuszu swym pisze:

„Miłość ta moja ku ojcu i braci, sownie się mi wynagrodziła od Boga hojném Jego błogosławieństwem, za łaską bożą, a mojem poczciwem staraniem w majątności i ochędóstwie domowém prędkom braci mych prześcignął; choć po tak dostatniej matce ani jednego spienia nie wziąłem.”

Klęska pod Cecorą przejęła trwogą naród cały; sejm w Warszawie 1620 r. uchwalił kilka poselstw jako to: do Grzegorza XVgo, do Ferdynanda IIgo, do książąt rzeszy n. oraz do króla Anglii. Jakóba IIgo, z prośbą o posiłki przeciw potędze Ottomańskiej. Lubo Jerzy Ossoliński niezasiadał jeszcze w senacie przeciw poselstwo do Anglii (jedyne które się udało) jemu Zygmunt IIIci powierzył. W owych wiekach urząd poselski wymagał nie tylko rozumu i nauki, ale i wielkiej tęgości ducha, oraz odwagi osobistej i hojności.

Poselstwo własnym kosztem zwykł był odprawiać poselstwo; prowadząc z sobą liczny dworzan poczet, wozy ładowne skarbami, konie co najwyborniejsze, a to wszystko aby świetnością, bogactwem, ujęć serca tych, do których był wysłany, także aby dać dobre wyobrażenie o bogactwie i potędze swego narodu.

Trzeba więc było na przyzwoite odprawienie poselstwa pieniędzy nie mało; Jerzy Ossoliński nie miał ich podostatkiem — ale go zasilił niemi Daniłowicza ojciec jego żony, i 27 Stycz. 1621 puścił się nasz poseł w drogę do Anglii. Stanąwszy 22go Lutego w Hamburgu, wspaniale od radnych miasta podejmowany, nie zważał na topniejące już lody Elby, przebył je, a potem Ren krą okryty — w Marcu stanął w Antwerpii, gdzie zatrzymawszy się dni kilka, dwór swój przystojnie oporządził i orszak poselski przybraniem liczniejszej służby powiększył. Wsiadł potem na okręt w Flissingen — w téj przeprawie straszna zaskoczyła go burza; już nawet lękano się rozbicia okrętu, gdy przecie morze ucichło — i Ossoliński szczęśliwie zawinął do Gravetyngi.

Przybył tam wkrótce Robert Stuart na powitanie posła imieniem swego dostojnego krewnego Jakóba króla Anglii — świetny orszak towarzyszył przybyłemu — a 27 Marca poseł nasz wsiadł na łodzie królewskie bogato złożone, i kosztownemi, w złoty haft zdobnemi, dekami pokryte — i tak wpłynął do Londynu. Na brzegu Tamizy już go czekał otoczony baronami i panami dworu, hrabia Warwick i do karety królewskiej zaprosił — kilkadziesiąt innych karet czekało na towarzyszy posła.

Przez ciąg swego kilkomiesięcznego w Londynie pobytu, zamieszkiwał poseł ze swym orszakiem jeden z pałaców królewskich — przy czém był kosztem królewskim podejmowany.

Najważniejsze punkta, o które miał Ossoliński umawiać się z gabinetem londyńskim, były następujące:

Jakób IIgi miał pozwolić Zygmuntowi IIImu na zaciąg żołnierzy w krajach W. Brytanii, i własnym kosztem pięć tysięcy takiego wojska aż do Gdańska dostawić. (Zaciągi takie z ludzi obcego narodu na obronę małego im znanego kraju, bywały w owych wiekach powszechne w Europie).

Proszony też był król Anglii o pośrednictwo między Szwecją w wojnie naówczas będącej o Polskę, — oraz aby Zygmuntowi do odzyskania korony szwedzkiej drogą układów — dopomógł. — Nawzajem Zygmunt IIIci — przyrzekał wstawić się do swego krewnego Ferdynanda IIgo Cesarza Niemiec, aby Fryderykowi Falcgrafowi Renu zięciowi Jakóbu IIgo, kraj dziedziczny powrócił — z którego Ferdynand cesarz wyzuł Falcgrafa karząc go za przyjęcie korony czeskiej.

Przyjaźń Jerzego Ossolińskiego z księciem Buckingham (Jerzym Willars) ulubionym Jakóbowi IImu wiele się przyczyniła do szczęśliwego zawarcia tych układów. Pamiętał nasz poseł i o prześladowanych przez Kościół anglikański Katolikach, którym nieco ulgi wyjednał — a ukończywszy swe poselstwo, do Polski pośpieszył, tém skwapliwiej że pragnął w wyprawie na Turków mieć udział. Ale przybył już zapóźno, równie jak i zaciągi w Anglii zbierane. Już albowiem skończyła się wyprawa. Jak Karol Chodkiewicz, sławny bohater z pod Kirnholmu, choć mocno chory i śmierci już blizki, tak mędrze okopał się w 1621 pod Chocimem, i tak dzielnie częstemi wycieczkami trapił obóz turecki — iż przełamał potęgę Osmana; i lubo w walnej bitwy nie stoczył — umarł zwyciężcą w tej wojnie Chocimskiej.

Ossoliński powetował sobie wkrótce zawód jakie-

go doznał w swych wojowniczych zamysłach. — Wojna bowiem nie ustawała — granice kraju coraz to z innej strony zagrożone, nigdy za nadto niemo-gły mieć obrońców. Straszniejszy od innych przeciwnik Gustaw Adolf najechał Inflanty w 1621; przeciw niemu uzbroił Ossoliński własnym kosztem chorągiew i liczne dowody mężstwa dawał na jej czele. Gdy później przyszło do ugody ze Szwecją, król wyznaczył Ossolińskiego komissarzem, i po ukończonej Altmarskiej umowie, pracę jego podstolstwem koronnym nagroził.

Władysław IV zasiadłszy w 1632m na tronie, pamiętny dawnych Ossolińskiego usług, wdzięczny za popieranie jego elekcyi, wybrał go na posła do Rzymu. Szło królowi o zagodzenie sporu akademii krakowskiej z Jezuitami, o jakieś dziesięciny — i zapewne o pieniądze pomoc na wojnę turecką — o której przemyślał Władysław IVty.

To poselstwo odbyło się w 1633m. Sławne prze-pychem — i ztąd powszechnie znane, więc też go tu nie opisujemy. — Z Jezuitami podobno coś wskórał Ossoliński u ich prowincyała w Rzymie: zasiłek pieniężny nie wiemy czy otrzymał, wojna bowiem nie przyszła do skutku. Lecz to wiemy że zachwycił oczy i wyobraźnię Włochów — a jego sławny wjazd do Rzymu przez współczesnych pędem, sztychem i drukiem uwieczniony — opiewany przez poetów włoskich, może jeszcze po dziś dzień zdumiewa podróżnego, na ścianie jakiej ubogiej karczemki w Apeninach, lub w ustach ludu włoskiego brzmi jako legenda. — Bo też zakrawa na tysiąc nocy i jedna — powieść o kilkuset rycerzach strojnych w dyamenty, purpurę, złoto. Ogubiających umyślnie złote podkowy koniach, o jeźdźcu, którego wierzchowiec na złotym był munsztuku i który tak sprawnie toczył koniem, że ów munsztuk w kawałki poszarpany, ludowi na łup rozrzucił. Tym jeźdźcem był Ciekliński sekretarz królewski.

A sam poseł błyszczący od dyamentów i piękny jak Apollo, a wymowny jak Cycero — obok tego katolik gorliwy, bo w kilka dni po swem u Ojca Śgo posłuchaniu; pobożnie obchodził mimo dni zimnych i niepogodnych wszystkie kościoły w Rzymie. A owe cudne arabskie rumaki — lub czystej polskiej rassy wierzchowce — najlepszej z rass europejskich. — Italijska w rzeźbie tylko widziała takie rumaki, tak szybkie — tak sprawne!

Urban VIII dawszy Ossolińskiemu posłuchanie, nadał mu dyplom mianujący tytułem książęcym dziedziców Ossolina; taki sam tytuł i tegoż roku otrzy-

mał Ossoliński od Ferdynanda IIgo w powrocie przez Niemcy. — Widząc jednak że szlachta sarka na te świeżo nadane tytuły — a może przeświadczony że był wielkim i bez mitry, książęcemu tytułu nigdy nie używał.

Doświadczywszy Władysław IVty jak sprawnym w układach z obcemi mocarstwami był Ossoliński, wysłał go w 1636 na sejm, który Ferdynand IIgi zwołał do Ratysbony, w celu obrania króla rzymskiego. Ossoliński miał popierać wybór Ferdynanda Karola węgierskiego, syna Cesarza Niemiec, tudzież prosić o rękę Cecylii Renaty córki Ferdynanda IIgo — przytém upomnieć się o jakąś Brunświckę zastarzałą już sprawę, (kto wie czy nie o schedę Zofii Zygm. Igo córki, księżnej Brunświckiej?) Niechętnie udał się Ossoliński do Ratysbony, przewidywał trudności wielkie ze strony książąt rzeszy, jakoż się i nie mylił — powoli bardzo zjeżdżali się na ten sejm elektorowie: nie wszyscy przybyli, bo wojna 30letnia zatrzymywała ich na polu bitwy i pochopniejsi byli do oręza niż do rady. Króla Rzymskiego nie obrano — w sprawie Brunświckiej nic Ossoliński nie wyjednał dla Władysława IVgo — same tylko powiodły mu się swaty, i arcyksiężn. przyrzeczono w małżeństwo królowi. Skorzystały jednak Niemcy na bytności Ossolińskiego w ich kraju — uspokoił bowiem Lisowczyków, których ośmiotysięczny hufiec wysłany Cesarzowi w posiłek, przeszedł Ren, gromiąc zastępy Francuzkie. Że jednak od roku nie byli płatni — a duch kozacki nie mógł się zgodzić z niemieckim; powrócili więc do Czech i tam, ówczesnym żołnierskim obyczajem, żołąd wybierali. Do nich to napisał Ossoliński grzeczny lecz w mocnych wyrazach list — przekładając im że niepostępują jak na chrześcijańskich rycerzy i synów Rzpospolitej należało — a na rozsądzenie ich, o żołąd nie odebrany zażaleń, wyznaczył sekretarza królewskiego Torbesa; poczem opuścił Niemcy otrzymawszy od Ferdynanda IIgo wielkiej przychylności dowody — od Władysława zaś IVgo Województwo Sandomierskie. Kiedy po zgonie Tomasza Zamojskiego zawakowało kanclerstwo koronne w 1638 — Ossoliński otrzymał pieczęć mniejszą, we dwa lata później, gdy król na biskupstwo Krakowskie posunął Piotra Gębickiego kanclerza, stróżem wielkiej pieczęci Ossolińskiego uczynił. Ustanowienie poczty w 1647 r. kraj winien Ossolińskiego namowom. On, po zgonie Władysława w 1648 r. poparł Jana Kazimierza elekcyą — a gdy w owych krwawej pamięci czasach — Chmielnicki hardą podniósłszy buławę — śmierć i pożogę niósł w nasze

granice; owdowiała zaś królowa Marya Ludwika nieobeznana jeszcze z niebezpieczeństw chciała uciekać z Warszawy do Gdańska — odwiódł ją od tego zamiaru Ossoliński.

„Wszyscy — rzekł — straciliby serce — na widok Twój bojaźni królowo! Czego się masz lękać? — przydał — Każdy tu z nas gotów na Twą obronę.” — Kto wie czy tą mową nierozniecił pierwszej iskry owego zapalu, który w późniejszych niebezpieczeństwach ożywił dzielną Maryę Ludwikę. W czasie wyprawy Jana Kazimierza pod Zborów Ossoliński mianowany został generalnym regimentarzem wojska — jego rady wybawiły króla i rycerstwo z niebezpieczeństwa, gdy otoczony od Tatarów, śmiałym listem do hana Islam Giereja przez Ossolińskiego ułożonym, król przeciągnął go na swą stronę — i Chmielnickiego do uległości nakłonił. — Znając go mężem dobrej rady, umyślił Jan Kazimierz wysłać Ossolińskiego na nowe do Rzymu i Wiednia poselstwo. Nie rad był tej drodze Ossoliński — znękany, już to zawzięcia możnych przeciwników a miał ich wielu w senacie i w kraju; bo głośno przyganiał magnatów za ich postęпки samowolne z kozakami — wreście, ukochanej małżonki zgonem — oraz śmiercią jedynego syna Franciszka, starosty bydgoskiego, strapiony. Jednakże podjął się tej nowej dla kraju posługi; a na-

pisawszy testament — i starostwa, które trzymał za zezwoleniem królewskim, na trzech zdawszy ziemców — Alexandra Lubomirskiego, Denhoffa i Kalinowskiego — w początkach Sierpnia otrzymał pożegnalne posłuchanie u królestwa obojga, i nazajutrz potem w dzień do wyjazdu wyznaczony — apoplexyą tknięty umarł — w Warszawie w 1650 roku mając lat 55.

Przeżyły go pobożne jego dzieła. Wystawił w Częstochowie ołtarz z hebanu srebrem powleczoney — do fundacyi XX. Kamedułów na Bielanach znacznie się przyłożył — w Bydgoszczy założył Kollegium i szkoły Jezuickie, kości Śgo Piusa męczennika do Ossolina sprowadził. Przemilczamy mnóstwo innych kościołów tak w Warszawie jako też w jego dobrach zakładanych; lecz nadmienić musimy o szpitalu w Klimuntowie dla żebraków przeznaczonym: tam ubogich zgromadzał — częstował — i odziewał — odkładając na te wydatki, swoje kanclerskie dochody. Na żadną więc potrzebę współrodaków nie szczędził swego majątku, równie jak zdrowia i pracy dla posługi kraju — a obok Achillesów, Dyomedów, Ajaksów — otaczających tron Zygmunta IIIgo i Władysława IVgo, Jerzy Ossoliński, najbardziej nam Ulisesa przypomina.

## JÓZEF STEFANI.

(Z wizerunkiem na kamieniu, podług fotografii).

Do znakomitszych artystów muzycznych polskich bez zaprzeczenia należy Józef Jędrzej Stefani, syn znanego powszechnie Jana Stefaniego, twórcy „*Krakowiaków* i *Górali*” oraz wielu innych oper.

Uważamy za obowiązek podać czytelnikom *Księgi Świata* szczegóły żywota Stefaniego, tém bardziej, że w dziele Wojciecha Sowińskiego (*Les musiciens polonais, 1857. Paris*), znaleźć można błędy i niedokładności. Nasz więc artykuł uzupełni chlubną wzmiankę W. Sowińskiego i posłuży, do obszerniejszego życiorysu w powtórném wydaniu szacownej pracy jego.

Józef Andrzej Stefani, urodzony 16 kwietnia 1800 roku w Warszawie, żyje w niej dotąd jako wysłużony dyrektor orkiestry teatrów warszawskich, a niechcąc,

mimo emerytury, bezczynnym zostawać, przyjął niedawno obowiązki Inspektora w nowym Instytucie muzycznym, mającym nam zastąpić dawniejsze konserwatorium. Widzieliśmy go jak z zapalem, choć najstarszy z artystów wiekiem, podejmował liczne trudy w urządzaniu i wykonywaniu kilku wielkich koncertów dawanych na dochód utworzyć się mającego zakładu muzycznego. Słyszeliśmy niedawno jego utwory w kościele świętokrzyskim śpiewane i grane w pamiętnych dniach pogrzebu i nabożeństwa za poległych 2 i 9 marca 1861 <sup>1)</sup>.

Zawsze być czynnym, wszędzie ochotnie nieść swe

<sup>1)</sup> *Requiem* wykonywali uczniowie nowego Instytutu, muzycz. któremi dyrygował sam autor.



JÓZEF STEFAŃNI.

(Podług Fotografii Warszawskiej.)





usługi gdzie tylko dobro wymaga ogółu, bezrozdzielnie i bezinteresownie poświęcać się dla drugich — oto zaszczytne przymioty, któremi odznacza się bezstronny artysta, oto cechy prawego charakteru, które śmiało można przyznać zacnemu Nestorowi dzisiejszych muzyków warszawskich, Stefanemu.

Jeszcze był dzieckiem Stefani, kiedy już uczęszczał na chóry kościelne księży Pijarów i jak umiał, chwalił niewyrobionym głosem Pana nad Pany. W roku 1814, zaledwie wstępującego w wiek młodzieńczy, umieścił ojciec w chórze opery teatru narodowego. Następnie przeniesiony do orkiestry scenicznej, mały Józef pełnił najprzód obowiązki Timpanisty, a następnie kontrabassisty. Jednocześnie także był korrepetytorem śpiewu do rol różnych w operach. Tym sposobem, śmiało rzec można, iż od samego dzieciństwa kształcił się już na pożytecznego krajowi artystę.

Oprócz obowiązków w teatrze narodowym, które jak najsumienniejsz zawsze wykonywał, w wolnych chwilach od powinności publicznej, dawał lekcje prywatne. Iluż-to uczniów, a zwłaszcza uczenic, dziś już znakomitych artystów i artystek, zawdzięcza Stefanemu nie tylko Warszawa ale i kraj cały? Wyliczać ich tu nie możemy, bo szereg byłby za długi. Wspomnimy tylko redaktora pisma pod tytułem: „Ruch muzyczny“ pana Józefa Sikorskiego, którego piękniemi, bo z serca płynącemi słowy, zakończymy wspomnienie nasze o zasłużonym Józefie Stefanem.

Uczeń Elsnera z byłego Konserwatorium warszawskiego, został sam wkrótce mistrzem i następcą swego nauczyciela. Od 1go września 1827 roku objął dyrekcją orkiestry teatralnej i zarazem korrepetytorstwo muzyki baletowej. Od 1go zaś stycznia 1835 roku był nauczycielem w szkole śpiewu przy obu Teatrach warszawskich, *Wielkim* i *Rozmaitości*.

Choć na własne żądanie otrzymał uwolnienie 15go kwietnia 1854 r. mimo-to został przy teatrach do 1. kwiet. 1858, wysłużwszy się scenie polskiej lat 45. Za 2 lata, doczeka się 50letnicy zawodu swego.

Młodzież szkolna także mu wielką winna wdzięczność. We trzech bowiem zakładach naukowych dawał Stefani lekcje śpiewu, a mianowicie: w b. Liceum warszawskim od 3 marca 1825 roku do 25 grudnia 1832 roku; — oraz w gimnaziach warszawskich: realnem i filologiczném (czyli gubernialném).

W wielu-to świątyniach Pańskich przewodniczył ten czcigodny artysta śpiewom bądź swych uczniów, bądź lubowników? Po największej części wszystkie utwory jego kościelne, wykonywane bywały zawsze

pod stérem samegoż autora. Oprócz tego przewodniczył rok rocznie muzykom wielkopiątkowym, które tylu pobożnych ściągają zwykle słuchaczów do domów bożych.

A cóż dopiero mówić o utworach światowych Stefaniego? Któż ich nie gra i gdzie ich w Polsce nie znają? Śmiało rzec można, iż ten kompozytor spopularyzował się już u nas zupełnie. Szczególniej mniejsze jego prace, tańce i śpiewki, znane są od najuboższego domku aż do przepelnionych świetną wykwiutnością salonów. Z tego względu, Stefaniego, śmiałoby można nazwać, godnym Kurpińskiego następcą.

Poraz pierwszy początkowe utwory Stefaniego grane były publicznie 28 lutego 1823 na scenie narodowej; napisał bowiem wtedy muzykę do tańców panien Palczewskich na ich benefis. Tegoż roku, ze ś. p. Damsem ułożył muzykę do kooperery w 1 akcie p. t.: „Dawne czasy” które 26 paźdz. grane były w teatrze narodowym i z zapalem przyjęte zupełnym.

Odtąd scena, zasilaną była coraz częściej utworami polskiego muzyka. Mieliliśmy jego kompozycje do baletów: „Apollo i Midas” — „Piękna dziewczyna z Gandawy” 1848, (muzyka Adama z niektórymi przerobieniami i dodatkami Stefaniego) — „Okreźne”, 1840 — „Markietanka” — „Pocztylion” (1850) — „Katarzyna, córka Bandyty” — Taniec węgierski do baletu: „Djabeł rozkochany;” m. do bal. *Kupidynek*.

Muzyki do opery: „Lekcja Botaniki” — do melodrammatów: Eugeniusza Sue w 14 obrazach p. t. „Tułacz;” Dwaj więźniowie z Galer; Kobięty z Kamienia; *Piast* (z której tylko uwerturę znamy); — do baletów: Stach i Zośka; Kolej; Powrót Wenery do Olimpu; Pałac kryształowy; Święto róż, i wielu *Pas* oraz *Divertisements*.

Kantata żegnająca ś. p. Karola Kurpińskiego, gdy ten zasłużony artysta opuszczał scenę, oraz marsz żałobny z r. 1855 zasługują tu na wzmiankę szczególniejszą. Z wielkim także talentem napisane „Te Deum Laudamus” z towarzyszeniem orkiestry, powszechnie grywane nie tylko w Warszawie, ale i w innych miastach większych Polski. Oto poczet innych licznych jego utworów kościelnych:

Msza na cztery głosy, z towarzyszeniem organów, wykonywana zwykle u PP. Wizytek warszawskich.

Msza (Nr 2) śpiewywana przez uczniów szkoły na Lesznie w kościele księży Karmelitów.

Msza (Nr 3) z *mi* bemol z towarzyszeniem instrumentów dętych, wykonywana przez uczniów gimnazjalnych.

Msza (Nr 4).

Msza (Nr 5) śpiewana niejednokrotnie w kościele księży Pijarów.

Msza (Nr 6).

Msza siódma, wykonywana u Wizytek przez uczniów pod dyрекcją autora.

Msza Św. na uroczystość ś. Stanisława obchodzoną u księży Pijarów, napisana.

Msza poświęcona następcom, śpiewana w kościele księży Bernardynów warszaw. (Nr 9).

Msza ś. na głosy męzkie wykonywana w kościele księży Kapucynów z towarzyszeniem instrumentów dętych.

Msza żałobna na trzy głosy z towarzyszeniem organów.

Msza in *Es* pierwszy raz wykonana 1850 r.

Msza 13sta śpiewana u księży Bernardynów na Krak. Przedmieściu.

Msza in *G.* na 5 głosów z orkiestrą.

Msza na chór, solo i orkiestrę, dzieło 15 (Ruch muz. z 1858 s. 95 i 375). (Wszystkich XVI.)

*Śpiewy religijne* wydane 1841 roku w Warszawie nakładem autora, u ś. p. Zaleskiego.

Nowe offertorium, wykonane poraz pierwszy w maju 1838 podczas obchodu trzeciej rocznicy od wyjednania płacy emerytalnej dla wysłużonych artystów warszawskich.

*Ave Maria* na głos sopranowy z towarzyszeniem skrzypców.

*Veni Creator* wykonywane w kościele księży Misyonarzy (u ś. Krzyża).

*Benedictus* na 4 głosy z chórami, śpiewane 8 maja 1841 u księży Pijarów.

*Hymn ś. Kazimierza* na cześć ś. Stanisława (1666 roku przez D. Caton'a) ułożony i wykonany w kościele pijarskim 8 maja pod dyрекcją Stefaniego.

*Zdrowaś Panno Maryo!* wyd. u Spiessa i Friedleina w Warszawie.

*Salve Regina* napisana i wykonana na pogrzebie Antoniego Lesznowskiego 1859.

*Stabat Mater dolorosa* (patrz Ruch muz. Nr. 3 z 1857 i N. 17 z r. 1859).

*Requiem* na 3 głosy męzkie, z towarzyszeniem instrumentów dętych, z tekstem polskim i łacińskim (p. *R. Muz.* N. 22 z 1857 r.)

*O salutaris Hostia!* z towarzyszeniem orkiestry, śpiewane w czasie processyi Bożego ciała w pałacu Kazimirowskim.

*Pange lingua angelorum* wykonywane przez uczniów gimnazjalnych pod przewodnictwem autora.

Antiphonae ad Vesperas de Beatissima virga Maria — musica composita per J. S.

Antiphonae ad vesp. de S. Sacramento Altaris; mus. comp. per Josephum S.

Antiphonae vesperae de Apostolis.

Sub tuam praesidium (Pod Twoją obronę) śpiew trzygłosowy z towarzyszeniem organów (nie wyd.)

Stała się nademną ręka Pańska — Śpiew kościelny (Solo).

Śpiew męzki czterogłosowy, z towarzyszeniem organów, słowa J. S. Jasińskiego.

Marsz żałobny na śmierć K. J. P.

Bóg z pomocą w sam czas przybywa, śpiew z towarzyszeniem fortepianu.

Śpiew z towarz. fortep. na 22 czerw ca 1854.

Opatrzności wiernych Święta Maryo! (Adagio).

Ojcie nasz! na 3 głosy z tow. organów.

Trzy śpiewy religijne, 3 i 4 głosowe ofiarowane K. Kurpińskiemu 1826 r.

O! quam tristis! Quartetto per il due soprani — Kwartet smyczkowy.

Skowronek Poezja W. Pola na śpiew i orkiestrę.

Souvenir d'amitié — Polonaise et Mazurka dédiés à M. G. Winkel (Francfort sur Main).

Graduale (Haec dies quam fecit Dominus) na 4ry głosy i skrzypce.

Veni Creator i Te Deum Laudamus w języku polskim na 3 głosy. (Nakł. R. Friedleina) w lit. Kressego.

W tej chwili, kiedy to piszemy, pracuje szanowny emeryt nad Szkołą Śpiewu jak donosi „Ruch muzyczny.”

Niepodobnaby tutaj było wyliczyć wszystkie drobniejsze kompozycje pana Stefaniego; przeto ograniczamy się na znanych nam i powszechniej grywanych, jako to:

Polonez skomponowany na całą orkiestrę a ułożony na fortepiano i poświęcony A. Glińskiemu 1823 w Warszawie wydany.

Wspomnienia karnawałowe (nakład autora) zawierają 3 mazury, galopadę, Zapateados i śpiewki.

Polonez poświęcony Fijałkowskiemu.

*Pożegnanie Berlina*, 1845 polonez w Warsz. wyd. Sześć nowych kontradansów z motywów baletu „Piękna dziewczyna z Gandawy” 1848.

Polonez militarny na orkiestrę i fortepian przypisany marszałkom szlachty w królestwie polskim 1850.

Muzyka do komedyo-oper: „Talizman” (u Friedleina); — Figle Panien; — Babunia; — Chłopiec okrętowy i t. p.

- Mazurek z *Talizmanu* (tamże).
- Koteczku źle! żarcik śpiewka, z wier. Stefaniego.
- Wesele w Ojcowie ze śpiewem i słowami tak jak jest przedstawianym, muzyka różnych autorów, układ na fortepian J. S.
- Ku pamięci Julii K. — wiersz i muzyka J. Stefaniego.
- Zbiór śpiewów z opery Paula czyli Duch zdradzonej, muz. F. Flotowa układu z towarz. fortep. J. S. w Warszawie u Klukowskiego (numerów 4).
- Gwiadzka śpiew, na fortepian 1854, wiersz i muzyka Stefaniego (nie wyd.)
- Śpiew z towarzyszeniem fortepianu 1852 i 1853 (lutego 2.) Wiersz i muz. J. S.
- Obertas - Mazur u ustronin (nie wyd.)
- Śpiew mazurkowy, poezya Adama Pstrokońskiego, w litogr. Fajansa.
- Śpiew mazurkowy na solo, bas i sopran z towarz. fort. wiersz Kar. Kucza (u Klukowskiego) litografia Müllera.
- Śpiewki z obrazku dram. *Floryna* układu i kompozycji na fortep. J. S.
- Andante i mazurek do śpiewu na fortep. Wiersz Jana Jasińskiego (w litografii Flecka (nakład R. Fridleina).
- Povera cantatrice, śpiew ułożony dla J. K. 1844 (nie wyd.)
- Hej strażaki! Trójśpiew na meżkie głosy.
- Pieśń matki przy kolebce dziecka, wiersz Jana Kontrymowicza, z muz. na fortep.
- Przyjdzie czas! wiersz tegoż z muz. J. S.
- Na Bielanach, wiersz W. Pola (nie wyd.)
- Siewacz, myśl Szyllera, przekład J. N. Kamińskiego z muzyką na fortep.
- Krakowiak, taniec ze śpiewem.
- Piękny czas! Idźmy w las! (na 3 głosy).
- Warjacye dla Julii K. (nie wyd.)
- Piękne serce ją zdobyło! Śpiew.
- Nad igrającą fontanną (śpiew).
- Śpiew na dzień 2 lutego 1858 r.
- Maria - Polka (nie wyd.)
- Pełne radości zabłysło święto! (śpiew).
- Tańce dla dzieci.
- Julia - Polka (nie wyd.)
- Śpiewki z Krotchwili: Okropność czyli nowa La-Farge, wiersz B. Halperta z muz. na fortep.
- Gonatir (nie wyd.)
- Dwie śpiewki z melodrammy „Kwiat Prawdy” ułoż. na fortep. (wyd. nakładem Klukowskiego w form. podłużnym).
- Muzyka do operetty „Piorun.”
- Śpiewy do komedyi: Chłopiec okrętowy litografowane w zesz. 10 Lutni wydanej przez F. Bryknera (oblong.)
- Jestem sobie pan, słowa Wojc. Szymanowskiego z muz. na fortep.
- Kwaciarka wiersz Maryi Borowskiej z muzyką na fortep.
- Krakowiak i Mazur do baletu: „Stach i Zośka.”
- Marsz żałobny na pamiątkę ofiar poległych w dniu 25 i 27 w Warszawie (w ręk.)
- Solo-śpiew z chórem z towarzyszeniem arf, wiolonczell i kontrabasów.
- Wszechmocny Panie! z towarzyszeniem organów
- Jubilat Mazur kompoz. na orkiestrę i układu na fortepian. Wydał G. Sennewald ojciec (w litograf. warsz. Flecka).
- Mazur wyd. u Klukowskiego (w lit. Müllera).
- Marsz żałobny dodany do Ruchu muz. z r. 1857.
- Mazur grywany w Pomarańczarni, ułożony na orkiestrę i fortepian (Warsz.) 1850.
- Drugi mazur grany w Pomarańczarni, (tamże, tegoż roku wyd.)
- Polka z baletu: „Katarzyna, córka bandyty” lit. 1850 w Warsz.
- Polka Skierniewicka (tamże, tegoż r.)
- „Konstancya” Polka-mazurka z baletu „Katarzyna, córka bandyty.”
- Mazur grywany w Łazienkach królewskich w czasie wystawiania baletu: „Wesele w Ojcowie“ 1858 (na fortepian).
- Śpiew mazurkowy na sopran, bas i chór lub solo sopran (wyd. u Gebetnera i Wolfa w Warszawie).
- Wielki Mazur z baletu: „Hrabina i Wieśniaczka“ (tamże).
- Tańce węgierskie z baletu p. t. „Zimowe zabawy” (tamże).
- Mazur grany na balu szlacheckim w Warszawie (tamże).
- Mazur augustowski (Nr. 19.)
- Polonez grany w teatrze Wielkim 20 września 1859 r. (nie wydany).
- Do młodej dziewczyny, słowa Leona Potockiego, muzyka dołączona do N-ru 27 Ruchu muzycznego z 1859 r.
- Ośm dwuśpiewów dla poczynających naukę śpiewu, dołączonych do tegoż czasopisma i z tegoż roku (Nr. 51 z grudnia).
- Hymn pobożny z solo tenorowem, raz pierwszy

wykonany na pierwszym koncercie danym na rzecz Instytutu muzycznego 1860 r.

Paradisi gloria (chwała na niebiosach), na chór, solo zbiorowe i orkiestrę, wykonane na drugim koncercie danym na dochód zawiązującego się Instytutu muzycznego r. 1860.

Hymn do S-jej Cecylii, wykonany 22 listopada 1858 u księży Bernardynów dodany do Ruchu muzycznego z tegoż roku.

Marsz żałobny wykonany w czasie nabożeństwa żałobnego za duszę Ant. Lesznowskiego R. G. W. sztychowany u Otto 1859 r. w Warszawie.

Muzyka pogrzebowa na pochowanie resztek ciał zebranych w jedno z cmentarza księży Reformatów, wykonana w czasie stosownego nabożeństwa (1859).

Nie do nas należy wchodzić w rozbiór krytyczny kompozycji p. Stefaniego. Są na to oddzielni znawcy i wyłączny organ muzyczny, który również ze wszystkimi recenzentami jak najchlubniej zawsze wyraża się o naszym znamienitym autorze. W wyliczeniu nawet bibliograficznem prac zasłużonego kompozytora, z pewnością nie jedno, szczególnie z mniejszych dzieł, opuściliśmy. Zawsze atoli dwa razy niemal więcej przytoczyliśmy tutaj prac jego, niż Sowiński, który, z właściwym sobie znawstwem, dorywcze słowa ocenia ważniejsze utwory swego współzawodnika. Mówimy *spółzawodniku*, bo Sowiński znany jest z wielu dzieł treści religijnych, w których tak góruje nasz Stefani.

Kto wie, czy nawet w tej chwili kiedy kreślimy te słowa, nie pracuje zacny Stefani nad jakim utworem, lub czy nie ma jakiego ukończonego dzieła, a dotąd światu nieznanego jeszcze?

Wszystkich utworów Stefaniego liczba wynosi około 200 numerów.

Wiele z prac byłego dyrektora, dotądleży nie wydanych; wiele zaś z tych, które były już ogłoszone dawno wyczerpane zostały z obiegu. Konieczną więc jest rzeczą, ażeby uskutecznić jeszcze za życia szanownego autora zupełne wydanie utworów jego podzielone na dwie części, to jest muzykę kościelną i poważniejsze utwory światowe, jak polonezy, marsze, śpiewy i t. d.

Podobnego zbioru, ma prawo wymagać powszechność polska. Wydawca łatwo znaleźć by się powinien. Znamy bowiem szlachetność, bezinteresowność i miłość dobra krajowego, jakie ożywiają zacnego Stefaniego, któryby niezawodnie żadnego nie żądał *honorarjum*, byleby tylko jego utwory, mogły stać się, za sprawą jakiegokolwiek pomocniczego środka,

użytecznemi ziomkom, dla których, usługi i prace całego żywota swego, poświęcił.

Znany ze swych zasług, wydawca i główny redaktor „Ruchu Muzycznego” zawsze na tytule arcy potrzebego i jedyne u nas tego organu, wypisuje, że wydaje dziennik swój ze współdziałaniem artystów, w których liczbie drukuje rokrocznie i miano Józefa Stefaniego. Że się przyczynił szanowny ten artysta, któremu poświęcamy słów kilka, do ozdobienia swými pracami *Ruchu muzycznego*, to rzecz pewna. Bierzemy tu znaczenie wyrazu *Ruch*, w podwójnem rozumieniu i ogólnego ruchu muzycznego w całej Polsce i *Ruchu*, jako dziennika muzycznego.

Ale też i szanowny redaktor *Ruchu* umiał być wdzięcznym swemu dziś koledze, a niegdyś nauczycielowi. Za przypisane mu w dowód przyjaźni od Stefaniego *ośm dwuspiewów*, wytłoczył Józef Sikorski w numerze 51 Ruchu Muzycznego z r. 1859 przeszliczny *list*, wybornie charakteryzujący obie strony: i szlachetność ucznia i zacność nauczyciela. Ciekawych czytelników odsyłamy do przywiedzonego wyżej pisma. Ale nie możemy się wstrzymać, abyśmy tutaj na zakończenie tej pobieżnej wzmianki, choć kilku urywków z owego serdecznego pisma nie przytoczyli. Z nich bowiem, łatwo czytelnicy całość odgadną i prawdziwość słów naszych potwierdzą.

Oto niektóre wyjątki:

„Życie twe, skromnie wpływające w tak pożytecznej zwykłe, zawsze miłej dla bliźnich i dla ciebie samego, czynności, uczy mnie, że cicha zasługa zarobić może na szacunek, skoro go doznajesz zewsząd — i że pragnąc uznania, własnymi zdobywać je potrzeba siłami.”

„Ty zacny mój przyjacielu! żyj tyle przynajmniej byś mi twą pieśnią, ostatnie od ziemi dał pożegnanie! Twoja-to pieśń, (że matczyną nie wymieniam) pierwsza wzbudziła we mnie niewysłowione uczucie rozkoszy, jaką muzyka daje; — niech twoja pieśń także duchowi memu osłodzi boleść rozstania się na czas jakiś ze wszystkimi, których kocham!”

„Czy przyjdzie ten błogi czas kiedy, że pieśnią ludzie ludzi prowadzić i nauczać, a może i ludy powodować się będą? — trudno przesądzać. Trudno obliczać ileby się charakterów poprawiło, usunęło zdrożności, pohamowało złych namiętności, przyczyniło światu szczęścia, upowszechniając pieśń, podsycając wrodzony człowiekowi do niej popęd. My wiemy, chcę powiedzieć, ty wiesz, szanowny mistrzu! co ona warta; — ty masz w nią wiarę. Dla tego-to pieśń w różnych postaciach, a najwięcej dla młodzieży pi-

sana, spłynęła z Twego pióra,—z serca twego, chce mówić. Wierzaj! nie jedno ciche błogosławieństwo, spływa za nią na ciebie;—a jeśli wdzięczne serce potrzebne, by błogosławieństwu temu dać rozgłos publiczny, to ci ofiaruję moje, jako twego téż wycho-

wańca. Przyjm je w zamian za dobro, które mi świadczyłeś,—za serce, któreś mi okazywał tyle razy!”

Te, z przepełnionych w sercu uczuć, płynące wyrazy znanego z prawości Sikorskiego, iluż-to ludzi w Warszawie i w kraju, powtórzyłyby mogło? H. S.

## PAMIĘTNIKI JOANNY ŻUBR.<sup>1)</sup>

Urodziłam się w mieście Berdyczowie w Gubernii nateraz Wołyńskiej, z rodziców ojca Jana Paślawskiego, herbu Jastrzębiec, porucznika Kawaleryi Narodowej i Anny z Piaseckich matki, w roku 1786. Do lat 15 byłam przy rodzicach i w tymże roku poślubiwszy sobie Jana Domusławskiego porucznika byłego w Regimencie Gwardyi Miroskiej, poszłam na swój chleb do Żytomierza, gdzie mąż mój sprawował urząd przy sądzie powiatowym.—Jan, przeżywszy ze mną lat 8 umarł i w témże mieście pogrzebanym został. Ja zaś będąc owdowiałą przez rok, weszłam w powtórne związki z mężem terazniejszym, Maciejem Pomian Żubr, który trudnił się interesami prawnymi przy Mecenasiu Dobielewskim i trudnił się tłumaczeniem z języka Polskiego na Ruski, aż do czasu, nim doszły proklamacye Cesarza Napoleona wzywające młodzież do zaciągania się ogólnego pod sztandary wojskowe. Natenczas marszałek powiatu Latyczowskiego b. major, Imci P. Kamiński dodawał ducha młodzieży rozsyłając wszędzie zachęcające odezwy. Zebrawszy znaczną liczbę ochotników, przeszedł granicę z ręką zbrojną, a my opóźniwszy się, niedoścignawszy tego, udając się śladem do Warszawy prześliśmy przeszkody, następnie udając się przez Poczajów za granicę Austryacką. Po kilku dniach podróży przyjechaliśmy do Poczajowa i stanęliśmy u gospodarza na wsi i temuśmy się zwierzyli, że chcemy przejechać granicę, żeby się dostać do Podkamienia, bo tam mamy księdza stryja bardzo bogatego, a za tydzień powrócimy; obiecujemy mu wielką nagrodę, aby nas przeprowadził przez lukę kozaków, którzy stali na granicy. Tam chłop dał nam radę, że niby jedziemy do świętego miejsca i abym udała bardzo chorą, a tym sposobem, i za dobrą opłatą, może się uda. Jakoż stało

<sup>1)</sup> Joanna Żubr, ozdobiona krzyżem polskim *virtuti militari*, której tu własnoręczne pamiętniki, z małemi opustkami drukujemy, otrzymała od Cesarza i Króla Polskiego Aleksandra I. płacę dożywotną. P. R.

się, że za kilka rubli danych kozakom i flaszę wódki przejechaliśmy granicę, obiecując powrót za tydzień. Wistocie byłam bardzo słaba, może być z niespokojności, bo bardzo było trudno z kozakami. Gdy przyjechaliśmy do Podkamienia, musieliśmy kilka dni bawić; nawet prosiłam mego męża, aby mnie zostawił w Podkamieniu, ale on w żaden sposób niechciał mnie zostawić i w kilka dni, cokolwiek byłam zdrowszą. Udaliśmy się do kościoła, podziękować Matce Boskiej, za przebycie granicy.—Pociągnęliśmy do Lwowa, bo nam tędy drogę wskazali i już byliśmy niedaleko Lwowa w wiosce Winniki: stanęliśmy na popas i tam był sędzia cyrkularny ten sam, który nas zaaresztował i odesłał do Lwowa z konwojem, Nieinaczéj ten, co nam dodany był na asystenta, był złodziejem, bo nas sam doprowadził do stancyi i doradził, że najlepiej nocować w stajni, bo nie ma osobnej stancyi, a tam pełno pijaków i pani słaba; tu będzie najspokojniéj. Sam był bardzo usłużny, i obrał nam miejsce do spania, sam nam pościelał. My się pokładli i swoją garderobę położyliśmy za głowami sądząc że najbezpieczniéj; a tam była dziura w ścianie i wszystko nam zabrano, tak, że ani grosz nam nie został, bo mój mąż wszystkie pieniądze miał z pugilaresem w kieszeni surduta; ledwo nam się została bielizna, garderoba, co było w tłumaczku i w bryczce gdzie spał człowiek nasz. To nasze nieszczęście zaczęło się rano; trzeba było iść do policyi z tym że asystentem, co odprowadził męża nawet i niewstał do mnie z zawiadomieniem co się stało. Ja czekałam kilka godzin niespokojna, nie wiem co się stało; pewna będąc, że nikogo nie ma znajomego, aby się z kim zeszedł, a przytém i grosza przy sobie nie miał. Cóż mam począć? sprzedaję naprędce parę rądl, aby głód zaspokoić i wzięwszy co grosza, idę szukać męża, ale sama nie wiem gdzie? Bo to było dość daleko z przedmieścia Łyczaków do środka miasta, gdzie była policya. Przyszłam: już było na zmroku, zastałam

mego męża w pięknej kompanii, bo między aresztantami różnego gatunku, tylko Bogu dzięki, że nie w kajdanach. Zaczęłam okropnie płakać. Lecz oficer stojący na warcie, będąc bardzo grzecznym, wpróżd mnie uspakajał i koniecznie mówił, abym szła do stancyi, na co mu odpowiedziałam, że męża nie odejdę i nie trafię do kwatery bo już późno. Dobroduszny ten oficer dał nam osobny pokoik i kazał dać wiązkę słomy: całą więc tę noc przepędziliśmy na rozmyślaniu dalszego z nami postąpienia. Nazajutrz rano kazano mi odejść, a męża zostawiono: powracając z odwachu poszłam do garnizonowego kapitana, prosząc aby męża mego przyjął do szeregów. Kapitan ten był człowiek niemłody, miał żonę i dzieci, oświadczył, że męża mego weźmie za ordynansa, a mnie za piastunkę. Nie byłam zadowolnioną z takiego projektu, ale w takim razie zezwoliłam i zaraz ten posłał ze mną feltfebla aby mego męża przyprowadził, lecz ja widząc chorągiewkę na dachu dużego domu, pytam się przechodzących ludzi, co to znaczy? a dowiedziawszy się od tych, że to jest werbunek, zaraz pobiegłam. Wchodząc do tego domu usłyszałam muzykę i zobaczyłam dużo tańczących ułanów z Regimentu księcia Karola i pełno dymu od fajek. Zaraz mnie porwał jeden ułan do tańca. Ja mu odpowiadam, że nie przysła do tańca, ale mam interes. „Powiedźcie mi kto tu u was jest starszy?” Doprowadził mnie ułan do stołu przy którym wachmistrz siedział rozparty; na stole było pełno flasz z wódką i miodem, kieliszków i szklanek, a te trunki płynęły po stole na podłogę. Przemówił ułan: „panie wachmistrzu! ta pani ma do pana interes” a to taki, abyście panowie mego męża przyjęli do siebie. „Cha, cha! słyszycie kamraci? musi być bardzo dobry dla żony bo go sama oddaje, a tu są takie co swoich wykupują.” Odpowiadam: niech się pan nie dziwi, bo jak opowiem, sam uznasz, że inaczej być nie może.“ Wysłuchał mnie, przyznał że mam rację tego żądać, ale sam tego nie może zrobić, bo trzeba się udać do kapitania, który tym werbunkiem dowodzi. Prosiłam go aby chciał ze mną pójść, obiecując wynagrodzenie za fatygę. Nie odmówił swęj grzeczności. Nazwisko tego wachmistrza Muszka; był to Czech, kapitan zaś był Polak Chyliński, do którego przyszedłszy, zaczął rozmawiać po niemiecku, a ja nie rozumiejąc czekałam rezultatu. Poznałam tylko że kapitan był niechętny, wymawiając się że ma już komplet ułanów. Odpowiedziałam, że jeden ułan nie zepsuje kompletu, wreszcie my możemy swoim kosztem żyć. Rachowałam na parę koni i bryczkę. Na ostatku powiada mi, że nie ży-

czy mieć ułana żonatego. Odpowiedziałam, że ja widzę miasto Lwów, a nie las; aby tylko mąż mój był przyjętym to ja pozostanę. Kapitan gdy powiedział po niemiecku parę słów wachmistrzowi, wyszliśmy—Za drzwiami powiada do mnie wachmistrz, że wszystko dobrze; ja wywdzięczając się mu, zdjęłam z palca pierścionek wartujący kilka dukatów i dałam wachmistrzowi. Natenczas do mnie grzecznie przemawia: „niech pani idzie wolniutko do stancyi, my tam zaraz przyjdziemy.” Wziąwszy ze sobą sześciu ułanów, przyszedł jakby mnie nie znał. Już zastałam mego męża w stancyi z dwoma asystentami, którzy z ciopasem mieli odprowadzić na granicę Rossyi. Wachmistrz obąpiwszy mego męża ze swemi ułanami, rozebrali szybko z jego garderoby i włożyli mundur ułański, kask i pałasz przypięli, że ci asystenci niepostrzeegli co się stało. Wtenczas zawołał wachmistrz nasz, i powiadając: „prezentuję pani męża ułana i upewniam panią, że tu nie zostaniesz—i zaraz nas zabrali ze wszystkim na swoją kwaterę, z końmi i bryczką, którą zaraz sprzedaliśmy, a w parę tygodni wymaszerowaliśmy do Jarosławia. Teraz myśleliśmy jak się od nich wywinąć aby dojść do celu jakimś przedsięwzięli. Niemożna było innym sposobem jak znowu działać z wachmistrzem, któremu otwarcie powiedziałam, że mąż mój nie chce być z wami, zmiłuj się! radź jak możesz, aby nas uwolnić. Odpowiedział mi, „jeżeli macie pieniądze to jeszcze tu można wszystko zrobić, bo jak przyjdziem do sztabu, to już wszystko przepadło. Nie mieliśmy innych pieniędzy tylko za konie i bryczkę, bo co było, to z ułanami mąż mój przehułał: opowiedziałam memu mężowi wachmistrza żądanie. „Chociażby bez grosza zostać, wszystko oddać aby tylko od Niemców odczepić się”—odpowiedział mąż, i tak się stało. Po uwolnieniu przez kapitan, nic nie zostało się, jak tylko atest uwalniający dla kalclectwa—Wyszliśmy więc z Jarosławia, starając się jak najprędzej opuścić tych ułanów, do których prawie z przymusu mąż mój wkroczył—dla braku funduszu sprzedaliśmy niektóre rzeczy, gdyż nie było za co żyć, ani fury najać. Odjechaliliśmy parę mil od Jarosławia i wypytywaliśmy się o nazwiska panów w tych okolicach; nadmieniono nam o Sokołskich i o Runowskich we wsi Silnicy: zabłysnął nieco promyk szczęścia, gdyż Runowski będąc w Żytomierzu za interesami, winien pozostał mężowi rs. 1,000, na które mieliśmy przy sobie rewers. Udaliśmy się więc prosto do niego, ale na nieszczęście niezastaliśmy, lecz dowiedziawszy się o przybyciu naszym dziadek Runowskiego, mający lat 112; Sokołowski, po wybada-

niu nas w jakim interesie przybyliśmy, ubolewał mocno, że wnuk jego marnotrawny i że za niego parę-kroć-sto tysięcy długu już poopłacał, a w końcu poczciwy staruszek, ulitowawszy się nad naszym stanem, dał nam reńskich 400, z którymi udaliśmy się do miasta Ulanowa w celu, aby z jakim kupcem można dostać się do Warszawy. Przybywszy do Ulanowa, dowiedziawszy się, że kupiec ze śliwkami i orzechami, nazwiskiem Kociołek, ma galarami odpłynąć do Warszawy, zgodziliśmy go i odpłynęliśmy; pod Puławami gdy przystanąły galary dla kupienia dla orylów żywności, wyszliśmy sobie przypatrzeć się Puławom: spostrzeżono nas pewnie dla ubioru ułańskiego i doniesiono księciu, przed którym stanąwszy, opowiedzieliśmy wszystko i nasze zamiary. J Książę nas hojnie opatrzył— i jego komisarz podobnie. Złożywszy dzięki za to opatrności wsiedliśmy na galary i odpłynęli, lecz przy płynąwszy do Ryczywoła i stanąwszy na nocleg, Wisła tak marznąć zaczęła, że w żaden sposób galary iść nie mogły: czekaliśmy parę dni na galarach, po upłynieniu których, ledwo dobiwszy się pod Magnuszów, Wisła zupełnie stanęła. Natenczas kupiec musiał furią najmować i towary na te pakować, a kupiec był obowiązany do Warszawy zawieść, ale, że fur prędko nie mógł dostać, a bardziej iż galary przechodząc granicę Austrii, musiały by być rewidowane i moglibyśmy być aresztowani, dla tego zabrawszy z galary naszemanatki, udaliśmy się piechotą do miasta Magnuszowa. Tu, zastaliśmy huzarów zielonych tam kwaterujących, lecz od widzenia tych unikając, zaszliśmy do chaty gospodarza, którego prosiliśmy, aby nas przyjął na nocleg. Poczciwy gospodarz z chęcią zezwolił, a widząc nas uprzejmych i wódką po kilka razy nie tylko gospodarzy ale i czeladź częstujących, został tak wylanym, iż co tylko miał wszystkiem nas fetował. Widząc go tak dobrego oświadczyliśmy, że chcemy dostać się za Pilicę. Odpowiedział, że bardzo trudno, gdyż straż graniczna ciągle pilnuje i ciągle patrolują i że nawet strzelają jeżeli kto chce dostać się za granicę, a to było w r. 1806. Jednakowoż na nasze prośby przystał i oświadczył, że o godzinie 12 w nocy obudzi; co i dopełnił. Udawszy się z tym na sankach, przybyliśmy do rzeki Pilicy ale ta tylko zasklepiała się i przejść nie można było, leżeliśmy więc w krzakach aż zaczęło świtać; nasz przewodnik dostawszy łodzi, zabrał i zaczął łód cienki łamać. Ale gdy odpłynął od brzegu kilkadziesiąt kroków, strażnik nadjechawszy strzelił bezskutecznie. My przybyliśmy na drugą stronę Pilicy. Usłyszawszy

że to już jest granica Polska, duch wesoły wstąpił wnet w nasze serca, i kazał nam ucałować tę Polską ziemię, do której dążywszy, prześliśmy dosyć cierpień. Czekaliśmy na komorze polskiej w koszarach na kupca, gdzie pisarze tej komory z gościnnością właściwą Polakom przyjmowali nas, a wostatku nadjechał i nasz kupiec, z którym zabrawszy się przybyliśmy do Warszawy. Najęliśmy sobie stancję na Rybakach tymczasowie, nim mąż mój upodoba sobie jaki pułk; lecz nie widząc kawaleryi udał się do placu gdzie natenczas był komendantem pułkownik Kamiński: zameldowawszy się, gdy komendant oświadczył że kawalerya organizuje się w Poznaniu, a on nie miał funduszu dostania się, więc pozostał w Warszawie. Przez ten czas dowiedział się, że ma swego stryja w dobrach Szymanowskiej Regentowej Koronnej, we wsi Leszno, który był Kanonikiem warszawskim, Dziekanem Błońskim i Sędzią pokoju. Udał się więc do tego mając dowody swego pochodzenia; gdzie przybywszy, po wylegitymowaniu, X. Prałat zaprojektował, że mego męża umieści przy ministrze Łuszczewskim. Może tém i obraził Prałata; bo odpowiedział: nie przybyłem uczyć się pisać ale bić się. Po rozmowie i ucałowaniu się z swym stryjem Mikołajem Żubrem, wepchnął mu stryjaszek w łapę parę ładunków dosyć sporych. Mąż mój myślał, że to są dukaty, bo w naszych stronach na Wołyniu dukaty tylko w ruletyzwijają; ucałował nogi stryjaszka. Spieszył się pożegnać, bo i stryjaszek za parę dni miał przybyć do Warszawy i o losie pomyśleć.— Mąż zniecierpliwiony, jak wybiegł od księdza, rozerwał zawinięte pieniądze a znalazłszy same dydki pruskie, spuścił nos jak jędor i spieszył z powrotem do Warszawy, pełen niespokojności, że nie miał za co dostać się do kawaleryi. Z niechęcią więc zaciągnął się do pułku 2 piechoty Stasia Potockiego, gdzie przyjętym został na kaprała do kompanii 7 kapitana Słupeckiego. Przyszedłszy do mnie w mundurze, zameldował się; ja sama nie wiedząc co mam z sobą zrobić, idę na Grzybów, kupić ubiór męzki; włosy obcinam, przebiegam się, idę do sztabu gdzie był major Cybulski i zaciągam się jako Wolonter do tego samego pułku i kompanii jako kadet. Przystrojona w mundur przychodzę do męża i podobnie się melduję tak jak on mnie. Zdziwiony moją determinacją, kompletnie był zadowolony tem usposobieniem i rzekł iż chyba kula jedna rozłączyć potrafi. Że zaś natenczas mundury były robione tak jako kaftan, ja umiejac krawieczkę, przerobiłam najprzód mundur męzowski bardzo zgrabnie. Pułkownik lustrując pułk, podoficerom

i kapralom kazał wystąpić naprzód; w moment kilka kroków mężowi kazał odmaszerować i zrobić pare obrotów; chwając zgrabność munduru i postawę żołnierza, zapytał się go kto robił? mąż odpowiedział że brat. Po oddaleniu się pułkownika, kapitan Słupecki zaraz kazał mnie zawołać i przerabiać dla całej kompanii mundury, dodawszy żołnierzy do pomocy umiających krawiectwo. Płacił mi od przerobienia munduru po gr. 40. Prócz kompanii swojej robiłam i dla innych nie tylko furazerki, mundury, ale spencerki słowem że mój żołd z zarobkiem więcej wynosił za tydzień, jak męża mego za miesiąc. Dla tego też mąż mój odemnie często pożyczzał a nigdy nie oddawał. W końcu stanęliśmy w koszarach artylerji: zawsze od obowiązków służbowych pozostały czas oddawałam się robocie. Kiedym potrzebowała nici, igieł, tasemek, guzików lub co tylko potrzebnego, brałam zawsze w jednym sklepie, gdzie pani kupcowa była kaleka, garbata i krzywa a do tego, i stara, lecz bardzo grzeczna, gdyż nietylko czasem na kredyt towary dawała ale i śniadaniem, piwem i wódeczką częstowała, i zawsze abym bywała prosiła. Nawet i męża mego nieraz na tę fetę przyprowadziłam. Gdy zaś odebraliśmy rozkaz do pochodu na Austryaka, poszłam do mojej pani kupcowej pożegnać się, a o którym wymarszu już dowiedziała się i mówiła: „Macie rozkaz do marszu?“ odpowiadam: „żeby jak najprędzej!“ „A tyś kontent z tego?“ Odpowiadam, że tak. — „A wszakto na wojnę idziecie. Tém lepiej. — „A jak zginiesz?“ — „To zginę!“ „Ja ci podam sposób uchronienia się.“ „Jakim sposobem?“ „Jak będą wychodzili przyjdź do mnie, a ja cię przechowam; na wymarszu nie będą szukali, a nikt cię tu nie pozna, bo ciebie przebiorę, ale pod tym warunkiem abyś był moim przyjacielem dożywoć, to jest mężem.“ Stałam przelekniona niewiedząc co odpowiedzieć, bo widziałam babę przed sobą mającą koło lat 70, i to do tego kalekę chodzić nie mogącą i na głowie mającą poduszkę wielkości kamienia młyńskiego. — Widząc mnie, że ja nic nie odpowiadam, rzekła: „czegoż milczysz nic nie odpowiadając? widzisz! to jest cała moja kamienica, jestem prawą dziedziczką, a do tego jestem panna; po śmierci mojej wszystko twoje.“ Odpowiedziałam, że muszę się poradzić. „Wszak mówiłeś że nie masz nikogo tu, a takie głupcy jak ty jesteś, to ci pewnie odradzą! Poradzić się muszę mego serca — „Tak! swego serca się poradź i przychodź w wilią wymarszu.“ Powracam do koszar i opowiadam mężowi i kolegom całą scenę mego romansu, którzy przez ciekawość zaprowadzeni, zdaleka przypatrując się, pluli i uciekali —

Wkońcu wyruszyliśmy bić Austryaka i pierwsze moje pole było pod Raszynem, gdzie usłyszała kule armatnie gwiżdżące i huk armat. Nabrawszy ducha nad lekkim Austryakiem, z zimną krwią spieszyłam doganiać pierzchliwego żołnierza, lecz po zginieniu pułkownika Godebskiego, uczułam niespokojność w duszy, a bardziej jeszcze gdy rejterować poczęliśmy do Warszawy. Stanąwszy w okopach, widząc armaty na wałach i ludu pełno uzbrojonego, duch na nowo ożywił się. Oczekiwałam co moment walki z nieprzyjacielem. Lecz nad wieczorem, gdyśmy ujrzeli, że armaty ściągają i wojska zabierają się do wymarszu, opuszczając wały, powszechne nastąpiło przekleństwo, płacz i krzyk, że sprzedano nas i zdradzono! W końcu rejterowaliśmy w największym nieporządku za Pragę a z tamąd do Modlina, z Modlina do Serocka, a z Serocka pod Górę, gdzie potrzepawszy Austryaka i zabrawszy armaty, duch na nowo ożywionym został i dodał mężstwa. Z pod Góry ruszyliśmy przez Lublin pod Zamość i stanęliśmy z tej strony bramy Szczebrzeszyńskiej, koło młynu, gdzie mąż mój już będąc furierem miał komendę nad żołnierzami w młynie pozostawionymi. Nazajutrz rano przybywszy szef Suchodolski posłał mego męża z 12 żołnierzami na mostek ku zachodowi, gdzie armaty przechodzić miały. Wtedy kapitan Hiż zastał w domu kozaka, któremu w alei kula armatnia głowę urwała. Z tamąd cała kompania 4 Krasnodębskiego była posłana od bramy Lwowskiej i tam naprzód spaliliśmy przedmieście. — Później gdy przybyły nam granatniki i armaty z kapitanem Bogdańskim, przypuściliśmy fałszywy atak: choć cała siła Austryaków na nas uderzyła, lecz kilku straciwszy tylko żołnierzy, stanęłam na wałach Zamościa, otoczoną będąc w moment moimi współkolegami. Wyruszywszy z Zamościa do miasta Szczebrzeszyna, pułkownik wszystkich podoficerów i żołnierzy odznaczających się w tym szturmie zwaławszy napodwieczorek, pił ich zdrowie i winszował wynagrodzenia krzyżami: w liczbie tych i ja byłam — W dalszy marsz puszczając się, przyszliśmy pod Sandomierz: tam pod Wrzuwami i Pniewem, trochę potrzepawszy się z Austryakami poszliśmy do Krakowa a zwyciężywszy wszelkie przeszkody, przyszliśmy do miasta i stanęliśmy obozem. W Krakowie stojąc parę niedziel, przeznaczoną była komisya do przyznania krzyżów dla odznaczających się w bitwach, lecz obiedwie komisye przedstawiły księciu Józefowi, że jako kobiecie korzystniej będzie dać wynagrodzenie pieniężne. Wzgardziłam nikczemnym proponowaniem. bo ja nie walczyłam za pieniądze, ale za honor ojczy-



zny! walczyłam jako Polka, ale nie jako najemnica; chociaż nie dacie krzyża, służyć będę i mieć krzyż będę.” Gdy zaś w wilją imienin Napoleona zawiadomiono, że krzyże będą rozdawali na paradzie to choć i mężowi memu był przyznany jak jeszcze był w stopniu feldfebla krzyż złoty i sierżantowi Pomianowskiemu takiż, ale oba żadnego nie dostali. Dla tego zniechęciliśmy się zupełnie do tego pułku i staraliśmy się o tranzlokację, lecz pułkownik nie dozwolił. Prosiłam więc księcia Józefa o urlop dla nas obojga, kazał wydać i dał dukatów 10 na drogę i darował mi broń szturmakiem zwaną. Udaliśmy się więc przez Puławę do Maciejowic gdzie organizował pułk pod imieniem 6 francuzko-galicyjski, pułkownik Hornowski dawniejszy nasz major. Lecz przybywszy do Puław, stanęliśmy w oberży, a widząc żołnierzy i oficerów nowo organizowanych z pułku księcia Konstantego Czartoryskiego. wyszliśmy im przypatrywać się, gdzie my jako starzy żołnierze mile byliśmy witani od nowo formujących się żołnierzy. Księżna dowiedziawszy się o naszym przybyciu, przysłała kamerdynera prosząc nas na obiad.—Przyszliśmy więc i zastaliśmy tam księcia starego i księżnę, księcia Konstantego i panią Zamojską. Zapytała się księżna: gdzie my idziemy? opowiedzieliśmy w jakim celu udajemy się do Hornowskiego. Wnet książę oświadczył aby pozostać w Puławach w jego pułku, w stopniu podporucznika męża bo był feldfeblem; lecz pani Zamojska nie dozwoliła pozostać ale kazała wybrać pułk pod imieniem Zamojskich i zaraz napisała do ministra wojny Hebdowskiego, ekzystującego w Lublinie, aby memu mężowi udzielił nominację na oficera. I stało się tak. Tym sposobem uzyskawszy tranzlokację opuściliśmy pułk, gdzie prawdziwe zasługi położyliśmy i przybyliśmy do Maciejowic, gdzie pułk Hornowskiego konsystował: mój mąż jako oficer a ja jako żołnierz. Przykro mi jednak było, że odbywszy kilka batalij nieawansowałam, a byli feldfeblami i sierżantami tacy co pisać nie umieli, ale dobrzy instruktorowie. I to mi dokuczało, że stojąc na szyldwach za broń przed młodemi oficerami brać i furazkę zdejmować, musiałam. Z Maciejowic wymaszerowaliśmy do Warszawy, a w końcu tam, gdzieśmy byli, nie było pisemnych, wysłano więc mnie za kwaterami i dopełniałam polecenia z zadowoleniem sztabu pułkowego—w Warszawie zaś kompanja nasza zaciągnęła na war-

te do Zamku gdzie i ja byłam. SzeF Pruszyński będąc w zamku, oświadczył pannom Grudzińskim, że ja jestem na warcie; te go poprosiły aby mnie zaprezentował. W moment szefkazał mnie oblużować i z bronią stawić się na pokoje. Weszłam jak zwykle, wzięwszy za broń, i czekam rozkazu. SzeF zakomenderował: marsz, potem stój, ton, tuj, cёл, pal! Skalka ognia dała—a panny pouciekały—Wyszedłszy, szef powiedział: „idź zdejm lederwerki i zostaw broń; powracaj; masz być na obiedzie.” Gdy powróciłam, wzięły mnie panny między siebie, robiły mi różne zapytania, a szef dawał mi zalety w pełnieniu służby aż powiedziałam, że pełnię obowiązki furyera, a brać żołd żołnierski to nie najlepiej. Zaraz więc za interesowaniem Grudzińskich awansowałam na furjera, a marszałek Bronniec, na galonki 5 dukatów ofiarował. Kilka niedziel stojąc w Warszawie, wyszliśmy do Modlina; z Modlina do Płocka, a później do Torunia, gdzie pracowaliśmy około fortyfikacyj.—Natenczas zjechał generał-inspektor Fiszer dla zlustrowania kilku pułków zebranych pod miastem Toruniem, gdzie miały być odbyte manewra z ogniem. Cały dzień była ulewa i cały dzień pułki w polu. Nas zaś furjerów wysłano po wsiach aby kwatery dla żołnierzy i oficerów kompanii przysposobić, mnie zaś wskazano wieś Przysieki, za Toruniem mila. Ale że w mieście fur nam nie dawano, rozeszliśmy się piechotą. Przeszedłszy do wsi Przysieki, do dworu, zamówić kwatere dla kapitana, milem była przyjęta; rodzice i panna bardzo byli grzeczni; zaprosili mnie na obiad. Po obiedzie bawiłam się z panną aż do nocy niepomyślawszy o kompanii. Wtém wpada feldfebel i powiada: „pan furjer romansuje a kompania pewnie błądzi po lesie; odniosłem sztandar do pułku, ale oni pewnie w lesie bo słyhać bębnienie i strzelanie.” Kapitan został w mieście a mąż mój kompanię prowadził—Żołnierze zmocz eni i cały dzień niejadłszy zaczęli z sobą szemrać: „żeby to kto inny zrobił, to wiemy jakby mu było, ale że to żona, to zawsze nam bieda” Mój mąż to dosłyszał. Gdy przybliżyłam się na strzały i bębnienie, z ogniem i przewodnikiem, ujrzawszy mnie, zaczął szpadą walić i mówić: „przebiję cię jak psa, dlaczegoś nie wysłał przewodnika. „Ale przecież podoficerowie ulitowali się nademną, zaczęli prosić o uspokojenie się; ale ja parę dni nie mogłam głową ruszyć, bo mi karku nakręcił. (d. n.)

## O POZĄTKACH CYWILIZACYI W ANGLII.

Śmiało twierdzić można iż Anglja, więcej niż wszystkie inne w Europie państwa winna wdzięczność chrześcijaństwu, a szczególnie stolicy Apostolskiej, gdyż wyłącznie z niej pierwsze światło cywilizacyi czerpać poczęła. — Była to bowiem jedyna w Europie prowincja, w której wszelkie ślady pierwotnych chrześcijańskich pojęć, zupełnie przez hordy barbarzyńskie zatartemi zostały. Bretony będąc pod żelazną ręką pogańskiego zepsutego Rzymu, jak wszystkie kraje później podbite i dalekie od stolicy, z której z razu zaczerpnięta od Greków oświata szerzyła się do podbitych ludów, mało z niej korzystać mogli, ulegając tylko łupieztwu i wszelkich rodzajów nadużyciom, jakich się dopuszczali wysłannicy tyranów Rzymskich.

Twierdzili niektórzy dziejopisarze iż w pierwszym wieku, Apostoł Paweł już był wprowadził naukę Mistrza swego do pogańskiej Bretanii, lecz to przypuszczenie dla braku dowodów, samo z siebie upadło; a liczne pozostałe Epistoły tego świętego, świadczą o jego pracy w innych zupełnie krajach podejmowanej i żadnej nie ma do ludu Bretańskiego. — Nadto Bretanja, która nigdy nie uległa całkowicie najeźdźcom świata, w ciągłej z nimi będąc walce; była wówczas teatrem mordów; Apostoł więc nie mógłby w takiej chwili, ani szukać ani znaleźć prozelitów dla nauki swojej. — Wkrótce jednak w końcu wieku drugiego, chrześcijaństwo zaczęło się tam przyjmować, dowodem męczennicy za Djoklecjana i Maxymiljana, z pomiędzy których znanym i za pierwszego uważany jest Śty Alban umęczony roku 287go. — Niewiadomo przez kogo najpierw to ziarno nauki Chrystusowej, rzuconem było na ziemię dzikich Bretonów, wiemy tylko że nie wiele wydało plonów i że te bardzo krótkie miały istnienie, albowiem najście ludów germańskich zwanych Anglo-Saksonami, starało się wyrwać z korzeniem zaledwie krzewiące się chrześcijaństwo. Nieprzyjaciele wszelkiego rodzaju cywilizacyi, nie tylko przybytki katolickie, ale i wszystkie przez Rzymian powznoszone gmachy, zmiotli z biednej krwi krajowców skropionej ziemi. Zarzucając Bretonom jakoby oni przez rodzaj fanatycznej zemsty nad najeźdźnikami, nie usiłowali wcale dać

im poznać światła wiary, w celu ażeby ich jako niegodnych odtrącić od drogi do wiecznego zbawienia. Niesłuszny wszakże wydaje się ten zarzut; czyż może uciemieźony, odarty z wszelkiej możności działania krajowiec, wpłynąć na okrutnego najeźdźnika, którego nie tylko że niszczy dobytek jego, rozlewa krew braci, ale targa się na to wszystko, co on za święte uważa? Czyżby nauka miłości i przebaczenia znalazła była przystęp do dzicy natenczas germańskiej, pragnącej właśnie zniszczyć ją w podbitym narodzie? Istotnie, czyniący podobne zarzuty Bretonom, nie zastanowili się nad położeniem uciśnionego, jęczącego pod obcą, dziką przemocą narodu.

Anglo-Saksoni byli najdzikszy, najokrutniejszy ze wszystkich teutońskich plemion ludem. — Osiedli w piaskach i bagnach północnej Germanii, nie znali wcale nie tylko światła chrześcijańskiego, ale nawet cywilizacyi jaką Rzym w zdobytych krajach rozsiewał, Germanja bowiem zawsze się opierała podbójom tych władców świata i nigdy całkowicie ujarzmioną nie była. Z natury i położenia swego dzicy i okrutni, powiększyli jeszcze nałogi swe barbarzyńskie rozbojami morskimi, pełniąc okrutne rzemiosło Piratów. — Obrządki religijne Anglo-Saksonów nacechowane były, jak ich obyczaje, okrucieństwem — między innymi zbrodniarzami, wyznaniem poświęconym był zwyczaj, zabijać na ofiarę bogom zdobytych jeńców. Napad więc tak okrutnych i dzikich hord; niszczyć musiał wszystkie zarodki cywilizacyi, moralności i początkowego wykształcenia. To też pozostali w kraju Bretonowie, w parę wieków podobni się stali do najeźdźców swoich; ciągła walka, ciągła podsycana bezprawiami nienawiść; niszczyła pomiędzy temi dwoma plemionami wszelką możliwość porozumienia się i działania choćby niedolnego na drodze prowadzącej do oświaty. Duchowieństwo Bretońskie schroniło się w góry do Galii lub do Szkocyi, żadnego nie uroniwszy słowa z nauki swojej na pożytek najeźdźców. Do zadziałania na te barbarzyńskie, przyćmione umysły, trzeba było innego niż z ujarzmionych piersi wychodzącego głosu, i takim był głos mnicha wysłanego z Rzymu.

Grzegorz wielki, wkrótce po wstąpieniu na stolicę

Piotra, zapragnął zaszczerpić światło wiary w Wielkiej Brytanii, która wówczas jedynym była krajem, z którego udało się dzikim najezdnikom, zetrzeć zupełnie ślady nauki Chrystusowej. — Na dopełnienie tego wielkiego grożącego niebezpieczeństwem dzieła, wybrał Gregorz prostego Zakonnika, nieodznaczającego się żadnymi szczególnymi zdolnościami, tylko znanego z wielkiej pobożności i silnej wiary. — Tym zakonnikiem był Przeor klasztoru Benedyktynów w Rzymie, Augustyn Śty. Z razu zwątpienie o dobrym skutku podróży, do barbarzyńców znanych z okrucieństw, ogarnęło Augustyna, ale wiara i przekonanie że z woli Bożej do tego wielkiego posłannictwa powołanym został, powróciło mu odwagę i energję jaką go natura obdarzyła. Puścił się w podróż w r. 596tym i szczęśliwie na wybrzeżach królestwa Kent wraz z kilkunastą towarzyszami swymi (równie jak on z zakonu Benedyktynów) wylądował.

Ethelbert panujący wówczas w Kent, pojął był za małżonkę Berthę, wnuczkę Clotair'a a córkę Caribet'a króla Paryzkiego — słyszał więc od żony o jakiejś innej wierze, o wielkiem i wspaniałem mieście, w którym mieszkał następca Bożkiego Mistrza. Skoro więc oznajmiono mu, że przybyli wyznawcy tej wiary nowej ze wspaniałej stolicy; bez żadnej trudności, przejęty ciekawością, kazał sobie przyprować ludzi niemających żadnych w ręku narzędzi, któreby do jakiegokolwiek broni przyrównać można było. — Jednakże, jak każdy dziki człowiek, król pełen nieufności i zabobonów, nie kazał wpuszczać obcej wiary ludzi, do drewnianego pałacu swego, bojąc się czarów, które według pojęć jego na wolnym powietrzu nie mają siły. — Niosąc krzyż srebrny i obraz przedstawiający Chrystusa i śpiewając pieśń pobożną, zbliżył się wraz z zakonnikami Augustyn do króla, składając mu w ofiarze te dary. — Nie widział w życiu swoim Ethelbert podobnych rzeczy i ludzi z tak ujmującą powierzchownością i taką łagodnością w twarzach; przyjął więc mile dary i zapragnął zapoznać się bliżej z nauczycielami nowej wiary. — Życie skromne, wzajemna miłość zakonników, modlitwy ich rzewne i uroczyste śpiewy, uzdrawianie chorych, zadziwiały nie tylko panującego ale i poddanych. Wkrótce nauczony wiary przez Augustyna, któremu Bertha ułatwiała częsty do męża przystęp, Ethelbert przyjął chrzest, a za nim wielka ilość poddanych. Gorliwość Apostoła zwiększona tak szczęśliwym początkiem, nie miała granic — rozsyłając w różne części kraju,

równie jak on przejętych zapalem towarzyszy swoich, szybko dokonywał dzieła. — Mianowany przez Grzegorza Metropolitą Bretanii, osiadł w Cantorberi jako najstarszy biskup, urządził hierarchję duchowną. — Mając nie osobiste, lecz wyższe, święte cele, nie trzymał na wodzy gorliwości swojej Augustyn, i byłby wpadł w zbytek szkodliwy w najświętszych nawet zamiarach, gdyby nie posłuszeństwo Zwierzchnikowi, któremu jako zakonnik poddawał się skrupulatnie. — Grzegorz wielki, mając oprócz równej mu gorliwości wyższe światło, szersze o naturze ludzkiej pojęcia; powstrzymywał Apostoła swego, dając mu zdrowe, pełne umiarkowania rady — z woli jego nie rozwalał, nie burzył jak byłby chciał Świątyń pogańskich; lecz je poświęcał, zamienił w przybytki chrześcijańskie, zdobiąc w dzieła sztuki przysyłane z Rzymu i w godła zbawienia. Oprócz tych drewnianych, bez pojęcia sztuki zbudowanych świątyń, wznosił piękne gmachy, na wzór tych w jakie obfitowała stolica świata. Tym sposobem Anglo-Saksony z wolna nabierali upodobania do sztuk pięknych.

Każden biskup w początkach był przesyłanym z Rzymu, lecz niższe duchowieństwo, z wolna z krajowców składać się poczęło; prawie każdy z nich pałał gorącą chęcią zwiedzenia tego pełnego uroku miasta, z kąd im nowe przyszło światło. Biskupi nie wstrzymali tej tak naturalnej ciekawości; wielka więc liczba podróżników wracała olśniona wielkością Rzymu, z kąd po kilkoletnim pobycie, wykształciwszy się w rozmaitych gałęziach nauk, przyjeżdżali szczepić nauki w kraju. — Niestety to szerzące się światło nauki wiary, zakłócone było niezgodą między jej własnymi dziećmi. — Duchowieństwo Bretońskie, które jakieś to wyżej wspomnieli, za najściem Anglo-Saksonów schroniło się częścią do Galii a mianowicie w góry Szkockie, przekonawszy się, że wysłannicy Rzymscy dobrze przyjęci, szerzą naukę wiary między Anglo-Saksonami, zapragnęli co rychlej zawrzeć z nimi stosunki, wrócić do ziemi naddziadów i rozpocząć swoje także działania w kraju. Augustyn również chciał połączenia, lecz nie był wolnym od czynienia im zarzutów; nie mógł bowiem zrozumieć w gorliwości swojej o rozszerzeniu wiary, zbytnej obojętności duchowników bretońskich, którzy sąsiadując z Anglo-Saksonami, nie zapragnęli rzucić między nich nauki Chrystusowej. Nie mógł mąż pojmujący zasady miłości bratniej, zrozumieć tej wzajemnej podbitego z napanikami, przekazywaną z pokolenia w pokolenie nie

nawiści, stanowiącej wszelkie zbliżenie się niepodobnem. Wszakże ten ostry sąd dla biednych Bretonów, był się zmienić w braterską miłość, gdyby oni nie byli dali drugiego powodu do niezgody. Oddaleni od stosunków z Rzymem, otrzymawszy niektóre obrządki przez Metropolitę greckiego, odmiennie odbywali wielkanocną uroczystość—Augustyn trzymający się co do litery rytuałów rzymskich, powstawał na tych odmiany. Ale biskupi bretońscy opierali się przy swoim. Wtedy Augustyn przejęty gorliwością i wiary i świętością swęj sprawy, oświadczył, iż chce cudem przekonać ich o prawdziwości zasad swoich. Na zwołanej radzie duchownej, w obec obydwóch stronictw, przyprowadzają ślepego, znanego takim od przytomnych—Augustyn przywraca mu wzrok w imię Chrystusa; mimo to jednak biskupi bretońscy pozostają przy swoim: wtedy oburzony Augustyn, począł im czynić gorzkie wyrzuty, co do obojętności ich z jaką patrzyli na barbarzyńskie pogaństwo sąsiednich Anglo-Saksonów, nie sprobawawszy nawet czyby słowo nauki Chrystusowej nie mogło mieć do nich przystępu—Jakby za karę tego oderwania się od posłuszeństwa Rzymowi, przepowiada im ogólny Anglo-Saksonów podbój, co naturalnie sprawdzić się musiało, w skutek siły jaką już mieli w rękach swoich zdobywcy.

Ten pierwszy rozjem w początkach świetnego rozwoju cywilizacji Rzymsko-chrześcijańskiej nie był bez smutnych nadal skutków: raz rozpoczęto zatargi, w skutek nich rozbudzone zawiści, zazdrości, w rozmaite przybierając się kolory, prowadziły do ciągłych niesnask między duchowieństwem — Wszakże według świadectwa autora Angielskiego Milmana opisującego w znakomitem swem dziele „historia łacińskiego chrześcijaństwa” z bezstronnością wyższemu pisarzowi właściwą, zaprowadzenie tego chrześcijaństwa i wszystkie przejścia jego, twierdzić można, iż te wewnętrzne walki duchowieństwa nieszkodziły dobru ogólnemu jakie spłynęło na kraj cały—„ówczesne sprzeczki i niezgody między duchownymi (jak pisze Milman) nie wychodziły po za obręb zgromadzenia duchownych, których wpływ na zewnątrz najzbawienniejsze wywierał skutki, tak co do moralności ludu, jak co do szczerości tej ogólnej w kraju oświaty.”

Po śmierci Augustyna na szerszą skalę rozpoczęły się niezgody, gdyż nawet dosięgały wyższe głowy duchowieństwa, narażając je na prześladowania, którego nie doznał pierwszy Apostoł Bretanii, a któremu nieszczęściu ulegał Wilfryd, znakomity czasu

swego propagator, przez kościół równie jak Augustyn świętym dla cnót swoich uznany.— Wspominamy tu o nim jako o pierwszym z rodu Anglo-Saksonów dygnitarzu duchownym, jako o następcy S-go Augustyna. Wilfryd syn Thana z Warthumbergii, dla nadzwyczajnej piękności swojej i słodczy charakteru, miał wielkie powodzenie u dworu panującego. Porzucił jednak młodzieniec dwór i ulegając gorącemu pragnieniu nabycia nauk, udał się do klasztoru, gdyż w początkach zaprowadzonej wiary i oświaty, tam tylko nauk można było zaczerpnąć. Po kilku latach poświęcanych naukom, zapragnął młody Wilfryd zwiedzić Rzym: udał się do panującej królowej Nortumba, gorliwej zwolenniczki wiary świętej, opatrzonej listem, do króla Kentu, który ułatwił mu na swoim okręcie dalszą podróż. Staje szczęśliwie Wilfryd w Lugdanie i od biskupa Delphinusa, najlepszego doznaje przyjęcia—tym razem powołanie jego zakonne na wielką narazę zostaje próbę.— Biskup i siostrzenica jego nadzwyczajną pięknocią i miłym obejściem się młodzieńca ujęci, radziły go zatrzymać. Biskup chce go przyjąć za syna, oddać mu siostrzenicę za żonę i powierzyć zarząd świecki nad prowincją swoją—Wilfryd nie zachwiał się—goręcej od wszelkich dostojęstw i szczęścia ziemskiego pragnął on zwiedzić Rzym, przywdziać suknię duchowną, i wrócić do kraju, aby w nim obowiązki Apostoła spełnić. Przybywszy do Rzymu, widok arcydzieł sztuki o jakich Anglo-Sakson mógł marzyć tylko, widok gmachów i świątyń, napełnia go radością i nagradza odrzucone ziemskie dostojęstwa: zawsze trwając w powołaniu duchownem młody Wilfryd, poświęca czas na oświecaniu się, nabywaniu zasad wiary i innych nauk. — Poczem otrzymawszy błogosławieństwo Papieżkie i święte relikwie spieszy do kraju. W Lugdunie biskup Delphinus, czy to dla wypróbowania młodego ochotnika, czy też dla dogodzenia siostrzenicy, ponowił poprzednie ofiary — lecz Wilfryd podziękował za nie, a natomiast prosił o zakonną suknię i tonsurę. Otrzymał je, i jak do ojca do biskupa przywiązany, będąc przy nim przez lat parę, o mało że nie zakończył smutnie życia, które tak użytecznem być miało w ojczyźnie jego. Biskup Delphinus oczerniony przed dworem w padł w niełaskę u królowej Batyldy i razem z innymi duchownymi uległ karze śmierci.—Będący przy nim Wilfryd, już razem z nim prowadzonym na śmierć został; lecz nadzwyczajna piękność jego uderzyła kata, zapytał go o nazwisko i pochodzenie; a gdy się okazało, że był cudzoziemcem, pozwolono mu wrócić do kraju. (D. n.)

# STELLA

## (Z WYDARZEŃ W WENECYI.)

### I.

Jako Anglik i pan milionowy, sir John Hallifax, był jednym z największych w świecie dziwaków, ale zarazem dziwakiem zarozumiałym i tkliwym, nieśmiałym i wspaniałomyślnym.

Zwiedzając pewnego razu pracownię Marianiego, znakomitego malarza-artysty w Wenecyi, spostrzegł tam śliczną główkę młodej rzymianki, prawdziwy typ pięknej rassy transtewerańskiej.

„Czy to fantazya, czy portret?” zapytał malarza.

— Portret,—odrzekł artysta,—portret młodej, zacnej Stelli, znaniej jako model wszystkim malarzom w Rzymie. Zrobiłem szkic tylko w czasie ostatniej podróży mojej i myślę go z natury przerobić na madonnę.

„Zamawiam dla siebie ten obraz, ale pod jednym warunkiem: bierz się pan czém prędzej do roboty, abym niedługo pracę pańską zabrać mógł z sobą, z Wenecyi.”

— I wtém powiedział, że zamiar ma z natury Stelle malować, a Stella w Rzymie mieszka.

„Sprowadź ją pan z Rzymu: płacę koszta podróży i wszystkie posiedzenia.”

— Nie jest to rzeczą, do spełnienia niepodobną: Stella ma krewnych w Wenecyi, z któremi się zobaczysz, zapewne przyjemnieby dla niej było, Ależ kogo po nią wyprawimy?

Starego sługę mojego, Williama: wypełni on rozkaz święcie i rzymiankę przywiezie—za to ręczę.”

I sir John zawołał: „William!”

Na zawołanie to ukazał się William, jakby automat, sprężyną poruszony. Pan wręczył mu list od Marianiego i kiesę ze złotem i banknotami.

„Jedź do Rzymu.”

— Yes, sir (*tak, albo: słucham, panie!*)

„Wyszukaj tam młodą dziewczynę, ot co jest na tym portrecie namalowana, i oddaj jój ten list.”

— Yes, sir!

„Przywieź ją tutaj i bez niej nie wracaj.”

— Yes, sir.

### II.

W dni dziesięć potém, Stella siedziała już w pracowni Marianiego. Jakim sposobem William spełnić rozkaz pana swego zdołał, pozostało to jego tajemnicą, której nikt zbadać nie potrafił, gdyż oprócz dwóch wyrazów: *yes, sir*, nigdy ani słowa więcej nie mówił.

Kiedy sir John Hallifax młodą zobaczył rzymiankę, podziw jego w zachwycenie się zamienił, i od-tąd już z pracowni malarza nie wychodził prawie.

Stella mieszkała u stryjecznej siostry swojej, Teresy, powabnej kwiaciarki, której straganik z kwiatami stał nad brzegiem kanału. Wszyscy podróżnicy znają Teresę, w jój ubraniu oryginalném: w sukni z wolantami, w pantoflach z kokardkami, w naszyjniku na piersi spadającym i w kapeluszu, w koronki i wstążki zdobnym.

Sir John kupować zaczął u Teresy ogromne masy kwiatów dla Stelli, a za każdym razem Teressa, doręczając Anglikowi bukiet, dawała kilka dzwoneczków polnych (symbol Stelli), które sama do pętlicy surduta jego przypinała.

W tymże czasie, sir John miał ze służącym rozmowę następną:

„William! kupuj co ranku u Teresy bukiet za dwadzieścia szyllingów.”

— Yes, sir.

„Z bukietem tym ruszaj do Marianiego.”

— Yes, sir.

„Czekaj tam na Stelle.”

— Yes, sir.

„Jak przyjdzie, doręczaj jój bukiet.”

— Yes, sir.

Posiedzenia Stelli, wcześniej jak za miesiąc ukonać się nie mogły: wystawcież więc sobie, co to za ogród kwiecisty powstać u niej był powinien. Rozumie się samo przez się, że rozmowa anglika z rzymianką daleko kwiecistszą jeszcze była. Mogli rozmawiać z sobą jednym z dwóch języków, podług upodobania: czy włoskim, którym sir John władał jak wloch rodowity, czy też francuzkim, który

dla Marioniego i Stelli, znanym był również jak włoski.

### III.

Gdy ukończoną już była głowa madonny, a ukończoną po mistrzowsku, sir John wszedł pewnego poranku do malarza i rzekł doń tonem najpoważniejszym:

„Nie tylko obraz pański, ale też i oryginał chcę zakupić.”

— Jakto? zakupić Stelle!—zawołał Mariani: ależ, na miłość Boga! wszakżeśmy nie w Anglii, ani w Indjach, sir Johnie! we Włoszech kobiety się nie sprzedają... jeżeli tylko nie jesteś pan ani wdowcem, ani kawalerem ..

„Jestem kawalerem, i żyć bez Stelli nie mogę. Ona jest ubogą i utrzymuje się z rzemiosła modelu; jakżeż pan myślisz: wiele ofiarować jój powinienem, ażeby się ze mną do Londynu udała? Mieszkać tam będzie podług swego upodobania, z wszelką należną jój czcią i poszanowaniem; wyproszę tylko u niej dla siebie pozwolenie, popatrzeć na nią raz na dzień tak jak w pracowni pańskiej przez cały miesiąc patrzę.”

— Wyznaję,—odrzekł artysta,—że postępowanie pańskie jest rycerskie, ale też i niezwyčajne; radzę ażebyś sam zrobił jój podobną propozycję.

„Spróbuję,—odpowiedział anglik,—wszystkich sił moich użyję na to; a jeżeli mi odmówi,—palnę sobie w łeb przed jój portretem.”

### IV.

Przez dwa dni, sir John suszył sobie głowę nad napisaniem listu do Stelli.

Na trzeci dzień zawołał służącego.

„Słuchaj, William!”

— Yes, sir.

„Kup bukiet kwiatów ładniejszy dziesięć razy, jak poprzednie.”

— Yes, sir.

„Zanieś do Stelli, do niej samój.”

— Yes, sir.

„Doręcz jój, wraz z bukietem, ten pugilares, i ten list.”

— Yes, sir.

„Bez odpowiedzi, własną jój ręką pisaną, nie wracaj.”

— Yes, sir.

### V.

Nim kwadrans czasu upłynął, William już był u Stelli: wyszła dopiero co ze swą kuzyną. Czekał

więc do wieczora, nieporuszenie stojąc u drzwi przez siedm godzin, jak gdyby za szyldwacha.

Gdy Stella wróciła, doręczył jój bukiet, pugilares i list.

List zawierał w sobie propozycję jechania do Londynu, oraz przysięgę, że sir John Hallifax roztrzaska sobie głowę, jeżeli za dwa dni odmówną otrzyma odpowiedź.

W pugilaresie znajdowało się dziesięć tysięcy funtów szterlingów.

Stella zatrzymała u siebie bukiet i list, a pugilares zwróciła Williamowi.

— Czekam na odpis,—rzekł służący.

I usiadł najspokojniej na wschodach.

Stella myśląc, że William wróci do domu, weszła do swego pokoju.

Ale wieczorem, udając się na spoczynek, ona i jój krewni posłyszeli na wschodach mocny hałas, wybiegli więc czém prędzej dla dowiedzenia się, coby takiego tam się stać mogło.

Lokatorowie domu, spostrzegłszy nieznanomego anglika, który się na dobre na wschodach rozgościł, usiłowali go wyrugować ztamtąd dobrowolnie albo przemocą.

William bronił się z siłą herkulesową: zwał już czterech napadających, a na wszelkie przekładania błagania i pogróżki, odpowiadał stanowczo i niewzruszenie:

— Yes, sir, jak odpowiedź na piśmie otrzymam.

Stella w przekonaniu, że przecież skończyć się musi kiedykolwiek upór anglika, zostawiła Williama, zwyciężcę wszystkich nieprzyjaciół, który usiadł, w płaszcz owinięty, na pierwszym stopniu wschodów.

Ale Teressa, kwiaciarka, ulitowała się nad nim, a sądząc, że pewnie nie jadł obiadu, zapytała go czy by nie chciał posilić się czém-kolwiek.

— O yes, sir, odrzekł William.

Teressa przyniosła na tacy butelkę wina, dwufuntowy chleba bochenek, ćwiartkę baraniny, szynkę, owoce, sér i karafkę z wódką.

— O yes, sir, powtórzył anglik.

Baranina, chleb, sér, szynka, owoce, wino i wódka znikły, jakby na skinienie laski czarodziejskiej, w żóładku atlety. Statki same i kości tylko pozostały.

Podziękowawszy Teressie wykrzyknieniem: „O yes sir,” William otulił się w płaszcz, położył na podłodze, i głośno na cały dom zachrapał.

Drugiego dnia rano, Stella znalazła go na tém samym miejscu: podał jój pugilares, ze zwykłą swą frazą: „O yes, sir, odpowiedź na piśmie!”

Stella postanowiła żadnej nie dawać odpowiedzi; ale już się sprzykrzyło jej to istne obłężenie, wyszła więc z krewnymi do kościoła.

Gdy po mszy, wróciły do domu, William stał ciągle na warcie, wyciągając jedną rękę z pugilaresem, a drugą prosząc o odpowiedź.

Na szczęście, czy też na nieszczęście, Teressa pamiętając o stu bukietach, po złotej monecie każdy, przynosiła jedzenia i napoje dla oblegającego, i William w wyłomie swoim na dobre się rozlokował, jak człowiek, co powolną blokadę prowadzić postanowił.

Minał dzień; za nadejściem nocy, powtórzyły się wczorajsze sąsiadów wycieczki. Ale wszystko było napróżno.

## VI.

Trzeciego dnia,—Stella wspomniała z przerażeniem o dopisku sira Johna Hallifaxa:

„Po dwóch dniach się zastrzeżę, jeżeli pani mi odmówisz!”

Pobiegła czém prędzej do Williama, z bojaźnią zapytując:

„Czy pan twój zdolny jest pogrózkę swą wykonać?”

— O yes, sir, odrzekł służący.

Stella spojrzała na zegar i zadrżała. Wśród walki wewnętrznej, która się na jej twarzy nadobnej odbiła, wzięła pióro i napisała prędko:

„Przychodź pan, sir Johnie, i nie umieraj!”

Oddawszy list Williamowi, wzięła z rąk jego pugilares, a nie spojrzawszy nań, padła na kolana przed obrazem Matki Boskiej, błagając o pomoc.

Służący znikł, wymówiwszy ostatnie: *yes, sir* i poleciał jak strzała po Wenecyi.

Zastał sira John'a, nabijającego pistolet przed portretem Stelli.

## XII.

W półgodziny potem, Anglik jak dziecko uradowany, wbiegł do pokoju młodej rzymianki.

Na widok jego, Stella ukryć nie mogła swego zadowolenia, gdyż się opóźnić bała z odpowiedzią.

Sir John blady był, jakby umarły: ledwie miał siły dotknąć się ręki dziewczyny, i upadł na krzesło, słabym wymówiwszy głosem: „dziękuję”

Po kilku chwilach, zapytał:

„Kiedyż jedziem do Londynu?”

— Najprzód obejrzyjmy trochę Wenecyę—odrzekła Stella. Chciałeś pan umrzeć, sir Johnie! pokażę panu, jak drogiem jest życie pańskie. Nie znamy się jeszcze z sobą, ale za godzinę będziemy znajomi.

Sir John, nie pojmując tych słów, udał się za Stellą, a poszedłby za nią na koniec świata.

Z początku zdążali, w towarzystwie kuzyny, (która do znowy należała) na plac najbliższy, gdzie się statua Matki Boskiej znajdowała.

Madonna przystrojona była w bukiety kwiatów.

„Czy poznajesz pan te kwiaty?” zapytała Anglika rzymianka.

Sir John spojrzał na nią z zadziwieniem.

„Są to dwa pierwsze bukiety, któreś mnie pan ofiarował. Zwiędły one wprawdzie, ale są przez królową anielską uświęcone.— Pójdźmy teraz zobaczyć, gdzie użyte zostały pieniądze, któreś pan co dzień za kwiaty płacił.”

Tą razą Teressa udała się z niem w ciemną ulicę do chaty ubogiej, gdzie matka z dzieckiem nowonarodzonem były.

„Leżały one na słomie, rzekła Stella, paneś, sir John, pościel dla nich kupił. Przyjmij więc od nich wdzięczność i błogosławieństwo.”

Biedna matka powstała, zraszając łzami rękę cudzoziemca, który i sam zapłakał, patrząc z uszanowaniem na Stellę, a wychodząc, dwie sztuki złota na stole nieszczęśliwej zostawił.

„Idźmy dalej,” mówiła młoda dziewczyna; wiadomo panu, że sto bukietów od niego otrzymała...

— I ozdobiłaś nimi sto madonn, nie prawdaż? —zawołał sir John w zachwyceniu.

„I uratowałam, w imieniu pańskim, stu nieszczęśliwych,” —dodała rzymianka.

— Chcę ich wszystkich zobaczyć, zawołał sir John, wzruszony uczuciem, którego dotąd nie doświadczał.

Poszli więc po najuboższych Wenecyi dzielnicach, odwiedzali chorych z prostego stanu, starców bezsilnych, dzieci opuszczone, wdowy, środków utrzymania pozbawione; widzieli wszystkie klęski, wszystkie cierpienia, wielkim wspólnym miastom, a wszędzie łzy, modlitwy, okrzyki radości i dziękczynienia spotykali.

Anglik był zachwycony. Stella aniołem mu się wydała.

„Szukałeś pan szczęścia, sir Johnie! — zaczęła znowu rzymianka: dumna jestem, że doń wskazała ci drogę. Aleśmy nie skończyli jeszcze; wróćmy do domu, do mojej kuzyny.

## VIII.

Stella wyjęła z komody pugilares z dziesięcią tysiącami funtów szterlingów i bukiet ostatni.

„Bukiet ten zachowam dla siebie, rzekła, — jeśli się zgodzisz pan na użytek, jaki z pieniędzy jego mam zrobić?”

Anglik już dłużej nie mógł być panem siebie. Ukląkł przed dziewczyną, błagając o przebaczenie, że jęj nie pojął, że się z nią obszedł jak z prostą modelką; że ją obraził propozycją, uczuć jęj niegodną, a w końcu błagał o przyjęcie ręki jego, bogactw i imienia.

„Zameżcie?” odrzekła Stella z uśmiechem, podnosząc uprzejmie sir Johna: „o tem właśnie pomówić miałam z panem. Proszę za mną.”

Rzymianka zaprowadziła anglika do małego pokoiku na inném piętrze tegoż domu. Wicież co tam anglik zobaczył?

Kobietę letnią, młodziana i młodą dziewczynę siedzących przy stole.

Matka upadała, jak się zdawało, pod ciężarem biedy, która jęj siły przewyższała. Młodzi ludzie ją pocieszali, ale i sami spojrzeć na się bez łez nie mogli. Widok ten raził tém bardziej, że tak młodzieniec jak dziewczyna, w całym blasku, siłę, delikatność i piękność posiadali. Dziewczyna, do Teresy podobna, powabniejszą jeszcze od nięj była. Młodzieniec, twarzy śniadęj, z dużemi czarnemi oczyma, z włosiem w pierścieniu na ramiona spadającym, w ubraniu marynarza bez obuwia, przypominał najlepsze typy Dawida i Leopolda Roberta.

„Sir John!” rzekła poważnie Stella: mam zaszczyt przedstawić panu ciotkę moją, kuzynę i jęj narzeczonego. Józefa i Mario, najszcześliwszemi byliby ludźmi w całej Wenecyi, gdyby się na wieki połączyć mogli; lecz ojciec Mario żąda w posagu trzech gondol, które na waszą monetę angielską, pięćset funtów szterlingów kosztują. Ciotka moja żadnego nie posiada funduszu; Józefa trudni się szyciem bielizny: pomyśleć nawet nie mogą, aby sumę taką zbierać kiedy mogły. Mario postanowił, szukać jęj na końcu świata. Jutro do Kalifornii odpływa. W czasie podróży będzie majtkiem; na miejscu, zostanie górni-

kiem i albo umrze, albo pieniądze przywiezie. Jeżeli umrze, kuzyna moja go nie przeżyje. Czybyś nie życzył pan sobie, ażebym ich uratowała. Myślałeś pan o niepodobnem zameżciu; złącz lepiej dwa serca kochające: zostanie panu jeszcze dziewięć tysięcy pięćset funtów szterlingów i wdzięczność moja dożgonna,“ — dodała Stella, zwracając anglikowi pugilares.

— Gdzież więc i kiedy panią zobaczę? zapytał Hallifax, rozrzewniony, zwyciężony, wzruszony nadzwyczajnym duszy nastrojem.

„W Rzymie, u matki mojęj, która na mnie czeka i którą rzemiosłem modelki utrzymuję, w każdym razie kiedy się panu spodoba i kiedy pojdziesz całą pociechę miłosierdzia chrześcijańskiego.”

Sir John, odwróciwszy się doręczył cały pugilares Józefie.

Stella i wszyscy jęj krewni upadli na kolana.

— O yes, sir! powiedział w tęg chwili William, otwierając drzwi: konie są gotowe i obraz signora Marianiego, stosownie do rozkazu pańskiego, już jest zapakowany.

„Zostaje mi portret przynajmniej!” zawołał anglik, tłumiąc łzy i wybiegając na wschody.

## X.

W miesiąc potęg Mario ożenił się z Józefą, a zamiast trzech, zakupił sześćdziesiąt gondol, które stu dwudziestu biedakom dadzą utrzymanie.

Stella zabrała z sobą ostatni bukiet sir Johna do Rzymu, gdzie dotąd, ku radości wszystkich artystów, za model służy.

Powiadają jednak, że wkrótce rzemiosło to porzuci, gdyż w gazetach rzymskich zamieszczoną była w tych dniach wiadomość następną:

„W mieście tutęjszém mówią wiele o zaszłym niedawno wypadku. Majętny anglik, sir John Hallifax wrócił na łono kościoła Rzymsko-katolickiego. Ojcem chrzestnym jego był znakomity malarz wenecki Mariani, matką, zaś młoda Stella, *perłą Rzymu* przezwana.”

J. S.



## RYBOŁOWCY Z WYBRZEŻÓW MALABARU.

(Z RYCINĄ KOLOROWANĄ).

Indjanin, czy to jako mieszkaniec Azyi, czy Ameryki południowej, długo dostarczać nam będzie zajmujących obrazków, tak dla podróżnych, jak dla wszelkiego rodzaju pisarzy. Mówiąc o ostatnich, mnóstwo nastrecza się materji do zaciekawienia czytelnika, czy to obrazem lasów dziewiczych, nieprzejrzanym dotąd, a mimo to świadczących, że przed wiekami miejsca te nie były dla stopy ludzkiej niedostępne, że ona tam nawet pozostawiła pewne ślady nieznaną, niezbadaną cywilizacji; czy też opisem licznych zamieszkujących te obszary plemion, tak różnym usposobieniem, obyczajami, a przecież posiadających na dnie ducha, też samą iskrą ze światła w podaniach religijnych istniejącego, która niekiedy lubo grubym jest przysypaną popiołem i zwierzęcą na pozór pokryta obsłoną; świadczy wszakże o inszości i o wyższości natury człowieka nad zwierzęcą, również jak o *jedno plemienności* jego. Jeżeli zaś zwrócimy uwagę naszą na Indje Wschodnie, na uroczę krainy wodami Gangesu skropione, ileż tu znów ma wdzięku ta kolebka rodu ludzkiego, przemawiająca do nas pełnych prawd odwiecznych Samskrytem, prążykiem wszystkich świata djałektów? — Jakże bogatym jest polem do zbierania głębszych postrzeżeń ta ojczyzna pełnego poezji filozofa Indyjskiego Sakjamuni, pierwszego Budy! To też w wieku naszym a mianowicie w czasach obecnych, nie ma czasopisma, któreby nie zamieszczało rozmaitych o tych, nie dość nam jeszcze znanych, krainach, opisu. Jest to nie wyczerpana dotąd kopalnia dla podróżnych, goniących nie za złotem, ale za ciekawościami, któremiby za powrotem obdarzać współbraci mogli.

Mieszkańcy Malabaru jako nie dopiero od Europy znani, nieraz już dostarczali dawnym podróżopisarzom, wątków do osnucia smutnych i okropnych powieści o pięknych wdowach palących się na dowód miłości małżeńskiej; o nadużyciach Braminów lub o męczarniach Derwiszów. My nic podobnego w niniejszym artykule skreślać nie zamierzamy. Biedni rybacy, zamieszkujący wybrzeża Malabaru i małe przyległe wysepki, prócz obrazu nędzy i ciężkiej pracy, z którym niestety aż nadto jesteśmy obeznani,

nie przedstawiają nam ani w obyczajach, ani w pracach, żadnych rażących okrucieństwami obrazów; przeciwnie, łagodni, spokojni, przestający na małym, mogliby zgodą swoją i wypełnianiem obowiązków religijnych zbudować nie jedną Europejską osadę. Wyznawcy Budyzmu, a tém samem nie rozlewający krwi żadnego zwierzęcia i nie jadający mięsa, byliby często na straszny głód, odejmujący im siłę do pracy, narażeni, gdybynie różnica zachodząca między zwierzęciem a rybą. Wiadomo, że prawodawca Indjan-Budystów, Sakjamuni, przyjąwszy za podstawę wiary, *za nagrodę i karę* przechodzenie duszy ludzkiej w zwierzęta, ptaki, robaczki, zgoła wszystkie żyjątka na powierzchni ziemi znajdujące się, nie kazał ich zabijać pod grzechem bratobójstwa: szczęściem nie dość jasno wyraził się o rybach. Wprawdzie inni wyznawcy Budy, lepiej zrozumiałwszy myśl jego, nie odtrącili i ryb od téj wielkiej rodziny tworów bratnim stosunkiem, poczynawszy od człowieka, aż do robaczka, spojonej: lecz Indjanie o których mówimy, rozebrawszy podług swoich pojęć *stanowisko* ryby, uznali że: ponieważ ma krew inną, ponieważ nie ma nóg, a mianowicie ponieważ w innym żyje żywiole, dusza ludzka przyzwyczajona do powietrza, nie mogłaby przejść w rybę i być pozbawioną żywiołu, którego używa najlichszy robaczek pełzający po ziemi.

Tak tedy, jako zupełnie odmienna istota, ryba, pomimo wspólnego wyższym zwierzętom, właściwego instynktu, uznaną została za rzecz mogącą, jak owoce drzew i jarzyny, służyć za pożywienie człowiekowi. Wtedy mieszkańcy wysp i brzegów morskich lub rzek, rzucili się do rybołówstwa, które nie tylko jest dla nich jako pokarm pożyteczne, ale stanowi największą gałęź ich przemysłu.

Biedni rybacy nasi doznają wielkich trudności wzebraniu licznych ze swój pracy plonów, jakich nie doświadczają ich koledzy odmiennego wyznania będący. Ogromna masa ptaków wodnych, żywiących się rybami, współubiega się z niemi o zdobycz. Zmyślne te stworzenia, nie doznając nigdy ze strony człowieka żadnego napadu, nigdy przez niego nie spłoszone, tak się oswoiły, że gdy rybacy zaciągają sie-

ci, one krążą po nad ich głowami i wrywają wtedy z sieci ułowione jak najlepsze ryby. Podwójną więc pracę mają ci biedni ludzie, nie tylko ułowić w sieć ryby, ale nadto, żeby zręcznie, nie uszkodzwszy *brata ptaka* odpędzić go, i nie dopuścić do uchwycenia zdobyczy.

W tym celu z niewielką siecią, a raczej jak u nas zowią kłomlą, to jest z kawałkiem sieci dokabłąków drewnianych przyczepioną, idzie na tę wyprawę pięciu lub sześciu silnych, poświęcających się rybactwu Indian. Wbijają trzy koły w ziemię, których górne końce silnie razem wiążą, na wierzchołek tych kołków związanych, zręczny i lekki Indianin wylazi, utrzymując się częścią na nich, a częścią na grubym pręcie, do którego przymocowaną jest kłomla utrzymywana przez innych. Obowiązkiem jego jest odganiać różgą, bez skaleczenia, ptaki cisnące się już i zbiegające się zewsząd na widok sieci. Skoro mu się uda, po długiej pracy i usiłowaniach, krzykiem i różgą odstraszyć nieproszonych gości, tak że na kabłąkach sieci żaden już nie czatuje; w tedy kij na któ-

rym wisi sieć, spuszcza ją coraz niżej a ludzie trzymający sznur od sieci, dla łatwiejszego wyciągnięcia ryb, zwalniając go w końcu wpuszczają w wodę. Wtedy położenie biednego strachoptaka nie jest do zazdrości, pełni on jednak swoją powinność, trzymając się długo drąga, na którym sieć wisi: gdy ryby napełnią sieć, ciągną ją na brzeg, z kądem już łatwiej odgonić ptaki. Mimo tych sztucznych starań, nigdy cały plon nie dostanie się rybakom: pragnące głód nasycić a oswojone z ludzmi ptastwo, zdoła zawsze pochwycić jaką zdobycz.

Ulubioną rybą mieszkańców nadgangesowych jest rodzaj ryby, kształtem swoim podobnej do śledzi, mała co większej od nich, miękkiej i dość tłustej, ale nazywanej przez krajowców Aujana. Lecz tej nie łowią wyspiarze, tylko mieszkańce brzegów stałych, gdyż ona potrzebuje wody słodkiej. Gdy ją obsuszają a niekiedy obwędzają, pakują w beczki—tak urządzone rozchodzi się po całych Indiach i staje się korzystnym przedmiotem handlu krajowego.

S.

## MARJA SOMERVILLE.

Czytając opis młodzieńczych lat tej sławnej wieku naszego kobiety, nie jedni rodzice wątpiący o wyższych zdolnościach dzieci swoich, tracący nadzieję, ażeby te do nauk zamiłowanie powziąć mogły; pocieszyć się i zaspokoić powinni. Uczona matematyczka, której Humboldt przyznał wyższość nad innymi matematykami; dowodem jest, jak mylne są częstokroć wnioski czynione, oparte na braku lub zasobach zdolności, objawiających się w młodocianych umysłach; które stosownie do organizacyi, wcześniej lub później rozwijają się. — Jakże często z tych małych Salomonków, Cyceronków, których rozumne nad wiek zdania i piękny sposób wyrażania się, powtarzają rodzice i przyjaciele — wyradzają się pospolici, a czasem mniej jak pospolici ludzie; a przeciwnie tępe z razu umysły *dzieci*, w całym znaczeniu tego wyrazu, łatwe do zabawienia się lada drobnostką, łatwe do zwiedzenia, okrzyczane za nieroztropne, nie rozwinięte; z wiekiem przychodzą do władz umysłowych, rozwijają się coraz wyżej i jak ziemia odłogiem czas jakiś leżąca, wydają plony stokroć obfitsze nad te

które na wycieńczonym wyrosły gruncie. — Tak było z umysłem naszej astronomki.

Marja Somerville, córka oficera marynarki angielskiej Fairfax, urodziła się w Szkocyi, przy końcu zeszłego wieku. Rodzice umieścili ją w zakładzie naukowym panien, nie daleko Edimburga będącym, gdzie lat kilka pobierała nauki, i gdzie *tylko* łagodnością, cichością, skromnością, odznaczała się między innymi uczennicami. Nic nie zapowiadało w niej wyższego umysłu; nie celowała więc wcale naukami, ani zamiłowaniem w nich. — Później dopiero wróciwszy do domu, wpadło jej w rękę kilka dzieł poważnej naukowej treści, które z zajęciem przeczytała. Miała zwyczaj być obecną gdy profesor matematyki wykladał ten przedmiot bratu jej, i z wolna, coraz silniej zajmując się słuchaniem tych wykładów, oświadczyła młoda dziewczyna chęć gorącą uczenia się matematyki. Nauczyciel brata, na wypróbowanie młodej adeptki, dał jej do czytania dzieła Euklidesa, które z zajęciem i korzyścią przeczytawszy, już sama starać się poczęła o podobne utwory; a przyjaciele, znajomi,





widząc tak wielkie jęj zamiłowanie w tego rodzaju dziełach, dostarczali ich obficie. Po przeczytaniu najznakomitszych czasu swego dzieł o algebrze; młoda Marja oddała się z całym zapalem badaniom symbolicznych liter x, y, z, wielkie na tém polu robiąc postępy.

Gdy skończyła lat 20. *weszła w świat* jak to mówią, i zaczęła bywać w towarzystwach Stolicy. Wtedy w Edimburgu właśnie kilka kobiet odznaczało się wyższem ukształceniem. — Do ich grona weszła Marja, należąc ochotnie do nauczających rozmów, a mimo to odznaczając się skromnością i niezrozumieniem. Cała jęj rodzina, a mianowicie znakomity professor Playfair, zachęcali ją do nieustawiania na naukowej drodze; ten ostatni mówił do nięj: „Wytrwaj w swoim oddaniu się nauce, a źródło szczęścia w nięj znajdziesz, albowiem zawody spotykają się wszędzie, ale nie znajdziesz ich w szukaniu, w dociekaniu prawdy.”

Głęboka, prawdziwa nauka, nie rażąca ani pedantyzmem ani zarozumiałością; przeciwnie, połączona z miłą, pełną wdzięku powierzchownością, zjednała Maryi ogólną sympatję ziomków, tak dalece, że ostry krytyk którego ówczesni postrachem zwali, z powodu uszczypliwości, jaką był nacechowany dowcip jego, sławny dziennikarz Jeffrey — nie tylko że nigdy swęj ostręj broni krytyki przeciwko nięj nie użył, ale raz nawet śmiało w jęj obronie wystąpił w następującem zdarzeniu:

Jeden ze znajomych dziennikarzy, pisząc do niego żartobliwie, wyraził się o młodej uczonęj, nazywając ją *bas bleus*. Na to odpowiedział Jeffrey: „Dama, o której mówisz, może nosi *niebieskie pończochy*, lecz suknia jęj tak jest długa, że ich zupełnie nie można widzieć.”

Widać że w Szkocyi, nawet przed 40stą laty, kobieta uczona nie była postrachem, ani śmiesznością; gdyż młoda Marja znalazła wielbicieli — między któremi był pan Greig, oficer marynarki, któremu oddała rękę. — Człowiek ten wysoko wykształcony, wiele się przyczynił do rozwinięcia zdolności jęj naukowych, mianowicie dopomógł jęj wiele w rozwiązywaniu matematycznych zawiłości. Zdaje się iż wkrótce straciła pierwszego męża, i potem poślubiła Doktora Somerville, któren również wszelkich starań dokładał, ażeby jęj dostarczyć sposobów coraz wyższego kształcenia się w rozpoczętym naukowym zawodzie.

Pierwszém dziełem, które wydała pani Somerville, a które podstawą jęj sławy autorskiej nazwać by mo-

żna było jest: *Mechanika Niebieska*. Zasada dzieła tego ma być wzięta z *la Plasa*. Autorka ze zwykłą sobie skromnością wyrażała się o nięm: „Ja tylko przetłumaczyłam język algebry na pospolitą mowę.” Co właśnie zdaniem uczonych, było zadaniem nader trudném dla silnego męzkiego umysłu, a tém bardziej dla kobiety. Herszel był nięm zachwycony. „Jest to dzieło dla potomności” — wyraził się o nięm. Zgoła wszyscy uczeni podziwiali umysł tęj kobiety.

Pani Somerville będąc w Paryżu na proszonym obiedzie, posadzoną została obok *la Plasa*; ten chcąc jak widać stosowną rozpocząć rozmowę rzekł do nięj: Ja piszę książki których nikt czytać nie może. Rzecz dziwna, że dwie kobiety któreby mogły je czytać, są Szkotki, jedna jest pani Greig a druga pani. Uczony nie wiedział że te *dwie* były *jedną*, nie słyszał że pani Somerville była poprzednio za panem Greig.

Ażeby dać obraz życia domowego tęj zajmującej kobiety, przytoczymy tu wyjątek z podróży jednego Amerykanina, któren w roku 1858 znajdując się we Włoszech, poznał we Florencyi panią Somerville, z powodu słabości męża tam mieszkającą. — „Pragnąłem poznać tę sławną kobietę — mówi podróżnik — do której miałem list zalecający od dawnęj jęj znajomęj Lady Herszel, siostry astronoma. Przybywszy do Florencyi do jęj mieszkania, oddałem list i wizytową kartę służącemu, a sam czekałem w dużym salonie, gdzie po kilku minutach, wyszedł do mnie człowiek stary, słusznego wzrostu; był to pan Somerville. Po wszystkich, rozpoczynających znajomość grzecznościach, zaczął mówić o żonie swojęj. Amerykanie — rzekł do mnie — „obudzają wielkie w pani Somerville zajęcie, sądzi się ona być spokrewnioną z rodziną Washingtona, Laurence poślubił Annę Fairfax z familii Szkockięj; kiedy ojciec pani Somerville, wówczas porucznik okrętu, przybył do Ameryki, Washington napisał do niego, zapraszając, aby jako krewnego odwiedził. — Porucznik Fairfax prosił starszego oficera o pozwolenie, lecz ten odmówił mu go i Washington nie widział się z nim nigdy z wielkim żalem pani Somerville, a list ten, ręką Washingtona pisany, zaginął! Rodzina Fairfax z Wirginii jest z tegoż samego pochodzenia, i dla tego przydarzonęj sposobności, jeden z nich udał się do Szkocyi aby odwiedzić familję.” Gdy tak rozmawiał ze mną z wielką grzecznością, pani Somerville żona jego weszła. Zdawała mi się o 10 lat młodszą od istotnego wieku swego — twarz bardzo miła, czoło jęj lubo nizkie ale szerokie, oczy ciemno-niebieskie, rysy tak regularne, iż popiersie jęj bardzo szczęśliwie przez

Chantrey wyrzeźbione, przedstawia bardzo piękną kobietę. W mowie jej bardzo się przebija Szkocki akcent; — niekiedy z wielkiem ożywieniem mówiła. Wtedy właśnie pisała swoją geografję fizyczną, mówiła że z równym zapalem pracuje jak za młodych lat, tylko że teraz więcej ją męczy praca. Poświęca jej godziny ranne, zaś po obiedzie przyjmuje odwiedziny. Wspomniała że do pierwszego dzieła swego, niezliczoną liczbę poczyniła rachunków; mówiąc to zerwała się żwawo i przyniosła z przyległego pokoju mnóstwo rękopismów wypełnionych liczbami, których widok sam nabawiłby mógł bólem głowy nie jedną kobietę. — Rozmowa jej, nacechowana prostotą, do poufnej gawędki podobną była. Dotknęła świeżo poczynionych odkryć w Chinach, kopalni w Kalifornii i skutków jakie produkcja ich pociągnie; mówiła o ciałach mglistych (nébuleuses) które coraz bardziej będą rozpoznawane, dodając wszakże, że pozostanie jeszcze materja niestała, mglista, nierozpoznana, z jakiej składają się ogony komet i satelity, posiadające podług niej inne własności niż te, które im przypisują. Powoływała się na zdanie pana Whewell utrzymującego że pomiędzy planetami, jedna tylko ziemia nasza, zamieszkała jest, dowodząc że inne planety mogą być wypełnione przez istoty, wyższej niżeli nasza, natury.”

„W późniejszych odwiedzinach, których nie raczyła mi odmawiać, wiele mówiła o Ameryce, żałując że z niej mało odbiera naukowych artykułów; wspomniała z wielkimi pochwałami imiona porucznika Maury, Doktora Bowdich, professora Peirce i piękną fotografię gwiazd pana Whipple. Łatwo pojąć z jak miłym wzruszeniem słyshałem wymieniane te nazwiska, ja, podróżnik, milionami mil od kraju mego oddalony!... Opuściłem tę znakomitą kobietę pełen uwielbienia tak dla zdolności jak i dla jej osoby.

Głębokie zaciekanie się i rozmyślanie jakich wymagała nauka, której się oddała, nie zatarła w niej przymiotów właściwych kobietom salonowym. Czas, poświęcany naukom, nie był zdobyty kosztem zaniedbania powinności żony i matki. Rozum oddany ciężkim matematycznym odkryciom, nie stracił wiary w prawdy, których cyframi dowieść nie można. Nie wątpię — rzekła do mnie mówiąc o ciałach niebieskich — w innym stanie przyszłego istnienia naszego, mieć będziem o tém wszystkim, daleko szerszą wiedzę.”

Dwa dzieła p. Somerville najbardziej popularne są: *O związku nauk fizycznych* (Connection of physical Sciences) wydane 1834 roku. Jest to, pod skromną powierzchownością, prawdziwy Cosmos, gdzie liczne zasoby materjałów, zebrane i ułożone z wyższym o rzeczach sądem, przedstawiają jakby obraz naukowego światła. Zasługuje to dzieło na większą uwagę, iż na 20 lat wyprzedziło Humboldta. Drugim dziełem — jest geografja fizyczna (Physical Geographie) wyszła 1848, o której wspomina wyżej amerykański podróżnik. Jest to historia ziemi uważanej ze strony materjalnej organizacyi, życia zwierzęcego i roślinnego. Oba te dzieła odznaczają się podniesieniem myśli, która wśród tajemników świata i przyrody, zwraca zawsze umysł czytającego do najwyższej mądrości Stwórcy.

Pani Somerville ma troje dzieci, syna z pierwszego małżeństwa i dwie córki z drugiego. W młodości oddawała się muzyce, do której wyższą miała zdolność; córki odziedziczyły po niej ten talent. Mieszka we Florencyi. Ładny ogródek napełniony różami i innemi krzewami służy jej za miejsce do przechadzki i do wypoczynku po naukowych pracach. — Z wielką przyjemnością pokazuje odwiedzającym, za jej staraniem rozrastające się kwiaty i krzewy. S.

## O MALARSTWIE.

MOZAJKI, MALARSTWO NA PŁÓTNIE, NA DRZEWIE; SZKOŁA WENECKA, FLAMMANDZKA ALBO HOLENDERSKA

I FRANCUSKA.

Jeden z mędrców greckich powiedział, że malarstwo jest siostrą poezyi i wymowy: to zdanie, przekazywane od wieku do wieku przez retoryków, przyszło aż do nas, dzięki pisarzom, którzy uważają za

rzecz najwygodniejszą używać podań literackich i filozoficznych z czasów starożytności.

Piękności wszakże poezyi lub wymowy i wrażenia, jakie sprawia malarstwo, inaczéj niekiedy działa-

ją.—Deklamujcie najpopędliwsze filipiki Demostenesa, najszlachetniejsze mowy Cycerona, najgwałtowniejsze odezwy, które miał Mirabeau, przed dzisiejszym ludem Londynu;—powtarzajcie głośno przed zebranymi Huronami, Irokiezami i Samojedami, najwznioślejsze Tybulla albo Parnyego, najpiękniejsze gdy Pindara, Horacyusza, lub Jana Baptysty Rousseau, najdramatyczniejsze sceny z życia Polyuekta, Cynny i Atalli, a zobaczycie czy ta massa zwierząt o dwóch nogach bez piór (według definicyi Platona), nie stanie się zupełnie obojętną? Ale pokażcie tymże samym Huronom, Irokiezom albo Samojedom, kilka malowideł, wyobrażających jakieś wypadki historyczne lub religijne; pokażcie ich niepojętnym oczom: Zdjęcie z krzyża—Rubensa; *Sąd ostateczny*—Michała Anioła; *cierpienia S. Gerwazego*—Lesuera; *komunię S. Hieronima* Dominikina; *Bitwę pod San Kristino*—Salvatora; *Rewolucję Kairu*—Girodeta, a zobaczycie te postacie ludzkie dziwnym błyszczące zapalem.

Geniusz malarza, urok pędzli, cudne dobranie kolorów, zdoła silnie poruszyć nerwy tych barbarzyńców, którzy byli nieczułymi na mowy Demostenesa, Cycerona lub Mirabeau—na łagodne pieśni Tybulusa i Parnyego, na groźne wyrazy Korneliusza.

Grecy, którzy ubarwiali wszystko w kwiaty poezyi i wyobraźni, opowiadają, że pewna dziewczyna z Koryntu, imieniem Dybutada; w momencie, gdy oddalała się od swojego narzeczonego, który jechał na wojnę, wyrysowała na murze profil jego i od tego czasu niby malarstwo było znane w Grecyi.— To zdarzenie jest bezwątpienia bajką, bo na kilkaset lat przed tém, uprawiano malarstwo w tym kraju. Ta bowiem sztuka, jak wiele innych, rodzi się, wzrasta, kwitnie, upada i umiera z instytucjami politycznymi, moralnymi i religijnymi narodów, u których bywa w poważaniu. Jeżeli jaki naród jest odważny, waleczny, szczęśliwy, przywiązany do Boga i praw swoich;—malarstwo jest energiczne, pełne wiary i natchnienia; przeciwnie zaś, jeżeli jakie towarzystwo skalane, zepsuło obyczaje ludu, instytucye, tradycye i honor jego, wtenczas malarstwo odbija zepsucie ogólne; jest ono, jakby szalone, niemoralne, płóche, fanatyczne, albo sprośne.

Od uszanowania dla Boga, dla ojczyzny, dla bohaterów, od tego wysokiego szczebla, na którym stać winno, zniża się ono do wydawania wszystkiego, co nieszlachetne, brzydkie i nieludzkie.

Pospólstwo (populus) Rzymu i Konstantynopola, w czasie, w którym nienawidzono okrutnych wład-

ców, nim bić się zaczęło dla sławy rozbójników, unosiło się nad galeryami obrazów Heliogabala w Rzymie, i Iustynianina w Konstantynopolu, przed postaciami aktorów lub szermierzy—bo ceniło to, co kochało.—Malarstwo symboliczne i hieroglificzne długo już znane było przed bajką o Dybutadzie u Chińczyków. W Egipcie, zaczęło rozwijać się za rządów Hermesa Trysmegistes, a za Faraonów już nawet Mojżesz daje nam najoczywistsze dowody o istnieniu tej sztuki, nie pozwalając ludowi swojemu, naśladować malarstwa, pochodzącego od dawnych jego ciemniejszych. Arabowie znali także wybornie tę sztukę; celowali oni w malowaniu kwiatów, owoców, drzew i roślin.

Grecya, ta kraina od Muz ukochana, gdzie historycy, poeci, mówcy, filozofowie, artyści i bohaterowie wychodzili na świat jak żołnierze z zębów węża Kadmusa, była ojczyzną Zeuxisa, Parhaziusa, Apelesa, Asklepiodora, Pamfiliusza, Tymanthesa, Klezidyusza i Protogenesa, których imiona, nigdy zapomniane nie będą, a choć prace nie doszły do nas, nie można wątpić o ich istnieniu, bo czytamy wielkie pochwały historyków o ich utworach.—Zresztą, mozaika, ta jakby litografija starożytności, otworzyła nam oczy na geniusz malarzów greckich. W Pompei i Herkulanum znaleziono bardzo piękne szczątki starożytności. Wezuwjuś chciał zakryć przed barbarzyńcami wieków średnich, przez czternaście stuleci bogactwa starożytnej oświaty greckiej i rzymskiej. Oby tylko nowi barbarzyńcy, nie przyłożyli świętokradzkiej ręki do tych rzeczy tak cudownie zachowanych!

W Pompei, w domu Fauna, znaleziono mozaikę przedstawiającą bitwę Issus, według obrazu malarza greckiego Filoxena, ucznia Nikomaka, a w Herkulanum, sześć innych mozaik, wystawiających obrazy Arystydesa, Nikomaka, Klezidyusza i Filoxena.—Te ciągle odkrycia pokazują nam, że malarze starożytni umieli wykonywać zarówno krajobrazy, głowy, kwiaty i owoce, jednym słowem wszystkie gałęzie tej sztuki.

Szczątki arcydzieł, które do nas doszły, są następujących mistrzów: Zeuxisa—Penelopa i Helena.

Apellesa—Wenus.

Protogenesa—Ialissa, (malowidło, które wybawiło miasto Rhodos od gniewu Demetriusza) <sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> Przyjaciel Apellesa i Arystoteles, Protogenes urodził się w mieście Kona, na wyspie Rhodos. Talent tego wielkiego mistrza tak był znany, że Demetriusz Poliorcetes, zaniechał miasta oblegać, bojąc się aby jego żołnie-

Tymantesa— Ofiara Ifigenii: Arystydesa— Ulisses na morzu, i Filoxena— Apollon w postaci Pasterza.

Horacyusz tak uczył malarstwo i snycerstwo: „*Divite me scilicet artium, Quos aut Parrhasius aut Scopas.* (Dla czego tak ubogim jestem, że nie posiadają arcydzieł Parhaziusa i Skopasa) a Pliniusz gdzieś napisał: *Pictor, qui rei communis terrarum erat* (malarz do całego świata należy).

Malarstwo nie było uprawiane w rzeczypospolitej rzymskiej, gdzie sztuka wojskowa i wymowa w Kapitolium i Forum wyżej były cenione niż Parnas i Helikon u Greków.

Na lat 450 przed Romulusem, Rzymianin Fabiusz Pictor, wymalował kilka obrazów (nie wiadomo czy na drzewie lub płótnie), które umieścił w świątyni.

W tymże samym czasie, Appelles i Protogenes utworzyli swoje arcydzieła, i miasto Ateny posiadało 600 rozmaitych obrazów w świątyni Minerwy i wielu innych gmachach. Poeta dramatyczny Pakuwius i Klaudyusz Pulcher wymalowali razem dekoracje do teatru w Rzymie, ale jego mieszkańcy nie znali rzeczywiście i nie protegowali sztuk pięknych. Mummiusz po zburzeniu Grecyi przywiózł z tamąd dla świetności swojego tryumfu wszystkie skarby artystyczne rzeczypospolitych podbitych i zwyciężonych. Quintus Pediusz, będąc niemym od urodzenia, musiał prosić Augusta o pozwolenie malowania. Od tego monarchy aż do Antoninów, jedynymi rzymskimi malarzami, byli Grecy, wygnani ze swojej ojczyzny; ograniczali się oni tylko na upiększaniu prywatnych domów konsulów i obywateli rzymskich.

Jakkolwiek zgniecione było okowami niewoli, lub poniżone wygnania mianem, jakkolwiek zhańbione było w swoim upadku, bo—po wykonywaniu cudnych utworów do świątyń greckich i pałaców bohaterów, malować dekoracje dla popisów aktorów lub kuglarzy, jest hańbą i wstydem—jednakże malarstwo greckie tworzyło arcydzieła i w Rzymie. Starożytni posiadali sztukę zachowywania malowideł przez długi przeciąg czasu. Przez wiele to tysięcy lat, malowidła Hindusów, Persów, Egipcjanów, Chińczyków i Greków zachowały pierwotny swój blask i koloryt!

rze nie popsuli arcydzieł Protogenesa, a dowiedziawszy się, że mieszkał o mil kilka od wyspy Rodos, pojechał tam i zapytał się go: „czy się czuje dość bezpiecznym od jego żołnierzy? „Tak panie“ odpowiedział malarz, albowiem, ani taki wódz jak ty, ani tacy żołnierze jak twoi, nie wypowiadają wojny sztukom-pięknym.“

U nas zaś—nadętych pychą i zarozumiałością, u nas—którzy śmiemy głosić przewagę nad starożytnymi, u nas gdzie wierząc mędrcom, chemja uczyniła tak olbrzymie postępy, że można by processować się z Bogiem samym, u nas — powtarzam jeszcze, dziesięć lat wystarcza, a może i mniej nawet, ażeby farby spełzły na obrazach. <sup>1)</sup> Zaledwie znaleźliśmy dwóch albo trzech mistrzów zeszłego stulecia szkoły flamandzkiej lub francuzkiej, których malowidła mogą zachwycać oko widza, ale pół wieku już upływa jak niebo Europejskie nie ujrzało żadnego arcydzieła. Malarze terażniejsi wykonywają obrazy bez czucia i natchnienia, a płótna ich wystawiają twarze martwe, bez uroku i wdzięku.

Od Augustów do Konstantyna, cała Italia była matką sztuk pięknych. Ale zbytek, więcej niż zamiłowanie, duma więcej niż szczere poświęcenie się pracy, przewodniczyły artystom. Mozajki i wyrzynania na rozmaitych metallach, ustąpiły miejsca malowidłom na płótnie. Malarze greccy opuścili Rzym i Italię wraz z Konstantynem W. i założyli z nim nową stolicę państwa—Konstantynopol. Koczujący ci artyści zachowali prawdziwą znajomość tej sztuki przez wieki barbarzyństwa, między założeniem cesarstwa wschodniego (330), zburzeniem Rzymu, (476) między Totillą, który dokończył jego ruiny i Karolem Wielkim, który się koronował na cesarza Zachodu.

Zwycięstwa tego monarchy, z jednej strony, z drugiej zaś—zniszczenie zupełne nierozważnej i szalonej sekty Ikonoklastów, to jest niszczycieli obrazów, którzy chcieli zamienić oświatę ówczesną, na barbarzyństwo stokroć razy gorsze niżli Hunnów, Gotów lub Gepidów, przyczyniły się do rozwinięcia się sztuk pięknych.

Ujrzano wtenczas, tak jak po prześladowaniach Chrześcijan przez Neronów, Kalligulów, Dioklecjanów i innych okrutnych Władców, kapłanów chrze-

<sup>1)</sup> Jest nie zupełną prawdą, żeby dzisiejsze malowidła tak prędko pełzły. Są dzieła włoskich artystów z XVI wieku, Hiszpanów i Flamandów z XVII wieku, które dziś jeszcze jak świeże wyglądają, a kto wie czy pompejańskie byłyby dotrwały w takiej czystości, gdyby przez te blisko dwa tysiące lat nie były pozbawione przystępu powietrza i wszelkich odmian temperatury, kurzu—i od innych wypadkowych uszkodzeń nie były uchronione.—Co do zupełnego braku nowożytnych arcydzieł; galerja Luksenburga, Luwru—kościóły i muzea Monachium i Berlina, wystarczająca są na to odpowiedzią, zaprzeczającą zdaniu autora.



ścjańskich wychodzących na świat ze skrytych katakumb rzymskich, tak teraz ujrano tłumy artystów powracających do pędzla lub dłuta z tychże samych katakumb. Tą razą Grecy wznowili we Włoszech malarstwo.

W dziewiątym wieku, prawnuki uczniów Zeuxisa i Protogenasa wywierali jeszcze przewagę nad malarzami rzymskimi.

Zajścia rozliczne między stolicą apostolską, i cesarzami niemieckimi, a szczególnie między papieżem Grzegorzem VII i Henrykiem IV, wstrzymały zmartwychwstanie tej sztuki.— Ale malarstwo, cierpliwe jak cnotliwy człowiek, czekało w milczeniu, i w krótkim czasie rzeczpospolite włoskie Piza, Florencyja, Genua i Wenecya; współzawodniczki potęgi, bogactwa i chwały, otwały bramy miast swoich sztukom pięknym, które więcej niż ich floty, więcej niż handel, więcej niż skarby, więcej nawet niż piękność Bucentaura; zaszczyły ich imiona, i pozostawiły wiekopomne pamiątki.

Wtenczas cywilizacya została jeszcze raz zbawiona, i teraz Italia a nie Grecya oczekiwała z niecierpliwością powrotu gołębiczy i ukazania się tęczy.

Pod koniec XIIIgo wieku, trzech sławnych malarzy zajaśniało we Florencyi: Cimabue, Giotto i Giovanni z Fiezoli, przezwany Fra-Andżeliko.

Fra-Andżeliko, zakonnik z klasztoru Dominikanów; sławnym był tak z talentu, jak i z cnót swoich. — Papież Mikołaj V, któremu wymalował kaplicę, ofiarował mu arcybiskupstwo Florenckie, którego, przez swoją skromność nie przyjął: Andżeliko umarł w 68 roku życia malując i modląc się aż do skonu. Cimabue, malował cudownie, był uczniem mistrzów greckich i zjednał sobie sławę, godną geniuszu. Karol I, król Neapolitański, odwiedzając go, chciał przez swe obietnice zmusić artystę do mieszkania w stolicy. „Królu!“ odpowiedział Cimabue; jestem Florentczykiem i umrę nim. Gdy uznajesz we mnie talent królu! zapewne wiesz i to, że muszę go używać dla moich współrodaków. Opuszczając ojczyznę, straciłbym twój szacunek a bardzo o niego stoję, i mogę go Waszej królewskiej Mości ofiarować.” — „A waszę przyjaźń?” — zapytał Karol, ściskając za rękę malarza „I ją także wam ofiaruję, a będzie ona pierwsza i najszczerza z moich przyjaźni.” Niewiele nam obrazów pozostało po tym sławnym malarzu. Giotto był uczniem Cimabuego, który, spotkawszy go w polu rysującego na piasku przy trzodzie jaką pasął, uwiózł go z sobą. Giotto wstąpił w ślady mistrza swojego i

wraz z Andżelikiem, swoim przyjacielem, został najlepszym malarzem włoskim. Był on zarazem i wielkim przyjacielem Danta, a papieże: Benedykt II i Klemens V, przypuszczali tego artystę do wielkiej zażyłości.

Cimabue przedstawiał typ grecki, Giotto — toskański, a Giovanni — typ chrześcijański. Cała przyszłość, i przeznaczenie sztuki były wcielone w tych trzech mężów.

W tymże samym czasie Hollandya, Flandrya i Niemcy, czyniły ogromne postępy w malarstwie, rzeźbiarstwie i budownictwie stylu bizantyńskiego. Szkoła hollenderska, i szkoła florencka uznały za matkę — szkołę bizantyńską.

We dwa wieki później, trzy rodzaje malarstwa, stworzone przez Cimabuego, Giotto i Giovanni, połączyły się w jedno, i malarstwo wyszło z granic ciemnych i niepewnych.

Verrochio <sup>1)</sup> tworzy Leonarda da Vinei; Gherlando — Michała Anioła; — Perudzio — Rafaela. Nastaje malarstwo średnich wieków, do którego jakby sam Bóg powiedział: „Kroku dalej nie postąpisz.” Szkoła, założona przez Verrockiego i jego sławnych uczniów, tak się rozpowszechniła że ją uprawiano nie tylko w Italii ale i w Hiszpanii, Niderlandach, Francyi, oraz całych Niemczech. Włochy liczyły siedemnaście sławnych szkół, a Jan z Bruges (albo Vaa-Dyck) wynalazł malarstwo olejne, i przekazał go szkole kolońskiej, po której nastąpiła szkoła niemiecka, mająca Alberta Dürera za naczelnika i prawodawcę. Jednakże można ogólnemu malarstwu przyznać dwie szkoły: włoską, która rozdzieliła się na szkoły rzymską, florencką, wenecką, lombardzką, pizańską i t. d. i flamandzką albo holenderską. Do tej ostatniej, wslawionej imionami Rubensa i Van-Dycka, przyłączają się szkoły: niemiecka, angielska i niderlandzka.

Do szkoły Włoskiej należą Hiszpańska i Francuzka. Szkołę Hiszpańską, jak wiemy, cudne arcydzieła Muryllego zrównały z włoską; francuzka zaś założona przez Rossiego i Primatisa, którzy przynieśli w XVI wieku tradycyę sztuki włoskiej, w wiek po

<sup>1)</sup> Andrzej Verrochio, sławny malarz, biegły złotnik, dobry jeometra, rzeźbiarz, architekta, muzyk, chemik, poeta i dyplomata, jednem słowem Polymat, najslawniejszym był z ludzi XV wieku, który wydał tyle geniuszów. Dziś nigdzie nie można spotkać człowieka, przynajmniej w części jakiegoś podobnego do owych wielkich mężów, od których uważamy siebie za wyższych!

swojem założeniu, liczyła między sławnymi mistrzami Pussina i Lesuera. Przez szczególniejsze zrządzenie nieba, szkoła ta przetrwała szkołę włoską i flamandzką.

Ojczyzna Rafaelów, Michałów Aniołów, Dominikonów, Karaczjów, Tycyanów, i Koredżijów nie wydawała nowych malarzów, bo naród długo w więzach zostawał. Hollandya i Niderlandy, posiadają tylko zimne prochy Alberta-Dürera, Rembrandta, Gierar-

da-Dow, Mierisa, Tilberga, Teniersa, Rubensa, i Van-Dycka \*). Jedna tylko Francya od XVI wieku liczy wielu sławnych malarzy, jak Filipa Champaigne, Joureneta, Lebruna i wielu innych.

\*) Autor zapomniał, że przecież Belgija dzisiejsza ma swoich Galletów; Niemcy, Hessa, Lessinga, Sznora. Kaulbacha i Korneljusza, francuzkiej szkole zatem tak bardzo tamte narody zazdrościć nie potrzebują.

## GIRAFI WE LWIEJ PRZEMOCY.

(Z RYCINĄ KOLOROWANĄ).

Przyłączony tu rysunek, nader smutny przedstawia nam obraz, nie walkę lecz morderstwo, bo zwycięstwo siły nad słabością. — I któż-by się spodziewał że Lew, król zwierząt, o którego wspaniałości i odwadze, tyle legend podają nam podróżni, a nawet naturaliści, że ten mocarz nieprzebytych lasów, tak łatwo mogący nasycić głód swój drobnymi, wpadającymi mu nie ledwie w paszczę zwierzętami, poświęca drogi czas swój, już nie żeby spotkać godnego siebie nieprzyjaciela, lecz ażeby podejść lekliwą piękną Giraffe! bo krew jej jest przysmakiem łechcącym podniebienie jego. Nie głód, nie potrzeba, prowadzi go ku temu, ale łakomstwo, chęć zmiany we zwykłych pokarmach, zbytek. Dla jego miłości, z natury szlachetny, skłonny do otwartości zwierz, staje się chytrem i podstępny.

Giraffa należy do największych zwierząt, to jest do najwyższych; trzyma bowiem najczęściej 20 stóp wysokości w przedniej części ciała; ale pomimo silnie zbudowanych członków, nie jest ona ani odważną ani drapieżną. A na nieszczęście, mięso jej, które ma dla ludzi bardzo niemiłą woń, tak że go niepodobna używać, dopóki czas jakiś w słoniej nie poleży wodzie, jest smacznym kąsem dla Słonia i Lwa, i dla tego te dwa najsilniejsze, najzmyślniejsze zwierzęta ubiegają się, wydzierając, a raczej wykradając, sobie biedną ofiarę, która najczęściej staje się zdobyczą lwów. On bowiem z większą przebiegłością zapewnić sobie

umieją zwycięstwo. — Płodne Giraffy zamieszkują też same co ich nieprzyjaciele okolice Afryki; często-kroć w jednymże strumieniu gaszą pragnienie swoje. I wtedy kiedy się znajdują nad wodą, Słonie napadają na nie i starają się pochwycić z rozbiegłego stada słabsze lub lękliwsze, nie mogące mimo szybkości w biegu ująć przed siebie nieprzyjaciela mocą. Lwy, widząc że przy strumieniu Giraffy napadnięte od Słoni bywają, zbierają się gromadnie i opodal w krzakach, z wszelką ostrożnością, przestrzegają się obierając za punkt miejsce którym, są pewni iż Słonie ciągnąć nie będą. Gdy nadejście ciężkich zwierząt zbliża się, Giraffy mające słuch i węch czujny, przestraszają się, tracą zręczność, przytomność, rozbiegają się po lesie w przeciwnym kierunku, z kąd się zbliżają słonie, i tym sposobem niechętnie spotkać muszą ukrytego bowojowego nieprzyjaciela. — Jeden Lew poradził by Giraffe nie mającej ani pomocy zbrojnej w kły, ani pazurów do obrony. Gdy potrzebuje pożywienia, lub walczy z Tygrysem i Wilkiem sam jeden występuje, ale do bezprawia i on potrzebuje towarzyszy jeżeli by sam jeden nie miał dość śmiałości. Zbiera się ich w cień w kilku i rzucają się za biedną, nie czyniącą im oporu ofiarę. — A nasyciwszy swoje łakomstwo krwią jej i mięsem, odchodzą bez żadnych wyrzutów sumienia, obiecując sobie nie raz jeszcze podobną ucztę. — Zwyczajnie jak zwie rzęta!





## URYWKI JEDNEGO Z POETÓW SŁAWIAŃSKICH.

### I. SEN.

„Kiedy cień przezroczy spada na żółte niwy, snopami pokryte, na lasy sine, na łąk zieloność wilgotną; — kiedy po nad jeziorem bieleją obłoki pary, i w rzadkiem sitowiu nadbrzeżném spi łabędź snem czujnym, odbijając swą postać na wód zwierciadle, wtedy idę do méj chatki rodzinnej, słomą pokrytej, w cieniu akcyj i dębów, i tam, z uśmiechem wdzięcznym na ustach, w wianku z gwiazd jaskrawych i maków ciemnych, ukazuje się mi Bogini spokoju; zlewa światłość na głowę moję, spokojną dłonią zakrywa mi oczy, a odgarnawszy sploty swych włosów, całuje me usta i oczy w cichości.”

### II. ZWĄTPIENIE.

„Niech sobie mówią: że poezya — to marzenie, gorączka serca; — że świat jój próżny i fałszywy; — że już dla żeglarzy mórz odległych, nie ma więcej syren niebezpiecznych; że po lasach gęstych nie mieszkają Dryady; że w strumykach kryształowych niema Najad złotowłosych; że Zeux nie rzuca już potoku rażących błyskawic, i w nocy Helios nie zstępuje do pałacu purpurowego Thetydy. Niech i tak będzie! Ale jakże jest tajemniczym szelest liści w południe! jak słodko dźwięczy szmer strumienia, jak pełnym bywa głębokiej zadumy szum morza! Z jakąż miłością głębie morskie tulą do swego łona ożywczy promień słońca! jak jest melancholicznym blask księżyca! Wszędzie w naturze serce słyszy mowę tajemniczą; wszędy, mimo woli, piętném życia ocuca te zjawiska, wierząc czy nie wierząc tym słodkim, tym czarownym złudzeniem.”

### III. OKTAWA.

„Boskich harmonij poezye tajemniczą nie myśl że z ksiąg mędrców odgadniesz! Na brzegu wód spo-

kojnych błakając się samotnie, słuchaj tylko duszą, jak szumi trzcina, jak gwarzy dąbrowa: uczuj i pojmij ich dźwięk niezwyčajny, a w harmonii, jakby wierszów onęj mimowoli z ust twych miarowe popłyną oktawy; oktawy tak dźwięczne jak muzyka dąbrowy.”

### IV. SZTUKA.

„Wyciąłem dla siebie trzcinę na brzegu morza szumiącego. Niema, zapomniana, leżała ona w biednej chatce mojej. Raz zobaczył ją starzec wędrowny, na nocleg do chatki naszej przybył. Starzec to był niepojęty i dziwny w naszym pustkowiu. Obciął łodygę, poczynił otwory; przyłożył do ust, i ożywiona trzcina wnet wydała cudowne dźwięki, podobne do tych, jakie czasem zefir na brzegu morza, nagle musnąwszy jego wody, i dotknąwszy się trzciny, dźwiękiem powietrze napełnia.

### V.

„Dziecię moje! minęły już błogie dni; już przeszła pora bzu, lilij i wonnych lip; nie śpiewają słowiki, nie słyhać już głosu wilgi. Wszystko minęło. Nie będziesz pięknej splatała girlandy, ani stroiła główki w wieńce z bławatków; nie spotkasz już po ranniej rosie jutrzeńki i w późny wieczór nie będziesz patrzyła z upodobaniem, jak wstaje po nad jeziorem ciepła para, i jak gwiazdy się w jego zwierciadle przegładają! Nie bluszcz i kwiaty na skale się wiją, ale mech w szczelinach wczesnym pokrywa się śniegiem. A tyś, o moja droga, zawsze taż sama — hoża i żwawa. Jakże ja lubię, gdy zgrzana i bieganiem zmęczona, wlatujesz, wiejąc chłodem, do mojej chatki samotnej, otrząsas ze splotów śnieg, śmiejesz się głośno i całujesz mię dźwięcznie, czule.”

A. M.

## O POGRZEBACH W DAWNÉJ POLSCE.

Mylne jest mniemanie jakoby u Słowian *powszechnym* bywał zwyczaj palenia ciał zmarłych — Są ślady w różnych okolicach rozległej słowiańskiej zie-

micy, iż umarłych ciała grzebano nienaruszone w ziemię; mianowicie zwyczaj ten przechowywał się na Ukrainie i Wolyniu, tudzież w prowincjach Czarną

Ruś stanowiących. W naszym wieku odkryto w Nowogrodzkiem, koło Nowogródka, w lesie należącym do Hryciani, dóbr Białopiotrowiczów, kamień na którym dawnymi głoskami wryte były następujące wiersze:

Tut Iwan Siemiaszko leży,  
U nohach czarny sobaka tużył,  
U hołowach fłaszka horyłki stoit,  
U rukach ostry miecz derżył.

Ho! ho! ho!  
Szczoż komu do toho?

Podobny sposób wyrażania się, a raczej odzywiania się do przechodnia, tak przeciwny chrześcijańskim obrzędom, które właśnie zmarłego wspomnieniu i modlitwie polecać nakazują; był widać bardzo powszechny; w inném bowiem miejscu na Rusi zrobiono podobnyż napis:

Tut leżył Martyn Łopec,  
Prekрасny mołodec

Ho! ho! ho!  
A szczo tobi do toho?

W rozkopanej mogile pod Nowogrodzkiem, w prowincyi, która niegdyś stanowiła Czarną Ruś a rządzona była przez Starostów, a potem r. 1500 na Województwo Nowogrodzkie zamienioną została—znaleziono resztki kości człowieka, psa, żelaza od szabl i troszkę wódki niezmiernie mocnej: dziwno, że się zachować mogła, widać naczynie było z bardzo ścisłej gliny, dobrze zatkanie a grób ciasny niedopuszczający powietrza. Była to pewnie wódka, „którą częstowano nieboszczyka, lub też ta, którą on na pożegnanie, częstował, gdyż są ślady w starych opisach że nawet i u Polaków był zwyczaj, iż na pożegnanie, gotujący się na śmierć, częstował miodem lub piwem zgromadzonych, w około śmiertelnego łoża, krewnych.

Jeden z rycerzy krzyżackich, Piotr Dasburch, opisując wyprawy swoje, wspomina zwyczaje pogrzebów jakie widział w Czarnéj Rusi do Litwy należącój, w następujący sposób: „Obmywszy umarłego w łaźni, ubierano go w koszulę białą, sadzano na stołku i zdrowie jego spijano, mówiąc: Ja do ciebie piję miły przyjacielu! i czemuś umarł? wszak masz swoją miłą oblubienicę, dziatki, bydło, przyjaciół i wszelki dostatek.”

Strykowski opisując pogrzeby na Litwie tak się wyraża:

Pili obecnie do zmarłego nadobranoc, kazali mu pozdrawiać krewnych na tamtym świecie, ludzko z niemi się obchodzić; ubierali ich w szaty, przypa-

sywali im kord lub siekiere, obwiązywali koło szyi ręcznik, w który kładli kilka groszy i w grobie stawiali chleb z solą i konewkę piwa. Prowadząc zwłoki wołali, „*gejgejte begaite Pikole*: uciekajcie, bieźcie precz djabli i mówiąc to, orężem wywijali, albo nożem, ażeby złe duchy odstraszyć.

W Inflantach przy pogrzebie w trąby grając, śpiewano: Idź nieboże z tego nędznego świata, pełnego ucisków rozmaitych, na świat lepszy, gdzie wesele wieczne, gdzie ani herby niemiec, ani drapieżny Lejsycz (zapewne Litwin) nie będzie mógł ciebie krzywdzić. Nie Giermani tobie, lecz ty im rozkazywać będziesz; masz oto pokarm na drogę i oręż.” Tak to wszędzie spotykamy się, z tém poczuciem duszy ludzkiej, od początku świata w całej ludzkości objawiającém się; iż jój Stwórca wyższą gotuje przyszłość, że opuściwszy cielesną krótko-trwałą powłokę, wchodzi ona w inne życie, stokroć szersze. Wszystkie rozrzucone po całej kuli ziemskiej tak dzikie jak ucywilizowane ludy, tę wielką prawdę czują, jakkolwiek rozmaitemi ją pojmują sposobami, stosownie do wyznań religijnych i cywilizacyi. A przecież mimo tak wielkiego świadectwa, znajdowały się i znajdują dotąd umysły pyszne i nieprzetrawioną nauką zbląkanę, które jój zaprzeczać gotowi.

Wiadomo że zwyczaj przedchrześcijański częstowania na pamiątkę, raczej na pomyślność zmarłych na ich mogiłach; dotąd miejscami ludy chrześcijańskie obchodzą. W niektórych okolicach, mianowicie w prowincjach Wielko-rossyjskich, literalnie się tego zwyczaju trzymają. Niosą jadło na cmentarz w dzień ku obchodowi zmarłych przeznaczony. Zaś w prowincjach Polskich na Wołyniu, Ukrainie a nawet w bliskim nas Lubelskiem, składają na tę pamiątkę różne jada w kościele, którym wedle woli Proboszcz ruski rozporządza, zawsze część jego ubogim rozdając.

Pomiędzy obrzędami religijnymi w pogaństwie, tak widoczną sprzeczność tworzącemi, z duchem miłości i braterstwa dopiero przez chrześcijaństwo wprowadzonym; był barbarzyński zwyczaj palenia na jednym stosie z panem, ulubionego służącego jego, wraz z koniem i innemi przedmiotami w których zmarły miał za życia upodobanie. Zwyczaj ten istniał głównie w Litwie; świadczą o nim dawni dziejopisarze. — Spotykamy dowód tego w opisie pogrzebu Gedymina, z którego tu krótki wyjątek przytaczamy: „Tam gdzie Wilejka do Wilii wpada, przygotowano stos wielki ze smolnej sośniny. Gdy wszyscy synowie Gedymina zjechali się, ubrano go

w szaty i odzież książęcą, które za swego żywota najwięcej lubił; dano mu szablę, włócznię i sajdak z łukiem, sokołów i chartów parę, konia żywego z siodłem i sługę najwierniejszego związano z nim, na stos położono, z wielką żalością zgromadzonego rycerstwa drwa w około zapaliwszy, miotano na ogień paznokcie rysię i niedźwiedzie, jak zwyczaj starodawny kazał, broń i część łupów nieprzyjacielskich, i trzech niemieckich zbrojnych więźniów żywcem spalono. Popiół i kostki książęcia, sług, konia, i chartów, zebrawszy w trumnę, zaszpantowano i w ziemię na miejscu oném pochowano.

Lecz porzućmy pogańskie opisy smutnych obrzędów, ażeby w tej pobieżnej wzmiance wspomnieć jeszcze o wspaniałości późniejszych chrześcijańskich w kraju naszym pogrzebów, jakimi były chowania ciał królów polskich i innych zasłużonych ojczyźnie mężów. Jakaż-to widzimy w nich cześć dla zasługi? Jak głębokie żalu pojęcie?— Te piękne uczucia nie były własnością pewnej tylko klasy ludzi. Pojmował je cały lud — i wyrażał podobneż myśli w prostych obrządkach swoich.

Tak naprzykład — gdy w gmachu wspaniałym wznoszono olbrzymio-przepyszny katafalk z godłami dostojęństw Wielkiego Hetmana, a przy spuszczeniu do grobu, kruszono kopije bohatera o wieko trumny i łamano buńczuki zdobyte przez niego na wrógach; — wtedy jednocześnie, w ubogiej chacie wieśniaczkiej pozostała wdowa, przy wynoszeniu zwłok męża, łamała z krewnymi nieboszczyka te narzędzia któremi zgasły kmiotek pracował: ująwszy w drżące z żalu ręce garnek gliniany, tłukła go na progu, bo kruchość naczynia z ziemi ulepionego, była symbolem znikomości życia ludzkiego!

Wiadomo powszechnie, iż na znak żalu i godności za życia posiadanych, przy pochowaniu zwłok rycerzy, jakieśmy to już napomknęli, kruszono kopije, strzały, lub inną broń zmarłych. Miaskowski, opisując pogrzeb Zamojskiego w 1622 roku tak się wyraża:

„Sierdziwszy drudzy, we wszem kruszą skoku  
Kopije gładkie i szable od boku  
Mieca, — i ostry pałasz leci w rękę  
W żałobnym brzęku.”

Dla dania wyobrażenia o wspaniałości pogrzebań królów naszych, przytaczamy tu opis wierszem pochowania zwłok Zygmunta Igo:

„Mar w różnych złotogłowach trzydzieści niesiono,  
Trzydzieści także koni *turskich* prowadzono,

A chorążowie ziemscy za niemi jechali,  
Ci się wszyscy w kirysy żałobne przybrali;  
Na tych chorągwiach herby ziemskie rozmaite,  
Zwycięstwa Zyguntowe były znamienite:  
Przed niemi jechał z orłem chorąży koronnym,  
Na białym koniu siedział, na bardzo pozornym  
A przed ciałem Jan Tarło w kirysie powoli  
Pojeżdżał, miecz do siebie przyłożywszy goły,  
*Sceptrum*, miecz a koronę i jabłko niesiono,  
Potém ciało z świecami gęstemi wieziono.  
Za ciałem Zygmunt August ze wszemi posłami,  
Szedł w żałobie z dworzany i wielą panami,  
Książę Praski z margrabim prowadził królową,  
Szli wszyscy do kaplicy za sprawę takową,  
Arcybiskup Gnieźnieński także z biskupami,  
Odprawował mszę świętą z żalósnemi łzami,  
A kazanie uczone mądry Maciejowski,  
O sławie Zyguntowej miał biskup Krakowski.  
Gdy zaś pacierz śpiewano, Jan Tarło we zbroi,  
Przy ciele wespół z giermkim w pogotowiu stoi,  
Potém zaś *ornamenta* na ołtarz złożono,  
Hełm, tarczę, miecz i drzewo, w ziemię uderzono,  
Kiryśnik upadł z konia, a zaś *dygnitarze*  
Zyguntowe pieczęci tłuką pieczętarze.

W opisie pogrzebu Zygmunta Augusta także jeszcze widzimy zachowany zwyczaj kruszenia kopij i łamania drzewców.— Opuszczamy początkowy opis, mniej-więcej zbliżony do poprzedniego; przytaczamy zaś to, co o tym obrządku stary pamiętnik wyraża:  
„Wyszło duchowieństwo i zakony, Posłowie zagraniczni w liczbie ośmiu, panowie, szkoły, seminaria, bursy, biskupi, arcybiskupi, do tysiąca ludzi w żałobie, ze świecami: 30tu chorążych na koniu z chorągwiami województw, chorągiew królestwa, 30ści koni pod aksamitnemi kapami niosło tarcze pogrzebowe; dworzanie w ubiorze królewskim, *reprezentujący* osobę króla na koniu, za nim krajczy koronny na pysznym zbrojnym koniu jechał, cały zbroją królewską okryty. Nieśli senatorowie miecz, jabłko, berło, koronę; wóz z ciałem otaczało 50 dworskich ze świecami; posłowie zagraniczni, *Injantka*; odśpiewano mszę żałobną, po niej ciało z katafalku zdjęto i do grobu spuszczone. Grób ten wspaniały przed 26ciu laty, Zygmunt Iszy wystawił. Na ołowianej trumnie przez Gdańszczanów darowanej, dano napis. Nazajutrz tymże porządkiem, prócz wozu, na miejscu którego mary były, szła processja z zamku do innych kościołów: WW. Świętych, P. Maryi, Śgo Franciszka, Ś. Anny, Ś. Szczepana, Ś. Trójcy; po-

wróciła potem do zamku. Trzeciego dnia *exekwije*. Chorążowie na koniach z chorągwiami przed kościołem stanęli. 30 koni przykrytych całunem z pogrzebowymi tarczami wprowadzono do świątyni. Przed wielkim ołtarzem katafalk czarnym aksamitem przykryty, na nim korona i inne znaki dostojności królewskiej. Po kazaniu wziął kasztelan Kaliski hełm, wojewoda Łęczycki miecz, kanclerz tarczę, przybliżyli się do wielkiego ołtarza, oddali posłom zagranicznym: Cesarskiemu hełm, Francuzkiemu tarczę, Węgierskiemu miecz; ci przed ołtarzem złożyli je na ziemi. Mniszech, cały w kirysie, pędem wjechał na koniu, przy katafalku z trzaskiem spadł na ziemię; wojewoda Krakowski po krótkiej przemowie, złamał łaskę, kanclerz skruszył pieczęć.

Na pogrzebie Anny Jagiellonki, znajdowało się 1500 ubogich, ubranych w żałobne szaty, którzy oprócz żywności w dniach za ciałem, gdy już te do katedry Krakowskiej zaprowadzone było, dostali po dwa talary.

Na sławnym pogrzebie Józefa Potockiego Wgo Hetmana koronnego a kasztelana Krakowskiego, przez pięć dni podejmowano z wielką wspaniałością, oprócz biskupów i suffraganów, których razem było dwudziestu, tysiąc kilkaset księży. Wydano 4,700 kamieni prochu, gdyż przez 5 dni, że 100 armat spiżowych, własnością domu Potockich będących, dawano ognia.

W jednym z opisów, czytamy piękną wzmiankę o pogrzebie ukochanego od narodu Jana Tarnowskiego. — Gdy biskup Uchański w słowach pełnych uczucia, wyraził wielką stratę jaką kraj poniósł

w meżu, tak w senacie jak w obozie pierwszym; — gdy husarze o trumnę połamali buńczuk i chorągwie przez niego zdobyte; to trumna, na której wszystkie godności oznaki złożone były, zapadła się w ziemię — na znak znikomości doczesnej chwały.

Rzewnym był zwyczaj, za obowiązek chrześcijański słusznie uważany, przepraszania w imieniu zmarłego lub umierającego, wszystkich przytomnych krewnych i przyjaciół; zwyczaj ten był także w całym kraju powszechny — więc król jako człowiek najstarszy z tej wielkiej Rodziny *narodem* zwanój, nie był wyjęty z tego prawa. — Czytamy w opisie śmierci Zygmunta IIIgo jak gdy przyszło do przeproszenia za wszelkie, jakie mógł popełnić, uchybienia a razem do proszenia aby naród dzieciom jego nie odmówił przychylności; w tedy stary król konający, bez silną, drżącą ręką sięgał po czapeczkę, aby w pokorze chrześcijańskiej ukorzyć się przed narodem, przedstawionym przez dygnitarzy państwa i duchowieństwo.

Po wsiach, po odbytem nabożeństwie, czy była nauka powiedziana przez księdza czy nie, występował jeden ze starszych gospodarzy, w prostych słowach dowodząc: Że przecież nieboszczyk nic takiego nie popełnił, czegoby mu jeszcze i po śmierci przebaczyć nie mogli, a jeżeliby się kto znalazł chowający do niego żal jaki, niech mu przebaczy, nie obciąża i nie zamąca pokoju duszy jego. — Zdarzało się że w braku mężczyzn i kobiety niekiedy odzywały się z taką przemową. — Śladu tego prawdziwie chrześcijańskiego zwyczaju, nie znajdujemy u ościen-nych ludów.

## KONIEC CZĘŚCI II.



# SPIS PRZEDMIOTÓW

ZAWARTYCH W CZĘŚCI PIERWSZEJ KSIĘGI ŚWIATA Z ROKU 1860.

	Str.		Str.
Margaritha Benedetta (powieść z ryciną). . . . .	41	Wieś Itor na wyspie Rankauri w Nikobarach (z drzeworytem). . . . .	129
Niektóre rysy oświaty Chińczyków i ich zwyczajów (z 2 drzeworytami). . . . .	6	Maroko. . . . .	131
Tajemnice Oceanu. . . . .	9	J. K. Ajwazowski. . . . .	136
Krótki rys stanu włóścian w wiekach średnich we Francyi (artykuł oryginalny). . . . .	20	Roślinność, zwierzęta, ptastwo i owady na wyspie Cejlan. . . . .	139
Z niedrukowanych rękopismów Albertrandego: Westeras. . . . .	28	Brazylijskie Muchołowcy (z ryciną kolorowaną). . . . .	147
Arboga, Orebro, Wadstena. . . . .	28	Szyller i Gete o Arystotelesie (wyjątek z listów wydanych w Stntgardzie). . . . .	148
Czapla, Slepowron, Bąk. . . . .	30	Ojciec z XVIII wieku opowieść z prawdziwego zdarzenia. . . . .	149 i 211
Spontini i Kurpiński (z 3 drzeworytami). . . . .	32	Zamczysko w Brzeżanach i słowo o Sieniawskich. . . . .	159
Kolumna Zygmunta III i wodociągi w Saskim ogrodzie (z 2 rycinami). . . . .	36	Malwy (z ryciną kolorowaną). . . . .	162
Zdarzenie nad jeziorem Brienz. . . . .	45	Bytność królowej Nawarry w Kotere. . . . .	163
Giserstwo, zecerstwo i preserstwo w ogólności (z trzema drzeworytami). . . . .	57	Bandurzyści ukraińscy. . . . .	174
Jeleń i łani kanadyjskie. . . . .	60	T. G. Szewczenko. . . . .	176
Franciszek Rymkiewicz, Godebski, Liberadzki. . . . .	61	Drukarstwo w Polsce. . . . .	180 197 i 250
Kobiety na wschodzie. . . . .	67	Ryby na szczególniejszą zasługujące uwagę. . . . .	181
Zwaliska miasta Agrigentu w Sycylii. . . . .	69	Widok bieguna Północnego. . . . .	182
Cezary Cantu (z ryciną). . . . .	71	Klimat. . . . .	185
Wspomnienie o Malicach. . . . .	73	Morze u bieguna. . . . .	187
Turcy (z ryciną). . . . .	77	Cztery gatunki kotów (z ryciną kolorowaną). . . . .	191
Canowa rzeźbiarz (z ryciną). . . . .	80	Nowy bulwar w Paryżu (ze stalorytem). . . . .	195
Macaulay (z drzeworytem). . . . .	83	Zygmunt Krasiński (z wizerunkiem). . . . .	203
Opis letnich kwiatów (z ryciną). . . . .	86	Lód u bieguna. . . . .	203
Ubiory szwajcarskie (z ryciną kolorowaną). . . . .	88	Messyna (ze stalorytem). . . . .	209
Katarzyna Jagiellonka obrazek historyczny. . . . .	89	Krótką wiadomość o życiu i pismach M. Gogola. . . . .	216
Wspomnienie o Malicach (dokończenie). . . . .	99	Kanał przecinający międzymorze Suez i łączący m. Śródziemne z m. Czerwonem. . . . .	225 i 4 Części II
Boettger wynalazca porcelany saskiej. . . . .	101	Wydra (z ryciną kolorowaną). . . . .	235
Wspomnienie z pobytu w mieście S-tój Marty w Grenadzie. . . . .	105	O Galileuszu. . . . .	237
Kopalnie węgla w Anglii i Francyi. . . . .	109	Mendelsohn filozof (z drzeworytem). . . . .	241
Idjoci. . . . .	111	<b>CZEŚĆ DRUGA.</b>	
Ludwik Ariosto (z ryciną). . . . .	116	Błękitny Pałac Hr. Ordynatów Zamojskich w Warszawie. . . . .	1
Wulkanizacja oleju. . . . .	113	Podróż do Afryki środkowej doktora Edwarda Vogel (1853—1856). . . . .	16
Rozmaitości. . . . .	119	Zarysy Meksyku. . . . .	16
Starożytny zamek międzybożski (z widokiem litografowanym). . . . .	121	Antoni Wawrzyniec Lavoisier. . . . .	19
Gołuchowscy (z ryciną). . . . .	124	Gaskonja (z ryciną kolorowaną). . . . .	24
Malborg (z drzeworytem). . . . .	126		

	Str.		Str.
Góra Piłat (z dwiema rycinami) . . . . .	27	Życie zwierzęce na północnych Europejskich krańcach. . . . .	104
Bułgarowie (z ryciną czarną). . . . .	30	Słownikarstwo polskie. . . . .	112
Niektóre zwyczaje i obrządku wyznawców Budy . . . . .	33	Żebracy w Stambule . . . . .	115
Karol Napier (z wizerunkiem na stali). . . . .	40	Stepówka (z ryciną kolorowaną) . . . . .	118
Pargameu z podwójnym pismem. . . . .	42	Jeden z poetów słowiańskich . . . . .	119
Biesiada Sępów w Nubii Południowej . . . . .	43	Pierwszy podróżnik europejski w środkowej Afryce. . . . .	121
Dinant (z ryciną) . . . . .	47	Wodospad Wiktoryi . . . . .	125
O związku zwierzęcej i Duchowej natury człowieka przez Szyllera. . . . .	46 i 105	Józef Jędrzej Załuski przez <i>H. Sk.</i> . . . . .	128
Antoni Franciszek Fonrcroy (z drzeworytem). . . . .	57	O pieniądzech dawnych polskich. . . . .	136
Czarno-górcy (z ryciną kolorowaną) . . . . .	58	Aleksander hr. Walewski (z wizerunkiem) . . . . .	142
Dora d'Istria i jej dzieła (z drzeworytem wizerunku). . . . .	60	Niektóre obrzędy u Kirgizów . . . . .	143 i 151
O Mormonach . . . . .	63	Koszatka. . . . .	148
Bawarya Górna (z ryciną kolorowaną) . . . . .	66	Święta rodzina (ze stalorytem) . . . . .	149
Szczudliki (z ryciną kolorowaną) . . . . .	71	O Narkotykach. . . . .	154
Wuerman (z ryciną czarną z jego obrazu). . . . .	113	Hetman Mazepa . . . . .	162
Upadanie Chrystusa Pana pod krzyżem (z ryciną wystawiającą obraz Rafaela) . . . . .	73	Kamień Probiereczy (z widokiem na stali) . . . . .	170
Wyhowski hetman . . . . .	82	Wspomnienie z Raciborza przez <i>J. B.</i> . . . . .	180
Polowanie murzynów na hippopotama. . . . .	89	Babirus (z ryciną kolorowaną) . . . . .	184
Organizacja wewnętrzna posiadłości angielskich w Indjach. . . . .	91	Jerzy Ossoliński. . . . .	185
Stan obecny sekty kwakrów. . . . .	94	Józef Stefani (z wizerunkiem podług fotografii) . . . . .	190
Ignacy Komorowski przez <i>H. Sk.</i> . . . . .	97	Pamiętniki Joanny Żubr. . . . .	195
Młody poeta hiszpański Gonzales de Tejada. . . . .	99	Stella (z wydarzeń w Rzymie). . . . .	203
Motyle europejskie (z ryciną kolorowaną). . . . .	102	O malarstwie . . . . .	210
Rys o Lapończykach i ich obyczajach. . . . .	103	Girafa we lwiej przemocy (z ryc. kolorow). . . . .	214
		Urywki jednego z poetów słowiańskich. . . . .	215
		O pogrzebach w dawniej Polsce . . . . .	215

### Wskazówki do rycin, gdzie mają być umieszczone.

#### Część I.

	Str.
Widok palącego się domu z modląciami się. . . . .	1
Ubiory wołosko-multańskie 3 mężczyzn i 2 kobiet . . . . .	17
3 Ptaki kolorowane z dwiema konchami na ziemi . . . . .	30
Kolumna Zygmunta III. . . . .	36
Brienz. . . . .	45
Jeleń i łani. . . . .	60
Turek i tureczanka z papugą. . . . .	77
Canova . . . . .	80
Bukiet kwiatów letnich . . . . .	86
Dwóch szwajcarów i 2 szwajcarki . . . . .	88
Ariosto . . . . .	116
Zamek w Międzybożu. . . . .	121
Wieś Itor. . . . .	129
Malwy . . . . .	162
Cauterets (widok czarny) . . . . .	163
Trzy ryby kolorowane . . . . .	181
Cztery koty . . . . .	191
Bulwar Sewastopolski w Paryżu. . . . .	195
Messina. . . . .	209
4 Wydry (kolor) . . . . .	235

#### Część II.

	Str.
Błękitny pałac. . . . .	1
Gaskończycy na szczudłach . . . . .	24
Bułgarowie. . . . .	30
Napier . . . . .	40
Dinant . . . . .	47
Jedna Czarnogórka i 3 mężczyzn . . . . .	58
5 Bawarczyków i jedna kobieta. . . . .	66
Dwa ptaki Szczudliki. . . . .	71
Z. Krasiński . . . . .	73
Upadek Chrystusa pod krzyżem s . . . . .	73
Polowanie na Hippopotama . . . . .	89
Pomnik Komorowskiego . . . . .	97
Motyle . . . . .	101
Stepówki . . . . .	119
Walewski . . . . .	142
Koszatki. (rycina kolorowana). . . . .	148
S. Rodzina (sztych) czarny) . . . . .	149
Babirus (rycina kolorowana. . . . .	184
Józef Stefani . . . . .	190
Girafa ze lwem. . . . .	214







Inst. Zool. PAN  
Biblioteka

P. 2790.